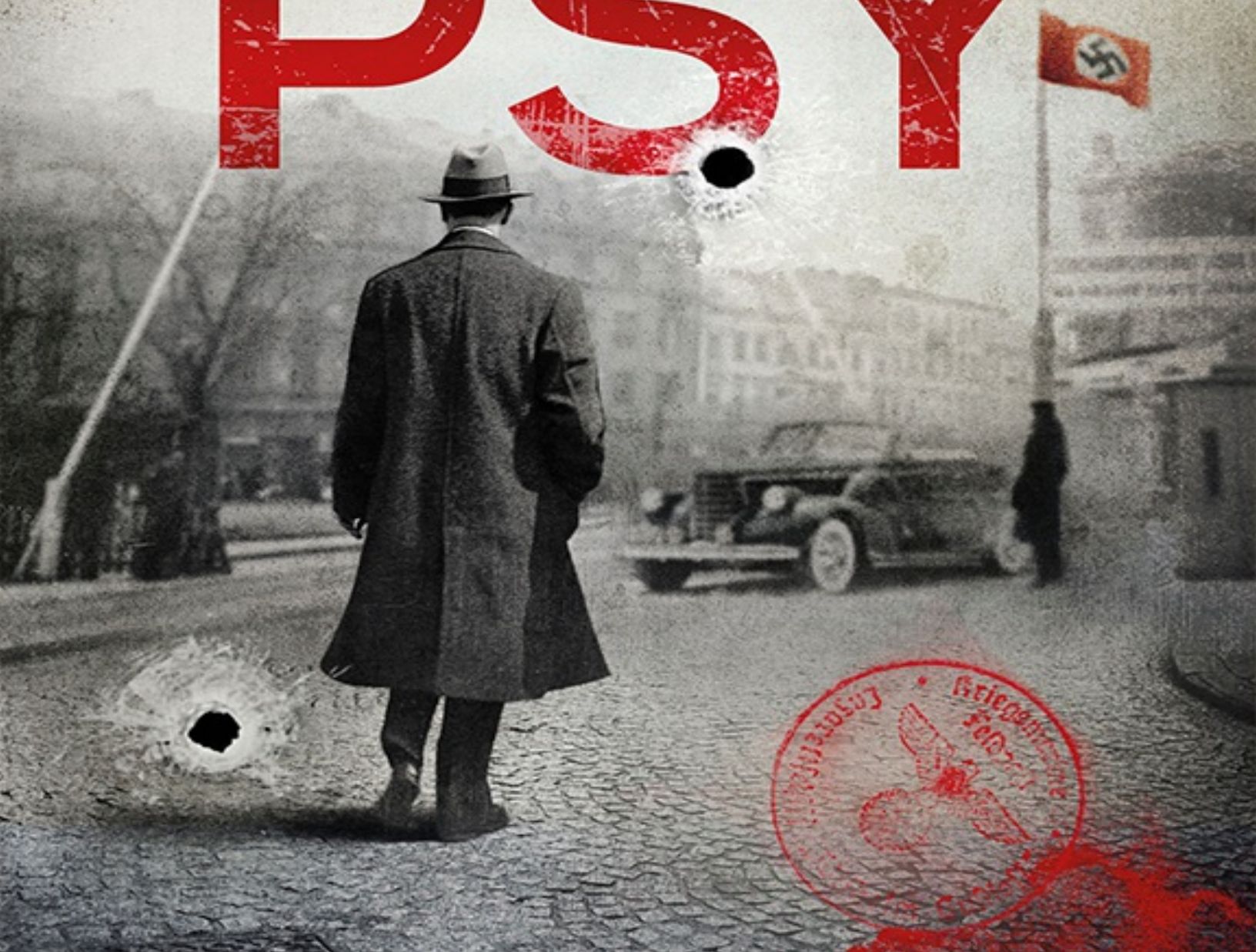


NIECH Z NASZYCH KOŚCI NARODZI SIĘ MŚCICIEL.

Wergiliusz, Eneida

Szymon
WOJTYNIAK
**BEZPAŃSKIE
PSY**



Szymon
WOJTYNIAK
**BEZPAŃSKIE
PSY**



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*
Redakcja: *Adrianna Michalewska*
Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*
Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*
Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *Lilianna Mieszczańska*

Zdjęcie wykorzystane na okładce
© Everett Collettion/Shutterstock

© by Szymon Wojtyniak
© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2019

ISBN 978-83-287-0870-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
ul. Sienna 73 00-833 Warszawa
tel. +4822 6212519
e-mail: info@muza.com.pl
Dział zamówień: +4822 6286360
Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wydanie I
Warszawa 2019

Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna
Motto
Dedykacja

Prolog

Część pierwsza - Argusowe oko

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21

Część druga - Syzyfowa praca

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Część trzecia - Para bellum

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Część czwarta - Między Scyllą i Charybdą

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Część piąta - Droga

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Epilog

Podziękowania

Wszędzie, we wszystkich krajach, widywałem zawsze trzy gatunki ludzi: nielicznych, którzy rozkazują, ogół, który im służy, i wielu takich, którzy przypochlebiają się i intrygują. My rozkazywać nie możemy i może nawet nie bylibyśmy dość po temu sprytni; nie jesteśmy ślepi i nie chcemy być ślepo posłuszni, a intrygami gardzimy. Najlepiej żyć jak te bezpańskie psy, którym nie dostaje się ani chleb, ani kije.

Ugo Foscolo, *Ostatnie listy Jacopa Ortis*

Mojemu dziadkowi Feliksowi



Feliks Wojtyniak. Korpus Ochrony Pogranicza, Wilno 1939.
Fotografia z zasobów rodzinnych

Prolog

Warszawa, 27 września 1939 r.

Noc była tak ciepła, że zamykanie okien było błędem. Leżała obok niego, delikatnie zakrywając nagie piersi prześcieradłem. Patrzyła zawstydzonym wzrokiem, jakby dopiero co przeżywana rozkosz była czymś zabronionym. Jakby orgazm, który przed chwilą niemal rozsadził ją od środka, był nielegalny. Widział, jak się czerwieni.

Jakie to podniecające, pomyślał. W przyjemnej damskiej sypialni unosił się zapach świeżego potu i miłości. Major Feliks Zygartowicz podniósł się na łokciu i dłonią zaczął gładzić delikatną skórę smukłego uda, wystającego spod prześcieradła. Dwie świece, których płomienie tańczyły swoje hipnotyzujące tańce, rzucały blask na opaloną skórę pięknej kobiety. Jeszcze godzinę temu opierała się przed ich zapaleniem, wstydziła się pokazać w całej okazałości, co było dla niego niezrozumiałe. Zасыpując ją drobnymi pocałunkami, szepnął, że po domu powinna przez cały dzień chodzić nago.

Zachichotała jak nastolatka, rzucając, że sąsiad jest urzędnikiem i często przychodzi pożyczyć żelazko elektryczne, aby uprasować koszule do pracy. Zgięła nogę w kolanie i zamruczała z przyjemności. Męskie palce pomasaowały łuk biodrowy. Pochylił się i przyłożył usta do szczupłego kolana. Później pocałował niżej i jeszcze niżej.

Gdy nabierał haust powietrza, nagle do jego nozdrzy wdarł się niecodzienny zapach. Oderwał głowę od uda kochanki i zerknął w kierunku stolika, na którym tliły się grube świece. Nie był to zapach wosku. Jego źrenice w ułamku sekundy rozszerzyły się niczym oczy kota, który zwietrzył śmiertelne zagrożenie. Nie mógł pomylić tego smrodu z niczym innym, to był spalony tlenek żelaza i aluminium. Wszystkie mięśnie nagle spięły się mimowolnie. Termit¹, pomyślał.

Nagle stolik, łóżko i drobna toaletka zaczęły drżeć i poruszać się niczym nakręcone dziecinne zabawki. Meble zachowywały się tak, jakby tchnięto w nie życie. Czuł, że sufit zaraz zawali mu się na głowę. Nieznośny hałas dochodzący już zewsząd niemal rozsadzał uszy. Ocknął się gwałtownie, powracając do rzeczywistości. Marzenie senne uleciało. Nie było już pięknej kobiety. Byli Niemcy.

– *Halt!* – usłyszał męski głos, po którym nieznośny hałas ucichł na dobre. – Daj tu serię, ktoś mógł przeżyć – powiedział ktoś dyszkantem.

Feliks, zdziwiony, że twarde niemieckie wyrazy od razu przełożyły mu się w głowie

na ojczysty język, otworzył oczy. Tuż przed nim leżała starsza kobieta, która patrzyła w nicość. Jej twarz, pomyślał, wygląda zupełnie tak, jakby nie pogodziła się ze śmiercią. Gdy przeniósł wzrok dalej w bok, zamarł. W rumowisku leżały zwłoki co najmniej pięciu ludzi. Na niektórych ciągle dogasał ogień. Feliks, wiedząc, że jest w śmiertelnym zagrożeniu, w pierwszym momencie chciał się poruszyć, ale dźwięk repetowanego karabinu maszynowego zmroził mu krew w żyłach. Będąc pewnym, że to koniec, że kamienica przy ulicy Raławickiej, a raczej to, co z niej zostało, za chwilę stanie się jego grobem, poczuł spokój. Niemal taki, jakby to miejsce, w którym się znajdował, było wiejskim landszaftem ze szczęśliwą rodziną pracującą w ogrodzie, a nie krajobrazem po niszczycielskim działaniu bomby zapalającej.

Nagle rozległ się dźwięk, którego nie mógł pomylić z niczym innym. MG-34 wyrzucił z siebie serię pocisków. Głucho utkwily w leżących ciałach. Widział, jak jeden z nich przeszedł przez materiał jego drelichowej kurtki tuż obok przegubu z zegarkiem. Kolejny, niecałe pół metra dalej, odłupał kawałek czaszki jakiegoś niezidentyfikowanego plutonowego, którego sprawy ziemskie już dawno przestały dotyczyć. Po chwili seria ucichła. Usłyszał, jak kilka łusek potoczyło się po metalowym poszyciu stojącego niedaleko pojazdu. Major zamknął oczy i zaczął się modlić.

– *Herr* Leutnant, mogę zerknąć? – Twarde niemieckie wyrazy dosłyszane z pewnej odległości zabrzmiały w jego głowie po polsku.

– Tylko raz-dwa, my ruszamy dalej! – odpowiedział piskliwy głos człowieka, który powinien śpiewać w chórze, zamiast prowadzić czołgi.

– Tak jest!

Feliks usłyszał dźwięk wojskowych butów uderzających o drobny gruz. Ktoś zeskoczył z pojazdu.

– Gazu, Christian, jedziemy dalej.

Kierowca niemal od razu wrzucił bieg. Maszyna ruszyła, a charakterystyczny dźwięk gąsienic rozszedł się po zawalisku. Feliks po chwili poczuł, jak ktoś szarpie go za dłoń i ściąga mu z przegubu certinę, prezent od ojca. Zaklął siarczyście w duchu i wspomniął dzień, w którym dostał zegarek. Dobrze pamiętał minę ojca, który patrzył na niego z szacunkiem.

– Jestem z pana dumny, poruczniku – powiedział i się uśmiechnął.

Gdy Feliks otworzył oczy, szabrownika nie było, zauważył tylko niewyraźny kontur półgąsienicowego transportera opancerzonego, który po chwili skręcił daleko na skrzyżowaniu i zniknął. Gdyby żądny zysku Niemiec nie był niecierpliwy i obrócił go na plecy, żeby go przeszukać, od razu spostrzegłby, że człowiek ubrany jak kloszard pod zużytą kurtką ma następną, oficerską.

Major leżał jeszcze chwilę w bezruchu, dziękując Bogu, że pozwolił mu przeżyć i że

wpadł na pomysł, aby wymienić oficerki na rozpadające się buciory, co było bardzo proste w dogorywającej stolicy. Pomyślał przez chwilę o swoich żołnierzach. Zastanawiał się, czy udało im się wydostać z opresji i czy zmierzają do punktów zbiórek gdzieś na dalekim południu. Wiedział, że ostatnie bastiony polskości właśnie przegrywają bitwę o wszystko. Wiedział, że stolica jest stracona, ale to nie koniec walki.

Koniec będzie wtedy, gdy serce przestanie bić, pomyślał, po czym delikatnie uniósł głowę i się rozejrzył. Niemal do biodra jedną nogę pokrywał mu gruz. Nie wahając się ani chwili, zaczął ją odsłaniać, sukcesywnie odkładając cegła po cegle. Gdy zrobił dość miejsca, aby nią swobodnie poruszyć, obrócił się na plecy i zbadał, czy nie ma żadnych złamań. Po sprawdzeniu newralgicznych miejsc był pewien, że wszystko jest w porządku. Zgiął się wpół i rozmasował zdrętwiałe mięśnie.

Gdy się podniósł, wsunął rękę do kieszeni. Zdawszy sobie sprawę, że jest pusta, z paniką w oczach sprawdził w drugiej. Nic. Przyklęknął w miejscu niedoszłego grobu i nerwowo zaczął rozgrzebywać szary popiół. Po chwili wyczuł coś pod palcami. Podniósł małego metalowego orzełka, którego niedawno odpiął ze swojej rogatywki. Oczyszczył go z kurzu i wsunął z powrotem do kieszeni. Zatrzymał się na ułamek sekundy i odszukał wiszący na rzemieniu nieśmiertelnika pierścionek z czerwonym rubinowym oczkiem.

Westchnął głęboko, po czym rozejrzył się, czy gdzieś w zasięgu wzroku nie czai się jakieś zagrożenie. Do rogatek Warszawy zostały zaledwie dwa kilometry. Miał zamiar pójść Wisłą na południe i jak tylko trafi się dogodna okazja, przeprowić się na wschodni brzeg. Później ruszy dalej na południe, prosto do Rumunii.

Część pierwsza

Argusowe oko

Istnieje pięć rodzajów szpiegów: szpieg miejscowy, szpieg wewnętrzny, szpieg podwójny, szpieg martwy i szpieg żywy. Szpieg miejscowy jest zatrudniany spośród mieszkańców danego miejsca. Szpieg wewnętrzny wywodzi się z nieprzyjacielskich oficerów. Szpieg podwójny to przekupiony szpieg wroga. Szpieg martwy podaje przeciwnikowi nieprawdziwe informacje. Szpieg żywy wraca do swego pracodawcy, by przekazać mu informacje.

Sun Zi, *Sztuka wojenna*

Rozdział 1

Warszawa, październik 1938 r.

Major Feliks Zygartowicz zerknął przez fotel pasażera. Maskę samochodu wyglądała jak idealnie zaprojektowana forma, a załamania na czarnym lakierze były niczym linie pomocnicze, nakreślone na płótnie w celu ustalenia linearnej perspektywy. Oficer wiedział, że gdzieś dalej, w punkcie zbieżnym wszystkich tych prostych kresek, jest cel jego podróży. Skupił wzrok na końcu maski, auto skręciło, a świat zaczął się dynamicznie zmieniać. Młody szeregowiec prowadził pewnie, ale się nie spieszył. Czarna cws-ka wjechała na ostatnią długą prostą. Na końcu szpaleru drzew Ogrodu Saskiego zamajaczył pałac, Sztab Generalny Wojska Polskiego. Major obrócił głowę i zerknął na swojego przyjaciela, który siedząc obok, patrzył w boczną szybę i ceremonialnie palił perfumowanego papierosa.

Olbrzymi chorąży o kwadratowej szczęce, dzięki której spokojnie mógłby uchodzić za brata bliźniaka Popeye'a, wpatrywał się w przemykający jesienny krajobraz. Feliksowi w odbiciu widocznym w szybie ukazała się marsowa mina przyjaciela. Znał go od zawsze i wiedział, że chorąży Wojciech Tuchowiak nienawidził sztabowców i wszystkiego, co związane z wojskową biurokracją. „Impertynency puryści” – ten termin padał zawsze wtedy, gdy Wielkopolanin wypowiadał się o Sztabie Generalnym.

– Nachmurzony jesteś jak dzisiejsza pogoda – zaczął major. – To najwyżej dwa dni, a przy sprzyjających okolicznościach jutro rano będziemy w pociągu – dodał.

Tuchowiak nawet nie raczył się obrócić, tylko odszukał gdzieś w szybie odbicie twarzy przyjaciela i wypuścił chmurę dymu. Gdy głos oficera ucichł, młody kierowca zerknął w lusterko wsteczne. Jak tylko odebrał ich z dworca, poczuł chęć nawiązania choćby drobnej nici porozumienia z doświadczonymi żołnierzami. Wystarczyło spojrzeć na ich mundury. Liczba baretek widocznych na ich piersiach od razu rzucała się w oczy. Te Orderu Virtuti Militari rozpoznał bez problemu, ale najbardziej zaciekały go odznaki naszyte powyżej nich. Wykonane na tej samej wstędze co order, tylko z wyszytymi srebrnymi pięcioramiennymi gwiazdami, których chorąży miał trzy, a major dwie. Nie wiedział, że żołnierze, którzy przelali krew w wojnie polsko-bolszewickiej, mieli prawo do noszenia tych odznak, a liczba gwiazd oznaczała liczbę ran odniesionych w walce.

– Za pozwoleniem, panie majorze. Już od dwóch dni się tak zbiera, a bodajże zaraz zacznie sypieć.

Feliks skupił wzrok na młodym Ślązaku. Ciekawe, czy śląskie „sypieć” pochodzi od „sypać” – zastanowił się.

– Patrz na drogę, szkoda by było rozbić tę cws-kę – rzucił oschle.

– I jedź, psiakrew! Bo ciągnąc się w takim tempie, obrażasz ten samochód, to raz, a dwa, jak dotrzemy na miejsce, to zapewne zastaniemy tam Niemców zamiast naszych! – rzucił Tuchowiak prosto w boczną szybę.

Na dźwięk prawie poligonowego rozkazu młody kierowca wyprostował plecy i uniósł się w fotelu, zupełnie jakby ktoś w magiczny sposób wetknął mu kij od szczotki w tyłek.

– Tak jest! Będziemy na miejscu za niecałą minutę! – Skarcony młodzik wystrzelił jak automat.

W jednej chwili trzylitrowy silnik czarnej limuzyny przebudził się i warknął niczym pies przeganiany ze swojego legowiska. Krajobraz w bocznej szybie się rozmazał. Feliks jeszcze raz obrzucił spojrzeniem Tuchowiaka i delikatnie uniósł kąciki ust. Głos Wojtka zawsze budził respekt. Chorąży spojrział na przyjaciela i jakby od niechcienia pokazał poźółkłe od tytoniu zęby. Półtoratonowe auto z impetem wjechało na plac Piłsudskiego i z piskiem opon zatrzymało się przed Pałacem Saskim.

– Błagam cię, Feliks, nie każ mi tam iść. Ci impertynency...

– Tak, wiem – przerwał mu major. – Drogi przyjacielu, drwala nie prowadzi się na pertraktacje z baletnicami – dodał.

Wtedy w olbrzyma jakby wstąpiło życie. Źrenice niewielkich, głęboko osadzonych oczu rozszerzyły się, a długa blizna na policzku, wyraźna niczym bruzda wyżłobiona przez strugę wody, która utworzyła nowy kanał po ulewnym deszczu, była teraz przedłużeniem uśmiechu Tuchowiaka.

– W takim razie co mam robić? – zapytał zaciekawiony.

– Od ręki załatwisz sprawę naszego salonowego barona.

– Nie chcesz być przy przesłuchaniu? – zdziwił się Wojtek.

– Dasz sobie radę. Wiesz przecież, ile roboty czeka mnie w sztabie. Ordyński ponoć jest tak wściekły, że nic, tylko na powitanie zerwie mi naramienniki.

– Ta jego skłonność do wyolbrzymiania spraw zawsze doprowadzała mnie do szewskiej pasji.

– Dlatego idę sam. Dzisiejszy dzień, drogi przyjacielu, musi być oparty na mistrzowskim wyczuciu czasu. Szczerze liczę na to, że natrafisz na coś u Höppnera. To może być dla nas dobra okoliczność łagodząca.

– Szczerze w to wątpię, że „łagodząca”. – Wojtek puścił kształtne kółko dymu. – Już

to widzę, jak Ordyński ogląda fotografie. Najpierw dostaje zadyszki, a później ze sraczką leci do analiz – powiedział kpiąco Wojtek.

– I bardzo dobrze. Tak miało być. Tu nie rozchodzi się o jakieś bzdury, tylko o Rzeczpospolitą. Zresztą najpierw idę do Kaźmierczaka i przekonam go, aby trochę poskromił Ordyńskiego.

– O, to, kolego, proponuję zatyczki do uszów. – Tuchowiak uśmiechnął się szelmowsko. Feliksowi tylko drgnęły kąciki ust.

– Dostaje mi się nie pierwszy i nie ostatni raz – rzucił. – Tu masz adres. Znajdź tego wszarza i wyciśnij z niego, co tylko możesz. Jestem pewien, że ta kanalia trzyma w rękach jakiś cenny materiał. Jak tylko coś znajdziesz, od razu telefonuj do sztabu. – Major odpiął dwa paski skórzanej teczki, po czym wyciągnął zdjęcie Höppnera i kartkę z adresem. Wojciech przyjrzał się fotografii.

– Jeśli rzeczywiście jest taki spasiony, to przynajmniej nie będzie szybko uciekał. – Uśmiechnął się. – Co mam z nim zrobić po przesłuchaniu?

– Poczekasz na kogoś z wydziału. Niech przetrzepią mu mieszkanie, a później aresztują tę parszywą gnidę. Dalej to już sprawa prokuratury. Znając realia, to oskarżą go z artykułu dziewięćdziesiątego dziewiątego.

– To czapa?

– Niestety nie. Choć znam jednego finezyjnego prokuratora, który chętnie podciągnąłby to pod służbę obywatela polskiego w nieprzyjacielskiej armii. To zupełnie inny artykuł kodeksu i za taki czyn jest pluton egzekucyjny. No, ale w dzisiejszych okolicznościach politycznych nic z tego.

– Dlaczego? – zdziwił się Wojtek.

– Sprawa jest delikatna. Przedstawiciele mniejszości niemieckiej od razu się na to rzucą i nagłośnią, jak tylko mogą. Höppner to nie pierwszy lepszy fircyk. Nasi posłowie boją się takich rzeczy jak ognia. Prokurator generalny wie, że nie może sobie pozwolić na zasądzenie kary śmierci w takiej sprawie, bo mielibyśmy precedens. Hitler zaraz by grzmiał z mównicy, wskazując palcem, jak to w Rzeczpospolitej są łamane prawa mniejszości narodowych. Adolf zrobi wszystko, ażeby obniżyć naszą wiarygodność sojuszniczą u Anglików i Francuzów. Dlatego sprawa rozejdzie się po kościach.

– Zaraza. Nic z tego nie rozumiem, ale wiem, jak to rozwiązać bez tych wszystkich ceregieli.

– Nic doraźnie – skwitował Feliks i spojrzał przyjacielowi w oczy, dając do zrozumienia, że nie chce słyszeć o żadnych aferach. – Robimy swoje i tyle. Później to już nie nasza sprawa – dodał.

– Cóż, w takim razie porozmawiam sobie z panem Höppnerem bardzo kulturalnie – uśmiechnął się chytrze i strzepnął popiół przez okno.

Młody kierowca patrzył przed siebie i z niedowierzaniem słuchał pogawędki żołnierzy. Miał wrażenie, że na tylnej kanapie limuzyny para aktorów odgrywa scenę z hollywoodzkiego kina akcji. Nie mógł wiedzieć, że za chwilę Andrzej Horyński, syn biednego górnika i sprzątaczkę z Rybnika, stanie się częścią tegoż scenariusza.

– Szeregowy, którą mamy godzinę? – zapytał major.

Andrzej od razu spojrział na zegarek.

– Piętnaście po czwartej, panie majorze.

Zygartowicz obrócił się do Wojtka. W jego oczach pojawiła się gotowość do wykonania zadania.

– Panowie, w sztabie psują krew szybciej niż posocznica, ale pewnikiem spędzę tam ze trzy godziny. Musisz się wyrobić do tego czasu – powiedział Feliks.

Wojtek skinął głową.

– Jak wszystko dobrze pójdzie, to wieczorem odprężymy się w jakimś luksusowym miejscu. Co powiesz na Europejski? Ja stawiam.

Uśmiech, który zagościł na twarzy chorążego, w połączeniu z wielką blizną wyglądał teraz tak, jakby obejmował całą jego głowę. Wojtek zerknął na młodego kierowcę, który ciągle nieudolnie maskował ciekawość.

– Tej, gumowe ucho, zajmij czerep czymś innym! – warknął.

Strzelec, przyłapany na podsłuchiowaniu, poczerwieniał ze wstydu i usilnie starając się pokazać brak zainteresowania, od razu skupił wzrok na kierownicy. Cały czas nie mógł zrozumieć, dlaczego major nie reaguje na sposób, w jaki odzywa się do niego chorąży. Pierwszy raz w życiu słyszał, aby podoficer miał czelność tak zachowywać w obecności starszego oficera, nie porucznika ani kapitana, tylko majora. Nie mógł wiedzieć, że dzisiejsi pasażerowie znają się od przeszło dwudziestu lat. Po raz kolejny jego wzrok ukradkiem powędrował na lustro wsteczne. Zobaczył, że tajemniczy major założył rogatywkę i chwycił za klamkę. Wielki chorąży nie przestawał się uśmiechać.

– Takiego prostaka jak ja nie wpuszczają na salony, ale z tobą to inna rzecz. Z wielką chęcią będę gościem tego znanego miejsca – rzucił Tuchowiak.

– Wypijemy butelkę gorzałki i wygodnie się wyśpimy. Tymczasem do pracy. – Major chwycił za drzwi i zanim je za sobą zatrzasnął, jeszcze raz obrzucił wzrokiem Tuchowiaka.

– Ku chwale ojczyzny! – Chorąży energicznie przyłożył dwa palce do daszka czapki. Feliks, na znak dezaprobaty wobec takiego zachowania, pokręcił głową. Gdy tylko zamknął drzwi, cws-ka ruszyła spod sztabu.

Rozdział 2

W Wielkopolsce druga połowa października nie tylko w gospodarstwach kończyła się sprawdzaniem inwentarza i przeglądem sprzętu. Sebastian Rychter, młody, błyskotliwy, świeżo upieczony podporucznik ze starszeństwem i dziewięćdziesiątą trzecią lokatą² w korpusie oficerów, został chwilowo oddelegowany do 71 Dywizjonu Pancernego w Lesznie, wchodzącego w skład Wielkopolskiej Brygady Kawalerii. Siedząc w koszarach, przeglądał stan magazynowy, sporządzał notatki z inwentaryzacji, wprowadzał korekty i z łatwością prognozował zapotrzebowanie na amunicję, części zamienne i wszystko, co jest potrzebne, ażeby utrzymać dywizjon pancerny i szwadrony kawalerii w gotowości bojowej.

Zamierzał przydzielić mechaników do napraw i konserwacji sprzętu. Dodatkowo chciał zaktualizować przeglądy techniczne, odwiedzić magazyny i jeszcze raz przeliczyć stan inwentarza, a na koniec sporządzić obszerny raport, wraz z zamówieniami i wszelkimi uwagami dla swojego dowódcy, którego uważał za kompletnego idiotę.

Kapitan Gałan używał władzy i stopnia oficerskiego, aby leczyć swoje ego, które ostatnio było mocno nadszarpnięte. Nie mógł pogodzić się z tym, że Rychter osiągnął tak dobre wyniki w szkole oficerskiej i pewnie niedługo będzie kapitanem. On tymczasem od kilku lat tkwił w miejscu.

Najczęstszym sposobem na nasycenie próżności było pomiatanie strzelcami i obniżanie poczucia własnej wartości podoficerów. Wszyscy jednomyślnie żalowali ordynansa Jaśka Kawalca, który niczym przestraszony przybłęda wykonywał jego zachcianki, będąc besztanym na każdym kroku. Cała Druga Kompania, pozostająca pod rozkazami Gałana, nienawidziła tego nadętego oficerka tak, że najchętniej przy najbliższej okazji spowodowałyby „wypadek”, strzelając mu w nogę i tym samym odsyłając gdzieś daleko za sztabowe biurko.

Siedząc nad prostymi rachunkami, Sebastian zastanawiał się nad swoim życiem. Nie tak wyobrażał sobie błyskotliwą karierę inżyniera z dyplomem poznańskiej Państwowej Wyższej Szkoły Budowy Maszyn i Elektrotechniki. Inżyniera, który już jako nastolatek zapowiadał się na wspaniałego wynalazcę i twórcę urządzeń, które zadziwią nowoczesny świat techniki. Tymczasem w wojsku odczuwał wewnętrzny lęk przed ujawnieniem swoich pomysłów, które, niezrozumiane przez zwierzchników, byłyby powodem do drwin. Czuł się jak maszyna, która jedynie wykonuje swoje zadania. Zastanawiał się,

dlaczego tak potoczyło się jego życie i czy wszystko już stracone. Wiedział, że koledzy w cywilu zazdrościli mu stopnia oficerskiego z takim wynikiem, ale nie wiedzieli, jak naprawdę się czuł. Ostatnimi czasy to on zazdrościł im wolności, kobiet i wszystkiego, na co teraz nie miał czasu. Ojciec uważał, że to wręcz konieczność, żeby jego syn zrobił karierę w wojsku, tak jak dziadek i wuj. Lecz słowo „kariera” teraz nie miało nic wspólnego z tym, co sobie wcześniej wyobrażał.

Ojciec autorytatywnie stwierdził, że przyda mu się szlif oficerski, a i może dzięki temu nabierze odwagi do ludzi. Nieśmiały i zamknięty w sobie, tak o nim myślano. Tylko brat jego matki, którą ledwie pamiętał, widział w nim młodzieńca z otwartym umysłem. Odkąd sięgał pamięcią, wuj Ziemowit w swoim warsztacie zawsze budził jego ciekawość. Z pasją uczył go bezstronnie obserwować i analizować, składać i rozkładać przeróżne sprzęty, a przede wszystkim zaraził zamiłowaniem do broni. Pasję tę budował na szacunku i odpowiedzialności.

Strzelectwo pokazał mu jako sport, który uczy samodyscypliny, wytrwałości i przewycięzania największego z przeciwników, samego siebie. Tak naprawdę to on, odznaczony i zasłużony weteran Wielkiej Wojny, ranny podczas kolejnej, polsko-bolszewickiej, rusznikarz i zapalony myśliwy, zaszczerpił w nim pociąg do techniki wojskowej, opowiadając o tym, że armie zarówno w Europie, jak i na całym świecie mają dostęp do jednych z najlepszych urządzeń i nowinek technicznych, dzięki czemu wyprzedzają resztę społeczeństwa o co najmniej kilkanaście, jeśli nie więcej, lat. Dlatego Sebastian tak łatwo dał się przekonać do wstąpienia w szeregi armii zawodowej, myśląc, że zetknie się z wynalazkami, o których kiedyś mógł tylko marzyć.

Siedział, patrząc w jeden punkt, i wspominał równie skrytego, pewnego siebie wujka i przyjaciela. W jego głowie pojawił się kadr z Puszczykowa, obraz malowniczego domu w samym środku lasu. Pewnie wuj siedzi teraz w fotelu i czyści jedną ze swoich ulubionych strzelb na kaczki, pomyślał, po czym wrócił do rzeczywistości. Kolejne kolumny w jednej z ksiąg wypełniały się atramentem. Paliwo pobrane, stany liczników ciągników artyleryjskich i czołgów rozpoznawczych zgadzają się. Nudna praca przygnębiała go równie mocno, co widok stosów akt w szafach. Rychter podniósł głowę z dużym orlim nosem i popatrzył wyczekująco na drzwi. Wydawało mu się, że słyszał kroki. Po chwili, bez pukania, wszedł kapitan Gałań.

– Poruczniku Rychter, widział pan, że dwie nowe tankietki po manewrach zaholowano na warsztat? Ci kierowcy z trzeciego plutonu to jakaś banda idiotów. Prowadzić czołgów nie potrafią, przejeżdżając przez brody, pozalewali silniki – powiedział oburzony kapitan.

Sebastian wstał i zasalutował regulaminowo.

– Panie kapitanie, to chyba wina maszyn. Co to za czołgi, które już nie pierwszy raz stają w wodzie? – odpowiedział.

– Co pan wie, poruczniku, co? To, czyja to wina, a czyja nie, kompletnie nie powinno

pana obchodzić. Pańskie zadanie to siedzieć tu i pilnować cyferek, tak żeby wszystko się zgadzało. Raport ma być czysty jak łąza, żebyśmy się nie musiał w sztabie tłumaczyć.

Rychter podniósł głowę.

– Tak jest! – wypowiedział te słowa tak, jakby miał zaraz zwymiotować. Patrzył na ten niby modny wąsik, który pasował idealnie do niejednego awanturnika. Przez takich zapatrzonych w siebie, krótkowzrocznych osłów jak ty na froncie niepotrzebnie giną ludzie. Tyle wiem, panie kapitanie. Boże, jak dobrze, że niedługo się od niego uwolnię i pojedę do jednostki. Pomyślał o powrocie do Poznania.

– Niech pan się na mnie nie gapi jak ciele, Rychter. Raport ma być skończony do końca tygodnia. Aha, słyszałem o pańskim talencie do mechaniki, więc zakładam, że wszystkie tankietki będą wkrótce na chodzie. Ponoć dobrze się pan dogaduje z tutejszymi mechanikami, zatem dopilnuje pan wszystkiego. Podporucznik, rachmistrz, fachowiec od mechaniki. Zaiste, jest pan wspaniale zapowiadającym się oficerem – syknął z odrazą, podkreślając niepełny stopień Rychtera, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł.

Sebastian znowu się zamyślił, nie zwracając sobie głowy kapitanem. Raport był już dawno skończony, pozostała kwestia ostatnich wpisów. Jakie to żałosne, że człowiek chce się wykazać, a oddelegowują go do roboty, która jest tak banalnie prosta i nudna, że nadmiar wolnego czasu aż męczy. Zastanowił się nad kwatermistrzostwem całej polskiej armii.

– Ciekawe wyzwanie – powiedział pod nosem.

Rozejrzał się po nudnym pokoju za swoją kurtką polową i pomyślał o konstrukcji lekkiego czołgu rozpoznawczego TK oraz odprężającym wieczorze w warsztacie. Bez wahania wstał, wziął kurtkę z wieszaka i skierował się do drzwi. Przeszedł przez korytarz między świetlicą a dyżurką oficerów, wyszedł na dziedziniec koszar i poszedł w stronę warsztatów dywizjonu. Dało się już wyczuć przenikający chłód niesiony przez jesienny wiatr.

Idąc przez plac koszar, kierując się ku wschodniej bramie, gdzie stały hangary warsztatów, cały czas zastanawiał się nad lekkim czołgiem rozpoznawczym. Ten mały pojazd dobrze radził sobie z manewrami, ale miał nieszczęsny kadłub, więc wolny przejazd przez bród kończył się niekontrolowanym postojem. Pytania kłębiły się w głowie młodego inżyniera. Po jaką cholere buduje się taki mały czołg rozpoznawczy, którego opancerzenie jest nie grubsze od puszki od konserwy? Pojazd, z którego ledwo co widać? No i po cóż budować czołg bez wieży obrotowej?

Cały pomysł wydał mu się niedorzeczny. Lepiej chyba by posłać mały oddział w pole z dobrym sprzętem optycznym albo i jeźdźca na koniu – zwierzę przynajmniej nie stanie w wodzie, a biegnie szybciej niż dwadzieścia kilometrów na godzinę. Widząc oszczędności takiego rozwiązania i efektywność rozpoznania, uśmiechnął się pod nosem.

Czołgi buduje się do natarcia i przełamania linii obrony, skwitował w myśli. Przez intensywne rozważania spacer przez plac minął nie wiadomo kiedy. Warsztaty wyrosły przed nim jakby spod ziemi. Wszedł przez małe drzwi zamontowane w rozsuwanych wrotach hangaru numer dwa.

Wymieniając się narzędziami, mechanicy krzątali się dookoła topornie wyglądających niedużych pojazdów, niczym lekarze przy stole operacyjnym. Dwa małe czołgi z nienaturalnie sterczącymi lufami, usadowionymi nie w osi pojazdu, stały w centrum hangaru. Mechanicy zerknęli w kierunku przybysza, uśmiechając się równocześnie. Major Gawryło, barczysty dowódca zmiany, z szerokim uśmiechem spojrzął na podporucznika Sebastiana Rychtera.

– No, szanowni koledzy, nasze kłopoty właśnie się skończyły. Do rana nasze panie będą jak nowe.

– Dobry wieczór panom – przywitał się młody oficer z entuzjazmem w głosie.

– Dobry wieczór, panie poruczniku, jak zwykle witamy w naszych skromnych progach. Kawa i kombinezon w biurze.

Sebastian nie zastanawiając się długo, od razu skierował się w prawo do przeszklonego pomieszczenia. Wszedł do środka i rozejrzał się badawczo. Zauważywszy szafki i wieszak z kombinezonami, wybrał jeden, który wydał mu się znajomy, po czym włożył go na mundur polowy. Podszedł do stołu, na którym czekał duży imbryk z kawą. Wziął jeden ze stalowych kubków, nalał czarny płyn i podniósł naczynie, żeby upić łyk. Gdy delektował się jego smakiem, patrząc przez zakurzone szyby, w kącie warsztatu zauważył coś, co na moment przykuło całą jego uwagę.

Porucznik od razu odstawił kubek i wyszedł z biura. W rogu warsztatu, dostojnie, niczym uśpiony drapieżnik, stał siedmiotonowy lekki czołg 7TP. Na pierwszy rzut oka wydawał się zgrabną i delikatną zabawką. Nic podobnego. Polscy inżynierowie już bardzo dawno temu dobrali się do jego pierwowzoru, vickersa E, i dostosowali jego konstrukcję do nowoczesnego pola walki. Dziś we wzmocnionym kadłubie z zakładów Ursus drzemał wysokoprężny motor, a z pojedynczej wieży sterczała trzydziestosiedmiomilimetrowa armata Bofors. Cały warsztat zauważył skupionego i zdumionego porucznika. Ten szedł, prowadzony jak po sznurku, niczym młody chłopak, któremu właśnie pozwolono rozpakować gwiazdkowe prezenty.

– Panowie, na miłość boską, skąd macie to cudo? – wskazał palcem w róg warsztatu.

– Przysłali nam na testy, chodzą słuchy, że niedługo mają dostać więcej, a na jesień przyszłego roku może dostaniemy i cały pluton – odparł dowódca zmiany.

– Co z nim?

– Chyba coś ze sprężaniem w jednym z cylindrów. Kazali też sprawdzić elektrykę, bo ta nowoczesna radiostacja przerywa.

– Mogę?

– Ma się rozumieć, panie poruczniku! – Gawryło obrócił się do młodego mechanika. – Pietrek, weź no skrzynkę z narzędziami i pomóż panu porucznikowi.

– Tak jest! – odparł młodzik.

Gdy ten zabrał się za składanie narzędzi, Sebastian był już przy maszynie i przyglądał się jej badawczo.

Rozdział 3

Rozalia Bąkiewicz popijała ostatnią tego dnia kawę. Właśnie gdy odkładała białą porcelanową filiżankę, usłyszała pukanie do drzwi. Podniosła głowę i z zaciekawieniem spojrzała na wejście.

– Proszę! – zawołała.

Jedno ze skrzydeł otworzyło się i stanął w nich trzydziestoośmioletni major. Rozalia spojrzała na mężczyznę i z podziwu rozchyliła lekko usta. Mundur leżał na nim tak, jakby skroił go znany projektant mody. Był opięty, ale nie za ciasny. Skórzany pas podkreślał talię i uwydatniał klatkę piersiową. Stójka kołnierza odginała się pod idealnym kątem do góry, a wyraźnie wyszyty wężyk oficerski emanował blaskiem. Rogatywka leżała jak ulał, a spod daszka czapki patrzyły na nią inteligentne błękitne oczy. Ciepło, ale onieśmielająco, przesywając ją prawie na wylot.

Dokładnie ogoloną twarz przecinały drobne blizny sugerujące, że jest to człowiek, który mimo swojego młodego wieku wiele już przeszedł. Mimo to czuć było od niego pogodę ducha. Na naramiennikach widać było wyhaftowane dwie belki i gwiazdę. Rozalia nabrała powietrza w płuca, wypięła przed siebie piersi i lekko unosząc się na krześle, zaczęła.

– Major Feliks Zygartowicz, jak mniemam? – powiedziała ciepłym głosem pewnej siebie kobiety.

– We własnej osobie, szanowna pani. – Major skłonił się i strzelił obcasami, tak jakby to była oficjalna wizyta u wodza naczelnego.

Odgłos uderzenia rozszedł się po małym pokoiku. Rozalia poczuła delikatne mrowienie gdzieś w brzuchu. Wiedziała, że ten oficer to typ mężczyzny, który swoim nonszalanckim zachowaniem wprowadzi ją w zakłopotanie. Do tego ta pewność siebie, wyjątkowo pociągająca. Zerknęła mu w oczy i od razu poczuła, że gdyby usłyszała jakiś komplement od tego charyzmatycznego oficera, na pewno by się zarumieniła. Zanim uśmiechnęła się i spojrzała na zegar wiszący na ścianie, mimowolnie dotknęła sznura pereł na szyi.

– Jest pan niezwykle punktualny. Generał Kaźmierczak oczekuje pana w swoim gabinecie. – Wskazała na drzwi za swoimi plecami.

– Droga pani, punktualność to cecha wrodzona polskich oficerów, ale dla kobiety

z taką klasą i gustem chętnie bym się spóźniał. Te perły pasują do pani idealnie i są dopełnieniem pani niecodziennej urody – powiedział.

Czerwień natychmiast pokryła policzki i dekolt Rozalii. Feliks zauważył jej reakcję i uśmiechnął się tak, aby nie wprawiać jej w większe zakłopotanie. Było w tej kobiecie coś, co go intrygowało. Piękność o chabrowych oczach i blond lokach wyraźnie przypadła mu do gustu.

– Pani wybaczy, ale obowiązki wzywają. Jeśli dobrze pamiętam, to generał nie zwykł tolerować spóźnień.

Gdy minął duże gdańskie biurko, Rozalia tylko cicho westchnęła.

Feliks, pewnie zapukawszy do drzwi, usłyszał szorstkie:

– Wejść!

Pomieszczenie było pełne dymu fajkowego o przyjemnym zapachu. W powietrzu wyczuwało się też zapach skóry, którą obite były meble kolonialne. Za masywnym biurkiem, na którym stała elegancka niklowana lampka, siedział generał broni Antoni Kaźmierczak. Jego binokle, zatknięte na nosie, mierzyły w dokumenty porozkładane na biurku. Feliks dobrze wiedział, co to jest, i znał każdy szczegół tej lektury. Generał pochylał się jeszcze przez chwilę nad blatem biurka, a światło padające z klosza barwionego na zielono odbijało się od śliskiego papieru zdjęć, rzucając blask na wyraźną łysinę Kaźmierczaka. Zanim podniósł głowę, podrapał się po małej kępcie włosów, które wystawały tuż nad małżowinami usznymi. Feliks wiedział, że cała ta ceremonia to rytuał, na który pozwalają sobie ludzie z epoletami zaczynającymi się srebrnym wężem.

Generał w końcu podniósł wzrok. Feliks strzelił obcasami.

– Major Feliks Zygartowicz, melduję...

– Tak wiem, wiem. Nie odstawiaj mi tu formulek. Nie czas na to. Dobrze, że jesteś. Siadaj – Kaźmierczak wskazał pikowany skórzany fotel.

Feliks podszedł do siedziska i niemal niewidocznie przeciągnął dłonią po miękkim oparciu.

– Napijesz się koniaku? Mam wyśmienitego gautiera – zaproponował dowódca.

– Chętnie, panie generale.

Kaźmierczak odłożył okulary na blat biurka i podszedł do małego barku na kółkach. Feliks spojrzał na spokojne ruchy generała. Do kryształowych baniek zaczął płynąć z karafki bursztynowy alkohol. W tych wyważonych, niemal ceremonialnych gestach, nie dało się wyczuć ani krzty charakteru największego z neurotyków w sztabie. Raptusa, który wściekłość wyrzucał z siebie tak, jak haubica wyrzuca stu pięćdziesięciopięciomilimetrowe pociski.

– Zachować neutralność za wszelką cenę – rzucił generał w kierunku wielkich

pałacowych okien. Zupełnie tak, jakby chciał dostać odpowiedź. – Wojna Europy Zachodniej z Europą Środkową da zwycięstwo Sowietom. Czyś ty postradał zmysły?

Generał podszedł do biurka i postawił dwa kryształowe kieliszki na biurku. Feliks się nie odezwał, tylko wstał, sięgnął po kieliszek z koniakiem i wsunął stopkę pomiędzy palce. Takemu trunkowi należy dać chwilę na ogrzanie, pomyślał i opadł na fotel. Jego miękkość go zaskoczyła. Generał broni usiadł w swoim fotelu i sięgnął po gruszkową fajkę.

– Od kiedy stałeś się germanofilem, Feliksie? – rzucił Kaźmierczak i zabrał się za ubijanie tytoniu.

– Nigdy nim nie byłem, panie generale.

– Doprawdy? – Generał popukał fajkę w plik kartek spiętych w jeden skoroszyt.

– To nic innego, tylko troska o najjaśniejszą Rzeczpospolitą – powiedział spokojnie Feliks i upił łyk koniaku.

Trunek był najwyższej klasy. Miał wrażenie, jakby gardło pokryła cienka warstwa pszczelego wosku o przyjemnym zapachu. Czekał na uczucie rozchodzącego się ciepła, towarzyszące przełykaniu mocnego alkoholu. Generał zatrzymał się na chwilę i przestał ubijać tytoń. Podniósł wzrok.

– Nie igraj ze mną i waż słowa. Zbyt długo się znamy, żebyś zapomniał, że nie toleruję pyszałków – warknął Kaźmierczak.

– Przepraszam, panie generale, ale to prawda. Ministerstwo Spraw Zagranicznych wraz z sejmowymi doradcami wepchnie nas w wojnę o wiele za szybko. Jestem tego niemal pewien.

– Do tego jeszcze dojdziemy. Wiesz, że za jakieś pół godziny będziesz świadkiem, jak usłyszę od twojego zwierzchnika kilka ostrych słów, po czym położy przede mną wypełniony wniosek o rozpatrzenie twojej niesubordynacji. – Wetknął fajkę do ust, a gdy przyłożył do jej główki podpaloną zapałkę, zaczął ssać ustnik tak, jakby chciał spuścić trochę etyliny z baku samochodu. Gabinet zaczął wypełniać zapach markowego tytoniu.

– Domyślam się, ale proszę mi wierzyć, wszystkie moje posunięcia były przemyślane.

– A to ciekawe. – Generał odstawił kieliszek na bok i poprzesuwał na biurku kilka zdjęć. – Posłuchaj mnie, chłopcze. Pamiętam, jak miałeś mleko pod nosem, a twój ojciec opowiadał ci o bitwie pod Grunwaldem na dobranoc. Więc nie pakuj mi tu do głowy jakichś dyrdymałów, tylko mów do rzeczy. A przede wszystkim – skąd masz te zdjęcia? Ja szanuję wielką pracę, którą wykonaliście z tym człowiekiem pierwotnym Tuchowiakiem, ale Gracjan wam nie odpuści tej samowoli. Na razie dostał tylko część techniczną raportu, a już jest wściekły, niczym byk na corridzie. Ponoć ostatni rozkaz dla ciebie dotyczył kontynuacji werbunku jakiegoś urzędnika z Wuppertalu, a ja od wczoraj patrzę na sfotografowaną armię Hitlera. Może ten nowo werbowany to Wilhelm Keitel? Co wy, do

jasnej cholery, wyprawiacie? Jak wy to zdobyliście i dlaczego się nie kontaktowałeś?

– Panie generale, chciałem utrzymać wszystko w tajemnicy. W dzisiejszych czasach nie można ufać prawie nikomu, a taki materiał musiał trafić od razu na samą górę.

W Kaźmierczaka jakby strzelił piorun.

– Słucham? Czy wy oboje do reszty oszaleliście? Od kiedy nad tym pracujecie?

– Intensywnie od początku trzydziestego siódmego.

– Prawie dwa lata? – Feliks skinął głową. – To nieprawdopodobne, jesteś tu od kilku minut, a ja mam wrażenie, że zupełnie tracę nad tobą kontrolę. – Kaźmierczak podrapał się po pozostałościach włosów, po czym przewertował skoroszyt i wyciągnął kilka stron maszynopisu. – Tych notatek służbowych Gracjan też jeszcze nie widział. – Popukał palcem w dokumenty. – Zauważyłem, że brakuje najciekawszych. Teraz, ze względu na twego ojca, masz pięć minut na tłumaczenie i przekonanie mnie, żeby nikt tego nie zobaczył – rzucił, dając do zrozumienia, że nie ma najmniejszej ochoty na żarty.

– Jestem do pańskiej dyspozycji, generale. Wiele z tych zdjęć pozyskaliśmy w różnoraki sposób. Proszę pytać, wszystko wytłumaczę.

Kaźmierczak podniósł jedną fotografię i pokazał majorowi. Została zrobiona specjalistyczną kamerą. Na ramce tłowej po prawej stronie były informacje o zdjęciu, niezbędne do dalszej jego obróbki: libelka do odczytania kąta odchylenia od pionu kamery, wysokościomierz, zegar i numer urządzenia. Fotografia była zrobiona z dość dużej wysokości. Przedstawiała ona nizinny obszar z dużym lasem, który odznaczał się ciemnym kolorem. Na jego skraju, a także na jasnej nitce przecinającej ciemny obszar, można było dostrzec czarne prostokąty.

– Dałem te zdjęcia do analizy, zaznaczając, że to pilne. Już wczoraj wieczorem dostałem wyniki. Wiesz, co o tym napisali?

Feliks dobrze wiedział, skąd pochodzą te fotografie. Miał ochotę uśmiechnąć się zawadiacko, ale to bez wątplenia równałoby się z wejściem na minę. Nie zareagował, tylko spojrział wyczekująco. Generał odłożył zdjęcie i wziął jedną z kartek leżącą tuż obok.

– Porucznik Kamil Haber pisze: „Zdjęcia o sygnaturach AD do AY zostały wykonane urządzeniem optycznym produkowanym w Polskich Zakładach Optycznych. Typ KR-15 Ogniskowa $f = 350$ mm. Obiektyw tego typu jest standardowym wyposażeniem statku powietrznego PZL.23B Karaś”. – Kaźmierczak podniósł głowę i popatrzył na majora. Feliks chciał coś powiedzieć, ale generał pokazał palcem, aby mu nie przerywał. – To jeszcze nie koniec. – Generał przewrócił małą czarną od druku maszynowego kartkę i odszukał wzrokiem właściwe zdanie: – „Fotografie przedstawiają dywizję pancerną Wehrmachtu, niestety ostrość zdjęć nie pozwoliła na odczytanie numerów maszyn bojowych. Ich przynależność jednostkowa jest niemożliwa do ustalenia. Typy pojazdów

sklasyfikowano w załączniku...” – Kaźmierczak podniósł głowę znad tekstu.

– To niewielka część Trzeciej Dywizji Pancernej Weichsa, panie generale – odpowiedział Feliks.

Gdy Kaźmierczak przymrużył oczy, majorowi przez głowę przeleciała myśl o zatyczkach do uszu, o których wspominał Wojtek. Przyjrzał się zwierzchnikowi. Można było sobie wyobrazić, jak jakiś wyimaginowany działonowy stoi za biurkiem z podniesioną ręką, a zamkowy czeka na sygnał do pociągnięcia za sznurek. Cała obsada działa miała zatkane uszy. Ja też powinienem, pomyślał Feliks. Padła komenda: „pal!”.

– Czy wyście do reszty zgłupieli! Nie, to mało powiedziane, wam chyba do reszty odpierdoliło!!! – Generał wykrzyczał przekleństwo tak głośno, że Feliks zauważył drżenie płynu w swoim kieliszku.

– Panie generale...

– Z szachownicą nad... Może trzeba było ich od razu zbombardować!!! Którzy to?

– Panie generale...

– Którzy, powiedziałem.

– Z trzydziestej czwartej z Mierzewa.

– Już ja ich... – Kaźmierczak poszukał wzrokiem kieliszka. Gdy wychylał się z fotela, aby sięgnąć po karafkę, Feliks nieśmiało dodał:

– Panie generale, to nie był Karaś.

Generał opadł z powrotem na fotel. Mówi się w sztabie, że zobaczenie Kaźmierczaka zaskoczonego, a co więcej, niewiedzącego, co powiedzieć, jest tak samo prawdopodobne, jak zobaczenie zaćmienia Słońca. No, ale zaćmienie Słońca się zdarza, rzadko, ale jednak. Generał otworzył usta ze zdziwienia.

– Słucham? – wymamrotał.

Feliks miał ochotę posłać zwierzchnikowi jakiś subtelny, pozbawiony ironii uśmiech, ale się opanował.

– Panie generale, z tego miejsca mogę pana zapewnić, że jestem ostatnią osobą, która bezmyślnie naraziłaby jakiegokolwiek żołnierza, a tym bardziej Rzeczpospolitą.

– Do rzeczy, majorze! – Dowódca powiedział to tak spokojnie, że Feliksa przeszedł dreszcz.

– Mechanicy z Mierzewa przełożyli ten nowoczesny sprzęt do starego samolotu szkoleniowego PWS. Miałem zdjęcia jednej z maszyn szkoły pilotażu spod Breslau, więc poprawiliśmy kolory kadłuba, mechanicy namalowali numery rejestracyjne, po czym z chorążym Weymanem wykonaliśmy krótki lot. Na niemiecki poligon, gdzie ćwiczył Weichs, leciało się zaledwie chwilę.

– Czy ty do reszty postradałeś rozum? A co, gdyby coś poszło nie tak? Zdajesz sobie sprawę z konsekwencji?

– Mimo ryzyka byłem pewien, że ten lot należało wykonać. Informację o czasie poderwania maszyn myśliwskich mieliśmy bardzo dobrze skalkulowaną. Poligon był blisko naszej granicy. Proszę zauważyć, że nikt nie pisze o tych manewrach w gazetach. Niemcy wszystko trzymali w ścisłej tajemnicy, a dzięki temu wypadowi może pan na własne oczy zobaczyć, jak bardzo zmienili oni taktykę. Proszę sobie teraz wyobrazić, że przed wylotem poprosiłbym generała Ordyńskiego o pozwolenie na taką operację. Dobrze pan wie, że wtedy najprawdopodobniej nigdy nie ujrzelibyśmy takiego materiału.

Generał wymownie otaksował Feliksa wzrokiem i niemal niewidocznie skinął głową. Major wiedział, że Kaźmierczak nie może formalnie zaaprobować jego zachowania. Nie miał też najmniejszego zamiaru szukać akceptacji. Sprawa Rzeczypospolitej była najważniejsza i gdyby miał okazję, zrobiłby to samo po raz kolejny. Kaźmierczak to wiedział.

– Stawiasz mnie w wielce niezręcznej sytuacji. – Dowódca podniósł karafkę, uzupełnił kieliszek, po czym wziął z blatu nóż do korespondencji i za jego pomocą zaczął wydrapywać resztki sadzy z fajki i wysypywać je do popielnicy. Gdy już ją opróżnił, podniósł głowę na Feliksa. – Oprócz tego muszę przyznać, że jestem pełen podziwu dla twojej determinacji. Zawsze byliście z tym troglodytą Tuchowiakiem oryginalnymi oficerami. Nawet nie myśl, że to była pochwała. Wręcz przeciwnie, uważam, że powinniście dostać po dupie i to zdrowo. Zdajesz sobie sprawę, że gdy powiem Gracjanowi prawdę na temat tych zdjęć, twoja kariera legnie w gruzach?

Major skinął głową.

– Do jasnej cholery, Feliks. – Kaźmierczak zatrzymał się na chwilę i spojrzał gdzieś w nicość. Umysł wiekowego sztabowca przywoływał wspomnienia. – Wiesz, kiedy ostatni raz widziałem się z twoim ojcem? Był sierpień tysiąc dziewięćset dwudziestego roku. Ja dostałem rozkaz wymarszu z Trzecią Armią w kierunku Mińska Mazowieckiego, on zaś pomaszerował pod Kock. Gdy się żegnaliśmy, powiedział jedno zdanie: „Pamiętaj, Kaziu, gdybym nie wrócił, miej oko na mego gałgana”. Dlatego wtedy oddałem was pod komendę Łazuta. Wyglądaliście z Tuchowiakiem jak dwaj gówniarze, którzy uważają, że polski mundur daje nieśmiertelność. Do dzisiaj nie wiem, czy to była dobra decyzja, aby dawać was Ziemowitowi – Westchnął głęboko i sięgnął po pudełko z tytoniem. – I co ja mam teraz z tobą zrobić, co?

– Oddaję się do pańskiej dyspozycji – łagodnie odpowiedział na wypowiedź przełożonego Feliks.

– To dość oczywiste. Jedno jest pewne. Gdy Gracjan dowie się, w jaki sposób pozyskaliście ten materiał, to nie widzę możliwości, żeby sprawa rozeszła się po kościach. Dlatego ta część wniosków i notatek służbowych – podniósł plik kartek – nigdy

nie trafi do jego wiadomości. Zdjęcia widzieli i wezmę je na siebie.

– Dziękuję, panie generale, ale jednak...

– Żadnego ale i bez dyskusji. – Generał obrzucił piorunującym wzrokiem Feliksa, po czym z pliku, który przed sekundą trzymał w ręce, wyciągnął kartkę, na której wiele zdań było podkreślonych czerwonym atramentem. Położył ją przed sobą. Spojrzał na zegarek i bez słowa podniósł słuchawkę aparatu telefonicznego.

– Pani Rozalio, proszę zatelefonować do wydziału wywiadowczego i poinformować generała Ordyńskiego, że spotkanie rozpocznie się w sali konferencyjnej dokładnie za pół godziny. – Gdy Rozalia przyjęła polecenie, odłożył słuchawkę i wrócił do rozmowy. – Teraz przez chwilę podyskutujmy o tym. – Popukał palcem w notatki i zerknął na jedno z podkreślonych zdań. – „Gdy tylko zdeklarujemy się za obozem Anglików, Niemcy zaatakują Rzeczpospolitą. Taki rozwój wypadków pozostawi nas osamotnionych w ruchomej wojnie, niemożliwej do wygrania”. – Zatrzymał się na chwilę i odszukał kolejny fragment. – A teraz wisienka na torcie. „W nadchodzącym konflikcie Związek Radziecki będzie naturalnym sojusznikiem Wielkiej Brytanii”. Takie rzeczy dla większości ludzi w tym kraju to jakieś fantasmagorie. Skąd wytrzasnąłeś te wnioski?

Major spokojnie odstawił kryształowy kieliszek na biurko i spojrzał na swojego zwierzchnika.

– Dobrze pan wie, że w komórce przeciw Rzeszy pracuję już sześć lat i panujące tam realia znam jak własna kieszeń. A mimo to dopiero po spotkaniu się z pracą pana Studnickiego i poznaniu tej niezwyklej osoby, większość spraw geopolitycznych odpowiednio ułożyła mi się w głowie. Siedząc teraz tu u pana, jestem pewien jednej rzeczy. Jeżeli nasza dyplomacja oraz minister spraw zagranicznych będą dalej uprawiali tak proangielską politykę, Hitler wkrótce zaatakuje naszą ojczyznę.

– No, teraz wszystko jasne, skąd te twoje upodobania. Dla obecnego rządu pan Studnicki to persona non grata i to do tego stopnia, że niedawno minister Beck zlecił jego cichą inwigilację.

– Pan wybaczy, generale, ale to dla mnie bezsensownie zachowanie. Tego człowieka powinno się słuchać, a nie uważać za utopistę. Zresztą w mojej i jego ocenie wojna jest już przesądzona. Wystarczy spojrzeć do mojego raportu traktującego o koncentracji jednostek Wehrmachtu.

– Posłuchaj, większość polityków w tym państwie, a także społeczeństwo, wierzy, że wielki sojusz z Zachodem ostudzi zamiary Hitlera. Część twojego raportu uznają za dobrze im znane teorie spiskowe, a gdy Ordyński przeczyta o tym, że powinniśmy oddać Gdańsk, przystać na autostradę z Prus Wschodnich i, o zgrozo, zapewnić Hitlera, że za wszelką cenę nie przepuścimy Sowietów przez nasze granice, to parsknie śmiechem. W mojej ocenie takie ugody tylko pokazują naszą słabość.

– Panie generale, projekt takiej autostrady leży już kilka lat w MSZ, zresztą dla mnie to nie okazywanie słabości, tylko zdroworozsądkowe kupowanie czasu. Jestem pewien, że część techniczna mojego raportu zaniepokoiła cały sztab. Dlatego tu jestem. Należy pokazać, przed jakim zagrożeniem stoimy. Przyszła wojna będzie bardzo ruchoma, a mobilne jednostki i lotnictwo odegrają w niej główną rolę. My nie możemy wygrać starcia z siłami Hitlera. Podobnie Francja i Anglia. Na miłość boską, panie generale, Anglicy to wiedzą i wepchną nas pierwszych w wojnę.

– Jak?

– Dając nam gwarancję sojuszniczą. Wtedy Hitler zaatakuje słabszego. Oni o tym wiedzą i grają na zwłokę.

Kaźmierczak przyjrzał się majorowi. Pewność w jego oczach sprawiała, że nie było wątpliwości w kwestii, czy wierzy w swoje słowa, czy nie.

– Feliks, posłuchaj, nawet gdyby...

– Panie Antoni – przerwał mu Feliks, a generał szerzej otworzył oczy. – Jest pan dla mnie jak rodzina, ja nie mówię tego z obowiązku przed zwierzchnikiem. Błagam pana, niech pan na nich wpłynie, inaczej jesteśmy straceni.

– Drogi Feliksie, zawsze traktowałeś mnie bardziej niczym stryja aniżeli dowódcę – uśmiechnął się nieznacznie. – I byłem z tego dumny. Twój ojciec był dla mnie jak rodzony brat, ale to nic nie zmieni. Obawiam się, że nikt w to nie uwierzy. Ja wiem, że Beck jest narwany. Zgadzam się z tobą, że za duże nadzieje pokładamy w sojuszach, na które usilnie nalega się na salonach. To się niestety nie zmieni. Cały plan zawiera się w jednym zdaniu. Stworzyć armię na tyle silną, aby powstrzymać Niemców aż do nadejścia wojsk sojuszniczych. Wiedz, że wódz naczelny święcie wierzy w jego powodzenie.

Feliks pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Przepraszam, panie generale, ale oni są jak dzieci we mgle. To, że Francuzi i Anglicy po rozpoczęciu wojny wściekle ruszą na Niemców, jest tak samo prawdopodobne jak białe święta na Saharze. Dobrze pan pamięta Wielką Wojnę, więc proszę sobie wyobrazić przedzieranie się jeszcze raz przez takie umocnienia. To będzie długa wojna na wyczerpanie. Zapewne czytał pan wzmiankę o tym, jak Niemcy od dwóch lat zabezpieczają granicę francuską, budując linię Zygryda. W razie najmniej prawdopodobnego scenariusza to tam Hitler zatrzyma Gamelina. Nastroje do wojaczki Francuzów są takie, że trzy niemieckie ckm-y zatrzymają pełny batalion piechoty. Nie wierzę, żeby się rzucili na Wehrmacht. Będą siedzieć w swoich bunkrach i czekać. W ich głowach jest jeszcze taktyka sprzed dwudziestu lat. W kwestii Rzeczypospolitej, prowadzenie wojny z Niemcami na bazie sojuszu równa się konieczność utrzymania linii komunikacyjnych. My z Anglikami i Francuzami nie będziemy mieli prawie żadnych. Panowanie Wielkiej Brytanii na morzach okalających Europę Północną i Zachodnią może

szybko się skończyć. Admiralicja jej królewskiej mości o tym wie i rwie szaty w Izbie Gmin, błagając o modernizację i nowe jednostki. Tymczasem Blohm i Voss kończą Bismarcka i Tirpitz. W przyszłym roku je zwodują. Te pancerniki są tak nowoczesne, że pojedynczo będą w stanie zasiać panikę na całym północnym Atlantyku. Pewnym jest, że żaden Anglik bez pozwolenia Raedera nie wpłynie na Bałtyk – wyrzucił z siebie Feliks.

– Powiedzmy, że jestem skłonny przyznać ci rację. Co zatem proponujesz?

– Na uniknięcie konfliktu jest już za późno. Teraz, panie generale, musimy zachować neutralność jak najdłużej, ciągle się przygotowując do starcia z Wehrmachtem. Tymczasem nie zmuszajmy Hitlera do wypowiedzenia paktu o nieagresji. Odwiecznym wrogiem Rzeczypospolitej jest Rosja i nic się w tej kwestii nie zmieniło. Hitler chce się rozprawić z Francuzami, Anglikami i Stalinem. Musimy czekać i jak najdłużej się nie angażować.

Generał milczał przez chwilę, po czym podniósł kieliszek i dopił resztę koniaku. Zegar na ścianie wskazywał kwadrans do piątej. Westchnął głęboko i zerknął na oficera siedzącego przed nim.

– Za dwadzieścia minut jest konferencja z tobą w roli głównej. Bądź na czas w sali numer dwa. Teraz daj mi chwilę, muszę nad tym wszystkim pomyśleć. Rozmowę dokończymy po spotkaniu z Gracjanem.

Major skinął głową i podniósł się z fotela.

– Feliks – rzucił za nim Kaźmierczak. – Pamiętaj, w sali żadnych domysłów i teorii, tylko fakty, i tak już sobie nawarzyłeś piwa.

– Tak jest! – rzucił zrezygnowany i ruszył do drzwi.

Wychodząc z gabinetu, zerknął na Rozalię, która wypełniała jakieś dokumenty. Miała w zwyczaju nigdy nie wychodzić przed szefem do domu, chyba że na wyraźne jego polecenie. Wykonywała swoją pracę bardzo skrupulatnie i z zadowoleniem. Przywykła już do takiego życia i darzyła generała wielkim szacunkiem. Jako jeden z nielicznych miał sekretarkę, co było dla niej wyróżnieniem. Major zerknął na elegancką kobietę.

– Pani Rozalio, teraz z takim zainteresowaniem powinna pani studiować menu jakiejś dobrej restauracji, a nie te nudne papiery.

– Panie majorze, czy to było zaproszenie? – uśmiechnęła się.

– Droga pani, spędzenie wieczoru przy kolacji z taką kobietą byłoby dla mnie zaszczytem.

– Ależ dziękuję, to bardzo miłe z pana strony. Przykro mi, ale muszę odmówić. Mam jeszcze sporo do zrobienia i jeśli mnie moja kobieca intuicja nie myli, generał będzie mnie jeszcze dziś potrzebował. Może innym razem, panie majorze. – Znowu posłała mu promienny uśmiech, zastanawiając się równocześnie, dlaczego właściwie odmawia takiemu mężczyźnie.

Zachowywała się tak, jakby wiedziała, że Zygartowicz to typ zdobywcy, dla którego te słowa były niczym innym jak tylko przekazem pomiędzy wierszami. Otwarcie partii szachów. Nie mogła wiedzieć, że to gambit królewski, a Zygartowicz właśnie poświęcił swojego piona.

– Nie będę nalegał, ale przypadkiem proszę nie odbierać tego jako złożenie broni. W takim razie życzę udanego wieczoru. Do widzenia szanownej pani. – Ukłonił się.

Czuła, że to nie było ostatnie zaproszenie. Tym razem uśmiechnęła się szeroko, pokazując dwa urocze dołki na policzkach. Gdy Feliks przyłożył palce do daszka rogatywki, a ona zaczęła odliczać czas do kolejnego spotkania, na biurku rozległ się dźwięk aparatu telefonicznego. Rozalia podniosła słuchawkę.

Rozdział 4

– Daleko jeszcze? – zapytał Tuchowiak i strzepnął popiół przez okno.

– To tuż tutaj, panie chorąży – odparł lekko wystraszony Andrzej.

Dostojna limuzyna wyłoniła się zza rogu i wjechała w ulicę Madalińskiego. Po obu stronach w równych rzędach stały osiemnastowieczne kamienice. Każdy z budynków był niczym wizytówka ekskluzywnego dżentelmeńskiego klubu. Świeżo odnowione ornamenty okalających je gzymsów, przeróżne boniowania parterów, które wyglądały niczym mozolnie układane kamienne płyty, podzielone równą fugą, sprawiały, że każdy dom był unikalny. Mieszkania w tych architektonicznych cudach musiały kosztować fortunę.

Jedna z kamienic przykuła uwagę chorążego Tuchowiaka. Jej cokół był obłożony równo oszlifowanymi kamieniami.

Tuż nad pierwszym rzędem okien zauważył pojedynczy balkon z kutej stali. Ciekawe, czy był to kaprys właściciela budynku, który tylko swojemu apartamentowi zafundował taki luksus? – pomyślał.

Zaraz po tym, gdy minęli piękny budynek, młody Ślązak zwolnił i niczym rasowy taksówkarz jął się rozglądać za właściwym numerem. Mignął numer dwadzieścia osiem. Z informacji, do których Wojtek i Feliksdotarli, wynikało, że Höppner mieszka pod numerem trzydzieści sześć. Niemiec z pochodzenia, był znany w mieście. Biznesmen, który miał smykałkę do nieruchomości, posiadał wiele budynków użytkowych i sporo ziemi rolnej. Specjalizował się w odkupywaniu ziem niskiej klasy i przekształcaniu ich na działki przemysłowe bądź handlowo-usługowe. Znajomości w stołecznym dziale planowania przestrzennego i kręgach politycznych owocowały intratnymi transakcjami, fortuna sprzyjała volksdeutschowi, a jego majątek rósł z dnia na dzień.

Feliks i Wojtek na trop szpiega wpadli w Rzeszy. Jeden z głównych elementów ich niemieckiej siatki poinformował ich o poznaniu ciekawego biznesmena, który ponoć kilkakrotnie spotykał się z oficerami Abwehry. Okazało się, że ów przedsiębiorca mieszka od lat w Rzeczpospolitej, gdzie jest szanowanym obywatelem. Od razu zbadali przeszłość „potencjalnego pacjenta”, jak zwykł mawiać Tuchowiak. Niestety Höppner był czysty niczym łza syreny. Prześwietlili jego wszystkie koligacje rodzinne i kręgi znajomych, nadaremnie. Do tego miał nieskazitelną przeszłość biznesową. Jedno wielkie

nic.

Inni najpewniej w świecie odpuściliby, myśląc, że werbunek niemieckiego wywiadu się po prostu nie powiódł, ale Höppner za dobrze pasował do zakonspirowanego szpiega. Do tego jego dossier wskazywało na kontakty z Abwehrą. Charakter i sposób bycia kapitalisty zupełnie nie szedł w parze z kartoteką. Feliks wiedział, że nie sposób zatrzeć wszystkich śladów, dlatego uchwycił się rzekomej próby werbunkowej w Berlinie. Równocześnie na miejscu w Warszawie uruchomiono dyskretny nadzór nad mężczyzną.

Moment przełomowy nastąpił pół roku temu, gdy po serii przesłuchań natrafili na berlińczyka, który bez pardonowo mówiąc, został wyrolowany w przetargu na magazyny przy dworcu centralnym w Berlinie. Ponoć Höppner kupił je za bezcen, a kontakt Feliksa wiedział dlaczego.

– Zwolnij – polecił chorąży.

Andrzej zredukował bieg.

– Zatrzymaj się tutaj. – Tuchowiak wskazał wolne miejsce, po czym pstryknął niedopałkiem na ulicę.

Kierowca, manewrując, bez żadnego wysiłku zaparkował limuzynę we wskazanym miejscu i zgasił silnik. Gdy w kabinie ucichło, Andrzej od razu poczuł, że ogarnia go niepokój.

– Za chwilę wrócę – rzucił poważnie Tuchowiak i nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi.

– Tak jest – odpowiedział Andrzej i odprowadził wzrokiem oddalające się plecy chorążego.

Tuchowiak, idąc pewnie, minął dwie eleganckie witryny sklepowe i zerknął na numerację. Kilka metrów dalej, przy kwadratowej tabliczce z numerem trzydzieści cztery i równie szykownej, co pozostałe, witrynie stało dwóch Żydów. Dyskutowali, żywo gestykulując. Wojtek podszedł bliżej i obrzucił wzrokiem złoty napis na szybie. Jubiler Hersz Szwarcman. Litery były proste i równe, przypominały pismo techniczne. Dwóch mężczyzn otaksowało go wzrokiem.

– *Szalom alejchem* – zaczął Tuchowiak.

Zaskoczeni Żydzi uśmiechnęli się niemal równocześnie. Teraz na ich twarzach zamiast ciekawości pojawił się szacunek.

– *Alejchem szalom* – odpowiedzieli.

– Szanowni panowie, muszę pilnie porozmawiać z panem Höppnerem. Wiedzą panowie, gdzie jest numer trzydzieści sześć? Bo następny to trzydzieści osiem.

Dwóch Żydów, z których jeden wyglądał na właściciela salonu jubilerskiego, obróciło głowy ku sobie tak, że ich długie pejsy zatańczyły niczym kolorowe taśmy słupów

majowych. Po chwili jubiler obrócił się z powrotem i przyjrzał Tuchowiakowi, jakby chciał poznać zamiary przybysza. Oglądał mundur, doszukując się jakichś niepasujących elementów, które mogłyby świadczyć o kamuflażu.

Tuchowiak zaczął rozmowę najłagodniej, jak potrafił, starając się wzbudzić ufność. Jego wygląd mu jednak tego nie ułatwiał: głęboka bruzda na policzku nadawała twarzy upiorny wygląd, nos żołnierza wyglądał tak, jakby zderzył się kilka razy z rozpędzonym pociągami, a kilkakrotnie łatany łuk brwiowy nijak nie dawał się zamaskować. Mimo to okazanie szacunku poprzez wypowiedzenie żydowskiego pozdrowienia okazało się dobrym pomysłem – leciwy jubiler wyszczerzył nierówne zęby i skinął głową z aprobatą.

– Oczywiście, szanowny panie, służę pomocą. Pan Höppner zajmuje apartament numer siedem. Trzeba przejść na drugą stronę przez trzydzieści cztery. Tam od podwórka są drzwi do klatki schodowej. Ale nie zastanie go pan w domu.

Tuchowiak już chciał zadać pytanie, kiedy będzie mógł zastać Hoppnera w domu. Szwarzman podniósł dłoń i wskazał na koniec ulicy. Chorąży, wraz z drugim Żydem, natychmiast obrócili się we wskazanym kierunku.

– Pan Höppner właśnie wsiada do swojego samochodu. O tam! – wskazał palcem.

Wojtek wyteżył wzrok. Otyły człowiek na końcu ulicy trzymał otwarte drzwi zgrabnego coupé, przyglądając się żołnierzowi i zapewne znajomym Żydom. Tuchowiak zauważył, jak Höppner obraca się na pięcie i pośpiesznie wskakuje do samochodu. Ten człowiek ucieka, przemknęła mu myśl. Do uciekiniera było co najmniej sto metrów, czyli kilkanaście sekund sprintem. Cws-ka stała zaparkowana nie dalej niż w połowie tego dystansu. Rosły chorąży zerwał się niczym wygłodniały grizzly. Zaskoczeni Żydzi obserwowali całą sytuację, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje.

Gdy Andrzej zauważył, jak tajemniczy chorąży wręcz gna z powrotem do samochodu, od razu zrozumiał zagrożenie. Instynktownie zapalił motor i wyjechał z zatoczki. Tuchowiak wypadł na drogę i wskoczył do samochodu.

– Za tamtym autem, szybko! – krzyknął chorąży.

Szeregowiec, dezorientowany, popatrzył przed siebie. Ulica była pusta. Spojrzał na rozsierzonego podoficera.

– Jedź, psiarew! Skręcił na skrzyżowaniu – rzucił Tuchowiak.

Andrzej odpuścił pedał sprzęgła i wcisnął gaz do deski. Trzylitrowy silnik ryknął wściekle. Koła na mokrej brukowanej nawierzchni najpierw się ślizgały, potem złapały przyczepność i czarna limuzyna z impetem ruszyła w pościg. Zbliżając się do skrzyżowania, Andrzej zerknął na Tuchowiaka wypatrującego zdobyczy.

– Panie chorąży, jak wyglądał tamten samochód?

– Nieduży, beżowy z czarnymi błotnikami.

- Skoda Rapid 901 – powiedział kierowca, zahamował i skręcił na skrzyżowaniu.
- Co? – zdziwił się Tuchowiak.
- Czterocylindrowy, rzędowy, dolnozaworowy czterosuw.
- Gównu mnie to obchodzi, może być nawet dwunastocylindrowy. Masz go znaleźć, dogonić i zatrzymać.

Andrzej spojrział na następne oddalone skrzyżowanie. Zauważył, jak beżowy samochód w pośpiechu skręca w lewo.

- Tam jest – powiedział z zadowoleniem.
- Za nim, szybko! Wyprzedzaj!
- Ale ja nie mogę uszkodzić samochodu. Wyrzucą mnie za to.
- Zaraz ja cię uszkodzę i wyrzucę! Jedź! To rozkaz!

Andrzej popatrzył na wydzierającego się Tuchowiaka. Nie mógł ukryć zdenerwowania. Gnane przez Warszawę za zwinną skodą tylko cudem mógłby uniknąć otarć limuzyny, za które na pewno wywalą go na zbity pysk. Jak nie wykona rozkazu, pewnie czeka go ten sam, jeśli nie gorszy, los. Jestem skończony, pomyślał, a życia bez samochodów sobie nie wyobrażał. A co tam, rzucił w myślach. Jego ręka powędrowała na przekładnię zmiany biegów, zredukował bieg o jeden stopień i wcisnął gaz do deski. Wyskoczył na środek jezdni i wyprzedził ciemnego fiata. Na krótkiej prostej rozpędził się, jak tylko mógł, wrzucił następny bieg i na skrzyżowaniu, gdzie skręciła skoda, ściął łuk, przelatując przez torowisko tramwajowe.

Jacyś ludzie przeklinali, wymachując wymownie rękami. Andrzej wjechał na właściwy pas i, nie zwalniając tempa, pędził za uciekającym autem.

- Widzę go! Tam! – krzyknął Tuchowiak, wskazując palcem przed siebie.

Andrzej skinął głową. Już od jakiegoś czasu nie spuszczał oka ze skody. Czuł, że jej kierowca będzie się kierował do Śródmieścia. Pędzili aleją Puławską prosto na rondo Unii Lubelskiej. Droga tu była szeroka i prosta. Mała skoda rapid była lżejsza o co najmniej pół tony, ale pojemność jej silnika nie mogła się równać z trzema litrami cws-ki. On miał pod nogą więcej mocy i był pewien, że jak puści się za skodą na łeb na szyję, to za rondem będzie na jej zderzaku.

Auta nabierały prędkości. Tuchowiak zerknął na kierowcę i zastanowił się, jak bardzo mylił się co do strachliwego charakteru młodego szeregowca. Andrzej z zimną krwią pędził na zatłoczony plac Unii Lubelskiej. Beżowe auto objechało niemal całe rondo i skręciło w ulicę Polną. Gdy Tuchowiak zdał sobie sprawę, że kierowca nie ma zamiaru objeżdżać placu, tylko jechać pod prąd, bez słowa zapał się o deskę rozdzielczą. Ze zgrozą spojrział na liczbę przechodniów zgromadzonych przy pomniku Lotnika.

Sznur samochodów ciągnął się od Marszałkowskiej. Andrzej umiejętnie zahamował,

zredukował biegi i dosłownie wpadł na plac. Jadąc pod prąd i kierując się lekkim łukiem w lewo, młody Ślązak właśnie oceniał, czy zdąży uniknąć czołowego zderzenia z nadjeżdżającym z przeciwka Citroënem. Kobieta siedząca za kierownicą modnego auta jeszcze przed chwilą rozmyślała o tym, jaki oryginalny krój będzie miała jej nowa suknia wieczorowa, dopiero co zlecona krawcowi. Teraz miała przed oczyma całe życie. Zobaczyła dwa wielkie reflektory rosnące w przedniej szybie. Nie wiedziała, że w zbliżającej się czarnej limuzynie decyzja zapadła w ułamku sekundy. Młody kierowca, który ani myślał o śmierci, instynktownie docisnął pedał gazu, po czym obrócił kierownicą i wykonał zamierzony unik, wpadając w przerwę między przechodniami spacerującymi dookoła pomnika.

Cws-ka podskoczyła na krawężniku. Tuchowiak, zanim wyrznął głową w podsufitkę, usłyszał krzyki. Limuzyna wskoczyła na plac. Chorąży zerknął w boczną szybę i zauważył, jak kobieta stojąca na schodach zakrywa usta, spodziewając się, że za chwilę dojdzie do masakry. Andrzej tymczasem odnalazł trochę miejsca między latarnią a dwoma dżentelmenami w modnych płaszczach, którzy stali jak wryci, nie wiedząc, dokąd uciekać. Ślązak ledwo się między nimi przecisnął, dosłownie wpadając w Polną.

Limuzyna zatańczyła na śliskiej nawierzchni z kocich łbów, tylna oś pojazdu zaczęła niebezpiecznie zbliżać się do ostrego krawężnika przy zbiegu z Marszałkowską. Andrzej obrócił kierownicą odpowiednio w prawo, jakby sprawa wydawała się oczywista, a następnie wykonał obrót w lewo, równocześnie popuszczając pedał gazu, ale nie na tyle, żeby auto zaczęło zwalniać.

Nie widział, że chorąży Tuchowiak patrzy teraz na niego z nieukrywanym podziwem. Cws-ka mknęła jak narciarz, krawędziując w pełnym ślizgu, i po prostu weszła w Polną tak, jakby to było ćwiczone ze sto razy. Kierowca wyczuł odpowiedni moment i znowu wdusił gaz do deski. Auto nie protestowało, tylko niczym wściekły ogar wyrwało do przodu. Gdy obroty sięgnęły maksimum, młody kierowca wrzucił czwarty bieg. Wiedział, że sytuacja jest opanowana. Miał kilka metrów do zderzaka beżowego coupé, które dopiero nabierało prędkości.

Rozejrzał się, sprawdzając, czy ma trochę miejsca, gdzieś z tyłu jego głowy zaczęła tlić się nadzieja, że uda mu się wyjść z pościgu bez zadrapania cws-ki. Jedyne, co na razie ucierpiało, to zawieszenie, obdrapane przy forsowaniu krawężników. Kierowca skody w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że w zawrotnym tempie zbliża się do niego półtoratonowa limuzyna. Był pewien, że za chwilę skreśli z Polnej i zniknie w Śródmieściu.

Tymczasem w bocznej szybie zamajaczyła czarna karoseria. Andrzej wcisnął z całej siły hamulce, blokując koła. Cws-ka na mokrej kostce zaczęła się ślizgać, zupełnie jakby byli na lodzie. Andrzej, wyprzedziwszy coupé, skreślił kierownicą i zatarasował drogę ściganemu, modląc się, aby uciekinier zdążył wyhamować. Oniemiały Tuchowiak

obserwował, jak Höppner wybałusza oczy i zaciskając zęby, naciska na hamulec. Po sekundzie obydwaj wiedzieli, że mu się to nie uda. Nowiutki rapid uderzył w tylne drzwi CWS-ki, wgniatając je solidnie.

Zaciekawieni przechodnie zwrócili głowy w kierunku zdarzenia. Tuchowiak wyskoczył z auta i dopadł do drzwi Höppnera. Otworzył je i jednym szarpnięciem wyciągnął go na jezdnię. Masa tłuszczu upadła niemal bezwładnie, wydając z siebie dźwięki rozpaczny.

– Co pan? Ja nic nie zrobiłem! – krzyknął volksdeutsch.

– Zamknij się! – uciszył go Tuchowiak i rozejrzał się.

Andrzej wysiadł z samochodu i nie bardzo wiedząc, jak się zachować, obchodził limuzynę. Jedyne, o czym teraz myślał, to rozmiar uszkodzeń służbowego auta. Wojtek, przyciskając pojmanego szpiega do ziemi, spojrzał w kierunku szeregowca.

– Rusz się i zaparkuj jego skodę. Rozejrzyj się po aucie! – krzyknął.

Andrzej ruszył do beżowego coupé. Nie minęła chwila, a wokół zdarzenia zebrała się niewielka grupka gapiów.

– To pomyłka! Proszę mnie puścić. Wypraszam sobie – kwilił Höppner.

– Zamknij się, powiedziałem! – rzucił wściekle Tuchowiak i strzelił go otwartą dłonią w potylicę.

– Halo, tak nie wolno – odezwał się jakiś człowiek z tłumu.

Wojtek nie zareagował, tylko szarpnął Niemca za kołnierz.

– Wstawaj!

– Skandal! Ja nic nie zrobiłem! Ratunku, proszę mi pomóc!

Tuchowiak bez słowa chwycił za ramię Höppnera i wykręcił je energicznie. Kiedy otyły mężczyzna zgiął się w pasie, żołnierz od razu zablokował jego pozycję, kładąc rękę na plecy ofiary i równocześnie blokując jej staw barkowy. Każda próba oswobodzenia się volksdeutscha tylko zaciskała stalową dźwignię. W końcu olbrzym przełożył rękę przez głowę szpiega i wsunął mu palce do ust. Wskazujący i środkowy niczym olbrzymie haki na ryby wykręciły twarz Höppnera. Był on gotowy zrobić wszystko, byle żołnierz go puścił. Wydał z siebie dokładnie taki sam dźwięk, jaki wydaje pacjent siedzący w fotelu dentystycznym, gdy lekarz trafi na nerw.

– Panie oficerze, proszę puścić tego dżentelmena – odezwała się jakaś kobieta z tłumu.

– Hańba. Panoszą się te oficery jak jakieś fircyki. Należy wezwać policję! – rzucił ktoś z tyłu.

Wojtek ze wściekłością spojrzał na gapiów.

– Szanowni państwo, proszę się rozejść. Właśnie ze strzelcem Pasternakiem

pojmałszy niebezpiecznego erotomana – powiedział Tuchowiak.

Höppner wydał z siebie tylko: „y...y”. Kobieta z przerażeniem przyłożyła dłoń do ust. Tłum w jednej sekundzie przestał okazywać Höppnerowi życzliwość.

– Świnia! – krzyknął pseudobohater z ostatniego rzędu, a volksdeutsch znowu wydał z siebie niezrozumiałe dźwięki.

Andrzej wrócił z kluczami od skody i zobaczył, jak Tuchowiak ze zgiętym w pół Höppnerem stoi przed gapiami.

– Znalazłeś coś? – zapytał chorąży.

Andrzej pokręcił przecząco głową.

– Otwieraj cws-kę, wracamy na Madalińskiego!

Rozdział 5

W sali konferencyjnej duży stół był ustawiony prostopadle do okien. Jego blat odbijał światło tak, że gdy wchodziło się do sali w jasny dzień, refleksy nie pozwalały dojrzeć gospodarza siedzącego w półmroku. Można by pokusić się o tezę, że był to celowy zabieg. Podobny do tego z Gabinetu Owального Białego Domu, gdzie po zamknięciu drzwi wyjście niemal zlewa się z ornamentem ściennym, a niedoświadczony rozmówca przez całą rozmowę z prezydentem siedzi i myśli o tym, aby przy wyjściu nie popełnić faux pas i nie ruszyć w kierunku ściany zamiast drzwi. Dzięki tym delikatnym zabiegom mającym na celu osłabienie pewności siebie rozmówcy gospodarze obu tych miejsc niejednokrotnie zyskiwali drobną przewagę nad swoimi gośćmi już na samym początku spotkań.

Feliks się tym nie przejął, wiedział, że na końcu stołu siedzi jego sprzymierzeniec. Generał broni Antoni Kaźmierczak. Gorzej wyglądała sprawa po jego lewicy, gdzie generał Ordyński od kilku minut zdierał gardło, niczym trener piłkarski przy bocznej linii. Formalny wniosek o rozpatrzenie niesubordynacji majora wywiadu wylądował przed Kaźmierczakiem i teraz sala złożona z kilku oficerów wysłuchiwała ekspresyjnej mowy oskarżycielskiej wygłaszanej przez szefa wydziału wywiadowczego. Wściekły Ordyński może i miał powód do gniewu, ale zważywszy na okoliczności i wartość materiału dostarczonego przez słynną już parę Zygartowicz–Tuchowiak, każdy trzeźwo myślący człowiek przedstawiłby wyniki ich poczynań jako wielki sukces wywiadu. Niestety urażona duma i rozdmuchane aspiracje to w męskim ciele wybuchowa mieszanka, a możliwość mocnego utemperowania pupilka szefa sztabu była dla Ordyńskiego nie lada okazją, aby zaspokoić generalskie ego.

Tuż obok szefa wywiadu siedział kapitan Kutrzyk. Dowódca komórki kontrwywiadu o lisiej twarzy był zagorzałym przeciwnikiem Zygartowicza. Powód jego niechęci był bardzo prozaiczny, zazdrość. Wysłuchiwanie oskarżeń rzuconych pod adresem swojego wyimaginowanego wroga sprawiało mu wiele radości, a nadzieję na to, że Zygartowicz dostanie solidną karę za swoje występki, miał wypisaną na twarzy.

Feliks nie zwracał na niego uwagi i cierpliwie wysłuchiwał krzyków. Los ojczyzny maluje się w najczarniejszych barwach, a tu rozgrywa się prezentacja kogutów myślących, że granica ich podwórka to koniec świata. Impertynency puryści powiedziani w głowie Feliks i dużo nie brakowało, a parsknąłby śmiechem.

Naprzeciwko rozjuszzonego Ordyńskiego siedział szef wydziału ewidencyjnego generał Jan Wachowicz. Krótco ostrzyżony, o pociągłej twarzy i wyraźnych rysach, sześćdziesięcioletni oficer, niczym oaza spokoju, przyglądał się karconemu majorowi. Jego mina mówiła: „Okaz pokorę, synu, to jedyna broń przeciw temu krzykaczowi”.

Feliks spojrział na kąciki ust Ordyńskiego, w których zebrała się biała ślina. Nie miał zamiaru przerywać, czekał na moment, aż dowódca skończy się wydzierać i dwoma palcami usunie ślady wścieklizny. Nie minęła chwila, a otyły generał zaprzestał tyrady, po czym dosłownie otarł pianę z ust i przeszywającym wzrokiem dał do zrozumienia swojemu podwładnemu, że oczekuje wyjaśnień.

– Panie generale, w pełni się z panem zgadzam i wobec wszystkich tych argumentów, które pan przytoczył, należy mi się surowa kara. To prawda, że w wielu kwestiach działałem poza rozkazami lub ograniczałem składanie raportów do minimum – powiedział Zygartowicz.

– „Ograniczałem”? Jeszcze dwa dni temu myśleliśmy, że przez ostatnie pół roku werbował pan jakiegoś urzędnika z Wuppertalu. Tymczasem prowadził pan szeroko zakrojoną operację na własną rękę. Za taką samowolę czeka pana sąd! – wykrzyczał czerwony ze złości Ordyński.

Feliks porzucił na chwilę monotonna pieśń zwierzchnika i zastanowił się, dlaczego na konferencji pojawił się szef wydziału ewidencyjnego. Mimo że w owym wydziale prętnie działał Referat II Zachód, który kontrolował większość polskich placówek dyplomatycznych w Rzeszy, to Wachowicz nie mógł wiedzieć o poczynaniach majora. Raport przecież trafił tylko do Kaźmierczaka i Ordyńskiego.

Ani on, ani Tuchowiak nigdy nie angażowali konsulatów do przesyłania tajnych informacji. Podobnie było z doręczycielami. Nikt z najniższego szczebla niemieckiej siatki wywiadowczej nie nosił żadnych kryptogramów. Wszystkie zbierane materiały przetrzucali zaufanym kanałem do Rzeczypospolitej, gdzie lądowały w bezpiecznym miejscu. Więc wydział ewidencyjny nie mógł niczego wiedzieć.

Zygartowicz przetrzucił wzrok na Kaźmierczaka. Ten pyknął z fajki i pochwycił spojrzenie majora. A to szczwany lis, pomyślał Feliks. Specjalnie wtajemniczył i przyprowadził Wachowicza. Wiedział, że szef wydziału ewidencyjnego to wielki pragmatyk. Logika i związki przyczynowo-skutkowe były wyznacznikami działania generała. Zygartowicz wiedział, że raport musiał wyrzeć na nim nie lada wrażenie. Tym bardziej, że umieszczone tam wiarygodne dane ukazywały wielkość wroga, a to dla generała Wachowicza liczyło się najbardziej. Wykrzyczane przez szefa wywiadu słowo „sąd” zrobiło na nim negatywne wrażenie. Tradycyjnie splótł dłonie w koszyk i niczym rasowy polityk położył je na wypolerowanym blacie.

– Gracjanie, popraw mnie, jeżeli się mylę. – Wszyscy oficerowie zwrócili na niego uwagę. – Niecałe dwa dni temu dotarł do mnie jeden z najlepszych raportów

wywiadowczych, jaki kiedykolwiek widziałem. Ujawniający tak szerokie spektrum inwigilacji wrogich struktur wojskowych, że zastanawiam się, czy to w ogóle możliwe, aby dwóch oficerów poprowadziło takową koordynację. A ty jego autora chcesz wysłać pod sąd? Ja do wczoraj myślałem, że nad tym pracował cały twój wydział – dodał.

Generał Gracjan Ordyński zaniemówił i ostentacyjnie obrócił się w kierunku Kaźmierczaka, jakby szukał poparcia. Ten, trzymając fajkę za główkę, spojrzał na dokument z zamaszystym podpisem, po czym wymownie podniósł wzrok na czerwonego ze złości kolegę.

– Antoni, chyba nie masz zamiaru puścić tego płazem? – powiedział Ordyński i podniósł plik spiętych kartek. – Takie przedsięwzięcia bez konsultacji z wydziałem to pogwałcenie procedur. Poza tym kilka z tych zuchwałych operacji mogło się skończyć tragicznie i wywołać aferę na arenie międzynarodowej. Nie przeceniajmy też wagi raportu. Major Zygartowicz to wybitny fachowiec w zbieraniu danych, ale gdy spojrzymy na wnioski, to odczuwamy, że pan major ma kłopoty z oceną rzeczywistości.

– Będąc szczerym, byłem przekonany, że właśnie o tym będziemy dyskutować, a nie rozprawiać nad zachowaniem wybitnych oficerów. Regulaminowe czy nie, jakie to ma znaczenie? Jak major Zygartowicz ma rację, to nauka dyscypliny nie jest naszym największym zmartwieniem – powiedział ze stoickim spokojem generał Wachowicz.

– Jak każdy będzie działał według swoich poglądów, ignorując regulamin bądź rozkazy, to będziemy tu mieli zaraz drugą rewolucję październikową. Zresztą inni agenci prędzej czy później i tak zebraliby te wszystkie informacje – rzucił obruszony Ordyński.

– W stu procentach się z tobą zgadzam, Janie – powiedział Kaźmierczak, po czym popatrzył na Ordyńskiego. – Będziesz nalegał, aby wniosek o rozpatrzenie niesubordynacji został poddany procedurom? – zapytał.

– Tak! – rzucił krótko szef wywiadu. – Widziałeś, w jaki sposób zostały zrobione niektóre zdjęcia? Gdzie są notatki służbowe? Gdzie rozkazy? Mamy sporo pytań do majora Zygartowicza. – Szef wydziału wywiadowczego podkreślił stopień Feliksa tak, aby dać wszystkim do zrozumienia, że będzie wnosił o degradację.

Kaźmierczak odłożył fajkę i wziął pióro. Feliks siedział nieruchomo i przyglądał się generałowi. Jeżeli jego kariera skończy się w taki sposób, to będzie największa farsa, jaką widział w życiu. Dwa lata sumiennych przygotowań i ciężkiej pracy kosztowało go wiele zdrowia i nerwów. Często narażali z Tuchowiakiem życie. Wszystko po to, aby decydom dać jasny obraz tego, przed jak wielkim zagrożeniem stoi Rzeczpospolita.

Tuchowiak miał rację, że to i tak nie trafi do tych ich zakutych pał. Pewnie tak by im teraz powiedział i ze sztabu odjechałby w więźniarce. Feliks się uśmiechnął. Zebrani w sali oficerowie to zauważyli. Nadszedł czas, aby grać *va banque*, pomyślał. Nabrał haust powietrza, ale zanim zaczął, Kaźmierczak podpisujący wniosek uprzedził go.

– W takim razie ja też będę się tłumaczył przed wodzem – powiedział szef sztabu.

– O czym ty mówisz, Antoni? – zapytał spokojnie Wachowicz.

– Ja dałem im zielone światło. Akcja fotografowania manewrów Weichsa była pod moją protekcją.

– Jak to! – Generał Ordyński rzucił to tak, jakby się zapomniał. – Nie wiedzieliśmy, że to Trzecia Pancerna – dodał cicho.

– Ja wiedziałem i pozwoliłem majorowi Zygartowiczowi na tę operację.

Tak, pomyślał Feliks. Dziękuję, panie Antoni.

– Ale... – Ordyński chciał zaprotestować.

– Panie generale, to jeszcze nie wszystko – przerwał mu Feliks.

Generałowie wraz z kapitanem natychmiast spojrzeli na majora. Kaźmierczak był nie mniej zdziwiony niż reszta.

– Jest jeszcze jedna sprawa, o której z chorążym Tuchowiakiem nie powiedzieliśmy nikomu – dodał Zygartowicz.

Szef sztabu wyciągnął fajkę z ust i wyraźnie pobladł. W jego oczach żarzyła się wściekłość.

– Mamy z chorążym solidne podstawy twierdzić, że blisko struktur wysokiego szczebla jest istotny wyciek informacji na rzecz wywiadu Trzeciej Rzeszy.

– O czym pan mówi? – zapytał Ordyński.

– To właśnie był jeden z czynników, który powstrzymywał nas od dostarczania informacji proceduralnymi kanałami. Po prostu nie wiedzieliśmy, do jakich źródeł ma dostęp człowiek, którego podejrzewamy. Mamy pewność, że operował przy ludziach związanych z Komisją Wojskową i z samego Ministerstwa Spraw Wojskowych. Na całą sprawę natrafiliśmy zupełnym przypadkiem w Rzeszy.

– Kto to? – zapytał cicho Kaźmierczak.

– Gotfryd Höppner.

– To niemożliwe – wtrącił Kutrzyk. – Prześwietlaliśmy go wielokrotnie. Jest czysty.

Feliks się nie odezwał, tylko podniósł skórzaną teczkę, odpiął paski i wyciągnął skoroszyt z szarej tektury.

– Zechcą to panowie zobaczyć – powiedział i przesunął dokumenty w kierunku Ordyńskiego.

Rozdział 6

Tuchowiak wyciągnął stalowe pudełko w piaskowym kolorze. Na wierzchu był rysunek Egipcjanina stojącego z antylopą. Andrzej spojrzął na chorążego i zastanowił się, jakże nieopłacalnym jest płacić przeszło dwadzieścia groszy za jednego perfumowanego papierosa. Jedyne, na co było go stać, to machorka grodzieńska.

Raz, tuż po przepustce, kierując się z Dworca Centralnego do koszar dywizjonu, natknął się na duży tłący się niedopałek egipskiego, zapewne wyrzucony przez śpieszącego się majętnego pasażera. Rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt go nie obserwuje, kucnął i udając, że poprawia but, podniósł go niepostrzeżenie. Dobrze pamiętał smak wyselekcjonowanego tytoniu. Teraz patrzył na chorążego i nawet do głowy by mu nie przyszło, aby prosić o jednego papierosa. Wojtek spojrzął na przerażonego Höppnera usadzonego w stylowym fotelu, wypuścił dym i zmierzył volksdeutscha groźnym wzrokiem. Nie patrząc na szeregowca stojącego w dwuskrzydłowych drzwiach salonu, ustawił krzesło na wprost otyłego mężczyzny i usiadł, szeroko rozsuwając nogi. Wiedząc, że Andrzej go obserwuje, jeszcze raz otworzył stalowe pudełko i podniósł je do góry.

– Masz, zapal sobie jednego i idź, naparz jakiejś kawy. Patrząc na wygody, w jakich mieszka ten grubas, można przypuszczać, że trzyma tu jakąś luksusową arabikę.

– Wypraszam sobie i natychmiast żądam widzenia z moim adwokatem! Jaka w ogóle jest pańska godność? – uniósł się Höppner.

– Jeszcze jedno słowo padnie bez pytania, a zamiast adwokata będzie pan potrzebował księdza. – Chorąży wypowiedział te słowa z powagą. Niemiec zrobił wielkie oczy.

– Szanowny panie, to wszystko można jakoś wytłumaczyć. Tu zachodzi wielkie nieporozumienie.

Tuchowiak zerknął na papierośnicę. Andrzej podszedł nieśmiało i wziął jednego. Chorąży, jakby nie zważając na tłumaczenia przerażonego pojmanego, zamknął papierośnicę i odłożył na owalny stół pokryty białą szydełkową serwetą. Zanim szeregowiec zdążył schować papierosa do kieszeni, bo nie miał najmniejszego zamiaru go wypalać w takich okolicznościach, na twarz Höppnera spadł siarczysty policzek. Chłasknięcie było tak donośne, że Młodzian aż wzdrygnął się ze strachu. Niemiec krzyknął przeraźliwie i złapał się za twarz.

– Widzę, że jest pan głupszy, niż myślałem. Mam nadzieję, że przekonałem pana do zasad naszej przyszej rozmowy – powiedział spokojnie podoficer.

Przerażony właściciel apartamentu przy Madalińskiego trzydzieści sześć, trzymając się za pulsującą twarz, pokiwał głową.

– Bardzo dobrze. W takim razie, gdzie trzyma pan kawę?

– Jest w kuchni w szafce tuż obok okna – padło szeptem.

– Doskonale. – Tuchowiak obrócił się i spojrzął na Andrzeja, który stał niemal na baczność. – A ty co? Stoisz tak z szacunku, bo dostałeś papierosa, czy zaciskasz pośladki, żeby się nie zesrać? Rusz się i zrób nam kawy! – rzucił.

Szeregowiec Horyński natychmiast popędził do kuchni. Wojtek obrócił się do Höppnera, zaciągnął głęboko papierosem i pochylił delikatnie do przodu.

– No cóż, drogi panie Gotfrydzie, czy zdaje sobie pan sprawę, w jakim położeniu się znalazł?

– Proszę pana, proszę zrozumieć, to wielka pomyłka. Ja nic złego nie zrobiłem.

– Do tego za chwilę dojdziemy. Nie o to pytałem.

– Ale ja naprawdę nie wiem, o co chodzi.

– Czyli nie zdaje sobie pan sprawy. Rozumiem. Od razu przyznam, że kiepski ze mnie dżentelmen i na konwenansach wyższych sfer się nie znam, więc jak będziesz dalej odstawiał tę szopkę, to najnormalniej w świecie po raz kolejny ci przypierdolę.

– Ale... – zaczął gospodarz.

Tuchowiak podniósł palec.

– Zapominalstwo kosztuje, ostrzegam. Chyba że chce pan drugą lekcję.

Höppner zamilkł. Tuchowiak strzepnął popiół na dywan i zaciągnął się po raz kolejny.

– Twoja kartoteka pęka w szwach, a w Warszawie masz ogon od pół roku. Wiemy, z kim się spotykałeś, gdzie chodziłeś, a nawet jakiego rodzaju papierem podcieras dupę. Jestem tu teraz nie dlatego, że wiemy, że coś kombinujesz, tylko dlatego, że dotarliśmy do człowieka, który cię wsypał. A dokładniej dał nam podstawę do aresztowania cię pod zarzutem szpiegostwa.

– Słucham? To jakaś farsa! – krzyknął z niedowierzaniem Höppner.

Wtedy, nie wiadomo kiedy, lewe ramię Tuchowiaka przecięło powietrze i kolejny raz wielka jak szufla dłoń smagnęła policzek Niemca. Głowa dosłownie odbiła mu się od ramienia.

– Błagam, proszę mnie więcej nie bić. – Łzy popłynęły po policzkach otyłego mężczyzny. Höppner utkwiał wzrok w podłodze.

– To bardzo proste. Wystarczy, że powie mi pan, komu składa raporty, i ujawni

wszystkie informacje, które przekazał swojemu rządowi. Niech pan na mnie spojrzysz – powiedział łagodnie. – Śmiało.

Kompletnie rozdygotany pięćdziesięciolatek podniósł wzrok na ogromnego żołnierza.

– Moje informacje pochodzą od pana Lucasa Daechera zamieszkałego przy Brandenburgische Straße osiemdziesiąt sześć w Berlinie. – Wojtek wiedział, że trafił w sam środek. Höppner poblądł. Usiadł wygodniej w fotelu i popatrzył przed siebie, jakby życie właśnie legło mu w gruzach.

– To jak, panie Höppner? Ja naprawdę chcę panu oszczędzić bólu. Proszę mnie uważnie posłuchać. Możemy to załatwić na dwa sposoby. Pierwszy i chyba najrozsądniejszy brzmi tak. Zaczyna pan współpracować. Czyli tu i teraz mówi, komu składa raporty. Ujawnia, kto panu dostarcza materiałów, a także przekazuje pan wszystkie informacje wywiadowcze, które obecnie posiada. Wtedy może pójdziemy na współpracę, oczywiście upewniając się, że wszystko, co pan mówi, to prawda. Może nawet uda się sprawić, aby pan powrócił do dotychczasowego życia. Do tego tutaj, w tym luksusie. –

Tuchowiak powiódł dłonią po przestronnym salonie apartamentu. – My potrafimy być tak samo troskliwi jak pański Führer. No może nie oferujemy magazynów, ale to jedyny wariant, w którym pana całego i zdrowego. Drugi jest taki. Za chwilę wykonam telefon do sztabu i zostanie pan aresztowany. Następnie będzie pan przesłuchany przez pracowników kontrwywiadu Rzeczypospolitej. Gwarantuję, że oni są mniej mili aniżeli moja skromna osoba. To, że wszystko pan powie, to pewne. Później rekonwalescencja, tymczasowy areszt, szybki wyrok z artykułu dziewięćdziesiątego dziewiątego, czyli najmniej dziesięć lat. Rząd zgodnie z zaleceniem kontrwywiadu nagłośni sprawę, mówiąc, że zaczął pan sypać jak kataryniarz dowcipami. Wtedy, niech mi pan wierzy, zginie pan szybciej z rąk swoich, niż sobie pan potrafi wyobrazić. Nikt się nie będzie zastanawiał, jakiej pan jest narodowości ani po której stronie granicy aktualnie przebywa. Abwehra od razu wyda wyrok na kabla grubaska Höppnera. – Tuchowiak uśmiechnął się lisio i znowu zaciągnął się głęboko papierosem.

Andrzej zalał dwie spore filiżanki wrzątkiem i zastanawiał się, czy powinien wejść do salonu. Pierwszy raz w życiu znalazł się w takiej sytuacji. Bał się, ale był dumny, że uczestniczy w pojmaniu i przesłuchaniu niemieckiego szpiega. Wiedział, że nikt mu w to nie uwierzy. Zresztą zabronią mu cokolwiek mówić, bo to pewnie ściśle tajne zadanie. Słowa te, „ściśle tajne”, napawały go dumą. Strzelec Andrzej Horyński wykonuje specjalną misję w służbie najjaśniejszej Rzeczypospolitej! – pomyślał i złapał za spodki. Gdy wszedł, spojrzał na Höppnera, który płacząc jak dziecko, pociągał nosem. Postawił dwie kawy, jedną obok Tuchowiaka, a drugą bliżej otyłego mężczyzny. Chorąży popatrzył na młodego żołnierza.

– Do reszty zdurniałeś? Może zapytaj go, czy chce ze śmietanką. Bierz tę kawę, wypij ją w kuchni, wypal papierosa i czekaj na rozkazy.

– Tak jest – odparł skonsternowany strzelec. Wziął kawę i wyszedł.

Tuchowiak upił łyk aromatycznego napoju i pytająco spojrzął na Höppnera.

– Panie oficerze, ja powiem samą prawdę, tylko proszę mnie nie bić. Nazywam się Gotfryd Höppner, mieszkam w Polsce od piętnastu lat. Ten apartament nabyłem dokładnie trzy lata temu w rozliczeniu transakcji za ziemię pod manufakturę narzędzi pod Łodzią. Zajmuję się nieruchomościami. W Berlinie posiadam kamienicę i magazyn przy dworcu kolejowym, ale ja naprawdę nie znam nikogo o nazwisku Daecher. A wszystkie te rzeczy, które pan mi opowiada, mnie przerażają i mam wrażenie, że to jakiś zły sen. Ja naprawdę nie mogę się przyznać do czegoś, czego nie zrobiłem. Tu, w Warszawie, jest wiele osobistości, które się za mną wstawią. Ja mam nieskazitelną reputację. Proszę mi wierzyć, to wielkie nieporozumienie.

Wojtek wstał i zgasił papierosa w popielnicy stojącej na starej komodzie.

– Rozumiem. Mimo wszystko obowiązują mnie pewne procedury i muszę wypełnić rozkazy. Włącznie z aresztowaniem pana. W takim razie zechce pan zatelefonować do swojego adwokata. Złoży pan wyjaśnienia na posterunku.

Tuchowiak wskazał stolik pod oknem, na którym stał aparat. Höppner najpierw zerknął na twarz żołnierza, nie bardzo wierząc w pozwolenie, po czym przewencyjnie odczekał kilka sekund. Gdy Wojciech powtórzył zapraszający gest, Höppner oparł swoje serdelkowe palce na oparciu fotela i podniósł się z wysiłkiem. Pod pachami jego gołębioszarej koszuli były ciemne wykwity potu. Wojtek, jak tylko zauważył wielki brzuch, unoszący się niczym balon, złożył pięść i walnął prosto w żołądek Niemca. Höppner najpierw opadł z powrotem na mebel, po czym zgiał się wpół, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Po chwili pociągnął haust powietrza, zsunął się na dywan i zwymiotował. Tuchowiak kucnął obok kaszłającego mężczyzny i spojrzął na wymiociny.

– Masz tyle pieniędzy, a żresz jakieś gówno. To wielce zastanawiające. Zakładam, że dorobiłeś się tego wszystkiego, używając mózgu, a jak tak na ciebie patrzę i słucham, to mam wrażenie, że jesteś skończonym idiotą. To jeszcze ścierpię, ale nie lubię, jak ktoś robi idiotę ze mnie. – Odpiął kaburę i wyciągnął pistolet. Złapał za cienkie jasnobrązowe włosy Niemca i szarpnął tak, jakby chciał go oskalpować bez używania noża.

Ten najpierw zawył przeraźliwie, a gdy poczuł stalową lufę visa w gardle, zaczął się dławić. Cofnęło mu się jeszcze raz, ale już nie zwymiotował.

– Oddychaj nosem, bo mi tu zaraz zejdziesz przedwcześnie – rzucił Tuchowiak, a gdy odciągnął kurek, Höppnerowi oczy wyszły z orbit. – Zabijałem za mniejsze rzeczy, szczególnie bolszewików, zdrajców i takich parszywców jak ty. Rozumiesz? Gdybym ci teraz strzelił w ten twój nalany tłuszczem łeb, to moi zwierzchnicy zadadzą mi tylko jedno pytanie. Dlaczego nic z ciebie nie wycisnąłem? A ja lubię być efektywny. Jak tylko mnie zobaczyłeś, zacząłeś wiać jak szara mysz przed kotem, do tego mam informację z wiarygodnego źródła, że za półdarmo kupiłeś magazyny warte fortunę, spotykałeś się

z oficerami Abwehry, a tu jesteś wtyczką płaszącą po warszawskich salonach jak dziwka z taniego Moulin Rouge. Więc nie pierdol mi głupot o tym, że to pomyłka. Mówię po raz ostatni, jeszcze raz mnie okłamiesz, to obok tej brei, którą zżarłeś kilka godzin temu, będzie twój mały mózg. Wyrażam się jasno?

Spocony Höppner, ciągnąc z całej siły powietrze przez nozdrza, pokiwał potakująco głową. Tuchowiak wyciągnął pistolet z jego ust i wytarł lufę o koszulę Niemca.

– Dobrze, wszystko powiem. Proszę mi nie robić krzywdy – wyszeptał ze zrezygnowaniem konfident.

– Kto odbiera informacje?

– Przysięgam na matkę, nie wiem. Mam skrzynkę, którą zaznaczam, jak tylko coś mam. Nikt się ze mną nie kontaktuje osobiście. Czasami zostawiam kilka informacji z rozkazami, to wszystko.

– Kto cię zwerbował i prowadził w Berlinie?

– Porucznik Lehrer. Tak się przedstawił. Szantażowali mnie.

– Gównu mnie to obchodzi. Kogo zwerbowałeś tutaj?

– Sekretarza posła Józefa Morawskiego.

Tuchowiak powstrzymał się od wybałuszenia oczu ze zdziwienia. Trafili w dziesiątkę.

– Nazwisko sekretarza.

– Zabel. Paweł Zabel.

– Teraz, zanim odpowiesz na kolejne pytanie, dobrze się zastanów. Posiadasz w domu lub w jakiejś innej skrytce dokumenty od pana Zabła?

Höppner popatrzył ze zrezygnowaniem na minę Tuchowiaka. Wiedział, że ten człowiek nie żartuje. Pokiwał głową.

– Tutaj?

– Tak.

– Gdzie?

– W gabinecie jest piec kaflowy. Korona ma jeden luźny kafel. Z tyłu, taki mały. Tam trzymam wszystko.

– Szeregowy – krzyknął Tuchowiak.

Andrzej poderwał się od stołu kuchennego i blady wszedł do salonu.

– Na rozkaz, panie chorąży!

– Idź do gabinetu. Wejdz na jakiś stołek i sprawdź górne kafle pieca. Jeden z tylnych można wyciągnąć. Jest tam mała skrytka. Wyciągnij wszystko delikatnie i przynieś tutaj.

– Tak jest!

Tuchowiak przypatrył się zrezygnowanemu Höppnerowi. Porażka wymalowana na twarzy zaostriła mu rysy i dodała otyłemu mężczyźnie kilkanaście lat. Wojciecha to nie obchodziło, tak samo jak los przesłuchiwanego. Najchętniej sam podjąłby decyzję o jego dożywotnim więzieniu, tu, na miejscu, bez zbędnych biurokratycznych procedur. Nie tolerował zdrajców i wrogów Rzeczypospolitej, a z Höppnerem nie zamierzał iść na choćby najmniejsze układy.

– Widzi pan, to nie takie trudne. Nie można było tak od razu? Zaoszczędziłby pan sobie wielu nerwów.

– Czy mogę dostać szklanek wody? – szepnął Höppner.

– Tak, za chwilę. Tymczasem proszę mi powiedzieć, co to za materiały, które przyniesie szeregowy.

Niemiec spojrział w podłogę.

– Szanowny panie, chyba nie chcemy powracać do naszej poprzedniej relacji?

– Sprawozdanie Komisji Wojskowej...

– Głośniej, nie dosłyszałem.

– Sprawozdanie Komisji Wojskowej na temat określenia zdolności do czynnej służby wojskowej mężczyzn w województwie warszawskim wraz z miastem stołecznym.

Tuchowiak pokręcił głową.

– No, no, chyba pana nie doceniałem.

Do salonu wrócił Andrzej. W dłoni trzymał niewielkie srebrne pudełeczko.

– Panie chorąży, znalazłem tylko to.

Podszedł do chorążego i mu je podał. Ten przyjrzał się szczelnie zamkniętemu mikrofilmowi i włożył go do kieszeni.

– O to chodziło. Idź, przynieś panu wody. Panie Höppner, niech pan wstanie z tej podłogi i usiądzie wygodnie. Spędzimy ze sobą jeszcze kilka chwil.

Tuchowiak otworzył pudełko z egipskimi i wyciągnął kolejnego papierosa. Zanim zapalił zapałkę, przesunął go chwilę między palcami, po czym popukał nim pionowo w blat stołu i włożył do ust.

– O, pan wybaczy. Zapali pan?

Niemiec skinął głową. Chorąży wziął pudełko i wyciągnął w zapraszającym geście. Gdy szpieg poczęstował się papierosem, podoficer podpalił kolejną zapałkę i podsunął ją przerażonemu właścicielowi apartamentu. Andrzej przyniósł szklanek wody i podał Höppnerowi. Przypominał mu teraz syna sąsiadki, małego Alojzego Grabarczyka, złapanego zaraz po tym, jak zbił szybę w drzwiach wejściowych do kamienicy. Zatrzymany przez dozorcę, siedział na schodach i szlochał, jakby w jednej sekundzie

zawalił mu się na głowę cały świat. Andrzejowi zrobiło się żal tego Niemca. Spojrzał na nowo poznanego chorążego.

– Przyznam, panie Höppner, że jestem kontent z tego nieoczekiwanego spotkania – rzekł Wojtek. – Choć pan zapewne nie może tego powiedzieć. No, ale trudno. Czasu nie cofniemy. Widzi pan, mój przyjaciel mawia, że bycie weredykiem nigdy nie wychodziło mi na dobre. A tacy jak pan zmuszają mnie do postępowania niezgodnie z mą prostą naturą.

Höppner podniósł wzrok.

– Do czego pan zmierza? – szepnął rozdygotany.

– Ano do tego, że dość mam odgrywania tego kabaretu i powiem ci, co następuje. – Wstał i ponownie z odpiętej kabury wyciągnął pistolet. Andrzej zamarł, a Höppnerowi zaczęły się trząść ręce.

– Strzelec, jak ci tam?

– Horyński, panie chorąży.

– No to, panie Horyński, rozumiem, że umiesz się tym posługiwać.

Andrzej skinął głową.

– Dobrze. Trzymaj i jak nasz grubasek ruszy się z miejsca, to masz go zastrzelić.

– Ale...

– To rozkaz, a za jeszcze jedno „ale” urlop zobaczysz w następnej dekadzie.

Andrzej wziął pistolet i stanął kilka kroków przed Höppnerem, który dygotał z przerażenia. Chorąży Tuchowiak podszedł do stolika nieopodal dużego okna wychodzącego na ulicę i podniósł słuchawkę aparatu telefonicznego. Wykręcił numer i poczekał na połączenie.

– Tu chorąży Tuchowiak, proszę mnie natychmiast połączyć z majorem Zygartowiczem. – Odczekał chwilę. – Wiem, że jest na naradzie, dlatego telefonuję... łącz! Posłuchaj mnie uważnie, jak mnie teraz pokierujesz dalej do jakiegoś porucznika, to jeszcze dzisiaj cię znajdę i urwę ci jaja. Rozumiesz? Nie mam na to czasu, to sprawa wagi państwowej! Nikt cię nie uprzedził, że będę się kontaktował? Gównu mnie to obchodzi, że dopiero zacząłeś służbę. Łącz!!! No... byle dziś. Zaraza, co za dzień – rzucił przed siebie.

Rozdział 7

– Rzeczywiście to podejrzane zachowania, ale nie ma pan jednoznacznych dowodów, że zwerbowali Höppnera – powiedział generał Wachowicz.

– To prawda, panie generale. Jestem przekonany, że na twarde dowody natrafimy jeszcze dzisiaj. Jeżeli nic nie znajdziemy, to patrząc na jego portret osobowościowy, domniemywam, że bardzo szybko się załamie. Wystarczy, że usłyszysz, co o nim wiemy, obejrzy fotografie, dodajmy do tego groźbę kary długoletniego więzienia i to powinno załatwić sprawę.

Ordyński zapalił papierosa i wydmuchał chmurę dymu.

– Te pańskie domniemania. Nie przekonuje mnie to wszystko. W ogóle mnie pan nie przekonuje, majorze. Tym razem okaże się, że pańska samowola jednak spowoduje zamieszanie dyplomatyczne. To szanowany biznesmen i przedstawiciel mniejszości niemieckiej. Ludzie kapitana przeświecali tego przedsiębiorcę i nic nie znaleźli. No, ale pan gasi pożary benzyną. Jak pański słynny podwładny załatwia tę sprawę, to za chwilę będziemy mieli pozew o pogwałcenie praw mniejszości narodowych i wielki kryzys dyplomatyczny. Wychodzi na to, że moje obawy się potwierdzą. – Ordyński wygodniej oparł się na krześle i wymownie spojrzął na Kaźmierczaka. Gdy generał chciał coś dodać, odezwał się aparat telefoniczny, który stał na stole. Zaskoczeni oficerowie skupili wzrok na brzęczącym urządzeniu.

– Kaźmierczak, słucham – powiedział zdziwiony generał. – Tak, jest tutaj. Zdaje sobie pan sprawę, że przerywa ważne spotkanie? – Generał nie czekał na odpowiedź, tylko odsunął słuchawkę od ucha i wymierzył nią w Feliksa. – Do pana, majorze.

Zygartowicz podniósł się i z nadzieją ruszył w stronę Kaźmierczaka.

– Zygartowicz. Bez szczegółów, to nieszyfrowane połączenie. – Usłyszał pierwsze zdanie i się uśmiechnął. – Prawda? Masz coś? Która figura? Rozumiem, w porządku, czekaj na miejscu.

Major spokojnie odłożył słuchawkę na widełki. Wszyscy oficerowie wyczekiwali słów majora, w pomieszczeniu panowała absolutna cisza.

– To sekretarz posła Morawskiego jest zdrajcą, Tuchowiak złapał Höppnera z materiałami od niego – powiedział spokojnie.

– Jesteś pewien? – zapytał Kaźmierczak

– Tak, panie generale.

– Kapitanie – zwrócił się do Kutrzyka Ordyński, mówiąc dużo ciszej niż zwykle. Dowódca komórki kontrwywiadu wyglądał tak, jakby w ogóle nie dosłyszał, że się do niego zwracają. – Proszę natychmiast zorganizować dwie ekipy, ustalić adres sekretarza Morawskiego i wysłać jedną ekipę, aby go dyskretnie aresztowała. Druga z panem na czele pojedzie pod... – obrócił się w kierunku Feliksa.

– Madalińskiego trzydzieści sześć mieszkania siedem.

– Niech pan weźmie techników, macie sprawdzić każdy centymetr tego mieszkania. Höppnera po cichu na przesłuchanie. Słyszysz mnie pan, kapitanie?

– Tak jest, w tej chwili, panie generale! – Kapitan wstał i ruszył do wyjścia. Gdy za oficerem zatrzasnęły się drzwi, generał Ordyński zaciągnął się mocno, popatrzył przed siebie i rzucił po namyśle:

– Antoni, w tych okolicznościach myślę, że wniosek o niesubordynację nie będzie konieczny.

– Czy chorąży Tuchowiak powiedział, na co trafił u Höppnera? – wtrącił Wachowicz, uwalniając Ordyńskiego od dalszych wypowiedzi.

– Nie, ale zapewniam panów, że to poważna sprawa. Panie generale. – Tym razem major Zygartowicz zwrócił się do swojego bezpośredniego przełożonego.

Ordyński zerknął na Feliksa.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny, gdyby nie okoliczności, to zapewniam pana, że nigdy nie doszłoby do takiej sytuacji. Proszę mi wierzyć, każdy, nawet najdrobniejszy efekt naszej pracy od razu lądowałby na pańskim biurku – dodał Feliks.

Szef wywiadu niemal niewidocznie skinął głową.

– Czy tylko ja mam wrażenie, że pewne sprawy wymykają się nam spod kontroli? – powiedział Kaźmierczak.

Oficerowie spojrzeli na szefa sztabu. Nikt nie odezwał się słowem.

– Dobrze. Zanim powiadomię wodza naczelnego przedyskutujmy materiał, który dostarczył major Zygartowicz. Ale zanim zabierzemy się za to na poważnie, może macie panowie ochotę na kawę? – zapytał.

Wszyscy równocześnie skinęli głowami. Kaźmierczak podniósł słuchawkę telefonu.

Rozdział 8

Słońce przebijało się przez różnokolorowe liście o ciepłych barwach, począwszy od czerwieni, przez płową zieleni, aż do intensywnej żółci. Ich wszechobecność sprawiała, że krajobraz wydawał się przyjemnie zabałaganiony, zupełnie tak, jakby patrzyło się na pracownię wziętego malarza. Na jego nieład, który pasuje do pomieszczenia artysty, a wręcz dobrze o nim świadczy.

Delikatny wiatr co chwilę podrywał kolorowe płatki, które migotały w październikowym słońcu. Duże kasztanowce i pojedyncze platany, które wyglądały tak, jakby ktoś obdarł je ze skóry, stały dostojnie, wieńcząc rogi ulic Trybunalskiej i Pod Blankami. Na rogu jednej z kamienic, oparty nogą o ścianę, stał plutonowy Radosław Makarewicz. Dwudziestoosmioletni krępy kawalerzysta z Dziesiątego Szwadronu Pionierów w Bydgoszczy należącego do Pomorskiej Brygady Kawalerii z delikatnie zsuniętą na oczy rogatywką palił papierosa. Wyczekiwał kogoś, zachowując stoicki spokój. Jego zawadiacka mina zdradzała mężczyznę, który wychował się w jednej z robotniczych dzielnic, w młodości spędzając więcej czasu w bramach i podwórkach aniżeli w domu.

Korzystając z kąpieli słonecznej, młody żołnierz nawet nie spoglądał na otoczenie. Ludzie mijali go obojętnie, zupełnie jakby założył czapkę niewidkę.

– Cześć, Radku. Jak się masz? – usłyszał dobrze znany mu głos, po czym podniósł wzrok.

– Witaj, braciszku. – Obrzucił przybysza uważnym spojrzeniem. – Jakiś bladziutki dzisiaj jesteś – powiedział bez emocji.

– Nie przesadzaj. Dobrze wiesz, że ojciec nie żyje, a sarkazm to jedyne, na co cię stać?

– Oj, czego cię uczą w tych mądrych szkołach? Za mało cię lał chyba, gdy byłeś młody. Stąd to współczucie? Czy jakiejś nowej filozofii się nauczyłeś z tych wielkich książek, które trzymasz pod pachą? – Plutonowy strzepnął popiół na chodnik.

– Mimo wszystko to ojciec. Ty jak zwykle masz wszystko gdzieś. Nawet nie spytasz, co się stało?

– A o co tu pytać, kiedy to oczywiste. Zachlał się pewnie na śmierć.

– Otóż nie – powiedział brat drżącym głosem. – W warsztatach oś jednego z wagonów zerwała się z suwnicy i go przygniotła... – Młody student wyraźnie unikał kontaktu

wzrokowego, obrócił się w kierunku ulicy i walczył ze sobą, aby się nie rozpląkać. –

Posłuchaj, za niedługo dyrektor zakładu pewnie wezwie nas w sprawie wypłaty odszkodowania. Trzeba też załatwić pochówek – dodał drżącym głosem.

Radek zerknął przed siebie, jakby cała sytuacja w ogóle go nie obchodziła, przyłożył końcówkę skręta do wąskich ust i zaciągnął się łapczywie. Puścił chmurę dymu i od niechcenia pstryknął niedopałkiem, który poszybował gdzieś w kierunku ulicy.

– Widzisz, ty, Kaziu, całe życie martwiłeś się o wszystkich. Nawet o tego okrutnika. Prał matkę, ciebie, mnie złamał nos na trzynaste urodziny, a ty dalej widziałeś w nim człowieka. Ba, nawet gotowyś mu wybaczać. Ja natomiast, drogi bracie, twierdzą, że to był kawał chuja i tyle. Teraz już nie musisz się o niego martwić. Pamiętaj tylko, że masz mnie i że musisz być mądry. Więc weź odszkodowanie, spożytkuj je na swoją naukę i pochowaj tego tyrana. Ja nie chcę złamanego grosza od tego sadysty. Z mamą pewnie się nie spotka, bo mu dupę osmażą w piekle i tyle w temacie – prychnął.

– Mówisz tak, jakbym cały czas miał dziesięć lat.

– Daj spokój. Chodźmy lepiej coś zjeść, głodny jestem jak wilk. W jednostce tylko kasza albo ziemniaki. Opowiesz mi wszystko o tych formalnościach.

– A co, nie jadłeś w koszarach? – Młodszy brat spojrział na zegarek.

– Nie, kochanieńki, twój brat właśnie ma służbę – mruknął Radek i ruszył przed siebie.

Dwie przecznice dalej znajdowała się skromna restauracja, choć może to za wiele powiedziane i bardziej stosownym określeniem byłaby garkuchnia. Jedno jest pewne, podawano tam świetne pierogi. Radek wraz z kolegami, gdy mieli chwilę czasu wolnego w jednostce, zrywali się niepostrzeżenie, żeby zjeść porcję ruskich i wychylić kufel piwa. Tak było i tym razem. Kolega Radka miał u niego dług wdzięczności, więc zostawił go na służbie i pobiegł na miasto na spotkanie z bratem. Mimo tych drobnych występków plutonowy należał do sumiennych żołnierzy, tych, których przełożeni zawsze stawiają innym za przykład.

„Patrzcie, jak powinna wyglądać zasłana prycza”, albo: „Makarewicz nigdy nie narzeka”, mówili. On wszystkie te pochwały puszczał mimo uszu i nie okazywał żadnych emocji. Tak naprawdę był posłuszny i małomówny, to była jego recepta na przełożonych. Nierozpieszczany przez życie, szybko nauczył się sprytu, a instynkt samozachowawczy posiadał, pobierając nauki na ulicy. Dostosowywał się do otoczenia dużo szybciej niż inni. W wojsku mu się nudziło, ale nikomu o tym nie mówił.

Czasami urozmaicał swoje życie drobnymi wybrykami, ale najlepszym lekarstwem na nudę był wysiłek fizyczny. Uwielbiał boksować. Na sali treningowej czy w ringu zatracił się całkowicie. Wtedy czuł się lekki niczym ptak szybujący bez cienia wysiłku. Cały ciężar przeszłości plutonowy Makarewicz zostawiał w szatni, a gdy wkładał rękawice, był już innym człowiekiem.

Gdy wyszli z za rogu, tuż za skrzyżowaniem pojawił się mały znajomy szyld i stary napis na szybie. Młodszy z braci, nie kryjąc zdziwienia, zauważył:

– Radek, patrz, jaka ironia losu. Restauracja nazywa się Kolejowa.

– No popatrz – uśmiechnął się. – To urządzimy staremu stypę. Zobaczysz, jakie tu mają pierogi, a barmanka ma taki biust, że palce lizać.

Gdy wchodzili do środka, Radek zastanowił się przez chwilę, czy dobrze robił, starając się chronić młodszego brata przed światem. Kazik był bardzo delikatny i uczuciowy, Radek bał się, że życie obchodzi się z takimi ludźmi nad wyraz szorstko. Przypomniał sobie, jak pijany ojciec szukał pretekstu, żeby sprać Kazika, wtedy on bardziej go prowokował, żeby wyżył się na nim, bo jest starszy. Zastanawiał się, czy postępował właściwie. Chociaż gdzieś w głębi duszy czuł, że robił dobrze. Kochał chłopięcą i delikatną naturę brata. Ciekawe, czy kiedykolwiek będę w stanie mu to powiedzieć? – pomyślał, po czym przyjrzał się już dorosłemu studentowi.

– To jak, Kaziu, obracasz jakaś pannicę na tym twoim uniwersytecie? Jakie są te inteligentki w łóżku, co? – Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Ty tylko o jednym! Siądźmy tutaj. – Młodszy brat wskazał stolik pod oknem.

Restauracja była schludna i czysta. Skromne dekoracje i kilka fotografii bydgoskich warsztatów kolejowych dekorowało ściany. Właścicielka dawała z siebie wszystko, kuchnia zawsze pachniała domowym jedzeniem. Okno przy stoliku wychodziło na ulicę. W szybie co chwilę migali przechodnie, w ogóle nie zwracając uwagi na gości restauracji. Zupełnie tak, jakby nie istniała.

– Kazik, uprzedzam, te pierogi uzależniają jak machorka. Więc co złego, to nie ja – rzucił Radek.

Student nie zareagował, sparaliżowany strachem, tylko zerkał w stronę trzech głośno bełkoczących pijaków, którzy wisieli na kontuarze baru. Barmanka, gestykulując, odganiała się od ich słów, jakby przepędzała natrętne muchy pchające się do domu.

– Nie przejmuj się nimi. Nie tylko pierogi i cycki pani Gabrysi przyciągają tu ludzi. Osiedlowe ochlejmordy zrobiły z tego miejsca pijalnię piwa. To co, po talerzu ruskich i kufelku? – Radek klepnął brata po ramieniu i podszedł do baru. – Dzień dobry, pani Gabrysiu – przywitał się jak zwykle.

Trzech oprychów zerknęło na niego spode łba, wyczuwając obcego, który śmie przerywać flirt z ich barmanką.

– A dzień dobry panu. Dawno pana u nas nie było. Podać to, co zwykle? – Uśmiechnięta kobieta powiedziała to tak, jakby pijacy w ogóle nie istnieli.

– Tak, szanowna pani. Tylko dziś dwie podwójne porcje i dwa piwka. – Radosław odwzajemnił uśmiech i ukradkiem spojrzął w jej dekolt, który odsłaniał tylko skromną część jej ogromnych i sterczących piersi. Kobieta od razu wyczuła to spojrzenie

i odwdzięczyła się zalotnym uśmiechem. Zaczęła nalewać piwo. Trzech zdrowo podchmielonych miejscowych dalej przysłuchiwało się pogawędce żołnierza i barmanki. Jeden z nich, w wieku około czterdziestu lat, barczysty i wysoki, zmierzył go wzrokiem po raz kolejny i otarł przedramieniem usta. Na twarzach dwóch mniejszych malowały się zadziorne uśmieszki.

– A cóż to, kuchnia naszej kawalerii nie wystarcza? Postaw kolejeczkę, plutonowy – wybełkotał podchmielony herszt.

Pani Gabrysia spojrzała błagalnie na Radka i postawiła ociekające pianą kufle na blacie. Żołnierz, gdy tylko usłyszał pijacki bełkot, w jednej chwili przypomniał sobie typowy dzień ze swojego rodzinnego domu. Ojca wracającego z pracy, jak zwykle pijanego, matkę, która robiła wszystko, żeby nie było do czego się przyczepić. Ten jednak zawsze znajdował powód. Najmniejszy pretekst wystarczał mu do awantury. Bełkotliwy głos wzbudzał w Radku agresję psa, który zaraz będzie bity przez swojego pana. Pomyślał o Kazimierzu, a jego gniew od razu zelżał.

– Ile płacę, pani Gabrysiu?

– To będzie dwa i pół złotego.

Gdy Radek włożył rękę do kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy, rosły pijak sięgnął po kufel pełny piwa. Całe zdarzenie z oddali obserwował już wyraźnie przerażony Kazimierz. Plutonowy położył dwuzłotowy banknot i pięćdziesiąt groszy na ladzie i dyskretnie skontrolował odległość od brata. Był bezpieczny. Przymrużył oczy, jakby chciał podświadomie ostrzec pijaka, mówiąc: „Nie szukam awantury”.

– Zostaw to – wycedził.

– Bo co, hardy kawalerzysto – prychnął drab z pogardą.

Tego rodzaju sytuacje były Radkowi dobrze znane, bywał w nich wiele razy w swoim krótkim, ale intensywnym życiu. Wciąż uczestniczył w bijatykach. Na początku z mizernymi skutkami, ale z czasem nabrał wprawy. Wszyscy na osiedlu wiedzieli, kim jest Makarewicz. Półświatek szybko go zauważył i wessał jak potężny wir. Wiedział, że jeśli nie zerwie z otoczeniem, to albo wyląduje w bramie z nożem między żebrami albo w więzieniu.

Gdy wstąpił do wojska, jego talent nie od razu został zauważony. Życie znowu postawiło go w sytuacji, w której należało walczyć o swój teren. Okazja nadarzyła się tuż przed jego dwudziestymi trzecimi urodzinami. Wieść o ciężkim nokaucie ważącego co najmniej piętnaście kilogramów więcej kucharza rozeszła się po jednostce szybciej niż meldunek o zbliżającym się batalionie wroga.

Niedługo po tym Makarewicz trafił w ręce trenera, który prowadził garnizonową szkółkę pięściarzy, i znalazł się w ringu. Po roku już uchodził za najlepszego w swojej wadze. Gdy go pytali, skąd ma taki talent, wzruszał ramionami, mówiąc, że po prostu lubi

się bić. Nikt nie wiedział, że był przyzwyczajony do przyjmowania razów, które już od dawna nie osłabiały jego koncentracji. Uwielbiał sparringi i zawody między jednostkami. Dodatkowo spryt i piekielnie szybkie ramiona pozwalały mu zarobić kilka dodatkowych groszy w nielegalnych walkach, które odbywały się w mieście.

Patrząc na pijaka, pomyślał, że teraz pozostaje już tylko wyprowadzić przeciwnika z równowagi. Gdy ten straci panowanie nad sobą, ruszy do ataku, a on zyska przewagę. Od zawsze o wiele bardziej pasowała mu walka w defensywie. Ukradkiem zerknął na prawą dłoń napastnika, zaciśniętą na kuflu. Umysł Radka zanotował, że przeciwnik prawdopodobnie nie jest mańkutom, i szybko opracował taktykę obrony. Towarzysze draba stali za nim w rzędzie, opierając się o bar, obserwując całe zajście. Należało zrobić miejsce i trzymać wszystkich w zasięgu wzroku, podpowiadał żołnierzowi instynkt.

– Powiedziałem: zostaw to i wypierdalaj – syknął.

W tym momencie podchmielony pijaczyna puścił kufel, cofnął ramię i bardzo niestarannie zadał widoczny cios. Nogi Radosława ugięły się, przepuszczając prawego sierpowego nad głową. Robiąc unik, równocześnie skręcił tułów i w ułamku sekundy uderzył przeciwnika w brzuch. Cios padł w idealnym momencie, dokładnie wtedy, gdy napastnik wypuścił z przepony całe powietrze.

Makarewicz po raz drugi przysiadł, delikatnie cofając lewą pięść, jakby wątroba napastnika parzyła, niczym rozgrzana blacha, po czym odchylił plecy i od razu pchnął całą masę ciała przed siebie. Kopniak trafił prosto w upatrzone miejsce, tam, gdzie prawe udo łączy się z miednicą. Napastnik, obracając się z impetem, upadł jak kłoda, zgarniając przy tym jednego ze swoich kompanów. Trzeci, widząc całe zajście, instynktownie uniósł ramiona do gardy. Lekko oszołomiony sytuacją, ruszył na kawalerzystę. Radosław wypuścił lewe ramię, skręcając tułów po raz kolejny. Oprych automatycznie uniósł pięść do obrony, nie wiedząc, że to tylko markowany cios. Odslonił prawą stronę szczęki, opuszczając mimowolnie swoją lewą dłoń. Wtedy ciało plutonowego było już skręcone w drugą stronę, a jego ręka wystrzeliła w kierunku pijaka, zadając mu piekielny prawy sierpowy. Wszedł wzorowo. Makarewicz, zadając cios, wypuścił trochę powietrza, sycząc niczym maszyna parowa zrzucająca nadmierne ciśnienie. Od zawsze zastanawiało go, jak to jest, że przed nokautem przeciwnicy, zanim osuną się na nogach, mają czas na grymas zdziwienia. Jakby nie godzili się z zaistniałą sytuacją, myśląc: „ale skąd?”.

Pijak zatoczył bezwładnie ręką, pokręcił głową niczym głupi kozioł, który przed chwilą omyłkowo uznał mur za przeciwnika. Nogi nie dawały mu już oparcia. Zatańczył i padł, ciągle trzymając gardę, zupełnie jakby umysł zatrzymał mu się po piekielnym ciosie w szczękę.

– Dosyć! – krzyknęła zza baru pani Gabrysia.

Wrzask przerażonej kobiety zdekoncentrował plutonowego. Obrócił się w jej kierunku i spojrzał na nią z lekkim zażenowaniem. W tym samym czasie potrącony przez olbrzyma

pijak wy dostał się spod ciała prowodyra bójki. Ten, trzymając się za brzuch, ciągle leżał w pozycji embrionalnej i łykał powietrze jak płóć dopiero co wyciągnięta z wody. Zbir, tylko lekko poobijany, podniósł się i wykorzystując chwilę nieuwagi Radka, skoczył do niego, łapiąc go w pasie.

Kazimierz, przyglądający się wszystkiemu, był tak sparaliżowany przez strach, że choćby chciał krzyknąć: „uważaj”, po prostu nie był w stanie. W jednej chwili oprych obrócił się z Radkiem na pięcie, tracąc przy tym równowagę. Obydwaj zatańczyli jak pijana para i z impetem wypadli przez szybę prosto na chodnik.

– Stoop!!! – Gabrysia dała upust emocjom tak głośno, że gdyby nie walczący, to pewnie szyba i tak by wypadła.

Radek odzyskał trzeźwość umysłu, ciągle huczało mu w uszach. Los chciał, że znalazł się w gorszej sytuacji, napastnik już na nim siedział. Właśnie składał pięść, równocześnie cofając prawe ramię, aby zadać cios. Kawalerzysta instynktownie uwolnił swoją lewą nogę, zgiął ją w kolanie i wsunął pod pachę napastnika, blokując jego klatkę piersiową, uniemożliwiając opadnięcie pięści na swoją szczękę. Ręce wróciły do gardy, rutynowo chroniąc głowę. Były pocięte i czerwone od krwi. Drugą nogę Radek założył na głowę przeciwnika i skręcił tułów z całej siły, podnosząc się równocześnie na prawym łokciu. Napastnik przez chwilę nie wiedział, co się dzieje, a już na pewno, jakim cudem znalazł się pod żołnierzem. Kawalerzysta, odbijając się ręką od podłoża, dostrzegł nieosłoniętą twarz przeciwnika. Wiedział, że to dla niego koniec. Prawa dłoń żołnierza cofała się niczym cięciwa łuku, która zaraz wypuści strzałę, może dwie. A chciałem tylko zjeść pierogi, pomyślał.

W tym momencie niecodzienny, wysoki dźwięk gwizdka dotarł do jego uszu. Zanim zdążył zadać kończący cios, zrobiło się błogo i przyjemnie ciepło. Radkowi ktoś zgasił światło na dworze. Wydawało mu się, że ciemność trwa wieki. Gdzieś daleko słyszał jakieś dźwięki, jakby dochodziły z dna od lat nieużywanej studni. Stawały się coraz wyraźniejsze, w końcu, niczym lawina, do głowy dotarł nieznośny ból. Radek miał wrażenie, że od wewnątrz czaszki para gwoździ bezlitośnie uwiera go w oczy. Ocknął się.

Ktoś w ciemnogramatowym mundurze podnosił go za ramiona. Zauważył otwarte drzwi policyjnego samochodu i policjanta, pakującego jego przeciwnika na tylną kanapę. Wszystkiemu przyglądał się brat i śmiertelnie przerażona pani Gabrysia. Dotarło do niego, że właśnie został aresztowany.

Rozdział 9

Feliks podniósł jedno z feralnych zdjęć do góry i wskazał palcem na formację pojazdów.

– Panowie, jeszcze niedawno słyszałem, jak żołnierze śmieją się, że Niemcy budują czołgi, które mają wieże z tektury. To poniekąd prawda, ale ćwiczą na nich tak, że jednostki pancerne Wehrmachtu pełną gotowość osiągną dwa razy szybciej, niż ktokolwiek sobie potrafi to wyobrazić. W raporcie zamieściłem ciekawą notatkę dotyczącą tamtejszych urlopów. Żołnierze niemieccy narzekają jak nigdy, a przepustka dłuższa niż czterdzieści osiem godzin to tam cud. Francuzi patrzą na to, piją wino w swoich grubych bunkrach i szydzą z Hitlera. Tymczasem „ciągniki rolnicze”, tak się dzisiaj nazywają czołgi na rachunkach wystawianych dla potrzeb Ligi Narodów, wyjeżdżają z fabryki. Jeden za drugim. Nie spodziewam się, aby ktokolwiek przewidywał nadzwyczaj obfite zbiory w Hesji. Te „ciągniki” niedługo będą miały wieże, a na nich białe krzyże. Do tego, oprócz tak intensywnych manewrów, Niemcy angażują się jeszcze w wojnę domową w Hiszpanii. To nic innego jak tylko miejsce treningowe dla Luftwaffe. Zobaczywszy te wszystkie działania, sądzimy, że przyszła wojna będzie zupełnie inna niż poprzednie. Będzie to wojna ruchoma, w której armie pancerne i lotnictwo odegrają główną rolę.

– Za bardzo się pan emocjonuje – powiedział Ordyński. – Zupełnie niedawno czytałem raport porucznika Kryszalowicza, gdzie jasno stwierdza, że głównym elementem pociągowym armii Trzeciej Rzeszy jest ciągle konnica.

– Dokładnie, panie generale, ciągle i zapewne się to jeszcze przez jakiś czas nie zmieni. Mimo to dwa tygodnie temu poprosiłem pewnego technologa o przedstawienie mi wzoru matematycznego prognozującego tempo wzrostu produkcji pojazdów mechanicznych. Gdy wprowadziłem dane wywiadowcze dotyczące kilku niemieckich ośrodków przemysłowych, to na początku pomyślałem, że popełniłem błędy w obliczeniach. Okazuje się, że jednak nie. Ciężko szacować, kiedy Niemcy osiągną pełną mechanizację, ale bez wątplenia, jeżeli utrzymają tempo wzrostu, będzie to jedna z najnowocześniejszych armii na kontynencie – rzucił z przejęciem major i spojrzał po dowódcach.

Generał Wachowicz przełożył kilka kartek i obrzucił wzrokiem porozkładane fotografie.

– Rozumiem, panie majorze, ale my przez ten czas nie będziemy stali w miejscu. Przechodzimy gruntowną reorganizację i wdramy innowacyjne projekty modernizacji armii. Do tego stan liczebny naszej artylerii stale się powiększa.

– To prawda, panie generale, i doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Tak naprawdę dlatego tu jestem. Ponieważ cały swój wywód – wskazał palcem na dokumentację na stole – prowadziłem w porównaniu z siłami zbrojnymi Rzeczypospolitej. Każdy z panów przekonał się na własnej skórze, że czołgi wraz z lotnictwem odgrywają jedną z najważniejszych ról na współczesnym polu bitwy. Pokazała to końcówka Wielkiej Wojny. Teraz dowodzą tego wojny w Chinach i Hiszpanii. Ja staram się panom pokazać, że nasz sąsiad poszedł o krok dalej. Oprócz tego, że produkuje nowoczesne jednostki pancerne i lotnicze stara się zmotoryzować tak bardzo, jak tylko może, z piechotą włącznie. Sztab generalny Hitlera dokładnie przeanalizował rolę tych jednostek. Te proste szacunki mówią same za siebie. Proszę zauważyć. U nas ciągnik artyleryjski kosztuje mniej więcej od ośmiu tysięcy sześciuset do dziewięciu tysięcy złotych. Do ciągnięcia ciężkiego działła, aby utrzymać tempo, potrzebnych jest osiem koni. Dziewiąty jest działonowego. Koń ullański kosztuje tysiąc dwieście złotych, artyleryjski – osiemset, zwykły taborowy, dobry – około sześćset złotych. Koń zaczyna służbę w wieku mniej więcej czterech lat, a kończy, mając około szesnastu lat. Oficerski dłużej, powiedzmy, osiemnaście lat. Koszt dziennego wyżywienia zwierzęcia to około dwóch złotych, żołnierza niecała złotówka. Ciągnik artyleryjski, gdy stoi, nie wytwarza kosztów i gdy tylko ma paliwo, jest w każdej chwili gotowy do działań operacyjnych. Generałowie już dawno przekonali Hitlera, że szybkie tempo marszowe i mocna siła uderzeniowa to przyszłość na polu bitwy. Wojna okopowa to przeżytek. Zapewniam panów, że machina gospodarki zbrojeniowej Rzeszy wydaje na te cele każdy gram złota, który wpadnie im w ręce. Powracając do mechanizacji, to aby zobrazować szybko sprawę, powiem, że u nas jeden samochód przypada na siedmiuset siedemdziesięciu obywateli, a w Rzeszy – na siedemdziesięciu.

Generał Wachowicz oparł się wygodniej.

– To prawda, ale u naszych francuskich sojuszników średnio na trzydziestu.

– Ma pan sto procent racji, generale, ale gdy zmierzmy tempo wzrostu...

Feliks nie skończył. Rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

– Proszę! – rzucił generał Kaźmierczak.

Rozalia otworzyła drzwi. Jedną ręką przytrzymała skrzydło, a drugą trzymała tacę z serwisem i dzbankiem pełnym kawy.

– Dzień dobry panom – powiedziała uśmiechnięta.

Ręka pod ciężarem tacy zadrżała jej lekko. Po sali rozeszło się delikatne dzwonienie porcelany. Feliks się poderwał.

– Pomogę pani.

– Ach, dziękuję, panie majorze – odpowiedziała.

Feliks odebrał od niej tacę. Rozalia zaczęła ustawiać filiżanki, myśląc o tym, aby się nie zaczerwienić. Gdy podniosła głowę, Zygartowicz pochwycił jej wzrok i obdarzył ją ciepłym uśmiechem.

Elegancka sekretarka wyglądała zjawiskowo. Zdecydowanie niejedna nastolatka pozazdrościłaby Rozalii Bąkiewicz urody i wdzięku. Jej delikatna dziewczęca twarz z dużymi niebieskimi oczyma, które błyskały refleksami niczym dwa kyanity znalezione gdzieś głęboko w zapomnianej kopalni, wręcz zmuszała do tego, aby się jej przyglądać. Pełne usta dodawały jej urody. Feliks przyjrzał się jej dokładnie. Zastanawiał się nad tym, co w tej kobiecie jest aż tak pociągającego. Zaiste było to piękne zjawisko.

Na pierwszy rzut oka Rozalia sprawiała wrażenie niedostępnej. Feliks dobrze wiedział, że wymagające i błyskotliwe kobiety często bywają bardzo samotne. Było w niej coś nieodgadnionego. Coś, co chciał odkryć. Uśmiechnął się do siebie. Poczł się tak, jakby wygrał los na loterii, a sama myśl o jego sprawdzeniu wywoływała delikatny dreszcz.

– Życzą sobie panowie coś jeszcze? – zapytała.

– Nie, dziękujemy – powiedział Kaźmierczak. – Jest pani niezastąpiona – dodał.

Sekretarka posłała generałowi promienny uśmiech i zniknęła za drzwiami. Generałowie nalali sobie po filiżance kawy. Ordyński wyciągnął kolejnego papierosa, a Kaźmierczak nabijał fajkę. Major wrócił do rzeczywistości i spojrzał na generała Wachowicza, który ułożył dokumenty jego raportu w równą stertę.

– Antoni, myślę, że pomysł sprzed tygodnia o wydzieleniu niezależnej komórki Zachód był bardzo trafiony. Dzięki majorowi mamy na to niezbite dowody.

– W rzeczy samej, drogi Janie. – Kaźmierczak pyknął z fajki.

Szef wydziału wywiadowczego strzepnął popiół do popielnicy i przesunął do przodu jedną kartkę maszynopisu.

– I ja się zgadzam, chociaż ciągle uważam, że i tak prędzej czy później zebralibyśmy te dane, a major Zygartowicz pozyskiwał je w wielce niebezpieczny sposób, ale to przedyskutuję z nim przy innej okazji. Tymczasem intryguje mnie kolejna sprawa. Po przeczytaniu tych wszystkich stronic odnoszę wrażenie, że wielce się pan niepokoi, iż Hitler zaatakuje nas lada moment. Skąd te wnioski, majorze?

– Przyznam, że i ja odniosłem podobne wrażenie – dodał Wachowicz. – Na podstawie tych danych ciężko o aż tak śmiałą tezę. Naprawdę sądzi pan, że tak rychło przegramy z Hitlerem? Bo w mojej ocenie nie odważy się nas zaatakować. Zresztą walka na dwóch frontach to dla Wehrmachtu samobójstwo.

Ordyński, słysząc słowa szefa wydziału ewidencyjnego, machinalnie skinął głową.

– Panowie, ja uważam, że sztab Hitlera przewidział walkę na dwóch frontach – powiedział major spokojnym głosem.

– Może oświeci nas pan, na jakiej podstawie doszedł do takich wniosków? – rzucił Ordyński bez wahania.

– W tymże właśnie celu budują linię Zygfryda.

– Bzdura. To jasne, że obawiają się największej armii w Europie.

– Zgadza się z tym – wtrącił Wachowicz. – Do tego polityka Francji jest ściśle powiązana z polityką Wielkiej Brytanii, ba, jest ona nawet od niej uzależniona. Mimo wielu przeszłych różnic dziś, oprócz kilku niuansów, oba kraje mówią jednym głosem. To wielka siła, panie majorze. Daladier i Chamberlain o tym wiedzą i jak trzeba, staną ramię w ramię przeciwko Hitlerowi.

– Skoro tak, to dlaczego dokładnie miesiąc temu, bez mrugnięcia okiem, oddali Hitlerowi część Czechosłowacji? Nawet gdyby wierzyć w to, że oba te morskie kraje zaraz po inwazji Niemiec opowiedzą się oficjalnie po naszej stronie, to nadal pozostaje jedno pytanie. Proszę mi wyjaśnić, w jaki sposób pomogą nam sojusznicy? Jak utrzymamy szlaki komunikacyjne, które są podstawą prowadzenia wojny na takich zasadach?

Przez chwilę w pomieszczeniu panowała cisza. Wszyscy dobrze wiedzieli, że podczas dyktatu monachijskiego premierzy Francji i Anglii oddali część Czechosłowacji w ręce Rzeszy, aby uspokoić Hitlera. Doskonale zdawali sobie sprawę z napięcia panującego w Europie.

– Skąd ta pewność, że Hitler nas zaatakuje?

Gdy Feliks usłyszał pytanie Ordyńskiego, zerknął na Kaźmierczaka, który paląc fajkę, niemal niewidocznie pokręcił głową ze zdumienia. Major poczuł, jakby przez ostatnią chwilę mówił do zwierzchników, używając jakiegoś niezrozumiałego języka.

– Już triumfuje w Europie. Anglicy myślą, że Monachium go ostudzi, a to okazywanie słabości i wręcz przyzwolenie na dalsze poczynania. Może następni będziemy my?

– Chyba pan zapomina, do kogo mówi – warknął Ordyński.

– Panie majorze, wróćmy do meritum dyskusji. Tego typu uwagi proszę zachować do klubu oficerskiego – powiedział poważnie Kaźmierczak i wygodniej rozparł się na krześle.

– Przepraszam panów. Jest kilka ważnych powodów, dla których sędzę, że Hitler zaatakuje. Jeden jest nam powszechnie znany. To traktat wersalski i brak zgody na jego ustalenia. Niezadowolenie i napięcie w Europie trwają ciągle od początku lat dwudziestych. Teraz, oprócz wzgardzonej Rzeszy, mamy na wschodzie czerwoną hołotę, która spędza sen z powiek spokojnej Europie. Wracając do Rzeszy, to że Hitler przekonał Niemców, że są najważniejszym narodem w Europie, widać gołym okiem. Najpierw

anszlus Austrii, teraz dyktat monachijski, za takie posunięcia traktują go tam niczym boga. Można by doszukiwać się najważniejszej przyczyny wszczęcia konfliktu w Europie u samych podstaw, tam, gdzie geografia i bankierzy determinują całą politykę, ale myślę, że jest jeszcze ważniejszy powód, który może stać się punktem zapalnym. To ideologia.

Generał Wachowicz, skupiony na wyjaśnieniach majora, teraz podniósł głowę.

– Co ma pan na myśli? – rzucił.

– Otóż w Niemczech funkcjonuje ideologia, która wygląda na rodzaj usprawiedliwienia przyszłych działań. Czy słyszeli panowie o Związku Artamanów? Tworzą go wspólnoty rolnicze założone w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku przez wielkiego entuzjastę higieny rasowej. Jednym z celów tego związku było wyparcie polskich robotników, którzy pracowali w majątkach wschodnich Niemiec, ale tak naprawdę głównym celem było odzyskanie terenów utraconych w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku na rzecz Polski. Ruch od założenia działa prężnie, w prasie pojawiają się artykuły o koniecznej kolonizacji Wschodu i przeniesienia środka ciężkości w tymże kierunku. Pojawia się także hasło powiększania przestrzeni życiowej. Na przykład treść numeru „Artam Ostmark” z trzydziestego trzeciego roku, można by streścić mniej więcej tak: „Powrót na ziemię ojców jest celem naszego ruchu, gdyż tylko w ten sposób można uzdrowić naszą rasę i stworzyć jej perspektywy przeżycia”.

– Przecież to tylko chora ideologia jakiegoś mało znaczącego ruchu – przerwał jak zwykle Ordyński. – Jak to ma się do realiów przyszłej wojny? – dodał.

– Chyba wiem, do czego zmierza pan major – odezwał się Wachowicz. – Marsz na Wschód, czystość rasowa, powiększenie przestrzeni życiowej – dokładnie tę doktrynę zaadaptowała partia Hitlera.

– Rzeczywiście, panie generale i to co do joty. Niemal całe jego najbliższe otoczenie to ludzie, którzy wyrosli w jakimś kompleksie. Mówi się tam nawet o kolejnym imperium rzymskim.

Wszyscy spojrzeli z niedowierzaniem. Kaźmierczak z wrażenia wyciągnął fajkę z ust.

– Tak samo zareagowałem, jak o tym usłyszałem. Ciekawe, że nawet Heinrich Himmler był jednym z liderów ruchu Artamanów. Teraz buduje armię wandalów i bandytów w mundurach z czaszkami na kołnierzach. Oni chcą udowodnić światu, kto jest panem. Wiem, to chore, ale taka duma może stać się punktem zapalnym. Moim zdaniem tego lontu nie da się już zgasić. Oni po prostu chcą wojny.

– Dobrze. Więc co pan sugeruje?

Feliks zerknął na generała Kaźmierczaka. Major wiedział, że musi dotrzymać słowa i nie wygłaszać przewrotowych teorii. Ordyński był ciągle wściekły, a cała ta dzisiejsza rozmowa niedługo trafi do wodza naczelnego. Poza tym Feliks nie chciał sprawiać generałowi więcej problemów, bo miał jeszcze jedną prośbę, której spełnienie leżało

w gestii szefa sztabu. Nabrał spokojnie powietrza i zaczął:

– Sytuacja jest napięta, a nic nie wskazuje na ocieplenie stosunków na linii Rzeczpospolita – Niemcy. Uważam, że powinniśmy zintensyfikować przygotowania. Moim zdaniem Trzecia Rzesza szykuje się do wojny.

– Panowie! – Kaźmierczak poczuł, że czas zakończyć spotkanie i zwrócił na siebie uwagę. – Myślę, że dalsza dyskusja powinna odbyć się z udziałem wodza i ministra spraw wojskowych.

Ordyński i Wachowicz, lekko zamyśleni, spojrzeli na szefa sztabu.

– Przedstawimy mu sytuację i wyjaśnimy nagłą potrzebę wydzielenia oddzielnej komórki Zachód. Gracjanie, ile czasu ci trzeba na złożenie całego materiału?

– Oczekajmy kilka dni. Gdybyś mógł nie informować Tadeusza o okolicznościach aresztowania Zabła...

– W porządku.

– Dodatkowo chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia Höppner.

– Rozumiem. A ty, Janie?

Wachowicz podrapał się po brodzie.

– Potrzebuję kilku dni na skonfrontowanie raportu z moimi danymi. Wtedy będę gotowy.

– Dobrze. W takim razie jeszcze dziś porozmawiam z marszałkiem i ustalę termin narady, a na chwilę obecną to wszystko – rzucił szef sztabu.

Oficerowie zaczęli się zbierać. Gdy Feliks podniósł się z krzesła, Kaźmierczak obrzucił go wzrokiem.

– Z panem, majorze, zamienię jeszcze kilka słów – rzucił poważnie.

Horyzont gdzieś daleko pożerał słońce kawałek po kawałku. W sali konferencyjnej zapanował półmrok, a łysina Kaźmierczaka zdecydowanie straciła blask. Ilość dymu papierosowego sprawiała, że miało się wrażenie, jakby w pomieszczeniu weszła wieczorna mgła.

– Rusz się i zapal światło – padło z ciemności.

Feliks wstał bez słowa i pstryknął przełącznik. Trzy kinkiety w kształcie bliżej nieokreślonego kielicha kwiatowego rzuciły salonowe światło na tapetę z francuskim wzorem. Kaźmierczak po raz enty sięgnął po pudełko z tytoniem. Feliks obrzucił go spojrzeniem i pomyślał o szeroko zakrojonej akcji antynikotynowej w Trzeciej Rzeszy, o której słyszał. Zastanowił się, czy przebywając w jednym pomieszczeniu z palaczem tytoniu, tak samo jak palacz narażony jest na raka płuc. Może i nam przydałaby się choćby część z niemieckiej propagandy, pomyślał. Generał skończył pracę ubijakiem

i przyłożył do papierosa zapaloną zapałkę.

– Trzymasz jeszcze jakieś rewelacje w zanadrzu? – rzucił między pykaniem. – Może zaraz mi powiesz, że mamy kreta w sztabie, co?

– Przepraszam, generale, nie chciałem pana bardziej wyprowadzać z równowagi. Zresztą informacje były jeszcze niepotwierdzone.

Kaźmierczak pokręcił głową z niedowierzaniem.

– A gdyby Höppner okazał się fałszywką? Wiesz, gdzie teraz byś przebywał?

Feliks skinął głową.

– Musieliśmy podjąć to ryzyko. Niepodejmowanie działania mogło okazać się niewybaczalne. Zresztą aż strach pomyśleć, ile cennych informacji wylądowało w rękach Niemców.

Kaźmierczak puścił chmurę dymu i utkwiał wzrok w suficie.

– Za kilka dni spotkam się z marszałkiem – rzucił. – Pomijając wszystkie te gloryfikacje Francuzów i Anglików, którzy dla większości sztabu wydają się podstawą planu wygrania przyszłej wojny z Niemcami, powiedz mi, po tym wszystkim, czego się dowiedziałeś przez ostatnie dwa lata: co powinniśmy zrobić?

– Gdyby to ode mnie zależało, przystałbym na wszystkie warunki Hitlera. Robiłbym wszystko, aby kupić nam jak najwięcej czasu, a nawet – major zatrzymał się i rozejrzał dookoła, zupełnie jakby chciał dać znać, że powie coś zaskakującego – sprowokowałbym Trzecią Rzeszę do ataku na Francję.

– Do reszty zwariowałeś.

– Nie do końca, panie generale. Jakkolwiek by na to patrzeć, jeśli wojna zacznie się u nas, to na pewno ją przegramy.

– Co ty pleciesz, Feliks? Naprawdę zaczynasz drażnić mnie tym defetyzmem.

– Przykro mi, ale to prawda. Założmy, że opierając się Niemcom, nasi alianci zaatakują ich od zachodu. Rzesza po wyczerpującej walce przegrywa z dzielnymi Francuzami i Anglikami, tracąc zagłębnie surowcowe. Hitler, będąc w potrzasku, zmuszony jest szukać sojusznika. Pierwszym z nich będzie Stalin. Wtedy Hitler ani chwili nie zawaha się oddać nas w ręce bolszewików. Na sojusz Hitlera ze Stalinem cała zachodnia Europa ze strachu usiądzie do rozmów pokojowych. Anglicy i Francuzi bez wahania połączą taki manewr deeskalacyjny, a żądając gwarancji pokoju, będą skłonni zaakceptować roszczenia. Wystarczy posłuchać Lloyda George'a w Izbie Lordów bądź przywołać stanowisko Anglii, gdy odzyskiwaliśmy Wilno. Druga opcja to rozstrzygnięcie konfliktu przez szybką i ruchomą wojnę. Rzesza Hitlera atakuje Rzeczpospolitą większością swojej siły, która na obecną chwilę jest druzgocąco przeważająca. Na zachodzie, na linii Zygryda okopani Niemcy wstrzymują ofensywę aliantów. Nasze serce

przemysłowe jest zaraz przy granicy, zresztą sama granica z Niemcami ma ponad dwa tysiące kilometrów. Utrzymanie takiego frontu przy obecnym stanie armii jest niemożliwe. Okopowa walka na zachodzie, odcięte szlaki komunikacyjne – to skutkuje długoletnią okupacją niemiecką całego naszego kraju. Trzecia opcja jest taka, że Hitler rozprawi się z nami, a potem całą siłą zaatakuje Francję; jeśli mu się to uda, to Anglicy będą tak zagrożeni, że od razu zwrócą się o pomoc do naturalnego sojusznika, czyli USA, a jak to nie poskutkuje, to do Sowietów. Wtedy jesteśmy straceni. Wszystko przeżyję, ale nie jeszcze raz bolszewików na naszej ziemi.

– Wiesz, co mnie najbardziej przeraża? Nie sama jasność tego rozważania, tylko to, że nikt tych wywodów nie zaakceptuje – rzekł Kaźmierczak.

– Panie generale, ja mam dokładnie takie same obawy. Do tego mam przeczucie, że zrobiłem w tej kwestii wszystko, co mogłem.

Feliks podniósł wzrok i spojrzał na swojego zwierzchnika. Kaźmierczak zrozumiał aluzję i delikatnie skinął głową, dając sygnał, że spróbuje zrobić, co w jego mocy.

– Generale, mam jeszcze jedną prośbę.

Wiekowy oficer kiwnął przyzwalająco głową.

– Załóżmy, że moje przypuszczenia się sprawdzą. Chciałbym wykorzystać ten czas, który pozostał, jak tylko potrafię, i przygotować się, żeby ugościć niechcianych przybyszów jak najlepiej. Do tego potrzebna mi będzie mała grupa żołnierzy, których wyszkolę na agentów terenowych dość nietypowego oddziału, powiedzmy, dywersyjnego. Sposób wyszkolenia omawiamy od jakiegoś czasu z Wojciechem. Każdy z nich będzie zdobywał potrzebną wiedzę, aby w przyszłości móc działać w pojedynkę bądź werbować i tworzyć zorganizowane grupy. Głównymi ich zadaniami będą destabilizacja, zastraszanie i działania dywersyjne w najszerszym spektrum znaczenia tego słowa. Wszystko na terenie okupowanym przez wroga bądź terenie Trzeciej Rzeszy Niemieckiej. Zdobędą umiejętności łączności, kamuflażu, szyfrowania, wprowadzania dezinformacji, cichej likwidacji, popracuję nad tym, żeby potrafili integrować się ze społecznością cywilną pod odpowiednią przykrywką. Większość kandydatów będzie władała świetnie niemieckim, co w razie potrzeby pozwoli wrzucać ich głęboko w teren wroga.

Gdy Kaźmierczak usłyszał tę prośbę, podrapał się po jednodniowym zaroście, pyknął z fajki, patrząc w sufit.

– Chcesz, żebym ci pozwolił na stworzenie oddziału partyzantów w Wojsku Polskim?

– W zasadzie to tak, tylko z tą różnicą, że będziemy w miarę dobrze zaopatrzeni i ciągle Wojsko Polskie będzie głównym zwierzchnikiem.

– Oczywiście, że będzie zwierzchnikiem, i nawet nie próbuj mnie po raz kolejny wyprowadzać z równowagi. Czy ty myślisz, że to takie proste jak powiedzenie

Ordyńskiemu, że wypad nad niemiecki poligon był pod mym patronatem? Posłuchaj, od niedawna staramy się stworzyć strukturę armii Rzeczypospolitej na nowo, do tego twój raport ujawnił, jak daleko jesteśmy w tyle, a ty chcesz, żebym znikąd stworzył jednostkę. Chociaż to nawet nie jest właściwe słowo, bo to bardziej brzmi jak wataha samozwańczych rozrabiaków, puczystów, czy jak ich zwać. To raz, a dwa, gdyby nawet, to takie przedsięwzięcie trwa. Jednostka to kompletnie poroniony pomysł. To wymagałoby nadania statusów, stworzenia struktur, a przede wszystkim przekonania ministra spraw wojskowych i Rydza-Śmigłego o słuszności tego posunięcia. To są, jak ja, oficerowie starej daty, których przekonanie do takich rzeczy graniczy z cudem, poza tym wydaje mi się, że nie mamy tyle czasu. Ministerstwo nie jest skore do wydawania pieniędzy, tym bardziej na coś, co brzmi niedorzecznie, więc mówię „nie”. – Generał zatrzymał się i po chwili namysłu ponownie pyknął z fajki, kierując wzrok w sufit, jakby zastanawiając się nad czymś, co dopiero przyszło mu do głowy. Zygartowicz czuł, że nie należy mu przerywać. Po krótkiej chwili Kaźmierczak znowu zaczął:

– Chociaż... myślę, że widzę pewne wyjście i z tej sytuacji. Patrząc na fakt, że wydajesz się całkiem przekonujący. Zrobimy tak. Jak już, to pozostawimy sprawy takimi, jakimi są. Dodatkowo postaram się przekonać Ordyńskiego, żeby nie pchał cię na siłę gdzieś za biurko, bo to nie ma najmniejszego sensu. Powiem mu, że zdecydowanie należy ci się reprimenda za rozrabianie i oddelegujemy cię do szkolenia żołnierzy na nowych agentów terenowych. Ot, taki zwykły oficer szkoleniowo-werbunkowy. Oczywiście, postaramy się o przesunięcie cię do roli szkoleniowca bez żadnego uszczerbku dla swobody w działaniu, wtedy będziesz miał w miarę wolną rękę, wszystko będzie wyglądało jak kara, więc nawet Kutrzyk nie będzie węszył. Zresztą on pierwszy ucieszy się, że dostałeś po kufrze. Dam ci jeszcze jakieś drobne przywileje, żebyś mógł się jakoś doposażyć, ale podstawowym warunkiem jest to, że będziesz mnie o wszystkim informował na bieżąco. Zrozumiano?! – warknął nagle generał i wycelował fajką w majora.

– Ku chwale ojczyzny, panie generale. Bardzo dziękuję, to brzmi znakomicie. Pozwoli pan, że udam się w region, który znam dość dobrze. Przyzwyczaiłem się do rezydentury oficerskiej wywiadu w Poznaniu; początkowo myślałem, ażeby powrócić do mojej pierwszej jednostki, prosto do Bydgoszczy, ale znalazłem bardziej kameralne miejsce wypadowe. Myślę, że Leszno będzie w porządku, poza tym to bardzo blisko granicy z Niemcami, więc w razie jakichkolwiek konfliktów będziemy od razu na froncie. Gdyby pan mógł jeszcze dziś zatelefonować do Leszna i uprzedzić ich o moim przyjeździe...

Kaźmierczak tylko skinął głową.

– Oczywiście obiecuję, że nie podejmę żadnych poważniejszych działań bez uprzedniego powiadomienia pana i generała Ordyńskiego – dodał Feliks.

– To akurat jasne jak słońce. Możecie się szkolić, ale nie rozrabiać. Jeśli usłyszę

cokolwiek, co mnie zaniepokoi, od razu ucinam całą sprawę i wracasz pod komendę poznańskiej rezydentury, a chorąży Tuchowiak ląduje w jakiejś dziurze z piechotą i wykonujecie swoje standardowe obowiązki. Boże, co ja się z wami mam! Jak się marszałek dowie, że taki cyrk w Wojsku Polskim, to mnie buławą w łeb sieknie. Nowoczesność, cholera jasna!

– Tak jest! – powiedział Zygartowicz z wyraźnym zadowoleniem. – Panie generale, jest jeszcze jedna sprawa.

Tym razem Kaźmierczak miał wrażenie, że najzwyczajniej w świecie się przesłyszał.

– Nie przeciągasz zbyt długo struny?

– Proszę wybaczyć, ale muszę o tym wspomnieć.

– Mianowicie?

– Chciałbym poruszyć kwestię zaopatrzenia. Otóż pracując nad raportem dotyczącym sprawy Niemiec, sumiennie przysiadłem nad uzbrojeniem piechoty Wehrmachtu i ich konstrukcjami. Jako że dużo lepszy ze mnie strzelec aniżeli inżynier, potrzebowałem opinii jakiegoś wziętego rusznikarza. Los chciał, że trafiłem na polskiego konstruktora pana Maroszka. – Feliks skierował wzrok w kierunku generała i z zaciekawieniem oczekiwał reakcji zwierzchnika. Wyglądał na zaniepokojonego.

– Kontynuuj – rzucił krótko.

– Panie Antoni, wiem, że prowadzi się badania nad przynajmniej trzema sprawami dotyczącymi broni ręcznej piechoty. Na pewno rozchodzi się o samopowtarzalny karabin Parabellum kaliber dziewięć milimetrów i mauzerowski. Wiem też, że w dzisiejszych czasach ręczna broń przeciwpancerna to sprawa konieczna. Wiadomym mi jest, że takową już posiadamy.

– Jezu Chryste, czy ty wiesz, jaką tajemnicą jest to owiane? Gdyby to słyszał Kasprzycki, to poleciałyby głowy. Widziałeś jakieś plany albo cokolwiek?

– Wiem dość sporo na ten temat, panie generale.

– Dobrze, nie będziemy wchodzić w szczegóły, bo wyłysięję do reszty. Jedno jest pewne, cały program dotyczący broni przeciwpancernej jest tak tajny, że nawet z fabryki wszystko wychodzi oznaczone jako sprzęt mierniczy. Nikomu ani słowa, Feliks! Rozumiesz?

– Tak. Broń trzeba przetestować, a już jesteśmy na tym etapie, więc chciałbym kilka skrzyń tych rusznic. Wiem, że jest pan w stanie to załatwić. Chcielibyśmy poprowadzić także szkolenie strzelectwa wyborowego. Resztę pobiorę na miejscu z magazynów. Obiecuję, że wszystko odbędzie się po cichu, poza oficjalnymi ćwiczeniami, gdzieś na strzelnicy na uboczu. Oczywiście chętnie złożę panu obszerny raport z testów, który będzie mógł pan przedstawić w ministerstwie. Kto zrobi to ciszej niż wywiad? Poza tym raport z testów złożony przez pana na pewno spotka się z ogólnym uznaniem.

– Mam cię dość. Cały Bożydar z ciebie wyłazi, jakbym go słyszał. Psiakrew... Zobaczę, co da się zrobić, zatelefonujesz do mnie z bezpiecznej linii za jakiś czas. Najpierw sprawy z Ordyńskim, bo dzięki tobie jest wściekły jak szerszeń. Poinformuję Romana, on przekaze informacje do Leszna. Jeszcze jedna sprawa: jak będziesz mnie traktował tak jak Ordyńskiego, to zapomnij o całej naszej rozmowie, to raz, a dwa, ja nie będę cię niańczył jak wywiad, dobrze o tym wiesz. Jeżeli mnie wyprowadzisz z równowagi, to pójdziesz szykować okopy.

– Doskonale wszystko rozumiem, będę składał panu raporty – odparł Zygartowicz.

– Raport składasz najpierw mnie. – Kaźmierczak popatrzył na Feliksa wymownie, po czym wstał z miejsca, zabrał z blatu przybornik do fajki i swoje pióro. Wskazał ręką na drzwi.

Major skinął głową i ruszył pierwszy. Wyszli na zewnątrz. Prosto korytarzem doszli do schodów prowadzących na pierwsze piętro. Gdy dotarli na miejsce, generał zatrzymał się i obrócił do Zygartowicza.

– Czas się pożegnać, drogi Feliksie.

Wyciągnął rękę. Zygartowicz pewnie złapał dłoń przyjaciela swojego ojca, spoglądając mu głęboko w oczy.

– Dziękuję i do zobaczenia, panie generale. – Po chwili Feliks przyłożył palce do daszka rogatywki i skierował się schodami w dół w kierunku holu.

– Feliks – zawołał za nim dowódca.

Major się obrócił.

– Dobra robota.

Dłoń po raz kolejny wskazała orła przypiętego do rogatywki.

Rozdział 10

Wnętrze Hotelu Europejskiego dla zwykłego śmiertelnika było luksusem najwyższej klasy. Piękne bukiety świeżych kwiatów, połyskujące żyrandole, wypolerowane marmury i wygodne meble wypoczynkowe poczekalni ze świeżą prasą na stolikach kawowych tworzyły niezwykły widok. Wszystko to było reklamą świetnie prosperującej instytucji. Boje hotelowi migali w holu z przylepionymi do twarzy uśmiechami, a jeden z nich, niczym wartownik sprzed sztabu, stał na baczność przy windzie.

Chorąży Tuchowiak nie był ani zwykłym obywatelem, ani rozkapryszonym bogaczem. Tuchowiak po prostu zupełnie nie pasował do tego otoczenia. Nieważne, czy to Savoy, Europejski, mordownia na rogu szemranego kwartału, czy znajomy wyszynk na drodze do Poznania. Wszystkie te miejsca traktował tak samo, no może z wyjątkiem wyszynku U Karola, w którym według niego dawali największą i najlepszą golonkę na świecie. Po prostu luksusem w jego życiu były spokój, wolność, doborowe towarzystwo i dobre domowe jedzenie.

Olbrzym bezceremonialnie opierał się o pięknie rzeźbiony kontuar recepcji, żywo rozmawiając z jedną z recepcjonistek. Był zdecydowanie jednym z tych gości, co do których obsługa nie wiedziała, jak się zachować. Obok chorążego stała krótka kolejka gości do drugiego recepcjonisty i z zażenowaniem przysłuchiwała się odbywającej się obok konwersacji. Młoda brunetka o orzechowych oczach i filigranowej figurze była lekko zakłopotana i zarazem podniecona rozmową z pewnym siebie żołnierzem. Podoficer w ogóle nie zwracał uwagi na otoczenie, tylko całe swe zainteresowanie skupiał na ponętnych ustach i wielkich oczach recepcjonistki.

Dochodziła godzina osiemnasta trzydzieści. Młoda kobieta wyraźnie przegrała walkę o utrzymanie kontaktu wzrokowego i zanim odwróciła głowę w głąb holu, wyszeptała zarumieniona:

– Proszę pana, proszę już przestać. Wydaje się, że ktoś pana oczekuje – dodała.

Major Zygartowicz stał w holu kilka metrów od kontuaru i od jakiejś chwili przyglądał się niewinnemu flirtowi. Horyński czekał tuż przy stoliku kawowym. Gdy Zygartowicz zerknął na niego, Andrzej zasalutował regulaminowo i strzelił obcasami. Konsjerż i cała obsada recepcji wraz z kolejką gości ewidentnie oczekiwała na rozwój wydarzeń. Tymczasem niewzruszony Wojciech ujął dłoń kobiety i pocałował ją najzgrabniej, jak potrafił.

– Panienska wybaczy – powiedział i ruszył do Feliksa. – Panie majorze, zamówiłem stolik na pańskie nazwisko, pozwoli pan, że dołączę za chwilę – rzucił poważnie.

Feliks uniósł lekko kąciki ust, po czym obrócił się na pięcie w tak naturalny sposób, jakby cała sytuacja była czymś zupełnie codziennym. Tuchowiak, nie patrząc na gapiów, wrócił do dziewczyny, która płonęła ze wstydu. Nawet nie czuła, że mocniej ściska dłoń oficera. Tuchowiak uśmiechnął się pod nosem.

– Droga pani, na czym to skończyliśmy naszą konwersację? Przede wszystkim proszę mi wybaczyć moje grubiańskie zachowanie. Nie zdążyłem się nawet przedstawić. Chorąży Wojciech Tuchowiak.

– Kasia Lajsner – odparła recepcjonistka.

– Panno Kasiu, dzięki naszej rozmowie i możliwości podziwiania pani urody ten ciężki dzień zdecydowanie zaliczę do udanych – powiedział i spojrzał jej w oczy. Młoda dziewczyna po raz kolejny nie wytrzymała jego spojrzenia i opuściła wzrok. – Przepraszam, panno Kasiu, ale na jakiś czas muszę panienkę tu pozostawić samą i udać się do restauracji. Mój przyjaciel zapewne za chwilę będzie się niecierpliwił, przyznam też, że najnormalniej w świecie zgłodniałem. – Podoficer uśmiechnął się szczerze.

Dziewczyna puściła dłoń żołnierza, po czym delikatnie dotknęła swoich bujnych falowanych włosów i przeczesła je zalotnie.

– Było mi bardzo miło pana poznać.

– Cała przyjemność po mojej stronie – westchnął. – Do widzenia, panno Kasiu – dodał, zgarniając rogatywkę z lady.

Tuchowiak ruszył w kierunku Andrzeja, który dalej, niczym boj hotelowy, stał na baczność.

– Za mną – rzucił, przechodząc obok.

W restauracji pełnej gości major siedział przy okrągłym stoliku i czytał gazetę. Kelner dopiero co postawił przed nim filiżankę z kawą. Tuchowiak dosiadł się i rozgościł, niczym właściciel hotelu.

– Drwal, nigdy nie odpuszczasz, co? Jak pies, który zeżre każdą ilość kiełbasy – zaczął Feliks, nawet nie wyglądając zza gazety.

– Właśnie, à propos żarcia. Dają tu coś dla takich chamów jak ja? – Tuchowiak uśmiechnął się chytrze.

– Rozmawiałem już z kelnerem. – Major złożył dziennik, wymownie spojrzał na przyjaciela, po czym obrzucił wzrokiem stojącego tuż przy stoliku szeregowca.

– Niech pan siada, Horyński.

Do Andrzeja jakby nie dotarło. Cała sala elegancko ubranych ludzi obserwowała młodego żołnierza, który wyglądał tak, jakby pomylił budynki.

– Śmiało. Zwraca pan na siebie uwagę – ponaglił major.

– Świetny z niego kierowca, ale chyba jakiś przygłuchy – rzucił Tuchowiak i wyciągnął papierosa.

– Świetnie się sprawiłeś z Höppnerem – powiedział spokojnie major.

– Młodzian go dopadł modelowo. Powiedz lepiej, jak tam w sztabie. Szukamy pracy czy dalej nas karmi nasza mateczka Rzeczpospolita?

– Obeszło się bez siniaków.

– W ogóle przyjęli do wiadomości, jaka jest sytuacja?

Feliks pokręcił przecząco głową.

– Boże, ty to widzisz i nie grzmisz – rzucił Tuchowiak i się zaciągnął. – Chociaż kupili nasz pomysł? – dodał.

– W tej kwestii mamy zielone światło.

– Psiajucha, jak Bóg mi świadkiem, obstawiałbym przeciwnie.

– Ja też. A powiedz mi, dlaczego nie odesłałeś pana Horyńskiego do jednostki.

– Właśnie gwoli naszego pomysłu. Myślę, że chciałbyś go bliżej poznać.

Feliks zmarszczył brwi, a Andrzej drgnął, jakby ktoś przytknął do niego kabel pod napięciem.

– Sprawdził się?

– Jak na siurka, to dał radę – odparł uśmiechnięty Tuchowiak.

Feliks popatrzył na przestraszonego Andrzeja.

– Już wcześniej się zastanawiałem, gdzie cię tu przywiało, aż ze Śląska. Co?

– Jakoś tak przydzielili dobrze, wujek wstawił się za mną, mówiąc, że dobry kierowca, a że znał oficera w komendzie, to i stolica się trafiła – zaczął szeregowiec tak, jakby to było przesłuchanie.

– Mówisz po niemiecku?

Młodzian zdziwił się, słysząc pytanie.

– Tak jest. Ojciec całe życie pracował na grubie u Niemca, a tom bez języka nie brali, to i nas w domu przyuczał od zawsze. Mijały lata, tom zaczął szprechać trochę po ichniemu.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy trochę porozmawiali po niemiecku? – zapytał major.

Szeregowiec wzruszył ramionami.

– Dobrze, czemu nie? – powiedział.

Zygartowicz przeszedł na niemiecki. Języki germańskie były jego pasją. Poza tym, gdy

był mały, przez wiele lat uczył się od Niemca, który nie mówił w innym języku niż ojczysty. To wtedy wyzbył się polskiego akcentu, a po dwudziestu latach nauki i długich pobytach poza granicami kraju spokojnie mógł uchodzić za Niemca.

– Jak się nazywasz i skąd pochodzisz?

– Nazywam się Andrzej Horyński, urodziłem się przy granicy niemieckiej w Rybniku. Mój ojciec całe życie pracował na kopalni po niemieckiej stronie. Rok temu było tąpnięcie i go przysypało. Jak do niego dotarli, to już nie żył. W domu nas sporo, a po ojcu odszkodowania niewiele. Los chciał, że w wieku poborowym jestem. To i matka trochę się ucieszyła, bo jedna gęba mniej do wyżywienia. Łóżko dają, żarcie dają, a i chwałę na strzelnicy. Skłaniam się do służby zawodowej, bo u Niemca na kopalni harował nie będę! – Młody kierowca terkotał jak niemiecki karabin.

Zygartowicz uśmiechnął się pod nosem.

– Z tego, co mówi chorąży, wynika, że masz talent do prowadzenia pojazdów mechanicznych. Gdzie się nauczyłeś tak jeździć?

Andrzej odwzajemnił się nieśmiałym uśmiechem.

– Wuj, brat ojca, ma warsztat i naprawia maszyny dla kopalni. Na samochodach zna się jak nikt, a i motocykli ma parę. Reperuje, co mu podstawią. Tam się nauczyłem prowadzić. Mówił, że mam talent, dlatego nalegał na jednostkę samochodową.

– Draczny się nam szeregowiec trafił, co? – wycedził po polsku Tuchowiak, mając dość języka, którego każde słowo brzmiało jak deklaracja wojny.

– A więc myślisz o karierze w wojsku – odpowiedział major, tym razem też po polsku.

– Może mógłbym ją przyspieszyć, ale to by wymagało od ciebie poświęcenia i pozostawienia dotychczasowego życia, może nawet na dobre. Zainteresowany?

Młody chłopak otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. Oficerowie przyglądali mu się dokładnie.

– Ja bym ci radził zostać na miejscu. Ciepłe łóżko, wygodny samochód, jak u mamy prawie. Tam, gdzie my jedziemy, trzeba mieć jaja. Zastanów się, chłopcze, z jakiej gliny jesteś. Wygoda albo pot, kurz, łzy i ja. Zapewniam cię, to nie wróży dobrze – wtrącił Tuchowiak.

– Bardzo bym chciał być pod panów rozkazem – odpowiedział natychmiast, ale drżącym głosem Andrzej.

– Damy ci jeszcze noc na zastanowienie. Jutro przyjeżdż po nas na godzinę dziewiątą rano. Przemyśl wszystko dokładnie, jeżeli nie zmienisz decyzji, to w ciągu tygodnia wyjedziesz na południe, na długie i jak wspomniał chorąży, ciężkie szkolenie. Pamiętaj, że to nie gwarantuje, że ci się uda. To tylko wstępny etap decyzji. Teraz zmykaj do jednostki.

Andrzej się nie podniósł, tylko zmarkotniał i westchnął wyraźnie.

– Panie majorze, melduję posłusznie, że podczas pościgu za panem Höppnerem uszkodziłem samochód.

Wojtek dogasił papierosa i uśmiechnął się pod nosem.

– Właśnie zapomniałem ci powiedzieć, że lekko obtarliśmy bok.

Feliks zerknął na Tuchowiaka i zrobił minę, jakby niczego innego się nie spodziewał.

– Nie przejmuj się autem. Jedź do jednostki i powiedz oficerowi dyżurnemu, że meldunek złożę jutro rano. Weź wszystkie potrzebne papiery i przywieź je do hotelu.

– Tak jest! – rzucił Andrzej i wstał od stolika. Strzelił obcasami, przyłożył dwa palce do daszka i ruszył w kierunku recepcji.

Gdy tylko szeregowiec zniknął, pojawił się kelner z tacą wypełnioną jedzeniem.

– Kolacja dla panów oficerów – powiedział grzecznie, a Tuchowiak, niczym rasowy pies, pociągnął nosem w celu zbadania nowych zapachów.

– Dziękuję, proszę jeszcze przynieść pół litra czystej monopolowej – powiedział Feliks.

– Służę, panie majorze – odparł kelner, obrzucając chorążego wzrokiem. Jednak żołnierze w tej randze to był w Europejskim niecodzienny widok.

Wojtek tymczasem patrzył w swój talerz. Zdusił papierosa w popielniczce i popatrzył wymownie na kelnera, który właśnie nosił się z zamiarem odejścia.

– Przepraszam, a co to jest? – wskazał palcem na jedzenie.

– Polędwica wołowa najlepszego gatunku w towarzystwie leśnych grzybów podawana na grzance – odpowiedział bez wahania obsługujący.

– Kolego, to jest polędwica? Chyba polędwiczka z odrobiną bagietki. Przecież ja na tym paliwie nie przedrałuję nawet stu metrów.

Kelner, nie wiedząc, jak się zachować, spojrzał na starszego oficera. Major pokręcił głową na znak dezaprobaty.

– Zechciałby pan przynieść jeszcze jedną porcję dla pana chorążego, najlepiej podwójną – dodał.

– Oczywiście, służę – odparł kelner ze zdziwieniem, skłonił się i wrócił do kuchni.

– Zyga, a powiedz, ile kosztuje nas taki luksusowy posiłek, co?

– Nie martw się tym zbytnio – skwitował Feliks.

– No mów, bo jestem ciekawy.

– Nie więcej niż trzydzieści złotych.

Tuchowiak wybałuszył oczy ze zdziwienia.

– Ile? Za te dwa talerze i butelkę gorzałki? Przecież to tygodniówka na budowie. Co za burżuazja, ot salony dla takich groszorobów jak spasiony Höppner.

Major upił ostatni łyk kawy i podniósł sztucce, aby zabrać się za swój posiłek.

– Z tego, co mi wiadomo, to pan Höppner od dziś jest na ścisłej diecie. – Uśmiechnął się i ukroił kawałek mięsa.

– Co prawda, to prawda – dodał Tuchowiak.

Po chwili zjawiał się kelner z dodatkową porcją jedzenia, butelką wódki monopolowej Baczewski i kieliszkami.

Chorąży popatrzył na tacę.

– Szanowny panie, a gdzie ziemniaki? Jak tu jeść wołowinę bez ziemniaków, buraczków ćwikłowych i za taką cenę? – rzucił Wojciech.

Młody kelner po raz kolejny spojrzał na niego zdezorientowany.

– Boże, Drwal, miej litość – rzucił poirytowany major.

– Zobaczę, co da się zrobić. W kuchni zapewne coś znajdą – odparł grzecznie zdziwiony mężczyzna i popatrzył na olbrzyma, który właśnie sprawdzał, czy wódka jest wystarczająco zimna. Gdy zauważył blask aprobaty na jego twarzy, zniknął bezszelestnie.

Rozdział 11

Pociąg relacji Warszawa–Poznań minął Ostrów Tumski i wjechał na most na Warcie. W przedziale siedzieli tylko Tuchowiak i Zygartowicz, którzy półgłosem omawiali sprawy organizacyjne. Podczas podróży major streścił ciężkie rozmowy w sztabie i opisał dość przychylną postawę Kaźmierczaka. Wczoraj, przy wieczornym kieliszku w Europejskim, chorąży Tuchowiak wspomniał o jednym z kandydatów, którego profil pasowałby do charakteru przyszłej grupy operacyjnej. Z wielkim ożywieniem opowiadał historię młodego kawalerzysty z Bydgoszczy, dzięki któremu wygrał kiedyś sporą sumę pieniędzy, stawiając na niego w nielegalnych walkach bokserskich. Później nawiązał z nim znajomość przy kilku kuflach piwa, potwierdzając, że kawalerzysta to opanowany i bezpośredni żołnierz z odpowiednim kodeksem moralnym.

Zygartowicz spoglądał przez szybę, zastanawiając się nad tym, czy w ogóle pomysł tworzenia jednostki jest trafny. Pociąg właśnie minął Cytadelę i koszary północne.

– Może rzeczywiście trzeba by odnaleźć tego kawalerzystę? Ciekaw jestem, czy zsiądzie z konia. W każdym razie chcę, żebyś się za nim rozejrzał i popytał o niego. Ja tymczasem zacznę załatwiać sprawę zaopatrzenia – powiedział Feliks.

– Zatelefonuję, gdzie trzeba, i zrobię rekonesans. Wspomniałeś o zaopatrzeniu. Pamiętasz, że mnie tylko dwudziestka ósemka do szczęścia potrzebna?

– Ty i ten twój browning. Drwal i jego siekiera, cóż za delikatny duet. – Major zdobył się na delikatny uśmiech.

– Sam mówiłeś, że do baletnic nie pasuję. Co zrobię, że lubię dzierżyć odpowiednio ciężki pistolet? – Wojtek przeciągnął się i rozprostował ręce. – Trzeba by trochę postrzelać, zastygłem ostatnio jak jakiś biurowy fircyk.

– Spokojnie, już niedługo zaspokoję twoje zachcianki.

Major założył rogatywkę. Gdy Tuchowiak otworzył drzwi przedziału, przez chwilę pociemniało. Wagon właśnie przetoczył się pod aleją Piłsudskiego. Minąwszy szpaler młodych drzew tworzących naturalną barierę pomiędzy dużym placem dworca a torowiskiem, skład wjechał na Dworzec Główny w Poznaniu. W centrum placu stała dyżurka tramwajowa. W odległości dobrych pięćdziesięciu metrów od małego budynku stał gmach główny dworca. Fronton był lekko wysunięty i wsparty na filarach. Podpory były zwieńczone łukami, nad którymi osadzono rząd potężnych okien z licznymi

szprosami. Na szczycie frontonu widniał zegar, który wyznaczał oś symetrii imponującego budynku z czerwonej cegły.

Bez dwóch zdań po dworcu w Poznaniu widać było wielkopolską gospodarność. Teren był uporządkowany i czysty. Okładziny hamulców zapiszczały nieprzyjemnie. Skład się zatrzymał. Trzy kobiety ze sporymi bagażami i drobny mężczyzna ubrany w elegancki płaszcz stali przy wyjściu. Dżentelmen zaczął zмагаć się z drzwiami. Tuchowiak, widząc heroiczną, lecz nieudolną walkę mężczyzny z klamką, która zdecydowanie wygrywała to starcie, przecisnął się szybko do przedsionka wagonu.

– Szanowny panie, proszę pozwolić, ja to zrobię.

Dżentelmen odsunął się; kobiety obserwowały zaistniałą sytuację. Tuchowiak wyciągnął ramię, złapał klamkę, jakby od niechcienia pchnął drzwi i otworzył je z łatwością. Mężczyzna spojrzał na Tuchowiaka z niedowierzaniem, miał wrażenie, że ktoś robi mu głupi kawał. Tymczasem chorąży zwinnie wyskoczył na peron i obrócił się w kierunku pasażerek, które teraz patrzyły na niego z podziwem.

– Panie pozwolą, że im pomogę – powiedział uśmiechnięty.

– Och, jak to miło z pana strony – odparła pulchna kobieta, pierwsza w kolejce do drzwi.

Pasażerki ochoczo podawały bagaże i wspierały się na ramieniu pomocnego podoficera. Mężczyzna w płaszczu, wychodząc tuż za rozanielonymi damami, skinął głową w geście podziękowania za wybawienie z opresji, która mało co, a pozostawiłaby plamę na jego honorze. Ostatni w drzwiach pojawił się major Zygartowicz.

– Pani pozwoli. – Wojtek wyciągnął dłoń i rozejrzał się, czy nikt z oddalających się pasażerów nie usłyszał żartu.

– Nie wydurniaj się, stary capie – rzucił Feliks. – Chodź, sprawdzimy, o której odchodzi następny pociąg do Leszna.

Wojtek, ciągle się uśmiechając, tylko skinął głową, trzasnął drzwiami i zaczął szperać po kieszeniach, szukając pudełka z papierosami. Ich wagon zatrzymał się tak, że znaleźli się kilkadziesiąt metrów od głównego wejścia. Ruszyli na dworzec. Tuż przed frontem, jak zwykle, znajdowało się sporo ludzi, którzy w nadmiernym pośpiechu przeciskali się między sobą, torując sobie drogę do kas, informacji lub na perony. Dworzec w Poznaniu był jedną z kilku głównych krajowych magistrali kolejowych, skąd składy wyjeżdżały we wszystkie strony Polski, a także skąd odchodziły pociągi międzynarodowe.

Co jakiś czas w tłumie pojawiali się młodzi szeregowcy. Po ich twarzach łatwo było dostrzec, czy to początek przepustki, czy koniec urlopu. Gdy oficerowie mieszały się z tłumem, kilku z młodych strzelców, zauważywszy majora z chorążym, wyprężyło piersi i zasalutowało regulaminowo. Tłum był irytujący.

Jak tylko minęli drzwi, na zewnątrz rozległ się hałas. Specyficzny dźwięk, tępy

i trudny do zidentyfikowania, taki, który od razu wywołuje lęk. Tak, jakby umysł podświadomie wiedział, że dzieje się coś złego. Tuchowiak intuicyjnie obrócił się w kierunku, skąd dotarł hałas. Zawodzenie jednej osoby od razu wydało im się znajome. Słyszeli je już nie raz i w ułamku sekundy przypomnieli sobie jęki rannych w lazaretach i tych dogorywających w polu.

Bez wątpienia jakiś mężczyzna wrzeszczał z bólu, zupełnie tak, jakby szrapnel utkwiał mu w ciele. Drugi głos był kobiecy. Za ścianą stłoczonych ludzi rozgrywał się dramat.

– Lekarza! Lekarza! – krzyczał któryś z gapiów.

Tuchowiak i Zygartowicz zawrócili i zwawo torowali sobie drogę z powrotem, przeciskając się przez tłum, który ruszył ku wyjściu, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Z drogi, jasna cholera! – krzyczał Tuchowiak.

W tej samej chwili, gdy oficerowie przedzierali się przez ludzką masę, od prawej strony z kierunku centrum do miejsca zdarzenia pędził młody kapral piechoty, Walery Chyży. Tuchowiak i Zygartowicz dotarli pierwsi. Obok samochodu z oberwanym zderzakiem i zwisającym reflektorem leżał młody mężczyzna. Jego lewa noga była wygięta w nienaturalny sposób, a obok, w poplamionej od krwi sukience, klęczała jego przerażona partnerka.

– O Boże! O Boże! Ratunku! – krzyczała.

Kierowca auta w ataku paniki przemieszczał się z miejsca na miejsce, bez widocznego celu, powtarzając coś pod nosem. Masa gapiów cisnęła się wokół miejsca wypadku, z ciekawością oczekując dalszego rozwoju wydarzeń. Nikt z obserwujących nie kwapił się do pomocy.

Dotarłszy na miejsce, major przyklęknął obok poszkodowanego i dokonał pierwszych oględzin.

– Drwal, szlag jasny, ma rozharataną tętnicę. Pędź na dworzec, telefonuj po sanitarkę, ale już!

Tuchowiak zerknął na kałużę jasnoczerwonej cieczy obok elegancko ubranego mężczyzny i od razu, niczym automat, obrócił się na pięcie. Wystrzelił w kierunku wejścia na dworzec.

– Z drogi!!! – krzyczał i pędził jak pług w śniegu, torując sobie drogę.

Ktoś upadł. Potężny żołnierz nawet się nie obrócił. Tłum cisnął się znowu. Tymczasem major rozdarł poszarpane spodnie mężczyzny, odsłaniając ranę. Wyglądała paskudnie, ale była zaskakująco czysta. Zderzak przeciął skórę i mięsień, jak tępy skalpel, uszkadzając tętnicę udową. Krew wydobywała się bardzo szybko.

– Boże ja umrę, ja umrę... – skomlał mężczyzna.

– Wszystko będzie dobrze – uspokajał major.

Podwinął rękaw płaszcza i z całej siły dłonią nacisnął na ranę. Mężczyzna zawył. Kobieta szeptała coś, półprzytomna. Na kolanach, obok swojego męża, zaczęła zagarniać krew, jakby chciała ją pozbierać.

– Zabierzcie ją stąd! – krzyknął major do tłumu.

Gdy się obrócił w kierunku rannego, zauważył żołnierza, okrążającego maskę samochodu. Młody kapral obrzucił spojrzeniem nogę mężczyzny i bez słowa obrócił się do kobiety, która cała we krwi mówiła coś do siebie. Złapał ją za ramiona.

– Proszę pani, proszę się uspokoić.

Nie reagowała. Puścił ją, odchylił lekko od siebie i prawą dłonią wymierzył siarczysty policzek. Chłasknięcie było donośne, a tłum gapiów jęknął z oburzenia. Kobieta oprzytomniała i od razu szerzej otworzyła oczy.

– Niech mnie pani posłucha. Jestem sanitariuszem Wojska Polskiego, nazywam się Walery Chyży. Pomogę pani mężowi. Proszę mi powiedzieć, jaką grupę krwi ma pani mąż. Wie pani może?

Kobieta przez ułamek chwili patrzyła na niego jak na zjawę, ale zaraz oprzytomniała.

– Nie wiem ...Zaraz... B, on ma B! – wykrzyczała triumfalnie.

– Dziękuję, teraz niech się pani odsunie i pozwoli nam działać. Wszystko będzie dobrze – zwrócił się w kierunku Zygartowicza, który obserwował tę wymianę zdań.

Przyklęknął obok i popatrzył na uciskaną nogę i twarz mężczyzny, który już wyraźnie pobladł i przestał się odzywać. Czas dłużył się w nieskończoność, wydawało się, że minęła cała wieczność. Życie uchodziło z mężczyzny w zaskakującym tempie. Walery pomyślał o ciśnieniu tętniczym. Przy takich ranach serce, czując spadek ciśnienia, podkreca tętno i pompuje zdecydowanie mocniej. Utrata ciepła też pobudza pracę serca, wtedy krwotok się wzmacnia. Trzeba to dobrze zatamować, pomyślał i spojrzał w oczy rannego.

– Proszę pana, słyszy mnie pan? – Mężczyzna przewrócił gałkami ocznymi z wyraźną trudnością. – Jestem sanitariuszem, proszę się trzymać, wszystko będzie dobrze, ambulans już w drodze. – Spojrzał pytająco na majora.

Ten skinął głową. – Wszystko będzie dobrze – uspokajał.

W tym momencie z tłumu wypadł Tuchowiak. Spojrzał na dwóch żołnierzy. Major ciągle uciskał ranę, a nieznajomy kapral ściągał pas.

– Już jadą! Mam apteczkę z informacją!

Walery, patrząc na olbrzyma, wyciągnął rękę.

– Niech pan weźmie mój pas i zaciśnię mocno jakieś kilkanaście centymetrów nad raną.

Tuchowiak zabrał się do działania. Walery obrócił się w kierunku tłumu, wskazując

wzrokiem na jednego z gapiów.

– Pan w siwym płaszczu! – Spojrzał na mężczyznę. – Tak, pan, proszę zdjąć płaszcz i przykryć tego pana natychmiast. – Sanitariusz otworzył apteczkę, wyciągnął opaskę uciskową i bandaż. Tuchowiak zacisnął pasek. Mężczyzna przebudził się i jakby wrócił do rzeczywistości, jęcząc z całej siły. Tyle że jego głos już był ledwie słyszalny. Chyży zerknął na majora uciskającego ranę.

– Na mój znak pan odpuści, a ja założę opatrunek.

Zygartowicz tylko skinął głową. Walery rozdarł zębami papierowe opakowanie opaski. Przynął się do majora.

– Teraz!

Z rany poląła się krew. Sanitariusz przycisnął jałowy rulon bandażu do rany.

– Psiamać! Rana jest za duża. Panie majorze, niech pan da jeszcze jedną!

Feliks natychmiast zaczął szperać w apteczce, znalazł kolejny opatrunek, rozdarł jego opakowanie i podał go Waleremu. Ten złożył rulony, przycisnął do rany i zaczął obwiązywać mocno nogę bandażem. Chorąży ciągle trzymał pasek i przyglądał się pracy kolegi.

– Wylize się?

Kapral popatrzył na niego.

– Ciężko powiedzieć, stracił sporo krwi, czas teraz odegra główną rolę. Jedno jest pewne, potrzebuje załatania tętnicy. Właśnie, ma ktoś może z panów krew typu B?

– No ja mam – zdziwił się Tuchowiak.

– To podobnie jak ja, panie chorąży. Jak Bóg da czas, to pojedziemy z nim do szpitala, możemy być jeszcze potrzebni.

Gdy kapral tylko skończył mówić, usłyszeli dźwięk syreny. Z każdą następną sekundą hałas stawał się coraz bardziej donośny. Ambulans zatrzymał się tuż obok budki przy pętli tramwajowej. Lekarz dotarł na miejsce, po czym wypytał, co się stało i jakie są obrażenia. Walery zdał treściwy i szybki raport. Lekarz od razu rozpoznał kolegę po fachu. Doktor postawił skórzaną torbę i przyklęknął. Zdjął płaszcz z nieprzytomnego mężczyzny i przyłożył stetoskop.

– Puls bardzo słaby, mamy niewiele czasu. Natychmiast go zabieramy.

– Panie doktorze, posiadam informację od żony poszkodowanego odnośnie do grupy krwi, tak się składa, że ja i chorąży mamy tę samą. Możemy się przydać.

– Dobra, dawajcie z nami, mam nadzieję, że zdążymy. Poza tym dobra robota, kolego.

Walery skinął głową. W tym czasie Tuchowiak już pomagał sanitariuszom z noszami. Gdy dotarli do ambulansu, pierwszy wskoczył lekarz i od razu zaczął szykować butelkę

z kroplówką. Chwilę po nim wskoczyli sanitariusz i Chyży z Tuchowiakiem. Mężczyzna leżał nieruchomo na noszach. W tylnych drzwiach pojawił się major i zakrwawioną dłonią trzymał jedno ze skrzydeł, gotowy do ich zamknięcia.

– Już? – zapytał.

Lekarz skinął z aprobatą.

– Czekam na was na dworcu, panowie – zwrócił się do kolegów.

Trzasnął drzwiami i uderzył ręką w blachę poszycia, dając sygnał do odjazdu. Czerwona od krwi dłoń odbiła się na furgonie. Kierowca zareagował. Auto ruszyło z impetem, po kilku metrach syrena znowu ożyła. Feliks wpatrywał się jeszcze chwilę w malejący czerwony krzyż namalowany na tylnych drzwiach. Gdy sanitarka zniknęła w oddali, wrócił na miejsce zdarzenia.

Rozdział 12

Mieszkanie było schludne, ze wszystkimi wygodami potrzebnymi kobiecie, która przywykła do luksusu. Miało ładny salon, małą, ale ergonomiczną kuchnię i wygodną łazienkę z wanną. Sypialnia była właściwych rozmiarów, z małżeńskim łóżem z kutej stali. Zaraz przy dużym francuskim oknie, które wychodziło wprost na kościół ewangelicki im. Marcina Lutra, stała toaletka z ogromnym lustrem. Na blacie rozmieszczono rozmaite kosmetyki. Flakony perfum, słoiczki kremów, pudełko z pudrem, obok którego leżało kilka pędzli do makijażu. Z wysuniętej szuflady wystawała biżuteria najrozmaitszych kształtów i kolorów, mieniąc się w świetle białych żarówek z lustra garderobianego.

Na przeciwległej ścianie stała trzyskrzydłowa szafa, która spokojnie pomieściłaby garderobę kilkusobowej rodziny. Parę sukni wraz z wieszakami leżało na łóżku. Tuż przy wejściu znajdowała się komoda z czterema szufladami, na której pysznił się gramofon. W tle płynęła spokojna muzyka. Cała sypialnia wyglądała dokładnie tak, jak powinna wyglądać wtedy, gdy kobieta szykuje się na spędzenie wieczoru w wykwintnym miejscu.

Dochodziła godzina osiemnasta. Agathe krzątała się po mieszkaniu w jedwabnej halce. Wróciła do sypialni i mocniej wysunęła szufladę toaletki, w której oprócz biżuterii stały cztery małe flakony z perfumami. Wybrała owalną, kryształową buteleczkę i postawiła ją na toalecie. Flakonik był przerobiony tak, aby w podstawie zmieścił się zbiorniczek z drugim płynem, roztworem pochodnej kwasu barbiturowego nazywanym fenobarbitalem. Po przekręceniu podstawy butelki maleńki zawór uwalniał ukrytą ciecz. Reszta działała normalnie i zawierała wieczorowe perfumy o piżmowym zapachu.

Agathe zastanawiała się chwilę nad nasennym i uspokajającym działaniem kwasów barbiturowych, oszacowała wagę swojego partnera, pomyślała o liczbie potrzebnych kropeł, odpowiedniej, żeby nie wywołać niepożądanych efektów. Tym bardziej że środek działał silniej w połączeniu z alkoholem, który miał być tego dnia spożywany. Wypicie nieco zbyt dużej ilości roztworu spowoduje śpiączkę, jeden gram czystego roztworu może zabić, a cztery to pewny zgon. Ostatnią rzeczą, jaką chciała wywołać, była śpiączka.

Jeszcze raz odjęła stosowną liczbę w głowie i zapamiętała szacowaną liczbę kropeł, po czym z powrotem zabrała się za dokończenie makijażu. Spięła ciemne długie blond włosy w kok. Później wzięła czarną kredkę i spoglądając w mniejsze lusterko, które stało na

toaletce, zrobiła sobie kreski, które w ułamku chwili uwydatniły potężne błękitne oczy. Nałożyła cienie, tusz, a na sam koniec wciągnęła policzki tak, aby przypudrować je umiejętnie dużym pędzlem. Spojrzała w duże lustro i z zadowoleniem stwierdziła, że dzisiejszego wieczoru większość męskich oczu będzie skierowana na nią.

Róż delikatnie uwydatniał kości policzkowe. Jej usta były ponętne i pełne. Zerknęła na łożko w poszukiwaniu czerwonej sukni, która pasowała najlepiej do dzisiejszej premiery opery *Carmen*. Gdy założyła kreację i przejrzała się w lustrze, była pewna, że to właściwy wybór. Suknia leżała idealnie. Pod śmiałym dekoltem, kreacja opinała jej talię i zgrabne pośladki. Rozcięcie niebezpiecznie pokazywało niemal całe udo. Wiedziała, że będzie musiała dozować doznania wzrokowe łakomym nazistom. Poza tym opera to nie miejsce na pokazywanie koronki pończoch.

Uśmiechnęła się do siebie zalotnie i puściła oko. Rozplotła włosy, które opadły na plecy. Agathe Holler wyglądała jak gwiazda filmowa o idealnych kształtach. Jeszcze tylko kropka nad i, pomyślała. Zajrzała po raz drugi do szuflady toaletki, poszukując srebrnej kolii i kolczyków z drobnymi brylantami, które dostała w prezencie. Odnalazła pudełko i równocześnie z kliknięciem zapięcia usłyszała delikatny trzask i przeskakowanie igły na płycie.

Podeszła do komody, odszukała Bizeta, płytę z tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku z opery w Paryżu. Zdjęła igłę i położyła nowy czarny krążek. Po krótkiej chwili trzasków rozległa się muzyka z pierwszego aktu. Od razu przyszła jej do głowy scena przed fabryką i Cyganka Carmen. Obiekt pożądania wszystkich żołnierzy. Dziś nie tylko Carmen zatańczy swój pogardliwy taniec. Habanera w wykonaniu Agathe Holler, szkoda tylko, że w chłodnym Breslau, pomyślała.

W komodzie odnalazła torebkę, która miała ukrytą dla ludzkiego oka i prawie niewyczuwalną przegrodę. Odsunęła zamek i sprawdziła, czy nowoczesny aparat MINOX 1938 znajduje się w środku. Wyciągnęła małe urządzenie i sprawdziła kliszę. Z przybornika do paznokci wyciągnęła dwa niewielkie wytrychy. Wszystko włożyła wraz z aparatem do kieszonki i zasunęła zamek. Zachowywała się wedle ściśle wypracowanych procedur, którymi kierowała się przez całą karierę. Najgorsze to stworzyć okazję i nie być przygotowanym na jej nadejście. Niczym naoliwiona maszyna działała dalej. Perfumy, chusteczka, szminka i paczuszka prezerwatyw wylądowały w torebce. Gotowe. Tanecznym krokiem podeszła do okna i zerknęła na ulicę. Czarne audi front stało już na chodniku. Założyła pantofle na obcasie, sprawdziła pas i zapinki pończoch, wyłączyła gramofon, zarzuciła na siebie futro i wyszła.

Gdy drzwi frontowe kamienicy się otworzyły, oficer w czarnym galowym mundurze Allgemeine SS nie mógł wyjść z podziwu. Kazał kierowcy zostać wewnątrz. Wysiadł i dosłownie nie odrywał oczu od kobiety, która właśnie zmierzała w jego kierunku. SS-Sturmbannführer Dietmar Egner uśmiechnął się, wcale nie ukrywając pożądliwego

wzroku. Agathe podeszła do niego, delikatnie położyła rękę na jego ramieniu, wspięła się na palcach i pocałowała w policzek.

– Witaj, Dietmarze – powiedziała zalotnie.

– Agathe, wyglądasz cudownie. – Esesman bezceremonialnie otaksował ją wzrokiem.

– Dziękuję – odparła uśmiechnięta i wsiadła do środka.

Oficer niecierpliwie zatrzasnął za nią drzwi i obszedł czarne audi. Młody kierowca skorzystał z chwilowej nieobecności zwierchnika i nieśmiało obrzucił spojrzeniem pasażerkę przez wsteczne lusterko. Utkwił wzrok w blondynce i zdał sobie sprawę, że już dawno nie widział tak pięknej kobiety. Sturmbannführer wsiadł do auta, położył na kolanie czapkę z charakterystyczną srebrną trupią czaszką i posłał sztuczny uśmiech wybrance.

– Wiesz, gdzie masz jechać, na co czekasz! – warknął niespodziewanie do kierowcy.

Sturmmann od razu przerzucił wzrok z rowka pomiędzy piersiami pasażerki na ulicę przed sobą i ruszył. Egner obrócił się do Agathe. W mroku jego blond włosy wydawały się jeszcze jaśniejsze niż zwykle. W oczy od razu rzuciła się chłopska szczeka, a muskularne ciało zdradzało wysoką tężyznę fizyczną czterdziestoletniego esesmana.

Dietmar Egner swoim wyglądem budził powszechny lęk. Do tego był zaślepionym nazistą, który uważał się za kogoś lepszego niż inni. Nienawidziła słuchać jego wywodów na temat powiększania przestrzeni życiowej, i tego, jak to wspaniała rasa nordycka nie może dojrzewać bez wystarczającej ilości światła, przestrzeni i powietrza. Przeszywał ją dreszcz, gdy wypowiadał się o Słowianach, mówiąc o nich „człekoźwierzęta”. „Kochanie, »Nasz honor zwie się wolnością«” – powtarzał niczym mantrę. Symbioza pychy i okrucieństwa, nic więcej. Łatwo karmić ego takiego samca, pomyślała, to zwykła świnia, zeżre najgorsze pomyje, myśląc, że to kawior z białugi i szampan. Posłała mu promienny uśmiech.

– Kochanie, jaka jestem szczęśliwa, że zobaczymy tę premierę. Całe Breslau o niej mówi już od miesiąca.

– To prawda, plakaty wiszą wszędzie, a my mamy miejsce w loży, która należy do jednej z najlepszych.

– Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Mam nadzieję, że będziemy się bawić szampańsko przez całą noc.

Oko esesmana błysnęło. Na tle czarnej szyby pojawił się rząd białych zębów. Egner czekał na ten dzień od tygodnia. Teraz, patrząc na nią i myśląc o cudownym wieczorze, poczuł wzwód. Agathe przysunęła się do niego i go pocałowała. Wsunęła mu delikatnie język między usta, a prawą dłoń położyła na rozporoku. Ciągłe całując, bez zastanowienia zaczęła masować materiał. Gdy poczuła, że esesman przestaje nad sobą panować z pożądania, oderwała się od niego i odsunęła na miejsce. Nie chciała się spóźnić

z powodu konieczności zmiany spodni Egnera.

– To będzie cudowny wieczór. – Uśmiechnęła się i wyciągnęła z torebki chusteczkę, żeby Egner mógł wytrzeć usta zabrudzone szminką.

Audi przejechało Odrę mostem Kaiser, kierowca przez Am Ohlau Ufer przedostał się na Dominikaner Platz, minął kościół pod wezwaniem Marii Magdaleny i rynek z ratuszem, po chwili skręcił w lewo w Schweidnitz Strasse i po nie więcej niż kilkuset metrach zatrzymał się przed operą.

Sobotni wieczór dwudziestego dziewiątego października zapowiadał się ekscytująco. Spojrzała na budynek. W podcieniach roiło się od ekskluzywnie ubranych ludzi. Czerwony dywan prowadził do holu. Zaraz nad podcieniami dwie z sześciu imponujących kolumn zostały przykryte długimi czerwonymi flagami z dobrze widocznym białym kołem i czarną swastyką w środku.

Dietmar wysiadł z samochodu, obszedł go i otworzył drzwi pasażerki. Agathe obróciła się ze złączonymi nogami i z gracją damy wysiadła. Dwóch oficerów Wehrmachtu, którzy wraz z partnerkami od lewej strony dochodzili do opery, przeniosło wzrok na blondynkę w towarzystwie Sturmbannführera. Obydwaj przyspieszyli kroku, żeby spotkać się z nimi przy wejściu i z bliska zerknąć na piękną kobietę. Gdy weszła na czerwony dywan, poczuła się tak, jakby urodziła się do tego, aby ludzie ją podziwiali. Wsuwając dłoń pod pachę esesmana czuła na sobie wzrok innych. Niech patrzą, niech napawają się piękną słowiańską urodą. Nadludzie, psia jego mać, powiedziała w głowie.

Rozdział 13

Wieczór w Lesznie mijał spokojnie. Feliks wszedł do świetlicy z książką i gazetą pod pachą. Miał na sobie koszulę polową przygotowaną na poligon. Ubiór był niekompletny, na naramienniki nie wsunął rangi. Uśmiechnął się. To chyba przez leniwy sobotni wieczór, pomyślał.

Wchodząc do pomieszczenia, zauważył Tuchowiaka, który siedział w rogu pokoju, zajęty swoim hobby. Tym razem zamiast zaciągać się kolejnym egipskim, obzerał się, popijając przy tym coś ze stalowego kubka. W innych rękach naczynie wyglądałoby raczej jak garnek. No to z czytania nici, powiedział w myślach major.

– Tej, powiem ci, że kawę zbożową to u nas mają najlepszą, nie jakaś tam lura ze stolicy – bez ogródek zaczął chorąży.

– Serwus, widzę, że jutro oprócz kawy nie będzie pieczywa na śniadanie. Obzerasz się przed snem zimowym czy co? – Feliks odsunął krzesło i usiadł.

– Się wie. – Olbrzym ukroił kolejną kromkę chleba. Major, nie czekając długo, rzucił złożoną gazetę na stół.

– Zerknij. Opatrzność czuwała nad tym nieszczęśnikiem sprzed dworca.

Wojtek odstawił kubek i wziął gazetę. Na pierwszej stronie wytłuszczonym drukiem widniał tytuł. *Zamach w Paryżu*. Wszystkie gazety w Europie trąbiły o ataku, w którym z ręki Żyda zginął Ernst vom Rath, sekretarz niemieckiej ambasady w Paryżu. Pierwszą rzeczą, jaka przyszła do głowy majorowi, kiedy chwycił dwutygodnik, było to, że naziści tylko na to czekali. W dolnym rogu mniejsza kolumna rozpoczęła się słowami:

„Cóż za heroizm! Pierwszego listopada na Dworcu Centralnym, po tragicznym wypadku komunikacyjnym, trzech dzielnych żołnierzy uratowało mieszkańca naszego miasta. W obliczu wielkiej tragedii zachowali zimną krew. Mężczyzna lat trzydzieści jeden, dzisiaj, po tygodniu rekonwalescencji, wyszedł ze szpitala cały i zdrow. Chwała bohaterom!”

– Chwała bohaterom, widziałeś? – Chorąży popukał palcem w kolumnę. – Psiajucha, powinni napisać, mamy zwycięzcę w loterii Święta Zmarłych. Po utracie dwóch litrów krwi pacjent, zamiast na cmentarz, pojechał do domu.

– Nie kpj – rzucił major. – Telefonowałem dzisiaj do Bydgoszczy w sprawie naszego plutonowego – dodał.

– Czego się dowiedziałeś? – Tuchowiak zanurzył nóż w kostce masła.

– Nie jest zadobrze. Dostał puszkę i właśnie czeka na rozprawę. Nie za bardzo chcieli mówić, o co chodzi, ale ponoć są jakieś okoliczności łagodzące. Dobra. Drwał, zapytam po raz ostatni. Gra jest warta świeczki czy nie? – Major utkwiał wzrok w przyjacielu, który smarował masłem pajdę chleba.

– Mówię ci, że chłopak ma potencjał. Trochę zamknięty w sobie, ale równy chłop. A prawy ma taki, że go nawet nie widać. Taki szybki jak mój piorun. – Uśmiechnął się zawadiacko.

– Sam jesteś jak ten piorun. – Feliks pokręcił głową z dezaprobatą.

W świetlicy było jeszcze kilku żołnierzy, część z nich nie zwracała uwagi na chorążego. W przeciwległym rogu sali, pogrążony w czytaniu, siedział porucznik Sebastian Rychter. Na chwilę oderwał wzrok od książki i rozejrzał się po pomieszczeniu, rejestrując w myślach nowe twarze. Denerwowało go zachowanie grubiańskiego chorążego, który obzerał się tak, jakby od tygodnia nie widział jedzenia. Do tego prowadził żywą rozmowę ze swoim kolegą, gestykulując krótkim nożem, jakby to była dyrygencka batuta.

– W takim razie zabiorę się za to porządnie, nawet już wstępnie rozmawiałem z Kaźmierczakiem. Myślę, że nie będę miał problemu, żeby go wyciągnąć z tego szamba, a nawet dobrze się stało z tym jego paragrafem. Będzie miał dług wdzięczności i łatwiej będzie chłopaka ustawić. No chyba że nasz plutonowy coś przeskrobał. Wtedy nic nie poradzę – powiedział major.

– Będzie dobrze. Pakował się już kilka razy w kabałę, ale nigdy w żadne wielkie rzeczy. Pewnie jakaś lewizna, może ożenił kogoś z jednym weselnikiem. Ot, co.

– Zobaczymy.

– Tej, a jak nasz Ślązak?

– Sprawa jest w toku, wysłałem już stosowne dokumenty, nasz poczciwy szeregowiec lada moment dostanie rozkaz wyjazdu.

W tym momencie do świetlicy wszedł kapitan Gałan. W sali zrobiło się ciszej. Oficer miał ze sobą jakieś papiery i szukał wolnego stołu. Spojrzał na chorążego i plecy żołnierza w kurtce polowej. Przyjrzał się im dokładnie swoimi lisimi oczkami. Na stole zauważył książkę, gazetę, talerz z kostką masła i trzy czwarte bochenka chleba. Ruszył w ich kierunku. Szedł, mierząc wzrokiem Wojciecha, który podniósł oczy znad naczynia i spotkał się ze wzrokiem Gałana.

– Panie chorąży, kolacja już była. Poza tym odpowiednie miejsce do tego typu czynności to kantyna, a nie świetlica – mówiąc to, patrzył na plecy Feliksa, który jeszcze nie zdążył się odwrócić. Gałan brnął dalej: – A ty, żołnierzu, nie znasz regulaminu, co to za chodzenie w ćwiczebnych łachmanach?

– Proszę wybaczyć, panie kapitanie, to się więcej nie powtórzy. Zwykle zapominalstwo – odparł Feliks.

– Wasz stopień i przydział? – wycedził Gałan.

– Major Feliks Zygartowicz, a mój przydział pozostawię w tajemnicy. Miło mi pana poznać, panie kapitanie.

Cała świetlica patrzyła już na Gałana, który wyraźnie się zawstydził i stracił animusz. Rychter opuścił książkę.

– Pan wybaczy, panie... majorze, ale mimo to powinien dawać pan lepszy przykład i szanować regulamin – powiedział Gałan.

– Będę się starał, panie kapitanie. Będę się starał.

Szyderstwo ubodło kapitana, tymczasem Wojtek nie omieszkął dołożyć swoich trzech groszy i żując skórkę od chleba, dodał prawie niezrozumiale:

– Ja też będę. – Podniósł dwa palce na znak składanej przysięgi.

Gałan kipiał ze złości i już zamierzał coś powiedzieć chorążemu, ale Zygartowicz go uprzedził.

– Panie kapitanie, omawiamy właśnie z chorążym ważne kwestie, niech pan da spokój. Jest sobota wieczór, szkoda robić zamieszanie, poza tym pozostali żołnierze są już wyraźnie zaniepokojeni zaistniałą sytuacją, a przecież wszyscy tu przyszli, żeby się odprężyć. Zgodzi się pan ze mną, prawda?

Kapitan nie wiedział, jak się zachować, zapomniawszy już, że chciał usiąść obok. Skinął tylko głową, obrócił się na pięcie, prychnął i wyszedł.

– Boże, chroń przed takimi bałwanami – wycedził Wojtek.

– Masz rację. Cholera, ledwie przyjechaliśmy i już mamy swoich sympatyków. Nie może być normalnie.

Tuchowiak pochylił się do kolegi tak, jakby chciał przekazać jakąś tajemnicę.

– Zyga, wiesz co?

Major spojrział pytająco.

– My tu po prostu nie pasujemy, tu jest cały cwancyk – wyszeptał chorąży, śmiejąc się.

– Mów za siebie. Ja mam *Potop* w ręce, za to ty wyżerasz zapasy całego baonu. Tu jest zasadnicza różnica. Wiesz, chyba trzeba by cię zrzucić po cichu w Rzeszy z dywersyjną robotą w celu obniżenia morale Wehrmachtu. Chorąży Wojciech *Tuchenmesser*³ powoduje głód w trzeciej wschodnio-brandenburskiej. Dywizja padłaby na kolana, a Lichel popełniłby samobójstwo własną pięścią. – Major zaśmiał się, wyobrażając sobie taką sytuację.

– Psiamać. Daj spokój, wszystko w tym języku brzmi jak nazwa jakiejś broni. –

Wojtek odwzajemnił uśmiech.

– Dobra, weź tu posprzątaj i rzeczywiście idź z tym do kantyny. Ja muszę poczytać i odprężyć się w jakimś spokojnym miejscu. Niedługo jedziemy na poligon, ale najpierw nora i załoga, bo obecnie nie ma kogo szkolić, no i to zaopatrzenie. O jasny gwint! – Feliks syknął, nagle sobie coś przypomniawszy.

– Co jest? – Wojciech wybałuszył oczy.

Wtedy Zygartowicz popatrzył na niego z wypisanym na twarzy sarkazmem, uśmiechnął się i wypalił.

– Skąd ja wezmę tyle konserw?

Wojtek od razu włożył całą kromkę do ust.

– Mhm, dużo konserw – odpowiedział niezrozumiale, żując pieczywo.

Major, wstając, znowu pokręcił głową i skierował się z powrotem do drzwi. Przed wyjściem w rogu zauważył młodego porucznika, który coś czytał. Przypatrzył się okładce jego książki. Zbiegiem okoliczności młody oficer miał w ręce *Pana Wołodyjowskiego*.

– Gratuluję wyboru. – Feliks zwrócił na siebie jego uwagę. – Czy lubi pan Sienkiewicza? – dodał.

Rychter podniósł głowę i badawczo zerknął na żołnierza, który przed chwilą w dziwny sposób odprawił kapitana Gałana.

– Tak – odpowiedział skonsternowany. – Proszę wybaczyć, ale nie przypominam sobie...

– Major Feliks Zygartowicz – uprzedził go starszy oficer i wyciągnął dłoń.

Sebastian natychmiast zerwał się z krzesła. Wiedząc, że czapka została na blacie stołu, nie zasalutował, tylko od razu uściśnął rękę majora.

– Porucznik Sebastian Rychter.

– Pan wybaczy to drobne zamieszanie – powiedział z uśmiechem Feliks i skinął głową w głąb świetlicy. Sebastian nie bardzo wiedział, jak się zachować, odwzajemnił się tylko nieśmiałym uśmiechem.

– Dobrze, nie zawracam panu już głowy, poruczniku. Aha, zapomniałbym, wychodzi na to, że dzisiaj będziemy podobnie umilać sobie czas. – Obrócił okładkę książki tak, aby Sebastian przeczytał tytuł. Henryk Sienkiewicz, *Potop*.

– Ale zbieg okoliczności.

– W rzeczy samej. Do zobaczenia – rzekł Feliks.

– Do widzenia, panie majorze.

Zygartowicz zniknął w korytarzu.

Rozdział 14

Agathe wykorzystywała każdy antrakt, żeby wlać jak najwięcej szampana w swojego partnera. Oficer SS pośród oficjeli czuł się jak ryba w wodzie, chwalił się swoją partnerką i brylował w towarzystwie dumny niczym paw. Ona z jednej strony kokietowała towarzystwo, a z drugiej z dokładnością zapamiętywała nazwiska wszystkich wysoko postawionych oficerów i przedstawicieli partii, którzy przedstawili się jej podczas przerw w spektaklu.

Wieczór w operze był wspaniały. Przez małą lornetkę obserwowała Carmen⁴, a co jakiś czas niezauważenie wodziła wzrokiem po pierwszych rzędach, odnotowując zaabsorbowanych przedstawieniem członków nazistowskich władz. Po zakończonym spektaklu nakłoniła Dietmara, żeby wziął ze sobą butelkę dobrego szampana. Stali chwilę przed wejściem, czekając na czarne audi. Wiedziała, że do jego mieszkania jest piętnaście minut piechotą, nawet nalegała na nocny spacer, ale Dietmar upierał się przy aucie, stwierdzając, że na piechotę to niech sobie chodzi Wehrmacht.

Olbrzymie mieszkanie oficera robiło na wszystkich wrażenie. Na pierwszy rzut oka miało jakieś sto metrów kwadratowych, a urządzone było niczym luksusowy apartament w czterogwiazdkowym hotelu. Od przeszło pięciu lat Agathe spotykała się z różnymi Niemcami, każdy z nich był przydatny dla jej sprawy. Wszyscy byli figurami w grze, którą prowadziła niczym wprawna operowa Carmen.

Pomyślała o Dietmarze. Luksus, który był zdecydowanie ponad stan Sturmbannführera SS, wydał się jej podejrzany. Będąc pracownikiem Reichsbanku, zastanawiała się nad ostatnio zasłyszonymi plotkami o tym, że bank jest gigantyczną pralnią pieniędzy z grabieży majątnych rodzin żydowskich. Ocknęła się z zadumy. Może ten esesman to strzał w dziesiątkę, zobaczymy, pomyślała. Dietmar zdjął pas i ściągnął górną część galowego munduru. Popatrzyła na niego z udawaną namiętnością.

– Kochanie, nastaw jakąś romantyczną muzykę i przynieś kieliszki. Ja tymczasem pójdę się odświeżyć. Gdzie jest łazienka?

Wskazał jej drzwi na końcu korytarza. Jego oczy błyszczały od alkoholu i z pożądania. Agathe zrzuciła z siebie futro i pantofle, odwzajemniła się pożądliwym uśmiechem, przyłożyła dłoń do ust i zdmuchnęła z niej całusa.

– Widzimy się w sypialni – rzuciła i ruszyła przed siebie. Gdy wróciła do sypialni,

esesman leżał na łóżku. W tle leciała dobra muzyka. Przynajmniej to, pomyślała.

– Chodź tutaj – rzekł rozkazującym tonem.

Uśmiechnęła się.

– Dzisiaj, mój kochany, ja będę prowadzić w tańcu – rzuciła zalotnie i ruszyła w jego kierunku.

Nawet nie zauważył, kiedy zerknęła, czy uzupełnił kieliszki. Stały prawie pełne na nocnym stoliku. Zdjęła suknię i rozpięła stanik. Gdy zobaczył jej piersi, natychmiast zaczął szybciej oddychać. Uśmiechnęła się. Wystarczy pokazać im smycz, a już wiedzą, że idą na spacer, pomyślała. Rozpiął koszulę, zdjął ją i rzucił na podłogę. Agathe weszła na łóżko, usiadła na nim okrakiem, po czym powoli pochyliła głowę i pocałowała go namiętnie.

– Spokojnie, mój kochany, powoli. Mamy całą noc – wyszeptwała. Gdy opadł na poduszkę, zaczęła całować go po szyi i torsie.

– Jesteś niesamowicie zbudowany, mój Goliacie.

Czuła, jak krew pulsuje mu w żyłach. Całując tors esesmana, opuściła rękę i sprawdziła, czy wszystko idzie po jej myśli. Przesunęła ręką po rozporku. Egner miał pełny wzwód. Dotarła do guzików, sprawnie je rozpięła. Niemiec jęknął z rozkoszy.

– Nie przestawaj – szepnął, gdy Agathe, słysząc głębokie charczenie esesmana, podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

Sięgnęła po torebkę, którą wcześniej położyła na podłodze, i wyjęła pudełko z prezerwatywami. Czym prędzej wyobraziła sobie mężczyznę, dla którego kiedyś straciła głowę. Cudowne chwile spędzane w jego ramionach przyszły w mgnieniu oka. Zaczęła poruszać się miarowo, udając przy tym przyjemność. Przestała fantazjować i powróciła do rzeczywistości.

– Jesteś wspaniały, Dietmarze – rzekła z udawaną rozkoszą.

Pochyliła się lekko do przodu, żeby mógł złapać ją za piersi. Opadła na niego jeszcze raz. Niemiec znowu jęknął. Po chwili zwiększyła tempo. Esesman zacisnął pięści, mnąc prześcieradło. Po chwili usłyszała pisk, który ją rozbawił, ale nie dała tego po sobie poznać. Agathe, niczym wprawna aktorka filmów dla dorosłych, jeszcze raz opadła na niego i jęknęła, udając ekstazę.

– Jesteś taki męski, cudowny – szepnęła i delikatnie zsunęła się z wielkiego cielska. Egner wciąż dyszał. Kilka minut, tak jak myślałam, przemknęło jej przez głowę.

– Nie wypada mi mówić takich rzeczy, ale doprowadzasz mnie do szaleństwa. – Pocałowała go w policzek.

– Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką miałem w życiu – odparł.

Popatrzyła mu w oczy, robiąc idealną minę do tego mało wyszukanego komplementu.

– Kochanie, pójdź się odświeżyć. Mam ochotę usnąć w twoich wielkich ramionach, ale jak się obudzę, to nie wiadomo, co przyjdzie mi do głowy – powiedziała, udając zakłopotanie.

W oczach Niemca znowu zabłysnął płomień pożądania. Uwielbiał czuć władzę i niejednokrotnie fantazjował na ten temat. Podniecało go dominowanie nad ludźmi i obserwowanie ich, jak się boją. Bez słowa ruszył w kierunku łazienki. Agathe poczekała na dźwięk otwieranych drzwi, po czym sięgnęła po torebkę. Wyjęła flakon z perfumami i nad jednym z kieliszków przekręciła podstawę butelki. Odliczyła właściwą liczbę kropel i odłożyła flakon z powrotem. Wymieszała płyn. Gdy wszedł do sypialni, podniosła się z łóżka. Esesman skupił uwagę na jej pełnych piersiach. Wzięła dwa kieliszki i podała mu właściwy.

– Uwielbiam cię, Dietmarze. Mam nadzieję, że częściej będziemy tak spędzać wieczory.

– Masz na to słowo oficera SS – wyrzucił z siebie formalnie.

Brakuje jeszcze, żebyś mi tu wykrzyczał swoją mantrę, pomyślała i przechyliła kieliszek, wypijając prawie całą zawartość. Spojrzała na butelkę Moët Impérial. – Kocham szampana – dodała.

– Uwierz mi, będziemy go pijać częściej, niż myślisz. – Uśmiechnął się i też wypił prawie wszystko.

Przysunęła się bliżej, wzięła od niego kieliszek i poprowadziła go do łóżka. Gdy się położyli, Agathe przylgnęła do niego całym ciałem. Nie minęła chwila, a Niemiec zaczął miarowo oddychać.

– Wiesz, już dawno nie było mi tak cudownie. Ta opera, te światła, szampan, ty w mundurze. Oni wszyscy bledną w twoim blasku, kochany. Taki dostojny i męski, władczy, taki podniecający. – Gładziła go dłonią po policzku. Minęło kilka, może kilkanaście minut, cały czas prawiła mu komplementy, delikatnie obniżając ton głosu, aż w końcu powieki opadły mu na dobre. SS-Sturmbannführer Egner spał jak dziecko. Cierpliwości, pomyślała, cierpliwości.

Zaczęła rozmyślać o poniedziałkowym dniu w banku, złożeniu wszystkich informacji w całość i napisaniu raportu do wydziału. Po około dwudziestu minutach, gdy Niemiec sapał, pogrążony w głębokim śnie, postanowiła działać.

– Dietmarze, Dietmarze – szepnęła mu do ucha.

Nie reagował.

– Dietmarze, obróć się na bok, bo chrapiesz – powiedziała podniesionym głosem i szturchnęła go w wielką szczękę.

Żadnej reakcji. Mlasnął tylko, nic więcej. Wstała i obeszła łóżko. Wzięła torebkę i wyszła do przedpokoju. Poruszając się po ciemku, niczym kotka idąca na łowy, dotarła

do gabinetu. Podeszła do rzędu wielkich okien, zerknęła na ulicę i kamienicę naprzeciwko, gdzie paliło się kilka świateł.

– Kurwa mać! – zakląła pod nosem. Stojąc w samych pończochach, przyglądała się, jak blisko jest sąsiedni budynek. Gdyby zapalić światło, byłaby widoczna jak na dłoni. – Muszę pozaciągać te wszystkie zasłony – rzuciła krótko pod nosem i zabrała się do pracy.

Zasłoniła okna ciężkimi kotarami, po czym zapaliła lampę z dużym abażurem, która stała obok sofy. Działała jak maszyna. Przygotowała aparat. Obok fotela stała skórzana teczka. Wyjęła z niej papiery i włączyła lampkę na biurku. Rozłożyła dokumenty tak, żeby zachować ich kolejność. Przejrzała wszystko jak książkę, przekładając kartki z lewej na prawą. Nic szczególnego. Jakieś mało wartościowe bzdury. Przejrzała biurko, szufladę i szafki, szukając skrytek. Wszystko w porządku. Czas na komodę i kredens. Gdy otworzyła dolne drzwi, pokazała się pancerna szafa na klucz, wielki jak w starym średniowiecznym kufrze.

– Kurwa mać! – Tym razem przekleństwo było głośniejsze. – W dupę mogę sobie wsadzić te moje wytrychy – dodała.

Wieczór przestał już być taki szampański, uśmiechnęła się szyderczo. Dobrze wiedziała, że emocje prawie zawsze są złym doradcą. Panika równa się śmierć. Koniec i kropka.

– Szukaj – szepnęła.

Otworzyła prawe skrzydło kredensu. W środku był rząd szuflad. Wysuwała wszystkie i najpierw patrzyła pod spód. Odsunęła trzecią i ujrzała cieniutką sklejkową przegródkę, z której wystawał klucz.

– Boże, co za kretyn – pomyślała na głos o Niemcu, który śnił mocno o gromadce aryjskich dzieci. Synach stojących w pierwszych szeregach Hitlerjugend. Wyciągnęła klucz i otworzyła pancerną szafę, pstryknęła zdjęcie i zapamiętała układ w środku. Obok pliku banknotów stała teczka z dokumentami. Wzięła folder z szarego papieru i przeniosła wszystko na biurko. Teczka była oznaczona jako ściśle tajna. Przewracała wszystko, robiąc zdjęcia.

Pierwsze strony zawierały skład personalny jakiejś grupy specjalnej. Szybko odnalazła tam nazwisko Egnera. Kolejne były z rozkazami poinformowania miejskich bojówek i wytycznymi odnośnie do plądrowania wielu miejsc wyszczególnionych dalej. Były to adresy sklepów, domów towarowych, fabryczek i nielicznych prywatnych żydowskich mieszkań.

– Boże. Przecież to zwykłe przestępstwa – powiedziała pod nosem.

Zauważyła adres synagogi Pod Białym Bocianem.

„Nie palić, istnieje możliwość rozprzestrzenienia się ognia na miasto”; adnotacja była

napisana ręcznie. Na kolejnych stronach, oprócz wrocławskich, były adresy z innych miast Dolnego Śląska. Szukała daty. Bez skutku. Skończyła fotografować, poskładała dokumenty i odłożyła na półkę w odpowiedniej kolejności. Zamknęła szafę i ukryła klucz. Zgasiła światła, odsunęła zasłony. Aparat i wytrychy powędrowały na miejsce. Wróciła do Egnera, który spał w takiej samej pozycji, w jakiej go zostawiła. Zanim się położyła, wzięła kieliszek Niemca z niedopitym szampanem, wróciła do łazienki i wylała resztę do zlewu. Po powrocie uzupełniła kieliszek mniej więcej taką samą ilością świeżego trunku. Położyła się obok niego i przykryła.

Gdy starała się zasnąć, myślała o raporcie, który musi napisać. O tym, co zobaczyła, i o powiadomieniu kontaktu. Ten Niemiec to chyba skoczek, z pozoru nieznacząca figura, ale niezbędna do wykonania jakiegoś większego planu. Ten Niemiec to strzał w dziesiątkę, pomyślała i uśmiechnęła się zawadiacko.

Rozdział 15

Feliks wszedł do pokoju pułkownika Lipca. W pomieszczeniu panował chaos. Wszędzie walały się dokumenty, a na biurku piętrzył się cały stos akt. Jedna z teczek leżała na wprost oficera, który teraz patrzył na gościa.

– Dzień dobry panu. Powiadomiono mnie przed chwilą, że nieustępliwy major koniecznie chce się ze mną zobaczyć.

– Dzień dobry, panie pułkowniku. To prawda. Nazywam się Feliks Zygartowicz. – Strzelił obcasami i oddał honory.

– Co pana sprowadza do Bydgoszczy? – zapytał lekko zaskoczony pułkownik.

– Chciałbym się spotkać i porozmawiać z plutonowym Makarewiczem – rzucił Feliks. Pułkownik zamyślił się przez chwilę.

– Zaraz, zaraz. Czy ja dobrze słyszę? Wie pan, że za niecałą godzinę idę sądzić w jego sprawie?

– Tak, wiem, właśnie dlatego tu jestem, panie pułkowniku.

Ten zerknął na niego zaskoczony. Wziął papierośnicę z biurka, otworzył i wyciągnął przed siebie w kierunku majora.

– Nie, dziękuję, nie palę – odparł Feliks.

Lipiec wyciągnął jednego i przypalił.

– A więc, panie majorze, fatygował się pan aż do Bydgoszczy, żeby spotkać się z sędzią i porozmawiać o wypuszczeniu osadzonego w areszcie plutonowego tutejszej kawalerii. Oskarżonego o rozbój, zniszczenie mienia i opuszczenie jednostki bez przepustki. – Pułkownik przystanął na chwilę i zaciągnął się po raz drugi. – Zastanawiające, o ile się nie mylę, to mamy listopad, a nie początek kwietnia. Żarty sobie pan stroi?

Feliks zerknął na poważną twarz sędziego.

– Proszę wybaczyć moje zachowanie, pułkowniku. Przyjechałem najszybciej, jak mogłem. Uprzejmie proszę to przeczytać. – Podał mu list.

Lipiec otworzył złożoną kartkę, przeleciał wzrokiem po tekście i znowu zaciągnął się głęboko.

– Rozumiem. Teraz niech mnie pan uważnie posłucha, panie majorze. Po pierwsze nie przywykłem do takiego zachowania, a po drugie, jakby wszedł tu sam Śmigły-Rydz i mi różne listy dawał, to rozprawa i tak by się odbyła. *Privatorum conventio iuri publico non derogat*⁵ – wyartykułował starannie każdą głoskę. – Rozumie pan, co mówię? – dodał krzepki pułkownik.

Zygartowicz uśmiechnął się lekko.

– Doskonale pana rozumiem i popieram pana w całej rozciągłości. Nie może być, aby taka niesubordynacja uchodziła płazem w Wojsku Polskim.

– Tak? Pan pozwoli, że sam to ocenię na podstawie zgromadzonego materiału dowodowego i przesłuchań świadków, dobrze?

Feliks skinął głową.

– Jedyne, co mogę w tej chwili powiedzieć, to to, że daję słowo oficera, że jak trafi do mojego plutonu, to zesocjalizuje się szybciej niż w jakiegokolwiek jednostce karnej, poza tym zależy mi na nim. To dobry żołnierz, a tacy mogą się nam niedługo przydać. *Dormiunt aliquando leges, numquam moriuntur*⁶ – powiedział Feliks.

Sędzia popatrzył na majora wymownie:

– To wszystko, panie majorze, co chciał pan powiedzieć?

– Tak jest!

– W takim razie porozmawia pan z plutonowym po rozprawie, jak będzie ku temu stosowna okazja. Teraz proszę mnie zostawić, mam swoje obowiązki. Może pan odejść.

Zygartowicz skinął głową, strzelił obcasami i przyłożył dwa palce do daszka. Odwrócił się i, wychodząc pomyślał, jak mało by wskórał, stawiając się i naciskając na tego pewnego siebie oficera. Bogu dzięki za takich wojskowych, takimi ludźmi wygrywa się wojny, powiedział w duchu.

Wszedł z budynku wprost na teren koszar. Spojrzał na zegarek, było bez mała dziesięć do dwunastej. Rozprawa dopiero za trzy kwadransy. Hulał chłodny wiatr. Zapiął płaszcz i rozejrzał się po placu. Mimo że szlify wywiadowcze zdobywał w Bydgoszczy, to na terenie jednostki był może po raz trzeci. Wszystko wydawało się obce i nieznanym. Przypomniawszy sobie początek kariery wywiadowczej i rezydenturę Bydgoskiej Trójki, która mieściła się w centrum. Uśmiechnął się na myśl o swoim dobrym koledze majorze Żychoniu, którego bardzo szanował i od którego wiele się nauczył. Dzięki ich zdrowej rywalizacji komórka urosła do najprężniej działających w kraju. Powinien odwiedzić starych druhów i szczwanego lisa, ale nie tym razem. Miał za wiele spraw na głowie, a ogrom obowiązków w Lesznie wcale się nie zmniejszał.

Przez chwilę przemknął mu pomysł o wypadzie do miasta, ale nie było sensu wpadać do Trójki na pięć minut tylko po to, żeby się pokazać. Może trzeba by umilić sobie czas inaczej, na przykład tak, jak by to zrobił Wojciech.

Zaburczało mu w brzuchu. Uśmiechnął się i ruszył w kierunku jednostkowej stołówki. Wracając, najedzony, myślał o Makarewiczu. Polegał na opinii człowieka, na którym nigdy się nie zawiódł w głębi duszy miał nadzieję, że jak uda się zwerbować plutonowego, to okaże się spokojniejszy niż Wojtek. Para takich gagatków w grupie byłaby nie do opanowania. Obawiał się, że jego przyjaciel zwykł dobierać sobie znajomych równie nietuzinkowych co on sam.

Wszedł z powrotem do budynku i usiadł na krześle w holu. Jakiś sierżant przemknął obok, salutując. Feliks zdawkowo przyłożył dwa palce do daszka rogatywki. Myśli krążyły mu wokół planu.

Wszystko idzie zbyt wolno, uznał. Potrzebuję jeszcze kilkunastu osób do pełnego zespołu. Kaźmierczak obiecał broń i ekwipunek, ale wszystko trwa za długo. Brakuje dobrego zaopatrzeniowca, a gdzie przy tym wszystkim scalanie grupy? Selekcje i szkolenia to co najmniej rok, albo i więcej. Tylko w jaki sposób szybko znaleźć odpowiednich kandydatów? Nie ma czasu na niańczenie maminsynków tylko po to, żeby im powiedzieć, że się nie nadają. Polegać na znajomościach Drwala? To się nie uda, zamiast jednostki będzie miał wtedy bandę wariatów, którzy najchętniej praliby wszystko, co ma wygląd cwaniaka.

Przecież stworzenie agentów ze zwykłych żołnierzy trwa, co więcej, chciał nauczyć ich działania w grupie, a to niemożliwe w tak krótkim czasie. Jasna cholera, przecież nawet nie ma drużyny, a gdzie pluton albo kompania? Spokojnie, krok po kroku, pewnych spraw nie da się przyspieszyć, najważniejsze to nadać im bieg i poczekać.

Gdy ponownie spojrzął na zegarek, było już pół do drugiej. Po chwili zauważył niewysokiego plutonowego, który wszedł do dyżurki z kilkoma kartkami w ręce. Nie minęła chwila i pojawił się w holu, rozejrzał się i zauważywszy majora, zsalutował.

– Przepraszam, panie majorze, czy to miejsce jest wolne? – zapytał, kierując wzrok na jedno z krzeseł obok Zygartowicza.

– Tak, proszę. Niech pan siada, panie plutonowy. Ciężki dzień?

– Powinienem powiedzieć: „tydzień”, panie majorze. – Plutonowy uśmiechnął się z trudem i zaczął przeglądać dokumenty.

– Mocno pan narozrabiał?

– Trochę i myślę, że gdy powiem teraz panu, że jestem niewinny, to i tak pan nie uwierzy.

– Ma pan rację, tak zareaguję, ale powiem panu, że to podobnie jak ja. Też jestem niewinny. – Uśmiechnął się lekko.

Zdziwiony plutonowy, nie wiedząc, jak się zachować, odwzajemnił uśmiech.

– Przenoszą mnie do jakiegoś karnego plutonu pod dowództwo majora Zygartowicza. Każą jechać do Leszna. Proszę wybaczyć śmiałość, zna go pan może?

– Czasami mam wrażenie, że w ogóle.

– Za pozwoleniem, co pan ma na myśli?

– To, co pan słyszał, panie Radosławie, ale wszystko opowiem panu po drodze. Proszę dać mi ten przydział, panie Makarewicz. Schowam go.

Radek podał dokumenty dowódcy.

– Wie pan, co mawia pański kolega?

Plutonowy tylko patrzył osłupiały, jakby słowa w ogóle do niego nie docierały.

– Lepiej spotkać w lesie dziką lochę niż na piwie żandarmów choćby trochę. – Major uśmiechnął się i ruszył przed siebie. – Chodźmy, za niecałą godzinę mamy pociąg do Leszna – rzucił, nawet się nie obracając.

Rozdział 16

9 listopada 1938 r.

Z teczką w ręce, korytarzem Sztabu Generalnego, biegł porucznik Zdzisław Kalinowski. Zmierzał do gabinetu szefa sztabu. Dotarł na pierwsze piętro, wszedł do pokoju numer trzynastie i zerknął na sekretarkę.

– Dzień dobry, szanowna pani, przyniosłem pilne dokumenty dla pana generała – powiedział zdyszany.

– Dzień dobry, panie poruczniku. Proszę mi je dać, przekażę generałowi – odpowiedziała Rozalia ze stoickim spokojem i wyciągnęła dłoń.

– Przykro mi, droga pani, ale muszę je dostarczyć do rąk własnych.

Popatrzyła na niego z lekkim wyrzutem i podniosła słuchawkę aparatu.

– Panie generale, przepraszam, że przeszkadzam, jest tutaj porucznik, który twierdzi, że ma jakieś ważne dokumenty dla pana. – Odsunęła słuchawkę od ucha, zatrzepotała rękami i spojrzała na porucznika.

– Od kogo pan idzie?

– Pani wybaczy, wysłała mnie generał Ordyński. – Kalinowski dyskretnie obrzucił sekretarkę pożądlivym spojrzeniem.

– Mówi, że jest od generała Ordyńskiego. Mhm, rozumiem. – Odłożyła słuchawkę. – Proszę wejść, panie poruczniku.

Młody oficer otrząsnął się z lubieżnych fantazji i pobladł lekko na myśl o rozmowie z szefem. Zapukawszy do generalskich drzwi, poczekał na pozwolenie wejścia.

– Panie generale, melduje się porucznik Kalinowski!

– Słucham pana, poruczniku. – Kaźmierczak obrzucił go surowym spojrzeniem.

– Dokumenty od generała Ordyńskiego. Kazano mi je dostarczyć jak najszybciej do rąk własnych pana generała i przekazać, że sprawa jest bardzo pilna.

– No to niech pan da te dokumenty.

Zdzisław podszedł do biurka i podał teczkę generałowi. Cofnął się lekko i czekał na pozwolenie odejścia. Generał zobaczył aktówkę z oznaczeniem „III Ekspozytura II Oddział w Bydgoszczy. Ściśle tajne, Bydgoszcz, 3 listopada”. Sprawdził, czy plomba jest

nienaruszona.

- Jest pan wolny, poruczniku – powiedział, nawet nie spoglądając w jego stronę.
- Tak jest! – Młody żołnierz strzelił obcasami i wyszedł.

Kaźmierczak z zaciekawieniem zerwał plombę i otworzył teczkę. Nagłówek od razu wyjaśniał, w czym rzecz. Zaraz po dacie widniał tytuł. Kryptonim: Adrastea. Między zdjęciami odnalazł pierwszy maszynopis z notatką, która została sporządzona z tekstu przesłanego z mikrofilmem. Poprawił binokle i zabrał się za lekturę.

30 października 1938 r.

Od dwóch tygodni prowadzę starszego oficera SS w randze Sturmbannführera,

Dietmara Egnera (charakterystyka w załączniku). Po premierowym spektaklu Carmen, który odbył się 29 października we wrocławskiej operze, dzięki pracy wywiadowczej uzyskałam dostęp do dokumentacji sporządzonej po spotkaniu z członkami partii narodowosocjalistycznej i dużej komórki SS funkcjonującej na Dolnym Śląsku. Spotkanie odbyło się w piątek, 28 października. Prawdopodobnie na spotkaniu, w którym uczestniczył wspomniany oficer SS, podjęto decyzję, aby oficjalnie wykonać wytyczne nadesłane z dowództwa partii, dotyczące usuwania żydowskiej społeczności z Rzeszy. Przejście od deportacji ludności do bardziej agresywnego działania jest wysoce prawdopodobne. Podejrzewam, że przy najbliższej okazji, którą będzie można wykorzystać jako pretekst do prowokacji i usprawiedliwienia planowanych wcześniej skrupulatnie działań antyżydowskich, SS zacznie zbrodnicze operacje.

Proszę zauważyć przedstawioną na zdjęciach dokładność wytycznych dla oddziałów szturmowych SA, a także treść rozkazów dla dowódców grup, którzy zapewne będą koordynatorami planowanej akcji. Jestem niemal pewna, że niedługo dojdzie do plądrowania, grabienia mienia żydowskiego oraz do zastraszania, a nawet mordowania ludności żydowskiej w ważniejszych miastach Dolnego Śląska. Wiele z wymienionych adresów to sklepy, mieszkania, duży dom towarowy oraz synagogi Pod Bocianem i na Wygonie⁷. Wszystkie nieruchomości należą do właścicieli żydowskiego pochodzenia. Dodatkowo z charakteru rozkazów i wytycznych dla oficerów SS wynika, że członkowie partii zrobią wszystko, żeby do aktów wandalizmu przyłączyła się niemiecka ludność cywilna. Jako że oficjele przybyli na premierę byli wysoko postawionymi członkami partii z różnych regionów, podejrzewam, że sprawa może mieć charakter ogólnonarodowy. Zalecam poinformowanie placówek dyplomatycznych o możliwym niebezpieczeństwie dla obywateli polskich żydowskiego pochodzenia.

Dzięki sumiennej pracy awansowałam do grupy głównych analityków oddziału Reichsbank Breslau. Dalej wzmożona aktywność przepływów finansowych i udzielanych kredytów. Miedzy 5 a 10 października odbyłam szkolenie w centrali Reichsbank w Berlinie. Korzystając z okazji, przejrzałam tamtejszą dokumentację i natrafiłam w niej na informacje o pojedynczych przelewach na duże kwoty pomiędzy Bankiem Rozrachunków Międzynarodowych BIS w USA a centralą Reichsbank. Sytuacja nie pozwalała na robienie zdjęć. Liczby i zestawienia w raporcie to informacje szczerkowe, które udało mi się zapamiętać. Dodatkowo natrafiłam na informacje o olbrzymiej dostawie złota w marcu bieżącego roku, zaraz po przyłączeniu Austrii do Rzeszy. Mówi się o osiemdziesięciu tonach czystego kruszcu, co wydaje się nieprawdopodobne. Wartość ta przekracza niemal trzykrotnie rezerwy narodowe Rzeszy. Pozwolę sobie zauważyć, że złoto jest najlepszym środkiem płatniczym przy dokonywaniu transakcji finansowych, a szczególnie, jeżeli

rozchodzi się o transakcje, za pomocą których chcemy ukryć pochodzenie środków. Ten cenny metal występujący w postaci monet, sztabek i najróżniejszej biżuterii można łatwo przetopić.

Podejrzewam, że ten proceder jest zakrojony na wielką skalę. W całym kraju rodziny żydowskie i wszyscy przeciwnicy ruchu narodowosocjalistycznego grabieni są ze wszystkiego, co zawiera ten cenny kruszec. Później, przetopiony w sztabki, zapewne zostaje zamieniony na dewizy, co ułatwia wszelkie operacje finansowe. Zaznaczam, że powyższy akapit oparty jest na plotkach, a wnioski to jedynie moje domysły. Koniec.

Kaźmierczak nagle oderwał się od lektury. Zaczyna się dziać coś, nad czym za chwilę nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych straci kontrolę, pomyślał. Teraz już z wyraźnym zdenerwowaniem przekładał zdjęcia z przypiętymi objaśnieniami. Koniec raportu zawierał depesze wybranych konsulatów w Niemczech, zapewne dołożonych przez wydział wywiadowczy w celu uzupełnienia dokumentu.

5 listopada 1938 r.

Tajne pismo nr 741/38/2

Konsul Generalny RP w Lipsku do Ambasady RP w Berlinie

Odnieśliśmy sukces w przeciwdziałaniu zarządzeniom policyjnym, dotyczącymi m.in. powrotu znad granicy polskiej do Lipska dwóch transportów z obywatelami polskimi. Według konsula amerykańskiego jest to pierwsza od dłuższego czasu moralna porażka Niemiec, którym Polska w tej sprawie stanowczo się przeciwstawiła i osiągnęła pewien sukces. Akcja opiekuńcza konsulatu nad wydalonymi Żydami polskimi i przygarnięcie ich masowo na terenie konsulatu spotkało się w licznych sferach lipskiego niemieckiego społeczeństwa z dużym uznaniem.

P. Jeleński do Ministerstwa Spraw Zagranicznych

No.5-a

Otrzym. dn. 6 XI 38 g. 20.40

Krąży pogłoska, że atentat w Paryżu spowoduje w najbliższych dniach masowe wydalenie wszystkich Żydów polskich.

Ewentualnie proszę o instrukcje.

Generał odłożył dokumenty na stół i popadł w zadumę. Ten zamach w Paryżu podpalił lont. Zastanawiał się przez chwilę nad realnym wpływem tego szczeniackiego posunięcia. Zabicie niemieckiego dyplomaty przez młodego Żyda będzie wodą na młyn dla NSDAP, pomyślał, po czym odszukał pudełko z tytoniem i zaczął nabijać fajkę z gruszowego drewna.

Sytuacja stawała się bardziej napięta, niż sobie to wyobrażał. Niemcy przestają się już w ogóle kryć z usuwaniem Żydów z Rzeszy. Bez wątpienia planują prowokacje i Bóg jeden wie, co jeszcze mają w zanadrzu. Zapalił zapałkę i zaczął krótko pykać. Żar w główce fajki pulsował energicznie, a płomień zapałki, co chwilę zasysany do środka,

pojawiał się i znikał. Po krótkiej chwili, gdy poczuł, że tytoń nie smakuje już siarką, kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: No, w końcu, po czym podniósł słuchawkę aparatu telefonicznego i wykręcił zero na tarczy.

– Pani Rozalio, proszę natychmiast odnaleźć generała Ordyńskiego i przekazać mu, żeby do mnie czym prędzej zatelefonował. Proszę powiedzieć, żeby skorzystał z bezpiecznej linii.

– W tej chwili, panie generale.

Rozalia odłożyła słuchawkę i wykręciła numer do centrali wydziału wywiadowczego. Po krótkich rozmowach dotarła do adiutanta, który odszukał swojego dowódcę i poinformował go o prośbie szefa sztabu. Generał Ordyński był na krótkim spotkaniu z jednym z oficerów komórki kontrwywiadu. Gdy wrócił do swojego gabinetu, usiadł przy biurku i otarł pot z czoła. Przebrnął przez standardową procedurę połączeń, w końcu dotarł do Kaźmierczaka.

– Tak, słucham? – odezwał się szef sztabu.

– Witaj, Antoni, Gracjan z tej strony.

– Witaj, Gracjanie, dzwonis z bezpiecznej linii?

– Tak.

– Przeczytałem raport.

– Co o tym myślisz?

– Pytasz o wartość czy o to, co się dzieje?

– Ogólnie. Podejmujemy jakieś działania?

– Dzwonię przede wszystkim w tej sprawie. Od razu musisz skierować zawiadomienie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, żeby przekazali wiadomość do wszystkich placówek dyplomatycznych w Niemczech, aby udzielały wszelkiej pomocy Żydom. Zaczynają się tam dziać rzeczy wielce niepokojące. Każdy Polak ma mieć poczucie, że ojczyzna stoi za nim murem.

– Czy ty wiesz, że mamy tam zarejestrowanych siedemdziesiąt tysięcy polskich Żydów?

– Gównu mnie to obchodzi. Jakby było pół miliona, to mają znaleźć schronienie dla wszystkich.

– Wiesz, że to musi trafić najpierw do marszałka, zanim pójdzie do ministerstwa.

– Wiem, dzwoń do ministerstwa, ja dzwonię do wodza. Muszę przyznać, że nasza dama zrobiła kawał dobrej roboty.

Ordyński zdusił papierosa w popielniczce.

– Tak, to prawda. Ten inwigilowany esesman rzeczywiście wygląda na wartościowego

– dodał Kaźmierczak.

– Niedługo przekażę jej stosowne rozkazy.

– Powiedz mi jeszcze, jak idzie sprawa organizacji komórki Niemcy.

– Jan działa, wybieramy personel, organizujemy się strukturalnie. Niedługo będziemy gotowi, żeby pójść do marszałka i ministerstwa. Wiesz, ile to dokumentów, nie jestem pewien, czy ta nasza reorganizacja cokolwiek usprawnia. Mam wrażenie, że przybyło ton papierów do wypełnienia, nic więcej.

– To tak jak i ja. Dobrze, w takim razie czekam na kompletną dokumentację, wtedy pójdziemy rozmawiać. Aha, uprzedziłeś personel, że Niemcy szykują coś nowego?

Ordyński nie odpowiedział na to pytanie, tylko cicho prychnął. Kaźmierczak uśmiechnął się pod nosem.

– Rozumiem, ale informuj mnie na bieżąco – dodał.

– Dobrze.

– Bywaj. – Kaźmierczak odłożył słuchawkę.

Rozdział 17

Szturchnięty w żebra Kaźmierczak przewrócił się na bok, podciągnął poduszkę pod głowę, przestał chrapać i dalej spał jak dziecko. Jego żona nigdy nie mogła wyjść ze zdumienia, jak ten człowiek może zasypiać niemal w pół zdania. Mniej więcej wyglądało to tak, jakby ktoś nagle wyciągał mu wtyczkę z zasilania.

Tej nocy obudził ją telefon, który dzwonił o tej porze bardzo rzadko. Lecz gdy dzwonił, to oznaczało to, że ktoś miał bardzo poważną sprawę albo dzwonił ktoś głupi z błahą sprawą. Telefon wciąż brzęczał. Otworzyła oczy. Była pierwsza w nocy, dziesiątego listopada.

– Antoni! – Nie doczekała się reakcji. – Antoni – powiedziała głośniej, szturchając go przy tym w ramię.

– Tak, tak, rybko, już nie chrapię – mruknął półświadomy generał.

Uśmiechnęła się i nabrała więcej powietrza.

– Antoni, telefon!

Kaźmierczak otworzył oczy i przez ułamek sekundy spoglądał w czerń, tam, gdzie za chwilę powinien pojawić się sufit, po chwili zrzucił nogi z łóżka i podążając za dźwiękiem aparatu telefonicznego, niczym mumia egipska obudzona po tysiącletniej drzemce, skierował się do gabinetu. Gdy podszedł bliżej, hałas dzwonka aparatu stał się nieznośny. Miał wrażenie, że ktoś za pomocą wiertarki dryluje mu głowę. Podniósł słuchawkę z widełek.

– Kaźmierczak, słucham?

– Panie generale, tu kapitan Biedrzycki, przepraszam, że budzę, ale melduję posłusznie, że generał Ordyński kazał mi do pana zatelefonować i powiedzieć, że się zaczęło – powiedział oficer głosem pełnym przejęcia.

– Jezu Chryste!!! Co? Wojna?

– Nie, nie, panie generale, plądrują wszystko, co żydowskie, w całych Niemczech.

– Jasna cholera, zgłupiał pan, kapitanie? Myślałem, że wojna. Jaka jest sytuacja? No melduj, człowieku, a nie zabierasz się do tego jak zółw do pieprzenia. – Obrócił się, jakby chciał sprawdzić, czy nie został przyłapany przez żonę na używaniu wulgaryzmów, za co go zawsze ganiła.

– Przepraszam, panie generale. Melduję, że depesze donoszą, iż konsulaty mają jaką taką kontrolę. Ludzie się schodzą. Wszystkim udzielają schronienia. Palą się synagogi w całej Rzeszy, Niemcy plądrują sklepy i mieszkania. Są ofiary, ale dużo więcej ludzi aresztują i zapewne wywożą do obozów. Cywilna ludność się nie zaangażowała.

– Rozumiem. Zbierajcie meldunki. Jakby sytuacja zupełnie się wymknęła spod kontroli, macie mnie poinformować. Czy minister spraw wojskowych, prezydent i marszałek wiedzą?

– Tak, panie generale. Generał Ordyński osobiście telefonował.

– Rozumiem. Dziękuję.

– Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić?

– Nie, to wszystko.

– Tak jest!

Kaźmierczak odłożył słuchawkę. Rozejrzał się po gabinecie i zapalił lampkę obok swojego fotela. Na stoliku leżała rozłożona książka, a na niej jedna z jego ulubionych rzeźbionych fajek. Podszedł do drewnianego barku na kółkach, wyciągnął prostopadłościenną kryształową karafkę. W środku była szkocka whisky, piętnastoletni Macallan, którą dostał od ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii. Wlał jedną trzecią szklanki, usiadł na fotelu, upił łyk i zaczął nabijać fajkę.

Skąd bierze się ta nienawiść? – pomyślał. Feliks miał rację, Europa niedawno wyleczyła się z jednej długiej wyniszczającej choroby, a teraz trawi ją następna, która jest inna niż wszystkie, a my się biernie przyglądamy, myśląc, że szklanka z miodem i czosnkiem pomoże. Nazizm to rak, a jedyny sposób na jego uleczenie to odjęcie guza i wszystkich ognisk choroby.

Upił kolejny łyk, uśmiechnął się pod nosem i przypomniał sobie wspólne chwile z ojcem Zygartowicza. Gdyby nie on, to teraz cała ta sytuacja zapewne by go nie obchodziła, bo byłby martwy. Mimo że teraz większość młodych spoglądała na niego jak na zwykłego sztabowca, to on nie zapomniał wojskowego rzemiosła. Znał smród okopów, swąd spalonych ciał i budzącą groźbę śmierć. To specyficzne uczucie, kiedy wiesz, że ktoś zupełnie nieopodal, niemal na wyciągnięcie ręki, przed chwilą umarł.

W okopach nie ma ateistów, pomyślał, pyknął z fajki i przywołał chwilę, w której ostatni raz uścisnęli sobie dłonie z Bożydarem.

– Jak mnie słyszysz, stary draniu, to miej swego gałgana w opiece, to dobry oficer, a najpewniej niedługo będziemy się znowu bili – powiedział na głos. Czuł, jak szklą mu się oczy.

Po chwili weszła żona, stanęła w drzwiach i widząc, że jej mąż nie stoi przy aparacie telefonicznym, ze zdziwieniem zapytała:

- Antoni, z kim ty rozmawiasz?
- Z nikim, rybko, tak sobie siedzę i głośno myślę.
- Stało się coś?
- Nic, czym musiałybyś się martwić, wracaj do łóżka, ja za chwilę przyjdę.
- Dobrze, tylko nie siedź do rana.
- Dobrze, rybko – odparł i upił kolejny łyk.

Rozdział 18

Na magistralę przeładunkową w Lesznie wjechał pociąg wojskowy z wagonami towarowymi i kilkoma platformami, na których przypięte były działa przeciwpancerne piechoty. Maszynista cierpliwie poczekał, aż ramię semafora ustawi się pod kątem czterdziestu pięciu stopni, po czym wprawnie wtoczył skład na magistralę roboczą, która była zaraz na wprost peronów osobowych. Pociąg zahamował z nieznośnym piskiem. Porucznik Sebastian Rychter stał w przeciwdeszczowym płaszczu, obserwując majestatyczny parowóz. Tego dnia jesień dawała się ostro we znaki, deszcz zacinał prosto w twarz.

– Dlaczego zawsze pada w mordę? Na to musi być jakaś reguła – wycedził pod nosem, rozglądając się za dowódcą składu.

Od strony budynku biura Polskich Kolei Państwowych podbiegł do niego jeden ze strzelców.

– Panie poruczniku, mamy podjeżdżać?

– Jeszcze chwilę, bez pośpiechu. Najpierw muszę porozmawiać z dowódcą składu. Nie wszystkie te zabawki przyjechały dla nas. – Widać nie tylko jemu się spieszyło, pomyślał. Wszyscy chcieli jak najszybciej odbębnić służbę i schować się gdzieś, gdzie jest sucho i ciepło.

– Tak jest! – rzucił szeregowiec.

Wtedy z pierwszego wagonu wyskoczył żołnierz, rozejrzał się wprawnie i gdy tylko zauważył oficera stojącego z szeregowcem, ruszył żwawo w ich kierunku. Sierżant podszedł i zasalutował.

– Dzień dobry! Panie poruczniku, zapraszam do wagonu. Pada jak diabli.

– Dzień dobry – odpowiedział Sebastian adekwatnie do stanu pogody i zerknął na młodego strzelca. – Wracaj do auta i czekaj na rozkaz. Jak dam znać, podjedziecie i załadujemy, co trzeba.

– W tej chwili, panie poruczniku. – Strzelec ruszył w kierunku dziesięciu ciężarówek Fiat 621 stojących w rzędzie na platformie. W strugach deszczu z tej odległości wyglądały jak zamazane kontury bliżej nieokreślonego sprzętu wojskowego.

Sebastian i sierżant strzepnęli z siebie krople chłodnego deszczu i weszli do

pierwszego wagonu. Rozległ się syk parowozu, na peron buchnęła para.

– Sierżant Edwin Górski – przywitał się dowódca składu.

– Podporucznik Sebastian Rychter. Miło mi.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Tu są papiery przewozowe, panie poruczniku, zlecenie i rozkaz. Proszę podpisać zlecenie i pokwitować odbiór.

Sebastian wziął kartki i spojrzał na dokumenty.

– Panie poruczniku. – Sierżant wychylił się przez rozsunięte drzwi wagonu.

– Słucham pana. – Pograżony w liczbach podporucznik w ogóle nie spojrzał na dowódcę składu.

– Sporo tego macie do zabrania. Tymi ciężarówkami to będzie trzeba ze dwa razy obrócić.

Sebastian podniósł na chwilę głowę i się uśmiechnął.

– Ma pan mi przekazać dwadzieścia pięć ton amunicji i trochę części zamiennych. Razem jakieś trzydzieści dwie tony, jeśli się nie mylę.

– Tak. No, ale na raz tego pan nie weźmie na te fiaty.

– Poradzimy sobie, panie sierżancie, niby dwie i pół tony nośności, ale to nieprawda. Poza tym mamy jeszcze dwie przyczepy. – Przewrócił kartkę i zastanowił się chwilę. Coś nie pasowało. – Panie sierżancie, co to za siedem skrzyń na Pięćdziesiąty Piąty Pułk?

– Niech mnie pan nie pyta, dają mi ładunek i mówią: „Jedziesz, Edwin”. To jadę, nie pytam, co w środku.

Porucznik przyglądał się wpisom oznaczonym jako sprzęt mierniczy. Dziwne, pomyślał.

– Gdzie pan to trzyma? – Wskazał palcem na kilka pozycji.

– W trzecim wagonie, zaraz za platformą z boforsami.

– Armaty też zrzucacie u nas?

– Tak, ale nie wszystkie.

– Dobrze, niech mi pan pokaże te skrzynie.

Wyskoczyli z wagonu. Zmierzając w kierunku tyłu składu, Sebastian i Edwin zauważyli dwie postacie niespiesznie idące do czoła pociągu. Przez smugi szarego deszczu nie bardzo można było rozpoznać, kto nadchodzi. Na wysokości armat kalibru trzydzieści siedem milimetrów Sebastian zauważył majora Zygartowicza wraz z potężnym chorążym.

– Witam, panie poruczniku, piękna aura, prawda? – rzucił spokojnie starszy oficer.

– Panie majorze, panie chorąży. – Młody oficer zsalutował równocześnie z sierżantem. – Z całym szacunkiem, ale co do aury, to chyba bym polemizował – dodał.

Zygartowicz i Tuchowiak uśmiechnęli się równocześnie. Dwóch młodych żołnierzy kulilo się, a major z chorążym stali tak, jakby to było przyjemne sierpniowe popołudnie.

– Co tu pana sprowadza w tę pluchę? – zapytał Sebastian.

– Przyjechałem odebrać swoją przesyłkę.

Sierżant, słysząc te słowa, zamyślił się. W Lesznie miał przekazać amunicję i części zamienne podporucznikowi i pięć armat wz. 36 kapitanowi z dziwnym nazwiskiem, zaczynającym się na r, ale na pewno nie był to major.

– Dobrze, panowie, widzę, że macie takie miny, jakby to była wina deszczu, że pada. Chodźmy, wszystko wyjaśnię w wagonie – powiedział Feliks i ruszył przed siebie.

Zaraz za nim, z podniesioną głową, wprost na zacinający deszcz poszedł Tuchowiak. Sierżant wskoczył do środka wagonu jako ostatni.

– Panie sierżancie, z łaski swojej pokaże mi pan dokumenty przewozowe.

Ten bez namysłu wyciągnął kartki papieru, które, mimo że trzymane pod płaszczem, nie uchroniły się od deszczu. Major przewrócił strony. Sebastian przyglądał się w milczeniu.

– Panowie, te siedem skrzyń należy do mnie. – Zygartowicz wskazał palcem na kilka pozycji, przy których była widoczna kropla rozmazanego atramentu.

– Z całym szacunkiem, panie majorze, ale to wszystko jest przypisane do Pięćdziesiątego Piątego Pułku Piechoty i do mojego nazwiska, więc ja będę musiał się z tego tłumaczyć, i to kapitanowi Gałanowi – rzucił bez przekonania Rychter, wyobrażając sobie Gałana, gdy otrzyma podobną wiadomość.

– Panie poruczniku, potrzebuje pan rozkazu na piśmie? Niech się pan nie martwi kapitanem. Te skrzynie i tak trafią do mnie. Rozumie pan?

Rychter popatrzył na majora.

– Tak jest, panie majorze – powiedział zrezygnowany. – Mimo to myślę, że pan sierżant też musi być pewien, że wykonał swoją pracę należycie, a i ja nie chciałbym pozostawiać po sobie bałaganu w papierach – dodał.

Major westchnął.

– Ma pan rację, panie poruczniku. – Sięgnął pod płaszcz i wyjął złożoną kartkę papieru.

Sebastian szybko przeczytał krótki rozkaz i podał go sierżantowi. Notatka zwieńczona była podpisem szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Takie papiery działały cuda, a pytania, po co dziwnemu majorowi potrzebny jest sprzęt mierniczy, i tak pozostaną bez odpowiedzi. Porucznik zdawał sobie sprawę, że nikt z jego stopniem nie miał prawa

dochodzić prawdy, ale wiedział, że wścibski kapitan będzie drażył sprawę. Ale to już nie moje zmartwienie, pomyślał.

– Rozumiem. Czuję, że czeka mnie kilka ciężkich dni z kapitanem, kiedy zobaczy, że czegoś brakuje. – Rychter uśmiechnął się z przymusem.

– Może tak być. Proponuję powiedzieć prawdę, że po prostu wydałem panu rozkaz wydania mi tych skrzyń. Wtedy, jak się domyślam, skieruje to kapitana Gałana do mnie. Może dam sobie z nim radę? – Feliks uśmiechnął się szyderczo.

– Szanowni panowie, nie chcę być nieuprzejmy, ale ja nie mogę stać tutaj zbyt długo. Zaraz przeczepią mi parowóz i jadę z powrotem na Poznań, a stamtąd jeszcze na Bydgoszcz – wtrącił lekko zniecierpliwiony sierżant z kwatermistrzostwa.

– W takim układzie załatwmy to szybko i niech skład jedzie dalej. Ma pan się czym zabrać, panie majorze? – zapytał podporucznik.

– Mam, niech pan tylko da jakichś dwóch ludzi, aby to załadowali na samochód.

– Oczywiście.

W czasie, gdy oficerowie zbierali się do wyjścia, Wojciech w głębi wagonu włożył do ust perfumowanego papierosa i odpalił zapalkę.

– Matko Chrystusowa, panie chorąży. Proszę wyrzucić tego papierosa. W tych skrzyniach jest sama amunicja – krzyknął przerażony sierżant.

– Panie sierżancie, ależ mnie pan nastraszył, o mało w portki nie narobiłem. Gdzie mam tego papierosa wyrzucić? Tutaj!? Chce pan, żeby nas w kosmos wyje... – Wojciech zerknął na Feliksa, który właśnie mierzył go wzrokiem. – Przecież tu jest sama amunicja – dodał, śmiejąc się, po czym wyskoczył na platformę.

Feliks pokręcił tylko głową. Zdziwiony Rychter, nie wiedząc, jak ma się zachować, wychylił się z wagonu i machnął ręką, przywołując jednego ze swoich szeregowców. Oficerowie zeszli na peron. Po krótkiej chwili żołnierz przybiegł i jak tylko zobaczył majora, wyprężył klatkę piersiową.

– Strzelec Zwoleń melduje się na rozkaz. – Młodziak patrzył przed siebie, a po twarzy spływały mu krople deszczu.

Wojciech, widząc wyprężoną pierś świeżego naboru, wypuścił chmurę dymu, podszedł do strzelca i zewnętrzną stroną dłoni puknął szeregowca w ramię tak, że ten się lekko zgiął.

– Klata pirata, a w środku wata, co? – prychnął i ruszył w kierunku parowozu.

Sebastian zdezorientowany i nie mniej zaskoczony zaczął wydawać rozkazy Zwoleniowi, który dalej regulaminowo prężył pierś.

– Nasze wagony to dwa, trzy i sześć. Z wagonu numer trzy załadujcie skrzynie trzynaście, czternaście i te z opisem „sprzęt mierniczy” prosto do auta pana majora, tylko

ostrożnie. Tam stoi ciężarówka, niech jeden z was ją poprowadzi, razem z naszymi, do jednostki. My pojedziemy przodem. Najpierw wjedźcie na peron tymi dwoma samochodami z przyczepami. Postawcie je blisko wagonu i ładujcie przez burtę. Tylko rozkładajcie ciężar równomiernie i nie pakujcie dużo na przyczepy. Liczcie skrzynie i odhaczajcie wszystko w dokumentach. Tu są papiery z numerami skrzyń, tylko nie zamoczcie ich. Maksymalnie trzy tony na samochody i nie więcej niż dwie i pół tony na przyczepę. Załadowane ciężarówki postawcie przy budynku dworca towarowego. Czekamy tam na was w łaziku – powiedział.

– A zarysuj gdzieś pudło albo furgon, to nogi z dupy powyrywam. Rozumiemy się? – dorzucił chorąży Tuchowiak.

– Tak jest! – Żołnierz ruszył pędem w kierunku ciężarowych fiatów.

– Panowie, chodźmy do mojego łazika. Dziękuję, panie sierżancie – powiedział Sebastian.

– Do widzenia panom. – Sierżant strzelił obcasami i uśmiechnięty ruszył do żołnierzy, którzy już rozsuwali burty pierwszego ze wspomnianych przez podporucznika wagonów.

Feliks ukradkiem obserwował obrotnego porucznika, który bez żadnego wysiłku rozporządzał swoimi ludźmi. Widział, że jest w nim to coś, ten pierwiastek, którego zawsze szukał w żołnierzach. Ten błysk w oku, może lotność umysłu. To właśnie takie jednostki z łatwością radzą sobie z problemami, które stają im na drodze, i bardzo szybko adaptują się do nowych sytuacji. Zastanawiające, czy to aby nie boski pierwiastek i dlatego ma go tak niewiele osób – pomyślał Zygartowicz i zerknął na Rychtera, który gwizdnął i machnął ręką do kierowcy ciężarówki, żeby się ruszył i podjeżdżał na platformę.

Tak jakby do tej czystej biologii, maszyny wszechmocnej natury, która obdarza rodzinę potomkiem, dodawano kroplę czegoś niezrozumiałego. Dziecko rośnie, a rodzice doszukują się w nim swoich cech, chełpiąc się i przekomarzając, do kogo jest bardziej podobne, i wtedy niespodziewanie zauważają, że berbeć zaczyna radzić sobie na swój własny, nowo wypracowany sposób. Jego kreatywność zaskakuje rodziców i nie wiadomo kiedy malec, syn rodziny chłopskiej, zostaje olimpijczykiem, a córka szwaczki i sadownika światowej klasy fizyczką.

Major uśmiechnął się pod nosem. Skoro to pierwiastek boski, to dlaczego syn służącej i urzędnika państwowego staje się żądnym wojny psychopata? Zastanowił się przez chwilę, po czym ruszył za Wojtkiem i podporucznikiem w kierunku zaparkowanego polskiego fiata 508. Dochodząc na miejsce, usłyszeli szcęk haków wagonów i syk parowozu.

Odłączono lokomotywę, gęste obłoki dymu buchnęły z komina, koła pośliznęły się i obróciły szybko dwa razy. Odczepiony parowóz zmierzał na obrotnicę, a później na inny tor. Przy wagonach stała ciężarówka z podwiniętą plandeką. Szeregowi uwijali się jak

w ukropie. Oficerowie wsiedli do łożnika, Sebastian odpalił motor.

– Panowie, schowam się za budynek, deszcz strasznie zacina.

– Długo pan tutaj urzęduje, panie poruczniku? – zapytał Feliks.

Wtedy Tuchowiak wyskoczył z samochodu.

– Idę pooglądać inne parowozy – rzucił.

Sebastian nie ukrywał zdziwienia. Pierwszy raz widział chorążego, który śmiałby się tak zachowywać w obecności starszego oficera.

– Nie, panie majorze, jakieś dwa miesiące. Prowadzę inwentaryzację w jednostce. W zasadzie to już kończę i wracam do Poznania. Panie majorze, mogę o coś zapytać?

– Śmiało.

– Proszę wybaczyć, ale dlaczego pański chorąży tak dziwnie się zachowuje? – Sebastian zerknął przez lewe ramię.

Tuchowiak w strugach deszczu łąził po placu przed budynkiem i palił kolejnego papierosa. Poruszał się tak, jakby to był wiosenny spacer. Przyglądał się pracy na dużej magistrali przeładunkowej i podziwiał parowozy. Jeden z nich, nowoczesny i majestatyczny Ot1, właśnie wjechał, wciągając na dworzec skład z luksusowymi wagonami osobowymi.

Pociąg relacji Berlin–Poznań–Warszawa zboczył z trasy w Zbąszyniu z powodu nagłego remontu torowiska i jechał przez Leszno. Skład zatrzymał się dosłownie na chwilę. W trzecim wagonie od końca siedział mężczyzna ubrany w dobrze skrojony szary garnitur. Miał około czterdziestu lat, ciemne oczy i jasnobrązowe krótko ostrzyżone po bokach włosy. Reszta była modnie zaczesana na jedną stronę. Przyglądał się z zaciekawieniem palącemu olbrzymowi i żołnierzom w oddali uwijającym się przy rozładunku wojskowego pociągu.

Widząc wydobywający się z ust chorążego dym, wyciągnął papierosa z rzeźbionej srebrnej papierośnicy. Przypalił go i obserwując krajobraz za oknem, intensywnie nad czymś rozmyślał. Major Abwehry Marcus Schreiber jechał do Poznania na umówione spotkanie ze swoim kontaktem.

Feliks zerknął na Wojtka, przechadzającego się po ruchliwym dworcu.

– Widzi pan, panie poruczniku. Jego zachowanie jest tylko z pozoru dziwne.

– Z pozoru? – zdziwił się młody porucznik.

– Otóż, gdyby pan uniknął tyle razy śmierci co ten człowiek, to zapewne tak samo cieszyłby się pan tą pogodą jak i on, a i życia nie brał nazbyt poważnie. Poza tym to rodowity wolsztynianin, on uwielbia te cholerne parowozy.

Sebastian zamyślił się na chwilę i rzucił:

– Rozumiem.

Nie wiedział, że wystarczyłby jeden kadr ze wspomnień chorążego Tuchowiaka, żeby zrozumiał. Gdyby tylko kazać przywołać Wojtkowi choćby jeden obraz, który chciałby zapomnieć, i podsunąć podporucznikowi. Wtedy ten bez wątpienia zwymiotowałby przez niewysoką burtę łazika i nigdy więcej nie zadał tego pytania. Major nie mógł wiedzieć, że już niedługo podporucznik Sebastian Rychter będzie miał swoje demony, których będzie chciał się pozbyć.

– W takim razie moja kolej – powiedział Feliks. – Niech mi pan powie, co pan tu właściwie robi. Bo chyba nie jest to spełnienie pańskich marzeń?

Sebastian zastanowił się chwilę nad odpowiedzią.

– A, jakoś tak się potoczyły moje losy. Myślałem, że po szkole wyższej będę pracował w cywilu, ale wujek mnie przekonał do służby. To zasłużony bohater i weteran Wielkiej Wojny, a i bolszewików bił. Myślałem, że to tutaj to tylko początek, a utkwiałem chyba na dobre.

– Jak się nazywa pański wujek, jeśli mogę wiedzieć?

– Ziemowit Łazuta.

– Chcesz mi powiedzieć, że pułkownik Łazuta to twój wujek?

– Teraz generał w stanie spoczynku. Tak, jestem jego siostrzeńcem. Moja mama była jego młodszą siostrą.

– Pan wybaczy na chwilę. – Feliks wychylił się z łazika, włożył dwa palce do ust i gwizdnął.

Tuchowiak, słysząc znajomy dźwięk, obrócił się na pięcie.

– Drwał, dawaj no tu!

Gdy chorąży wsiadł do łazika, samochód wyczuwalnie ugiął się na resorach.

– Tej, łagodna jakaś ta zima będzie. W czym rzecz, majorze?

– Słuchaj. Poruczniku, proszę powiedzieć, jak się nazywa pański wujek.

– Generał Ziemowit Łazuta.

– Ożeż w mordę! Jak pragnę zdrowia. Ostatni raz, jak go widziałem, to w lazarecie leżał bez nogi.

– Już od dawna ma protezę i świetnie sobie radzi – wtrącił Sebastian.

– No, w to to raczej nie wątpię – ciągnął ze zdumieniem Tuchowiak.

– Znacie się, panowie?

– Tak, biliśmy się pod jego rozkazem z bolszewikami – wyjaśnił major, po czym zmienił temat. – Jak idzie chłopakom?

– Już prawie kończą. Za niecałe dziesięć minut możemy jechać – odparł Wojtek.

– Wydaje mi się, że siostrzeniec takiego wyśmienitego oficera ma wyższe aspiracje aniżeli służba pod nierozgarniętym kapitanem. Mam rację? – zapytał Feliks.

– Tak jest, panie majorze, tylko jakoś, póki co, nie było sposobności.

– Jeszcze jedno. Gdybym zapytał pana, w czym pan jest dobry, co by pan powiedział o sobie?

– Dobrze, skromnie powiem, że jestem dobrym mechanikiem i matematykiem też jestem nie najgorszym. Chociaż moją pasją jest strzelectwo i rusznikarstwo, to chyba po wuju. Całe studia strzelałem w AZS; co ciekawe, w wojsku strzelam mniej aniżeli na uczelni.

– Rusznikarz, powiada pan – wypalił Wojciech. – To niech pan patrzy na mojego visa. – Wojtek rozpiął kaburę i wyciągnął broń.

Sebastian obrócił się do chorążego i sięgnął po pistolet. Złapał za rękojeść z klasycznym trójkątnym znakiem i literami „FB” pośrodku. Od razu poczuł jego ciężar.

– Zawsze pan chodzi z naładowaną bronią?

– Po co komu broń bez amunicji? To nonsens – odparł Wojtek.

– Ma pan rację. Mogę się jej przyjrzeć, panie chorąży? – Sebastian w jednej chwili wyciągnął magazynek, odciągnął zamek, sprawdził czy nabój nie pozostał w komorze. Wyjął lufę i w nią popatrzył.

– Widzę, panie chorąży, że dba pan o swoją broń. – Odłożył lufę i wypiął sprężynę igliczną wraz z iglicą. Wziął sprężynę iglicy i sprawdził iglicę. Z magazynku wypiął jeden nabój, obrócił go i szybko zlustrował. Wpiął nabój z powrotem i przyjrzał się sprężynie iglicy.

– Panie chorąży, przy naboju Parabellum ze Skarżyska warto ją delikatnie naciągnąć, ale to w warunkach warsztatowych.

– Imponujące – powiedział major.

– To tylko piękny pistolet, panie majorze, nic skomplikowanego.

Zaczął wszystko składać. Gdy usłyszeli trzask magazynka, który został wsunięty na miejsce, ciężarówki zaczęły wjeżdżać na plac i ustawiać się w szeregu. Sebastian oddał zabezpieczony pistolet Wojtkowi. Znajomy już szeregowiec wyskoczył z jednej z nich, podszedł do łazika oficerów i strzelił obcasami.

– Panie poruczniku, melduję posłusznie, że ładunek jest na samochodach. Jesteśmy gotowi do wyjazdu. Tu są pokwitowane dokumenty. Wszystko sprawdzone. Do samochodu pana majora musiałem dołożyć dwie skrzynie od nas, bo nie chcieliśmy upychać na siłę na nasze samochody.

– Bardzo dobrze, zajedziemy do jednostki i odbierzemy od panów te dwie skrzynie.

Z całym zaopatrzeniem pojedziecie do magazynu numer cztery. Na terenie koszar niech ciężarówka pana majora jedzie za nami. Zrozumiano?

– Tak jest!

Gdy konwój wjechał na teren jednostki, łązik skręcił w prawo, a kolumna pojechała prosto. Ostatnia ciężarówka skręciła za fiatem 508.

– Panie Sebastianie, niech pan jedzie do magazynu numer jednaście. Tego na końcu ulicy.

Gdy wjechali na ostatnią prostą prowadzącą wzdłuż rzędu magazynów, major zapytał:

– Niech mnie pan teraz uważnie posłucha. Zapytam tylko raz, bez owijania w bawełnę. Jestem oficerem wywiadu i tworzę nowy pluton rozpoznawczo-dywersyjny. Nie ukrywam, że widzę w panu kandydata na oficera operacyjnego. Jest pan zainteresowany?

– Tak, bez dwóch zdań, panie majorze. – Sebastian poczuł, jakby właśnie na ten moment czekał od miesięcy. Może właśnie po to zjawił się w Lesznie.

– Ależ ty masz dar przekonywania, Zyga, ja nie wiem. Ty to zdecydowanie do pannic powinieneś wykorzystywać – wypalił chorąży.

– Nie popisuj się, bo przeciągniesz strunę. Panie poruczniku, proszę się nie przejmować, znamy się z chorążym ponad dwadzieścia lat. – Feliks obrócił się do przyjaciela. – Ale to nie znaczy, że recepta na cwaniactwo, jaką jest czyszczenie kibli, cię nie obowiązuje.

Tuchowiak poczuł, że przekroczył granicę.

Auto dojeżdżało do końca ulicy Feliks zauważył, że otwierają się drzwi magazynu. Pojawił się w nich plutonowy Makarewicz.

– Wjedź tutaj.

Machnął kierowcy z ciężarówki, żeby wjechał za nim. Samochody zatrzymały się w środku. Kierowcy zgasił silniki. Makarewicz zabrał się za zasuwanie drzwi.

– Panie plutonowy, niech pan nie zamyka, rozładujemy nasze graty, a ten młody poleci z dwiema skrzyniami do magazynu numer cztery – powiedział Zygartowicz.

Makarewicz zostawił drzwi bez słowa, skinął głową i podszedł do tylnej furty samochodu dostawczego. Magazyn był stary i najwyraźniej dawno nieużywany. Pod ścianą stały deskowane stoły z dwiema pordzewiałymi lampkami. Na obdrapanej ścianie wisiała jakaś stara tablica. Dach magazynu podtrzymywał się na nitowanych stalowych kratownicach, w niektórych miejscach przeciekał, a na ścianie końcowej było wiele zacieków. W lewym rogu stały skrzynie przykryte zieloną plandeką. Miejsce wyglądało jak stara opuszczona nora, którą ktoś niedawno pozamiatął. Chorąży podszedł do ciężarówki.

– Radek, ty to się umiesz ustawić. Ciepło, nie pada na łepetynę, a my na peronie

harujemy w deszczu. – Tuchowiak uśmiechnął się szelmowsko.

– Nie przesadzaj, tu jest ze dwieście metrów kwadratowych zamiatania.

– Pomogę panu chorążemu poprzesuwać te skrzynie – powiedział młody strzelec, który stał przy ciężarówce.

Wojtek obrócił się zaskoczony.

– Chłopcze, żebyś tylko nadążył odbierać.

Chwycił jedną ze skrzyń za sznurkowe ucho i przeciągnął ją tak, jakby ta nic nie ważyła. Tymczasem Radek podciągnął wózek. Trzech żołnierzy uwijało się przy rozładunku.

– Posłuchaj, napiszę rozkaz przeniesienia cię pod moje dowództwo i może już pojutrze będziesz służył pod moim rozkazem. Tymczasem jeszcze dzisiaj skończ odbiór tego transportu i zapnij wszystkie raporty z tej inwentaryzacji – powiedział Feliks do Sebastiana.

– Panie majorze, skończę z tym do jutra wieczorem. Z tym przeniesieniem to obawiam się, że to nie będzie takie łatwe – dodał z obawą.

– To zmartwienie pozostaw mojej głowie. Jeszcze jedno wiem, że jesteś rozumny chłopak. Nie rozkazujesz Tuchowiakowi. Nie przejmuj się, jak będzie się szarogęsił. Z czasem zapracujesz na swoje. To tyle, ile na razie musisz wiedzieć.

Sebastian skinął potakująco głową. Major odwrócił się w stronę ciężarowego fiata.

– Strzelec Zwoleń – zawołał.

Chłopak zadowolony, że starszy oficer pamięta jego nazwisko, podbiegł natychmiast.

– Na rozkaz, panie majorze! – ryknął tak, że echo rozeszło się po całym magazynie.

– Weź ciężarówkę z pozostałymi skrzyniami i jedź to rozładować. Samochód odstawiś na miejsce. Masz tu klucze do dyżurki, wypełnisz papiery i powiesz dyżurnemu, że później wszystko podpiszę – skwitował dowódca.

– W tej chwili, panie majorze! – Strzelec wskoczył do fiata.

Makarewicz zamknął za nim drzwi i zapalił lampy, które wisiały na krótkich kablach pod konstrukcją dachu. Światła były słabe. W pomieszczeniu panował półmrok. Wojciech przeskoczył przez jedną ze skrzyń i podszedł do stołów. Stała przy nich stara stalowa szafka; wyciągnął ze środka małą brechę.

– Gdzie moja siekiera? – Olbrzym podważył wieko skrzyni. Odskoczyło, jakby było przybite małymi gwoździkami – Ha! Czuję, kochanie, że jesteś tutaj. Chodź do papy.

– Jezu Chryste, Drwal, ty chyba masz jakiś gorszy dzień – wycedził Feliks.

Ten jakby go kompletnie nie zauważał, wyciągnął karabin maszynowy Browning Wz. 28, podniósł do góry, odciągnął zamek i popatrzył do światła przez lufę. W skrzyni

znalazł magazynki na dwadzieścia sztuk nabojów, wyciągnął jeden, włożył do broni, po czym ją zabezpieczył. Obrócił się do kolegów, machając rkm-em i przekładając go z ręki do ręki, jakby karabin ważył dwa kilogramy zamiast ośmiu. Wszyscy mu się przyglądali. Tuchowiak popatrzył na nich i z uśmiechem od ucha do ucha wycedził:

– Panowie, przedstawiam wam swoją gertrudę, która w razie potrzeby będzie chroniła wasze chude dupy.

– Pan wybaczy, panie majorze – odezwał się Makarewicz. – Ten człowiek jest nienormalny.

– Wiem, panie Radku, wiem, ale musimy przywyknąć. Mnie się to nie udało od dobrych dwudziestu lat, ale warto próbować.

– Pozwoli pan, że ją obejrzę – powiedział podporucznik.

Tuchowiak podeszedł dwa kroki z rkm-em.

– Ma pan szczęście, to model po polskich modernizacjach. Na pierwszy rzut oka widać polski regulator gazowy i tłok. Pewnie komora zamkowa i lufa zostały wzmocnione. Miejmy nadzieję, że jest w skrzyni więcej luf. Bo sądząc po pańskim zaangażowaniu, to ta niedługo będzie do wyrzucenia.

Sebastian jeszcze dobrze nie skończył mówić, a Tuchowiak już grzebał w skrzyni. Feliks podeszedł do reszty pakunków i odnalazł skrzynię oznaczoną czerwonym napisem „sprzęt mierniczy”.

Wszyscy z ciekawością podeszli bliżej. Zygartowicz sięgnął do skrzyni i wyciągnął rusznicę przeciwpancerną.

– Ale armata – wycedził Wojtek.

Makarewicz jak zwykle przyglądał się bez słowa.

– To jest jedna z rzeczy, nad którą od jakiegoś czasu pracowali nasi inżynierowie.

– Mogę, panie majorze? – Sebastian był zachwycony.

– No, co pan myśli, panie poruczniku? – zapytał Wojtek.

– Panie chorąży, muszę przyznać, że jestem zdumiony – szepnął Sebastian. Odryglował i odsunął zamek, przyglądając się badawczo komorze naboju. – Drodzy panowie, nie wiem, jaką macie wiedzę na ten temat, ale ja pierwszy raz trzymam w ręce coś takiego. Wszak znam produkcję niemiecką, ale ta jest zupełnie inna. Panowie, zobaczcie na ten kaliber, przeciwpancerny mauzer ma 13/25 milimetra, a to mi wygląda na 7.9. To niemożliwe. Jak to broń przeciwpancerna, to pal licho karabin, pokażcie mi amunicję.

– Wszystko w swoim czasie, poruczniku – rzucił major. – Dobrze, a więc tak. Cała sprawa produkcji tej broni jest owiana wielką tajemnicą. Nikomu ani słowa, wszystko robimy po cichu. Zakazuję gadania o tym, co tu dzisiaj widzicie. Rozumiemy się?

Skinęli głowami.

– Zanim zobaczycie następne zabawki, Drwal rozejrzyj się w szafce za jakąś amunicją i łuskami, co? Sądząc po tym, jak porucznik opowiada o broni, zapewne spędzimy tu jeszcze trochę czasu. Poza tym zimno jakoś.

Wojtek jednym susem był przy szafce. Po chwili postawił cztery szklanki na drewnianym stole i napełnił je wódką. Sebastian myślał, że poziom zaskoczenia dzisiaj już dawno sięgnął zenitu, ale wyglądało na to, że się mylił.

– Panie majorze, ale jesteśmy na służbie.

– Ach, ta młodzież – wtrącił Wojtek.

Łyknęli. Młodego podporucznika lekko przytknęło; starał się zachować powagę, ale alkohol był zbyt mocny, oczy zaszyły mu łzami. Plutonowy z chorążym skinęli głowami z widocznym uśmiechem na twarzach. Sebastian stanowił wyjątek. Chuchał i walczył ze sobą, aby nie kaszleć.

Kolejne skrzynie wywierały na nim nie mniejsze wrażenie niż bimber. Nawet major nie krył podziwu. Były w nich visy oraz osiem egzemplarzy karabinu Wz. 38M. Prosta w obsłudze indywidualna i prototypowa broń samopowtarzalna. Karabin 38M sprawiał wrażenie niezawodnego, pewnego i celnego.

– To panowie jest to, na co stać naszych wspaniałych konstruktorów broni. Najnowocześniejszy karabin powtarzalny w Europie – powiedział major.

Na podłodze warsztatu pozostała jeszcze jedna zamknięta skrzynia. Wojtek rozglądał się za małym łomem.

– Wojtek, zostaw tę przyjemność panu Sebastianowi. Słyszając, z jaką pasją mówi o strzelectwie, sędzę, że ten prezent najpewniej będzie dla niego. Niech sam się tym zajmie. Ty tymczasem nalej po jeszcze jednej lufie i sprzątajmy ten bałagan.

– Tak jest. – Tuchowiak wrócił do stołu ze szklankami.

Podporucznik uklęknął i zabrał się za otwieranie. Gdy wieko odpadło, przez chwilę się nie ruszał, tylko spoglądał do środka. W skrzyni było czarne pudło. Wyciągnął je i położył na drewnianej konstrukcji. Odpiął trzy małe stalowe zatrzaski. W środku leżał nowoczesny karabin wyborowy Kar98k z prototypowym celownikiem optycznym i zestawem do konserwacji broni.

Zygartowicz czekał już od dobrej godziny na tę chwilę. Obserwował Sebastiana, który właśnie wyciągał karabin tak, jakby to było jajko Fabergé. Jego oczy szklily się jak oczy dziecka, które w końcu doczekało się swojego wymarzonego prezentu. Odryglował zamek, sprawdził, czy wszystkie części działają jak należy. Zamknął zamek i zaryglował go. Przyłożył broń do ramienia i celując w sufit, delikatnie ściągnął język spustowy. Usłyszał trzask iglicy. Cała trójka stała ze szklankami w ręce i patrzyła na podporucznika, uśmiechając się.

– Panie poruczniku, każda dama musi mieć imię – powiedział Wojciech Tuchowiak.

– Panowie, przedstawiam wam panią Barbarę, ona też będzie chroniła wam dupy.

Równocześnie ryknęli śmiechem, mając wrażenie, że słowo „dupa” parzyło go w język.

– Panie Sebastianie, jak rzeczywiście będzie miała taki temperament jak ta Sienkiewiczowska, to Bóg mi świadkiem, Niemcy mają zdrowo przechlapane – rzucił major i znowu wszyscy się roześmiali.

Chorąży podniósł szklanę.

– To co, za moją gertrudę i panią Barbarę Wołodyjowską.

– Za panią gertrudę i za Barbarę Jeziorkowską herbu Rawicz – rzucił major.

Teraz tylko Sebastian się zaśmiał.

– To w końcu jak? – zdziwił się Wojtek.

– No, bo widzi pan, w powieści było tak, że... – zaczął podporucznik.

– No nieważne, będzie Wołodyjowska, jak straci cnotę – rzucił chorąży, nie wiedząc, o co im chodzi, uśmiechnął się szczerze i podniósł szklaneczkę. – Zdrowia! – ryknął.

Łyknęli, bimber palił, a Sebastian znowu walczył o powietrze.

– A pan, panie Radosławie? – zapytał major.

Makarewicz westchnął niezauważenie.

– Mnie, panie majorze, to by jaką ładną karą klacz, strzelać wtedy mogę choćby i z grochu.

– Przykro mi, na ten moment nie ma takiej sposobności. No dobrze, panowie, sprzątamy. Wszystko ma być przykryte i zabezpieczone. Teraz sprawa, która was ucieszy najbardziej. Udać się do magazynu kompanii, pobrać koce i łóżka połowe dzisiaj śpicie w hotelu magazyn numer jedenaście. Nasze panie pewnie boją się zostać same. – Wojciech chciał zaprotestować, ale major go uprzedził. – To jest rozkaz. Jutro o pół do dziewiątej przyjeżdża nasz Ślązak Drwał, odbierzesz go od dyżurnego. Sebastian, sprawa twojej poprzedniej pracy ma być do jutra wieczora załatwiona, raporty u Gałana na biurku. Podeślę mu rozkaz przeniesienia. Gdyby Gałan pytał, jestem w pokoju sto dwadzieścia dwa w budynku baonu. Aha, wypisz kwity na łazik i tymczasowo na ciężarówkę. Ja załatwię resztę formalności u głównego kwatermistrza. Rozumiem, że wyraziłem się jasno?

– Tak jest – odpowiedzieli.

– Nie słyszałem.

– Tak jest, panie majorze!

– No, w takim razie wracam jutro. Usunąć wszystkie dowody na posiadanie płynów

kontrabandowych.

– Tak jest!

Major opuścił pomieszczenie.

Rozdział 19

Major Marcus Schreiber patrzył przez szybę wagonu. Pociąg jakiś czas temu opuścił dworzec w Poznaniu i zmierzał do Bydgoszczy. Pierwsze spotkanie przebiegło bez zarzutu, dane dotyczące zdolności bojowej jednostek skoncentrowanych w Wielkopolsce miał już w ukrytej przegrodzie teczki. Wystarczyło, że rzucił okiem na dokumentację sporządzoną przez poznańską agentkę, a od razu zauważył, że spisała się bardzo dobrze. Rysunki i diagramy były bardzo dokładne, a mapy wyglądały tak, jakby dopiero wyszły z drukarni.

Skupił wzrok na horyzoncie, który rozciągał się bezkresnymi połączeniami pól Wielkopolski, które teraz leżały w uśpieniu. Zapewne niedługo pokryje je biała pierzyna. Krajobraz nie napawał go optymizmem, było szaro i ponuro. Chmury niemal dotykały ziemi, a gdzieś na ich tle z miedzy wystawały bezlistne drzewa. Oficer Abwehry westchnął prawie niezauważalnie. Jeszcze trzy lata temu dokładnie o tej porze korzystał z jesiennego słońca na południu Francji. Uwielbiał Riwierę francuską, a szczególnie miejsce, w którym jego rodzina spędzała wakacje. Po pracy w tymczasowym biurze ojca szybko przedostawał się trasą nad Morzem Śródziemnym do domu z wielkim tarasem, na którym spędzał leniwe wieczory, czytając książki i słuchając muzyki.

Gdyby mógł, dosłownie w jednej chwili opuściłby ten rolniczy kraj. Rodzinna firma miała się wspaniale, a interesy w basenie Morza Śródziemnego szły bardzo dobrze. Wszystko, co dobre, szybko się kończy, pomyślał. Po raz kolejny patriotyzm wziął górę nad przyjemnościami i Marcus nie odmówił Wilhelmowi Canarisowi. Wiedział, że takich wezwań się nie rozważa, od razu ruszył z powrotem do ojczyzny.

W maju tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku Canaris, zaraz po tym, jak objął pieczę nad niemieckim wywiadem, awansował na kontradmirała. Wtedy bardzo szybko odświeżył stare kontakty i powołał wszystkich wartościowych oficerów, którzy tylko przyszli mu do głowy. Sztabowcy byli zaskoczeni, że mimo nieporozumień z byłym szefem wywiadu Canarisowi udało się tak szybko stworzyć doskonałą strukturę wywiadowczą Rzeszy, a nowi oficerowie odegrali w tym przedsięwzięciu ogromną rolę. Marcus Schreiber był jednym z nich i znajdował się na szczycie doborowego towarzystwa. Jego rola wyglądała troszkę inaczej aniżeli jego kolegów, którzy zostali oddelegowani do roli dowódców wydziałów i referatów. On pozostał cały czas agentem terenowym.

Na początku zastanawiał się, czy to wyróżnienie, czy raczej kara, ale po chwili sprawa wydała mu się oczywista, poza tym podczas ostatniego spotkania z Canarisem w jego apartamencie w Berlinie obydwaj jednogłośnie stwierdzili, że za biurkiem długo nie wytrzyma. Charakter jego służby różnił się zasadniczo od specyfiki pracy innych agentów terenowych, którzy wykonywali polecenia dowódców swoich komórek.

Major Schreiber był traktowany jak indywidualna jednostka, która przynależy do jednej z grup Wydziału II, ale odpowiadał przed samym Canarisem. Abwehra skonstruowana była na podobnych zasadach jak największe struktury wywiadowcze europejskich państw, w tym Polski. Całość stanowiły trzy wydziały: łączności, specjalny (akcji sabotażowych) oraz kontrwywiadu. Każdy z nich był podzielony na trzy grupy odpowiadające za marynarkę, lotnictwo i wojska lądowe. Siatka terenowa rozwinięta była tak, że każde dowództwo okręgu wojskowego miało swoją delegaturę wywiadu.

Wydział I miał charakter zarządczy, podobnie jak w Rzeczypospolitej, i przeważnie scalał we współpracy dwa kolejne wydziały, które pracowały jak dobrze zaprojektowana maszyna. Wydział I przechwytywał informacje i rozsyłał je pomiędzy wydziały II i III. Wszystko było wspierane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, gestapo i Urząd do spraw Niemców Mieszkających za Granicą. W każdym z wydziałów działały osobne grupy. Z racji swojego wielkiego doświadczenia major Schreiber od początku powiązany był z grupą drugą, w wydziale II oznaczoną literami „ON”. Sekcja obejmowała kraje graniczące z Rzeszą. Sprawa przydziału do grupy (ON) wydawała się oczywista ze względu na jego pochodzenie. Wychował się w majątnej rodzinie arystokratów, która posiadała kopalnie w Zagłębiu Ruhry oraz na Śląsku i od zawsze prowadziła interesy z Polakami i Rosjanami.

Marcus świetnie mówił po polsku ze śląskim akcentem. Dzięki nauce w prywatnym gimnazjum i studiom za granicą bardzo dobrze posługiwał się rosyjskim, francuskim i angielskim. W chwili obecnej był głównym ogniwem jednostki specjalnej Abwehry i nadzorował szeroko zakrojoną akcję, której był jednym z pomysłodawców. Całe przedsięwzięcie spotkało się z przychylnością kontradmirała. Marcus miał zbadać zdolność bojową polskiej armii, a przy okazji chciał obejrzeć budynki archiwów wywiadowczych, żeby móc przygotować akcję dywersyjną, dzięki której będzie można przejąć archiwum wywiadu po agresji na Polskę. Dostarczyło ono ogromnej wiedzy o siatce szpiegowskiej na terenie całej Rzeszy i wkrótce okupowanej Polski.

Do całego planu włączyło się kilkoro najznamienitszych szpiegów działających w Polsce i Wolnym Mieście Gdańsku. Agenci skrupulatnie wykonywali pracę, dbając o swoje siatki. Zbierali informacje, a wyniki przedstawiali w rezydenturach Abwehry, konsulatach bądź przekazywali kurierom. Tym razem major jechał przez Poznań do Bydgoszczy, na której ostatnio skupiał swoją całą uwagę ze względu na jedną z najlepiej działających komórek polskiego wywiadu, zwaną potocznie Bydgoską Trójką. W chwili gdy w zadumie przypalał drugiego papierosa, do przedziału wszedł kelner.

- Przepraszam szanownego pana, życzy sobie pan może kawy lub herbaty?
- Tak, chętnie, proszę czarną bez cukru.
- Służę szanownemu panu.

Pracownik wagonu restauracyjnego zerknął na ekskluzywnie ubranego pasażera. Uzupełnił filiżankę czarnym płynem z dużego termosu, wszedł do przedziału i postawił ją na stoliku tuż obok Schreiberga. Marcus sięgnął po portfel.

- Drogi panie, kawa dla pasażerów wagonów pierwszej klasy jest w cenie biletu.
- Wiem, to za pańską fatygę. – Wyciągnął banknot i podał go kelnerowi.
- Dziękuję, szanowny panie, ale to zdecydowanie za dużo.
- Myślę, że dyskusje są tu zbyteczne – powiedział Marcus.

Pracownik kolei popatrzył na pasażera z podziwem i ukłonił się nisko.

- Życzę szanownemu panu przyjemnej podróży.
- Dziękuję – odparł, nie spoglądając na rozmówcę.

Drzwi się zatrzasnęły.

Podróż minęła wygodnie i bez zakłóceń. Pociąg powoli wtoczył się na dworzec w Bydgoszczy. Major wyszedł na peron i od razu skręcił w lewo w kierunku wyjścia do miasta. Przeszedł przez hol na miejsce, gdzie podjeżdżały taksówki. Jeden z taksówkarzy, stary wyga, który posiadał umiejętność błyskawicznego rozpoznawania bogatych ludzi i do tego miał nosa do długich kursów, wystrzelił w jego kierunku.

- Szanowny pan potrzebuje samochodu? Służę pomocą.

Marcus podał mu walizkę. Teczka została w drugiej dłoni.

Taksówkarz bez namysłu chwycił walizkę, otworzył bagażnik i wrzucił ją do środka. Gdy wrócił za kierownicę, pasażer w modnym kapeluszu rozsiadł się już wygodnie na tylnym siedzeniu.

- Dokąd szanowny pan sobie życzy?

– Wracam z zagranicy i dawno nie byłem w Bydgoszczy, więc chciałbym przypomnieć sobie miasto. Zatrzymam się w hotelu Pod Orłem. Proszę najpierw pojechać w kierunku alei Powstańców Wielkopolskich, później do końca miałem kiedyś tam przyjaciela, którego odwiedzałem. Chciałbym sobie przypomnieć stare czasy. Wrócimy Curie-Skłodowskiej koło stadionu i pojedziemy do Śródmieścia – dodał pasażer.

Taksówkarz, słysząc te słowa, rozpromienił się od razu. Tak, na ten kurs czekałem, pomyślał i ruszył nieśpiesznie przed siebie.

- Długo pana nie było w Polsce?
- Dwa lata, a będzie pięć, jak nie byłem w Bydgoszczy.

– O, to szanowny pan się zdziwi, jak wiele się zmieniło od tamtego czasu.

Auto wjechało w centrum i z mistrzowską precyzją kluczyło tak, żeby, nie daj Boże, nie dać do zrozumienia pasażerowi, że jadą trasą dużo dłuższą niż normalna. Po krótkiej chwili Marcus stwierdził, że wystarczająco nasycił chciwość taksówkarza, i dał mu do zrozumienia, żeby się skierował we właściwe miejsce.

– Widzę, że Bydgoszcz to coraz piękniejsze miasto. Dobrze, teraz proszę dojechać do Powstańców i aleją do końca.

Taksówkarz zrozumiał aluzję i bez chwili namysłu skręcił we właściwą ulicę, skracając drogę. Słuchał Marcusa niczym przełożonego. Po pięciu minutach wyjechali z za rogu, major zauważył w oddali budynek, o który mu chodziło.

– Proszę tu zwolnić, rozpoznaję dzielnicę.

Auto zwolniło i toczyło się leniwie koło budynku Bydgoskiej Trójki.

– Tu w prawo, chyba tak, proszę skręcić i jechać powoli.

– Wedle życzenia, szanowny panie.

Taksówka skręciła i objeżdżała budynek. Marcus z ciekawością przyglądał się siedzibie konkurencji. Wjechali głębiej w dzielnicę i słynna rezydentura polskiego wywiadu po chwili została w tyle.

– Ach, wspomnienia wracają, to były czasy. Dobrze, niech pan jedzie do hotelu.

– Może się zatrzymać?

– Nie, proszę jechać do celu.

– W tej chwili. – Obroty silnika zwiększyły się, auto nabrało prędkości.

Marcus spojrział na zegarek, dochodziła szósta po południu. W sam raz, pomyślał. Spotkanie w restauracji hotelowej było na godzinę ósmą.

Gdy dojechali na miejsce, major Abwehry wynagrodził sownie kierowcę, zameldował się w swoim apartamencie, odświeżył się i przebrał na spotkanie. Zszedł do lobby wielką klatką schodową i skierował się do restauracji. W środku podszedł do rzeźbionego baru, w którym roiło się od wypolerowanych kieliszków i butelek przeróżnych alkoholi. Za kontuarem stał barman w śnieżnobiałej koszuli i czarnej westce. Pod szyją miał zawiązaną muszkę.

Schreiberg znał tę minę. Uśmiech nie szyderczy ani głupi, tylko dokładnie taki barmańsko-fryzjerski, taki, że człowiek od razu chce wlać w siebie kilka drinków i wylać całą żołąć swojego życia człowiekowi, który tak naprawdę wszystkie te historie o tym, że twój szef to prostak, żona zdradza, szesnastoletnia córka prowadzi się za rękę z nazistą przekonany, że jego plemniki mają na ogonkach czerwone opaski z małymi swastykami, a ty złapałeś syfilis od koślawej prostytutki z rynsztoku Rotterdamu, miał, delikatnie mówiąc, w poważaniu. Schreiberg o tym wiedział. Zresztą dla barmana jego

życie prywatne byłoby nudne, a za wiedzę o zawodowym musiałby go zabić.

- Dobry wieczór, czego się pan napije?
- Lager na wzmożenie apetytu.
- Służę.

Gdy barman zabrał się za uzupełnianie szklanki, jeden z gości restauracji minął Marcusa i przystanął obok baru.

– Przepraszam pana, widzę, że ma pan zegarek na ręce, proszę mi łaskawie powiedzieć, która jest godzina?

Marcus spojrzął na przegub, wysuwając cały zegarek spod lewego mankietu.

– Dokładnie trzy po godzinie ósmej.

Barman podniósł wzrok, obserwując scenę.

– Pan wybaczy, czy to nie Baume & Mercier?

– W rzeczy samej.

– Model z tysiąc dziewięćset trzeciego?

– Nie, wtedy jeszcze był sam Baume. To jest rocznik tysiąc dziewięćset dwadzieścia jeden – odpowiedział na umówione hasło.

– Piękny.

– Dziękuję.

– Proszę wybaczyć, ale mam nieodparte wrażenie, że już się kiedyś spotkaliśmy.

– I ja mam takie wrażenie. Gdy się bliżej panu przyglądam, to wydaje mi się, że... Zaraz, tak, spotkaliśmy się na przetargu na maszyny górnicze w Krakowie dwa lata temu. Tak, pan reprezentował rodzinę Ehrenberg.

– Owszem. Kupowałem maszyny do kopalni Fürstensteiner w Waldenburgu.

– Pan wybaczy, Kamil Rochaczewski. – Kontakt wyciągnął dłoń.

– Miło mi, Florian Kohl. – Major oddał uścisk.

– Wspaniale mówi pan po polsku.

– Dziękuję, wychowywałem się na Śląsku. Może zechciałby pan zjeść ze mną kolację?

– Będę zaszczycony – odpowiedział szpieg.

Marcus chwycił za szklankę z piwem.

– Napije się pan czegoś?

Barman uśmiechnął się i już nalewał drugą wysoką i smukłą szklankę piwa. Dwóch agentów Abwehry właśnie stawiało się na umówionym spotkaniu. Agent terenowy, który działa w Bydgoszczy, i wysoko postawiony oficer kontrolujący całą siatkę w Polsce

centralnej. Mężczyźni usiedli do stolika i rozmawiali o interesach, jakby to było przypadkowe spotkanie. Szpieg z Bydgoszczy czekał na reakcję swojego przełożonego, o którym tylko słyszał. Marcus rozejrzał się niepostrzeżenie.

– Masz plany budynku?

– Tak, choć niełatwo było to dostać.

– Inwigilacja pomorskiego ośrodka wojskowego zakończona?

Agent skinął głową.

– Dobra robota. Przekażesz dokumenty jutro na dworcu. Jadę pociągiem relacji Bydgoszcz–Gdańsk o pół do pierwszej.

– Szanowny panie, jak idą interesy? – powiedział głośniejszym głosem kontakt z Bydgoszczy.

– Przyznam, że wyśmienicie, choć rywalizujemy z tańszym węglem z Irlandii, ale nie mogę narzekać.

Rozmowa przybrała biznesowy ton. Co jakiś czas Schreiber cicho zadawał pytania i skrupulatnie zapamiętywał odpowiedzi. Interesowały go komórki mniejszości niemieckiej w Bydgoszczy i przygotowania do tworzenia małych oddziałów dywersyjnych. Konwersowali jeszcze dobrą godzinę. Dwóch dżentelmenów zjadło kolację i pożegnało się z szacunkiem.

Nazajutrz Florian Kohl wymeldował się z hotelu i ruszył w kierunku dworca, żeby wsiąść do pociągu do Gdańska. Na stacji było pustawo. Dobre śniadanie kontynentalne i przyjemna pogoda wprawiły go w dobry nastrój. Przeszedł przez dworzec i kupił paczkę papierosów. Rozglądał się niezauważenie, oglądając wystawy sklepów i obwieszczenia za szybami, sprawdzając, czy ktoś go nie śledzi. Gdy wszedł na peron, zrobiło się tłoczniej; ucieszył się z takiego obrotu spraw. Dostojny i znajomy osiemdziesięcotonowy czarny parowóz Ok1 pruskiej produkcji już czekał, jakby niecierpliwie, wypuszczał parę wprost na platformę. Pasażerowie wsiadali w pośpiechu, a konduktor zerkał na zegarek.

Pozostały jeszcze cztery minuty do odjazdu. Marcus ruszył w kierunku ostatniego wagonu, obserwując cały peron. Zauważył swój kontakt, mężczyzna siedział na ławce ubrany w trencz i wełniane kaszkiet. Palił papierosa. Po chwili zauważył zbliżającego się Schreiberga; jego twarz zdradzała zupełną obojętność, jakby nigdy wcześniej się nie widzieli. Dwie przypadkowe osoby. Major przechodząc obok, wyciągnął papierośnicę i wziął jednego papierosa. Podszedł do człowieka, który wyglądał tak, jakby na kogoś czekał. Obok niego leżała złożona gazeta.

– Przepraszam pana, zechciałby pan użyczyć mi zapalniczki? – Podniósł dłoń z papierosem.

– Tak, oczywiście. – Mężczyzna wstał i włożył rękę w kieszeń płaszcza, w poszukiwaniu zapalniczki.

Marcus postawił walizkę na ziemię, a elegancką teczkę tuż obok gazety. Gdy przechodzień przypalił mu papierosa, podziękował, wziął obydwie bagaże wraz z gazetą i ruszył przed siebie. Dotarłszy na wysokość swojego wagonu, zatrzymał się na chwilę, spokojnie umieścił gazetę w teczce i dopalił papierosa. Ukradkiem zerknął na ławkę w oddali. Uprzejmego przechodnia już nie było. Zaciągając się po raz ostatni, usłyszał donośny głos kierownika składu.

– Proszę wsiadać, drzwi zamykać!

Schreiberg, wchodząc do wagonu, usłyszał gwizdek dający sygnał do odjazdu.

Rozdział 20

W pokoju sto dwadzieścia dwa major w skupieniu siedział przy swoim tymczasowym biurku. Intensywnie przeglądał stos wypełnionych papierów i najwyraźniej je porządkował. Naprzeciwko niego, trzymając but na kolanie, obrócony w kierunku drzwi, niczym hrabia, siedział Tuchowiak. Ten też, zajęty i spokojny jak nigdy, przeglądał dokumenty przydziału młodego śląskiego szeregowca. Wyraźnie wystraszony Andrzej Horyński, siedząc przy szafie, unikał kontaktu wzrokowego z przełożonymi.

Ciszę co chwilę przerywał charakterystyczny dźwięk skrobania pióra o papier. Major wypisywał dokumenty na zaopatrzenie i co jakiś czas prowadził rozmowy telefoniczne z wysokimi rangą oficerami ze sztabu.

Pracę przerwało bezpardonowe wejście kapitana Gałana, za którym wpadł wyraźnie zmieszany i zawstydzony podporucznik Rychter. Kapitan trzymał w ręce jakieś dokumenty i był wściekły jak byk na corridzie, któremu wbili ze cztery włócznie w kark. Twarz miał czerwoną ze złości, a jego oczy mierzyły prosto w opanowanego majora. Młody szeregowiec wstał i regulaminowo strzelił obcasami. Tuchowiak tylko podniósł wzrok na kapitana, zupełnie nie reagując na oficera. Przemknęła mu przez chwilę myśl, że gdyby nie drobny incydent z przeszłości, to pewnie miałyby teraz trzy gwiazdki na naramiennikach. Puścił tę myśl w niepamięć i dalej obserwował zdarzenie. Andrzej, nie wiedząc, jak się zachować, usiadł delikatnie, starając się pozostać niezauważonym.

– Co to ma znaczyć, panie majorze. Wypraszam sobie! – krzyknął kapitan, machając dokumentami.

– Dzień dobry, panie kapitanie – odparł ze spokojem na atak major.

– Otóż nie jest dobry, żeby sobie pan nie myślał, że tak to zostawię. Natychmiast pójde do swoich przełożonych i złożę oficjalną skargę. Tak się nie postępuje. – Kapitan trzymał kartkę przydziału Rychtera i teraz celował nią w majora.

Wojciech spojrział na twarz Feliksa. Gdyby się przyjrzeć dokładnie, to dałoby się zauważyć lekkie drżenie mięśni jego twarzy. Dla obecnych w pokoju major Zygartowicz wyglądał tak samo jak zawsze, wydawał się spokojny i opanowany. Ale Wojtek znał go jak nikt inny. Chorąży patrzył na niewidzialny barometr, który czytał zawsze bez żadnej omyłki. Teraz strzałka wskazywała niżej. Nagłą zmianę frontu. Niżej zwiastujący burzę, i to taką wiosenną, która zaskoczy wszystkich swoją siłą i gwałtownością.

Świadkowie tych zdarzeń zwykli mówić: to przyszło tak nagle. Dopiero co świeciło słońce. Major przymrużył lekko oczy i popatrzył na czerwonego ze złości kapitana. Ten skończył swoje wywody i po ułamku sekundy grobowej ciszy w pokoju, czekając na ripostę, był pewien, że racja jest po jego stronie, a nowo poznany oficer tylko sprawia wrażenie twardego.

– Stań na baczność, jak do mnie mówisz! – Major ryknął tak, że Andrzej po raz drugi w ciągu kilku sekund podniósł się w takim tempie, że padł chyba rekord świata w szybkości stawania na baczność.

W ślad za Andrzejem poszedł Sebastian i kapitan, który wyglądał teraz tak, jakby zobaczył ducha. Trzask obcasów rozbił się echem.

– Jeszcze raz się tak zachowasz przy moich podwładnych, to najpierw dostaniesz w ryj, a później pójdziesz pod sąd. Rozumiesz?!

Gałań w jednej sekundzie skurczył się do rozmiarów niziołka.

– Tak jest – powiedział cicho, jakby chciał uspokoić starszego oficera. – Panie majorze, ale...

– Nie pozwoliłem mówić i nie powiedziałem spocznij! – grzmiał dalej Feliks. – Z tego, co pamiętam, to pan mnie ostatnio uczył regulaminu i tak się składa, że go powtórzyłem.

Wojciech uśmiechał się niewidocznie. To nie koniec, kochaniutki, zapamiętasz ten dzień, pomyślał.

– Teraz mnie pan uważnie posłucha, ale najpierw... – Feliks odsunął szufladę swojego biurka i wyciągnął jakiś dokument przed siebie. – Czytaj!

Gałań wziął kartkę.

– Panie majorze...

– Jeszcze nie skończyłem – przerwał. – Rozumiem, że się pan stanowczo nie zgadza z tym rozkazem. Więc lada moment weźmie pan ode mnie słuchawkę, ja panu uprzednio wybiorę numer do generała Antoniego Kaźmierczaka, będzie miał pan okazję wytłumaczyć generałowi, jaką nierozsądną decyzję podjął, dając mi ten dokument! – Nie czekając na odpowiedź, wziął telefon i uderzył kilka razy w widełki słuchawki. – Halo, centrala, tu major Zygartowicz, proszę połączyć mnie ze Sztabem Generalnym. Natychmiast!

Gałań zbladł i ewidentnie zrobiło mu się słabo, a dość duże pomieszczenie stało się dla niego małą klatką bez wyjścia.

– Przepraszam, panie majorze, to nie będzie konieczne, proszę – ledwo wyszeptał.

Zygartowicz popatrzył na niego i po chwili odłożył słuchawkę.

– Czy ma pan jeszcze coś do dodania?

– Nie, ja po prostu przyprowadziłem podporucznika Rychtera.

– Dziękuję panu, to miło z pana strony. Jeżeli to wszystko, to może pan odejść – powiedział spokojnie Feliks.

– Tak jest.

– Nie słyszałem.

– Tak jest, panie majorze! – Gałan strzelił obcasami i zasalutował regulaminowo. Po chwili drzwi zatrzasnęły się za kapitanem, a w pokoju zapanowała taka cisza, że kłuło w uszy.

Zygartowicz wrócił do papierów magazynowych, jakby nic się nie stało, skończył coś pisać, złożył kartki i podniósł głowę. Wojciechowi kiepsko wychodziło powstrzymywanie się od śmiechu, reszta wiedziała, że tylko jemu wolno się tak zachowywać.

– Panie poruczniku, weźmie pan to. – Feliks wyciągnął kolejną kartkę przed siebie. – I pobierze wszystko. Jedna ciężarówka jest w naszym magazynie załadowana amunicją, drugą pan odbierze z warsztatów. Tu są wszystkie papiery. Pomoże panu strzelec Horyński. Wszystko poskładacie u nas, tak jak trzeba. Na miejscu cały czas ktoś ma być. Teraz jest tam plutonowy Makarewicz; możecie się zmieniać, wedle życzenia. Magazyn jest pod pańską komendą. Czy wszystko jasne?

– Tak jest, panie majorze. – Rychter wziął dokumenty i strzelił obcasami. – Strzelec Horyński! – przywołał Andrzeja Sebastian.

– Na rozkaz, panie poruczniku.

Gdy młodzi żołnierze wyszli, Wojtek popatrzył na majora. Teraz uśmiechał się od ucha do ucha.

– Nic nie mów, zabraniam – powiedział Feliks.

– Przecież siedzę cicho.

– Polska armia kształci świetnych oficerów, ale co jakiś czas pojawia się coś takiego, o. – Wskazał na drzwi.

– Wiesz, Feliks, głupich nie sieją, sami się rodzą, tej, ale dobrze wiedziałeś, że tak będzie.

– Tak, wiedziałem, ale można było to załatwić po koleżeńsku, prawda?

– Taaa, po koleżeńsku. Pewnych spraw po koleżeńsku nie da się załatwić i basta. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Zresztą miał prawo się złościć. Pomyśl, jakby ci jakiś fircyk podprowadził Rychtera bez pytania...

– Wiem, ale drażni mnie ta jego facjata i tyle. Kopa w dupę porządnie nigdy nie dostał.

– Prawda, a im później, tym gorzej. Teraz stał się twoim sympatykiem na dobre.

– W rzeczy samej, kolego.

Rozdział 21

Tego dnia Agathe wyszła z pracy zmęczona bardziej niż zwykle. Dyrektor zarzucił ich dział mnóstwem zadań, żądając dotrzymania niemożliwych terminów. Nawet nie spostrzegła, kiedy minęło osiem godzin ciężkiej pracy. Zarzuciła na siebie modny płaszcz o długości trzy czwarte, w kolorze kawy z mlekiem, i zawiązała granatową apaszkę. Wyszła z dużego budynku Reichsbanku wprost na ruchliwą ulicę. Dzień był wietrzny, zwłaszcza między kamienicami wiatr kręcił nieznośnie. Raz, gdy podnosiła głowę, myśląc, że się uspokoiło, dmuchnął jakby ze zdwojoną siłą. Ruszyła, wsłuchując się w stukot swoich obcasów.

Doszedłszy do przystanku tramwajowego na Königs Platz, zerknęła w lewo. Miała szczęście, wagon właśnie nadjeżdżał. Usłyszała dzwonek ostrzegawczy; gdy pojazd się zatrzymał, wsiadła do środka. Jakiś mężczyzna od razu obrzucił ją spojrzeniem.

– Przepraszam, szanowna pani sobie spocznie. Tu jest wolne miejsce.

– Dziękuję, to bardzo miło z pana strony, ale postoję. Jadę tylko dwa przystanki.

Obdarzyła go takim uśmiechem, że mężczyzna porzucił wszelkie chęci do flirtu. Wiedział, że to nie jego liga. Tramwaj skręcił na skrzyżowaniu i przejechał przez plac, wjeżdżając na torowisko oddzielone pasem zieleni. Nabrał prędkości, więc złapała się mocniej uchwytu. Po pięciu minutach jazdy dojechała we właściwe miejsce. Wsiadła specjalnie jeden przystanek wcześniej. Idąc, kluczyła pomiędzy budynkami. Po kilku dobrych minutach spaceru podeszła do tablicy z anonsami, która stała przy Berliner Strasse. Przeszukała wzrokiem ogłoszenia i zauważyła jedno nowe, które ją zainteresowało.

Kutz. Kapelusze i stroje na miarę. Wilhelm Strasse dwa. Nieczynne we wtorki.

Obróciła się na pięcie i skierowała w stronę centrum na Wilhelm Strasse. Gdy dotarła na miejsce i zobaczyła właściwą kamienicę, zwolniła tempo. Obserwowała ulicę. Przy pracowni krawieckiej stał zaparkowany samochód, zwykły modny citroen, poza tym nic szczególnego nie zwracało jej uwagi. Przeszła na drugą stronę drogi, minęła granatowe auto i weszła do zakładu krawieckiego. Drzwi poruszyły mały dzwoneczek, który zaalarmował właściciela donośnym dźwiękiem. Po chwili pojawił się mężczyzna w średnim wieku.

– Dzień dobry szanownej pani – przywitał się kulturalnie.

- Dzień dobry.
- Czym mogę służyć eleganckiej pani?
- Przychodzę po swoją suknię z tafty.
- Ach, to pani! Po tę czerwoną?

– Nie, po granatową, zwężaną w pasie – wypowiedziała zdanie, na które czekał właściciel. Popatrzył na nią ze zrozumieniem i skinął wymownie głową.

- Proszę poczekać, za chwilę wracam.

Krawiec zniknął za drzwiami zaplecza. Po chwili wrócił z ładnym kartonowym opakowaniem wyłożonym papierem, w którym leżała suknia. Nakrył pudło i przewiązał wstążką.

- Proszę bardzo. Suknia została zwężona w talii tak, jak pani prosiła.
- Dziękuję. – Agathe wzięła karton pod pachę i wyszła od krawca.

Sprawa była banalnie prosta. Żadnych skomplikowanych kodów deszyfrujących zapisanych w specjalnym notesie, który leży gdzieś w tajemnej skrytce. Informacja ze sztabu była zaszyta w pasie talii ładnej sukni. Przy przekazywaniu danych rezygnowała z radia, które stwarzałoby niepotrzebny stres i napięcie, wolała kontaktować się z ambasadą poprzez agentów terenowych i korzystać ze swojej siatki, nad którą pracowała sumiennie i ciężko. Tak samo ciężko jak nad swoją tożsamością. Czasami ogarniało ją przerażenie, że zatraciła się już tak, że Agathe Holler była jej bliższa niż młoda Krystyna Zapolska, świetnie zapowiadająca się aktorka teatralna z urodą gwiazdy filmowej.

Myśl o prostej czynności rozprucia sukienki w poszukiwaniu informacji uleciała w dal. Agathe posmutniała, przypominając sobie siebie sprzed ośmiu lat. Pełną wigoru dziewczynę pierwszego roku studiów teatralnych, marzącą o wielkiej estradzie. Dziewczynę z małego miasteczka na Warmii, wychowywaną przez babcię, która była nauczycielką w znanym gimnazjum, a w głębi duszy patriotką, nienawidzącą zaborców.

Czy to wina babci, że obudziła w niej tak wielkiego ducha patriotyzmu? Później, nie wiadomo kiedy, zbiegi okoliczności pokierowały jej losem. W Warszawie trafiła na przystojnego oficera wywiadu, który ją w sobie rozkochał do szaleństwa. Ona, młodziutka z wielkimi aspiracjami, słuchała światowego i pięknego mężczyzny jak zahipnotyzowana. Marzyła o tym, aby zostać żoną oficera. Ona – aktorka, on – porucznik z aspiracjami.

Oddała mu się, miłując go, jak nikogo innego. Ten tymczasem zwerbował ją niczym głupią zakochaną dzierlatkę, kładąc do głowy bajki o heroizmie i słuszności całej sprawy. Wierzyła w to, co mówił, i była gotowa zrobić dla niego wszystko. Gdy wykonał swoje zadanie, zostawił ją bezlitośnie. Popadła w rozpacz, myśląc, że życie się dla niej skończyło. Wtedy, jakby znikąd, pojawił się mędrzec, który rozumiał jej sytuację

i obiecał, że wszystko się ułoży.

Pułkownik zaoferował Krystynie pracę, później wręczył jej zadanie. Gdy poczuła się potrzebna, miała wrażenie, że zapalił światło w tunelu jej beznadziei. Zgodziła się. Boże, jaka byłam głupia, pomyślała. Zachłysnęła się wizją wielkiego świata i Europy. Maszyna ruszyła, wzięła szlify z języka niemieckiego, który znała świetnie dzięki babci, później ukończyła studia ekonomiczne w Niemczech, już z nową tożsamością. Mieszkanie, praca, kariera, kłamstwo, życie... Pewnie rychła śmierć, pomyślała.

Westchnęła, rzeczywistość wróciła. Już dawno była w swoim mieszkaniu. Sięgnęła do pudełka z przyborami do szycia stojącymi na stole, wyciągnęła prujkę krawiecką i zabrała się za wyciąganie informacji. Odpruła ścieg i wyjęła ukrytą kartkę z jednym zdaniem napisanym po niemiecku. „Gratuluje. Wartościowy. Kontynuuj inwigilację. Erdinger Weißbräu”.

Zastanowiła się, która skrytka odpowiada piwu Erdinger. Skrzynka na listy, tuż przy salonie fryzjerskim, do którego uczęszcza. Następny raport, nowa fryzura, uśmiechnęła się do siebie i wstała, aby spalić pismo.

Część druga

Szyfowa praca

Król Koryntu poszedł, ale nie wrócił. Bogowie, którzy rządzą całym wielkim światem, zapomnieli o nim, a on sam zachowywał się teraz tak cicho i ostrożnie, żeby jak najmniej o nim mówiono.

Jan Parandowski, *Mitologia*

Rozdział 1

Zima rzeczywiście była łagodna, temperatury nie spadały niżej niż dziesięć kresek poniżej zera, a śniegu było jak na lekarstwo. W gospodarstwach panował dobry nastrój, niemal wszyscy rolnicy przewidywali obfite zbiory. Gdzieś pomiędzy Leszmem i Wolsztynem, na małym poligonie życie toczyło się w zdecydowanie szybszym tempie niż tam, gdzie leniwie wyczekiwano wiosny. Trudno powiedzieć, czy słaba zima była błogosławieństwem dla żołnierzy, którzy od dobrych dwóch miesięcy mieszkali w spartańskich warunkach i harowali jak chłopci w żniwa.

Wiatr hulał jak opętany, dni bez deszczu można było policzyć na palcach, a zimne znienawidzone błoto sięgało kolan. Ciągłe pobudki o różnych godzinach rozregulowały zegary biologiczne do granic możliwości. Sebastian stracił już rachubę, ile sypiał. Makarewicz zachowywał się jak automat, na nic nie narzekał i wykonywał swoje zadania. To był jego sposób na radzenie sobie ze stresem. Andrzej dalej standardowo przytakiwał i z wdzięcznością w oczach wypełniał wszystkie rozkazy, jakby pobyt w tym miejscu był wygraną na loterii.

Skąd w tych ludziach tyle siły? – zastanawiał się podporucznik. Po co te ciągłe mordercze zaprawy i wymyślne akcje o takich porach, kiedy każdy normalny organizm jest pogrążony we śnie? No ale według niektórych o czwartej rano wroga zaskoczyć ponoć najłatwiej. Jedno było pewne ciało wtedy desperacko domaga się snu, a umysł pracuje na zwolnionych obrotach. Wszyscy mieli wrażenie, że szkolenie odbywa się inaczej, niż powinno, po prostu wyglądało to tak, jakby chorąży i major chcieli ich wykończyć, psychicznie i fizycznie.

Żaden z żołnierzy jeszcze nie wiedział, że w takim postępowaniu jest ukryty cel. Mieli poznać samych siebie, aż do szpiku kości. Uodpornić się na stres i nauczyć działać racjonalnie w ekstremalnych warunkach i skrajnym wyczerpaniu. Wojtek z Feliksem wiedzieli, że pierwsze chwile prawdziwej walki sprawiają, że od razu zostaje się weteranem albo trupem. Oni mieli przystąpić do walki jako weterani. Jedyne, na co nie mogli narzekać, to strzelanie. W dwa miesiące każdy wystrzelił co najmniej półtora tysiąca pocisków. Sebastian był w swoim żywiole i w porozumieniu z chorążym organizował szkolenia w pełnym zakresie. Ćwiczyli strzelanie do celów ruchomych i nieruchomych, we wszystkich postawach, z przygotowanych i nieprzygotowanych stanowisk ogniowych, a także pełne strzelania bojowe, wyjścia z walki i sytuacyjne.

Dodatkową atrakcją były nocne strzelania do słabo oświetlonych celów lub chwilowo oświetlonych racami.

Używali każdej dostępnej broni, od pistoletu wojskowego, karabinu maszynowego, rusznicy przeciwpancernej, aż do osobistego wz. 38M. Andrzej chyba spał z bronią, karabin Makara stał zawsze oparty o ścianę, tuż obok jego kanadyjki.

Luty dobiegał końca, Sebastian nie mógł już patrzeć na ten zapyziały barak z małym piecykiem w środku, który dawał taką ilość ciepła, że czasami zastanawiał się, czy w ogóle opłaca się w nim palić. Po każdej wichurze remontowali dach, żeby nie przeciekał. W środku było kilka starych zardzewiałych szafek, sporych rozmiarów stół z trzema krzesłami i ławką. Jediną wygodą, jaką mieli, był prąd podciągnięty z okolicznej nastawni, która obsługiwała kilka semaforów za lasem, rozprawdzając pociągi towarowe jadące do Wolsztyna i Leszna, a stamtąd, przez granicę, do Glogau.

Światło do czytania i radio były luksusem rodem z hotelu Savoy. Sebastian przewracał się z boku na bok, tkwiąc w czymś, co od jakiegoś czasu zaczął nazywać snem. Czuwał, starając się odpocząć, kontrolując, czy przypadkiem Tuchowiak znowu cicho, niczym stary lis, nie zwlecze się ze swojego łóżka i nie zacznie drzeć tej paskudnej mordy. Najgorsze, że pod fasadą tego neandertalczyka krył się inteligentny i przebiegły człowiek, którego ciężko było wyprowadzić w pole.

Usłyszał skrzypnięcie, otworzył oko, nic. Cisza. Trzeba wstawać. Nie, fałszywy alarm. Dzisiaj może pośpimy dłużej. Ten goryl ma pokłady energii całego pułku piechoty. Wczoraj po walce wręcz dostaliśmy ostro po kościach, dzisiaj zapewne odpuści, pomyślał i zasnął. Po jakiejś chwili w baraku rozległ się huk.

– Wstawaaać, psy zapchlone, ileż można spać, już pięć po czwartej! Najlepsza pora, żeby pobiegać.

Wszyscy otworzyli oczy i leniwie zaczęli się przeciągać. Tuchowiak stał na środku, poprawiając pas.

– Jazda! No, kurwa mać, to nie było zaproszenie do partii szachów, raz, raz!

Sebastian znowu otworzył oczy, ciągle nie wiedząc, czy to sen, czy jawa. Ile spał? Dziesięć minut, może pół godziny? Nie wiedział. Rzucił okiem na młodego strzelca. Boże drogi, ten gówniarz codziennie robi to samo. „Codziennie”, co za bzdura, tutaj dzień to jakaś bliżej nieokreślona jednostka czasu. Podporucznik rozbudzał się powoli. Młody szeregowiec usiadł szybko, był w wełnianej czapce. Włożył spodnie na kalesony i w ekspresowym tempie przygotował się do wyjścia. W tym czasie chorąży zniknął za drzwiami.

– Makar, daj papierosa – wycedził Sebastian.

– Panie poruczniku, nie jestem zbyt zadowolony, że zaczął pan palić – wymruczał plutonowy.

– Ja wręcz przeciwnie. To rozkaz. Dawaj!

Tuchowiak wpadł z powrotem, trzymając na rękach kilka polan. Otworzył kożę i wrzucił dwie szczapy do środka.

– Dobra, panowie, dawać na przebieżkę. Odrobimy swoje i wracamy na kawę.

Wyszli na dwór. Cztery postacie w mundurach polowych, które w najmniejszym stopniu nie przypominały już regulaminowych ubrań, były ledwie widoczne. Słońce wstawało około siódmej, teraz na dworze panowała ciemność. Stali chwilę w bezruchu, przyzwyczajając wzrok do otaczającej ich czerni. Byli coraz bardziej sprawni fizycznie. Dzisiaj rano nikt z obecnych już nie popełnił błędu i każdy przed barakiem pojawił się z bronią i pasem z ładownicami. Za ten dumny błąd płaciło się torturami rodem ze średniowiecza. Liczba pompek, przysiadów i biegów w miejscu z bronią nad głową była taka, że umysł delikatnie podpowiadał: „Daj spokój, liczenie powtórzeń jest bez sensu”. Teraz wszyscy stali z niezbędnym sprzętem i wyczekiwali rozkazów tyrana.

– Dobra, za strzelnicą dajemy, jak zawsze, lasem, ale dzisiaj podbiegniemy do wsi. Sebastian z Makarem, wy załatwicie śniadanie.

Chorąży rzucił Makarewiczowi dużą stalową menażkę. Do osady, skrótem, było dokładnie dziesięć tysięcy sto pięćdziesiąt sześć kroków, czyli jakieś pięć kilometrów z małą obrywką. Wiedzieli to wszyscy, bo Rychter sprawdził kilka razy. Trasę znali na pamięć. Ruszyli zdrowo, Tuchowiak jak zwykle narzucał tempo. Przebiegli tuż obok strzelnicy, jakieś trzysta metrów, dalej łąką, żeby skrócić w zupełną ciemność. Wbiegli w sosnowy las, który rozciągał się pomiędzy wsiami i dalej na niezliczone jeziora w okolicach.

Wystarczyły dwa miesiące ćwiczeń, aby nikt się nie przewracał po ciemku. Trzymali swoje stałe tempo, nie za szybkie, żeby pokonywać dystans, ale nie zrobić sobie krzywdy w razie upadku. W lesie o tej porze było przyjemnie i dość gwarno. Czuli się jak u siebie. Te same głosy, te same trzaski, po chwili można było usłyszeć, jak ptaki dały znak wszystkim innym leśnym mieszkańcom, że czterech nienormalnych osobników pokonuje swoją codzienną trasę.

Osada jeszcze spała. Tuchowiak przykucnął, Sebastian podbiegł do niego i poszedł w jego ślady. Andrzej i Radek przyklęknęli dalej na swoich miejscach, obserwując teren.

– Dobra, panie Sebastianie, rozpoznanie po cichu. Jak zaliczycie wtopę, to chodu. My z Andrzejem polecimy dalej, na skraju wsi po drugiej stronie, pod lasem jest duże gospodarstwo; my także wstąpimy za czymś do garów. Spotykamy się na miejscu w naszej willi. Nikt nie zaczyna żreć sam. Jasne?

– Zrozumiałem. Do zobaczenia.

– Bywaj. Andrzej, za mną – szepnął chorąży.

Sebastian z Makarewiczem dotarli do wsi i wybrali gospodarstwo, w którym jeszcze

nie byli, takie, które w razie potrzeby gwarantowało szybką ucieczkę. Obchodząc zabudowania, trzymali się bezpiecznie poza ogrodzeniem. Nie chcieli sprowokować psa, który spał skulony w niewielkiej budzie. Doszli do ściany obory.

– Spotykamy się na rogu, ja idę do kurnika – powiedział Sebastian.

Radek skinął głową. Podporucznik pomógł mu wejść do środka przez małe okno i podał stalową menażkę. Sam obszedł oborę i po cichu wślizgnął się do kurnika. Po piętnastu minutach, z jajkami w czapce, czekał na Makarewicza w zaroślach na rogu, obok gospodarstwa. Po chwili zjawił się Radek.

– Jasny gwint, gdybym nie miał takich delikatnych dłoni, to cała wioska by tę oborę słyszała – uśmiechnął się zawadiacko. – Weź tu wydój na wpół śpiącą krowę bez tłustych rąk – szeptał.

Sebastian nie bardzo rozumiał, o czym mówi jego kompan. Dla niego jeszcze do niedawna mleko po prostu pochodziło ze sklepu.

– Dobra, zmykamy, panie plutonowy – rzucił.

Do baraku dotarli jako pierwsi, w małej kozie już przygasało. Dołożyli drewna i naparzyli kawy. Po półgodzinie weszli Wojtek z Andrzejem.

– Dobra robota, panowie, będzie z tego posiłek – wycedził chorąży, obrzucając wzrokiem stół ze zdobyczami, po czym podniósł swoją menażkę w triumfalnym geście.

– Widzę, że wy też nie próżnowaliście – odparł podporucznik.

– Jasna sprawa, we wsi niedługo stwierdzą, że jakaś klątwa, krowy mleka nie dają, a kury jajek nie niosą. – Chorąży uśmiechnął się zawadiacko i klasnął dłońmi wielkimi jak szynki zdrowego odyńca. – Dobra, panowie, składamy jedzenie, Makar pokaże trochę piętarskich sztuczek. Umiejętności walki w stójce nigdy za mało, prawda, panie Radku?

Makarewicz skinął głową.

– Robimy miejsce, poćwiczymy, a później coś zjemy.

Od razu zaczęli odsuwać wszystkie łóżka polowe pod ścianę, aby zrobić dość miejsca na ćwiczenia.

Ranek mijał pracowicie, Andrzej i Sebastian szkolili postawę, poruszanie się i podstawowe ciosy, Makarewicz się wszystkiemu przyglądał, poprawiał błędy i usuwał złe nawyki. Wojtek w międzyczasie do klasycznego boksu starał się wprowadzić elementy samoobrony, jeśli można było to tak nazwać.

– Panowie, pamiętajcie, że najważniejsze jest kontrolowanie przeciwników. Nieważne, ilu by ich było, zawsze ich obserwujcie i zawsze chrońcie swoje plecy. Uznajmy sprawę za jasną, gdy jest jakaś jatka, to nie chodzi o honorową postawę. Więc, Młodzian, gdyby twe mizerne życie wisiało na włosku, a ja byłbym na drodze? Hmm? Co robisz? Jakiś plan? – powiedział chorąży. – Bo chyba nie spróbujesz załatwić mnie dwoma prostymi

i jakimś nędznym sierpowym, co?

Andrzej zamyślił się i z wyraźnym lękiem spojrzął na posturę Wojciecha.

– Ja to bym strzelał – wtrącił Sebastian.

– I mądrze by pan postąpił, panie poruczniku. W każdym razie dobry kopniak w torbę nie zaszkodzi. Powiem wam, że jak mi Bóg miły, każdego draba to powali na kolana, a przynajmniej zegnije wpół. Wtedy macie trochę czasu, aby kropkę nad i postawić.

– A pan, panie Wojtku, dostał kiedyś lanie? – zapytał Makarewicz.

– Drogi Radku, otóż przyznam się panu, że tak. Od ojca dwa razy, a raz po pijaku. – Chorąży uśmiechnął się zadziornie.

Radek, słysząc tylko dwa słowa: ojciec i lanie, od razu przywołał zgoła odmienny obraz. Jego usta od razu ułożyły się w płaski, prawie niewidoczny pasek, oczy zabłyszczały. Tuchowiak to zauważył i zanotował w głowie, nie drążąc dalej tematu.

– Dobra, panowie, wracamy do pracy – dodał i wyciągając nóż, podszedł do Andrzeja. Ten cofnął się o krok.

– Panowie, sytuacja czasami wymaga, aby sprawę załatwić po cichu. Pokażę wam, jak to zrobić dobrze. – Obszedł szeregowca, który za każdym razem, gdy zbliżał się do niego olbrzym, bladł coraz bardziej.

– Gdy uda się wam podejść dostatecznie cicho i niezauważenie, wtedy macie dwie opcje do wyboru. Pierwsza to zatkać mu gębę i rozharatać porządnie gardło, a to wcale nie takie łatwe, jak wam się wydaje. Zapewniam was, że nie jest tak, jak piszą w kiepskich książkach przygodowych. – Bez chwili wahania zatkał usta Andrzeja i pokazywał, jak wbija nóż w szyję i bezceremonialnie rozcina całą krtań. – Chodzi o to, żeby rozciąć tchawicę, struny głosowe i aortę. Klinga musi wejść głęboko. Uprzedzam, ten sposób zostawia za sobą dość spory bałagan. Drugi sposób jest taki. – Odciągnął rękę od gardła i cofnął się delikatnie. – Wbijacie ostrze z całej siły w to miejsce. – Końcem rękojeści dotknął punktu na szyi u podstawy czaszki. – Wbić mocno i najlepiej przekręcić, to powoduje przerwanie rdzenia kręgowego i odłącza zupełnie mózg. Człowiek nawet nie drgnie. Do tego trzeba włożyć sporo siły. Może zdarzyć się tak, że będziecie nieporadni i zaalarmujecie przeciwnika, wtedy walka zrobi się otwarta. –

Obszedł Andrzeja, po czym obrócił się do Sebastiana, równocześnie chowając nóż. – Panie poruczniku, poda mi pan łyżkę, bo strzelec Horyński zaraz nam zejdzie ze strachu. Rozumiecie, nóż jest tylko dodatkiem, najpierw ciosy, później domknięcie. Często jak ktoś dostaje narzędzie do ręki, staje się zbyt pewny i to prosta droga na drugą stronę.

Skinęli głowami.

Odłożył łyżkę.

– Dobra, panowie, można powiedzieć, że w samoobronie istnieją trzy podstawowe zasady. Pierwsza z nich jest prosta jak dużo chłopa chce ci spuścić łomot, a macie

sposobność, to pokazujemy plecy.

Wszyscy popatrzyli po sobie.

– Właśnie, jest wyjątek od tej reguły. Tylko wtedy, gdy jesteśmy sami! Jak są z wami koledzy, to niech was ręka boska broni uciekać. Mam nadzieję, że to jasne?

Sebastian zerknął na niego z uśmiechem.

– W sensie, *nec Hercules contra plures* – powiedział.

W tym momencie wszyscy spojrzeli na niego pytająco.

– No, i Herkules dupa, jeśli ludzi kupa.

Równocześnie wybuchli gromkim śmiechem.

– Dokładnie tak, panie Sebastianie. Druga zasada jest taka: należy używać w walce wszystkiego, co ma się pod ręką. Wszystkiego, co jest w zasięgu wzroku, ramion i waszej wyobraźni. Łyżka też byłaby dobra. – Znowu wyszczerzył zęby.

– Panie chorąży, a jaka jest trzecia? – zapytał Andrzej.

– Należy użyć wszystkich swoich umiejętności, aby wyjść cało z opresji i ochronić życie swoje i kolegów.

W tym momencie jednym susem podskoczył do młodego strzelca i bez większej siły uderzył go między nogi. Andrzej automatycznie zgiął się wpół. W tym czasie Wojtek obszedł go z lewej i otwartą dłonią wymierzył ojcowski raz prosto w tyłek szeregowca. Cios miał taką siłę, że Młodzian padł na kolana. Teraz klęczał, nie wiedząc, czy puścić klejnoty, czy masować tyłek.

– Boże drogi, panie chorąży, litości – zajęczał.

– Tak jak mówiłem, wcale nie potrzeba wiele. Trzeba prać tam, gdzie nie ma dużych mięśni, nie mówię tu o ojcowskim, bo zad to największy mięsień, jaki mamy. Gałki oczne, nos, policzki. – Niezauważenie podszedł do na śmierć wystraszonego Andrzeja i włożył mu dwa palce do ust, ciągnąc za policzek, kontrolując przy tym jego postawę.

Strzelec zajęczał i podązał za chorążym, niczym pies na smyczy.

– Widzicie, może ważyć ze sto pięćdziesiąt kilogramów i tak będzie tańczył jak baletnica. – Po chwili odpuścił.

Szeregowiec teraz jedną ręką trzymał się za genitalia, a drugą masował twarz, cofając się w strachu.

– No, Andrzej, spokojnie, bez obaw, napłodzisz jeszcze potomstwa. – Wojtek podszedł do niego, wyciągnął z kieszeni paczkę egipskich i poczęstował.

Andrzej patrzył nieufnie.

– No, Młodzian, wiesz, że taka szansa nie zdarza się często. Bierz.

Ten drżącą dłonią wyciągnął jednego egipskiego i schował do kieszeni na później.

Ćwiczenia trwały do późnego ranka. W końcu nadszedł czas na wyczekiwaną kawę i wykłady. Tuchowiak przedstawiał, jak organizować wypad na teren wroga, eliminować dowódców, niszczyć zapasy i zabijać po cichu. Mówił o odwracaniu uwagi, sianiu chaosu i dezorientacji. Wszyscy odnosili wrażenie, że ważniejsze jest uporczywe żądlenie i wycofywanie się niż regularna walka.

Dochodziła dziewiąta. Siedzieli przy stole, popijając drugą kawę. Nagle z daleka usłyszeli warkot silnika samochodu. Po chwili brudny od błota fiat 508 zatrzymał się przed wejściem. Major Zygartowicz, ubrany w zimowy płaszcz i rogatywkę, w porównaniu ze swoimi żołnierzami wyglądał jak z innego świata. Na widok dowódcy, wiedząc, że przyjechały zapasy w postaci papierosów, chleba, konserw i może jeszcze jakichś rarytasów, na które zdecydowanie wszyscy liczyli, uśmiechnęli się od ucha do ucha.

– Panie majorze – powiedział Wojtek, a reszta średnio regulaminowo stanęła na baczność.

– Dzień dobry. Wyglądacie, jakbyście zbiegli z jakiegoś obozu.

– Felksie, witaj z powrotem na salonach. Tęskniłeś za nami? – ciągnął chorąży.

– Tak mocno, że nawet bym was przytulił, ale śmierdźcie, więc nie dam rady. Dzięki Bogu tknęło mnie, aby wziąć zapas mydła. Dobra, koniec pajacowania, rozładujcie łazik z cywilizacji, tę skrzynię również weźcie do środka.

Biegiem ruszyli do samochodu, jakby chcieli go rozebrać na części. Wszystko w błyskawicznym tempie zniknęło i wylądowało w baraku. Major wszedł do środka.

– Cuchnie tu jak w oborze. Andrzej, otwórz okno.

Tuchowiak przebierał w zapasach. Rzucił paczkami papierosów i oglądał konserwy. Sebastian wyciągnął puszkę z kawą i przypalił papierosa.

– Napije się pan, majorze?

– Chętnie.

Podporucznik wstał i postawił imbryk na piecyku. Tymczasem Tuchowiak obrócił się, siedząc w kuckach. Trzymał dwie butelki wódki i szczyrzył zęby w uśmiechu.

– Panowie, karnawał pożegnamy właściwie.

Makarewicz spojrzał na niego z błyskiem w oku.

– Powiedz, że są śledzie – dodał cicho.

– Nie ma śledzi, ale jest okoń – powiedział major. – Andrzej, przeciągnij tu tę skrzynię, chcę wam coś pokazać.

Po chwili skrzynia była na środku. Szeregowiec otworzył wieko.

– O jasna cholera! – wypalił Wojciech.

Wszyscy zostawili swoje czynności i jednocześnie zerknęli do środka. Wewnątrz leżały równo poskładane elementy wyposażenia piechoty Wehrmachtu. Dodatkowo w środku było wiele książek z procedurami i mnóstwo dokumentów in blanco wraz z pieczętkami Trzeciej Rzeszy. W rogu skrzyni leżały złożone dwie pary mundurów, jeden Wehrmachtu, a drugi, oficerski, SS.

– Dobrze, chciałem wam to tylko pokazać. Jest tam kilka książek i dwie teczki. W teczkach są nowe tożsamości, jedna dla pana porucznika, druga dla pana, panie Andrzeju. Reszta jest dla wszystkich do wkucia na blachę. Wszystko o armii niemieckiej, co udało mi się zdobyć, macie znać śpiewająco i na wrywki. Andrzej będzie robił za lektora. Dodatkowo niedługo zaczniecie naukę podrabiania dokumentów, ale najpierw macie zapoznać się z oryginałami. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno.

– Tak jest! – odparli zdziwieni.

– Macie tydzień, później zrobię wam sprawdzian. Nie muszę chyba przypominać, że w tym miejscu panuje odpowiedzialność zbiorowa. Radzę wam, aby wszyscy zdali śpiewająco, bo zapamiętacie pokutę. Dobra, gdzie ta kawa, napijmy się, zanim zabierzemy się z powrotem do pracy.

Usiedli przy stole. Makarewicz wziął się za serwowanie.

– Panie majorze, a właściwie po co nam to wszystko? – zapytał zdumiony Sebastian.

– Spokojnie, poruczniku, wszystko wyjaśnię dzisiaj wieczorem. Tymczasem niech mi pan powie, jak wyglądają zapasy i amunicja.

Wojciech się dosiadł i rozsunął kubki, których czystość pozostawiała wiele do życzenia. Makarewicz nalał kawy.

– Wszystko w porządku, amunicji mamy jeszcze na jakieś pięć, sześć dni. Granaty i przeciwpancerna jest na stanie, dziewięćdziesiąt procent. Oszczędzamy rusznicę. Zbadałem jedną i po jakichś pięciuset strzałach lufa nadaje się do wyrzucenia, ale wszyscy zapoznali się już z tą bronią.

– Bardzo dobrze. Aha, mam jeszcze tarcze, o które pan prosił, na rozstrzelanie swojego mauzera.

– Świetnie, chciałbym mieć pewność przy nastawie czterysta metrów. Jak są tarcze, to przy sprzyjających warunkach niedługo będę trafiał z sześciuset.

– Ha! Prędzej mi jaja odpadną – zachnął się Wojciech. – To niemożliwe!

Sebastian się tylko uśmiechnął.

– W takim razie zdziwi się pan, panie chorąży.

– Ja tam bym się bał zakładu – powiedział Makarewicz. – Widział pan, co porucznik wyprawia z tym nowym karabinem. Mam wrażenie, że ze stu metrów to dupę komarowi odpali.

– Dobrze, panie Radku, niech pan lepiej powie, jak wygląda sprawa radiostacji? Wszystko sprawne?

– Tak jest. Zrobiłem test z jednostką. Gdyby potrzebował pan telefonu, to tylko da pan kabel i po cichu podepnę się pod tę nastawnię kolejową za lasem.

– Bardzo dobrze. Telefon na razie to zbyteczna sprawa.

– Co do odstrzelonych lub nieużywanych jaj – Feliks, puściłbyś na jakąś przepustkę. Słyszając słowa chorążego, wszyscy się uśmiechnęli.

– Jeszcze trochę, poza tym idzie post, więc będziecie pościć. Pod każdym względem. Teraz inne pytanie. Skąd macie mleko do kawy i skąd te jajka?

– Uczymy się rozpoznania i dywersji, panie majorze – wypalił z dumą szeregowiec, a Wojciech chlasnął się wymownie w czoło.

– Ach tak? To wspaniale. A wiecie wszyscy – zerknął na swojego przyjaciela – ile pracy i wyrzeczeń kosztuje utrzymywanie gospodarstwa rolnego? Ci ludzie harują od rana do nocy, żeby handlarze mieli na czym robić profity. Wiecie, ile procent dostaje rolnik z ceny chleba? Łazicie rano do sklepów po mleko i bułkę, mając w dupie, skąd się to bierze.

– Panie majorze – wtrącił Sebastian.

– Jeszcze nie skończyłem. Jutro rano akcja dywersyjna będzie zaplanowana na troszkę późniejszą godzinę niż zwykle.

Wszyscy szerzej otworzyli oczy.

– Poranną przebieżkę zrobicie na dwa etapy. Pobiegniecie do wsi, domyślam się, że jak zwykle, ale tym razem bez broni i we wszystkich gospodarstwach, w których kradliście, wyczyścicie obory. Porzucacie trochę gnojem, to wam się odechce szczeniackich wybryków. Gówno mnie obchodzi, jak to wyjaśnicie właścicielom. Później wróćcie, wymyjecie się przy studni i zameldujecie, a jak poczuje od was gnojówkę, to od razu możecie wynosić łóżka na zewnątrz. Jaja wam odmarzną, to nie będą wam głupoty do łbów przychodzić. Podejrzewam, że nie zdążycie oblecieć wszystkich, więc i pojutrze będziecie robić dywersję. Mam nadzieję, że wyraziłem się dość jasno.

– Tak jest – odpowiedzieli ze spuszczonej głowami.

– Co jest, panowie, czyżby wigor dywersyjny was opuścił?

– Tak jest, panie majorze!

– Dobra. Drwal z Makarem szykujcie tę jajecznicę, szkoda, żeby się to zmarnowało. Zjemy i idziemy na strzelnicę.

Tuchowiak wściekły wstał zza stołu.

– Horyński! – wrzasnął.

- Na rozkaz, panie chorąży!
 - Co tak siedzisz, zapierdalaj do studni z talerzami, mają się błyszczeć. Raz!
- Andrzej wystrzelił jak piorun.

Stanowiska na strzelnicy były prowizoryczne. Udeptana ziemia i wąski pas pomiędzy młodym zagajnikiem a dużym sosnowym lasem, który kończył się po kilkudziesięciu metrach. Dalej rozciągała się wielka podmokła łąka, na której usypane były prowizoryczne kulochwyty. Dalej, za strzelnicą, po około sześciuset metrach wolnego pola, był kolejny duży las z pięknym, ale niewielkim jeziorem w środku.

Zygartowicz ubrał polowe ciuchy i naciągnął wełnianą czapkę. Jak na koniec lutego pogoda była już prawie wiosenna, gdzieś tam były jeszcze widoczne połacie śniegu, ale temperatura sięgała dwóch stopni powyżej zera. Andrzej i Radosław z prowizorycznej ziemianki wynosili skrzynki z amunicją. Nie minęła chwila, gdy wszyscy zebrali się na stanowiskach. Po chwili rozległ się huk wystrzałów. Po pierwszej serii major kazał przerwać ogień. Poszedł do łazika i wziął skórzany pokrowiec z lornetką.

- Andrzej, leć załóż nowe tarcze.

Młody strzelec wystrzelił do ziemianki i po chwili biegł już w kierunku kołków. Zaraz po tym, jak wrócił, dowódca zwrócił się do plutonowego:

- Postawa siedząca. No niech pan zaczyna, panie Radku.

Makarewicz przyklęknął, przeładował broń i przestawił karabin na ogień pojedynczy. Wyrównał oddech. Po sekundzie rozległ się huk. Major przyłożył lornetkę do oczu.

- W tarczę, ale do poprawy.
- Przepraszam – odpowiedział cicho Radek.
- Nic się nie stało. Jeszcze raz.

Plutonowy oprawił broń, przymierzył się. Huk.

- W cel. Bardzo ładnie. Ognia.

Znowu huk.

- Trafiony. No widzę, że praktyka zostawiła po sobie ślady. Jeszcze raz.

Makarewicz przymknął oko. Po chwili karabin wypalił. Major przyłożył oczy do okularów lornetki.

– Pięknie, znowu w cel. Jestem zaskoczony, jaki mały rozrzut. No, panie Radku, zarobił pan na kielicha dzisiejszego wieczoru.

- Dziękuję.

Tymczasem Tuchowiak, słysząc o obiecany kielichu, bez chwili wahania podszedł do ich stanowiska i przeładował swój karabin.

- Ja wam pokażę, jak się pracuje na całą flaszkę.

Obrócił się w kierunku tarczy, do której strzelał plutonowy, przyłożył browning do wielkiego ramienia, kciukiem przestawił karabin na ogień ciągły. Przymknął oko. Karabin ożył z wielkim hukiem. Wszyscy patrzyli zdumieni, jak chorąży pewnie trzyma broń, która jakby w ogóle nie zmieniała swojej pozycji, tylko wściekle terkotała. Huk rozsadał uszy. Po serii dwudziestu strzałów z tarczy przypominającej postać zostało pół głowy i trochę torsu.

– Drwał, cholera jasna. Ogłuchniemy tu wszyscy – powiedział Feliks. – Gratuluje, to była nowa tarcza. Andrzej. Teraz ty. Strzelaj na drugie stanowisko.

Szeregowiec podszedł i wystrzelał cały magazynek. Większość pocisków trafiła do celu, ale były bardziej rozrzucone po tarczy niż u plutonowego. Major popatrzył, skinął głową, dając do zrozumienia, że wszystko idzie w dobrym kierunku. Wiedział, że w swojej jednostce uchodziłby za najlepszego strzelca. W tym czasie Sebastian majstrował coś przy zamku i nie zwracał uwagi na strzelanie kolegi.

– No, to może teraz nasza gwiazda strzelectwa pokaże, jak się strzela. Panie poruczniku, tylko niech pan nie trafia, bo znowu pan będzie kaca leczył dwa dni – wypalił Tuchowiak.

– Nikt nikogo nie będzie zmuszał do picia – odpowiedział Feliks.

– A więc dobrze, jak trafię w puszkę po gulaszu postawioną na głowie naszego nieszczęśnika, de facto prawie bez głowy, to pan major serwuje dzisiaj zakąskę do wódeczki – rzucił Sebastian.

– Ha! Się nam chłopina wyrobił! Co pan na to, majorze? – powiedział szyderczo Wojciech.

– Dobra, Andrzej, leć po dwie puszkę. Postaw jedną na paliku.

Gdy stalowa puszkę wylądowała na kołku, Sebastian zaczął składać się do strzału.

– Hola, hola – powiedział dowódca. – Tak łatwo panu nie pójdzie, poruczniku.

Major wziął swój karabin, włożył magazynek, przeładował i przyklęknął. Dzisiaj był jeden z niewielu dni, kiedy widzieli go z bronią w ręku. Do tej pory zawsze stał z boku, przyglądając się badawczo, wydawał rozkazy i doradzał. Przyłożył kolbę do lewego ramienia, przymknął oko i wyrównał oddech. Wypuścił powietrze i ściągnął delikatnie spust. Rozległ się huk, a puszkę poszybowała w powietrze.

– Niech mnie kule biją, dalej masz takie samo oko – powiedział Tuchowiak.

– Teraz pańska kolej, panie Sebastianie. Pod presją pracuje się gorzej. Niech pan pokaże, z jakiej pan jest gliny.

– Imponujące, piękny strzał. Zawsze pan strzelał z prawej – powiedział ze stoickim spokojem Sebastian.

– To prawda, w szkole też na siłę wkładają pióro do prawej dłoni. Asy zostawia się na

właściwy moment, poruczniku – Uśmiechnął się, a Andrzej w tym czasie obracał nerwowo kolejną puszkę w rękach. Wyglądał niczym foksterier czekający na aport.

Sebastian przerzucił sobie broń na plecy i bez słowa podszedł do szeregowca.

– Panie Andrzeju, da mi pan tę puszkę – powiedział poważnie.

– Ale ja pobiegnę...

– Bez dyskusji. – Podporucznik wziął puszkę i poszedł przed siebie. Podszedł do nieszczęśnika z poharatanym torsem i połówką głowy, po chwili walki wyciągnął pal z ziemi i ruszył dalej.

– Ty, co on robi? Zwariował – powiedział Tuchowiak.

Sebastian minął wał po lewej stronie i kierował się dalej. Po chwili wbił pal i postawił na nim puszkę. Jak wrócił, wszyscy skupiali się, aby ją dojrzeć. Była ledwie widoczna.

– Chyba pan sobie żartuje – powiedział Makarewicz do Sebastiana, gdy ten wrócił na miejsce.

– Radek, cicho. To jest pięć minut pana porucznika – skwitował major.

Sebastian bez słowa zdjął broń wraz z grubą kurtką, którą zwinął w duży rulon i położył na mokrej ziemi. Przyjmując leżącą postawę strzelecką, podciągnął śmiesznie jedną nogę, zupełnie jakby miał pływać stylem klasycznym. Położył broń na filcowym materiale i usadowił ją pewnie. Kolbę przycisnął do ramienia i przyłożył do niej policzek. Drugą dłoń zablokował kolbę, unieruchamiając ją całkowicie. Oddychając miarowo, położył palec na spuście.

Zawsze gdy strzelał, wyobrażał sobie tylko cel, nic więcej. Nie było ani broni, ani jego ciała. Tylko puszką, wzrok i oddech. Zanim oddał strzał, najpierw popatrzył na drzewa, starając się dostrzec, jak kręci wiatr. Gdy opróżnił płuca, zatrzymał się na chwilę, opuszką palca wskazującego ściągnął język spustowy najdelikatniej, jak potrafił. Karabin wypalił, a puszką poszybowała w kierunku zagajnika.

– O ja pierdołę, ale numer! – krzyknął Tuchowiak.

– No, panowie, wygląda na to, że dzisiaj ja kelneruję przy stole. Panie Sebastianie, ma pan wielki talent. Pomodłę się dzisiaj wieczorem, żeby musiał go pan prezentować tylko na zawodach strzeleckich.

– Dziękuję, panie majorze – odparł porucznik, podnosząc się z ziemi. – To nie takie trudne, na jakie wygląda.

– Niech pan przestanie być taki skromny. To przysparza kompleksów.

– Ma pan rację, jestem po prostu dobry – uśmiechnął się.

– Dobrze, panowie, jeszcze trochę pestek i zajrzycie do lektury. Przed obiadem pobudzimy trochę apetyt. Jak skończycie, wybieracie po sobie wszystkie łuski. Co tak na mnie patrzycie, jak na gołą dupę z pocztówki? Działać!

Wszyscy zabrali się za pracę, major podszedł do chorążego i zatrzymał go.

– Wojciech, chodź ze mną.

Weszli do baraku. Major usiadł przy stole, zgarniając imbryk z kawą. Wojtek podniósł z ziemi kilka polan i dorzucił do piecyka. Feliks uzupełnił kubki. Usiedli przy stole, a chorąży zwyczajowo wyciągnął egipskiego.

– Słucham, przyjacielu, w czym rzecz? – zaczął olbrzym.

– Powiedz, jak chłopaki.

– W porządku, palę w nich tak ostro, jak w tej kozie. Makarewicz jest nie do zajechania, młodzik zapatrzony w ciebie jak w obrazek. Wszystko znosi dzielnie i się uczy. Z Sebastianem lekko gorzej, ale myślę, że wytrzyma jeszcze trochę. Wiesz, jaki to typ. Pragmatyczny umysł i cichy romantyk. Poza tym rzeczywiście jest diabelsko inteligentny, zadaje sporo pytań. A jak sprawa z naszym lekarzyną?

– Niedobrze. Przenieśli go na półroczne szkolenie, sztab się uparł jak cholera.

– Mało nas trochę, wiesz o tym, nie?

– Spokojnie, nic na siłę, sam wiesz, że mało kto się nadaje. Chociaż mam wrażenie, że czas nam ucieka jak piasek przez palce. Za zachodnią granicą wrze. Ci czarni pretorianie krzykacza chodzą dumni jak pawie, wierząc w jakieś chore banialuki. Wiesz, co ostatnio słyszałem?

– Co?

– Że kobieta niemiecka nie pali, nie pije i nie szminkuje się, tylko rodzi dzieci i jest posłuszna Führerowi.

– Tak i w międzyczasie między udami składa pociski artyleryjskie. Nie szminkuje się? Dobrze sobie, ta ich pogarda do dekadencji. Znając kilku z tych nazistowskich dewiantów, to pewnie niejeden trzyma drugiemu...

– Oszczędź mi szczegółów, proszę – skwitował Feliks i ze zniesmaczoną miną upił łyk kawy.

– Powiedz, skąd się to bierze, co? – zapytał już poważniej Tuchowiak.

– Jak masz na myśli Hitlera, to chyba z jakiejś psychotycznej żądz. Społeczeństwo niemieckie, słuchając tego krzykacza, myśli, że wychodzi z depresji po przegranej Wielkiej Wojnie. Na tym Hitlerbuduje zaufanie i manipuluje ludźmi, obiecując im pracę, złote góry i przekonuje ich, że są narodem wybranym, a całą winę za to, że Niemcy padły na kolana, zrzuca na Żydów. Zresztą długo by mówić o całej tej świcie. A tak naprawdę sam dobrze wiesz, że na końcu zawsze chodzi o wielkie pieniądze. Czuję, że ta wojna będzie zupełnie inna niż wszystkie.

Strzały na zewnątrz ucichły.

– A co z tymi papierami, przerabiamy ich na pracowników administracji Rzeszy czy

co?

– Muszą się oswoić, to raz, a dwa, muszą się nauczyć podrabiać dokumenty. Jak będzie sposobność, to ściągnę na trochę Mietka, niech ich podszkoli.

– Tej, wiesz, co robisz? Fałszerz na szemranym poligonie – jak ktoś nas przydybie, to mamy spokój z Ordyńskim, bo padnie na zawał.

– Może pojedziemy do niego, zobaczymy. Słuchaj, ciśnij ich, jak trzeba, ale nie przesadzaj, nie chcę stracić Sebastiana. Z grubej rury damy po przepustkach.

Wojciech uśmiechnął się szczerze.

– Kiedy? Wiesz, że mam do domu żabi skok. Pół roku tam nie byłem.

– Pojedziecie na święta.

– Jeszcze miesiąc?

– Wolisz teraz, a na święta gnić tutaj?

– Nie, mam tylko nadzieję, że dadzą radę.

– Dadzą, dadzą, to twarde chłopaki. Dobra, idź pogoń ich trochę. Ja przygotuję lektury na poobiedni odpoczynek, później trochę się rozbiegamy, a wieczorem się napijemy. Powiem im co i jak.

Tuchowiak wstał. Gdy dotarł do drzwi, obrócił się i zapytał.

– Feliks, jeszcze jedno, nie mówiłeś poważnie o tym czyszczeniu obór? Co?

– Jutro rano, a jak trzeba, to nawet przez cały tydzień będziesz machał widłami.

– Ja pierdolę – warknął i wyszedł. – Psiamać, mówił major, żeby zbierać te łuski? Co to jest, burdel czy szkółka niedzielna? No jazda, zaraz czyścimy broń i biegniemy na zaprawę przed obiadem. Ruszać się!

Rozdział 2

– Witaj, Marcusie, wejdź i rozgość się – powiedział kontradmirał Canaris.

– Dzień dobry, panie admirale. – Schreiber strzelił obcasami, po czym bez żadnego *Heil Hitler* zasalutował normalnie, przykładając dłoń do daszka czapki.

– Jak minęła podróż? – zapytał zgarbiony kontradmirał.

– Dziękuję, dobrze, bez żadnych przeszkód i bardzo owocnie. Nasi agenci spisali się wzorowo. Wczoraj w nocy skończyłem pisać raport i jestem pewien, że pana zainteresuje.
– Oficer uniósł skórzaną teczkę.

– Wspaniale, za chwilę mi wszystko opowiesz, ale najpierw napijemy się herbaty. Zimno tu jak w psiarni.

Marcus zerknął na kontradmirała, który chyba zawsze był zmarznięty. Gdyby mógł, to nie ściągałby szalika. Zastanawiał się, jak to możliwe u oficera Kriegsmarine, dla którego wiatr i przenikliwy chłód północnego Atlantyku to chleb powszedni.

– Chętnie, panie admirale – dodał, wiedząc, że gdyby odmówił, to i tak by to nic nie zmieniło.

Canaris podniósł słuchawkę telefonu.

– Rozgość się, przyjacielu. – Kontradmirał wskazał dłonią w kierunku mebli. – Halo, poruczniku, proszę nam przynieść po filizance herbaty – rzucił i odłożył słuchawkę.

Lisia nora, tak nazywali oficerowie gabinet Wilhelma Canarisa, szefa wywiadu. Zjawiał się w tym miejscu tak samo niespodziewanie i cicho jak wspomniane zwierzę. Wszyscy, którzy mieli okazję z nim współpracować, jednogłośnie twierdzili, że kontradmirał porusza się bezszelestnie, niczym cień. Był to człowiek, który nieustannie nad czymś myślał. Gdyby jednak próbować zaskoczyć go niespodziewanym pytaniem, zawsze miał gotową i przemyślaną odpowiedź.

Nie minęło kilka minut i rozległo się krótkie pukanie do drzwi, po czym wszedł porucznik z naczyniami. Postawił tacę na stoliku pod rzędem okien. Marcus stał przed jednym z nich i obserwował wczesnowiosenny krajobraz Berlina.

– Czy życzy sobie pan coś jeszcze, admirale? – zapytał adiutant i obrzucił wzrokiem plecy oficera patrzącego przez okno.

– Nie, to wszystko, poruczniku, dziękuję – odparł cicho przygarbiony człowiek.

– Tak jest! – Młody porucznik strzelił obcasami i zniknął.

– Piękny widok, prawda? Nawet o tej porze kanał w tym miejscu wygląda zachwycająco.

– W rzeczy samej, admirale. Ośmielę się dodać, że prawie cały Berlin jest taki. Bardzo dobrze się tutaj czuję.

– Drogi Marcusie, Berlin to już nie to samo miasto co kiedyś. Nie daj Boże, kiedy sąsiad powie, że masz za garbaty nos i za ciemne włosy. Wszyscy są podejrzliwi i już nikt nie wyraża swoich opinii. Ludzie chodzą ze spuszczoneymi głowami. Tymczasem wybrańcy Hitlera myślą, że cała Rzesza należy do nich.

– Jeszcze dojdzie do tego, że Heydrich przekona wodza, że wywiad SS spokojnie mógłby zastąpić Abwehrę. – Marcus pokręcił głową i usiadł na wygodnej sofie.

– Nastąpiły dziwne czasy, ale nie pora na martwienie się Heydrichem, nie zagraża nam zbyt. Hitler mi ufa i ceni naszą pracę, ale fakt, Heydrichowi rzeczywiście byłoby to na rękę. Trzymam go w pobliżu i bacznie obserwuję. Wiesz, że bywa u mnie w domu?

Marcus podniósł wzrok, a Canaris delikatnie się uśmiechnął.

– Widzisz, drogi Marcusie, jest taka zasada, że warto trzymać tych, którym się nie ufa, dość blisko siebie, dając im do zrozumienia, że jest odwrotnie. W polityce szlachetne słowo „zaufanie” ma zupełnie inne znaczenie. Wiesz, że moja Erika to świetna skrzypaczka? Talentem Heydricha zachwyca się cała Rzesza, gdy go zaprosiłem po raz pierwszy, to nie posiadał się ze szczęścia. Teraz grywa z moją żoną regularnie i wierz mi, Reinhard Heydrich jest nią zachwycony.

Canaris pochylił się nad stolikiem, chwycił filiżankę z herbatą i postawił ją bliżej siebie. Marcus przyglądał się chwilę swojemu zwierzchnikowi. Od kiedy pamiętał, Canaris był siwy. Ten mężczyzna w ogóle nie wyglądał jak wysokiej rangi oficer Marynarki Wojennej Trzeciej Rzeszy. Lekko przygarbiony, co sprawiało, że wydawał się jeszcze niższy niż w rzeczywistości, Wilhelm Canaris robił wrażenie szarego obywatela, zmęczonego życiem. Patrząc na niego, przypomniał sobie, jak bardzo przypadło mu do gustu jedno z przezwisk, które przyłgnęło do jego szefa chyba już na dobre. Święty Mikołaj.

Małą łyżeczką mieszał swój ulubiony napój. Jego mundur był znoszony i wypłowiały. Pewnie wszystkie odznaczenia dalej leżą w szufladzie biurka razem z nożyczkami i innymi drobiazgami, pomyślał Schreiber i uśmiechnął się niemal niewidocznie.

– Nie będzie panu przeszkadzało, jak zapalę? – zapytał.

– Nie, śmiało. – Marcus wyciągnął srebrną papierośnicę i przypalił jednego R6.

– Dobrze, opowiadaj. To prawda, co mówią w sztabie o Polsce? Kilka dni i po sprawie?

– Nie do końca, panie admirale – zaciągnął się głęboko.

– Co masz na myśli?

– Panie admirale, nie musimy się martwić, jeżeli chodzi o liczebność. Nasza przewaga jest druzgocąca. Podobnie jest ze stopniem mechanizacji, ale mimo to jest kilka niepokojących kwestii.

– Mów śmiało.

Marcus wyciągnął z teczki kilka kartek z danymi i mapami poszczególnych regionów Rzeczypospolitej. Kontradmiral upił łyk herbaty i zerknął na swojego oficera operacyjnego. Schreiber był jednym z nielicznych ludzi z najbliższego kręgu Canarisa, do których szef wywiadu miał pełne zaufanie. Oprócz kilku wybranych wojskowych w tym gronie znalazło się też paru intelektualistów i działaczy katolickich. Sam kontradmiral przewodził tajnej organizacji o nazwie Czarna Orkiestra. Wszystkich tych ludzi, pochodzących z niemieckich elit, łączyła wspólna sprawa. Nienawiść do nazizmu i samego Hitlera, którego polityka dążyła tylko w jednym kierunku. Führer chciał wywołać wielką wojnę na niewyobrażalną skalę, co w końcu musiało zgubić Niemcy. Marcus położył kartkę z listą kilku projektów prowadzonych u wschodniego sąsiada.

– Cała siatka wykonała świetny rekonesans. Nie spodziewałem się, że dotrą do takich informacji. Okazuje się, że Polacy pracują nad bardzo ciekawymi i innowacyjnymi projektami, a gdy ich rząd się w końcu dogada z konstruktorami i przystanie na ich ważniejsze propozycje, to wkrótce nowoczesność ich armii dorówna niemieckiej. Nasi eksperci twierdzą, że do ustawienia linii produkcyjnych potrzebują jeszcze roku, może dwóch.

Canaris przesunął bliżej kartkę z jednym schematem.

– Panie admirale, przy czołgu 7TP Panzerkampfwagen I i II to zabawki.

– To prawda, w tej kwestii za bardzo ich lekceważymy, chociaż jestem pewien, że ich sytuacja wewnętrzzpolityczna zdecydowanie opóźni ich imperialne zapędy, zastanawiam się tylko na ile.

– Przeanalizowałem sytuację i zgadzam się ze sztabem, że jeśli mamy ich naprawdę zaatakować, to powinniśmy się spieszyć. Ich armia w ciągu trzech lat osiągnie odpowiednią gotowość. Wtedy utknęlibyśmy w wojnie z Polską. Brytyjczycy i Francuzi, widząc zapewne liczne zwycięstwa Polaków, od razu ośmieliliby się w swoich działaniach. Sztab dobrze wie, że dwóch frontów nie jesteśmy w stanie długo utrzymać, oczywiście zakładając, że Brytyjczycy i Francuzi zaatakują pełną mocą. Nie mieszam do tego wyводу Stalina, chociaż Führer ma jasne plany co do ZSRR.

– A powinieneś, zobaczysz, że ta ziemia przyniesie nam zgubę. Tam jeszcze nikt nie wygrał wojny, a nasz wódz od dawna marzy, ażeby zmieść naród sowiecki z powierzchni ziemi. To jest po prostu niemożliwe. Za wszelką cenę musimy go powstrzymać przed tym

szaleństwem. Co do Polski, w pełni się z tobą zgadzam, jak ma już być ta cholerna wojna, to musimy ich czym prędzej zaatakować. Wtedy może nadarzy się okazja, aby rozmówić się z Brytanią co do pokoju.

– W rzeczy samej, admirale, po tak dużej demonstracji siły warto by usiąść z nimi do rozmów. Jest tylko jedna przeszkoda... – Schreiber zamilkł na chwilę i przyjrzał się zwierzchnikowi, który wyrazem twarzy dał do zrozumienia, że nie czas na takie dyskusje. – Za pozwoleniem, chciałbym powrócić do akcji, o której panu wspominałem przed wyjazdem. Główne założenie jest takie, aby spróbować przejąć archiwum ich wywiadu. To mogą być bezcenne informacje, a gdyby odnieść na tym polu sukces, to zdecydowanie uspiłby pan czujność Hitlera.

Kontradmirał milczał przez chwilę, patrząc w jeden punkt.

– Odnośnie do polskiego wywiadu, to obaj wiemy, że to nie Francuzi i że już w Bydgoszczy, pierwszej dużej placówce, jest ten major Z... Zych... – Canaris nieudolnie składał głoski.

– Żychoń – wypowiedział płynną polszczyzną Schreiber.

– Właśnie, dziękuję. Na miłość boską, któż stworzył ten język? – rzucił z niedowierzaniem, a Schreiber posłał mu uśmiech. – Wiesz, że przyglądamy się tej Bydgoszczy już od jakiegoś czasu, ten ich szef to szczwany lis. Poza tym w całej Polsce od dobrych piętnastu lat budują na nowo struktury, do tego cały ich wywiad przeszedł gruntowną reformę. To, co przeczytałem w raporcie oficera prowadzącego niedawno zwerbowanego polskiego szpiega, przysporzyło mi kilku siwych włosów. – Uśmiechnął się. – Drogi Marcusie, gdybyś mówił o Francuzach, to nie miałbym prawie żadnych obaw co do powodzenia tego przedsięwzięcia. Chociaż taki materiał rzeczywiście byłby bezcenny. Początek wojny wywoła chaos, co stwarza dobre okoliczności dla takich śmiałych akcji. Może w pełni udałoby się wykorzystać naszych agentów terenowych, scalić ich posunięcia w jednym czasie i... – zatrzymał się na chwilę. – Dobrze, ale najpierw potrzebuję dobrze przygotowanego planu, wtedy podejmiemy decyzję.

– Tak jest – odparł zadowolony Schreiber. Plan od dawna miał już w głowie. Zaciągnął się głęboko, po czym strzepnął popiół do szklanej popielniczki. – Panie admirale, wojny Polacy wydają się być pewni, bez cienia wątpliwości za wschodnią granicą zaczyna się cicha mobilizacja. Moim zdaniem robią to po kryjomu, aby nie drażnić swoim zachowaniem Anglików i Francuzów. Po cichu przerzucają wojsko w kierunku granicy, ale bardzo ostrożnie. Wygląda to tak, jakby jakaś część sztabu działała poza wiedzą najwyższych państwowych struktur. Wiemy od Gustava, że na ministerialnych szczeblach nic nie wypłynęło – dodał.

– Oni jak zwykle mają tam wielki zamęt. Wybory lada moment, walka o elektorat, skrajne środowiska dokazują, a do tego ich rząd uważa, że najlepszym posunięciem jest decyzja, aby nas nie drażnić. To kopia bezmyślnej polityki angielskiej. Wyspiarze nigdy

nie rozumieli centrum kontynentu. – Canaris zatrzymał się na chwilę. – A może właśnie rozumieli, tylko ich po prostu nie interesował? – dodał.

– Mimo wszystko boję się, że nasz sztab za bardzo lekceważy Polaków. – Schreiber odłożył filiżankę na spodek.

– Nie do końca rozumiem twoje obawy, Marcusie – zdziwił się kontradmirał. – Ja jestem pewien, że bez problemu zajmiemy ten kraj.

Schreiber przytaknął.

– Taka jest i moja opinia, ja bardziej boję się o to, co będzie potem.

– Jeszcze jakiś czas temu myślałem, że uda nam się wybrnąć z tej sytuacji i uniknąć konfliktu zbrojnego z naszymi sąsiadami. Wojna to porażka polityki. Tymczasem w polityce już wiele nie zmienimy. Teraz należy pozostać czujnym, przemyśleć obecny stan rzeczy i ustalić nowe przedsięwzięcia. Niedługo spotkam się z Führerem i czuję, że padnie konkretne ustalenie co do rozpoczęcia wojny. Fall Weiss jest już prawie gotowy, więc akcję zdobycia polskiego archiwum musisz mieć gotową jak najszybciej. Polscy szpiegowie rzeczywiście mogą nam napsuć krwi podczas konfliktu, a Bóg jeden wie, jak wielką mają tu siatkę. Hauptmann Speth pojutrze przyjedzie z Gdańska; spotkaj się z nim i omówcie szczegóły. Później pokażę to wszystko Hitlerowi.

– Tak jest – przytaknął automatycznie Marcus. – Panie admirale, za pozwoleniem, wcześniej pan wspomniał o polskim szpiegu i jego doniesieniach. Jeśli mógłbym spytać. Co to za sensacje?

– Ach tak, Polak działa tu, w Berlinie, pod nazwiskiem Jens Faber. Z tego, co powiedział, to jest zwykłym łącznikiem. Jeden z tych, co nagle uważają, że Rzesza to jedyna właściwa droga ku prawdziwej Europie. – Siwy lis uśmiechnął się i po raz kolejny sięgnął po imbryk z herbatą.

– Zdrajca czy podwójny agent? – zaciekawiał się major.

– Zdrajca. Musiałby być wybitny, żeby grać takiego idiotę. To odpowiedź oficera prowadzącego Hauptmanna Schäfera na moje identyczne pytanie. Zwykła płotka opowiadająca się za silniejszymi. Schäfer zweryfikował kilka historii, o których mu opowiedział ten Faber, i o dziwo okazały się prawdziwe. Zainteresowała mnie szczególnie jedna. Opowiadał o jakimś wielce utalentowanym agencie, który od długiego czasu działa w naszym kraju. Niedawno Faber miał być kurierem i dostarczyć jakąś wiadomość. Ciekawski Polak złamał rozkazy i sprawdził zawartość. Okazało się, że to podrobiony rozkaz z góry SS. Ten Faber mówił, że od razu poznał, że ma to dostać jakaś szycha. Ze sztabu dali mu instrukcje, co dokładnie ma robić. Żadnych spotkań, żadnego kontaktu wzrokowego. Poszedł i zostawił rozkaz w skrytce, ale koniecznie chciał zobaczyć, jak wygląda ten szpieg, więc się na niego zaczął. Ponoć ten go podszedł tak, że nawet nie widział jego twarzy. Faber trząśł się ze strachu, jak o tym opowiadał. Kwilił,

że mało życia przez to nie stracił i ledwo się wytłumaczył, że obserwował skrzynkę tylko po to, aby sprawdzić, czy nie jest spalona.

– Czego dotyczył ten rozkaz, jeśli wolno mi spytać?

– Nie uwierzysz, jakie to śmiałe poczynania. Rozkaz skontrolowania manewrów dywizji von Vietinghoffa przez rozpoznanie lotnicze.

– Słucham?

– Prawda, że to bardzo polskie posunięcie? Czasami wydaje mi się, że ten naród jest genialny w swym szaleństwie.

Schreiberg zamyślił się chwilę i starał się przywołać wspomnianą jednostkę.

– Panie admirale, czy to ta nowa Opolska Piąta Pancerna?

– Tak.

– Zaiste, ciekawe. Czy dotarliśmy do osoby, która przekazała rozkaz na lotnisku?

– Właśnie. Otóż przyjrzałem się bliżej tej sprawie. Jak już mówiłem, polski zdrajca nie wiedział, komu doręcza podrobiony dokument. Faber powiedział nam, jak miał zaznaczyć skrzynkę, ale nie był w stanie potwierdzić, czy jest jednorazowa, czy nie. Pierwszy raz dostał rozkaz jej użycia. Zaznaczyliśmy ją jeszcze raz i obserwowaliśmy przez wiele dni. Bez skutku.

– Czy rozkaz został wykonany? Może pilot powie coś więcej? – Schreiberg wyciągnął kolejnego papierosa.

– Tutaj się zamyka koło, drogi Marcusie.

– Jak to?

– Tego pilota już nie ma.

Major wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

– Znalaziono go z poderżniętym gardłem w Stuttgarcie niedługo po tym, jak wykonał rozkaz. Grupa III Luft przejęła śledztwo w tej sprawie, które dla gestapo było zwykłym zabójstwem na tle rabunkowym.

– Mamy jakichś świadków? W ogóle jakim cudem i dlaczego wykonał ten rozkaz?

– Na to pytanie nie znamy jeszcze odpowiedzi. Jedyne, co wiemy, to to, że w jednostce pojawił się oficer SS i rozmawiał z młodym pilotem dzień wcześniej. Mamy portret pamięciowy i zeznania świadków, które niewiele wnoszą. Kolega tego pilota zeznał, że ten mówił o możliwym przeniesieniu i nowej znajomości z koneksjami w sztabie.

– A plany dziennych lotów, rozkazy wewnętrzne jednostki? Przecież są procedury?

– W dzień wykonania zadania w księdze lotów pojawił się wpis o wykonaniu lotu szkolno-treningowego. O tym rozkazie SS wiemy od Fabera.

– Dziwne, że pilot Luftwaffe poszedł na coś takiego. Na pewno muszą być inne

okoliczności.

– Wiem, ale nie wpytuj mnie o szczegóły. Dostałem dopiero pierwszy raport. Śledztwo prowadzi Oberleutnant Lehrer. Jest tego więcej. Pamiętasz sprawę Höppnera?

– Oczywiście. – Marcus osobiście słuchał raportu oficera prowadzącego volksdeutscha.

– Sekcja Stefana tu, w Berlinie, natrafiła na wiadomości, że jacyś ludzie się nim ostatnio mocno interesowali. Stefan rozpoczął śledztwo, ale tropy urywają się tak samo jak z tym młodym pilotem. Nikt nie zaciera tak dobrze śladów jak wywiad.

– To prawda. Chętnie zobaczę portret tego podstawionego esesmana. Pokażę ludziom, niech puszczą go w obieg.

– Dobrze. Ach, niemal bym zapomniał, mam coś dla ciebie. – Canaris wstał i ruszył do biurka, po chwili wrócił ze złożoną kartką papieru.

Major z widocznym zdziwieniem odebrał dokument.

– Od tego powinienem zacząć naszą rozmowę. – Admirał uśmiechnął się. – Już dawno się tobie należał, tym bardziej po ostatnich wynikach. Moje gratulacje, panie podpułkowniku – dodał.

Marcus przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć, ale w głębi duszy wiedział, że na to zasłużył. Przez ostatnie dwa lata wręcz nie przestawał pracować. Jeszcze raz spojrzął na ostatnie zdanie wypisane na kartce. Stopień „Oberstleutnant” wyglądał dostojnie, szczególnie gdy dotyczył czterdziestoletniego żołnierza. Pomyślał o swoim adiutancie. Jemu też się należy awans. Hans pracował równie ciężko. Miał zamiar wypisać papiery, jak tylko wróci od kontradmirała.

– Dziękuję, panie admirale – powiedział krótko.

– Proszę. Choć podpułkownik w tym wieku... – Siwy lis się uśmiechnął. – Zapewne będą obserwować twoją karierę, więc miej to na uwadze. Tym bardziej że i ja mam ambitne plany wobec ciebie.

Marcus szerzej otworzył oczy i od razu chciał zapytać, o co chodzi.

Canaris dodał:

– Rozmowę na ten temat zostawimy na kiedy indziej. No dobrze, a teraz opowiadaj dalej o tej Polsce.

Marcus myślał jeszcze chwilę o awansie i jego rzeczywistym wpływie na jego karierę. Wielu osobom będzie to nie na rękę. Co ten szczywany lis knuje? – pomyślał o Canarisie, po czym bez słowa sięgnął po resztę papierów. W teczce miał sporo potrzebnych materiałów, za ich pomocą chciał streścić swojemu dowódcy stan przygotowania Polski do wojny i jej zdolności mobilizacyjne, poziom wyszkolenia niemieckich grup dywersyjnych złożonych z volksdeutschów zlokalizowanych w wielu miastach Polski.

Miał zamiar przedstawić słabe punkty obrony sąsiada i ostatecznie zatwierdzenie planu agresji na Rzeczpospolitą.

Rozdział 3

Słońce stało wysoko, a na niebie pojawiały się i znikwały pojedyncze cumulusy, przeganiane przez wiatr. Jak na typowo wyżową pogodę przystało, było rześko i przyjemnie. W okolicznych wsiach ludność z niecierpliwością wyczekiwała końca sumy, aby później rozpalić ogniska i uczcić odejście Śmiercichy⁸. Gdy większość mężczyzn słuchała błogosławieństwa, myśląc o festynie i świeżo pędzonym samogonie, Sebastian leżał na filcowym kocu i przez chwilę wspominał, jak kiedyś z kuzynostwem lubili ten dzień wyganiania śmierci ze wsi. Dobrze pamiętał, jak jeździli do babci, żeby hucznie pożegnać odchodzącą zimę i bez żadnych zakazów wrzucać do ognia wszystko, co tylko znaleźli pod ręką.

Uśmiechnął się pod nosem i zerknął na tkwiący obok mauzerowski karabin. Zamek był otwarty, a obok leżały poukładane równo naboje. Wczoraj pół wieczoru, gdy Tuchowiak opowiadał o akcjach oskrzydających, on szlifował pociski, aby usunąć z nich wszystkie zadry i niedociągnięcia. Dobrze wiedział, że każda niedoskonałość ma ogromne znaczenie. Przez ostatni tydzień zajmował się wbijaniem do głowy nowej niemieckiej tożsamości. Młodzian okazał się bardzo pomocny przy korekcie jego niemieckiego.

Oprócz tego intensywnie myślał na temat dokumentu sporządzonego przez majora. Jednego wieczoru, gdy był gotowy zrezygnować i wrócić do Poznania, major podsunął mu teczkę wypchaną papierami. Zanim ją otworzył, podpisał zobowiązanie o dotrzymaniu tajemnicy wojskowej pod groźbą kary śmierci i zabrał się za czytanie. Gdy zamknął ostatnią kartę, przez dwa dni chodził jak struty. Miał wrażenie, że grunt usunął mu się spod nóg. Odkąd skończył czytać, dyskutowali z majorem na temat ewentualnych konsekwencji i możliwych scenariuszy polityki europejskiej w najbliższym czasie. Nie było co się więcej oszukiwać, był pewien, że wojna jest nieunikniona.

Karabin był gotowy, specjalne tarcze do skalibrowania wszystkich elementów celowniczych, które dostarczył major, okazały się bardzo pomocne. Na stu metrach rozrzut był już minimalny i miał nie więcej niż piętnaście milimetrów. Dzisiaj przyszedł czas na poważne strzelanie, pomyślał. Wziął niezaladowaną broń i spojrzął w lunetę. Wybrał tarczę, która stała w miarę blisko, i patrząc w jeden punkt, pokręcił bronią. Tej sztuczki nauczył go wuj Ziemowit, to był jego sposób na sprawdzenie, czy dane urządzenie optyczne ma duży błąd paralaksy, czyli zjawiska błędnego odczytu wskazania

przyrządu pomiarowego, wynikającego z nieodpowiedniego kąta patrzenia człowieka na to urządzenie.

Gdy skończył obracać lunetę, przyjrzał się dokładnie palikowi z tarczą. Punkt, w który mierzył, pozostawał prawie nieruchomo w jednym miejscu. Jednak Niemcy są liderami w dziedzinie optyki, przyznał. Przesunął broń na właściwy cel oddalony od niego mniej więcej sześćset, może sześćset piętnaście metrów, które zmierzył krokami. Tarcza, kawał stalowej blachy pomalowanej na biało, była ledwie widoczna w oddali. Odłożył karabin i zerknął na swoje zapiski. Wyliczenia nie były dokładne, ale w takich warunkach zrobił, co mógł. Wczorajszego wieczoru, zanim zajął się pociskami, korzystając z dostarczonych przez Zygartowicza tabel balistycznych dla amunicji ze Skarżyska, dokonał podstawowych rachunków.

Dane miał tylko do czterystu metrów, ale wiedział, że szacunki oparte na jakichkolwiek dostępnych liczbach są lepsze niż żadne. Na podstawie informacji energii i prędkości pocisku na czterystu metrach policzył przybliżoną poprawkę. Zanim spojrzął przez okular celownika, najpierw zerknął w kierunku tarczy, a później na okoliczne drzewa. Popatrzył na gałęzie pięknego dębu, który majestatycznie stał na skraju zagajnika. Konary poruszały się miarowo i delikatnie. Ocenił kierunek i oszacował siłę wiatru. Wybrał jeden z pocisków i delikatnie włożył go do komory zamkowej, zasunął ją i zaryglował zamek. Położył mauzera na worku i poprawił jego ustawienie.

Zachowywał się jak farmaceuta, który starannie odmierza porcje substancji chemicznych, komponując zamówiony lek. Każdy ruch był wyważony i spokojny, wszystko wyglądało tak, jakby miało następować po sobie w takiej właśnie kolejności. Przyłożył kolbę do policzka, poprawił położenie głowy, po czym spojrzął w okular lunety. Zamknął na chwilę oczy, nie zaciskając mocno powiek, po chwili otworzył.

Charakterystyczne pręciki celownicze w kształcie krzyża nabrały ostrości. Przy tej odległości środek krzyża był zupełnie w innym miejscu niż rzeczywisty cel. Mierzył ponad tarczę i w lewo, wiedząc, że wieje z tego kierunku. Za pomocą wyobraźni ruchem jednostajnym zmierzał po torze pocisku w kierunku tarczy. Oddychał równomiernie, nastąpiła cisza, serce zwalniało rytm.

W tym momencie wstrzymał oddech, opuszką palca ściągnął delikatnie język spustowy. Palec uwolnił iglicę, rozległ się huk. Kula poszła obok. Wiedział, że to wiatr. Naniósł poprawkę i przymierzył się jeszcze raz. Tymczasem huk wystrzału wzbudził zainteresowanie żołnierzy, którzy siedzieli w baraku, paląc i wpajając sobie podstawy szyfrowania. Tuchowiak, jak zwykle w wolnej chwili, mieszał coś w garach. Major wyszedł pierwszy i w oddali zobaczył leżącego Sebastiana. Tuż za dowódcą wyłonił się Tuchowiak wraz z Makarewiczem, Andrzej został i pilnował posiłku.

– Jak idzie, panie poruczniku? – zapytał major.

– Dopiero zacząłem.

– W co pan strzela?

– W tę tarczę na skraju zagajnika.

Wojciech z Radkiem przyjrżeli się dokładniej.

– Chyba pan żartuje poruczniku, to będzie z kilometr – wypalił chorąży.

– Bez przesady, nie więcej niż sześćset dwadzieścia metrów. Mówiłem panu, że się pan zdziwi.

Popatrzył w lunetę i uspokoił oddech. Przesunął krzyż pręcików odrobinę bardziej w lewo. Po krótkiej chwili rozległ się huk. Dźwięk pocisku uderzającego w blachę wiszącą na kołku zabrzmiał tak, jakby ktoś wrzucił monetę do emaliowanego garnka.

– Jasna cholera, niebywałe. Jak pan to robi? – zapytał Wojtek.

– To nie takie trudne – odpowiedział Sebastian, nie odwracając wzroku od okularu lunety. Po chwili huknęło i kolejna złotówka wylądowała w garnku.

– Panie Rychter, może się powtarzam, ale rzadko się widuje takie umiejętności. Koniec z zakładami o strzelanie do celu. Nie stać mnie na taką liczbę porażek – rzucił major.

Wszyscy żołnierze uśmiechnęli się równocześnie.

Rozdział 4

Agathe zmagala się z monotonią pracy w banku. Po godzinach z gracją damy prowadziła swojego Niemca. Sturmbannführer z tygodnia na tydzień stawał się śmielszy i bardziej zachwycony sobą. Jego natarczywość stawała się nieznośna.

Musiała być jeszcze ostrożniejsza niż do tej pory. Ciągłe odgrywała rolę zakochanej młodej kobiety mającej zrozumienie dla aspiracji oficera. W łóżku stawała się najlepszą kochanką, jaką do tej pory miał władczy esesman; to usypiało jego czujność i powodowało, że coraz częściej opowiadał jej o poufnych rzeczach. Osiągnęła sukces. Ufał jej na tyle, że ostatnio podczas wieczornych rozmów pochwalił się nietypowym awansem. Został wytypowany, jako jeden z kilku esesmanów, do wykonania jakiegoś specjalnego zadania, którego szczegółów jeszcze sam nie znał. Wszystko było ściśle tajne.

Pewnego dnia wrócił do domu z butelką drogiego szampana, chwając się, że Berlin zdecydował się na niego i do Wrocławia przyjedzie sam Gruppenführer Radke, żeby przedstawić szczegóły i koordynować całe przedsięwzięcie. Gdy tylko usłyszała to nazwisko, od razu w głowie pojawił się sygnał, że dzieje się coś bardzo ważnego. Wysoko postawiony esesman z Berlina był człowiekiem od zadań specjalnych, jednym z najbliższych współpracowników Himmlera.

Przekonanie Egnera, że warto by się spotkać na gruncie towarzyskim z jego nowym dowódcą, nie zajęło jej wiele czasu. Koniecznie musiała dowiedzieć się, o co chodzi. Egner uznał to za wspaniały pomysł, dodając, że na pewno oczaruje go swoją urodą, co przyczyni się później do jego szybszego awansu.

Była środa po południu, Agathe szykowała się na umówioną kolację. Dzisiejszego wieczoru zdecydowała się włożyć mniej wyzywający strój. Nie chciała wypaść na głupią młódkę, która nie ma za grosz taktu. Spięła włosy w tradycyjny kok i nałożyła delikatny makijaż. Prosta i obcisła suknia w szarym kolorze okrętów wojennych podkreślała jej talię i nie odwracała uwagi od inteligentnej i pięknej twarzy. Zarzuciła na siebie płaszcz.

Wizyta została zaplanowana na osiemnastą. Wyszła odpowiednio wcześniej z zamiarem spotkania się z Egnerem w umówionym miejscu na rynku. Na przystanek tramwajowy było zaledwie kilka kroków. Po niecałych dwudziestu minutach zmierzała przez plac w kierunku ratusza. Z oddali zauważyła charakterystyczny szary mundur. Esesman niecierpliwie rozglądał się, poszukując swojej wybranki. Energiczne ruchy

Niemca zdradzały, jak bardzo się stresuje dzisiejszym spotkaniem. Rozglądał się na lewo i prawo.

Podeszła do niego prawie niezauważenie. Stukot czarnych pantofli na wysokim obcasie zwrócił jego uwagę.

– Kogo pan tak wyczekuje, panie oficerze? – zapytała zalotnie, żeby rozładować widoczne napięcie. Egner obrócił się nagle.

– Dobrze, że jesteś. Wiesz, że nie toleruję spóźniałstwa – burknął.

– Jakbym mogła. Wiem, jak ważny jest dla ciebie ten wieczór. – Kolejny uśmiech poszybował w kierunku kwadratowej szczęki esesmana.

– No dobrze, chodźmy. – Wziął ją pod rękę i ruszyli.

Gdy weszła na salę, oczy od razu jej zaiskrzyły. Od zawsze wiedziała, że urodziła się po to, aby bywać w takich miejscach. Może to próżne, ale uwielbiała luksus. Pomieszczenie renomowanej restauracji w jednej chwili wprowadziło ją w cudowny nastrój. Delikatna muzyka docierała do uszu, kojąc duszę. Nabrała pewności siebie i była spokojniejsza niż jej partner, który na siłę starał się ukryć zdenerwowanie. Czuła, jakby weszła na scenę teatru, a blask reflektorów delikatnie ogrzewał jej twarz. Kierownik restauracji od razu ją zauważył i dosłownie po chwili był przy nich.

– Dobry wieczór państwu. Są państwo umówieni czy mam znaleźć stolik dla dwojga?
– Uśmiechnął się promieniście.

– Mamy umówiony stolik z Gruppenführerem Radkem – syknął Egner.

Gdy kelner usłyszał nazwisko oficera SS, spoważniał.

– Szanowni państwo, proszę za mną. *Herr Radke* państwa oczekuje.

Ruszyli przez salę. Tego wieczoru frekwencja była umiarkowana, chociaż tym, którzy nie znali tego miejsca, restauracja mogła wydawać się przepełniona. Po prostu ruch w lokalu wskazywał na to, że jest to miejsce o doskonałej kuchni i świetnej reputacji. Przeszli przez salę do stolika dla gości specjalnych, przy którym z powagą siedział wysokiej rangi oficer SS. Wyglądał tak, jakby był właścicielem tego luksusowego miejsca. Pewnie i z widoczną pogardą, popijając jakiegoś drinka, spoglądał na salę znad charakterystycznych okularów bez oprawek. Mężczyzna w podeszłym wieku z plackiem łysiny na czubku głowy i zdecydowanie za długich pozostałościach włosów zaczesanych na mierną pożyczkę sprawiał wrażenie zadufanego w sobie i aroganckiego. Jego małe oczy patrzyły przenikliwie.

Para zbliżyła się do stolika, Radke wstał. Agathe wyciągnęła rękę z gracją. Esesman chwycił ją pewnie i ucałował.

– Dobry wieczór, Klaus Radke.

– Agathe Holler, bardzo mi miło. – Uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Egner, czując się pomijany w wymienianiu uprzejmości, wystrzelił tak, że spora część restauracji podniosła głowy.

– *Heil Hitler!* – Huknęły obcasy, a prawa dłoń poszybowała przed siebie.

– *Sieg Heil* – odpowiedział Gruppenführer i wskazał dłonią wolne miejsca.

Początek spotkania był sztywny. Egner nie potrafił się zrelaksować przed swoim dowódcą, któremu chciał zaimponować, i ewidentnie się bał, że Agathe zrobi się zbyt śmiała, dlatego strofował ją na każdym kroku. Ona zaś bawiła się dobrze, wyczuła szansę zbliżenia się do SS-Gruppenführera, który ma dostęp do większości najważniejszych planów NSDAP. Wiedziała, że coś szykują, i chciała za wszelką cenę się tego dowiedzieć. Delikatnie starała się znaleźć odpowiedni wytrych do umysłu nowego znajomego, na pierwszy rzut oka bardzo skomplikowanego przybysza z Berlina.

Kelner przyniósł przystawki.

– *Herr Radke*, jak się pan czuje w Breslau? – zapytała grzecznie.

– Dziękuję, bardzo dobrze. To wspaniałe miasto, uważam je za jedną z pereł Rzeszy.

– O tak, to prawda, to kulturalna stolica naszego pięknego kraju – odpowiedziała z aprobatą.

– *Herr Gruppenführer*, Breslau od zawsze nas rozpieszcza kulturalnie. Ostatnio z Agathe widzieliśmy premierę *Carmen* – wtrącił Egner.

– Słyszałem o niej w Berlinie. Mój dobry kolega Marcus Hirsch był na tym spektaklu.

– Widzieliśmy Obergruppenführera Hirscha, wydawał się zachwycony już po pierwszym antrakcie.

– O tak, jest miłośnikiem opery.

– A pan? – zapytała Agathe.

– Cóż, ja zdecydowanie wolę filharmonię, to muzyka instrumentalna najbardziej rozbudza moją wyobraźnię. – Tu zatrzymał się na chwilę, po czym uniósł szklaneczkę z alkoholem i upił łyk, nie zwracając uwagi na towarzystwo.

– Muzyka koi nasze dusze, świat bez niej byłby pusty.

– W rzeczy samej, *Frau Holler*, w rzeczy samej.

Spotkanie towarzyskie trwało już w najlepsze, a Agathe nie miała pomysłu, jak sprowadzić rozmowę na służbowe tory. Próbowwała kilka razy, ale Gruppenführer ewidentnie nie miał zamiaru poruszać jakichkolwiek tematów partyjnych czy wojskowych w jej obecności. Liczyła na swojego esesmana. Nie trzeba było długo czekać, białe wino podane wraz z przystawką zrobiło swoje.

– *Herr Gruppenführer*, jak mniemam, czeka mnie wiele zadań w najbliższym czasie.

Postaram się je wypełnić, jak przystało na oficera SS – wypalił Egner, starając się przy tym zrobić jak najpoważniejszą minę.

Radke znacząco podniósł wzrok na oficera. Agathe udawała, że zajmuje się swoją jagnięciną. Tymczasem rejestrowała rozmowę. Wyraźnie wyczuła coś, co wzbudziło w niej lekki strach. Radke był wściekły. Jego twarz zmieniła się tak, jakby ściągnął maskę.

– Zostawmy sprawy służbowe na później, Egner – rzucił dosadnie.

– Och, mnie to zupełnie nie przeszkadza, jeżeli macie panowie ochotę, to proszę bardzo, choć wolałabym podyskutować o muzyce lub Breslau – powiedziała z uśmiechem, starając się rozładować napięcie. Chciała sprawić, aby Radke ich polubił i zapragnął spędzać w ich towarzystwie jak najwięcej czasu, ale jej partner, należący do najczystszej nordyckiej rasy, najwyraźniej miał braki we wzbudzaniu zaufania i był przeraźliwie głupi.

– Szanowna pani, zgadzam się w całej rozciągłości, a o muzyce mogę dyskutować bez końca – odpowiedział Radke z miną, jakby się nic nie stało. Wtedy znowu łypnął na Egnera. – Niech się pan cieszy mniejszą ilością obowiązków i korzysta z dobrodziejstw Breslau. Cała dokumentacja dojedzie z Berlina dopiero pod koniec tygodnia. Co więcej, moja willa potrzebuje drobnych rearanżacji. Przystosowujemy ją dla żołnierzy, a także do przetrzymywania tajnych dokumentów, więc dopiero od przyszłego tygodnia zaczynamy działać. Obawiam się, że nie będzie miał pan tyle samo czasu dla swojej pięknej wybranki co zwykle – posłał jej uśmiech.

Zatrzepotała rzesami i odwzajemniła się, pokazując rząd równych zębów.

– *Herr Radke*, nie zdradził pan, gdzie się zatrzymał? – wypaliła z miną roztrzepanej nastolatki.

– Nie jestem nazbyt wymagający, jedyne, czego potrzebowałem, to fortepian i troszkę zieleni. Zatrzymałem się w dzielnicy Wilhelmsruhe⁹.

– To wspaniale! Och, proszę nie mówić, że pan gra! Ja muszę pana posłuchać!

– Agathe! – bąknął przerażony Egner. – *Herr Radke* nie ma czasu na twoje zachcianki.

– Wręcz przeciwnie, dla osób ceniących muzykę zawsze wygospodaruję chwilę. Jak tylko się zadomowię, chętnie spędzę wieczór z koniakiem i muzyką w tle, w towarzystwie takiej damy, oczywiście.

– Och, cudownie! Już nie mogę się doczekać – odparła podekscytowana.

Egner tymczasem wrzał w środku, jego ego nie dopuszczało żadnych konkurentów, nawet przełożonych, a Radke ewidentnie z nią flirtował.

– Agathe ma doskonały głos, może na kolejnym spotkaniu da próbkę swoich umiejętności – wtrącił z niechęcią.

– Dietmarze, daj spokój – machnęła ręką, jakby to była nieprawda.

– Szanowna pani, gdy się spotkamy ponownie, będę zdecydowanie nalegał na mały recital – powiedział Radke.

– Dla takich dżentelmenów chętnie zaśpiewam.

Egner nie to chciał usłyszeć. Spojrzał na nią z wyrzutem Radke nawet nie drgnął.

Była zadowolona z przebiegu wydarzeń, samcza rywalizacja jest ślepa na każdym poziomie, a to daje pole do swobodniejszego działania, pomyślała. Dzisiejsza misja została wypełniona, zapracowała na zielone światło do kwatery Radkego. Teraz należy tylko rozdawać odpowiednie karty. Wiedziała, że nowy gracz jest gorszy do rozgrywania niż zawodowiec. Egner przy nim to chłopczyk z głową w chmurach. Na pierwszy rzut oka Radke wydawał się jej nieobliczalny, ale musiała rozegrać tę partię. Gruppenführer znowu rzucił jej spojrzenie i niemal niewidocznie powiódł wzrokiem po miejscu, gdzie na materiale odznaczały się jej piersi.

Już wcześniej czuła, że gdy zwraca się do Egnera, Radke ją obserwuje. O romansie z oficerem w podeszłym wieku nie było mowy, poza tym wydawał się dużo bardziej przebiegły i o wiele bardziej bezwzględny aniżeli Egner. Bała się go. Po ułamku sekundy usunęła złe myśli z głowy. Dzisiaj najważniejszą rzeczą było to, że poznała bliskiego współpracownika Himmlera. Dodatkowo dowiedziała się, że naziści szykują coś, czego jej Sturbannführer miał być częścią. Należało działać.

Podczas gdy esesmani ucinali sobie pogawędkę, przez jej głowę dosłownie przewalała się fala z pomysłami. Jedynym możliwym posunięciem wydawało się włamanie do willi, gdy dokumenty dojadą z Berlina. Choć na pierwszy rzut oka był to mało rozsądny plan. Od strony technicznej nie była w stanie nawet o tym racjonalnie pomyśleć, a co dopiero zabrać się za przygotowania i samo wykonanie. Należało znaleźć kogoś, kto to zrobi. Zanim jednak to się stanie, trzeba jak najszybciej zdobyć tak dużo informacji o willi, jak tylko to możliwe.

– Wszystko w porządku? – zapytał Egner. Obydwoje zwrócili na nią uwagę.

– Tak, tak. Dziękuję. Nic się nie dzieje, to zapewne kobiece sprawy. Panowie wybaczą. – Podniosła się z krzesła. Oficerowie równocześnie wstali. Gdy zniknęła za rogiem, gdzie znajdowały się toalety, Radke bez namysłu przerwał błogi nastrój Egnera.

– Jeżeli myśli pan, że może poruszać sprawy wagi Rzeszy na takich spotkaniach, a co więcej, że pomoże to panu w pańskim awansie, to grubo się pan myli.

W Egnera jakby strzelił piorun.

– Ale, Herr Gruppenführer...

– Mam nadzieję, że zdaje sobie pan sprawę, jak ważne zadanie panu powierzamy, i nie życzę sobie jakichkolwiek zagrywek. Jeżeli pan chce, żeby pańska kariera przyspieszyła, to ją przyspieszę, ale w przeciwnym kierunku. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno.

– Tak jest, *Herr Gruppenführer*. – Egner obył zszokowany.

Gdy Agathe wróciła do stolika, czuła, że coś się wydarzyło. Mina Egnera zdradzała, że przed chwilą dostał reprimendę. Teraz siedział prosto i wyraźnie ukrywał wściekłość. Na stole stał już deser, kawałek sernika z polewą czekoladową.

– Wspaniale, wracając do panów, właśnie myślałam o deserze – zaczęła tak, jakby w ogóle nie zauważyła napiętej atmosfery.

– Życzy sobie pani kawy lub koniaku?

Egner siedział cicho.

– *Herr Gruppenführer*, myślę, że koniak plus sernik będzie wspaniałym zakończeniem tego cudownego wieczoru – dodała.

– Zgadzam się, szanowna pani.

Podczas gdy Egner patrzył z wyrzutem na Agathe, *Gruppenführer* ostentacyjnie uniósł dłoń i grubiańsko pstryknął palcami. Kelner pojawił się znikąd.

– Przynieś nam po lampce najlepszego koniaku, jaki macie – powiedział rozkazująco w powietrze.

– Służę – odpowiedział kelner.

Koniec wieczoru upłynął przyjemnie. Dochodziła dziewiąta, gdy skończyli. Agathe pożegnała się ciepło z *Gruppenführerem* i zaznaczyła, że trzyma go za słowo odnośnie do obiecanej gry na fortepianie. Radke uśmiechnął się grzecznie i skinął głową. Chwilę po tym samochód *Gruppenführera* odjechał spod restauracji.

Agathe odczuwała wewnętrzną radość z ogromnego sukcesu, który miał przynieść spektakularne wyniki, tak przynajmniej myślała. Egner był tylko figurą w jej grze, mimo to chciała się cieszyć sukcesem.

– Ależ cudowny wieczór! Przespacerujemy się po rynku? – Złapała go pod rękę.

Ten obrócił się do niej, pełen wyrzutu.

– Zachowujesz się jak rasowa kokietka. Wiesz, kto to jest? – Wskazał palcem miejsce, gdzie przed sekundą zniknęła limuzyna.

– Przecież myślałam tylko o tobie, kochany!

– Nie pieprz bzdur, patrzyłaś na niego tak jak na mnie na początku.

– O czym ty mówisz? – Zrobiła wielkie oczy, a wszystkie wcześniejsze emocje uleciały.

– Myślisz, że jestem ślepy? – Ścisnął ją za ramię.

– Kochanie. Jak mogłeś w ogóle tak pomyśleć? – Uwolniła się. – Za niedługo tacy jak on będą tobie salutować, to oczywiste. To po pierwsze, a po drugie, inni mężczyźni mnie nie interesują. Dla mnie jesteś moim jedynym oficerem. – Pocałowała go namiętnie.

Kolejne teatralne solo w wykonaniu Krystyny Zapolskiej zebrało owację na stojąco, pomyślała. Ruszyli przez rynek ku kamienicy, w której mieszkał Egner.

Rozdział 5

W końcu nadszedł czas obiecanych przepustek. Rychter z Tuchowiakiem pojechali na święta prosto do swoich domów rodzinnych, Makarewicz stwierdził, że nie lubi żadnych świąt, i postanowił zostać na miejscu. Nikt nie pytał dlaczego.

Major z kolei, jak co roku, najpierw skłamał Wojtkowi, że i tym razem nie pojedzie do jego rodzinnego domu, tylko do stryja, po czym został sam. Nie chciał obarczać przyjaciela swoją osobą. Później odnajdywał kościół, w którym jeszcze nie był, i wybierał się na mszę rezurekcyjną, podczas której modlił się za zmarłych rodziców, ojczyznę i Wojtka, aby ten został ojcem i usatkwował się gdzieś w Wielkopolsce, porzuciwszy ścieżkę samotnego żołnierza, którą on sam podążał.

Po obfitym śniadaniu wielkanocnym Sebastian zauważył wujka Ziemowita stojącego na balkonie. Czekał na taką okazję już od rana. Koniecznie chciał z nim porozmawiać na osobności. Generał wyczuł obecność Sebastiana.

- Nie skradaj się tak albo rób to umiejętnie – rzucił, nie patrząc za siebie.
- Nie chciałem przeszkadzać.
- Nie przeszkadzasz. Mówisz, że dostałeś inny przydział, i to w wywiadzie?
- Tak, wuju, ale nie wiem, czy to był dobry pomysł. Mam już dość i jestem wyczerpany, a moi dowódcy to jacyś sadyści nie z tego świata. Co lepsze, oni ciebie znają.

Ziemowit obrócił się w kierunku siostrzeńca.

- Jak się nazywają?
- Major Zygartowicz i jego kolega, chorąży Tuchowiak.
- No, mój drogi. – Wuj uśmiechnął się i wypuścił chmurę dymu. – Wpadłeś w doborowe towarzystwo, to wspaniali żołnierze. Co to za jednostka?
- Nie bardzo mogę mówić. To nawet nie jednostka. Mówią, że to coś nowego, ale tak naprawdę nie mam zielonego pojęcia, co się dzieje. Jest nas pięciu i mam wrażenie, że szkolimy się na partyzantów albo zbirów.
- Posłuchaj mnie, Sebastianie, jedno jest pewne, wojsko pod ich dowództwem będzie wyglądało zupełnie inaczej niż do tej pory.
- Wiem, wuju, już jak tylko ich poznałem, to miałem wrażenie, jakby ich dopiero co

wypuścili z karnej kompanii. Nie umiem tego do końca zaakceptować, nie tak się zachowuje oficer Wojska Polskiego.

– Widzisz, ludzie, pod którymi służysz, nie należą do żadnej ze znanych kategorii wojskowych. Tak było już dawno temu. Uwierz mi, że było więcej tych, którzy tego nie akceptowali. Ale co z tego? Gwarantuję ci, że mój pułk piechoty dzięki takim właśnie rojbrom był jednym z najlepszych w Rzeczypospolitej. Ach, jakie to były chłopaki, szkoda, że tak wielu straciliśmy. Zobaczysz, że stopnie pośród takich ludzi wyglądają inaczej niż belki i gwiazdki. To oni robią robotę, aby inni mogli prężyć piersi na defiladach zwycięstw. Rozumiesz? To bohaterowie, którzy nigdy nie spijają śmietany, oni to robią, bo tak trzeba. To są pojedyncze indywidualne jednostki, możesz do nich nie pasować, ale nie martw się, na początku nikt nie pasuje, a ta katorga, przez którą teraz przechodzicie, to spotkanie z największym wrogiem. Samym sobą.

Generałowi przez głowę przemknęło wspomnienie z zapraw prowadzonych lata temu przez młodego porucznika Tuchowiaka. Ludzie mdleli, wymiotowali i rzucali karabinami, płacząc, że już wolą do karnej kompanii. On te karabiny zbierał i załatwiał im przeniesienie. Później przyjmował nowych na stan, żeby ich sprawdzić. Nie minęło wiele czasu, a jego kompania biła rekordy w marszach ciągłych. Łazuta popatrzył na siostrzeńca.

– Pamiętaj, że nie masz z nim wygrać, tylko go poznać. Jak to zrobisz, będziesz jak rasowy lekkoatleta. Wtedy podejdziesz do poprzeczki i z uśmiechem na ustach będziesz ją dzień w dzień podnosił. – Uśmiechnął się i poklepał siostrzeńca po ramieniu. – Opowiem ci krótką historię, zanim podejmiesz decyzję o odejściu, ale najpierw idź i przynieś dwa kieliszki nalewki, rozgrzejemy się trochę. Twój ojciec ma niesamowite zdolności. Ta pigwówka jest wspaniała.

Nie minęła chwila, a Sebastian wrócił z dwoma kieliszkami, które postawił na betonowej balustradzie. Generał wziął kieliszek i umoczył usta.

– No, jest wyśmienita – skwitował i znowu utkwiał wzrok w miejscu, skąd przywołuje się obrazy z przeszłości. – Biliśmy się z parszywymi bolszewikami, to był czas wielkiego niepokoju, co więcej, przeciwnik miał przewagę i parł z zamiarem zalania Europy. Wódz wiedział, że musimy zaatakować i postawić wszystko na jedną kartę. Pod Warszawą stał nieprzyjaciel. Mój baon trzymał lewe skrzydło. Każdy wiedział, że nie możemy się cofnąć. Po tym, co się tam działo, jeżeli ktoś mi powie, że wynik wielkiej bitwy nie może być zmieniony przez małe oddziały wypadowe, to mu powiem, że mało wie.

– Wiem, jaki to był heroizm, wujku – zdziwił się, że mu opowiada tak dobrze znaną historię.

– Mówiłem ci, Sebastianie. Tej historii, którą tobie opowiadam, się nie spisuje. Wiesz, że Tuchowiak miał gotowy awans na kapitana?

– Za co go zdegradowali?

– Jak spotkasz chyba już generała ze strasznie krzywym nosem, to zobaczysz dlaczego. Chociaż to jest dłuższa historia. To cud, że udało mi się ich przekonać, żeby go nie rozstrzelali. Wracając do Warszawy. Na początku nie chciałem się zgodzić, aby moi najlepsi żołnierze szli tak daleko w teren wroga, i to na kilkanaście godzin przed wielką bitwą. Jedni bez mundurów, a drudzy w bolszewickich łachach, ale Zygartowicz mocno argumentował, więc w końcu się zgodziłem. Po prawie dwudziestu godzinach Zygartowicz, Tuchowiak i ich bardzo skromna drużyna cudem wrócili do obozu. O tym, co się stało w obozie bolszewików, swołocz mówiła koszmarnie legendy. Nazajutrz rozpętała się bitwa, a bolszewicy bili się tak, jakby się czegoś bali. Wiesz, że kiedyś, jak husarz stracił konia, to w ataku szauł potrafił wyrzucić dwa tuziny jeńców i zasiać taki lęk u Tatarów, że robili w portki. Pamiętam, jak złapali takiego jednego bolszewika i przytargali do sztabu. Opowiadał nieskładne historie o duchach, co po nocy mordowały i rozrywały gardła we śnie, a jak zobaczył Tuchowiaka, to się zesrał w gacie i zaczął tak krzyczeć, że chcieli go zastrzelić, żeby się zamknął. Gówniarz jak już skończył, to chyba nigdy nic nie powiedział, patrzył tylko w jeden punkt, jak szaleniec. To wszystko może i straszne, ale swołocz, zanim stanęła do bitwy, miała pełne portki ze strachu, rozumiesz, a mieli dużą przewagę. – Generał pokręcił głową. – A ci przyszywani oficerowie i politruki nie wiedzieli, dlaczego ich ludzie się tak słabo biją. – Ziemowit Łazuta dopił nalewkę i położył rękę na ramieniu siostrzeńca.

– Co oni tam zrobili? – zapytał poważnie Sebastian.

– Nie pytaj mnie o to i nie radzę o to pytać Tuchowiaka i Feliksa. Posłuchaj, stoisz przed wyborem. Czasy są niespokojne, a dzięki Beckowi i jego idiotycznej wierze w niezniszczalność wojna jest pewna. Jak chcesz nabyć umiejętności i wkroczyć na ścieżkę cichych bohaterów, to jesteś w odpowiednim towarzystwie. Ucz się, słuchaj i działaj, nie jak marionetka, ale jak samodzielna jednostka. Charakter masz mojej siostry, to była cwana zaraza, a i głowę masz na karku nie po to, aby się deszcz do środka nie lał. Dasz sobie radę. Obydwaj wiemy, że w środku jesteś twardym facetem – uśmiechnął się. – Decyzja należy do ciebie. Każda będzie dobra, musisz robić tak, jak dyktuje ci serce. Chodźmy do środka. – Generał zaczął kuśtykać do salonu.

– Wuju. – Sebastian zatrzymał go na chwilę.

– Słucham?

– Dziękuję.

– Chodź, zjemy jeszcze jakiej szynki z ćwikłą, żebyś miał co wspominać z rodzinnego domu – rzucił generał i ruszył dalej. Sebastian nie widział, jak generał Łazuta się uśmiechał.

Rozdział 6

– Dlaczego jesteś taki wściekły? – zapytała Agathe z wyrzutem.

– Nie jestem wściekły – odbąknął Egner.

– Dietmarze, to tylko zwykłe spotkanie. Popatrz na to z innej strony, a zobaczysz, że zacieśnienie relacji pomoże w twojej karierze. Ile razy mam ci tłumaczyć, że robię to tylko dla ciebie?

Popatrzył na nią spokojnie.

– Dobrze, jak chcesz, możemy zawrócić i powiedzieć, że źle się poczułam.

– Nie. Masz rację, muszę zrealizować swój plan. Rzesza potrzebuje takich liderów jak ja – uśmiech zagościł na jego nadąsanej twarzy. – Co do Radkego, po prostu nie znoszę, jak na ciebie patrzy.

– Wielu mężczyzn na mnie tak patrzy. Czy to ma znaczyć, że nie powinnam wychodzić z domu?

Egner prychnął.

– Przecież wiesz, że nie. Nie rozmawiajmy już o tym. Masz go nie kokietować i nie będę więcej tego powtarzał.

Agathe pocałowała go w policzek.

– Liczysz się tylko ty, najdroższy. Wszystko będzie dobrze, twój awans jest nieunikniony.

– Uwierz mi, nie zależy to od tego, jak dzisiaj będziemy się bawić, tylko od tego, jak wypełnię powierzone mi niedawno zadanie.

– Może mogłabym jakoś pomóc? – zapytała, udając naiwność.

– Nie bądź głupia, to ściśle tajne, co więcej, zaplanowane przez samego Führera.

Zdziwiła się, Egner powiedział za dużo. Ukradkiem spojrzała, czy młody szeregowy siedzący za kierownicą nie słucha ich rozmowy. Był skupiony na drodze i prowadzeniu auta. Uśmiechnęła się promiennie, doskonale udając, że to zdanie w ogóle do niej nie dotarło.

– Może po spotkaniu pojedziemy do mnie? Mam butelkę dobrego wina, które dostałam od jednego z klientów banku.

Audi wjechało w ulicę pełną ekskluzywnych domów. Spośród wielkich drzew i równo przyciętych żywopłotów wyłaniały się okazałe wille należące do majątnych ludzi. Dojechali na miejsce. Posiadłość przykuwała wzrok. Kilku wojskowych w mundurach SS, którzy patrolowali teren dookoła domu, także zwracało na siebie uwagę.

Czarna brama z kutej stali osadzona w wysokim murze, zza którego wystawały imponujące drzewa, była zamknięta. Strażnik wyszedł natychmiast, aby wylegitymować przybyłych gości. Zerknął do środka, a gdy tylko ujrzał Sturmbannführera, strzelił obcasami.

– *Heil Hitler, Herr Sturmbannführer*, Gruppenführer państwa oczekuje – przeniósł wzrok na kobietę.

CzuJNI Egner wychwycił spojrzenie i skinął głową.

– Otwieraj – syknął.

Gdy auto wjechało na szutrową drogę wijącą się do samej willi, Agathe poczuła niespodziewany lęk. Dotarło do niej, że właśnie wjechała na teren posiadłości w towarzystwie bezwzględniego esesmana po to, aby zdobyć informacje o domu, który miał zostać obrabowany. Willa należała do jednego z najbliższych współpracowników SS – Reichsführera Heinricha Himmlera. Wystarczy, że zostanie przyłapana na szpiegowaniu lub że jakkolwiek cień podejrzenia padnie na jej osobę, wtedy jej życie się skończy. Nie tego bała się najbardziej, lecz straszliwych tortur, z którymi przyjdzie się jej wtedy zmierzyć.

Natrętne myśli spowodowały, że zaschło jej w gardle. Kolejny z wartowników otworzył drzwi limuzyny. Wsiadła i weszli do środka. W holu czekał gospodarz. Na jej widok uśmiechnął się przyjaźnie. Agathe odwzajemniła się wymuszonym uśmiechem. Strach podsycalo maleńkie urządzenie, aparat ukryty w przegrodzie torebki, o którym starała się nie myśleć. Egner, jak zwykle z przesadnym przekonaniem i zaangażowaniem, przywitał swojego zwierzchnika.

– *Heil Hitler!* – Dźwięk odbił się od wypolerowanego dębowego parkietu holu i zniknął szybko w ornamentach sufitu.

Radke uniósł dłoń w geście powitania.

– *Sieg Heil!* – rzucił od niechcienia i po raz kolejny zerknął na Agathe. – Witam panią. Jak zwykle wygląda pani olśniewająco.

– Dzień dobry, *Herr Radke*. Dziękuję. – Obróciła głowę, rozglądając się po pomieszczeniu. – Cóż za wspaniała rezydencja. Oprowadzi nas pan? Jakże chciałabym mieszkać w takim domu. Jest cudowny.

Gruppenführer się uśmiechał. Egner, widząc plany Radkego wypisane na jego twarzy, znowu kipiał w środku. Nie wiedział, że Radke bał się inteligentnych kobiet, nie znosił krytyki, ba, nie potrafił sobie z nią radzić. Gospodarz gestem ręki wskazał kierunek

zwiedzania.

– W takim razie proszę za mną.

Ruszyli przed siebie. Przechodząc przez westybul, minęli imponujące schody po prawej stronie, a potem skręcili i przeszli skrótem przez drzwi dla służby, wchodząc do dużej kuchni, która była połączona z jadalnią, gdzie stał stół na co najmniej dwanaście osób. Duże okna przepuszczały ogromną ilość światła. Pokój jadalny połączono z potężnym salonem z fortepianem, stolikiem kawowym i wygodnymi meblami. Ściany dekorowały obrazy i dwie gdańskie biblioteki, wypełnione książkami.

Pomieszczenia robiły ogromne wrażenie. Wisienką na torcie była oranżeria. W środku ustawiono wygodne ratanowe meble i, jak przystało na tego typu pomieszczenie, na posadzce stały dwie gliniane donice z cytrusami. Cała konstrukcja zajmowała powierzchnię około dwudziestu metrów kwadratowych, kończąc się dwuskrzydłowymi drzwiami otwieranymi na taras.

Ogród widoczny przez przeszklenie oranżerii był perfekcyjnie utrzymany. Cała część wypoczynkowa była wysmakowanym luksusem na najwyższym poziomie. Agathe, przechadzając się po pomieszczeniach, cały czas zachwycała się aranżacją wewnątrz. Przynajmniej tak to wyglądało. Zastanawiała się, gdzie jest pokój, o który jej chodzi. Liczyła na to, że zobaczą gabinet i szybko będzie miała okazję wyrwać się z towarzystwa, żeby przyjrzeć się sejfowi bądź kasie pancerniej, o której niedawno wspomniał tymczasowy właściciel domu. Zatrzymali się na chwilę przy fortepianie.

– Życzy sobie pani obejrzeć wszystko? – zapytał Radke.

– Ależ oczywiście. *Herr Radke*, to miejsce jest cudowne.

– Egner, co pan na to?

– Tak, chętnie. W rzeczy samej, ta willa jest imponująca.

– A więc proszę. Państwo przodem. – Otwartą dłonią zaprosił ich do dalszego zwiedzania.

Ruszyli przez ogromne drzwi, prowadzące z powrotem w kierunku holu, później po schodach na górę. Każda sypialnia wyglądała niczym rodem z hotelu najwyższej klasy. Główna zaś była na tyle nowoczesna, że wyposażono ją w *en suite*, co bardzo spodobało się Agathe. Na sam koniec wycieczki Radke pokazał piękny pokój łazienkowy, a później otworzył drzwi na końcu korytarza. Weszli do gabinetu.

– To jedno z moich ulubionych pomieszczeń. Wybaczcie bałagan. Jak widzicie, dopiero kończą montować sejf.

Dwóch jednakowo ubranych pracowników spojrzęło na gości.

– Dzień dobry – powiedzieli grzecznie.

Właściciel i Egner skinęli głowami.

– Dzień dobry panom – Agathe odparła z uśmiechem, rozglądając się po pokoju.

Gabinet był tak samo piękny jak salon. Cały w dębowej boazerii barwionej na ciemny mahoniowy kolor. Skórzane meble wypoczynkowe stały naprzeciw masywnego biurka, na którym leżały wyszukane przybory biurowe. W środku pachniało cygarem. Imponująca szafa sejfowa osadzona była tak, jakby wychodziła z ogromnego kredensu. Na czarnych drzwiach stalowej bryły widniała złota klamka, dziurka na klucz, a w centralnej pozycji umieszczone było pokrętło zamka szyfrowego, także ze złotymi zdobieniami i widoczną podziałką. Koronę sejfowa wieńczył złoty napis „Theodor Wiese & Co, Wien”.

Pracownicy zabrali się do ustawiania sejfowa. Agathe rozejrzała się dokładnie. Nie będzie okazji, żeby zrobić dzisiaj jakiegokolwiek zdjęcia, po raz kolejny będzie musiała rysować z głowy. Zanim zeszli na dół do salonu, zlustrowała wszystko dokładnie i zapamiętała układ pomieszczeń na górze. Poczęstunek i trunki były już gotowe. Agathe i Dietmar usiedli na wygodnej kanapie, a Radke usadowił się w fotelu, po czym uzupełnił kieliszki koniakiem.

– Już prawie się zadomowiłem. Muszę przyznać, że dom wpływa na mnie bardzo dobrze.

– Ach, wyobrażam sobie, jest taki przytulny. Czy na dobre pan się przeprowadza z Berlina?

– Chciałbym... Agathe – zatrzymał się na chwilę. – Mogę się do pani tak zwracać? – zapytał, nie patrząc na Egnera.

– Ależ oczywiście – odparła z uśmiechem.

– Mimo że wychowałem się w Berlinie, to zdecydowanie wolę mniejsze miasta. W każdym razie pozostanę w Breslau, jak długo będzie to konieczne.

– Ostatnio rozmawialiśmy z Dietmarem, jak dobrze się tu mieszka.

– To prawda, poza tym Breslau ma swój niepowtarzalny urok – wtrącił Egner.

– O tak, szczególnie jak ty o nim opowiadasz. Dietmar jest niesamowitym przewodnikiem! – Przytuliła się do niego, a w Egnerze zabrzmiały triumfalne trąby.

Gospodarz, patrząc na zaproszoną parę, nie zdradził żadnych emocji.

– Nie wiedziałem, że interesuje się pan architekturą, Egner.

– Tylko kiedy mam czas, *Herr Radke* – odparł służbowo, ale pewnie.

– To bardzo dobrze, nasz Führer też za nią przepada. Ze Speerem spędzają nad makietami niezliczone godziny.

– Ach, słyszałam, że nasz Führer to isticie artystyczna dusza i prawdziwy talent. To musi być niesamowity człowiek – powiedziała to tak, że prawie sama uwierzyła w swoje słowa.

– W rzeczy samej, kochanie – odpowiedział Egner i upił trochę koniaku.

– Przyznam się pani w tajemnicy – Radke obniżył ton, jakby rzeczywiście to, co miał zaraz powiedzieć, było wiedzą tajemną, odstawił delikatnie koniak na stół i pochylił się do Agathe – otóż widziałem makietę nowego Breslau.

– Doprawdy? Proszę coś powiedzieć. Jestem taka ciekawa!

Radke uśmiechnął się chytrze i spojrzał jej w oczy. Egner, zdziwiony, nie zareagował na jej natarczywe zachowanie, chyba tylko dlatego, że po prostu sam był ciekawy. Agathe dobrze zakamuflowała swoją wiedzę. Jeden z młodych kierowników banku, który od zawsze się w niej podkochał, zdradził jej te katastrofalne plany. Jego rodzina, jeszcze kilkanaście lat temu nic nieznaczący drobnomieszczanie, mieli teraz wysoko postawionych członków partii, co przyspieszyło karierę młodego nowobogackiego. W tych czasach takie stanowiska dostawali tylko i wyłącznie ludzie aparatu narodowosocjalistycznego.

Dobrze o tym wiedziała i dlatego musiała sprawdzić wartość kierownika. Do niczego nie doszło, ale dwa wyjścia do kawiarni na rynku wystarczyły, aby jej wyznał, że Hitler wraz ze Speerem zamierza dosłownie wycisnąć ze specjalnej ustawy przegłosowanej w trzydziestym siódmym roku wszystkie soki. Nie bacząc na spuściznę historyczną Europy, mieli zamiar przebudować wszystkie centra większych miast Trzeciej Rzeszy. Znając ego tych prostaków, zaraz usłyszę o istnych aryjskich kolosach, pomyślała.

– Szanowna pani, proszę sobie wyobrazić, że Breslau będzie jeszcze bardziej wyjątkowe.

– To niemożliwe – zdziwiła się.

– Owszem, możliwe. Gdy nasz Führer bierze się za coś, to zawsze rezultat przewyższa najśmielsze oczekiwania. Proszę sobie wyobrazić, że całe centrum skupia się wokół placu defilad, otoczonego przez w pełni reprezentacyjne budynki administracyjne, w tym ten najważniejszy z władzami okręgu, przy którym stoi osiemdziesięciometrowa dzwonnica wprawiająca w osłupienie wszystkich odwiedzających.

Z zachwytu przyłożyła dłoń do ust.

– Już sobie wyobrażam te defilady, pochody sportowców, orkiestry. – Zatrzymała się na chwilę i spojrzała na fortepian. – *Herr Radke*, jest taka podniosła atmosfera, proszę coś zagrać.

Gruppenführer uśmiechnął się lekko i przyjrzał jej oczom.

– Co pani sobie życzy?

– Proszę o coś miłego i optymistycznego.

– Dobrze, zobaczymy, czy pani odgadnie.

– Wspaniale, będziemy zgadywać – odparła jak podniecona nastolatka.

Radke usiadł przy instrumencie i odsłonił klawiaturę. Skupiał się przez chwilę, patrząc

gdzieś w dal. Nie wiadomo kiedy dźwięki zaczęły płynąć leniwie, rzeczywiście delikatnie i spokojnie.

Agathe zaśmiała się. W głębi duszy już po dwóch sekundach odgadła utwór, który znała bardzo dobrze.

– To *Sonata Księżycowa* – powiedziała triumfalnie.

Radke skinął głową i grał jeszcze przez chwilę.

– Teraz coś innego. Proszę słuchać uważnie. – Przyłożył palce do klawiatury, zamarł na moment, po czym zaczął równie delikatnie jak poprzednio.

Pierwszych kilka akordów jakby usypiało, żeby po chwili rozbudzić dźwiękiem donośnym i wyniosłym. Agathe po raz kolejny wiedziała, co to za utwór. Nie chciała kończyć zabawy. Tym razem z rezygnacją zerknęła na Egnera. Jego twarz zdradzała pewność siebie, wiedział, że to Wagner.

– Kochanie, pomóż, nie wiem. – Uśmiechnęła się bezradnie.

Radke zerknął na Egnera.

– To Wagner, *Fantasia de Piano F*.

Radke skinął głową i po chwili przestał grać.

– No dobrze, ja wywiązałem się z obietnicy i z niecierpliwością oczekuję na panią.

– Och, nie wiem, ja nie mam głosu, nie chcę się skompromitować. Pan ma niesamowity talent i gra bardzo pięknie, natomiast ja...

– Agathe, chyba nie zamierza się pani wycofać? – przerwał jej.

– *Herr Gruppenführer*, głos Agathe to istna kopia głosu Marleny Dietrich. Zna większość jej utworów – wtrącił Egner i zerknął na zwierzchnika.

Ten wydawał się lekko zaskoczony.

– To wielce awangardowa postać. Na tyle, że odmówiła Führerowi w zagranii głównej roli w jednym z pięknych filmów. No, ale jestem w stanie przyznać słuszność, że to artystka wielkiego formatu. Tak się składa, że nawet ja znam kilka akordów – Radke uśmiechnął się z przymusem. – Zabawmy się tak. Ja zacznę, a pani dołączy. Będę nalegał, więc proszę się nie opierać – dodał z entuzjazmem.

– Kochanie, zaśpiewaj – rzucił łagodnie Egner, tak jakby był gotów obiecać wszystko, tylko żeby móc się pochwalić swoją kochanką.

– Och. Dobrze. – Wzięła kieliszek i upiła trochę. Podeszła do instrumentu i stanęła naprzeciw Radkego. – Pan wybiera, *Herr Radke*.

Gruppenführer uśmiechnął się lekko. Po raz kolejny przyłożył ręce do klawiatury. Gdy rozległ się pierwszy akord, Agathe zaśmiała się, pokazując rząd białych zębów. Radke grał *Mein blondes baby*. Po chwili dźwięk fortepianu zmieszał się z czystym głosem

Agathe. Radke nie spuszczał z niej oka.

Głos miała barwny i mocny. Obróciła się do Egnera i podczas przestanku puściła mu całusa, zdmuchując go z dłoni. Egner odwzajemnił się triumfalnym uśmiechem. Gospodarz tymczasem nie zdradzał żadnych emocji. Estradowy talent Agathe rzeczywiście zaskakiwał. Cały wieczór minął przy muzyce i alkoholu.

Agathe promowała swojego Niemca. Gruppenführer cały czas trzymał fason i traktował Egnera jak podwładnego. Agathe wyczuła, że coś ukrywa albo doskonale maskuje swoje prawdziwe ja. Nie chciałyby nigdy zobaczyć bezwzględności tego człowieka. Jediną rzeczą, jaka przychodziła jej na myśl, gdy przypominała sobie jego twarz, był strach.

Radke pożegnał swoich gości i życzył im miłego wieczoru. Egner był zadziwiająco zadowolony z przebiegu spotkania. Gdy odjeżdżali, dochodziła ósma wieczorem.

Radke odprowadził samochód wzrokiem i zamknął za sobą drzwi wejściowe.

– Meyer, do mnie! – krzyknął.

SS-Sturmscharführer zjawił się nie wiadomo skąd. Jakby czekał za drzwiami, przeczuwając wezwanie.

– Na rozkaz, *Herr Radke*.

– Potrzebuję towarzystwa. Przywieź mi jakąś młódkę. Tylko z porządnego burdelu, a nie z jakiejś zapchlonej nory.

– Tak jest, *Herr Gruppenführer*. – Odpowiadając na rozkaz, obrócił się na pięcie.

Meyer był wiernie oddanym adiutantem Gruppenführera i wszelkie rozkazy wykonywał bez zastanowienia. Co więcej, większość z nich sprawiała mu przyjemność. Skłonności do sadyzmu i brak choćby cienia empatii były cechami wspólnymi obu esesmanów.

– Meyer! – Zwierzchnik zatrzymał go w drodze do drzwi wejściowych. – Tylko załóż cywilne łańchy – dodał.

– Tak jest! – Adiutant o szczurzej twarzy strzelił obcasami i zniknął za drzwiami.

Radke wszedł na piętro, po czym skierował się do gabinetu. Gdy wszedł, sejf stał już zamontowany, jego drzwi były otwarte, a na stole leżała zalakowana koperta z objaśnieniami. Podeszedł do małej komody, na której stał gramofon, z szafki pod spodem wyciągnął płytę. Nastawił pierwszą symfonię Brahmsa, po chwili trzasków zabrzmiała donośna muzyka.

Z kredensu wyciągnął pudełko ze stali nierdzewnej, dość okazałych rozmiarów. W środku były dwie strzykawki ze stalowym tłokiem, kilka fiolek z morfiną oraz jasnożółta gumka o okrągłym przekroju. Gdy zobaczył fiołki, jego serce przyspieszyło. Usiadł na skórzanej sofie i przez chwilę popatrzył na wizerunek Hitlera, który wisiał nad

biurkiem. Zabrał się za ściąganie oficerek. Był otyły i słaby. Po chwili zmagania nosił się z zamiarem przywołania jakiegoś szeregowca do pomocy. Porzucił ten zamysł, nie chciał, żeby ktoś inny, oprócz adiutanta, wiedział o jego nałogu. W końcu but ustąpił, po chwili drugi.

Dyszał i poczerwieniał, nie wiadomo czy z wysiłku, czy bardziej ze złości. Odślonił gołą stopę. Złamał czubek fiolki, po czym odmierzył dawkę przezroczystego płynu. Lubił używać żyły na stopie, opiat wstrzyknięty nisko w krwiobiegu uderzał w główny ośrodek nerwowy z delikatnym opóźnieniem, poza tym nie chciał, aby wkłucia były w widocznym miejscu. Uwielbiał wyczekiwanie na to, kiedy przyjdzie początkowe odrętwienie i strach, który tak lubił. Świadomość tego stanu, a tak naprawdę czekanie na niego, sprawiała, że Radke, obserwowany z boku, zdradzał objawy rozdziwienia osobowości, może bardziej choroby dwubiegunowej, od skrajnej depresji począwszy, na euforii skończywszy.

Usiadł i odnalazł żyłę, o którą mu chodziło. Wbił igłę pomiędzy paluch a drugi palec i wstrzyknął zawartość. Czekał. Morfina po niespełna trzech minutach uderzyła niczym lokomotywa rozbijająca zaspę śniegu, która utworzyła się na torach. Opiaty trafiły do mózgu. Zawsze po chwili dostawał kataru, a źrenice robiły się małe, jak główki szpilek.

Odłożył sprzęt na miejsce. Później chwiejnym krokiem podszedł do aparatu telefonicznego, który stał na biurku. Pociągnął nosem. Podniósł słuchawkę. W domku dla służby rozbrzmiał dzwonek. Telefon odebrał młody SS-Oberschütze Andreas Seiler z Düsseldorfu. Dopiero co przyjechał po szkoleniu, ze świeżo wypranym mózgiem i wiarą, że jego blond włosy i niebieskie oczy stawiają go najwyżej w teorii ewolucji.

– Halo, tu dyżurka... – młody esesman nie zdążył wypowiedzieć stopnia i nazwiska.

– Jaka, kurwa, dyżurka, to ja rozmawiam z dyżurką czy z jakimś imbecylem?

Seiler rozpoznał głos Gruppenführera, automatycznie wstał i mimo że nikt go nie widzi, strzelił obcasami.

– Pan wybaczy, *Herr* Gruppenführer, SS-Oberschütze Andreas Seiler. Jak mogę służyć?

– Wiernie, niczym pies pasterski. Za trzy minuty chcę widzieć u siebie w sypialni szampana i kufel zimnego piwa! – Głos nagle się urwał.

Młody szeregowy, blady jak ściana, wyskoczył z dyżurki i popędził do spiżarki. Nie minęły chyba pełne trzy minuty, gdy wspinał się po schodach z butelką w naczyniu chłodzącym, kieliszkami i kuflem piwa. Zapukał do sypialni głównej.

– Wejść! – usłyszał.

Aż się wzdrygnął, gdy zauważył bladego i spoconego generała bez butów, siedzącego przy gramofonie w rozpiętym mundurze, poruszającego miarowo głową w rytm muzyki, której młody esesman nie znał. Dowódca bez słowa wskazał ręką stolik. Taca z trunkami wylądowała na miejscu. Żołnierz wrócił pod drzwi i trzasnął obcasami. Na jego twarzy

malowało się zdenerwowanie.

– Życzy sobie pan coś jeszcze, *Herr Gruppenführer*?

Radke wstał i podszedł do żołnierza tak blisko, że prawie dotykał nosem jego policzka. Był niższy od dobrze zbudowanego szeregowca. Młody esesman oddychał szybko i już z wyraźnym przerażeniem, ale regulaminowo patrzył prosto przed siebie.

– Seiler, dobrze pamiętam?

Żołnierz skinął potakująco głową.

– Powiedz mi, Seiler, jesteś psem rasowym?

Oczy szeregowca powędrowały na pytającego *Gruppenführera*. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Nie słyszałeś pytania?

– Tak jest, *Herr Gruppenführer*.

– Pełnym zdaniem!

– Jestem psem rasowym, *Herr Gruppenführer*!

– No. – Radke obszedł go dookoła. Jego przydługa grzywka przylepiła się do spoconego czoła. – To zobaczymy, jaka to rasa.

Młody żołnierz drżał.

Radke podszedł do kufla z piwem i upił łyk.

– Rozbieraj się – rzucił półgłosem.

Młody *Oberschütze* myślał, że się przesłyszał. Nie reagował.

– Co jest, kurwa! Czy ty naprawdę masz problemy ze słuchem?

– Ale, *Herr Gruppenführer*...

Radke podszedł do pasa z bronią leżącego na łóżku i wyciągnął lugera. Wymierzył prosto w żołnierza.

– W takim układzie na co mi taki nieposłuszny rasowiec?

Palec ściągał język spustowy. Młodemu żołnierzowi szklily się oczy. Patrząc w lufę pistoletu, zaczął rozpinać mundur. Po chwili stał już w samych szortach. Radke przyglądał mu się z zazdrością.

– Widzę, że stary poczciwy Hausser prowadzi szkoły jak trzeba. Same wyżły weimarskie, owczarki niemieckie, rottweilery i dobermany wypuszcza. Chłuba Rzeszy, młodość i tężyzna. – Opuścił broń. – Ty, Seiler, jesteś za głupi na owczarka, ale prezentujesz się jak doberman. – Podszedł do żołnierza i zbliżył się do jego ucha. – Widzisz, Seiler, dobermany to bardzo użyteczne psy. Często dużo bardziej niż owczarki. A ty jesteś użyteczny, Seiler?

– Tak, *Herr Gruppenführer*!

– To dobrze, będą jeszcze z ciebie ludzie. – Poklepał go po ramieniu. – No, ubieraj się i zmykaj – powiedział niczym troskliwy ojciec, po czym podszedł do komody z gramofonem, wziął paczkę z papierosami i przypalił jednego.

Żołnierz ubrał się tak szybko, jak tylko potrafił.

– Miłego wieczoru, *Herr Gruppenführer* – rzucił.

Radke machnął ręką, nie wykazując żadnego zainteresowania. Młody esesman zniknął. Radke teraz patrzył w jeden punkt i słuchał muzyki. Nie wiedział, ile minęło czasu, ciągle lawirował gdzieś pomiędzy świadomością a nierzeczywistym bytem. Rozległo się pukanie. Nie rozpoznał tego dźwięku, ale wyraźnie coś zakłóciło jego spokój. Z błędnym wzrokiem zerknął na drzwi.

– Wejść! – wtargnęło pomiędzy płynne dźwięki dochodzące z odtwarzanej płyty.

W drzwiach pojawił się Meyer.

– *Herr Radke*...

– Gdzie nasza dama? – nie pozwolił mu skończyć.

Sturmscharführer obrócił się i wyjrzał na korytarz. Machnął ręką, przywołując kobietę. Gdy weszła, Meyer zatrzasnął za nią drzwi. Czekał chwilę na zewnątrz; znał humory swojego dowódcy i wiedział, że lepiej być blisko. Młoda dziewczyna o delikatnych rysach, bujnych, ciemnych i falujących włosach weszła do środka, pewna siebie. Miała nie więcej niż dwadzieścia lat.

Pod mocnym makijażem wprawny obserwator od razu zauważyłby przerażoną kobietę, która niczym początkująca aktorka stara się ukryć strach, wychodząc przed nieznaną publiczność. Jej duże orzechowe oczy szybko omiotły pomieszczenie. Wyuczony schemat zachowania podpowiadał, aby przejąć inicjatywę i poprowadzić wieczór po swojemu. Przecież to jeden z generałów, który potrzebuje kilku ruchów frykcyjnych, żeby zaspokoić swoje ego. Nic więcej, pomyślała.

– Dobry wieczór, *Herr Gruppenführer*. – Na wysokich obcasach poruszała się nie tak wprawnie jak modelka po wybiegu, szpilki grzęzły w marokańskim wełnianym dywanie i co jakiś czas jej nogi wykrzywiały się niezgrabnie. Radke w ogóle nie skupiał na tym uwagi.

– Witam szanowną panią. Jak masz na imię? – powiedział, jakby odgrywał rolę w teatrze.

Ton wydał się jej bardzo znajomy, udawała już pokojówki, kochanki i sąsiadki. Rozpoznała wstęp do znanej gry.

– Greta, kochany. – Uspokoila się trochę.

– Cudownie, jak hollywoodzka gwiazda. Napije się pani szampana?

– Z wielką przyjemnością, proszę pana.

Otworzył butelkę i napełnił dwa kryształowe kieliszki. Młoda prostytutka upiła łyk i zatrzepotała rzęsami, uśmiechając się przy tym zalotnie. Na kieliszku pozostał ślad po szmince. Radke ją obserwował i uśmiechał się szyderczo. Miała wrażenie, że mimo iż wszystko robi jak zwykle, to coś jednak dzieje się nie po jej myśli. Dzisiejszy kochanek był nieobecny i nieczuły na zalotne zachowanie. Przyglądał się jej bacznie, jakby coś oceniał. Wtedy podszedł do niej i odebrał jej kieliszek.

Wiedziała, że należy zagrać najlepszą kartą, bez zastanowienia zrzuciła z siebie wierzchnie odzienie, pozostając z odsłoniętym dekoltem pokazującym krągłe piersi. Może zabierze się zaraz do sprawy, upora się szybko z grubym esesmanem, później weźmie pieniądze i wróci do domu. Tymczasem Radke zbliżył się tak, że czuła jego oddech. Obszedł ją bez słowa. Muzyka ciągle wypełniała pomieszczenie, to była już trzecia płyta tego wieczoru. Powąchał jej włosy i dotknął ich delikatnie. Były kruczoczarne i błyszczące. Poczuela, że sprawy wracają z powrotem na właściwe tory. Czekala, aż zabierze się do roboty.

– Śmierdzisz jak Żydówka – szepnął jej do ucha.

Otworzyła szerzej oczy ze zdziwienia i obróciła się w jego stronę, robiąc krok do tyłu. Słowa spadły na nią niczym grom z jasnego nieba.

– Słucham? – powiedziała, jakby nie dowierzając temu, co przed sekundą usłyszała. Zupełnie się tego nie spodziewała. W ułamku sekundy otwarta dłoń spadła na jej twarz. Na początku nie poczuła piekącego bólu. Dopiero gdy od siły uderzenia wylądowała na miękkim dywanie, twarz zaczęła pulsować. Złapała się za policzek. Łzy od razu napłynęły jej do oczu.

– Nie lubię się powtarzać – powiedział łagodnie oprawca, jakby to, co przed chwilą się stało, było dla niego strzepnięciem popiołu z papierosa.

– Nie jestem żadną Żydówką – krzyknęła z głębokim przerażeniem.

Ruszył w jej kierunku. Zaczęła się cofać na czworakach. Gdy plecy dotknęły łóżka, łzy spłynęły po policzkach. Podszedł i nachylił się nad nią. Słyszał jej szybki oddech. Dyszała cicho, nabierając powietrza ustami, po czym wypuszczała je nosem. Bała się spojrzeć mu w oczy.

– Proszę pozwolić mi odejść – powiedziała cicho, patrząc w fikuśny wzór utkany na miękkim dywanie.

Radke podniósł się na chwilę. Sięgnął po broń, która leżała na łóżku. Gdy dziewczyna ujrzała pistolet, zdrętwiała.

– Spójrz na mnie i powiedz, że nie jesteś Żydówką.

Niechętnie spojrzała mu w oczy. Na policzkach miała już czarne ślady pozostawione przez spływające łzy wymieszane z tuszem.

– Nie jestem Żydówką, przysięgam. Proszę! – Zaczęła się zanosić niczym dziecko starające się przekonać rodzica, że naprawdę nie chciało napsocić.

Radke oparł lufę o jej policzek i przejechał po ciemnym torze łyzy, która niedawno spłynęła po delikatnym policzku. Poczwała woń naoliwionego narzędzia.

– Wierzę ci, kochanie – szepnął głosem doświadczonego terapeuty.

Szlochała. Przytulił ją.

– Ja, ja naprawdę nie jestem Żydówką – szeptała.

– Wiem, wiem. No już, uspokój się, wszystko będzie dobrze.

Odłożył broń na puch z marokańskiej wełny, po czym złapał za jej bujne włosy i wyprostował się w kolanach, podnosząc ją z dywanu niczym szmacianą lalkę. Krzyknęła najgłośniejszym, jak potrafiła. Pchnął ją na łóżko. Nie wiedziała, co się dzieje, cały świat wirował. Starła się uciekać. Nachylił się i chwycił ją w pasie. Chwyty był tak mocny, że zerwał z niej krótką spódnicę. Myślała, że się oswobodziła. Napał jeszcze raz i chwycił za pas od pończoch, który mocno się trzymał. Zaczęła się rozpaczliwie bronić. Wiergała nogami i krzyczała. Po raz kolejny, nie wiadomo skąd, na twarz spadła druga fala bólu, a cios zakłócił akordy spokojnej muzyki.

Poczwała metaliczny smak w ustach. Oprawca zdierał z niej kolejne sztuki garderoby. Gdy Radke zobaczył pełne młode piersi, w jego oczach zapłonął ogień. Rzucił się na nią. Uderzyła go w twarz. Odwzajemnił się z podwójną siłą. Czwała, jak opada z sił. Gdy złapał ją za szyję i przycisnął do narzuty, zaszlochała cicho, już nie z bólu, lecz z rezygnacji. Obrócił ją na brzuch, rozpiął spodnie i wyciągnął nabrzmiałego penisa.

Zacisnęła pośladki z całej siły. Po chwili pocwała, jak natarczywie próbuje dostać się do środka. Bez skutku. Jeszcze raz chwycił ją za szyję i znowu przycisnął mocno. Po raz kolejny walczyła o powietrze, o każdy haust z osobna. Wtedy w nią wszedł. Krzyknęła z całej siły, zaskoczona, otworzyła szerzej oczy, prawie nie było jej słychać. Minęło kilka sekund, może minut, nie wiedziała ile. Poruszał się natarczywie i mocno. Po chwili bólu pocwała, jak spocony oprawca zsunął się z niej leniwie. Już nie szlochała. Patrzyła błędnie na nocny stolik, na którym stała butelka szampana i kieliszek, brudny od jej szminki.

Radke wstał, podniósł jej podartą koszulkę i się w nią wytarł. Włożył szelki i strzelił nimi, jakby ciesząc się dobrze wykonanym zadaniem.

– Napij się szampana, kochanie? – zapytał tak, jakby się nic nie stało.

Uzupelił kieliszki, a później zapalił papierosa. Nie wiedziała, co się dzieje. Skuliła się w pozycji embrionalnej, a łyzy płynęły dalej. Radke upił łyk, chwycił pas, zabrał lugera i wyszedł z sypialni. Nieopodal klatki schodowej stał Meyer. Spojrzał na dowódcę, który chwiejnym krokiem z rozpiętą koszulą zmierzał w jego kierunku. Mijając go, spojrzwał mu w oczy. Esesman uśmiechnął się szyderczo.

– Jest twoja, później ją ogarnij, zapłać dobrze i odeślij do domu – powiedział bez

emocji.

- Z przyjemnością, *Herr Gruppenführer*. – Meyer ruszył bez wahania.
- Aha, przekaż jej dosadnie, żeby trzymała język za zębami.
- Tak jest, *Herr Gruppenführer*! – Pomyślał, że obejdzie się z nią tak, że nie piśnie ani jednego słowa.

Rozdział 7

Pociągiem dalekobieżnym Feliks dojechał do niedawno wyznaczonej granicy zachodniej, która w tym miejscu przebiegała nieopodal jeziora Błędno, aż do stacji granicznej Zbąszyń–

–Zbąszynek. Przez przejście kolejowe przejeżdżały cztery pary pociągów dalekobieżnych i dwie pary lokalnych. Pociąg 1305 relacji Warszawa–Berlin zatrzymał się na stacji w Zbąszyniu. Zygartowicz ospale obrzucił wzrokiem nudny, ale nowoczesny peron.

Wsiadł w Koninie, w przedziale przywitał się czystym niemieckim. Niemka i Polak siedzący naprzeciw siebie otaksowali go wzrokiem. Powiesił wełnianą marynarkę na haczyku. Kobieta od razu zauważyła, że jest zamożny. Błękitna koszula, wełniana kamizelka oraz pasek i buty z delikatnej jasnobrązowej skóry wyglądały niczym zdjęte z wystawy drogiego domu handlowego. Przyglądała mu się wyczekująco.

Feliks oparł głowę o marynarkę i zagłębił się w myślach na temat przyszłego spotkania. Kobieta wyduła wargi, starając się ukryć rozczarowanie. Skład ponad dwie godziny temu opuścił Konin, a od dobrych trzech kwadransów jego współpasażerowie prowadzili ostrą dyskusję na temat agresywnej polityki w Europie. Major nie miał zamiaru w tym uczestniczyć. Leniwie obserwował świat spod przymkniętych powiek. Ciężko się zdrzemnąć w pociągu, pomyślał, szukając idealnego miejsca na głowę. Po chwili w przedziale pojawił się żołnierz formacji Grenzschutz-Abschnitts-Kommando, prosząc o pokazanie dokumentów. Feliks przedstawił stosowne papiery na fałszywe nazwisko. Po chwili znowu pogrzyżył się w myślach. Pociąg wjechał do Rzeszy.

Umówione spotkanie miało się odbyć dopiero jutro po południu. Po zameldowaniu się i pozostawieniu rzeczy osobistych w pokoju hotelowym podjął decyzję, że odwiedzi jedną z ulubionych restauracyjek w centrum Berlina. Pomyślał o spacerze i kolacji w ulubionym miejscu. Było późne popołudnie, na ulicach niemieckiej metropolii zrobiło się tłoczno, ludzie wracali z pracy. Zygartowicz spacerował znajomymi ulicami, nie spiesząc się zbytnio. Uważał, że Berlin to miasto kwiatów. Rozkrzyczani sprzedawcy byli wszędzie, zachęcając do kupna kilku ciętych tulipanów, które ponoć nadawały się na każdą okazję.

Uważał Berlin za jedną z najważniejszych metropolii Europy. Dwugodzinny spacer minął nie wiadomo kiedy. Majowe miasto był piękne, zapach kwitnących drzew i krzewów aż kręcił w nosie. Gdy zauważył znajomy szyld, uśmiechnął się. Jedzenie to

jedna z największych przyjemności w życiu.

Pomyślał o Tuchowiaku, który jeszcze niedawno chwalił się, że na Wielkanoc zżarł trzy szynki i kurnik jajek na twardo. Uśmiechnął się pod nosem, wszedł do środka i znalazł kameralny stolik przy dużym oknie wychodzącym na park. W środku panował przyjemny półmrok, a na stolikach paliły się małe lampiony. Usiadł wygodnie i zanim się rozejrzał, młoda i atrakcyjna kelnerka pojawiła się z menu.

– Dobry wieczór panu. – Otworzyła kartę i zachęcająco podała gościowi.

– Dobry wieczór. Jak ma pani na imię? – zapytał.

Dziewczyna, słysząc pytanie przystojnego mężczyzny, zawstydzila się wyraźnie.

– Brunhilde, proszę pana – powiedziała z wypiekami na policzkach.

– Czy mogę zwracać się do pani po imieniu?

– Będzie mi bardzo miło.

– W takim razie, droga Brunhilde, co byś mi poleciła? Muszę zaznaczyć, że jestem po podróży i umieram z głodu.

Dziewczyna uśmiechnęła się, pokazując równe i białe zęby kontrastujące z czerwoną szminką.

– Może eskalopki z szynki wieprzowej w sosie borowikowym, do tego ziemniaki, dobrą surówkę i kufel lokalnego piwa?

– Brzmi wyśmienicie. Zacznijmy więc od piwa.

Przyjrzał się jej. Po okrągłej twarzy było widać, że miała kilka kilogramów za dużo. Można powiedzieć, że tych kilogramów było idealnie za dużo. Talia była wąska, a biodra kształtne przypominały dojrzałą papierówkę. Jej piersi były równie imponujące. Pomyślał, jak szybko mężczyźni tracą głowy dla takich kobiet. Gdyby tylko Goebbels zauważył Brunhilde, w jednej chwili stałaby się gwiazdą propagandy. Każdy plakat mówiący o kobietach pracujących na rzecz Trzeciej Rzeszy przedstawiałby kelnerkę z tego szynku na pierwszym planie.

– Dobrze, za chwilę przyniosę je z jakąś drobną przystawką. Nie chcę, żeby pan umarł tu z głodu. – Ośmieliła się wyraźnie i zaczęła flirtować.

Zygartowicz odprawił ją wzrokiem.

Kufel piwa, który postawiła na stoliku, był ogromny. Obok naczynia znalazł się talerz z krążkami cebuli smażonymi w głębokim oleju. Zygartowicz na dobre poczuł, że jest w Niemczech. Upił łyk piwa i otarł usta z piany, rozglądając się po restauracji.

Zerknął na jeden ze stolików, przy którym siedział oficer Wehrmachtu i bardzo dobrze ubrany mężczyzna. Nie skupiał się na tym za bardzo, tylko delectował się klimatem restauracji. Upijając po trosze złotego napoju, zastanawiał się, w jakim celu zaalarmował go jeden z jego kontaktów działający na terenie Rzeszy. Nie wyjaśniając niczego, tylko

niezwłocznie nalegając na jak najszybsze spotkanie.

Moshe Zedermann był najlepszym włamywaczem, jakiego znał, a do tego chyba najdziwniejszym Żydem, jakiego kiedykolwiek chyba spotkał w swoim życiu. Niewielu jest złodziei, którzy kradną nie tylko dla samego zysku. Moshe był raczej sportowcem, który bił rekordy w otwieraniu coraz trudniejszych kas pancernych i sejfów. Pochodził z małej miejscowości pod Düsseldorfem. Tam jego ojciec prowadził rodzinny warsztat ślusarski. Jako nastolatek przeniósł się do Berlina, żeby nabrać doświadczenia i terminować przy dużo większym zakładzie wuja.

Można powiedzieć, że ten biznes w rodzinie Zedermannów przekazywany był z pokolenia na pokolenie. Moshe jakimś cudem przeżył Wielką Wojnę, chociaż w jego przypadku raczej o cudach nie było mowy. Był jak kot, który zawsze spada na cztery łapy.

Z Feliksem poznał go paser sławnego złodzieja, gdy major szukał kogoś do wykonania jednego drobnego zlecenia.

Zedermann przystał na to tylko z trzech względów. Kasa do obrabowania była nowoczesna, co podnosiło poprzeczkę. Dwa, gdy chodziło o rabowanie nazistów, nie trzeba było go długo przekonywać. Pałał taką samą niechęcią do nowego porządku w Niemczech jak każdy inny Żyd mieszkający między granicami Rzeszy. I wreszcie po trzecie, Zygartowicz przedstawił się paserowi, okazując paszport dyplomatyczny Stanów Zjednoczonych.

Gdy Zygartowicz nabrał zaufania do Żyda, wtajemniczył go na tyle, na ile to było konieczne, i zwerbował do swojej siatki. Moshe Zedermann był pewien, że Feliks Zygartowicz to agent tajnych służb amerykańskich i że przy nim wkrótce dostanie przepustkę do lepszego świata.

Feliks spojrział przez okno i skupił wzrok na kwitnącej magnolii. Zastanawiające było jedno: z reguły to on kontaktował się z Zedermannem, a nie odwrotnie. Ciekawe, pomyślał. Z zadumy wyrwała go ładna kelnerka, która przyniosła posiłek. Porcja była tuchowiakowa.

– Pańska kolacja. – Postawiła przed nim talerz. – Życzę panu smacznego.

– Dziękuję – uśmiechnął się i odprowadził wzrokiem dziewczynę, która idąc przez salę, mocnej kołysała biodrami.

Po posiłku poprosił o rachunek i zostawił okazały napiwek. W lokalu zrobiło się tłoczno. Wychodząc na zewnątrz, zawadził o oficera, który przed wyjściem z restauracji chciał przypalić papierosa. Srebrna papierośnica upadła na podłogę. Zygartowicz schylił się i podniósł zdobione pudełko. Miało wygrawerowany obrazek przedstawiający polowanie ze zgrają ogarów pędzących za zwierzyną. Przez głowę przemknęła mu myśl, że papierośnica musiała kosztować fortunę.

– Niezmiernie pana przepraszam. Proszę mi wybaczyć, *Herr Oberstleutnant*, zamyśliłem się – powiedział Feliks i wyciągnął dłoń, żeby oddać papierośnicę właścicielowi.

– Nic się nie stało – odparł tamten. Odebrał pudełko i zabrał się za przypalenie papierosa.

Zygartowicz popatrzył na przegub dłoni oficera. Przed jego oczami mignęła kolejna rzecz, która zrobiła na nim takie samo wrażenie jak papierośnica.

– To Baume-Mercier, nieprawdaż?

– W rzeczy samej. Zna się pan na zegarkach?

– Tu bardziej mowa o arcydziele rzemieślniczym aniżeli zegarku.

– To prawda. Marcus Schreiber. – Oberstleutnant wyciągnął dłoń.

Zygartowicz uścisnął ją pewnie i spojrzał oficerowi w oczy.

– Klaus Eberhardt, miło mi pana poznać.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Na długo pan przyjechał do Berlina?

Zygartowicza zaskoczyło to, że od razu rozpoznał akcent spoza stolicy.

– Na kilka dni, potem z powrotem do Lipska.

– W takim razie życzę udanego pobytu w stolicy.

– Dziękuję, miłego wieczoru – powiedział Zygartowicz.

Podpułkownik skinął głową i ruszył do restauracji. Feliks, idąc w kierunku hotelu, zastanawiał się, gdzie spotkał tego oficera. Miał takie wrażenie, jakby już go gdzieś widział. Ta myśl, wraz z zaproszeniem od Zedermanna, nie dawała mu spokoju do samego hotelu.

Nazajutrz, gdy nadszedł czas spotkania, Zygartowicz ruszył w kierunku dzielnicy Spandau. Dotarłszy na miejsce, najpierw przespacerował się wzdłuż ulicy. Gdy mijał kamienicę, którą był zainteresowany, zauważył, że szyba w wystawie jest nowa, a na drzwiach widnieje niechlujny duży biały napis *Jude raus!*. Wszedł do bramy, przeszedł przez klatkę schodową i dostał się na zaplecze zakładu ślusarskiego. Kilka metrów przed tylnym wejściem odchylił połę marynarki i odpiął kaburę z parabellum P08. Wyciągnął odbezpieczoną broń i wsunął pod połę marynarki tak, żeby była niewidoczna. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Gdyby złodziejowi przyszedł jakiś głupi pomysł do głowy, będzie gotowy do natychmiastowej obrony. Zapukał do drzwi. Po dłuższej chwili zasuwa zamka wydała metaliczny odgłos. Drzwi otworzył wiekowy Żyd o zapadniętych policzkach i z niezliczoną liczbą zmarszczek. Zmęczone życiem oczy spojrzały na niecodziennego przybysza.

– Szanowny pan do kogo? – zapytał ze zdziwieniem.

– Jestem umówiony z Moshe – odparł.

– Pan zaczeka. – Żyd spojrział na niego nieufnie, po czym wrócił do środka i zamknął za sobą drzwi.

Po chwili drzwi otworzyły się ponownie, tyle że z większą werwą. W szczelinie znowu pojawiła się twarz, zupełnie jakby starzec przeniósł się w czasie i pojawił jeszcze raz, z tym że trzydzieści lat młodszy.

– Dzień dobry, *Herr* Eberhardt. Miło pana widzieć.

– Witaj, Moshe.

Żyd wyciągnął dłoń na powitanie. Feliks nie zareagował.

– Zapraszam do środka. – Przepuścił Zygartowicza przodem. Na zapleczu była mała kuchnia i stolik dla dwóch osób.

– Napije się pan herbaty?

– Chętnie.

Zedermann ściągnął imbryk i uzupełnił dwa kubki, których czystość pozostawiała wiele do życzenia.

– Do rzeczy, Moshe. Mów, o co chodzi.

– Tak naprawdę to nie wiem.

– Słucham? – zdziwił się Feliks.

– Chodzi o to, że dostałem nietypowe zlecenie.

– Lepiej, żeby to było coś dobrego. Chociaż nie wierzę, żebyś był aż tak głupi, żeby ściągać mnie do Berlina z błahego powodu. A jeżeli jesteś i dodatkowo coś kombinujesz, to wiedz, że żywy stąd nie wyleziesz. – Upił łyk herbaty.

Żyd przeraził się wyraźnie, właśnie dotarło do niego, że rzeczywiście mogło to wyglądać jak zasadzka, a gdy Feliks wyciągnął broń i delikatnie położył obok kubka, oczy ślusarza niemal wyszły z orbit.

– Nie, nie, szanowny kolego, nic z tych rzeczy. Panie Eberhardt, przecież ja... Otóż wyobrazi sobie pan, że dostałem intratną robotę w Breslau.

Zygartowicz zerknął na broń.

– Gratuluję i się nie dziwię, przecież jest pan jednym z lepszych włamywaczy w Niemczech.

Teraz Żyd spojrział na niego tak, jakby zapomniał o pistolecie. Zmarszczył brwi i prychnął.

– Pfff, w Niemczech, panie kolego! – Podniósł dłonie z widocznym brudem za

paznokciami. – Widzi pan to? To dłonie najlepszego włamywacza w Europie. Ostatnio bezpiecznym kanałem zaproponowano mi pracę w Szwajcarii przy ocenie zabezpieczeń najznamienitszych sejfów w świecie, taka na mnie sława spłynęła. I co? Tkwią tu, w tym pełnym nienawiści kraju czekając na co? No niech mi pan powie? Na śmierć czy obóz koncentracyjny? Mówi się, że dwadzieścia tysięcy ludzi już w obozach, palą synagogi, a straż pożarna odpala papierosy od pożarów i się wszystkim przygląda...

Zygartowicz popijał herbatę, była zadziwiająco dobra. Zastanawiał się, czy to wina brudnego kubka, czy najwyższej jakości liści. Nie chciał znać odpowiedzi. Przez chwilę słuchał monologu kwilącego Żyda.

– Dobrze, do rzeczy, panie Zedermann, obaj wiemy, jak to wygląda. Cóż to za zlecenie?

– Ach tak, tak. Otóż, szanowny kolego, chcę, abym się włamał do willi w Breslau.

– Na miłość boską, czyjej i kto chce? Mówże wreszcie – warknął, zastanawiając się, jak tak roztrzepany człowiek zasłużył sobie na miano najlepszego włamywacza w kraju.

– *Herr Eberhardt*, rozchodzi się o nowy dom *Gruppenführera Radkego*.

– Kto dał to zlecenie? – Major spowaźniał.

Żyd milczał przez dłuższą chwilę.

– Polacy – szepnął w końcu.

– Mów wszystko, co wiesz, człowieku. Jak mi Bóg miły, cierpliwość mam wielką, ale do czasu.

– Boga w to nie mieszajmy, *Herr Eberhardt*. Wiesz pan, jak pracuję. Nie wykonuję zleceń od byle kogo. Kiedy pan Hofmann, nasz znajomy, do mnie z takim pomysłem przyszedł, to myślałem, że zwariował, ale okazało się, że zapłata w dolarach. Pomyślałem, że Amerykanie w tym palce maczają, ale wtedy przecież pan by się ze mną kontaktował. Ja do *Herr Hofmanna* ufność całkowitą mam. Więc mówię, ciekawe, co tam trzyma ta świnią, że się taki wielki świat tym interesuje. On do mnie, że trzeba tylko zrobić zdjęcia jakichś dokumentów i pod żadnym pozorem niczego nie tykać. Ma być tak, jakby nic się nie stało. Fiu, fiu, mówię sobie, polski wywiad z mych umiejętności korzystać chce i dolarami płaci. Wie pan, że one mi potrzebne jak powietrze, bo z zamiarem ucieczki za ocean się mierzę, bo tu rychło mnie zaciukają te blond hultaje. – Popatrzył na Zygartowicza, jakby oczekiwał, że Feliks wyciągnie paszport USA na jego nazwisko i mu go ofiaruje.

– Wzięłeś zlecenie? I skąd wiesz, że to Polacy?

– Zdziwiło mnie, że szanowny pan Hofmann, jak mówił o tej pracy, to zdenerwowanie wielkie okazywał. Coś mnie tknęło, że przecież teraz wszyscy wkoło się szpiegują, bo mówią, że wojna w Europie będzie. Puściłem dwa młode psy gończe za tym mym paserem, no i spotkał się ze dwa razy z kimś z polskiego konsulatu.

– Czyli nie powiedział panu, że to Polacy do niego przyszli?

– Właśnie. Wtedy jam do niego poszedł i przycisnął trochę, bo strach mnie obleciał. Ten esesman to nie byle kto przecież. Koleżeństwo między nami od lat, więc pytam go, żeby mi szczegóły opowiedział. W końcu zdradził, że Polacy, że sprawa dla nich musi być ważną, bo ten, kto mu zlecił, powiedział, że więcej się z nim nie zobaczy. Miał potwierdzić, czy się zgadzamy, komu innemu, wtedy jeszcze jakiś inny odbierze te dokumenty. Moje młode gałgany mówiły, że Hofmann cały czas jest śledzony przez Polaków. Pilnują go jak ognia.

– Dobrze, ile masz na to czasu?

– Mówili, że mam zacząć przygotowania od razu i dać znać przez Hofmanna, kiedy będę gotowy. Do tego dostałem teczkę z planem domu, położeniem i rysunkiem kasy. Najgorzej będzie się wśliznąć do środka, bo sejf znam. Znakomita robota rodziny Wiese, ale z niskiej półki. Był czas, że ta austriacka familia zwracała się do mnie przez Hofmanna gwoli porady. Majętny nasz esesman, ale na najnowsze cacko go nie stać. Sejf otworzę w dziesięć minut. Waży ze dwieście pięćdziesiąt kilogramów, posiada dwa zamki: główny, otwierany za pomocą klucza scyzorykowego, a na specjalne życzenie musieli mu zamontować zamek szyfrowy, bo w oryginale...

– Dobrze, już wystarczy – przerwał mu Feliks. – Pokaż te papiery.

Żyd naburmuszył się i wstał od stołu. Zygartowicz spodziewał się, że zaraz otworzy jakąś skrytkę, w której ukążą się drzwiczki wysokiej klasy sejfu. On zaś po prostu podszedł do kredensu, odsunął szufladę, w której było mnóstwo plików z jakąś warsztatową dokumentacją, wyciągnął wypchaną teczkę i zaczął wertować papiery, wyciągając jakby przypadkowe kartki.

– Pan chyba żartuje? – zdziwił się Zygartowicz.

– *Herr Eberhardt*, mam panu tłumaczyć, jak ciemno pod latarnią? Życie złodzieja to gra pozorów, ja panu mówię, co pan ma widzieć, a pan to widzi. Pan w tym warsztacie widzi bałagan i odpychające niechlujstwo. Ja widzę ład i porządek. – Rozejrzał się dookoła. – No, może bardziej umiejętnie zaplanowany bałagan.

Zygartowicz uśmiechnął się pod nosem.

– W takim razie, co pan trzyma w sejfie?

– A nawet nie wiem. Może być, że młotek, którego szukam od dwóch dni. – Uśmiechnął się szyderczo.

Zygartowicz popatrzył na rysunki. Były zrobione z precyzją. Przyjrzał się dokładniej planom. Zdecydowanie czuł kobiecą rękę. Zastanowił się chwilę, patrząc na sejf z fikuśnym ornamentem i widocznym pokrętem zamka szyfrowego.

– Zrobimy to razem.

Moshe, jakby porażony prądem, zerknął na Zygartowicza.

– Co? Słucham? – Potrząsnął głową, jakby chciał wyrzucić z siebie usłyszane słowa. – Przykro mi, *Herr Eberhardt*, ale to niemożliwe. Choćby losy świata ważyły się w tym zadaniu, do willi wejść sam.

Feliks spojrział na chytrą twarz złodzieja. Nie było sensu go przekonywać, ten indywidualista będzie się trzymał swoich zasad, nawet gdyby go sam diabeł straszyl, pomyślał.

– W takim razie będę blisko, a zaraz po robocie spotka się pan ze mną. W willi dokładnie zapamięta pan całą zawartość sejfu i zda mi szczegółową relację. – Widział, jak mu błysnęło oko. Zastanawiał się, czego zażąda i jak się do tego zabierze. Znając Zedermanna, było to raczej oczywiste.

– Wie pan, że oczekuje wiele, a ja jestem biednym Żydem, panie Eberhardt.

Zygartowicz uśmiechnął się. Dobrze sobie, pomyślał.

– Panie Zedermann, umówmy się, że materialnie nie jest źle. Ja złożę panu ofertę nie do odrzucenia. Dużo lepszą niż brylanty i polskie dolary. Mianowicie pan wykona swoją robotę, a ja panu załatwię wygodny transport za ocean wraz z papierami porządnego obywatela, który dostał pozwolenie na pracę i stały pobyt.

Zedermannowi znowu błysnęło oko. Zachował powagę, ale czarna czupryna uniosła się w zdziwieniu, a dołek, który pojawił się w kąciku ust, potwierdził, że połknął przynętę.

– W jaki sposób pan to zrobi? – zapytał z wielkim zainteresowaniem.

– Panie Zedermann, wie pan, że ja też pracuję sam. Niech pan się zastanowi, czy rzuciłem kiedyś słowa na wiatr. Proszę mi wierzyć, mój rząd sprawi, że znajdzie sobie pan miejsce w stanie, który się panu najbardziej spodoba.

Żyd pokazał wszystkie krzywe zęby, myśląc, że dziś los się do niego uśmiechnął, a spełnienie największego marzenia jest tuż-tuż. Dokładnie wiedział, dokąd się wybierze. Nowy Jork. Będzie jednym z bogatszych Żydów na Manhattanie. Jedna robota i emerytura w luksusie, rozmarzył się na chwilę, po czym wyciągnął przed siebie dłoń.

– Dobrze, w takim razie mamy umowę. Myślę, że potrzebuję około trzech miesięcy.

Feliks podniósł głowę.

– Aż tyle?

– *Herr Eberhardt*, to nie jest zwykły dom. W zwykłym domu jest gosposia, a tu gosposia to esesman z karabinem. Najbliższa ochrona mieszka w samej willi. Sam byłem zaskoczony, że jest aż taka mocna. Rzeczywiście musi być coś na rzeczy.

– Skąd pan ma te informacje?

– Jestem ostrożnym Żydem, dlatego cieszę się jeszcze zdrowiem, drogi panie.

Obserwuję dom przez posłańców od kilku dni. Niedługo zajmę się tym osobiście. Trzeba poznać ich nawyki i zwyczaje, kiedy się zmieniają, może mają słabości albo zboczenia, choć tych drugich pewnie więcej, przecież to SS.

– To prawda, ale szantaż też raczej nie wchodzi w grę.

– Poradzimy sobie i bez tego.

– Ma pan jakiś konkretny plan?

– Planu jeszcze nie, ale na pewno będzie sposobność, którą będziemy mogli wykorzystać.

– Mianowicie?

– Gdyby tylko wcześniej do mnie trafili. W lipcu w Breslau odbędą się obchody Święta Sportu i Gimnastyki, na którym prawdopodobnie pojawi się sam Hitler. – Uśmiechnął się szyderczo.

Feliks od razu zrozumiał, o co chodzi cwanemu złodziejowi.

– Ale niestety do tego czasu się nie wyrobię – ciągnął Moshe.

– Dlaczego? Wszyscy będą albo podziwiać Führera, albo go ochraniać. To niepowtarzalna szansa. A w centrum będzie mnóstwo nazistów.

– Panie Eberhardt. Nie ma pan pojęcia, jak wygląda skok. Sama willa to zaledwie klika procent z całej operacji. Wie pan, dlaczego jestem tak skuteczny? Ponieważ zawsze jestem przygotowany, a to trwa.

– Rozumiem. Ma pan rację, to pan jest specjalistą. Zatelefonuję do pana za miesiąc. Powie mi pan krótko, bez szczegółów, jaki jest stan przygotowań. Niech pan pamięta o naszych procedurach.

– Pamiętam, *Herr* Eberhardt. Żadnych nazwisk i miejsc. Proszę zatelefonować pod ten numer i prosić o Friedricha Herzoga. – Napisał numer ołówkiem na skrawku papieru. Pod spodem dopisał imię i nazwisko.

– Świetnie. W takim razie do usłyszenia, *Herr* Zedermann.

– Do zobaczenia, *Herr* Eberhardt.

Uścisnęli sobie dłonie. Gdy Feliks wyszedł na podwórko, przez chwilę zastanawiał się, co może być tak ważnego, że prawa ręka Himmlera przenosi się do Wrocławia z obstawą, która nie odstępuje go na krok. Zdecydowanie nie pilnują kosztowności. Zastanowił się nad Żydem, który, gdyby chciał, mógłby go zdekonspirować w samym sercu Niemiec. Należy ufać ludziom, inaczej człowiek popada w niepotrzebną paranoję, pomyślał i skręcił w prawo, kierując się na tramwaj do centrum.

Rozdział 8

Lato w tym roku przyszło dużo wcześniej. Wszyscy to poczuli i, pełni optymizmu, prawie przestali narzekać na ciężką pracę. Początek czerwca był piękny, a nocne przymrozki poszły już dawno w zapomnienie.

Podczas ciepłych wieczorów Tuchowiak cierpliwie realizował swoją taktykę, a jego podopieczni wchłaniali w siebie wiedzę jak wygłodniałe wilki. Wtedy Sebastian po raz pierwszy prawdziwie poczuł tę niewidzialną hierarchię grupy, która, jak mówił jego wuj, nie miała nic wspólnego ze stopniami wojskowymi. Wiedział, że doświadczenie, wiedza zebrana na froncie i lata służby ukształtowały jego dowódców. Myślał, że miał szacunek do tej więzi, ale dopiero teraz prawdziwie to poczuł. Strugi jego potu wsiąknęły w tę poligonową ziemię, na której o wojsku dowiedział się więcej niż przez dwa lata szkoły oficerskiej i prawie rok służby w Poznaniu. Czuł, że musi zasłużyć na tego niewidzialnego jeszcze gołym okiem porucznika.

Chciał zasłużyć na ten szacunek. Zrozumiał, o co chodziło majorowi i chorążemu. Zaakceptował morderczy wysiłek i cel całej sprawy. Teraz po prostu chciał być gotowy, gdy nadejdzie czas.

Morale po przepustkach było zdecydowanie wyższe, tym bardziej że on i Andrzej dostali awanse. Po powrocie Andrzej w kółko opowiadał o swojej rodzinie i o tym, jak wszyscy są z niego dumni. Makarewicz wrócił niedawno. Podczas gdy inni pojechali na święta, on pilnował dobytku. Tylko on i major spędzili Wielkanoc, pracując.

Tuchowiak powoli wracał na swoje obroty i już z dawnym zapałem prowadził ćwiczenia. Wszyscy przyzwyczaili się do zakwasów w mięśniach, a ból stał się czymś pożądanym. Uważali, że gdy nic nie boli, to zrobili za mało. Krzyki chorążego jakby osłabły, nawet dało się w jego głosie wyczuć szacunek.

Gdy ćwiczyli z bronią, porozumiewali się prawie bez słów. Tego wieczoru, po kilkudniowej nieobecności, wrócił major, a jego fiat standardowo zatrzymał się obok baraku. Zapewne był wyładowany zapasami. Przynajmniej na to liczyli.

Dzień chylił się ku końcowi, ptaki dawały ostatni koncert, a cień rzucany przez barak wydłużył się. Wszędzie unosił się zapach lata. Zygartowicz, ubrany w mundur polowy, wyskoczył z łazika i podszedł do Wojtka, który, słysząc warkot silnika, wyszedł z ziemianki, gdzie trzymali amunicję.

– Witaj, Feliks, przywiozłeś to, o co prosiłem? – zapytał chorąży.

– Serwus. Tak, mam kilka skrzynek granatów, materiałów wziąłem tylko trochę, tak ćwiczebnie, bo za dobrze cię znam. Poza tym Pisarczyk ledwo dał się przekonać; gdyby nie te jego nowe boforsy, które permanentnie pucuje, to w ogóle nie byłoby mowy. Dał mi dwie miny przeciwpancerne, kazał rozkręcać, wziąć materiał, a później spier... – urwał major i nie dokończył.

– Też, co mi po garści kapiszonów? Chciałem pokazać chłopakom kilka sztuczek.

– Zajrzyj najpierw do środka, a później narzekaj. Poza tym i tak już patrzę nam na ręce, a twoje sztuczki często rozchodzą się sporym echem. Zresztą wieś niedaleko. Wszyscy co chwilę myślą, że to już Niemcy biją.

– Zyga, no to jak ja...

– Nie denerwuj mnie dzisiaj, nie spałem od dwudziestu godzin... – Odwrócił się w kierunku żołnierzy, którzy kręcili się już koło łazika, czekając na pozwolenie zajrzenia do środka.

– Chłopaki, rozładujcie wszystko. Sprzęt zabezpieczyć, a żarcie do baraku – rzucił poirytowany.

– Andrzej, chodź, pomożesz mi ze skrzynkami – powiedział Sebastian.

Zabrali się do pracy.

– Poruczniku! – krzyknął chorąży.

– Słucham? – Sebastian podniósł wzrok.

– Jest tam jaka dobra wałówka czy znów konserwy?

Zygartowicz pokiwał głową, a Sebastian jeszcze raz zanurkował do łazika.

– Ja pierdolę, kiełbasa i świeżutki chleb!

– Poruczniku! – krzyknął Zygartowicz.

– Przepraszam, panie majorze, ale tak mnie się jakoś...

– Do reszty tu zdziczeliście wszyscy, nawet chłopak z dobrego domu.

– Pięknie, w końcu nie będę smalił samego kija w ognisku – Tuchowiak uśmiechnął się, nie zwracając uwagi na obserwacje majora.

Ten westchnął i dał za wygraną.

– Usiądziemy dzisiaj przy ogniu, zjemy dobrze, poza tym mamy do pogadania.

– Tak sobie właśnie myślę, znikasz często, a chłopaki podpytują. Kroi się coś? – Tuchowiak wyciągnął papierosa, a Feliks rozejrzał się, sprawdzając, czy są sami.

– Panowie, wnieście wszystko do nory, Sebastian z Radkiem, naszykujcie jedzenie na ognisko. Andrzej, materiały ostrożnie zanosisz do bunkra, później zbierasz opał

i odpowiadasz za ogień.

– Tak jest!

Obrócił się z powrotem do Wojtka.

– Masz dobre przeczucia – obniżył ton. – Byłem w Vaterlandzie, dzieją się tam dziwne rzeczy, drogi przyjacielu. Poza tym chyba na coś trafiłem.

– Na co?

– Do końca jeszcze nie wiem, ale będę wiedział więcej, jak obrobimy wille Radkego.

– Zaraz, zaraz, czy to nie...?

– Tak.

– Ja wiem, że wiesz, co robisz, ale... obrobić?

– Przecież ja nie będę kradł. To nie mój pomysł, zupełnie przypadkiem dowiedziałem się o zleceniu.

– Od kogo?

– Zedermann.

– Psiamać, ten Żyd niedługo ogołoci tych szkopów ze wszystkiego. Kto dał zlecenie na Radkego? Brytole?

– Nie, to od nas. Ktoś dał cynk, że Radke coś szykuje na zlecenie samej góry. Siedzi już od kilku miesięcy w Breslau i pilnuje swoich psów z SS. Myślę, że Ordyński ma tam asa, który natrafił na jakąś rewelację.

– Niech mnie diabli. To po co się w to mieszać, skoro Ordyński tym kręci. Potrzebne nam znowu problemy? Sztab urwie nam kufry.

– Najpierw obadam sprawę. Pojadę do Kaźmierczaka, powiem mu co i jak. Po prostu chcę wiedzieć, co się dzieje, a zapewniam cię, że dzieje się coś niedobrego. Zresztą w sztabie już też czują ogień pod tyłkiem. Wiesz, co oznacza cicha mobilizacja, zanim się obejrzymy, będzie hasło „pełna gotowość”. Budzimy się z ręką w nocniku, drogi przyjacielu, a Niemcy coś po cichu szykują. Boję się, żeby sztab czegoś nie spartolił. Teraz nie czas na błędy.

– To co, ostrzę kozik, bo gertruda już naoliwiona.

– Dzisiaj na kiełbasę, ale jutro to nie wiem. Nie mamy tyle czasu, ile nam się zdawało. Czuć to aż tutaj. Niemcy nie wytrzymują już ciśnienia nawet u siebie. Pęknie wkrótce ten wrzód. Beck odrzucił propozycje Hitlera w taki sposób, jakby chciał się bić, na granicy prowokacja za prowokacją, Anglicy robią w portki, Francuzi zachowują się tak, jakby ta sprawa ich nie dotyczyła, zresztą szkoda mówić, nie będę cię męczył polityką. Lepiej powiedz mi, jak chłopaki.

– Panie majorze, ciąc tę kiełbasę? – przerwał Makarewicz, który wstawił głowę przez

drzwi.

– Ty, Makar, weź ją poproś, może sama się potnie – odpalił Wojtek.

– Coś taki czepialski? Dobrze chcę zrobić.

– Tak, panie Radku, ciąc. Mówiłem, że usiądziemy i zjemy przy ognisku.

– Tak jest! – Plutonowy skinął głową i zniknął w baraku.

– Jeszcze sporo pracy przed nimi, ale jest dużo lepiej, pracują jak maszyny. No i Sebastian się ogarnął – kontynuował Wojtek.

– Zauważyłem. Podejrzewam, że spotkał się z wujem podczas świąt.

Tuchowiak się uśmiechnął.

– Przecież o to chodziło. Myślisz, że Łazuta szepnął mu o mnie coś dobrego?

– Nie wydurniaj się, nie kłamałby siostrzeńcowi. Poza tym ten chłopak ma większą inteligencję niż my wszyscy razem wzięci. Takim ludziom należy mówić tylko prawdę. Skoro my o tym wiemy, to wie i Ziemowit.

– Coś w tym jest. Słuchaj, Młodzian z nim szprecha po niemiecku tak, że nie odróżnisz. Zrobili trzy dni temu przedstawienie i, jak mi Bóg miły, normalnie szkopy.

– Tak miało być. Przedstawienia to jeszcze nie pełne umiejętności. Niech tłuką procedury i wpajają ich regulamin. Mają myśleć po niemiecku. Makarewicz cały czas cichy?

– Jak zawsze. Jak zacznie nadawać tak jak moja siostra, wtedy będziemy się martwić.

Major się uśmiechnął.

– Jakbyśmy mieli tu taką Kryśkę, to po nas. Panie, oka byś nie zmrużył. Słuchaj, w jednostce już huczy, że siedzimy w lesie i nic nie robimy, tylko amunicję marnujemy, a oni kopią rowy przeciwczołgowe. Trzeba będzie niedługo zwijać graty. Może przydzielimy im jakieś zadania terenowe, niech obesrają portki, pod opieką. Co ty na to?

– Potrzebuję jeszcze trochę czasu. Jak będziesz w stolicy, pogadaj z Kaźmierczakiem, żeby zadzwonił do Leszna i uspokoił ciekawskich. Daj jeszcze ze dwa miesiące, trzeba sprawy robić dobrze i do końca.

Feliks zamyślił się.

– To jest luksus, którego już dawno nie mamy. Możesz mi wierzyć.

– Panie majorze, wszystko gotowe – zameldował starszy strzelec Horyński.

– Dobrze. Leć i wynieś ławkę z krzesłami, a my z panem chorążym dokończymy rozmowę.

– W tej chwili, panie majorze.

– Ten chłopak traktuje cię jak ojca – powiedział chorąży.

– Wiem i to mnie martwi.

– Chciałem go utemperować, ale gnojek twardszy niż większość darmozjadów Gałana.

– Widzę, że wszyscy nabrali tężyzny. Powiedz mi, a chodzą już razem? Czy dalej we łbie to, co im nakładli do głów w koszarach? – zapytał Feliks.

– Prawie bez słowa, ale brakuje kilku chłopca. Przydałby się taki pełny pluton. – Tuchowiak westchnął. – Może już czas brać na selekcję? Teraz taki Makarewicz to wart z pięćdziesięciu ciołków Gałana, co tylko obcasami strzelają i regulaminowo pod linijkę musztrę na placu ćwiczą. Już widzę, jak się dobierze nasz Radosław do świeżynek. Trzeba podjąć jakieś decyzje.

– Wiem. Cały czas się zastanawiam, jak to ma wyglądać. Myślę, że początkowy pomysł z jednostką był trafny. Szkoda by ich rozdzielać. Chciałbym mieć i ze trzy plutony, ale dobrze wiesz, że jak się stawia duży domek z kart, to podstawa zajmuje najwięcej czasu. Myślę sobie o przekonaniu Kaźmierczaka. Nie wiem, może spróbuję jakoś przedstawić ich wartość bojową i udowodnię, że taki sposób działania i wyszkolenia może być wielce przydatny w przyszłości. Strach mnie bierze, ile to kajania się, włożenia w dupę i papierów. No, ale jak pomyślisz o finale, którym byłaby nowa jednostka wypuszczająca plutony specjalnego przeznaczenia...

– Byłoby pięknie – westchnął Wojciech. – Tylko ludzi mi potrzeba. Nic więcej. Wszystkiego jednemu nie wpoisz. Właśnie, co z naszą akuszerką?

– Pytałem za nim w jednostce, czy wrócił ze szkolenia. Będzie na początku sierpnia. Powęszyłem co nieco.

– I co? Będzie?

– Taki sam gałgan jak ty i Makarewicz, tylko więcej gada. Z medycyny go na zбитy pysk wywalili, to się zgłosił do wojska na ochotnika. Ja nie wiem, całe życie z takimi...!

– Feliks kiwnął na Wojtka i się uśmiechnął.

– Wypraszam sobie – olbrzym odwzajemnił szyderczy uśmiech. – Za co go pogonili?

Major zamyślił się chwilę, po czym uśmiechnął się od ucha do ucha.

– No mów wreszcie, a nie szczerzysz zęby. – Tuchowiak rozejrzał się, czy nikt ich nie słucha.

– Rozpytałem trochę i opowiedział mi jeden studencina z jego roku, jaką to piękną i młodą żonę ma dziekan.

– Neeee! Psiamać, kapral Chyży w doktora się z nią bawił?

– Ano bawił i to u dziekana w domu. Dziekan ich przydybał, jak materiał przerabiali. Doktor Chyży i jego pielęgniarka.

– O niech mnie Wehrmacht goni, ale gagatek – zachnął się Wojtek.

– Szkoda, bo miał zadatki na wyśmienitego lekarza. Był jednym z lepszych na roku,

a tak gonią go w lewo i prawo. Żal chłopaka.

– Co zrobisz, taki los. Patrz na mnie, gdybym nie zasadził temu idiocie, to też bym dzisiaj, jak kapitan Gałań, pióra stroszył. Cud, że chorąży Wojska Polskiego.

– Zasadził? Żartowniś się znalazł. Przegroda nosowa spadła mu do żołądka. – Feliks wzruszył ramionami.

– No co? – zdziwił się Wojtek. – Jak mnie ktoś wbrew mej woli na śmierć pędzi, a i bezczelnie przy tym kłamie, że to niedzielny spacer, to cóż mam z nim wielece dyskutować?

– Zostawmy to. To były inne czasy, byliśmy młodzi i głupi, gdyby nie Ziemowit, to nie wiadomo, co by z nami było. Pewnie byś teraz gdzieś ścianę drapał w więzieniu – skwitował major.

– Święta prawda, a nawet mnie się o uszy obilo, że doraźnie mnie chciano i czapę... – Wojtek ucichł, myśląc, jak nieroztropne było jego postępowanie.

– Dużo nie brakowało, co ja się wtedy nagimnastykowałem. – Feliks poklepał go po ramieniu.

Tuchowiak wiedział, ile mu zawdzięcza, ale nic nie powiedział, tylko spoważniał.

– Idź szykuj jedzenie, od kilkunastu godzin nie miałem nic w ustach – rzucił major.

Słońce już zaszło, ptaki ucichły, a trzask palących się gałęzi roznosił się echem po lesie, który z trzech stron otaczał barak. Chorąży pogmerał kijem w ognisku, w niebo poszybowało kilkadziesiąt iskier. Każdy z nich patrzył w ogień jak zahipnotyzowany. Na chwilę zapanowała cisza, wszyscy o czymś myśleli. Ktoś był duchem w domu, obserwując swoich bliskich, inny przypominał sobie smak pocałunku ukochanej, ktoś się modlił. Major podniósł głowę i wypił trochę bimbrowa.

– Panowie – zwrócił na siebie uwagę major. – Za jakiś czas zacznie się wojna. To jest pewne jak to, że jutro na wschodzie wstanie słońce.

Wszyscy w milczeniu patrzyli na dowódcę.

– Wiecie, że tak naprawdę to właśnie jest powód, dla którego tu razem jesteśmy. Cała polityka zagraniczna spaliła na panewce. Uważam, że Hitler lada moment zaatakuje naszą ojczyznę i będzie naprawdę ciężko go powstrzymać. To nie są żarty i wcale nie wygląda to tak różowo, jak mówią.

– Panie majorze – odezwał się Sebastian. – Wie pan kiedy?

– Nie wiem, drogi Sebastianie, ale wkrótce i chyba wcześniej, niż nam się wydaje. Myślałem, że mamy więcej czasu, ale okazało się, że to mrzonki.

– Za pozwoleniem, panie majorze, gdyby tak wszyscy razem, przecież ich powstrzymamy – rzucił z zaangażowaniem Andrzej.

– Młody – wtrącił Tuchowiak – zrozum, że tak naprawdę to nie możemy wiele zrobić.

– Jak to, a Francuzi i Anglicy? – zapytał Radek głośniej niż zwykle.

– Makar, oni sami mają pełne portki, nikt nikomu nie będzie pomagał, rozumiesz? – ciągnął Wojtek.

– Obawiam się, że chorąży mówi prawdę. Każde z tych państw ma swoje problemy, a Niemcy w zastraszającym tempie osiągają potęgę militarną. Hitler ostatnimi czasy prowadził umiejętną politykę zagraniczną. Przetestował Anglików przy zawłaszczaniu Austrii. Podobnie jest z Czechami, to była kolejna próba. Anglicy się głośno oburzali i nic więcej. Nasz minister odmówił Niemcom, gdy zaczęli stawiać żądania o Gdańsk i autostradę do Prus. Jedyne, co nas może uratować lub dać więcej czasu, to gdyby jutro premier Francji lub Anglii ogłosił, że wysyła wojsko do Polski pod pretekstem potężnych ćwiczeń i utworzenia baonów sojuszniczych. Ale nikt tego nie zrobi. – Rozejrzał się po wszystkich, po czym dodał: – Cieszę się, że dajecie z siebie tyle i niestety jestem niemal pewien, że niedługo wasze zdolności mogą zostać przetestowane.

– Więc jakie są rozkazy, majorze? Róbmy coś w końcu bardziej pożytecznego! – zawołał Sebastian.

– Stukniemy im tego Hitlera, to może się sprawa uspokoi – wtrącił Makarewicz.

Tuchowiak wymownie klasnął w dłonie na znak akceptacji.

– Muszę przyznać, że macie wiele wspólnego z chorążym, panie Radku. Gdyby to było takie proste. Chociaż dzisiaj to już chyba nie rozwiązałyby problemu – westchnął Feliks.

– Jak mnie chłopaki podprowadzą na kilkaset metrów do tego krzykacza, to go z bałki odpalę, jak nic – powiedział Sebastian.

Żart lekko podpitego porucznika rozbawił wszystkich.

– No, widzę, że bimber wam wszystkim bije równo do głowy.

– Feliks, wiesz, ja tam mu wierzę. Chcesz się założyć? – rzucił chorąży.

Żartowali, czując, że nic innego nie pozostało.

– No, no, nie zapominaj się. Lepiej opowiedz trochę o materiałach wybuchowych, przynajmniej jakiś pożytek będzie z tej nasiadówki.

Wojtek się uśmiechnął i jak zwykle z wielkim entuzjazmem rozpoczął swoją opowieść. Jaka ilość jest potrzebna, aby wysadzić szyny kolejowe, jak budować prowizoryczne bomby odłamkowe i jak kierować energią wybuchu, osiągając pożądane efekty. Wydawało się, że Makarewicz był wyraźnie zainteresowany tym tematem. Wszyscy zwrócili uwagę, że zadaje więcej pytań niż zwykle.

Wojtek wraz z majorem odpowiadali na pytania. Jutrzejszy dzień miał im pokazać, że to, o czym mowa przy ogniu, ma swoje odzwierciedlenie w rzeczywistości. Ognisko przygasało. Wszyscy usadowili się wygodniej, jakby byli gotowi do drzemki.

Major rozejrzał się po siedzących leniwie żołnierzach.

– Tak jak powiedział chorąży, jutro odsłoni wam rąbka tajemnicy i pokaże co nieco. Ja tymczasem wczesnym popołudniem znowu was opuszczę.

– Panie majorze – Sebastian zwrócił uwagę Feliksa.

– Słucham, poruczniku.

– Kończy nam się amunicja, potrzebuję też dostępu do tych nieużywanych egzemplarzy wz. 38. U pana Radka zamek jest do wymiany. Nie chciałbym, aby brał nową broń, bo tę ma już przestrelaną. Zmienię mu zamek. Potrzebowałbym kilku narzędzi.

– Dobrze, przed spaniem wypiszę wszystkie kwity, a rano pojedziesz ze mną do jednostki. Ja wsiądę do pociągu do Warszawy, a ty wrócisz tu naszym fiatem. Macie panowie jeszcze jakieś życzenia?

Popatrzyli po sobie i się uśmiechnęli.

– Coś jeszcze? Rozumiem, że cisza oznacza, że nie. To jak, panie chorąży, wszyscy najędzeni, opici, a godzina jeszcze młoda. Czas na relaks.

– Tak jest! – odpowiedział Wojtek. – Młody, gaś ognisko, wnosimy wszystko do środka. Za pięć minut przed willą w pełnym oporządzeniu.

Myśleli, że chorąży sobie żartuje.

– Co jest, kurwa, ogłuchliście czy co? Zapewniam was, że ta noc się dopiero zaczęła. Działaj!!! – wykrzyczał.

Rozdział 9

Wspinając się po schodach sztabu prosto do pokoju numer trzynaście, Feliks zastanawiał się, jak dziś wygląda Rozalia i czy nie powinien mieć ze sobą jakiegoś prezentu. Zaskoczyło go, że pomyślał o niej zamiast o pracy. Zastanawiał się, czy Rozalia wie o jego dzisiejszej wizycie.

Zapukał i wszedł do małego sekretariatu. Podniosła głowę. Rozchyliła lekko wargi ze zdumienia. Była jeszcze piękniejsza, niż ją zapamiętał. Przez kilka miesięcy blond loki stały się dużo dłuższe. Delikatna zwiewna chabrowa sukienka z niedużym dekoltem jakby zachęcała, aby podziwiać urodę kobiety. Żałował, że rękawy przykrywają ramiona, i marzył, żeby zobaczyć jej nogi.

– Dzień dobry, pani Rozalio, jakże miło panią widzieć.

– Dzień dobry, panie Feliksie. Mnie również miło pana zobaczyć. – Rozpromieniła się i mimowolnie odłożyła pióro na biurko, odwracając się w kierunku oficera.

– Jak zwykle wygląda pani zjawiskowo.

– Dziękuję.

Zawstydziła się lekko i poczuła rumieńce na policzkach. Patrzył na nią bez słowa. Poczul zapach cytrusowych perfum wymieszanych z letnimi kwiatami, które wypełniały teraz całe pomieszczenie. Wydawało się, że chwila ciągnie się w nieskończoność, a tak naprawdę były to tylko sekundy elektryzującej ciszy, które w końcu zostały przerwane przez piękną sekretarkę.

– Nie wiedziałam, że pan nas odwiedzi. Generał nic nie wspominał.

– Będąc pod Warszawą, przypomniałem sobie, iż obiecałem nie składać broni, więc nie mogłem przepuścić takiej okazji. Nie przyjechałem tu do generała.

Zaśmiała się. Wiedziała, że kłamie.

– Naprawdę?

– Ależ oczywiście. Dzisiaj przychodzę dwa razy lepiej przygotowany.

– Mianowicie?

– Droga pani, wszystko w swoim czasie, najważniejsze to mieć plan i działać z zaskoczenia.

– Proszę więc ujawnić swój plan, panie majorze.

– Wszystko w swoim czasie, w każdym razie proszę odwołać postanowienia na dzisiejszy wieczór. Tymczasem, jak już tutaj jestem, to zobaczę się z generałem. Przecież nie wypada się nie przywitać.

Uśmiechnął się i ruszył do drzwi, nie pozwalając jej zaprotestować. Gdy usłyszał pozwolenie na wejście do gabinetu, sekretarka sposepniała, zastanawiając się, gdzie dzisiaj zabierze ją najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego zna, i w co się powinna ubrać.

Rozdział 10

Ciężarówka Opel model Blitz z brezentową plandeką wyjechała z za rogu; tuż za nią podążało czarne nowoczesne bmw 326. Samochody minęły zniszczoną Nową Synagogę, której osmolone mury przypominały noc kryształową. Samochody, po przejechaniu kilkuset metrów Schweidnitzer Stadtgraben, zatrzymały się przed aresztem śledczym potocznie nazywanym „Kaszą”. Miejsce, gdzie dzięki zmianom politycznym zakompleksiony członek rady miejskiej dostał funkcję dyrektora. *Herr Grosseketler*, poczuwszy, że dzięki partii narodowosocjalistycznej stał się narzędziem w rękach Boga, wraz ze swoimi esesmanami i bojówkarzami z SA wprowadzał reżimowe rządy.

Wszystkich, którzy nie wierzyli w jedyną i prawdziwą doktrynę nowych Niemiec, powstających niczym feniks z popiołów, po prostu zamykał w swoich kazamatach. Dzięki temu Kasza pękała w szwach, a dyrektor ze skłonnościami sadystycznymi miał pełne ręce roboty. Wszyscy najwięksi wrogowie partii, tacy jak: sklepikarze, doktorzy, nauczyciele, muzycy, byli profesorowie i pracownicy naukowcy, którym zgodnie z nowym prawem można było cofnąć tytuł, i wielu innych normalnych ludzi, w których zauważono namiastkę komunisty, rewolucjonisty, Żyda bądź kogokolwiek innego, kto nie pasował do widzimisię gestapo, łądownali w rękach wrocławskiego oprawcy.

Wiele osób, które dostawały się do piwnic słynnego aresztu, najczęściej z błahych powodów, było bitych do nieprzytomności, męczonych psychicznie, przetrzymywanych w celach, gdzie prusaki można było zbierać ze ścian garściami. Tracili tam zdrowie, którego najczęściej już nie odzyskiwali. Skargi do władz miasta płynęły strumieniem mocnym i szerokim jak Odra, więc naciskana rada miejska, aby uspokoić opinię publiczną, co jakiś czas podejmowała decyzję o inspekcji.

Obejrzawszy regulaminowe posiłki, kilka cel oraz wysłuchawszy zeznań kilkunastu zastraszonych więźniów, nie stwierdzała uchybień. Propagandowy artykuł trafił do gazety i obwieszczał wszystkim, że opozycjoniści wspaniałej partii narodowosocjalistycznej stosują wszelkie możliwe sztuczki, aby dyskredytować jedynie słuszną władzę, która wynosi Niemcy, jako naród, ponad wszystkie inne.

Marcus Schreiber wysiadł z bmw i z widocznym obrzydzeniem spojrzął na brzydki gmach. Może to świadomość tego, co dzieje się za jego murami, nie pozwalała mu myśleć inaczej, a może monumentalizm nazizmu budził w nim cierpkie uczucia. Obrócił się na pięcie, włożył czapkę z charakterystycznymi srebrnymi sznurami oficerskimi

i podszedł do ciężarówki. Na pace siedziało kilku żołnierzy Wehrmachtu, a na drewnianej podłodze pomiędzy nimi znajdowało się kilka równo ustawionych skrzyń. Sto pięćdziesiąt polskich mundurów, zgodnie z życzeniem Führera, czekało na odbiór. Z Breslau miały być rozesłane do różnych nadgranicznych miejsc i tam posłużyć, jako rekwizyty, do skrzętnie planowanych prowokacji.

– Zaczekajcie tu na mnie, za chwilę wracam – rzucił.

– Tak jest, *Herr Oberst* – odpowiedział dowódca grupy.

Marcus wszedł do środka i na dyżurce zażądał połączenia z Sturmbannführerem Egnerem. Dowiedziawszy się wcześniej, że uczestniczy tu w jednym z przesłuchań, musiał zmienić trasę. Zawsze starał się spędzać jak najmniej czasu z esesmanami i gestapo. Zastanawiał się, czy przesłuchiwany nieszczęśnik może jeszcze mówić. Czekając, aż dyżurny nawiąże połączenie, wyciągnął srebrną papierośnicę. Przypalając papierosa, zauważył przechodzącego oficera gestapo. Skąd oni biorą tych ludzi? – pomyślał. Na twarzy tego człowieka widniała inteligencja karpia, którego niedawno mianowali na największego pana mórza. Co najmniej żarłacza białego. Pokręcił głową i wypuścił ustami dym.

Wtedy dyżurny poprosił go do telefonu.

– Schreiber przy telefonie. Słuchaj, Egner, ja nie mam całego dnia. Nie będę panu tłumaczył, jak ważna to sprawa, to raz, a dwa, nie będę tu stał w nieskończoność. Towar trzeba zabezpieczyć, chyba że ma pan ważniejsze zadania niż wykonywanie rozkazów Führera. – Zapanowała chwila ciszy. – Rozumiem. W takim razie czekam w holu – zakończył Schreiber i oddał słuchawkę młodemu Sturmmanowi.

Spoglądając na schody, palił spokojnie, oczekując na swojego rozmówcę. Po kilku chwilach, gdy na półpiętrze pojawił się nieprzyjemny typ w szarym mundurze SS, Schreiber podniósł głowę. Gdy Egner podszedł do biurka, młodzik stał już na baczność.

– *Heil Hitler* – rzucił Egner, kierując wyciągniętą dłonią w kierunku Marcusa.

Ten bez słowa zasalutował.

– Panie Egner, mieliśmy się spotkać w innym miejscu. Abwehra to nie firma kurierska.

– Wypadło mi nagłe spotkanie, *Herr Oberstleutnant*, proszę się nie gorączkować – rzucił beczelnie Sturmbannführer. – Już jedziemy, zakład karny jest chwilę drogi stąd.

– Co to za gierki, Egner? A co z Generalną Komendanturą?

– Nagła zmiana planów, *Herr Oberstleutnant*, przykro mi. Jeżeli pan chce, zawołam samochód.

– Niech pan sobie nie żartuje. – Marcus ruszył w kierunku wyjścia, a esesman tuż za nim.

Gdy wyszli przed gmach, Egner zauważył nowoczesne bmw stojące tuż obok

ciężarowego opla. Przy szoferce ciężarówki stał jeden z kierowców. Ten, gdy tylko zobaczył dowódcę schodzącego po schodach, strzepnął żar z połówki papierosa, którego od razu włożył do kieszeni, po czym wskoczył do kabiny.

– To Wehrmacht stać na takie auta? – Egner, mimo że niższy stopniem, nie zamierzał okazywać żadnego szacunku oficerowi wywiadu.

– To moje prywatne, zapraszam do środka, Egner.

– Widać za dobrze wam płacą. – Esesman rozejrzał się po nowoczesnym wnętrzu zgrabnego bmw.

– Niech pan sobie nie stroi żartów, proszę zająć się poważniejszymi sprawami i powiedzieć mi, jak jechać najkrótszą drogą. Nie mam zamiaru spędzać z panem całego przedpołudnia, w dodatku tak ładnego. Będziemy tu stali cały dzień, czy zapomniał pan, gdzie jest zakład karny? – Po tych słowach, nie czekając na odpowiedź, Schreiber włączył się do ruchu. Spojrzał w lusterko boczne, czy blitz jest za nim.

Egner pobladł ze wściekłości.

– Prosto, później w prawo w Nikolai aż do Königsplatz, a potem na most przez wyspę. Zjedziemy Wilhelmsbrücke przez Rossenthaler na Rossplatz.

– To zaraz przy dworcu Oderthor?

– Tak – wycedził Egner przez zęby.

Podróż minęła przyjemnie. Obrażony esesman patrzył w boczną szybę. Jedyne słowa, jakie wypowiadał, to były instrukcje, które jechać. Schreiber, prowadząc spokojnie samochód, myślał o drugim dzisiejszym zadaniu, które było dla niego zdecydowanie ważniejsze niż dostarczenie mundurów i oporządzenia polskich piechurów, wraz z łachmanami śląskich powstańców.

Cała operacja prowokacyjna w Gleiwitz miała spocząć na barkach SS. W tej chwili nie zaprzętał sobie tym głowy, dzisiaj miał zamiar spotkać się z polskim agentem, który przeszedł na ich stronę i teraz pracował dla Abwehry. To od niego po raz pierwszy usłyszeli o bardzo utalentowanym szpiegu, który działał na terenie Rzeszy. Sprawie nadano kryptonim, przejęto akta dochodzenia sekcji Luft, dotyczące zniknięcia młodego pilota. Marcus czuł, że trafił na kogoś, kto dzięki swoim umiejętnościom i odwadze może im wielce zaszkodzić. Wiedział, że to ważne spotkanie, bo Polak nalegał i ponoć miał jakieś rewelacje.

Jens Faber po niedawnej wyprowadzce z Berlina mieszkał w Breslau i pracując w Stowarzyszeniu Polonii, ciągle pozostawał czynnym agentem niskiego szczebla, składającym raporty przez konsulat bezpośrednio do Bydgoskiej Trójki. Schreiber nie znosił takich ludzi jak zdradziecki polaczyna i nie miał dla nich żadnego szacunku. Takich osobników kojarzył z najgorszymi szumowinami, tym bardziej że Polak robił to z chęci zysku. Uważał, że takim nie przysługuje nawet honorowa kula w łeb tylko

stryczek za pomocą fortepianowej struny.

Na tę chwilę jednak zdrajca przedstawiał wartość i należało go wykorzystywać na tyle, na ile się da. Gdy pokonał ostatni zakręt, tuż przed oczyma wyrósł mu zespół budynków z czerwonej cegły. Dwa z nich, zdecydowanie górujące nad innym, z lotu ptaka wyglądały jak nieudolnie napisane litery „x” i „y”. Zwolnił. Wysoki ceglany mur zwieńczony drutem kolczastym ciągnął się jak wzór na brudnej tapecie.

– Niech pan okrąży kompleks, wjedziemy przez mniejszą bramę, tam jest mały terminal załadunkowy – rzucił Egner.

Bmw znowu nabrało prędkości, dojechało do końca muru, skręciło w lewo i zatrzymało się przed stalową bramą. Strażnik, gdy zobaczył nieznanego samochód, wyszedł i poprosił o dokumenty. Rozpoznając Egnera, wrócił, aby otworzyć bramę.

– Zapraszam do środka – odezwał się esesman siedzący na miejscu pasażera.

– Nie, dziękuję. Mam jeszcze kilka spraw na głowie. Moi żołnierze wiedzą, co mają robić. Proszę pokwitować odbiór porucznikowi. Do widzenia, Egner. – Marcus wymownie obrzucił wzrokiem drzwi pasażera.

Esesman popatrzył na oficera Abwehry z widoczną nienawiścią i bez słowa wyszedł. Marcus wrzucił bieg wsteczny, cofnął się i zatrzymał przy oplu.

– Wiesz, co masz robić, Hans. Pamiętaj, bez podpisanych papierów nie odjeżdżasz – rzucił do swojego adiutanta Neumayera przez opuszczoną szybę.

– Tak jest, *Herr Oberst!* – odpowiedział adiutant.

Po chwili zgrabne bmw zniknęło w głębi ulicy.

Rozdział 11

Tym razem na stole nie było koniaku. Kaźmierczak poprosił Rozalię, aby przygotowała im po filiżance kawy. Siedzieli przy otwartych oknach, długie firany powiewały jakby w rytm niesłyszalnej muzyki. Generał był spokojniejszy niż poprzednio.

– Czy ty widzisz, Feliks, co się dzieje? Zarządziliśmy pełną mobilizację, Boże, myślałem, że odejdę spokojnie na emeryturę. Anglicy piszczą, że to przesada. Jasna cholera, co za ignorancja. Nic z tego nie rozumiem.

– Widziałem, panie generale. Mobilizacja to bardzo dobra decyzja. – Przez głowę przemknęła mu myśl, że o dobry rok za późno.

– No mów, jak twoje chłopaki. Aha, raport z testów broni napisany przez porucznika... Jak mu tam?

– Rychter.

– A tak, tak. Majstersztyk. Ministerstwo Wojny, jakby mogło, to zrobiłoby z tego cholerną propagandę. No, mów, z czym przyjeżdżasz.

– Panie generale, mogę mówić wprost?

– Śmiało.

– Dziękuję. Chłopaki szkolą się cały czas i wylewają siódme poty na poligonie. Jestem bardzo miło zaskoczony ich postępami, ale to nie wygłaszanie pochwał na temat moich żołnierzy jest celem tej wizyty. Telefonując do pana, wspominałem, że ciągle wykonuję pracę operacyjną. Jakiś czas temu jeden z ludzi z mojej siatki zażądał nagłego spotkania. Udałem się z wizytą do Berlina. Panie generale, zapytam wprost. Dlaczego chcemy obrobić willę Gruppenführera Radkego?

Kaźmierczak siedział jak zahipnotyzowany, nie do końca wierząc własnym uszom. To było wręcz niemożliwe, żeby jeden żołnierz miał tak rozległe kontakty. Pobladł, bez słowa podniósł się z sofy i podszedł do telefonu.

– Pani Rozalio, proszę natychmiast wezwać tu generała Ordyńskiego. Proszę powiedzieć, żeby zostawił wszystko i od razu tu przyszedł. – Odłożył słuchawkę na widełki aparatu i obszedł biurko, udając się do barku.

– Przez to wszystko, co się ostatnio dzieje, popadnę w jakieś uzależnienie alkoholowe – wytłumaczył się i postawił tacę z karafką i szklaneczkami na stoliku.

Major Zygartowicz obserwował swojego zwierzchnika. Generał usiadł naprzeciw i bez pytania nalał bursztynowego płynu.

– Od kogo masz te informacje? – zapytał z niedowierzaniem w głosie.

– Wykonawca to mój wieloletni kolega.

– Jasna cholera. Chciałbym w to nie wierzyć. Bóg mi świadkiem, strach mnie oblatuje na myśl, że skoro my mamy takiego Zygartowicza, to szkopy pewnie też. Myślisz, że wiedzą, że coś szykujemy?

– Tego się właśnie obawiam. Panie generale, w kraju pełna mobilizacja, cały świat spogląda na Europę jak na otwartą bańkę z benzyną, a my teraz przy niej odpalamy papierosy. Myślę, że gdyby te zuchwałe poczynania zostały odkryte, to Niemcy zrobią wszystko, aby podważyć naszą wiarygodność w oczach sojuszników. To jedno, ale trzeba dodać, że nie ma takiego drugiego włamywacza jak Zedermann. Istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że mu się uda, ale nigdy nie możemy mieć stuprocentowej pewności.

Rozległo się pukanie. Gdy do gabinetu wszedł generał Ordyński, zrobił się przeciąg i firany uniosły się, łopocząc niczym bandera na Błyskawicy. Do pokoju, oprócz generała, wtargnęło ciepłe czerwcowe powietrze. Feliks poczuł zapach lata niesiony z parku. Strzelił obcasami.

– Dzień dobry, panie generale.

– Witaj, Feliksie. Ty tutaj? Antoni. – Otyły generał skinął głową koledze.

– Siadaj, Gracjanie – powiedział Kaźmierczak i uzupełnił jedyną pustą szklaneczkę.

Przybysz opadł na fotel, a jego mundur rozsunął się na piersi.

– Streszczając naszą rozmowę, powinienem powiedzieć: niech pan zapyta jeszcze raz, majorze – powiedział gospodarz i zerknął na Feliksa.

– Pytałem, dlaczego chcemy obrobić bliskiego współpracownika Himmlera.

Szef wydziału wywiadowczego zakrztusił się whisky i kaszlnął tak, że Feliks widział, jak kropla alkoholu spadła na dywan.

– Co? – wyrzucił z siebie brzuchaty generał.

– Zareagowałem zupełnie tak samo. Okazuje się, że nasz Żyd to kolega, widać, bardzo dobry kolega, Feliksa.

– Jasna cholera, zapewniano mnie, że nic nie piśnie. Sprawdzamy każdego, z kim się spotyka. Nasi agenci ponoć nie spuszczają go z oka. Jak to możliwe?

Feliks uśmiechnął się z lekkim niedowierzaniem.

– Panie generale, faktem jest, że wybrano najlepszego z najlepszych. To, że ma ogon, wiedział od razu, zresztą niezwłocznie prześwietlił wszystkich, którzy go pilnują. To

naprawdę błyskotliwy człowiek, ale strasznie niestabilny emocjonalnie i trzeba mieć do niego podejście i wiedzieć, kto cieszy się u niego autorytetem.

– Co masz na myśli?

– Jednym zdaniem: Zedermann najspokojniejszy jest wtedy, kiedy kradnie. Błąd, że poszliście najpierw do Hofmanna.

– Jego też znasz?

– To długa historia. Ten złodziej nie pracuje teraz z nikim innym, tylko z tym paserem, który jest chciwy nie mniej niż Hitler. Zedermann to artysta, dla którego jestem agentem amerykańskiego wywiadu i najwyraźniej wartościowym kolegą, skoro mnie poinformował.

Generałowie popatrzyli po sobie.

– Amerykańskiego wywiadu? – Kaźmierczak pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Tak, ale to inna historia. Nie będę ukrywał, że sam plan wydawał mi się absurdalny. Chociaż gdy wiem, że zabiera się do tego pan Zedermann, wtedy wszystko nabiera innego wyrazu. Intryguje mnie jeszcze jedno, kim jest kobieta, która była w willi i zrobiła rysunki domu i sejfu.

Ordyński wyciągnął papierosa i bez pytania zapalił.

– A skąd wiesz, że to kobieta? – zapytał podejrzliwie.

– Przyjrzałem się planom i jestem niemal pewien, że rysunki są zrobione kobiecą ręką.

– To prawda, ale lepiej będzie, żebyś wiedział jak najmniej o jej działalności. Nie możemy was narażać – dodał dowódca sztabu.

– Rozumiem, ale uważam, że jest w niebezpieczeństwie. Boję się, że Niemcy jakoś trafili na nasz plan albo na jakieś poszlaki. Jeśli powiążą ją z tym wszystkim w jakiś sposób, to jest po dziewczynie. Jak dotrą do Hofmanna, ten bez wahania wszystko powie, podobnie jak Zedermann.

– Nie ma mowy, żeby do niej dotarli – powiedział Ordyński. – Nikt, oprócz nas, nie wie o jej istnieniu. Ona tylko dostarczała nam informacje. Użyliśmy innych agentów do pośrednictwa z tym Żydem.

– Mam nadzieję, że reszta w Berlinie jest tak samo sprytna jak ta pani. Nie wiem, co ma sfotografować Zedermann, ale jeżeli to cokolwiek powiązanego z inwazją, to musimy uważać, proszę mi wierzyć, SS będzie naprawdę czujne. Zresztą Radke zawsze porusza się ze swoją świtą. Pozwólcie mi to przynajmniej poprowadzić, przypilnuję Zedermanna i dostarczę przesyłkę. Nie narażajmy na dodatkowe ryzyko naszej koleżanki, i tak wykonała kawał dobrej roboty.

Generałowie milczeli przez chwilę. Kaźmierczak popatrzył na szefa wywiadu. Ordyński palił nerwowo. Wypuścił chmurę dymu. Patrząc, dokąd zmierza jasnoszary

obłok, zastanawiał się nad czymś. Po chwili strzepnął popiół do kryształowej popielnicy i zerknął na Feliksa.

– Co do obserwacji Żyda, to nie jest aż taki sprytny. Wiemy, że wcześniej bywał w Breslau, a teraz zadomowił się tam na stałe. Pilnują go jak oka w głowie. Ostatnia notatka mówi, że spotkał się z kolegą ze szkolnej ławy, który ma powiązania z półświatkiem. Dobrze wiemy, że już pełną parą pracuje nad skokiem. Poza tym jest tam świetny zespół, który na pewno sobie z tym poradzi.

– Rozumiem, panie generale. Nie twierdzę, że inni agenci nie dają z siebie wszystkiego. Staram się panom powiedzieć, że Zedermann staje się zauważalny, gdy chce być widzianym. Nie wiem, czy wiecie, o jakim talencie jest mowa. Pamiętacie, jak w trzydziestym drugim niemieckie gazety wrzały od informacji o śmiałej kradzieży dzieł sztuki należących do prezesa zarządu Allianzu Kurta Schmitta?

– To był Zedermann? – zapytał zaskoczony Kaźmierczak.

– Tak, to on – przytaknął Feliks. – Nie zastanawialiście się, panowie, dlaczego przystał na naszą propozycję? – dodał.

– Bo to chciwy Żyd, nic więcej. Gdy się dowiedział, o jakiej sumie mówimy, od razu się zgodził. Sam się zastanawiam, dlaczego korzystamy z tak niegodziwego człowieka – wtrącił poirytowany Ordyński.

Feliks upił mały łyk i przepłukał gardło. Zastanawiał się, jak to się dzieje, że tacy niekompetentni ludzie jak Ordyński piastują tak wysokie stanowiska.

– Przykro mi, generale, ale myli się pan. Ta kwota nie robi na nim wrażenia. Waluta mu się podoba, a w dzisiejszych czasach Żydowi niełatwo ją w Rzeszy kupić. Śmiem twierdzić, że gdyby nie pewne zdarzenie z przeszłości, to w ogóle by z wami nie rozmawiał.

– Jak to? – zapytał szef sztabu.

– Około trzech lat temu Zedermann i jego wspólnik, po pewnym zuchwałym napadzie na skrytki depozytowe w Szwajcarii, mieli tyle aktywów, że mogliby wykupić połowę Starego Miasta w Warszawie. Ale wiecie, panowie, jak wyglądają złodziejskie spółki. Niedługo po napadzie wspólnik Zedermanna go oszukał i ukradł mu cały łup. Mówi się, że dostał wielce intratną propozycję otwarcia biznesu w Niemczech. Okazało się, że to zlecenie prosto od narodowosocjalistycznej partii rządzącej. Ponoć obiecano mu wielką karierę na szczytach establishmentu. Skończyło się tak, że wspólnik Zedermanna zniknął w tajemniczych okolicznościach, a nasz włamywacz został z niczym. Oczywiście ma jakieś oszczędności, których kwota pewnie przyprawiłaby nas o zawrót głowy, ale jest pewien problem. To wszystko to biżuteria, złoto lub dzieła sztuki, pochowane po skrytkach. Dzisiaj Żyd w Niemczech nie upłynni żadnej z tych rzeczy. Bo go aresztują, okradną i wrzucą do obozu albo najnormalniej w świecie wpakują kulę w łeb. Hitler,

gdyby mógł, to by szwajcarskim bankom sprzedawał złote zęby swoich obywateli, więc wszędzie, gdzie wypływa większa ilość złota, od razu ją konfiskuje. Wracając do Zedermanna, on czuje nóż na gardle i dobrze wie, że w końcu gestapo zjawi się i u niego, dlatego pilnie potrzebuje czystych dolarów i za wszelką cenę chce się dostać do Stanów Zjednoczonych. Tam z gotówką otworzy jakiś biznes i zacznie szukać kontaktów, aby upłynnić swoje oszczędności. Podejrzewam, że większość z jego ostatnich łupów jest już za oceanem, teraz tylko czeka na dogodną okazję, żeby się tam dostać. Wiedźcie, panowie, że jak go teraz spłoszymy, to nikt go nie znajdzie. W każdym razie teraz jest po naszej stronie i możemy to wykorzystać. Chciałbym tylko podkreślić, że sprawa jest na tyle poważna, że nie możemy sobie pozwolić na niepowodzenie, nie teraz, kiedy wojna wisi na włosku. Hitler tylko czeka na kolejną prowokację. Widzieliśmy, co się stało po zamachu w Paryżu. Nie chcę grać roli antagonisty i wiem, że jeżeli nasza koleżanka nie jest w stanie tego sfotografować, to Zedermann to robi. Tak naprawdę to on już obrobił tę willę, tyle że w głowie. O to się nie obawiam. Boję się, żeby po wszystkim go nie capnęli. Jak go dopadnie gestapo, to na pewno pęknie, jeszcze zanim go dotkną. Zauważcie, jakim jest słabym ogniwnem. Jeszcze nie zaczął pracy, a już nas sprzedał, tylko jeszcze nie wie, że Polakowi.

Kaźmierczak nabił fajkę i wziął zapalniczkę, którą na stoliku zostawił Ordyński. Przypalając tytoń, zaczął pykać miarowo.

– Ma rację chłopak. Gracjanie, dobrze o tym wiesz – powiedział, wypuszczając obłoczki dymu z kącików ust.

– To prawda, że nie możemy narażać Adrastei. Przypilnujesz Żyda, a po wszystkim weźmiesz od niego mikrofilm i... – Nie musiał kończyć.

– Tak byłoby najlepiej – z powagą wtrącił generał Kaźmierczak.

Feliks spojrzał po twarzach generałów. Zastanawiał się, czy rzeczywiście stał się aż tak bezdusznym wykonawcą rozkazów, że bez wahania mógłby zabić Zedermanna.

– Chyba mam inne rozwiązanie – powiedział półgłosem.

– Jakie? – zapytał zdziwiony Kaźmierczak.

– Przywiozę go ze sobą, a tu, żebyśmy z nim nie mieli problemów, damy mu papiery i odeślę go przez Rumunię i Bułgarię do Grecji. Tam łatwo kupi sobie bilet do USA. Nawet realnie byłbym mu w stanie pomóc z tą podróżą. Mam dobrego kolegę w Pireusie. Za dużo dla nas robi, nie możemy się zachowywać jak Niemcy.

Generałowie spojrzeli po sobie i niemal niezauważalnie skinęli głowami.

– W porządku. Ma się znaleźć w pociągu do lepszego świata. Ty wybierasz sposób i miejsce, do którego go wyślesz – powiedział Ordyński.

– Feliksie, musicie być gotowi już od początku sierpnia – powiedział z przejęciem Kaźmierczak. – Gracjan poinformuje Adrasteę, może uda się jej wyciągnąć Radkego

z domu, wtedy dostaniecie informację i zaczniecie działać. Z jej raportów jasno wynika, że Niemcy coś szykują. Pokpiliśmy sprawę z przygotowaniem do wojny i chodziliśmy jak dzieci we mgle. Nie wiem, ile nam zostało czasu, ale trzeba postawić wszystko na jedną kartę. Poza tym liczymy na to, że łup będzie kartą decyzyjną dla Brytyjczyków. Wszyscy wiemy, że desperacko potrzebujemy pomocy w walce z nazistami – dodał.

– W pełni się z panem zgadzam. Wrócę do siebie, będę miał ze sobą telefon polowy. Linia nie będzie bezpieczna, więc proszę zadzwonić i dokładnie powiedzieć, kiedy mam się stawić w sztabie, niech to będzie data skoku. Podam zamiary na siebie, jak tylko dotrę do Leszna.

– Bardzo dobrze.

– Ku chwale ojczyzny! – odparł major.

Opróżnili szklaneczki, po czym Feliks wstał, założył rogatywkę, zasalutował regulaminowo i wyszedł, zostawiając generałów samych.

Stał przy biurku Rozalii. W jego oku pojawił się znajomy błysk. Siedziała, machając rytmicznie stopą, dając mu do zrozumienia, że jest oburzona, gdyż nie zdradził jej wcześniej planu wieczoru.

– Rozumiem, że postawił mnie pan przed faktem dokonanym, ale trzymanie mnie w niepewności jest wręcz oburzające – rzuciła prowokacyjnie.

Podszedł do niej. Otworzyła szerzej swoje błękitne oczy. Oficer zrobił jeszcze jeden krok, stał już tak blisko, że aby spojrzeć mu w oczy, musiała zadrzeć głowę do góry. Feliks czuł, że bez odwagi i pewności siebie nie zdobędzie pięknej Rozalii. On wiedział, co ma robić. Pochylił się delikatnie. Rozalia rozchyliła usta ze strachu. Boże, on mnie pocałuje, pomyślała. Drżała, nie mogąc się ruszyć. Nachylił się do jej ucha tak blisko, że czuła jego oddech na szyi. Jej ciało przeszył dreszcz.

– Droga pani, jestem oficerem wywiadu, obowiązują mnie procedury i klauzule tajności, a tu ściany mają uszy. Dlatego te tajemnice. Proszę ubrać się wieczorowo, zjemy coś i pójdziemy potańczyć. Będę u pani o siódmej. – Podniósł głowę i cofnął się o krok. Przyjrzał się jej przez chwilę, tak jakby chciał dokładnie zapamiętać ten widok, po czym bez słowa ruszył do wyjścia.

– Przecież pan nie wie, gdzie ja mieszkam – powiedziała oszołomiona.

Feliks obrócił się, trzymając na wpół otwarte drzwi, i posłał jej szeroki uśmiech. Jego oczy mówiły wszystko. Gdy zniknął za drzwiami, Rozalia westchnęła głęboko i powróciła myślami do stanu swojej garderoby, poszukując czegoś odpowiedniego na dzisiejszą randkę.

Rozdział 12

Gdy Faber zobaczył Schreiberga w drzwiach kafejki, od razu przeszedł go dreszcz. Postawny mężczyzna trzymał w dłoni letni kapelusz, który był umówionym znakiem. Faber popatrzył na niego i skinął głową w zapraszającym geście. Podpułkownik Abwehry otworzył rzeźbione pudełko i wyciągnął jednego R6. Jens podsunął mu zapaloną zapalniczkę.

– Dziękuję – powiedział Schreiberg i wypuścił dym. – No, Faber, co to za rewelacje?

– Skąd pan wie, czy ja to ja?

– Niech pan sobie nie żartuje. Wiem, jak pan wygląda. Powtórzę pytanie. Co to za rewelacje i co pan za nie chce?

– Nic nie chcę, robię to dla Rzeszy, najprawdziwszego z narodów.

– Nie pierdol mi tu głupot.

Poczuł lekki niesmak. Nie lubił przeklinać, choć widok Polaka zdrajcy wywoływał w nim same negatywne uczucia. Faber aż się wyprostował, słysząc poważny ton przybysza.

– Dostałem zlecenie obserwacji pewnego Żyda, który miał się pojawić w Breslau – powiedział konspiracyjnym głosem.

– Gratuluję. Niechże się pan spieszy. W dzisiejszych czasach ludzie znikają jak bańki mydlane, a w szczególności Żydzi. To mi chciał pan powiedzieć? – Przestrzelił go wzrokiem zupełnie tak, jakby mu nie zależało na informacjach.

– To nie byle jaki Żyd. To Moshe Zedermann. – Faber ściszył głos.

Schreiberg ciągle udawał obojętnego, chociaż pytania już kłębiły mu się w głowie, jedno po drugim. Po co Polacy rozpoczęli współpracę z ponoć jednym z najlepszych włamywaczy w Rzeszy? Zedermann, legenda świata złodziei, a mało kto wie, jak ten człowiek wygląda. Był czas, kiedy ten chciwy Żyd pomagał Abwehrze, kradnąc niewygodne dokumenty rumuńskiego biznesmena. Ciekawe, pomyślał.

– Kim jest ten Zedermann? – rzucił.

– To wielce zręczny włamywacz, panie... – Faber zdał sobie sprawę, że nie wie, jak nazywa się jego rozmówca.

Marcus nie miał nawet najmniejszego zamiaru się przedstawiać.

- Rozumiem. W takim razie po co go najęli?
- Nie wiem, to jakaś wielka tajemnica. Nikt nic nie wie. Sprawa jest ściśle tajna.
- Coś jeszcze?
- Kazali mi go śledzić. Widziałem, że kilkakrotnie jechał w kierunku dzielnicy Wilhelmsruhe, ale później jakby się rozpułynał w powietrzu.
- Masz jego adres?
- Mam. – Zdrajca skinął głową. – Neudorfstraße dwadzieścia siedem, ale nie pojawił się tam od kilku dni.

Schreiberg popatrzył na rozmówcę i pomyślał, że chętnie kazałby aresztować tego idiotę. Tacy ludzie zawsze przysparzają najwięcej kłopotów. Głupi, chciwi i krótkowzroczni, pomyślał.

- Jak to nie pojawił? Nie pogrywaj ze mną, Faber, bo nie wyjdzie ci to na zdrowie.

Polaka przeszedł dreszcz.

- Absolutnie, szanowny panie, mówię samą prawdę. Musiał się zorientować, że jest śledzony. Wyszedł z mieszkania cztery dni temu i do tej pory się tam nie zjawił.

Marcus zaciągnął się mocniej niż zwykle, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Nie dał po sobie poznać, że informacja rzeczywiście była nie lada rewelacją. Przyjrzał się polskiemu zdrajcy, po czym sięgnął po srebrne pudełko i je zamknął.

- Jak dowiesz się czegoś więcej, masz się skontaktować. Postaraj się bardziej.

- Tak jest. Jak tylko dowiem się czegoś więcej, to od razu powiadomię. Powiedziałem wszystko, co wiem. Proszę, to ostatnie zdjęcie Zedermanna, które udało mi się zrobić.

Wyciągnął z kieszeni fotografię i podsunął ją Marcusowi. Oficer wziął ją, zgarnął papierośnicę i wstał bez słowa. Wyszedł, nie pożegnawszy się. Kilka przecznic dalej stało jego bmw, za kierownicą siedział adiutant ubrany po cywilnemu. Marcus kluczył, trochę upewniając się, czy nikt go nie śledzi. Nie ufał Polakowi. Przysiadł kilka razy na ławce i korzystając z okazji, przyglądał się zdjęciu, zastanawiając się, jak dobrać się do polskiej siatki.

Po kilkunastu minutach dotarł do samochodu. Porucznik Hans Neumeyer był nie tylko wiernie oddanym podwładnym, ale także świetnym żołnierzem. Wiedział, że Schreiberg to renomowany oficer do zadań specjalnych Abwehry, więc starał się pokazywać z jak najlepszej strony, wypełniając swoje zadania sumiennie i bardzo dokładnie. Marcus to doceniał i lubił mieć go zawsze przy sobie. Wiedział, że ten oficer już niedługo obejmie dowództwo jednej z jego kompanii dywersyjnych. Hans, gdy tylko zobaczył podpułkownika, zapuścił motor.

- Jedziemy do hotelu – rzucił Schreiberg, wsiadając.

- Tak jest, *Herr Oberst*.

Gdy ruszyli w kierunku centrum, Marcus wyciągnął zdjęcie i podał żołnierzowi.

– Wytropisz tego Żyda i zaaresztujesz. Musimy go przepytąć.

– Jakiś ważny, *Herr Oberst*?

– Wydaje mi się, że tak. Pamiętaj, gestapo nie ma wiedzieć nawet tego, że kogoś szukamy.

– Tak jest! – Hans uśmiechnął się pod nosem.

– Mieszka w Berlinie, ale najpewniej siedzi teraz gdzieś tutaj. Zaczynaj poszukiwania od Neudorfstraße dwadzieścia siedem. To jeden z najlepszych włamywaczy w Niemczech, więc bądź czujny.

– Rozumiem.

– Potrzebuję też listy wszystkich mieszkańców Wilhelmsruhe.

Neumayer zmienił pas i spojrzał na swojego zwierzchnika. Jego mina mówiła, że ta sprawa nie może czekać.

– Zajmę się tym od razu, *Herr Oberst*.

– Bardzo dobrze. Czuję, że polski wywiad zbyt śmiało zaczął sobie poczynać – powiedział już półgłosem Marcus i utkwiał wzrok w miejskim krajobrazie.

Auto przejechało skrzyżowanie, skręciło w zieloną aleję, która prowadziła na Stare Miasto, gdzie znajdował się hotel Schlesischer Hof. Można powiedzieć, że rodzina Schreiber miał tam apartament niemal na własność.

Rozdział 13

To był jeden z tych czerwcowych wieczorów, na które czeka się przez cały rok. Zbliżała się osiemnasta trzydzieści, a wciąż było nie mniej niż dwadzieścia pięć stopni Celsjusza. Ludzie siedzieli w kawiarniach i ogródkach, dyskutowali, śmiali się i chłonili każdą minutę wspaniałego letniego wieczoru. Pary na ławkach obściskowały się po kryjomu, młodzi studenci zaczepiali samotne dziewczyny. Co chwilę przebiegały dzieci, śmiejąc się i śpiewając wyliczanki. Wszędzie roiło się od plakatów, zapraszających do wybrania się do teatru.

W mieście było dwadzieścia pięć czynnych scen, które wystawiały Moliera, Shawa czy polskich awangardowych dramaturgów. Paryż wschodniej Europy tętnił życiem towarzyskim. Kilkanaście minut temu major Zygartowicz skończył pastować buty i opuścił hotel. Nie wziął taksówki z postoju przy hotelu. Chciał skorzystać z przyjemnej pogody. Sielankowy klimat udzielał mu się przez chwilę, po czym do głowy przyszły czarne myśli, że to wszystko wkrótce może się zmienić.

Ludzie jakby z niczego nie zdawali sobie sprawy, żyli chwilą, zupełnie jak Tuchowiak. Mroczna część jego duszy podpowiadała, żeby zatrzymać wszystkich i krzyczeć wprost w ich twarze o zbliżającym się niebezpieczeństwie, ostrzec ich, poruszyć, kazać im działać. Wiedział, że uznano by go za człowieka nerwowo chorego.

Po kilkunastominutowym spacerze przez centrum natrafił na wolny samochód; wsiadł do niego i poinstruował taksówkarza, dokąd ma jechać. Ten, niezadowolony z krótkiego kursu, zrobił wymowną minę. Feliks to zauważył i obiecał dać napiwek. Dokładnie kilka minut przed czasem auto zatrzymało się przed kamienicą Rozalii. Wprawne oko taksówkarza wychwyciło, jak firanka w oknie na parterze poruszyła się tajemniczo.

Gdy wyszła przed dom, kierowca nie potrafił stłumić podziwu. Feliksowi równie trudno było opanować zachwyt. Gdy ją obserwował w sztabie, wyglądała pięknie. Gdyby miał komukolwiek opisać, jak wygląda dzisiaj, powiedziałby, że jego słownik nie posiada wystarczająco dużo odpowiednich określeń. Była oszałamiająca. Założyła czarną zwiewną i elegancką sukienkę z cienkiego materiału. Skrojoną tak, aby ledwie zakrywała kolana. Delikatnie opalona skóra Rozalii emanowała blaskiem.

Szła w tanecznym tempie niczym francuska modelka na wybiegu. Materiał, jakby narzucony na posąg bogini, podkreślał wszystkie krągłości. Duży dekolt działał na wyobraźnię. W idealnym rowku pomiędzy kształtnymi piersiami zwisała srebrna

zawieszka, która błyskała na tle opalonej skóry. Kolczyki zapewne były od kompletu, ale nie obchodziło go to zupełnie.

Patrzył teraz w zbliżające się do niego niebieskie oczy. Makijaż sprawiał, że nie musiała mówić, mogła kokietować samym wzrokiem. Blond fale upięte z tyłu głowy tworzyły zwieńczenie całego obrazu jednej z piękniejszych kobiet, o ile nie najpiękniejszej, jakie widział w życiu. Robił wszystko, żeby zapamiętać tę chwilę. Wysiadł z samochodu. Uśmiechnęła się. Gdy się spotkali, wyciągnęła dłoń. Pochwycił ją delikatnie.

- Dobry wieczór pani. – Schylił się i musnął ustami jej skórę.
- Dobry wieczór – odpowiedziała.
- Już to dziś mówiłem, ale się powtórzę, wygląda pani olśniewająco.
- Dziękuję.

Wskazał dłonią otwarte drzwi samochodu. Rozalia wsiadła, a Feliks zatrzasnął drzwi i obszedł auto. Nakazał kierowcy, aby jechał do hotelu Savoy. Zamówił tam kameralny stolik. Nie mógł się doczekać, kiedy się dowie o niej więcej.

Gdy dojechali na miejsce, restauracja hotelu wywarła na Rozalii spore wrażenie. Bez wątplenia była luksusowa. Ucieszyła się na myśl, że jest odpowiednio ubrana i nie będzie się czuła niezręcznie. Zygartowicz zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen oraz oficer Wojska Polskiego. Zamówił szampana i przystawki, później danie główne. Feliks miał ochotę na comber z zająca, a Rozalia wybrała fileta ze szczupaka. Bąbelki orzeźwiającego wytrawnego alkoholu wprowadziły Rozalię w przyjemny nastrój, dodatkowo nabrała śmiałości. Rozmawiali tak, jakby się znali od zawsze.

Ona opowiadała o sobie, studiach wyższych i rodzinie z korzeniami szlacheckimi. Feliks mówił o tym, że gdy był młody, stracił matkę, która odeszła po wycieńczającej chorobie, a potem także ojca, oficera, który zginął w wojnie bolszewickiej. Napomknął o tym, że byli z Kaźmierczakiem przyjaciółmi. Rozalia posmutniała, okazując pełne współczucie. Mówił też o przyjaźni z Wojciechem i miłości do literatury. Konwersacja szła lekko. Feliks był cierpliwym słuchaczem i umiejętnie zadawał pytania, flirtując przy tym z pełną klasą. Rozalia akceptowała flirt, odwzajemniając się.

- Może zwracajmy się do siebie po imieniu – powiedziała.
- Już myślałem, że nie zaproponujesz. – Uśmiechnął się.
- Gdy bywasz w Warszawie, generał Kaźmierczak to kalejdoskop stanów emocjonalnych. Wiesz, że ja muszę sobie z tym radzić, kiedy znikasz?
- Będąc szczerym, robię to celowo, żebyś się nie nudziła.

Parsknęła śmiechem, a na jej małym i lekko zadartym nosie pojawiły się seksowne zmarszczki. Przyglądał się jej.

– Mam coś na ustach? – zapytała.

– Nie, tylko lubię patrzeć, jak się śmiejesz. – Spojrzał jej w oczy.

Tym razem nie czuła, że się wstydzi, tylko czerpała z tego pełną przyjemność.

– Robią ci się takie drobne zmarszczki na nosie jak u małej dziewczynki – dodał.

Otworzyła oczy ze zdumienia.

– Słucham? – zapytała, ciągle uśmiechnięta.

– Słyszałaś przecież, chyba że chcesz, żebym powtórzył.

– Nie wiem... Pan ze mną flirtuje, panie majorze.

– Właśnie poniosłem porażkę. Oficer wywiadu został brutalnie zdemaskowany.

– Pański kamuflaż jest uczniowski. – Znowu się śmiała.

– Wiesz, jak to jest, czasami wprawny kamuflaż to właśnie prosta droga do klęski. Rzeczy oczywiste często usypiają czujność przeciwnika, utwierdzając go w przekonaniu, że ma rację. Świadome okazywanie braku profesjonalizmu jest profesjonalizmem.

– Tak, masz rację. A ty jesteś profesjonalistą, prawda?

– Tak.

– Skromnym zapewne.

– Bardzo – spojrzał na nią, uśmiechając się figlarnie.

Wtedy kelner podał desery. Gdyby nie dźwięk talerza, pewnie by go nie zauważyli. Kolacja minęła jak z bicza strzelił. Obydwoje zgodnie zdecydowali, żeby się przespacerować. Feliks obiecał tańce, a Rozalia nie oponowała. Zmierzali do kawiarni, w której były najlepsze dancingi w mieście. Idąc koło oficera w nienagannym mundurze, czuła się bezpiecznie. Wsunęła mu rękę pod ramię. Miała ochotę dalej flirtować. Nie robiła tego od niepamiętnych czasów.

– Czy zechce pani zatańczyć ze mną tango tego cudownego wieczoru? – zapytał.

– Z przyjemnością, proszę pana.

– A może rozgrzejemy się walczykiem?

– Teraz?

– Oczywiście, a kiedy?

Spojrzała na niego zdumiona. Puścił ją, odszedł krok w tył, wyciągnął dłoń w zapraszającym geście. Uśmiechnęła się, kręcąc głową z niedowierzaniem. Położyła delikatnie palce na jego dłoni. Wtedy, przyciągając ją samym nadgarstkiem, poprowadził ku sobie. Wpadła w jego ramiona.

– Zupełnie oszalałeś! – zaśmiała się.

– To prawda.

Podniósł dłoń i ją obrócił. Kilku przechodniów zwróciło na nich uwagę. Jedni obserwowali ich z zaskoczeniem, inni z podziwem. Kilka młodych kobiet w towarzystwie jednego mężczyzny, którzy ich właśnie mijali, obrzucili parę zazdrosnymi spojrzeniami. Po chwili, jakby na życzenie Feliksa, zrobiło się pusto. Zatrzymał się z Rozalią w ramionach.

– Bardzo mi się podobasz, dawno nie spotkałem takiej kobiety. – Przytulił ją i spojrzał w oczy. Poczuł, jak delikatnie drży.

– Ty też jesteś wyjątkowym mężczyzną – odparła.

Gdy znalazła jego wzrok, Feliks już zbliżał głowę, aby ją pocałować. Zatrzymał się tuż przed jej ustami, prawie muskając jej wargi. Uśmiechnął się delikatnie. Dreszcz podniecenia przeszedł po jej ciele. Przymknęła powieki i przyłgnęła do niego całym ciałem. Całowali się namiętnie. Zapomniała o bożym świecie. Delikatnie wsunęła język w jego usta. Pocałunek był namiętny, ale nie dość długi. Odrywając głowę, przygryzł lekko jej dolną wargę, co się jej bardzo spodobało. Zdecydowanie chciała więcej. Gdy otworzyła oczy, zauważyła, że Feliks uśmiecha się niczym urwis. Wiedziała, że to mężczyzna, na którego tak długo czekała.

– Smakujesz jak dojrzałe truskawki – powiedział.

Trzepnęła go w ramię.

– Czy wiesz, że ja nigdy nie robiłam takich rzeczy? Zachowuję się jak oczarowana nastolatka.

– Jeżeli oczekuje pani przeprosin za moje zachowanie, to powiem, że gdyby nawet stał tu sam marszałek, to Bóg mi świadkiem, zrobiłbym to jeszcze raz.

– Lepiej chodźmy już na to tango – powiedziała zadowolona.

Podał jej ramię i ruszyli w kierunku Adrii. Spacer był bardzo przyjemny, wysoka temperatura przestała już doskwierać, a na ulicach było mniej tłoczno. Nie spodziewała się, że w słynnej restauracji będzie się bawiła tak dobrze. Tańczyli. Okazało się, że Feliks nie tylko jest pewny siebie w codziennych sprawach, ale także że wprawnie prowadzi w tańcu.

Chwilę po tym, jak zatańczyli czwarty czy piąty numer, Feliksa rozpoznał kapitan piechoty, który miał okazję poznać go w Bydgoszczy. Był razem z małżonką, niską szatynką przy kości z małym perkatym noskiem. Biło od niej ciepło i zamięłowanie do kuchni, co także dało się zauważyć po kapitanie. Za pozwoleniem dosiedli się do flirtującej pary. Wieczór upływał we wspaniałej atmosferze, pili i bawili się, jakby świat miał się skończyć jutro.

Rozalia po opróżnieniu kolejnej lampki szampana ośmieliła się i położyła dłoń na dłoni Feliksa. Wiedziała, że będzie wspominać ten wieczór przez długie lata. Chciała zachować każdy szczegół w pamięci. Marzyła, żeby został jej mężczyzną. Reszta się nie

liczyła.

Po drodze do domu całowali się kilka razy, zupełnie spontanicznie. Gdy Feliks zobaczył znajomą kamienicę, pod którą zatrzymał się taksówką kilka godzin temu, przystanął i objął Rozalię w pasie.

– Jesteśmy na miejscu. – Popatrzył jej w oczy.

– Wiem – odparła.

Mimo lekkiego rausza myślała trzeźwo. Całe ciało i dusza krzyczały, aby teraz właśnie nie postępowała racjonalnie. Od tak dawna pragnęła miłości do takiego mężczyzny. Bała się, że pomyśli, że jest łatwa i że źle się prowadzi. Co mi z tej mojej racjonalności, trzeba żyć, świat staje na głowie, a ja się martwię, że pomyśli o mnie, że się źle prowadzę. Uśmiechnęła się do niego. Dalej patrzył jej w oczy.

– Nie chcę, aby ten wieczór się skończył – powiedziała.

– Ja też – odparł.

– Wejdiesz?

– O niczym innym teraz nie marzę.

Wzięła go za rękę i poprowadziła do swojego mieszkania. Kochali się tak, jakby czas stanął w miejscu. Całkowicie oddając się przyjemności. Gdy na ułamek sekundy powróciła do rzeczywistości, ogarnął ją strach, że jest przy nim tak wielce niedoświadczona. Ale tylko na ułamek sekundy. Delikatne dłonie gładziły jej ciało, usta całowały jej piersi i szyję. Jego dłonie wdzierały się pomiędzy jej gęste blond włosy.

Otworzyła oczy, dysząc. Jej ciało drżało. Przytulił ją i trzymał w ramionach, dopóki się nie uspokoiła.

– Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką spotkałem w całym swoim życiu.

Pocałował ją namiętnie. Rozpląkała się.

Feliks nie spał całą noc, w przeciwieństwie do Rozalii, która w jego ramionach usnęła jak dziecko. Myślał i bał się. Bał się zaangażować. Jego umysł wymyślał przeróżne wymówki. Wiedział, że tchórzy i szuka pretekstu do ucieczki. Wiedział, że będzie uciekał.

Bał się tego uczucia bardziej niż wojny, która stała u progu. Bał się, że nie będzie umiał jej dostatecznie ochronić. Nigdy jeszcze nie spotkał takiej kobiety. Zawładnęła nim tak samo jak myśl o tym, że ją zostawi i po raz kolejny usunie się, ucieknie, nie zaangażuje. Patrzył na nią, była taka piękna i niewinna. Promienie leniwego niedzielnego poranka zaczęły wdzierać się do sypialni. Po chwili Rozalia otworzyła oczy. Kochała go jak nikogo innego.

– Dzień dobry – szepnęła niewyraźnie.

– Witaj. – Pocałował ją.

Wiedziała, co go trapi. Już wczoraj o tym myślała i liczyła na to, że się myli. Teraz wiedziała, że byłoby to za cudowne, aby mogło być prawdziwe.

– Nic nie mów – rzekła.

Ściągnęła z dłoni mały pierścionek z rubinowym oczkiem i mu go dała. Nie wiedział, dlaczego go wziął.

– Jak się następny raz spotkamy, to mi go oddasz. Wtedy będziesz wiedział. – Podniosła się i pocałowała go delikatnie w policzek.

– Idę się wykąpać, kochany.

Wstała i zniknęła za drzwiami. Gdy puściła wodę do wanny, a jej szum rozszedł się po małym przedpokoju, rozpłakała się. Cicho, z twarzą w ręczniku. Gdy usłyszała trzask zamykających się drzwi, puściła ręcznik i zaczęła zanosić się szlochem.

Rozdział 14

Do Sztabu Generalnego wiadomość dotycząca Radtkego przysłała szesnastego sierpnia. Agathe Holler po raz kolejny pokazała kunszt swojego aktorstwa i bez większych trudności udało się jej namówić esesmana, aby zaprosił swojego dowódcę na wyścigi konne. Wiedziała, że Radke nie przepuści okazji spędzenia z nią całego dnia.

Wyścigi odbywały się w niedzielę, dwudziestego sierpnia. Gdy w bydgoskiej rezydenturze wywiadu odczytano depeszę, natychmiast bezpieczną drogą przekazano ją zwierzchnikom w Sztabie Generalnym w Warszawie. Kaźmierczak miał zamiar sam poinformować Feliksa. Połączył się z jednostką w Lesznie, instruując dyżurnego, że połączenie będzie niestandardowe. Leszczyński operator wiedział, jak pokierować połączeniem. Jego uprzednie pytania i obawy o utratę przepustki zostały powstrzymane kilkoma paczkami silesianów, które przyjął bez mrugnięcia okiem. Papierosy w jednostce były luksusem, a często nawet jednostką monetarną podlegającą wewnętrznej inflacji.

Słyszając dźwięk telefonu, Makar wbiegł do baraku i poderwał słuchawkę polowego urządzenia.

– Plutonowy Makarewicz, słucham? – Nie wiedzieć dlaczego, stanął na baczność. – Tak jest, panie generale! – rzucił regulaminowo. – Zawołać go do telefonu? Zrozumiałem, dwudziestego sierpnia. Niezwłocznie go powiadomię.

Odłożył słuchawkę i zanim poszedł na strzelnicę, gdzie cała grupa ćwiczyła strzelanie z broni krótkiej, skręcił papierosa, zastanawiając się, co się dzieje, że szef sztabu dzwoni do jakiejś zapchlonej dziury gdzieś pod Lesznem.

– Panie majorze, właśnie dzwonił generał Kaźmierczak – powiedział, zwracając na siebie uwagę.

Feliks obrócił się w kierunku plutonowego i schował visa do kabury.

– Mów.

– Ma się pan stawić w sztabie dwudziestego sierpnia.

– Rozumiem, dziękuję, panie Radku. Panowie – powiedział to takim tonem, że wszyscy zwrócili na niego uwagę. – Mamy do wykonania zadanie w Rzeszy – dodał.

– Kiedy pakujemy graty? – Ciszę przerwał podekscytowany Tuchowiak.

– Pozwól mi sprecyzować. Jadę tylko ja i Andrzej. Potrzebny mi dobry kierowca

z biegłym niemieckim. To krótki wypad, maksymalnie trzy dni.

Starszy szeregowiec Horyński, słysząc te słowa, zamarł. Feliks obrzucił go spojrzeniem.

– Jak, panie Andrzeju, gotowy?

– Ku chwale ojczyzny, panie majorze – odpowiedział jak automat, trzęsąc się wewnątrz ze strachu.

Moshe Zedermann od dwóch miesięcy mieszkał w Breslau i, jak przystało na wziętego włamywacza, sumiennie przygotowywał skok. Czuł, że tym razem sprawa jest zbyt delikatna i coś może pójść nie tak. Z Berlina dotarły do niego wieści, że gdyby chciał wracać, powinien zachować najwyższą ostrożność, ponieważ szukają go tajniacy. Jeden z jego zaufanych ludzi delikatnie dał nawet do zrozumienia, że nieroztropnie byłoby w ogóle pojawiać się w zakładzie.

Na miejscu bardzo łatwo zgubił polski ogon. Szybko zmienił lokum, ale najbardziej niepokojące wiadomości nie dotyczyły Polaków. Dowiedział się, że w byłym mieszkaniu, zaraz po Polakach, pojawił się niemiecki tajniak. Pomyślał o ucieczce za ocean na własną rękę, lecz zaraz odrzucił ten pomysł, od zawsze był człowiekiem, który dotrzymywał obietnic. Zresztą wyjazd do Ameryki bez żadnej pomocy był niemożliwy, biorąc pod uwagę fakt najistotniejszy, że jest Żydem.

Nie przejmował się tym więcej, tylko skupił na zadaniu. Moshe Zedermann pozostawił rozterki na temat swojej przyszłości i sumiennie rozpracowywał willę. Już od miesiąca sownie opłacał nie tylko kucharza, ale także jedną ze sprzątaczek. Plan pomieszczeń znał lepiej niż niejeden własny dom. Podobnie było z systemem służb młodych esesmanów, dość regularnie korzystających z domu uciech, którego właściciel robił interesy z jego starym znajomym.

Świat jest mały. To była jedna z tych okazji, na które czekał. Płacił koledze tyle, aby on mógł odpowiednio wynagrodzić właściciela burdelu. Ten finansował dodatkowo swoje dziewczyny, które z gracją wypytywały odwiedzających je esesmanów. Dzięki temu otrzymał bezcenną wiedzę o obecnym mieszkańcu willi i jego upodobaniach.

Znanego esesmana obsługiwały drogie kobiety do towarzystwa, które zazwyczaj opuszczały willę przestraszone i posiniaczone. Lecz to nie alfons miał odegrać główną rolę ani też żadna z jego pań. Przepustką włamywacza miała być zwyczajowa dostawa. Oprócz tego, że willa potrzebowała sporych zapasów żywności do funkcjonowania, to przy okazji należało zaspokajać wyszukany gust SS-Gruppenführera Radkego, który nie tylko miłował perwersję, ale przepadał także za luksusowymi towarami, takimi jak: kawior, drogie wina, szampany i morfina, od której był uzależniony.

Przekonanie dostawcy towarów spożywczych i luksusowych, który od lat prowadził

swój biznes w Breslau, było trudne. Z czasem pokonał i tę przeszkodę. Siła złota, jedyne prawdziwego pieniądza, czyniła cuda. Niemiec na początku się tłumaczył, że robi to dla rodziny i córek, że gdyby nie sytuacja, to on nigdy, tak, oczywiście – Moshe słyszał to wiele razy. Szwab był po prostu chciwy. Wszak za tę ilość kruszcu mógłby zamknąć biznes co najmniej na rok. Zadanie było banalnie proste, choć bardzo niebezpieczne. Właściciel sklepu miał go dostarczyć na teren rezydencji.

W czasie gdy major Zygartowicz i starszy strzelec Andrzej Horyński podróżowali koleją w kierunku Breslau, Hans Neumayer czuł, że poniósł kolejną porażkę. Następna poszlaka w poszukiwaniu żydowskiego włamywacza okazała się ślepym zaułkiem. Jak to jest, że mimo iż całe partyjne środowisko słyszało o Zedermannie, to do tej pory go nie złapano? Neumayer miał wrażenie, że włamywacz wyparował niczym kamfora.

Zaskoczony obrotem spraw, skupił się na odnalezieniu jego pasera, który tak samo jak poszukiwany zapadł się pod ziemię. Od tygodnia dreptał w miejscu. Wszyscy nabrali wody w usta. Sam nawet nie był już przekonany, czy przesłuchuje właściwe osoby. Nadszedł czas, aby poinformować swojego przełożonego o stanie powierzonych mu spraw. Podniósł telefon i połączył się z jednostką w Breslau.

– Dzień dobry, *Herr Oberst*.

– Witaj, Hans. Jakie wieści? Macie go?

– Proszę wybaczyć, *Herr Oberst*, ale nie wiem, co się dzieje. Wygląda to tak, jakby wszyscy z otoczenia naszego Żyda pozapadali się pod ziemię. Przesłuchałem wiele osób z tego środowiska. W pracowni jego wuja powiedziano mi, że aresztowano właściciela i słuch po nim zaginął. Sprawdziłem obozy i areszty. Nic. Jestem przekonany, że to mistyfikacja. *Herr Oberst*, obawiam się, że nie wiem, co dalej robić.

– Rozumiem, Hans – odpowiedział spokojnie podpułkownik. – Chyba nawet nie jestem zaskoczony takim obrotem spraw, ten Żyd to szczywana bestia. Nie złapiemy go w ten sposób, poruczniku. Myślę, że sam do nas przyjdzie.

Neumayer szeroko otworzył oczy ze zdziwienia.

– Jakim cudem, jeśli wolno mi spytać?

Marcus domyślił się, o co chodzi, jak tylko dostał listę mieszkańców luksusowej dzielnicy. Przy jednym adresie jego ludzie dodali odręczny wpis: „wynajęta dla oficera SS – najemca Gruppenführer Klaus Radke”.

– Zleciłem obserwowanie pewnej willi, czuję, że prędzej czy później nasz włamywacz się tam pojawi. Tymczasem wracaj do mnie, będziesz mi potrzebny.

– Tak jest, *Herr Oberst*.

Schreiberg odłożył słuchawkę.

W Trebnitz major wraz z Andrzejem odebrali dwie sztuki broni i samochód. Stamtąd

bezpośrednio udali się do hotelu. Opel nie był najnowszy, ale szeregowiec radził sobie z nim świetnie. Na miejsce dotarli wczesnym wieczorem. Zaraz po zameldowaniu się wyszli na umówione spotkanie. Andrzej dostał dyspozycję trzymania się na uboczu, ale w zasięgu wzroku. Do spotkania doszło po godzinie siódmej w spacerowym rejonie, tuż przy kanale Odry.

Feliks, siedząc na ławce, czytał gazetę, w której propaganda osiągała wyżyny absurdu. Major rozglądał się niepostrzeżenie. Po kilku minutach starzec, który go mijał, dosiadł się nagle. Feliks ze zdumieniem rozpoznał znajome rysy.

– Niech mnie diabli, *Herr Zedermann*.

Żyd uśmiechnął się szelmowsko.

– Dobry wieczór, *Herr Eberhardt*, mówiłem panu, że złodziejska praca polega na mistyfikacji – powiedział zupełnie jak starzec, świszcząc.

– Dobry wieczór. To niesamowite – skwitował. – *Herr Zedermann*, jutro od czternastej dom przez trzy, może cztery godziny będzie bez właściciela.

– Dobrze – skinął głową Moshe i zamilkł na chwilę. – *Herr Eberhardt*, wszystko gotowe, jest tylko jeden problem.

– Jaki?

– Szukają mnie w Berlinie i tutaj.

– Gestapo?

– Nie, ale nie wiem, czy nie gorzej. Wychodzi na to, że to *Abwehra*.

– Rozumiem. Zaobserwował pan jakieś zmiany w życiu codziennym willi? – powiedział to tak, aby nie pokazać zmartwienia. Działo się to, czego się najbardziej obawiał.

– Samej willi nie, ale od niedawna obserwują ją dzień i noc.

– Cholera jasna. Domyśla się pan, skąd mogą wiedzieć?

– Niestety nie, ale w samej willi nic wielkiego się nie dzieje.

– Da pan radę, *Herr Zedermann*?

Żyd tylko popatrzył na niego wymownie.

– Bardziej pytam, co ze mną będzie po wszystkim. W Berlinie jestem spalony, tutaj zresztą też, kto wie, czy nie w całej Rzeszy.

– Po wszystkim przedostaniemy się razem do Polski.

– Jak to! Przecież...

– Spokojnie, niech mi pan zaufa, nasza umowa jest cały czas aktualna, dostanie się pan za ocean, tylko okrężną drogą – przerwał mu Feliks.

Moshe westchnął, poprawił okulary i podrapał się po siwym zaroście.

– Dobrze więc, za północnym murem jest spokojna uliczka, do której dochodzą dwie alejki. Zaparkuje pan w jednej z nich tak, żeby widzieć całe ogrodzenie. To miejsce pozwala na dogodną obserwację i dobrze skryje samochód. Odbierze mnie pan z chodnika, gdy tylko mnie zauważy. Proszę pamiętać, aby dojechać do tej uliczki od zachodniej strony. Czujka postawiona przed bramą spisuje wszystkie numery samochodów. Raz też pojechali za jednym podejrzanym.

– Jak pana rozpoznam?

– Ufam, że o tej porze będę tam tylko ja. W tej dzielnicy mało kto porusza się na piechotę.

– Dobrze. – Zygartowicz skinął głową, pogmerał w kieszeni i podał mu małe pudełko. – Film jest nałożony. Proszę pamiętać o przewijaniu za każdym naciśnięciem spustu.

Moshe wziął pudełko bez słowa i schował w teczce.

– Widzimy się jutro, *Herr Zedermann*.

– Do zobaczenia, *Herr Eberhardt*.

Stary człowiek wstał i bez słowa ruszył przed siebie, szurając nogami jak schorowany starzec. Feliks popatrzył na Andrzeja przyglądającego się mu z oddali i skinął na niego głową, aby ruszył w jego kierunku.

Była niedziela, dwudziestego sierpnia. Chwilę po czternastej przestało padać. Krople letniego deszczu wymieszały ciężkie gorące powietrze i teraz czuło się zbawienną rześkość. Do uchylonych szyb opla olympii docierał zapach świeżego sosnowego lasu. Andrzej, zgodnie z instrukcją, znalazł miejsce na końcu alejki i zaparkował samochód, omijając obserwatorów.

Willowa dzielnica Wilhelmsruhe jakby opustoszała. Irytująca cisza i oczekiwanie zaczęły mu doskwierać. Samochód mógł zwracać uwagę w tak prestiżowej dzielnicy Breslau. Obaj obserwowali wysoki mur posesji, nad którym wystawały równo posadzone drzewa. Różnorodność gatunków była taka, że dendrolog czułby się tu jak w raj. Gdzieniegdzie, między konarami drzew, można było dostrzec jasny kolor elewacji budynku.

Rezydencja została wybudowana na planie równoramiennego krzyża. Piękne balkony na piętrze zaprojektowane tuż nad salą balową, pokojami służby, spiżarnią i kuchnią sprawiały, że bryła wydawała się pełniejsza. Na pewno nie była toporna. Widoczne segmenty oddzielał zdobiony gzyms, który otaczał całą rezydencję niczym biżuteria szyję pięknej damy. Skomplikowany dach wyraźnie odznaczał się na tle wszechobecnej zieleni swoim mocnym ciemnoczerwonym kolorem dachówki, zwanej potocznie karpiówką.

Główna brama znajdowała się od ulicy Parkstraße. Feliks i Andrzej, obserwując

ogrodzenie, nie mogli zauważyć, kiedy przy bramie zjawiała się ciężarówka z białym napisem na plandece „Delicatessen Winkler”. Tymczasem młody Sturmman, stojący przy jednym z filarów, zdziwił się na jej widok.

Dostawy z reguły odbywały się w poniedziałki. Myśl ta uleciała szybko, bo na jej miejsce wskoczyła wizja papierosów, które właśnie mu się kończyły. Esesman uśmiechnął się, gdy rozpoznał kierowcę, po czym otworzył bramę. Auto ciężarowe wjechało na teren posesji i podjechało drogą pośród równo posadzonych cyprysów, aby zatrzymać się tuż przy spiżarni i kuchni, której okna wychodziły na mały domek dla gości.

Warkot samochodu wywołał ciekawość. Gdy esesmani rozpoznali znajomy pojazd, od razu wyszli z małego ceglanego domku. Niby to z chęci pomocy, ale bardziej z ciekawości, czy może i tym razem coś im skapnie. Pierwszy do samochodu podszedł dowódca ochrony, sławny ordynans Radkego, Sturmscharführer Christian Meyer.

– *Heil Hitler!* – rzucił esesman, patrząc na otyłego właściciela samochodu, który właśnie dłonią otarł pot z czoła.

– Dzień dobry, *Herr Meyer*. – Człowiek starszy od esesmana o co najmniej dwadzieścia lat ukłonił się z przesadnym uśmiechem.

– Co to, dostawa nie w poniedziałek?

– Szanowny panie oficerze, w poniedziałek też przyjeździemy. Rozkładam dostawy na części, mam tu w okolicy jeszcze kilku klientów. Staram się oszczędzać na paliwie. W dzisiejszych czasach...

– Dobrze, dobrze, starczy tego – przerwał. – Masz coś dla mnie?

– Szanowny panie, oczywiście, wedle zamówienia, a nawet coś poza rachunkiem by się znalazło, gdyby tylko pańscy ludzie pomogli mi rozładować to wszystko. Mój pomagier się rozchorował i zabrano go do szpitala.

Meyer popatrzył na niego z pogardą, po czym rzucił ostro:

– Skrzynka sznapsa i karton papierosów!

Przysłuchującym się żołnierzom zabłyszczały oczy, a Winkler zaklął w duchu, wiedząc, że musi się zgodzić.

– Dobrze, przecież wie pan, że i tak nie pozostawiłbym panów z pustymi rękami. Zawsze przywożę coś ekstra.

Młody Sturmscharführer obrócił się na pięcie.

– Na co się gapicie, co? Ślina wam już leci po brodach, psy zapchlone. Wszystko do spiżarni. Rozładować to! Raz!

– Tak jest, *Herr Sturmscharführer!* – odpowiedzieli jednogłośnie i ruszyli żwawo.

Po chwili pasy od plandeki były rozwiązane, a gdy jeden z esesmanów wskoczył na

pakę, Winklerowi pot spłynął po plecach. To był ten dzień, kiedy właściciel intratnego interesu dowiedział się, do czego służy rowek na kręgosłupie. Bał się tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Chwilę później kosze z jarzynami, skrzynki z owocami, kartony z alkoholem lądowały prosto przez drzwi piwniczne w spiżarni pod kuchnią.

Winkler prowadził rozmowę z oficerem w kabinie. Choć raczej był to monolog sklepikarza. Zgodnie z umową pucołowaty Niemiec przekazał mu karton jakościowej wódki, pudło papierosów i opakowanie z fiolkami morfiny. Esesman odebrał wszystko, po czym ruszył do willi. Gdy Winkler wyszedł za nim, aby go kulturalnie pożegnać, zauważył, że młodzi żołnierze, klnąc pod nosem, walczą z kopiałą skrzynią ziemniaków. Była na tyle wielka, że spokojnie mieściło się w niej pięćdziesiąt kilogramów. Dwóch żołnierzy złapało za jej dno i podniosło ją z trudem. Znowu poczuł, jak strużka potu ścieka mu po plecach.

Wsiadł do samochodu i spoglądał w lusterko. Gdy zauważył, jak opuszczają piwnicę, ocierając pot, zapalił motor i ruszył ku bramie. Jadąc do domu, myślał już tylko o tym, co zrobi z lśniącą prowizją. Gdy wyjechał z posesji, skręcił w kierunku Tiergartenstraße i po chwili minął zaparkowanego ciemnego opla olympię. Jeden z młodych szeregowych Wehrmachtu sprawdził w notesie numery rejestracyjne. Ciężarówka widniała na jego liście. Gdy cała sytuacja na podwórku willi wróciła do normy, w spiżarni znajdującej się tuż pod kuchnią sterta ziemniaków w drewnianej skrzyni poruszyła się delikatnie. Po chwili ziemniaki zaczęły spadać jeden po drugim. Ze środka wyłoniła się drobna postać.

Zedermann delikatnie stanął na posadzce, po czym zaczął rozcierać zdrętwiałe mięśnie. Pozycja, w której spędził ostatnią godzinę, była dużo więcej niż niewygodna. Gdy do kończyn wróciło krążenie, pozbierał porozrzucane ziemniaki i wrzucił je do skrzyni. Rozejrzał się po kuchni, odnalazł kosz z kartoflami i dosypał brakującą objętość do nowej dostawy. Zerknął na zegarek wiedział, że służba ma wolne. Kolacja planowana była na godzinę osiemnastą. Esesmani jedli o trzynastej. Teraz była dokładnie czternasta dwadzieścia.

Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu miejsca opisywanego przez pokojówkę. Na przeciwległej ścianie od drzwi piwnicznych była mała winda towarowa. Szyb przebijał wszystkie kondygnacje. Jego interesował ostatni przystanek w małej kuchence, która obsługiwała sypialnię na piętrze pod warunkiem, że w willi było odpowiednio dużo gości.

Przywołał windę. Była mniejsza, niż to opisywała pokojówka, ale po pierwszych oględzinach wiedział, że się zmieści. Jedyne pytanie brzmiało, czy silnik elektryczny da radę udźwignąć sześćdziesiąt kilogramów. Zobaczymy, pomyślał i zabrał się za pakowanie swojego ciała w małej przestrzeni.

Całe przedstawienie, niczym wytrawny cyrkowiec ze sporym doświadczeniem, ćwiczył od miesiąca. Za model windy posłużyła mu drewniana skrzynia, którą trzymał w swoim pokoju. Wielokrotnie próbował najróżniejszych wariantów. Jedno było pewne,

tyłek musi wejść pierwszy. Tak też się stało, następnie przerzucił nogę przez głowę. Teraz, tuż obok jego oczu, zwiślał but ze specjalnie ściętą podeszwą. Widząc swoją stopę, miał wrażenie, jakby należała do kogoś innego. Włożył drugą nogę.

W lewej ręce trzymał wygięty cienki pręt. Gdy zasunął dolną część drzwi, skierował prowizoryczny wytrych w kierunku przełącznika. Natychmiast zamknął górną część windy i szarpnął za drut. Gdy usłyszał, że mechanizm zareagował, od razu odrzucił pręt, który spadł z brzękiem na podłogę. To była jedna z dwóch rzeczy, którą zamierzał po sobie pozostawić w tej willi.

Gdy silnik elektryczny windy walczył z nadmiernym ciężarem, Moshe modlił się z nadzieją, żeby winda się nie zacięła. Wjechał na piętro i opuścił kabinę niemal bezszelestnie. Zanim wyrzął do holu, przysłuchiwał się przez chwilę, czy nie ma tam jakiejś zabłąkanej owieczki, która mogłaby zniweczyć jego działania.

Zedermann był typem włamywacza, który doskonale wiedział, że żaden plan nie idzie zgodnie z rozpiską. Czuł, że coś musi pójść nie tak. Sławę przyniosło mu kontrolowanie tego zjawiska. Z reguły pomysł miał dopracowany tak, że wypadki losowe, które się zdarzały, stawały się tylko anegdotą przy herbacie, a nie, jak u innych, złym wspomnieniem przywołanym w więzieniu. To capnął go wredny jamnik, to się poślizgnął. Raz przez godzinę stał, chowając się za kotarą, podczas miłosnych uniesień filmowej gwiazdy i jej skrzętnie ukrywanego kochanka, żałując, że nie ma aparatu.

Dzisiaj w willi nie przewidywał, a raczej nie dopuszczał żadnego niepowodzenia. To musi być jedna z tych robót, które idą jak z płatka. Inaczej sprawa była prosta: gdy go złapią, zginie w męczarniach. Ale jeżeli mu się uda, to już niedługo, za oceanem, zacznie nowe dostatnie życie. Gra była warta świeczki i cenniejsza niż diamenty, które zresztą posiadał, i to w niemałej ilości.

Dotarł do drzwi gabinetu, nacisnął klamkę. Zamknięte. Nic nowego, pomyślał. Przyklękawszy, wyciągnął trzy wytrychy. Dzięki dwóm z nich podważył wszystkie zapadki zamka, a trzeciego, haczykowego, użył do jego przekręcenia. Zamek wydał znajomy trzask. W gabinecie poruszał się na czworakach, bo gdyby jeden z żołnierzy, przechadzając się po posesji, zauważył jakiś cień w gabinecie, od razu podniósłby alarm. Nikt nie miał prawa przebywać tam pod nieobecność Gruppenführera. Podszedł do rzeźbionego sejfu, a na jego brudnej od kurzu twarzy zagościł szelmowski uśmiech.

Schreiberg tego dnia wstał w kiepskim nastroju. Do południa załatwiał formalności, wypisał kolejne rozkazy dotyczące obserwacji willi i sprawdził zmiany. Uporządkował i przeczytał zaległe raporty, które niedawno nadeszły z Małopolski. Sporządził notatki dla Canarisa. Do zmroku zamierzał być w Berlinie.

Ostatnie poczynania polskich szpiegów zupełnie wybiły go z rytmu pracy. Czuł, że plan przechwycenia polskiego archiwum wywiadowczego uciekał na boczny tor, na co

nie mógł sobie pozwolić. Plan, który został objęty protekcją samego Führera. Listę ludzi, których w to zaangażuje, miał już gotową. Znał swoich podwładnych i wiedział, że to świetni specjaliści i oddani żołnierze. Niektórzy z nich zasługiwali na miano wybitnych do tej grupy zaliczał się jego adiutant Hans.

Nieprzyjemny nastrój powracał ze zdwojoną siłą, gdy pomyślał o ostatnich poszukiwaniach Zedermanna. Liczył na to, że patrol pod willą natrafi na coś niepokojącego i uruchomi śledztwo. Chciał dopaść Zedermanna, a przez niego zdemaskować całą polską siatkę. Dzisiaj miał zamiar poinformować Radkego o niepokojących doniesieniach. Chciał to załatwić przy okazji wyjazdu z Breslau.

Zapiął teczkę z raportami i spojrzął na zegarek. Była czternasta dwadzieścia. Gdy wyszedł do holu, zauważył Hansa. Ten wstał i strzelił obcasami, salutując równocześnie.

– Wszystko spakowane, *Herr Oberst*.

Wyciągnął kluczyki, wiedząc, że Schreiber lubi prowadzić swoje bmw.

– Bardzo dobrze. Dzisiaj ty prowadzisz, ja nie mam nastroju. Wracamy do Berlina, obowiązki wzywają, ale najpierw jedziemy do sklepu po papierosy, a po drodze – do Radkego. Muszę z nim pomówić.

– Tak jest, *Herr Oberst*!

Hans ruszył za swoim zwierzchnikiem.

Moshe siedział przed sejfem, obok rozłożył wytrychy. Miał też mały kawałek kredy, a swój ulubiony stetoskop zawiesił na szyi. Wiedział, że najpierw należy zabrać się za zamek kluczowy. Znał go dobrze, mimo że był skomplikowany, to nie nastęczał mu wielu trudności. Zasada działania była bardzo podobna do konstrukcji zamka u drzwi wejściowych od gabinetu, z tym że należało użyć więcej wytrychów, ponieważ zamek miał więcej zapadek. Zanim zabrał się za otwieranie zamka, najpierw sprawdził klamkę.

Nie liczył na łut szczęścia, ale głupio byłoby marnować czas. Nawet na chwilę nie poczuł zawodu, gdy drzwi ani drgnęły. Wręcz przeciwnie, z uśmiechem przystąpił do działania. Gmerał chwilę wytrychami, a na końcu wsunął długi haczyk i z aptekarską dokładnością przekręcił. Uwielbiał ten dźwięk. Przed najbliższymi znajomymi przyznawał, że dźwięk otwieranych zamków go podnieca.

Tak było i tym razem. Westchnął delikatnie, słysząc znajomy hałas, po czym kilkakrotnie rozprostował dłonie, znowu się uśmiechając. Zabrał się za zamek szyfrowy, który był dla niego wisienką na torcie. Z tym zamkiem zapoznał się wiele lat temu, gdy tylko przyjechał terminować u wuja. Wszystko polegało na tym, żeby obrócić tarcze tak, aby ich szczeliny ustawiły się w jednej linii. Wprowadzona do otworu dźwignia, za pomocą rzeźbionej klamki, otwierała sejf.

Dobrze wiedział, że tym razem to gratka. Trafił mu się tylko trzytarczowy egzemplarz.

Cyferblat miał podziałkę składającą się z czterdziestu rowków, co daje sześćdziesiąt cztery tysiące kombinacji. Trzeba przyznać, że Moshe z kombinatoryką miał od zawsze wiele wspólnego. Zawsze główkował, jak ułatwić sobie mozolną pracę, a przy tym i życie. Ojciec ganił go za to, a on pyskował, tłumacząc, że to nic innego, jak wrodzona inteligencja.

W zakładzie wuja dowiedział się, że każdy zamek ma swoją słabość, a owe słabości są po to, aby je wykorzystywać. Założył stetoskop. Spojrzał na losową liczbę, którą wyznaczał mały złoty trójkąt na cyferblacie. Wziął kredę i zapisał wartość na drzwiach sejfu. Przekręcił bęben o dwa obroty w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara, co spowodowało, że wszystkie zaczepy tarcz zadziały i trzy tarcze obróciły się razem. Przyłożył głowicę stetoskopu i skupiony, niczym lekarz osłuchujący oskrzela, obracał bębniem w prawo do czasu, aż usłyszał znajomy mu dźwięk.

Zapisał kolejną liczbę. Tę samą czynność powtarzał kilkakrotnie. Przekręcił rygiel. Niestety, nic się nie stało. Wiedział, że to druga tarcza. Co do niej był najmniej pewny. Sejf był nowy, mało używany, może to spowodowało pomyłkę.

Spędził jeszcze chwilę, zapisując kolejne liczby na drzwiach. W końcu stuknęło, przekręcił rygiel do momentu, aż stalowe bolce zniknęły w metalowej ścianie. Uchylił grube na kilkanaście centymetrów drzwi. W środku były równo poukładane akta, stalowe pudełko i spora ilość gotówki, która nie wywarła na nim żadnego wrażenia.

Nie ruszając niczego, pstryknął zdjęcie zawartości, po czym wyciągnął akta. Oznaczone były czerwoną pieczęcią: „ściśle tajne”. Robił zdjęcia, nie skupiając się na tekście. Po kilku chwilach wszystko było gotowe, a zawartość powędrowała dokładnie w to samo miejsce, tuż obok starannie poukładanych plików banknotów. Drzwi sejfu zamknął bezszelestnie i obrócił rygiel. Na sam koniec dokładnie wytarł sejf z kredy, sprawdzając, czy nie pozostawił żadnych śladów.

Pozostało pozostawić drugą z rzeczy, która była jego znakiem. Podszedł do dębowej futryny i w mało widocznym miejscu, za pomocą jednego z wytrychów, wyrył zgrabną ledwie widoczną literkę „Z”. Teraz najtrudniejsza część zadania, pomyślał. Musiał zejść z pierwszego piętra, używając do tego wystającego ornamentu na elewacji. Nie znał jej stanu, mógł się osunąć, spaść i złamać nogę lub zostać najnormalniej w świecie zauważonym podczas schodzenia. Później czekał go piętnastometrowy bieg po działce do samego muru i jeszcze jedna wspinaczka.

Zanim otworzył drzwi balkonowe, zdjął i wyrócił kurtkę na lewą stronę; miała kolor zbliżony do farby elewacyjnej. Spojrzał na zegarek. Za cztery minuty obchód. Runda dookoła to trzy minuty, jak pójdzie w prawo. Jak zacznie od lewej, to niecałe trzy. Plus minus trzydzieści sekund od wyruszenia z dyżurki i minuta, jak zniknie za północną ścianą. Czekał, co chwilę patrząc na cyferblat zegarka i w okno, szukając cienia wartownika z obchodu.

Po chwili ujrzał kawałek hełmu, który zniknął za rogiem. Dopiero gdy wyszedł na balkon ogarnął go strach, zdał sobie sprawę, jak bardzo wyeksponowana jest jego sylwetka. Była doskonale widoczna. Wiedział, że nie ma czasu, dlatego od razu zabrał się do schodzenia. Gdy stopa poczuła miękki grunt, odetchnął z ulgą i rzucił się biegiem do drzew i krzewów gęsto zasadzonych przy murze. Zapierając się jedną nogą o pień, a drugą o ścianę muru, wspiął się na szczyt i położył na płaskiej półce, która była pełna ptasich odchodów. Skrzywił się i rozejrzył, czy nie ma nikogo w zasięgu wzroku, po czym zeskoczył na chodnik. Gdy tylko ruszył przed siebie, usłyszał warkot silnika samochodu, który po chwili zatrzymał się tuż obok niego. Złodziej wskoczył na tylną kanapę i wyszczerzył zęby do znajomego pasażera siedzącego obok kierowcy. Udało się, pomyślał.

Gdy dojeżdżali do willi, Marcus odpalił papierosa.

– Hans, skręć w lewo i zjedź z Parkstraße, objedziemy willę. Sprawdźmy, czy te bęcwały nie śpią. Jeśli tak, to na długo mogą zapomnieć o przepustkach.

– Tak jest, *Herr Oberst!* – Adiutant uśmiechnął się. – Tu, na skrzyżowaniu?

– Tak – skwitował Schreiber.

Hans zauważył nadjeżdżający samochód i zatrzymał się, aby ustąpić pierwszeństwa czarnemu opłowi olympii, który jadąc główną drogą, kierował się na Tiergartenstraße. Zamyślony oficer Abwehry przeniósł wzrok i zauważył wpatrującego się w niego Feliksa. Czas jakby zatrzymał się w miejscu. W jednej chwili sprawne umysły obu oficerów przywołały tę samą scenę, tylko widzianą z innych perspektyw. Człowieka w berlińskiej restauracji, z akcentem z Lipska, oraz oficera ze zdobioną srebrną papierośnicą i markowym zegarkiem.

Opel minął ich spokojnie, a Hans, nie widząc w tym zdarzeniu nic nadzwyczajnego, skręcił w aleję i jechał wzdłuż muru. Marcus automatycznie spojrzął w boczne lustro i sprawdził, czy samochód zniknął już z pola widzenia.

– Zawracaj za tym oplem. To oni! Szybko!

Żołnierz, nie wiedząc, co się dzieje, wykonał polecenie niczym automat. Droga była szeroka. Gdy tylko zauważył, że wykona manewr na raz, wcisnął mocno pedał gazu.

– Tylko na razie nie na gorąco, spokojnie jedziemy za nimi. Nie chcę ich spłoszyć.

Gdy dojechali do szerokiej drogi, Hans od razu zauważył ciemną karoserię. Opel jechał szybko, ale nie uciekał.

– To oni, *Herr Oberst.*

– Widzę, trzymaj dystans.

– Tak jest.

Andrzej obrócił się do Feliksa i zgodnie z rozkazami mówił po niemiecku:

– Widział pan? Tam na skrzyżowaniu to był Wehrmacht, jeden patrzył na nas, jakby nas znał.

– Nie obracaj się, Zederma...

Specjalnie nie kazał Andrzejowi uciekać, kiedy byli w zasięgu wzroku, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Liczył na to, że oficer go nie poznał. Poza tym czuł, że ma godnego przeciwnika, który postąpi właściwie, nie chcąc spłoszyć ofiary.

– Andrzej, gazu! Jesteśmy spaleni! – krzyknął po polsku, na co Żyd zrobił tylko wielkie oczy.

Samochodem szarpnęło, ale niestety nie było to alfa romeo sport. Pod maską mieli tylko jeden i trzy dziesiąte litra pojemności. Zaraz po tym, jak opel olympia zaczął desperacką ucieczkę, nowe bmw 326, niczym młoda lwica, ryknęło wściekle, ścigając swą ofiarę. Na prostym odcinku Tiergartenstraße Andrzej nie miał szans, Hans dochodził go w zaskakującym tempie.

– Zabraniam ci ich zgubić, Hans, musimy mieć ich żywych. Rozumiesz?

Ten skinął tylko głową i jeszcze mocniej docisnął pedał gazu. Wtedy Schreiber rozpiął kaburę i wyciągnął nowoczesnego walthera P38. Po chwili odległość między nimi stopniała do długości długości trzech samochodów. Marcus wychylił się przez okno, mierzył w toporne auto, które lawirowało od prawej do lewej, omijając przeszkody. Mrużył oko i czekał, kiedy prawy błotnik zniknie pod języczkiem muszki. Oddał trzy strzały, które rozeszły się echem po okolicy. Jedna z kul rozpruła karoserię, druga utkwiała w kole zapasowym zamontowanym na bagażniku.

Andrzej wiedział, że na prostej jest na straconej pozycji. Trzeba było coś zrobić i to szybko. Do skrzyżowania brakowało kilkadziesiątu metrów. Feliks wyciągnął lugera i przedostał się na tylną kanapę. Zanim zerknął w szybę, patrząc na Andrzeja, krzyknął:

– Andrzej, w lewo na most i do miasta!

– Tak jest! – powiedział kierowca i ominął ładnego mercedesa tuż przed samym skrzyżowaniem.

Następnie Andrzej dojechał do prawego krawężnika i skręcił ostro kierownicą w lewo, ścinając zakręt. Ktoś trąbił; dźwięk klaksonu przerwał huk kolejnego wystrzału. Kula przeszła obok. Gdy wpadli na most Keisera, Feliks kolbą rozbił tylną szybę i już mierzył w kierowcę. Hans wprawnie wyczuł sytuację, zwolnił. Feliks czekał, kiedy bmw przetnie oś strzału. Huknęło. Zygartowicz przymierzył jeszcze raz. Moshe zatkał uszy, padł kolejny strzał. Huk w małej zamkniętej przestrzeni rozsadzał uszy.

– Cholera, było blisko – powiedział Neumayer.

Kula przebiła przednią szybę i przeszła tuż obok Hansa. Na twarzy Schreiberga

pojawiła się wściekłość. Wjechali na Am Ohlau-Ufer. Silniki obu aut wyły na najwyższych obrotach. Kierowcy, niczym wprawni rajdowcy, lawirowali pomiędzy pojawiającymi się przeszkodami. W centrum miasta Andrzej poczuł się trochę pewniej. Wiedział, że musi jak najwięcej kluczyć, a decyzje o zmianie kierunku jazdy podejmować w ostatniej chwili, starając się zmylić pościg.

Hans miał dużą przewagę, znał miasto i dysponował lepszym wozem. Wszyscy oszczędzali amunicję, zresztą przy takich manewrach celne strzelanie graniczyło z cudem, do tego dokoła było pełno przechodniów, w tym kobiet i dzieci.

Schreiberg nie chciał zastrzelić cennego szpiega i starał się unieruchomić samochód. Kilka kul przeszło karoserię, ale do tej pory nie wyrządziły większych szkód. Andrzej wykonał kolejny ostry skręt w lewo. Zedermann, skulony na tylnej kanapie, nie widząc drogi, odczuwał objawy choroby lokomocyjnej, kręciło mu się w głowie. Tego manewru nie wytrzymał i zwymiotował sobie pod nogi. Z piskiem opon wpadli na kolejną szeroką ulicę, Andrzej skontrował i wyprowadził auto z poślizgu.

Klosterstraße jak zwykle była ruchliwa i zatłoczona. Szeregowiec zerknął w lusterko, czarny sedan dalej był na swoim miejscu. Feliks wychylił się ostrożnie. Bmw już nie zygzakowało, jechało w linii prostej kilkanaście metrów za nimi. Zauważył postać wychyloną przez okno. Wiedział, że popełnił błąd. Padły strzały. Jedna z kul przeszła obok i zrobiła dziurę w przedniej szybie, druga dotarła do celu i drasnęła majora w lewe ramię. Poczuł znajome pieczenie. Uchylił się i syknął przez zaciśnięte zęby.

– Kurwa mać! – Zerknął na rozerwaną koszulę i powiększającą się czerwoną plamę.

– Wszystko w porządku, majorze? Jest pan ranny? – Andrzej obrócił się, chcąc zerknąć na dowódcę.

– Skup się na drodze, to tylko draśnięcie.

Widząc, jak przeciwnik raptownie zniknął, Schreiberg był niemal pewien, że trafił.

– Hans, teraz!

Oberleutnant Neumayer zredukował bieg i wcisnął gaz do deski. Bmw 326 wyrwało do przodu. Andrzej w ostatniej chwili zauważył zamysł Niemca i jedyne, co mógł zrobić, to ostrzec pasażerów.

– Uwaga! Trzymać się! – krzyknął.

Szarpnęło nimi gwałtownie i odskoczyli od bmw niczym piłka tenisowa odbita od kortu. Energia uderzenia była tak duża, że Feliks nie zdołał utrzymać pistoletu. Ten spadł gdzieś pod fotel kierowcy. Koło zapasowe zamocowane na bagażniku odpadło i teraz podskakiwało na jezdni, a zgrzyt ciągniętego za samochodem zderzaka rozchodził się po okolicy. Opel olympia ciągnął za sobą iskry.

Andrzej z trudem opanował samochód. Wjechał na przeciwległy pas i pruł powietrze, jadąc pod prąd. Obite bmw ponawiało manewr, wskoczyło na pas za nimi i rozpędzalo

się, aby zadać kolejny cios. Andrzej był pewien, że tym razem będzie nokautujący. Feliks odnalazł broń i z grymasem rozjuszonego byka przełożył pistolet do prawej dłoni. Podniósł się ostrożnie niż przed chwilą i zanim ujrzał pościg, oddał strzał na ślepo.

Schreiberg i Hans, słysząc huk, pochylili się automatycznie. Padł drugi strzał, pozostawiając po sobie kolejną dziurę w szybie. Neumayer nie rezygnował, tylko skulony za kierownicą pędził, aby zadać kolejne uderzenie. Andrzej tym razem był przygotowany. Widząc zamierzenie przeciwnika, gotów był wykonać manewr, który śmiało można określić najlepszym, jedynym, życiowym. W bocznej szybie właśnie mignął ratusz. Gdy rozpędzone bmw ze skulonymi żołnierzami dojeżdżało do opla, aby zakończyć pościg, Feliks mocno złapał fotel, przygotowując się na uderzenie. Wtedy szeregowy z Rybnika dosłownie na ułamek sekundy nie tyle wcisnął hamulec, ile go dotknął; okładziny zapiszczały, jakby chciały zaprotestować.

Manewr był tak nieoczekiwany, że Hans nie zdążył zareagować. Dystans pomiędzy samochodami zmniejszył się w ułamku sekundy. Wtedy opel uskoczył w lewo, przepuszczając pościg tuż obok. Gdy bmw było na wysokości tylnego koła ciężkiego opla olympii, Andrzej skręcił kierownicę z całej siły. Neumayer podniósł głowę i jedyne, co zdążył zrobić, to zaznaczyć genialność pomysłu przeciwnika.

– O kurwa! – padło dokładnie wtedy, gdy duży opel uderzył w ich tylne koło.

Na nic zdało się mocne trzymanie kierownicy. Bmw zatańczyło jak pijane. Najpierw poszli ostro w lewo, tuż przed maską Andrzeja, który zgrabnie uniknął kolejnego zderzenia, a później, lecąc na złamanie karku, bmw przecięło dwa pasy, kierując się w prawo, prosto na chodnik. Kierowca jeszcze desperacko walczył o utrzymanie się na drodze, ale było za mało miejsca i czasu. Z ogromną siłą, bokiem, uderzył w żeliwną latarnię. Kilku przechodniów padło na ziemię, ratując się przed uderzeniem. Mężczyzna, który właśnie mijał żeliwny słup, jeszcze się nie zorientował, że ten właśnie uratował mu życie.

Andrzej przejechał na prawy pas i na polecenie majora zatrzymał się kilkanaście metrów za latarnią. Z dwóch aut, które stały przy zbiegu Reusche i Nikolaistraße z sykiem wydobywała się para, z tym że opel nadawał się jeszcze do chwilowego użytku. Gdy tylko się zatrzymali, Feliks, wysiadając, włożył nowy magazynek i zarepetował broń. Ruszył do rozbitego sedana. Jakaś kobieta spośród gapiów, ujrawszy pistolet, krzyknęła przeraźliwie. Na chodniku zapanował popłoch. Po kilku sekundach stał już kilka metrów od maski czarnego auta. Kierowca leżał nieruchomo na kolumnie kierowniczej.

Schreiberg podniósł się z wysiłkiem. Huczało mu w uszach, dodatkowo miał problemy z oddechem. Czuł, jak pulsujący ból z okolicy żeber rozchodzi się po całym ciele. Po czole przez nasadę nosa spływała ciepła ciecz. Poczował jej miedziany smak. Zobaczył znajomego mężczyznę, który celował wprost w niego. Był gotowy na śmierć.

Feliks spojrział Niemcowi głęboko w oczy. Skinął głową oficerowi Wehrmachtu i cofnął się ostrożnie w kierunku Andrzeja. Gdy był na wysokości opla, wskoczył do środka i trzasnął drzwiami, które się nie domknęły.

– Panie majorze, musimy wiać, ten samochód nie pojedzie dalej niż kilka kilometrów – powiedział Andrzej i ruszył bez namysłu.

– Zjedź z głównej drogi. Szukamy podmianki.

Młody szeregowy miał więcej zimnej krwi, niż ktokolwiek śmiał przypuszczać. Skinął głową i skierował pokiereszowanego opla w boczną uliczkę, jak najdalej od miejsca zdarzenia. Zielony od choroby lokomocyjnej i bladoszary z przerażenia Zedermann poczuł, że sytuacja delikatnie się ustabilizowała.

– Matko, na co mnie to było. Szpiegowskie awantury mi były w głowie, po co, pytam się. Kim pan jest, panie Eberhardt? Zginę przez pana szybciej, niż myślałem – lamentował.

– Nie czas na wyjaśnienia, Zedermann. Mogę pana wysadzić w tej chwili, tylko najpierw proszę o aparat.

– Właśnie, aparat. Skąd ta pewność, że panu go oddam? To najcenniejsze, co teraz mam, *Herr Eberhardt*. – Silił się na bycie poważnym i pewnym siebie.

Feliks obrócił się w kierunku tylnej kanapy, do jego nozdrzy wdarł się smród wymiocin. Gdy Żyd podniósł głowę, lufa parabellum zamajaczyła mu przed oczyma.

– Co pan?

– Aparat, panie Zedermann. Liczę do trzech.

Zedermann spojrział na twarz mężczyzny, który teraz wzbudzał w nim paniczny strach. Bez namysłu sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął urządzenie. Feliks schował aparat.

– Dziękuję. Teraz niech pan będzie łaskaw siedzieć cicho i wykonywać moje polecenia, a wszystko będzie dobrze.

Andrzej znalazł miejsce i zaparkował wrak, który wzbudzał powszechne zainteresowanie. Żyd zaprotestował.

– Co się dzieje? – zapytał.

Feliks nie odpowiedział, tylko przeszył go wzrokiem, co sprawnie uciszyło włamywacza.

– Ile potrzebujesz czasu? – rzucił po polsku do Andrzeja.

– Kilka minut, panie majorze.

– Tylko taki, żebyśmy nie rzucali się w oczy.

– Ku chwale ojczyzny.

Do rozbitego bmw podszedł mężczyzna w średnim wieku. Drzwi były zablokowane, a samochód otulił lampę niczym zimowy szal. Schreiber siłował się przez chwilę, walcząc z bólem, i poprosił go, aby pomógł mu wydostać się przez przednią szybę. Spojrzał na Hansa, wiedział, że żyje, ale uderzenie głową o boczny słupek pozbawiło go przytomności. Do mężczyzny dołączył młody kelner z restauracji, przy której stał rozbity samochód. Schreiberowi ciężko było ustać na nogach, opierał się o maskę i ramię młodego kelnera.

– Pomóżcie mojemu adiutantowi, wyciągnijcie go z auta, ale ostrożnie – rzucił do małego tłumu, który zgromadził się wokół. Dwóch kolejnych przechodniów zaangażowało się w pomoc poszkodowanym.

– Czy ktoś wezwał pomoc?

– Tak, panie oficerze – odezwał się kelner. – Zatelefonowaliśmy z restauracji.

– Dobrze, prowadź do telefonu.

– Ale pan jest ranny, powinien się pan położyć. Musimy opatrzyć czoło – protestował kelner.

– Bez dyskusji, prowadź, powiedziałem! – Postawił krok i poczuł, jakby ktoś wsadził mu pogrzebacz w żebra. Młody kelner, widząc determinację oficera, złapał go pod ramię i poprowadził bez słowa.

– Centrala, tu Oberstleutnant Schreiber. WT/4765.

Po chwili, mając potwierdzenie tożsamości, dyżurny przekierował połączenie.

– Oberfeldwebel Becker, słucham.

– Tu Schreiber, łącz z kapitanem Von Glittenbergiem. Natychmiast!

– W tej chwili, *Herr Oberst*.

Gdy dyżurny starał się połączyć z Hauptmanem, Marcus poklepał się po kieszeni. Papierosnicy nie było. Musiała wypaść przy uderzeniu, pomyślał i obrócił się do kelnera, który stał obok, pilnując oficera, gdyby ten zaniemógł. – Przynieś mi papierosa, tylko jakiegoś dobrego.

Ten bez chwili wahania poszedł za kontuar baru.

Andrzej już po chwili odnalazł swoją ofiarę. Był to najczęściej kupowany samochód w Niemczech. Opel kadett w kolorze dojrzalej wiśni. Stał zaparkowany na tyłach jednej z kamienic. Nie zastanawiał się ani chwili, tylko rozbił małą szybkę, włożył rękę do środka i opuścił szybę. Po otwarciu drzwi podniósł maskę i zanim minęło pół minuty, auto było już na chodzie. Wskoczył do kolejnego opla i wrócił po Feliksa, który szedł z Zedermannem po chodniku. Marynarkę miał przerzuconą przez ramię. Wiśniowy samochód zatrzymał się tuż obok. Gdy zobaczyli Andrzeja, od razu wsiedli do środka.

– Dobra robota.

Młodzian skinął głową, a na jego twarzy pojawił się wyraz triumfu.

– Kapitan Von Glittenberg, słucham – odezwał się głos w słuchawce.

– Tu Schreiber.

– Tak, *Herr* Oberst?

– Słuchaj mnie uważnie, Glittenberg. Natychmiast ustawisz blokady na mostach Werder, Königs i Universitäts. Tak samo na wszystkich rogatkach miasta. Powiadom Schutzpolizei, niech ci pomogą. Zatrzymujcie każdy samochód. Poszukiwani to trzech mężczyźni w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat, jeden z nich jest ranny w ramię. Później zadzwonisz do 108 z Glogau i też każesz im zablokować oba mosty, mają też zadzwonić do Neusaltz. Mają sprawdzić każdy samochód i pociąg przekraczający Odrę. Zaraz po tym poinformuj wszystkie przejścia graniczne. Zrozumiałeś?

– Tak jest, *Herr* Oberst.

– Dobrze, działaj.

– W tej chwili!

Rozłączył się. Młody kelner przyniósł paczkę papierosów R6. Marcus wyciągnął jednego i zapalił. Kelner patrzył na niego ze zdumieniem. Gdy zaciągnął się głęboko, zawirowało mu w głowie. Wiedział, że ma godnego siebie przeciwnika i że będzie mu dane się jeszcze z nim spotkać. Czuł to całym sobą. Po chwili usłyszał syrenę sanitarki, która wyła coraz głośniej. Popatrzył na przyglądającego się mu kelnera.

– Jak ma pan na imię?

– Helmut, panie oficerze.

– A więc, Helmucie, prowadź na zewnątrz, to chyba po mnie i mojego kolegę.

– Jedź na północny wschód, pojedziemy przez Neumarkt do Glogau. Tam porzucimy samochód i przekroczymy granicę. Będziemy musieli przekroczyć bezpiecznie Odrę. W Breslau pewnie teraz to niemożliwe – powiedział Zygartowicz.

– Mostem może być niebezpiecznie, panie majorze.

– Wiem. To tylko trzy mosty do obstawienia. Pewnie już je blokują. My przepłyniemy rzekę.

– Rozumiem, da pan radę z tym ramieniem?

– Ramię to draśnięcie. A wpław Odrę to igranie ze śmiercią. To bardzo niebezpieczna rzeka. Wiem, gdzie są niepilnowane łódki wędkarskie. Poza tym gdyby nasz Żyd się

dowiedział, że ma przepłynąć rzekę w pław, to pewnie narobiłby w portki. Wystarczająco najadł się strachu.

– Panie majorze, ja też trochę się bałem. Prawie nas capnęli.

– Spisałeś się jak trzeba. Dobra robota.

W tym momencie dyskusję przerwał Zedermann.

– Panowie, moglibyście z łaski swojej rozmawiać po niemiecku. Nie uchodzi takie zachowanie. Chciałbym wiedzieć, jakie są plany.

– Panie Zedermann. Pańska rola się skończyła. Proszę delektować się podróżą.

Po kilkunastu minutach jazdy ciemnowiśniowy kadett opuścił dolnośląską metropolię i skierował się do Glogau.

Część trzecia

Para bellum¹⁰

*Próżno się odejmuję, gwałt mi się dzieje;
Nie władnę dalej sobą, nie jestem swoja.
Ale gdzieżem, prze Boga? Światła nie widzę,
Noc mi jakaś przed oczy nagła upadła.
Owóz mamy dwie słońcy, owóz dwie Troi,
Owóz i łani morzem głębokim płynie.
Nieszczęśliwa to łani, złej wróżki łani.
Brońcie brzegów, pasterze, nie dopuszczajcie
Tej niezdarzonej goście nigdziej do ziemie!
Nieszczęśliwa to ziemia i brzeg nieszczęsny,
Gdzie ta łani wypłynie; nieszczęsna knieja,
Gdzie wnidzie i gdzie gładki swój bok położy.
Wszystki stopy, wszystkie jej łożyska muszą
Krwią opłynąć; upadek, pożogę, pustki
Z sobą niesie. O wdzięczna ojczyzno moja (...).*

Jan Kochanowski, *Odprawa posłów greckich*

Rozdział 1

Marcus mocował się ze schodami gmachu Abwehry w Berlinie. Pokonywanie stopni sprawiało mu ból. Czuł każde pęknięte żebro. Wspinając się na drugie piętro, gdzie mieścił się gabinet Canarisa, Oberstleutnant zwracał na siebie uwagę. Napotkani młodszy oficerowie salutowali i zerkali na posiniaczone czoło Marcusa, gdy ten dzielnie wchodził, trzymając poręcz niczym linę ratowniczą.

Schreiberg w Berlinie pojawił się tuż po wydarzeniach spod willi Radkego. Incydent z Wrocławia należało przedyskutować i czym prędzej poczynić odpowiednie kroki. Gruppenführer Radke nie uwierzył, że ktokolwiek odważyłby się obrobić jego siedzibę. Poza tym twierdził, że willa jest pilnowana całą dobę i niemożliwym jest wśliznąć się niezauważenie do środka. Tymczasem Schreiberg był niemal pewien, że ściśle tajne plany SS, które najpewniej będą preludium inwazji, zostały skopiowane. Czuł narastający niepokój, myśląc, że Polacy prześlą dokumenty swoim sojusznikom, co zacieśni współpracę Polski, Wielkiej Brytanii i Francji przeciwko nim. Rzesza w chwili obecnej robiła wszystko, aby zniechęcić aliantów do podejmowania jakichkolwiek deklaracji wobec wschodnich sąsiadów.

Oprócz przeszywającego bólu żeber i uporczywej migreny doświadczał gorzkiego uczucia porażki. Polskich uciekinierów nie udało się pojmać. Był niemal pewien, że są już poza granicami Rzeszy, a kto wie, co leżało na biurkach sztabu Wojska Polskiego.

Wszedł do gabinetu, a młody adiutant admirała od razu wstał zza biurka.

– *Heil Hitler!* – Widząc starszego oficera, szerzej otworzył oczy.

– *Sieg Heil!* – odpowiedział cicho Marcus, powoli unosząc rękę.

– *Herr Oberst*, potrzebuje pan pomocy?

– Dziękuję, poradzę sobie. Admirał u siebie?

– Tak. Oczekuje pana.

Schreiberg podszedł do drzwi gabinetu i delikatnie zapukał. Gdy wszedł, admirał Canaris obrzucił go troskliwym spojrzeniem.

– Jak się czujesz, Marcusie? Wyglądasz okropnie.

– Przeżyję, panie admirale. Martwię się tylko o to, co się stało. Tak jak mówiłem w rozmowie telefonicznej, obawiam się, że Polacy skopiowali plany dotyczące

provokacji, a Radke nawet nie ma o tym pojęcia i nie wierzy w ani jedno moje słowo.

Canaris począł w kierunku sofy.

– Siadaj. Widzę, że ledwo się trzymasz na nogach.

Marcus bez słowa podszedł do wygodnego fotela i usadowił się w nim, szukając pozycji, w której ból byłby mniej dokuczliwy.

– Czy nie będzie panu przeszkadzało...

– Zdecydowanie za dużo palisz, ale proszę – przerwał mu admirał.

Schreiberg wyciągnął papierosa i przypalił go. Cała ta propaganda o szkodliwości tytoniu teraz go obchodziła tyle co zeszłoroczny śnieg. Nie dalej niż dwadzieścia godzin wstecz mógł siedzieć w swoim bmw z kulą w głowie.

– Jak to się stało? – Canaris wskazał na twarz Marcusa.

Oberstleutnant wypuścił chmurę dymu, delektując się smakiem tytoniu, po czym zabrał się za streszczenie przebiegu akcji pościgowej. Opowiedział o utalentowanym żydowskim włamywaczu, najętym przez polski wywiad. Pominął pewne szczegóły, ale jasno nakreślił, jakim zdolnym agentem jest człowiek, który zapewne kierował tą akcją. Mówił z wyraźnym przejęciem, myśląc, że taka zuchwała akcja obcego wywiadu rozwścieczy Hitlera, a do tego może mieć realny wpływ na zbliżającą się agresję na Polskę. Canaris słuchał cierpliwie, a gdy pułkownik skończył, zwrócił wzrok w kierunku okna gabinetu, tak jakby przypominał sobie jakieś wydarzenie.

– Kilka chwil przed twoim przyjściem rozmawiałem z Führerem. Najwidoczniej on też bardziej wierzy Radkemu i Himmlerowi niż mnie. Jeszcze przedwczoraj byłem w Berghofie na naradzie szefów sztabów. – Powrócił wzrokiem do poobijanego oficera. – Wiesz, co nam powiedział?

Schreiberg tylko spojrzał na admirała.

– „Panowie, zniszczenie Polski to cel najbliższy. Dam wam propagandowy pretekst do rozpoczęcia wojny”. Więc prędzej czy później padnie hasło *Großmutter gestorben*¹¹ i ten, jak mu tam, Egner, zjawi się w Gleiwitz. Ale dzisiaj nasz Führer się przeliczył i jego polityka poniosła fiasko.

– Jak to? – Schreiberg ze zdziwienia wyciągnął papierosa z ust.

Canaris wstał i poszurał do biurka. Wziął kartkę papieru i bez słowa podał podpułkownikowi. Ten szybko przeleciał wzrokiem po tekście.

– Odwołuje Fall Weiss? – Nie wierzył własnym oczom, trzymał rozkaz podpisany przez samego Führera. – Ale zaraz, dlaczego w takim razie Führer nam nie wierzy?

Canaris się uśmiechnął.

– Może nie chce wierzyć. Teraz to jest nieważne. Raczyński i lord Halifax chwilę temu podpisali układ sojuszniczy, to właśnie spowodowało, że Hitler się przestraszył, rozkazy

od godziny idą do wszystkich jednostek granicznych. Mają się wstrzymać z atakiem. Dzisiaj Ribbentrop poczynił kroki, żeby zjednać sobie Francuzów, zapewniając ich, że Rzesza nie ma żadnych złych zamiarów w stosunku do ich kraju, a co więcej, kazał obiecać im Alzację i Lotaryngię, jako symbol utrzymania pokoju.

– Przecież pokój jest niemożliwy, admirale. Tym bardziej z Francuzami. Wiemy, że on chce z nimi wojny, i to od dawna.

– Tak, Marcusie i jakbym widział sposobność, żeby ten pokój utrzymać, nie zawahałbym się, sięgając po wszystkie środki. Posunięcia Ribbentropa to nic innego jak tylko gra polityczna. Rzeczywiście ten as polskiego wywiadu sporo namieszał, ponieważ Brytyjczycy wcześniej podjęli decyzję o nieangażowaniu się w konflikt.

– Jakim sposobem? – Schreiber zdziwił się po raz kolejny.

– To była jedna z zagrywek Hitlera. Brytyjczycy zrobiliby wszystko, żeby utrzymać pokój na swoim podwórku, a najlepiej proponując wszystkim wokoło herbatę. Mówiąc krótko, jak nie chodzi o ich kolonie i utrzymanie handlu na szlakach morskich, to nie są skorzy do walki. Hitler dał im gwarancję utrzymania brytyjskiego imperium, jeśli tylko pozostaną neutralni w nadchodzącej wojnie. Już od kilku tygodni spotykają się w tej sprawie z Hendersonem. Zresztą dobrze wiesz, że jeszcze niespełna kilka lat temu widzieli w nas wielkiego partnera, gdy Hitler obiecał im rozprawić się z bolszewikami. – Canaris zatrzymał się na chwilę i podniósł filiżankę z herbatą.

– A teraz Neville Chamberlain mediuje w sprawie polskiej, prawda?

– Zgadza się. – Siwy admirał odstawił filiżankę z powrotem. – Gdy Anglicy zrozumieli, że to w większości mrzonki i zagrywki polityczne, to w końcu powiedzieli Ribbentropowi, że ofertę rozważą tylko wtedy, gdy dojdziemy do porozumienia z Polską, ale jedynie na drodze negocjacji. Wtedy Hitler wtrącił, że jakaś prowokacja może spowodować niemiecką interwencję w celu ochrony wschodniej granicy.

– Wszystko rozumiem, admirale, oprócz jednej kwestii. Dlaczego więc się przestraszył i zrezygnował z pierwotnego planu?

– Nie wiem. To niepoczytalny człowiek. Zaledwie kilka godzin temu dowiedzieliśmy się o porozumieniu polsko-brytyjskim. Teraz najwyraźniej Hitler potrzebuje czasu na dalsze negocjacje. Może boi się, że Anglicy rzeczywiście ruszą od razu. Myślę, że jego pierwotny plan zakłada zajęcie Polski, a później złożenie propozycji pokojowych Anglii i Francji. Liczy na to, że oni się pogodzą z okupacją Polski i Czechosłowacji. Tak będzie chciał kupić czas. Pewne jest jedno, że wojna się zacznie, nie jutro, ale w ciągu tygodnia, może dwóch, a co się stanie po zajęciu Polski, nie wiem, zobaczymy.

– Przyznam się panu, że ja też się zastanawiam, co się stanie, gdy Brytyjczycy i Francuzi przyłączą się do wojny. Przecież pierwotny plan zakłada rzucenie siedemdziesięciu dwóch z dziewięćdziesięciu dywizji na Polskę. Nie utrzymamy

zachodniego frontu. Wojna na dwóch frontach to samobójstwo.

– To prawda. Hitler jest cwany i ma niemal pewność, że Niemcy i Anglicy nie od razu włączą się w konflikt i że zdąży wycofać większą część jednostek z Polski, po czym przerzuci je na zachód. Mówię: „niemal”, bo czuć w jego posunięciach obawę przed Anglikami. Tydzień temu pancernik Admiral Graf Spee, wraz z kilkunastoma u-bootami, wyszedł na Atlantyk. – Canaris pociągnął delikatnie nosem, jakby chciał wyczuć poranną bryzę, stojąc na mostku jednego z pancerników. – Z Francuzami jest inaczej, wiesz, jacy oni są skorzy do walki. Po samej linii Maginota widać, że nic innego nie mają w głowie jak tylko wojnę okopową. Nasz wywiad sprawdził ich zdolność bojową i okazuje się, że brak im łączności strategicznej. Jednym słowem, raport mówił, że Francja jest niezdolna do obrony terytorialnej. Kilka tygodni temu Hitler w gabinetach dyplomatycznych dokonał kolejnej zagrywki. Jawnie opowiadał o współpracy militarnej ze Stalinem. To zapewne też dało im do myślenia. Na pozorach można zbudować iście realistyczny obraz, a Hitler robi to na dwóch frontach. Raz mami zachód, a z drugiej strony macha paktem Ribbentrop-Mołotow, lejąc wodę na młyn Stalina, który myśli, że pakt o nieagresji jest dla nas coś wart.

Zapanowała cisza, admirał zerknął na zatroskaną minę swojego oficera. Siwy dowódca wyczekiwał reakcji.

– A więc mamy wojnę – odezwał się Schreiber z przerażeniem w głosie.

– Tak, drogi Marcusie, mamy wojnę i Polska już jest częścią Trzeciej Rzeszy.

– Boję się tylko, panie admirale, że w tej Polsce nie pójdzie nam tak łatwo, jak się wszystkim wydaje. Boże, miej nas w swojej opiece – dodał.

– Obawiam się, że plany, które ma nasz niepoczytalny wódz, sprawią, że Bóg nie stanie po naszej stronie.

W gabinecie znowu zapanowała grobowa cisza. Marcusa bardzo przytłoczyła ta rozmowa. Czuł, jakby ruszyła wielka lawina, i wiedział, że jest ona nie do powstrzymania, ale był oficerem Wehrmachtu, teraz nie pozostawało nic innego, jak wypełniać obowiązki. Zerknął na zamyślnego Canarisa.

– Panie admirale, jakie rozkazy?

Ten, ciągle zamyślony, uśmiechnął się pod nosem.

– Cieszę się, że mam u siebie takich oficerów. Ledwo siedzisz, a jesteś gotów zaraz najechać Polskę. Ale musisz się podkurować, przekaz obowiązków zaufanemu oficerowi. Sprawa polskiego archiwum musi mieć bieg. Za tydzień, może półtora, będziesz już nad Wisłą. Teraz bierz kierowcę i do szpitala. Łóżko już czeka.

– Tak jest! – odpowiedział. Wstał i opuścił gabinet.

Samochód rzeczywiście czekał na dole. Gdy schodził uważnie, stąpając tak, aby ból był jak najmniejszy, modlił się. Modlił się o rodzinę na Śląsku i o pokój, aby nadszedł jak

najszybciej. Dla niego wojna zaczęła się w gabinecie kontradmirała Canarisa, zaledwie kilka minut temu.

Rozdział 2

31 sierpnia, okolice wsi Krzycko

Kilka dni temu major Zygartowicz ze stacji w Lesznie odprawił Zedermanna. Zgodnie z obietnicą załatwił wszystko, co trzeba. Moshe z nowym paszportem, pozwalającym na swobodne podróżowanie, i rozkazem, który w razie uznania za szpiega powinien wybawić go z opresji, ruszył ku nowemu, lepszemu światu. Przez Rumunię i Jugosławię, prosto do Grecji, a stamtąd statkiem do wymarzonych Stanów Zjednoczonych.

Feliks wraz Sebastianem wrócili z Leszna z nowymi rozkazami. Sytuacja stała się bardzo napięta – w kraju po raz kolejny trwała pełna mobilizacja. Niezdecydowanie Sztabu Generalnego dziwiło wszystkich. Począwszy od dwudziestego siódmego sierpnia oddziały 57 Pułku Piechoty zostały przesunięte w rejon swoich stanowisk obronnych, a inne na północ od Kutna. 55 Pułk Piechoty tylko w części pozostał w garnizonie w Lesznie, reszta oddziałów dostała rozkaz cofnięcia się w rejon linii Warty.

Dowódca Wielkopolskiej Brygady Kawalerii generał brygady Roman Abraham, który był ich tymczasowym zwierzchnikiem w Wielkopolsce, po rozmowie z generałem Kaźmierczakiem odwołał wszystko i miał zamiar wcielić całą grupę do jednego ze swoich pułków. Szef sztabu zaznaczył uprzednio, że wolałby, aby wszyscy żołnierze pozostali w jednej jednostce organizacyjnej pod dowództwem majora Zygartowicza, na co generał Abraham niechętnie wyraził zgodę. Wiedział, że Feliks to wartościowy oficer, i najchętniej powierzyłby mu ze trzy kompanie. Kaźmierczak zalecił poczekać, aż sprawa wyjaśni się sama.

Fiat 508 zatrzymał się przed barakiem, lecz tym razem tuż za nim wjechały dwie duże ciężarówki, wzniesając tumany kurzu. Lato w tym roku było gorące. Słońce paliło od dwóch miesięcy i wszystko było suche jak pieprz. Słyszając warkot silników, zniecierpliwieni żołnierze wyszli przed barak.

– Co do kur... – Wojciech ugryzł się w język. – Feliks, co to jest? – Wskazał palcem na dwa samochody ciężarowe.

– Jak to co, mamy rozkaz związać graty i najpóźniej jutro wieczorem zameldować się w garnizonie. Wcielają nas do Pięćdziesiątego Piątego Pułku Piechoty – rzucił niezadowolony major. – Z początku ponoć miałem dostać cały Drugi Batalion i cofać się nad Wartę. Delikatnie odmówiłem i na razie dostajemy status plutonu zwiadowczego pod

moim dowództwem, a to nasze młokosy. Dalej zobaczymy, może w rejonie koncentracji dostaniemy Drugi, ale najpewniej będziemy robić rozpoznanie, panie Wojtku – dodał.

– Pluton? Jasna cholera, co ja mam zrobić z tymi wypierdkami? – Wojciech ponownie wskazał ręką na młodych żołnierzy, ustawiających się na baczność w jednej linii. – Od kogo będą przychodzić rozkazy?

– Od Wiecierzyńskiego – odpowiedział krótko Feliks.

– Ilu ich mamy?

W tym momencie starszy strzelec, prężący pierś tuż na początku prostej linii utworzonej z wypastowanych butów, krzyknął:

– Kolejno odlicz!

– Ja pierdolę, to się nie dzieje – powiedział Wojtek, a Makarewicz stojący nieco z tyłu zaśmiał się pod nosem.

– No to już wiesz, przydzielili nam dwudziestu ośmiu strzelców. – Zygartowicz klepnął go po ramieniu. – Ciesz się, bo ponoć tylko dzięki Kaźmierczakowi nas nie rozbili. Jeszcze byś się dostał pod rozkazy Gałana.

Wojtek popatrzył na majora, puszczając mimo uszu zdanie o Gałanie.

– Pięknie – skwitował.

Młodzi żołnierze cały czas stali na baczność i zerkali na chorążego. Zdziwieni obserwowali, jak odzywa się do starszego oficera. Tkwili w słońcu, czekając na dalsze rozkazy, obserwując niecodzienną sytuację. Dwóch z nich słyszało opowieści krążące na kompanii o specyficznych oficerach, którzy w zeszłym roku utarli nosa kapitanowi Gałanowi, i zastanawiali się teraz, czy to właśnie oni.

Najwięcej kontrowersji wzbudzał młody strzelec. Rozładowywał łazik i co rusz znikał w ziemiance nieopodal baraku. Najpierw chodził w mundurze polowym, później bez słowa ściągnął bluzę i poruszał się w samych spodniach, pokazując doskonale wyrzeźbione mięśnie. Po chwili podszedł do nich małomówny plutonowy.

– Panie plutonowy, melduję...

– Jezu, człowieku, zlituj się i nie drzyj tej jadaczki – rzucił cicho Radek i wskazał miejsce pod małym zagajnikiem. – Rozlokujcie się tam gdzieś na uboczu.

– Tak jest.

– Broń zabezpieczcie i pościągajcie z siebie te graty, bo zanim przyjdą szkopy, zdążycie mi tu popadać – dodał, patrząc na obładowanych piechurów.

Ciężarówki, zgodnie z rozkazem, odjechały do garnizonu. Młodzi żołnierze szybko rozlokowali się blisko miejsca po ognisku i z odległości obserwowali, co się dzieje. Więcej niż połowa z nich była ochotnikami, którzy zaciągnęli się w zeszłym roku. Kilku dotarło z mobilizacji z regionu, a reszta przybyła z innych punktów mobilizacyjnych. Do

tych grupa miała najmniejsze zaufanie i wyraźnie się od nich izolowała. W tych czasach każdy nieznajomy mógł być szpiegiem. Gdy cień rzucany przez drzewa wydłużył się, przyszedł porucznik i pozwolił rozpalić ogień. Wydał trochę żywności, w tym pudełko kawy zbożowej, i wskazał worek ziemniaków do upieczenia.

Atmosfera przy ognisku zrobiła się koleżeńska. Wiedzieli, że jutrzejszy dzień zapowiadał się dużo bardziej pracowicie. Z garnizonu mieli wysłać dwa wozy konne na amunicję i inne sprzęty, które mieli przetransportować do jednostki. Wszystko można by zrobić ciężarówkami, ale one w każdej ilości były potrzebne do transportowania garnizonu w rejony obronne. Czekał ich trzydziestokilometrowy marsz, a później nie wiadomo. Najpewniej, jak reszta ich kolegów, pomaszerują w kierunku rejonu umocnień przy Warcie.

– Sebastian, masz listę nazwisk? – zapytał major.

Porucznik położył na stole kartkę papieru.

– Dziękuję. Jak byliśmy w Lesznie, dostałem rozkaz podpisany przez Abrahama, chcę, żebyście go usłyszeli.

Rychter od razu wyciągnął kolejną kartkę z papierowej teczki. Wszyscy czekali wygodnie na swoich miejscach, Andrzej czyścił broń, a Wojciech z Makarem siedzieli okrakiem na końcach ławek, oparci o ścianę baraku, palili i pili kawę. Gdy z ust porucznika popłynęły słowa, wszyscy podnieśli głowy.

Rozkaz dzienny nr 33

Apel do żołnierzy

W związku z ogłoszoną mobilizacją wzywam wszystkich podległych mi oficerów podoficerów i szeregowych do wytężonej pracy na powierzonych wam stanowiskach. Życzeniem moim jest, aby wszyscy bez wyjątków wytężyli swe siły we wspólnym wysiłku dla dobra Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Niech zagrażający nam wróg, który czyha na naszą niepodległość, zastanie nas przygotowanych. Nie możemy zawieść naszej Ojczyzny, Narodu i Wodza Naczelnego, dlatego też niechaj nasi bohaterowie narodowi będą dla was wskazaniem, jak żyć i pracować ku chwale Ojczyzny.

Przejdźcie z gospodarki pokojowej na wojenną

Z chwilą osiągnięcia gotowości przez plutony mobilizowane przez dyon, plutony te przechodzą z gospodarki pokojowej na wojenną. Wykonywanie tych czynności pozostawiam w rękach oficera gospodarczego dyonu.

Na koniec przypominam wszystkim podległym mi żołnierzom o obowiązku zachowania tajemnicy wojskowej. Niech wszystkich cechuje powściągliwość w mowie na tematy wojskowe pamiętajcie, że szpieg ma zawsze oczy i uszy otwarte. Pamiętajcie też, że złamanie tajemnicy wojskowej podlega sądowi doraźnemu.

Dowódca Dywizjonu

Gdy Sebastian skończył czytać, w baraku zapanowała grobowa cisza. Jedyne natrętna mucha uderzała bezmyślnie w uchylone okno, próbując się wydostać na zewnątrz.

– Kurwa, panowie, mamy wojnę – przerwał ciszę chorąży Tuchowiak.

– Obawiam się, że dużo szybciej, niż się tego spodziewaliśmy – skwitował Zygartowicz.

– Panie majorze, jakie rozkazy? – zapytał cicho Makarewicz.

– Jutro, zgodnie z wytycznymi, udamy się do Leszna. Tam dowiemy się więcej. Najpewniej ruszymy w rejon koncentracji. Na razie jedno jest pewne, zostaliśmy chyba jedynym plutonem rozpoznawczym dowodzonym przez majora w całej armii Poznań.

– Panie majorze, ale te młokosy ani trochę nie są gotowe na bijatykę – powiedział Makarewicz.

– O to się właśnie obawiam najbardziej, panie Radku. Idźcie do nich razem z Andrzejem, rozdajcie dodatkową rację żywności i po paczce papierosów. Wywiedźcie się, skąd są, z jakich jednostek mobilizacyjnych mają przydziały, jaki mają staż i doświadczenie wojskowe. Ustalcie dwie drużyny i mianujcie dowódców. Przekażcie, że zbiórka o pół do szóstej rano. Za godzinę capstrzyk i żeby mi zgasili ognisko, zanim się ściemni na dobre. Niech pościągają buciory i onuce, jutro na początek krótki marsz, nie chcę, żeby mi się zatarli po kilku kilometrach. Później pójdziemy dalej za pięćdziesiątym piątym. Sebastian, idź z nimi i przeczytaj wszystkim rozkaz od Abrahama.

Gdy żołnierze bez słowa wyszli, w baraku znowu zapanowała cisza.

Rozdział 3

Radke siedział za masywnym biurkiem swojego gabinetu i nerwowo palił cygaro. Starając się uspokoić rozbiegane myśli, oparty o wygodne oparcie krzesła, wpatrywał się w obraz w ciężkiej złoczonej ramie. W centrum, po brukowanej drodze, pędziła drynda. Koniom z chrap buchała para, a przytłumione światło miejskich lamp gazowych mieszało się z nią. Gruppenführer Radke uważał, że realizm to najwłaściwszy kierunek w sztuce. Niezakłamana rzeczywistość, ukazująca zwykłych ludzi z ich problemami, upakowana w tylko z pozoru spokojną kompozycję. Zwykły dzień, w którym działo się coś niezwykłego.

Aparat telefoniczny zabrzączał wściekle i wyrwał go z zadumy. Spokojnie odłożył cygaro na kryształową popielnicę i podniósł słuchawkę z widełek.

– Radke, słucham.

– Witaj, Klaus. – Heinrich Himmler mówił spokojnie i z dokładnością wypowiadał każdą głoskę.

– *Heil Hitler, Herr Reichsführer*, miło pana słyszeć.

Zwierzchnik SS nie miał zamiaru prowadzić długich konwersacji.

– *Großmutter gestorben* – padło oschle.

– Rozumiem – rzucił, po czym usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

Radke przez centralę zadzwonił na posterunek policji w Gleiwitz. Komendant, gdy tylko usłyszał jego głos, powiedział, że patrol będzie gotowy do wyjścia w ciągu kilku minut. W niewielkim hotelu na obrzeżach miasta, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę, Egner wpatrywał się w czarny aparat telefoniczny. Jego siedmiu esesmanów było w jednym z magazynów zlokalizowanych w dzielnicy przemysłowej, tuż przy drodze do radiostacji. Tam, na jego polecenie, przetrzymywali trzynastu odurzonych jeńców, przebranych w polskie mundury, i aresztowanego mieszkańca podgliwickiej wsi, Polaka, uczestnika powstań śląskich. Esesman palił papierosa i powtarzał ułożony w głowie plan. Gdy zadzwonił Radke i podał umówione hasło, Egner założył kaszkiet, zapiął drelichową kurtkę i wyszedł do samochodu. Każdy z wybranych esesmanów mówił dobrze po polsku. Wszyscy gotowi do wypełniania rozkazów, czekali na swojego dowódcę.

Przejeżdżając przez miasto, widzieli, jak wiele jednostek Wehrmacht skoncentrowało nad granicą, która od Gleiwitz znajdowała się nie dalej niż dziesięć kilometrów. Żołnierzy

było tylu, że aby ich wszystkich pomieścić, władze miasta zaangażowały do tego większość placówek oświatowych. Szkoły pękały w szwach od piechoty, a rozpoczęcie roku szkolnego, jak zwykle wyznaczone na piętnastego sierpnia, zostało przesunięte do odwołania. Dzieci w wieku szkolnym jednogłośnie uznały tę decyzję za wspaniałą i jeszcze bardziej wychwalały swojego wodza.

Egner wszedł do magazynu, gdzie stały dwa samochody ciężarowe. Dowódca grupy, szczupły i wysoki, o inteligentnych oczach, w pierwszej chwili chciał zsalutować, ale się powstrzymał.

– No, żeby ci to do głowy nie przyszło. Jesteśmy śląskimi powstańcami, rozumiano?
– rzucił Egner.

– Tak jest. A co z nimi? – Lider grupy wskazał na trzynastu mężczyzn, którzy leżeli pogrążeni w narkotycznym śnie.

– Wszystko załatwimy na miejscu. Zbieramy się, już czas. Wszyscy wiedzą, co mają robić?

Skinęli głowami.

– Dobra. Ładować ich na pakę i ruszamy.

Esesmani bez chwili namysłu zaczęli przenosić śpiących więźniów do samochodu.

Zespół trzech budynków z drewnianą wieżą antenową, noszącą miano najwyższej konstrukcji drewnianej na świecie, ukazał się w oddali. Samochody zatrzymały się wcześniej, żeby nie wzbudzać podejrzeń i nie zaalarmować załogi radiostacji. Zgodnie z zapewnieniem Radkego, ochronę planowano zdjąć. Zamiast tego na miejscu miało być dwóch podstawionych policjantów. Gdy podeszli pod ogrodzenie, gdzie była furka, która prowadziła na tył głównego budynku, zobaczyli jakąś postać.

– Tędy, tutaj – odezwał się konspiracyjnym głosem mężczyzna w ciemnym mundurze i otworzył furtkę.

– Ilu jest w środku? – zapytał Egner.

– Czterech techników i mój kolega. Za chwilę pewnie będą odsłuchiwać wiadomości nadawane o dwudziestej.

– Rozumiem. Którędy do sali nadajnika?

– Za drzwiami w lewo, przez łącznik prosto, tam będzie długi korytarz, wtedy do końca i pierwsze drzwi w lewo.

Egner machnął ręką na pięciu żołnierzy przebranych za powstańców. Ruszyli. Drzwi do środka były otwarte. Weszli wąskim korytarzem, przeszli łącznik do głównego budynku i z gotowością do strzału zmierzali do widocznych drzwi na lewej ścianie. W radiostacji było zupełnie cicho. Gdy wtargnęli do sali, technicy aż podskoczyli ze strachu. Najmniej zdziwiony był Hauptwachtmeister, który jeszcze chwilę temu

z niecierpliwością zerkał na zegarek.

– Ręce do góry! – krzyknął po polsku jeden z esesmanów. Machnął bronią.

Unieśli ręce. Kolejny gest mauzerem też był łatwy do odczytania. Jeden z esesmanów podszedł do policjanta i pozbawił go pistoletu.

– Wykonujcie polecenia, a nikomu nic się nie stanie – powiedział łamanym niemieckim Egner, patrząc na zakładników. – Gdzie jest piwnica? – Dalej nieudolnie kaleczył swój język.

– Przy klatce schodowej są drzwi, proszę pana – odpowiedział drżącym głosem młodziutki radiooperator.

– Franek! – Egner machnął pistoletem.

Zakładników sprowadzono do piwnicy i zamknięto. Rozpoczęła się kolejna faza operacji. Należało przygotować się do nadania wiadomości.

– Ty biegiem do samochodu, niech podjadą na dziedziniec. Reszta przygotowuje się do nadania komunikatu – powiedział chłodno Egner.

Żołnierze rozeszli się po sali.

– *Herr Sturmbannführer...*

Egner dopiero co przypalił papierosa.

– Zamknij się, ty idioto. Ile razy mówiłem: żadnych stopni?

– Przepraszam – wyszeptał żołnierz z przerażeniem.

– Mów!

– Tu nie ma mikrofonów.

Egner myślał, że się przesłyszał.

– Jak to nie ma mikrofonów? Co ty pierdolisz? Przecież to radiostacja.

– Wiem, ale nie ma. – Młody Rottenführer był blady ze strachu.

Oficer obrzucił swoich ludzi piorunującym wzrokiem.

– No to na co się gapicie? Szukać, kurwa, jak nie nadamy tej wiadomości, to sam was rozstrzelam – wrzasnął wściekły.

Po kilkunastu minutach energicznych poszukiwań esesmani wywiesili białą flagę. Egner chodził z miejsca na miejsce, dopalał kolejnego papierosa i pocił się ze strachu.

– Kurwa, niech to szlag jasny. Co teraz? Dawać mi tu tego policjanta – mówił wyraźnie spanikowany.

Po chwili na górze pojawił się Stefan Loewe. Przecież wszystko miało pójść jak z płatka, pomyślał. Esesman podszedł do niego i zaczął bez ogródek:

– Nie możemy znaleźć mikrofonu, a musimy nadać wiadomość. Jeżeli ci na dole nie

znajdą rozwiązania, to dostaną kulę w łeb, każdy, bez wyjątku. Masz im to przekazać. Zrozumiałeś? – Tym razem jego niemiecki nie był śmieszny, wręcz przeciwnie, działał jak zamrożone rozbryzgi wody morskiej uderzające w twarz.

– Zrozumiałem! – Mężczyzna obrócił się i wraz z jednym z przebierańców wrócił na dół. Nie minęła chwila i pojawili się z powrotem, w towarzystwie jednego z operatorów radiostacji.

– Proszę pana, my stąd nie nadajemy. Wszystkie mikrofony są w starej radiostacji jakieś kilka kilometrów stąd – powiedział z przerażeniem technik.

Egner miał wrażenie, że się przesłyszał. Wyciągnął pistolet i wymierzył w twarz przerażonego człowieka.

– Gównu mnie to obchodzi, daję ci dziesięć sekund. Masz mi powiedzieć, jak nadać stąd wiadomość w eter. Raz...

– Proszę nie strzelać, błagam pana, ja mam małą córkę.

– Dwa...

– Jest jeszcze mikrofon burzowy – mówił technik ze łzami w oczach.

– Co to znaczy „burzowy”? – zdziwił się Egner.

– Używamy go tylko kilka razy do roku. Jak nadchodzi burza, to ostrzegamy ludność, że radiostacja przerwie nadawanie ze względu na wyładowania atmosferyczne. Ludzie są niecierpliwi i jak zniknie sygnał, to myślą, że to wina radia, i kręcą...

– Dość tego pieprzenia, gdzie ten mikrofon? – wrzasnął Egner.

– Proszę za mną – powiedział technik, trzęsąc się ze strachu.

Jeden z żołnierzy ruszył za nim. Po chwili przynieśli sprzęt wraz z mikrofonem.

– Podłączaj to! Szybko!

Nie minęło kilka minut i wszystko było gotowe.

– Wystarczy przestawić ten przełącznik i można nadawać – powiedział rozdygotany chłopak.

– Zabrać go! – wrzasnął Egner.

Gdy technik zniknął za rogiem, Sturmbannführer zerknął na człowieka, który miał nadać komunikat.

– Zaczynaj – powiedział.

Młody mężczyzna usiadł przed mikrofonem, wyciągnął kartkę z tekstem i uruchomił mały przełącznik.

Gruppenführer Radke siedział prawie po ciemku. Teraz w jego gabinecie jedynym światłem, które nadawało ostrości konturom mebli, był blask pochodzący od włączonego radia. Nagle głośnik ożył, a w eter zaczęły płynąć niezrozumiałe słowa. „Uwaga, tu

Gleiwitz. Radiostacja znajduje się w polskich rękach...” – dźwięk się urwał. Radke w pierwszej chwili myślał, że to awaria jego odbiornika. Na to liczył. Podeszedł do urządzenia i nerwowo przekręcił gałkę. Najpierw w jedną, a później w drugą stronę. Wszystko w porządku.

– Kurwa mać! – zaklął na głos. Gdy zadzwonił telefon, czuł, jak po czole zaczynają spływać mu kropelki potu. Podeszedł do aparatu i z wyraźnym lękiem sięgnął po słuchawkę.

– Co się dzieje? – usłyszał.

Tym razem dzwonił Reinhard Heydrich, jeden pomysłodawców prowokacji, największy rywal Radkego.

– Nie wiem, nie ma mnie przecież na miejscu – odparł poirytowany. – Jakie rozkazy? Wdrażamy plan awaryjny? – zapytał.

– Właśnie Heinrich rozmawia z Führerem. To już nie twoje zmartwienie.

Gdy Reinhard się rozłączył, Radke aż poczerwieniał ze złości. Miał wrażenie, że zaraz wybuchnie. Złapał za ciężką kryształową popielnicę i rozbił ją o drzwi gabinetu.

Egner nieświadomy tego, że wszystko poszło nie tak, dalej działał zgodnie z planem. Lektor skończył czytać tekst, który nie poszedł w eter. Wydał rozkaz rozstrzelania wszystkich więźniów na placu tuż przed radiostacją. Esesmani zniknęli, na miejsce jechała policja, żeby sporządzić propagandową dokumentację tego zdarzenia.

Tymczasem rozgłosnia z Berlina wdrażała plan awaryjny. Dano sygnał wszystkim rozgłosniom państwowym, aby te puściły w eter tekst na temat polskich działań. Tej nocy jedna z ponad dwustu prowokacji, tak skrzętnie planowana przez wysokich rangą oficerów SS, mająca utwierdzić w przekonaniu Francuzów i Anglików, że to Polska jest krajem dążącym do konfliktu zbrojnego, okazała się kompletną porażką SS, a wielkim triumfem wywiadu polskiego. Niestety, nie miało to żadnego wpływu na rozwój dalszych tragicznych zdarzeń, które niczym lawina wkrótce przetoczyły się przez Europę.

Rozdział 4

Noc z 31 sierpnia na 1 września była ciepła. Rozgwieżdżone niebo, niczym mapa z niepoliczalną liczbą punkcików, skłaniało do refleksji.

Dwóch serdecznych przyjaciół stało przed barakiem ze stalowymi kubkami w dłoniach i popijało kawę. Otaczała ich ciemność. Ciepłe powietrze mieszało się z zapachem perfumowanego tytoniu. Patrząc w niebo, Feliks pomyślał o Rozalii. Zastanawiał się, czy tak samo jak on boi się kolejnych dni? Major automatycznie podniósł dłoń i wyszukał na rzemyku nieśmiertelnika drobny pierścionek z czerwonym oczkiem.

Wojciech zaciągnął się głęboko i patrząc w gwiazdy, myślał o domu rodzinnym, który był zaledwie trzydzieści kilometrów od niego. Po chwili ogromny chorąży pstryknął niedopałkiem przed siebie.

– Niech ich szlag, razem z tym ich pokurczem – rzucił przed siebie.

Feliks prawie niewidocznie skinął głową i upił kolejny łyk kawy zbożowej.

– Byłem pewien, że zrezygnują z Gleiwitz i że Zedermann kupił nam trochę czasu – powiedział.

– Może tak jest, nie wiesz tego. Anglicy przecież w końcu się porządnie określili. Może już byśmy się prali, gdyby nie ten numer z Breslau.

– To dlaczego w ogóle...

W tym momencie z baraku wyjrzał Makarewicz.

– Panie majorze, depeza z Leszna. Piszą, że w Rawiczu są jakieś problemy, kapitan Ostrowski poprosił garnizon o posiłki, bandy dywersantów przekroczyły granicę i nękają okoliczną ludność.

Wojciech zerknął wymownie na Radka.

– Tej, Makar, co ty pierdolisz? Nękać to ja będę tę bandę, co śpi pod laskiem. Mówże, co się dzieje – ryknął olbrzym.

– Drwał, nie wiem, o co się ciskasz. Jedyne, co przekazali, to to, że major ma nawiązać kontakt.

Weszli do baraku.

– Radek, nadawaj depezę. Zapytaj, jakie rozkazy.

Po chwili wyczekiwania nadeszła kolejna zaszyfrowana wiadomość zwrotna, aby pozostać na pozycjach i wzmóc ostrożność. Cała sprawa przy granicy okazała się na tyle poważna, że generał Abraham od razu rozkazał wysłać w rejon Rawicza pluton samochodów pancernych.

– Radek, zbudź Andrzeja. Weźmiecie sześciu ludzi i podzielicie się na dwie grupy. Ruszycie na zachód i ustawicie czujki na rogach lasku. Żadnego palenia, za dwie godziny przyjdzie zmiana. Radek, ty idziesz na północ od wsi.

– Panie majorze, a co, jak natrafimy na jakichś Niemców? – zapytał zaspany Andrzej.

– Nic, zaproście ich na zbożówkę. Nie zadawaj głupich pytań. Pamiętajcie, tylko w razie ostatniej konieczności związać ich ogniem. Jak będzie ich dużo, żadnego strzelania, tylko po cichu do mnie i wszystko meldować. Zrozumiano?

Skinęli głowami. Makarewicz zabrał swojego wz .38, pas z ładownicami i klepnął Andrzeja w plecy.

– Chodź, młody, nie ma czasu.

Sebastian, słysząc poruszenie w baraku, otworzył oczy.

– Co się dzieje, majorze? – zapytał zaspany.

– Jakieś potyczki z bandytami przy granicy gdzieś pod Rawiczem.

– Jakie rozkazy? – Usiadł na pryczy

– Czekamy do rana, zgodnie z rozkazami. Skoro wstałeś, idź do ludzi, przypilnuj, żeby nie hałasowali, i wytłumacz, dlaczego ustawiamy dwa posterunki. Niech wszyscy pozakładają buty i śpią gotowi do wymarszu. Wyznacz nowe warty pod lasem i niech jedna cały czas czuwa tu, w obozie. Bezwzględny zakaz palenia. Powiedz im, że mają siedzieć tak cicho, jakby w ogóle ich tu nie było.

– Tak jest! – rzucił.

Gdy Sebastian wyszedł, major popatrzył na Wojciecha. Jego twarz wyrażała więcej niż tysiiąc wypowiedzianych słów.

– Jeszcze nic wielkiego się nie dzieje. Trzeba odpocząć i nabrać sił, jutro nowy dzień.

Wojciech skinął tylko głową i pogрузzył się w myślach.

Dokładnie o godzinie czwartej pięćdziesiąt jeden, gdy trzecia zmiana była już na posterunkach, w baraku zadzwonił telefon. Śpiący Makarewicz przekręcił się na łóżku i podniósł głowę. Major go uprzedził, nie spał już od dawna. Patrząc w sufit, niemal całą noc myślał o Rozalii. Wyrwał się z zadumy i podniósł słuchawkę.

– Zygartowicz, słucham. Jaka sytuacja na naszym odcinku? – zapytał przez zęby. – Jak to otoczyli? Rozumiem, przekaz, że rozkazy wykonuję natychmiast. Koniec – odłożył słuchawkę.

Radek już siedział i szeroko otwartymi oczyma patrzył na dowódcę.

– Mamy wojnę – usłyszał.

Plutonowy nie wydał z siebie żadnego dźwięku, tylko kopnął w kanadyjkę kolegi. Młodzian, po raz kolejny wyrwany z głębokiego snu, niczym automat wypalił:

– Tak jest! Gotowy do wymarszu! – Ocknął się i po sekundzie wrócił do rzeczywistości. Był przekonany, że to kolejna zmiana na posterunku.

– Wojna, wstawaj – powiedział Makar, jakby nie do końca przekonany o prawdziwości tych słów.

– Co? Gdzie? Niemcy kajś blisko? – Andrzej popatrzył pytająco na dowódcę.

– Uspokój się i słuchaj. Leć na posterunek, wezwij chorążego z powrotem do mnie, tylko migiem, a porucznikowi przekaz, że ma zostać na pozycji i meldować w razie potrzeby. Niemcy zaatakowali w wielu miejscach. Bombardują Wieluń, podobnie jest w Gdańsku. Rawicz otoczony – powiedział Feliks.

– Panie majorze, a co na Śląsku?

– Nie wiem, nie czas na pytania. Śmigaj.

Młodzian chwycił karabin i wybiegł z baraku.

– Radek, stawiaj wszystkich na nogi. Mają być gotowi do wymarszu. Przejrzyj im sprzęt, wydaj dodatkowe ładownice. Powiedz im z grubsza, co się dzieje.

Plutonowy bez słowa zniknął za drzwiami. Feliks rozejrzał się za mapnikiem, wyciągnął mapę, podkręcił lampę naftową i przyjrzał się ukształtowi regionu. Lęk rozlał się goryczą po całym ciele, ale tym razem dodatkowo pojawił się nowy strach, którego nie znał.

Bał się o Rozalię. Jeszcze nigdy nie doświadczył czegoś podobnego. Zastanawiał się, czy już wie o wojnie, czy jest sama i czy ma się do kogo zwrócić o pomoc. Natrętne myśli atakowały niczym stado wściekłych komarów. Wpatrywał się w kolorową mapę, aż nazwy miejsc stały się niewyraźne. Nie spodziewał się, że to trudne do okiełznania uczucie tak szybko wykiełkuje. Bał się do niego przyznać, odpychał je gdzieś w niewidoczny kąt, ponieważ całe życie wmawiał sobie, że nie umie normalnie kochać. Rozważania nagle przerwał huk, do baraku z impetem wpadł zdyszany Tuchowiak.

– Wiadomo, gdzie są szwaby – wypalił bez ogródek.

Feliks zerknął na przyjaciela, uśmiechnął się i powiedział:

– Na razie mam tylko szczątkowe informacje. Ostatni meldunek mówił o okrążeniu Rawicza, bombardowaniach na południu i o tym, że ponoć Schleswig-Holstein ostrzeliwuje Westerplatte. To ogólnie. O naszym odcinku niewiele mówili.

– No to zaczęło się na dobre. Słuchaj, spotkałem się z Andrzejem w pół drogi. Tych swoich trzech wyrostków podesłałem do Sebastiana. Pokaż mapę.

Tuchowiak podszedł do stołu, przyjrzał się dokładniej, odnajdując miejsce, w którym się znajdowali. Wskazał palcem na punkt na skraju lasu.

– Tu siedzi Sebastian, ja miałem Krzycko w zasięgu wzroku. Od strony Wschowy na Leszno jedzie ciężki sprzęt. Raczej nie czołgi, ale ich słyszać. To było dobre kilka minut temu.

Major popatrzył na zegarek, dochodziła piąta piętnaście. Po chwili usłyszeli echo dźwięku, który obaj znali aż za dobrze. Boże chroń. Rozpoczął się ostrzał artyleryjski. Niemcy przygotowywali natarcie. Feliks podniósł się z miejsca i pokręcił korbą prądnicy telefonu.

– Tu Zygartowicz. Melduj, co się dzieje. – Po raz kolejny jakiś młody żołnierz z przerażeniem mówił do słuchawki. – Rozumiem, życz mu powodzenia – skwitował krótko. Z obawy przed podsłuchem na liniach telefonicznych nie miał zamiarów zdradzać swoich planów.

– To Leszno, ostrzeliwują je z kierunku Wschowy. Dymowski ze swoim Pierwszym Batalionem broni miasta – rzucił do przysłuchującego się Wojtka i popatrzył na mapę. –

Musimy się szybko dostać na tyły i obadać sytuację. Im więcej informacji zbierzemy, tym lepiej. Jasna cholera, trzeba było nie oddawać tych ciężarówek – powiedział pod nosem, czując, że popełnił wielki błąd.

– Musieli wrócić, inaczej Gałan by ich dupy załadował do paki – uspokoił go Wojtek. – Słuchaj, mam pomysł, zaraz pewnie będzie tu Andrzej. Ten gówniarz biega tak szybko jak poparzony zajac. Niech biegnie dalej do gospodarstwa Kabacińskich, oni mają samochód ciężarowy. Jak dobrze ich upchnę, to się zmieszczą – dodał triumfalnie Wojtek.

Feliks oparł się dłonią o stół i zerknął jeszcze raz na mapę.

– Dobry pomysł, niech leci i go rekwiruje. Podjedziemy po cichu pod Długie, gdzieś tutaj. – Dotknął punktu na mapie, gdzie znajdowała się nieduża wieś. – Stamtąd podejmiemy ich tu, na flankę. Przeprowadzimy rozpoznanie, a potem prosto do Leszna.

Chorąży spojrzął na przyjaciela.

– Co z naszym grajdołem?

– Nic, zostawimy kilku na posterunku. Nie podejrzewam, aby tu szwaby szybko trafiły. Z Leszna puścimy ze dwa wozy konne, niech załadują wszystko i wracają do garnizonu.

– Dobry pomysł – rzucił Wojtek i wyciągnął egipskiego.

Na zewnątrz było duże poruszenie. Na młodych twarzach rysowała się trwoga. Każdy z nich wiedział, że to nie ćwiczenia, i w duchu modlił się, żeby kanonada jak najszybciej ustała, ale huk trwał. Makarewicz pokrótce wytłumaczył wszystkim, co się dzieje i jakie mogą być najbliższe rozkazy. Pokazał, jak szybko i dobrze wiązać onuce, które

przysparzały tak wielu problemów.

Wszyscy słuchali cennych rad plutonowego. Bardziej doświadczeni pomagali rekrutom. Do budynku dobiegł Andrzej. Wpadł do baraku z meldunkiem od porucznika. Pochylił się i przez kilka sekund ciężko dyszał.

– Panie majorze, porucznik jest pewien, że ostrzeliwują Leszno, twierdzi, że to nieduża ilość artylerii. Leszno na pewno odpowiedziało ogniem. Pyta, jakie rozkazy – zameldował, oddychając ciężko.

– Nie martw się porucznikiem, tylko natychmiast biegnij do wioski, prosto do gospodarstwa Kabacińskich. Tam zarekwirujesz ciężarówkę. Jak będzie trzeba, to możesz ją doprowadzić. Masz tu być jak najszybciej, jedziemy pod Leszno.

– W tej chwili, panie majorze – odpowiedział zdyszany strzelec.

– Młody! – krzyknął Wojtek.

Manierka poleciała w kierunku żołnierza. Pochwycił ją, upił kilka solidnych łyków i odrzucił.

– Dziękuję – odparł zdyszany i chwycił za drzwi.

– Andrzej – zatrzymał go Feliks.

Młodzian obrócił głowę i spojrzał na dowódcę.

– Tylko na jednej nodze – dodał.

– Tak jest! – Skinął głową i zniknął za drzwiami.

– Drwal, idź wyznacz kogoś, niech leci po Rychtera. Powiedz Makarowi, żeby zabezpieczał sprzęt i szykował urugwajki. Bierzemy się do pracy.

Olbrzym kiwnął głową i wyszedł. Major schylił się ponownie nad mapą i złapał za talizman na rzemyku. Zastanowił się, jak by on sam pokierował ogniem artyleryjskim na leszczyńską stolicę. Gdzie ustawiłby baterie? Nie był pewien, ale przypuszczał, że to część garnizonu z Fraustadt, może dodatkowo jakaś jednostka wydzielona z dywizji piechoty stacjonującej w Glogau, zapewne wzmocniona przez oddziały Grenzschtzu. Kanonada nie była imponująca. Na niebie nie widział jeszcze żadnych samolotów bombowych, nie było też słycać czołgów. Czuł, że Niemcy główne uderzenie zaplanowali gdzieś indziej.

Okolo godziny pół do szóstej pojawił się Andrzej. Okazało się, że rodzina Kabacińskich to rzeczywiście majątna familia. Przed barakiem stał niespełna roczny polski fiat 618 l. Cała piątka wyszkolonych żołnierzy była gotowa, reszta młodych strzelców stała i z przerażeniem w oczach patrzyła na to, co się dzieje. Na razie bali się tylko dlatego, że nie wiedzieli, co ich czeka. Wyrzucili maski przeciwgazowe, chlebaki, plecaki, niezbędniki, nożyce do drutu, zamiast tego każdy zafasował dodatkową ilość amunicji i granaty. Wszystkim wydawało się to nierozsądne, ale nie można było ich

winić. Tak zostali wyszkoleni.

Ich nowi zwierzchnicy wiedzieli, że należy brać tylko niezbędne rzeczy, a w resztę pustych miejsc upakować taką ilość dodatkowej amunicji, jaką jest się w stanie upchnąć. Porucznik sprawdził, czy wszyscy mają opatrunki. Urugwajki wylądowały na plecach cichego plutonowego i porucznika.

Po chwili z baraku wyszedł major. Rozejrzał się po twarzach młodych żołnierzy. Widział już te miny nie raz. Wiedział, że czekają na informacje i słowa otuchy, które będą zbawieniem i obudzą nadzieje, że wszystko będzie dobrze. Feliks w głębi duszy wiedział, że nie będzie. Wojna nie zna litości ani współczucia, nie oszczędza dzieci, kobiet, wojna zabija. Zabiera ojców, matki i synów. Zabiera honor i człowieczeństwo, jest porażką w najczystszej formie.

Nikt nie chciał wyjść na tchórza. To największy z motorów napędowych w kompaniach, ale zarazem woda na młyn śmierci, która kosi szeregowców niczym gospodarz za długą trawę. Ta pierwsza myśl przed pójściem na front, pojawiająca się pośród młodych rekrutów: „przecież nic nie może mi się stać”. Tymczasem albo po prostu nie wracasz, albo cudem udaje się ci przeżyć. Wtedy po bitwie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, w końcu zdajesz sobie sprawę, że grozi ci więcej niż śmiertelne niebezpieczeństwo, a cuda nie zdarzają się często. Wtedy już wiesz, że stawką nie jest żołd, ani paczki papierosów, stawką jest twoje życie. Rozważasz ucieczkę, niewykonanie rozkazu, więzienie, postrzelenie się, wszystko, byle tylko żyć.

Zaczynasz patrzeć na rannych, tych dogorywających żałujesz, a tym lekko rannym zazdrościsz. Marzysz o postrzale w nogę, ramię, byle tylko uciec z pierwszej linii. Feliks dobrze znał realia wojny. Teraz, patrząc na tych młokosów, widział w nich entuzjazm, wiedział, że za dwa, może trzy tygodnie większość z nich zapomni o innych, ale on nie będzie potrafił. Zapamięta każde nazwisko, które stanie się krzyżem w polu, na którym zawiśnie hełm.

Czuł treść. Był odpowiedzialny za tych chłopców. Teraz miał zamiar zasiać ducha walki i obudzić w nich trochę agresji. To najlepsze, co mógł zrobić. Podszedł do nich, wszyscy stanęli na baczność. Pokazał palcem w kierunku Leszna.

– Słyszycie to? Ten huk? Wyobraźcie sobie, że właśnie teraz młodzi rodzice, zamiast szykować śniadanie dla swoich dzieci, które po wakacjach miały wrócić do szkoły, kulą się, tuląc swoje pociechy, modląc się przy tym, aby żaden pocisk nie spadł na ich dom. Zobaczcie ich swoimi oczyma, widzicie, jak się boją. Tam na horyzoncie Niemcy weszli po to, aby zabijać, obdzierać z honoru i człowieczeństwa nasz naród. Ale nie tym razem, panowie, ponieważ my wiemy, co robić. Właśnie w tej chwili robi to Westerplatte, zaciekle odpierając Niemców. Musimy bronić tych ludzi i nas samych przed agresorem. Najjaśniejsza Rzeczpospolita nas potrzebuje. Pamiętajcie, że od tej chwili cały naród jest żołnierzem. Nie ma podziałów czy waśni. Tylko zjednoczeni wygramy z nazistami.

Spójrzcie na swoich kolegów, spójrzcie im głęboko w oczy i zobaczcie w nich tę siłę, którą macie w sobie. Nadszedł czas, kiedy naród nas potrzebuje. Desperacko woła o pomoc niczym dziecko porwane przez nurt rzeki. To my stoimy na brzegu, silni i gotowi. Nie możemy się zawahać. Czy jesteście gotowi stanąć w obronie tych ludzi i całego narodu?

– Tak jest, panie majorze! – huknęli najgłośniej, jak potrafili, równocześnie zaciskając pięści na swoich karabinach. Wojtek, stojący obok, uśmiechnął się pod nosem – wiedział, że następne godziny zweryfikują ich zapał. Jedni wystygną i poddadzą się w duchu, drudzy wpadną w szal niczym byki na corridzie. Czuł, że tych będzie zdecydowanie więcej. On takie mowy słyszał wielokrotnie.

Dzisiaj robił już to, co do niego należy. Nienawidził, kiedy ludzie dla jakichś wyimaginowanych celów chcieli krzywdzić innych. On się na to nie godził, kiedyś tego nie rozumiał, teraz był dojrzałym mężczyzną i widział w Niemcach bandytów, którzy chcą skrzywdzić jego kochaną matkę i siostrę. Zapragnął ich zabijać.

Zerknął na przyjaciela.

– Dobrze. Spocznij. Kto pali, teraz jest na to czas.

Wszyscy popatrzyli na Feliksa ze zdumieniem. Wojciech już trzymał egipskiego w ustach i delectował się perfumowanym tytoniem. Radek rzucił paczkę Sebastianowi. Młodzi żołnierze poszli w ślad za dowodzącymi. To był ostatni czas na relaks. Gdy major zauważył, że pluton się trochę rozluźnił, podniósł rękę i zwrócił na siebie uwagę.

– Podzielimy się na dwie grupy – mówił tak, aby wszyscy słyszeli. – Jedna pod moim dowództwem, druga pod rozkazem pana chorążego Tuchowiaka. Dwóch z was zostanie w obozie, a jeszcze inni dwaj będą stali na posterunku obserwacyjnym. Czy któryś chce zostać na ochotnika? – Rozejrzał się po grupie, nikt nie podniósł ręki. – Rozumiem. – Który to radiotelegrafista?

Młody, krótko ostrzyżony chłopak o ciemnych gęstych włosach i mocnej opaleniznie podniósł dłoń.

– Dobrze, pan i pana kolega zostajecie na miejscu. Wy dwaj pójdziecie na skraj lasu na punkt obserwacyjny. Zbierać meldunki, żadnych wiadomości w eter. Czekać do naszego powrotu.

Skinęli głowami.

Makarewicz podszedł do radiotelegrafisty i zabrał go ze sobą do baraku w celu pokazania mu sprzętu.

– Posłuchajcie uważnie. Nie potrzebujemy żadnych bohaterów. Rozumiemy się? Macie słuchać poleceń, wtedy wszystko będzie dobrze. – Felix popatrzył po ludziach, wszyscy kiwali głowami. – Na fiata mają wleźć wszyscy – dodał, wskazując na ciężarówkę stojącą pod zagajnikiem.

Ledwo się zmieścili. Nie minęło kilka minut, a łązik ruszył spod baraku, tuż za nim jechał Andrzej z cennym towarem na pace, ostrożnie, najpierw wzdłuż strzelnicy, później polną drogą, żeby trafić na ubity trakt, prowadzący do skrzyżowania, prosto do wsi Krzycko. Minęli skrzyżowanie, kierując się na Święciechową.

Największe obawy wzbudzał fakt, że okolice Leszna to same pola uprawne. Wystarczył jeden myśliwiec lub sztukas i byliby widoczni jak na dłoni. Dobrze wiedzieli, że należało podjąć to ryzyko. Gdy dojeżdżali do wsi, kanonada stała się głośniejsza, ale była już mniej intensywna. Aby nie wzbudzać podejrzeń, minęli dużą osadę bokiem. Wszędzie roiło się od dywersantów i volksdeutschów, którzy wraz z rozpoczęciem wojny rozpoczęli działania zaczepne.

Pluton rozpoznawczy nie miał czasu na rozwiązywanie małych lokalnych konfliktów. Wiedzieli, że są potrzebni pod Leszmem. Tuchowiak zatrzymał się przy ostatnim z gospodarstw, stojącym na uboczu, tuż nieopodal starego lasu. Na drogę wyszedł chłop w podeszłym wieku.

– Boże miłościwy, panie, Niemcy biją w Leszno – zaczął, lamentując.

– Z której strony dokładnie? Wiecie, ilu ich jest? – zapytał dowódca.

– Panie kochany, mój gałgan... Nie utrzymałem gówniarza, od razu jak usłyszał, to poleciał biegiem sprawdzić, gdzie biją.

– Jest w domu? – zapytał Wojciech.

– Ano wrócił, sprąłem go ledwie co.

– Wołaj go tu, szybko.

Nie trzeba było długo czekać. Ojciec nie zdążył się obrócić, żeby zawołać, a malec był już przy samochodzie. Oczy miał opuchnięte i czerwone od płaczu, ale na widok polskiego wojska uśmiechał się od ucha do ucha. Miał może z osiem lat.

– Cześć, widziałeś, gdzie są Niemcy? – rzucił Tuchowiak.

– Tak, ja pokażę, ja z panami! – powiedział z entuzjazmem malec, łapiąc za burtę łązika.

W tym momencie ojciec złapał go za ucho i wykręcił je tak, że chłopiec aż podskoczył.

– Ja ci dam, dzwońcu jeden – wycedził czerwony ze złości ojciec.

– No, no, spokojnie. – Mówiąc to, Wojtek gestem ręki nakazał ojcu, żeby przestał. Gdy ten to zrobił, malec od razu zaczął rozcierać ucho.

– No mówże. Bo nam puciekają. Gdzie są i ilu jest?

– Dużo. O, tam. – Wskazał palcem. – Jak wyjedzie pan z lasu, trzeba przez łąki jechać do drugiego, za nim już bitwa.

– Czołgi są?

– Nie ma. Tylko blaszane samochody na kołach, ale powoli szli, bo Leszno było tak, że...

Wtedy, gdy Tuchowiak uśmiechnął się i poczochnął malca po blond czuprynie, daleko za lasem rozległ się terkot karabinu maszynowego.

– Zabierz pan chłopaka do domu. Jak masz na imię? – zapytał chorąży podnieconego chłopca.

– Nazywam się Józek Kasztelan, proszę pana.

– Świetna robota, Józek. – Tuchowiak oderwał od munduru guzik i wręczył go malcowi.

Józek pokazał dwa nierówne białe zęby, zacisnął guzik w dłoni, po czym przytulił się do ojca. Chorąży wdusił pedał sprzęgła i wrzucił bieg. Fiat 508 ruszył, a za nim ciężarówka, wypchana żołnierzami.

– Z Bogiem! – rzucił mężczyzna, zrobił znak krzyża i odprowadził wzrokiem samochody, które skręciły w las.

Odważny drugoklasista nie kłamał. Leszno zdecydowanie odpowiadało ogniem. W oddali było widać napierające tankietki i oddziały piechoty. Z lewej flanki polska załoga podciągnęła działa przeciwpancerne, zapewne nowe boforsy pułkownika Pisarczyka, które teraz wstrzeliwały się w pozycje wroga.

Niemcy byli w odwrocie. Część z najeźdźców odłączyła się od grupy i zmierzała w ich kierunku. Feliks odłożył lornetkę i wydał rozkazy. Podzielił żołnierzy na dwie drużyny: jedną pod swoim rozkazem, a drugą pod dowództwem Tuchowiaka. Sebastian wraz z Makarewiczem dobrali trzech doświadczonych piechurów i szybko ruszyli w kierunku niedużego parowu. To oni mieli zacząć potyczkę.

Oddział zamierzał zapolować na wyraźnie uciekające niedobitki wroga. Feliks kucał i z lekkiego wzniesienia, na którym znajdował się sosnowy zagajnik, obserwował pole. Kawalerzyści wbijali się klinem w Niemców, próbując ich rozbić. Większość artylerii, piechoty i część ciężkich samochodów pancernych wroga cofała się na Dębową Łękę i Wschowę. Oddział piechoty, kilku kolarzy i dwa inne lekkie samochody oddzielili się od szyku i uciekali na flankę, w kierunku oddziału Zygartowicza. Najprawdopodobniej zamierzali szukać schronienia w jednej z okolicznych strażnic granicznych i tam się przegrupować.

Przy dobrym zbiegu okoliczności uda się nam ich zaskoczyć, pomyślał dowódca. Sebastian wraz z Makarewiczem i żołnierzami już zajęli dogodne stanowiska strzeleckie. Niemieckie samochody, aby dostać się w bezpieczne miejsce, musiały pokonać niewielki parów, za którym była ubita droga prowadząca nad samą granicę. To było idealne miejsce, aby zaatakować rozbitą oddział zmotoryzowany. Wtedy ich prędkość będzie najmniejsza, a prowadzenie celnego ognia karabinem maszynowym z małej wieżyczki

przy zjeżdżaniu w niewielką dolinę będzie prawie niemożliwe. Dodatkowo istniała okazja trafienia od góry nieosłoniętego strzelca.

Pozostałe dwie drużyny rozdzieliły się. Jedna miała prowadzić celny ostrzał z zagajnika, a druga leżała w trawie, czekając, aż będzie można obrzucić Niemców granatami. Grupa Sebastiana miała rozpocząć całą akcję.

Z daleka Niemcy wyglądali na mniej liczną grupę. Pojawił się jednak problem, którego nie przewidzieli. Samochody zdecydowanie wyprzedziły oddział piechoty i cyklistów. Najwidoczniej kierowcy stwierdzili, że osłona nie jest już potrzebna. Sebastian popatrzył na swoich żołnierzy. Byli wyraźnie przestraszeni i bladzi. Kilkanaście metrów dalej Makar rozstawił dwójnog swojej urugwajki i cierpliwie czekał. Miał oddać strzały tuż po Sebastianie, żeby dezorientować przeciwnika.

– Spokojnie, panowie – rzucił Rychter. – Na mój znak obrzucacie granatami te blaszane trumny. Głowy nisko, za chwilę te ckm-y zrobią tu sieczkę. – Spojrzał po ich twarzach. – Odwagi, wszystko będzie dobrze – dodał.

Tuchowiak leżał i przyciskał gertrudę do piersi. Po chwili samochody minęły ich pozycje o jakieś kilkanaście metrów. Żołnierze, leżący obok, milczeli. Niektórzy się trzęśli, ktoś cicho zwymiotował.

– Nikt nie strzela bez rozkazu. Bo ukrećę łeb. Celować spokojnie i głowy nisko. Czekamy na piechotę i na mój rozkaz... – urwał i spojrzał na przestraszonych strzelców.

Feliks obserwował całą sytuację z zagajnika. Widział, że niemiecka piechota podzieliła się na dwa oddziały i że Wojciech będzie w większych opałach. On z młodego lasu miał doskonałą pozycję strzelecką i zamierzał to wykorzystać, aby pomóc przyjacielowi.

– Na mój rozkaz ostrzelacie ten oddział z tyłu. Mierzyć spokojnie. Jak schrzanimy sprawę, chorąży będzie w opałach. Zrozumiano?

– Tak jest! – odparło kilku żołnierzy leżących najbliżej majora.

Rozkaz po cichu rozszedł się wśród reszty.

– Andrzej, widzisz tego z lkm-em?

Zapytany dostrzegł jedną z postaci w szarym mundurze, która biegła z ciężkim karabinem na ramieniu.

– Tak – odpowiedział cicho.

Więcej nie trzeba było mówić, dobrze wiedział, co ma robić. Wydawało się, że wszystko trwa wieczność, a minęło zaledwie kilkanaście sekund, od kiedy samochody przejechały obok Tuchowiaka. Pierwszy z nich zjeżdżał już po łagodnym zboczu i nabierał prędkości.

Sebastian wciągnął haust powietrza i przymknął oko. Nie bał się. Palec ściągnął język spustowy. Broń podskoczyła. Ułamek sekundy po tym pocisk przebił pancierz i trafił

kierowcę prosto w pierś. Samochód energicznie skręcił. W suchej ziemi lewe koło pojazdu zaryło tak głęboko, że samochód przewrócił się przez burtę, a strzelec siedzący za karabinem wyleciał przez otwartą wieżyczkę pojazdu niczym wystrzelony z katapulty. Z parowu wzniosł się tuman kurzu. Oba oddziały piechoty i cykliści natychmiast się zatrzymali. Dokładnie wiedzieli, skąd padł strzał.

– Teraz! – krzyknął Sebastian.

Trzy granaty zrobiły wiele hałasu i nic poza tym. Drugi z samochodów od razu otworzył ogień. Karabin maszynowy bezlitośnie pruć szczyt małej doliny w kierunku Sebastiana. Młodzi strzelcy, słysząc świst kul nad głowami, zaczęli krzyczeć ze strachu. Wtedy Makarewicz przymknął oko i nacisnął spust. Kula odbiła się od kanciastej wieżyczki i poleciała w niebo. Gdy zaklął pod nosem, Niemiec już przeniósł ogień na plutonowego. Radek, niczym rak, wyczołgał się i przycisnął głowę do ziemi.

Kierowca zamierzał ominąć roztrzaskany samochód, który leżał niemal kołami do góry, a potem jechać wzdłuż parowu. Cykliści i piechota otworzyli ogień na stanowisko rusznic przeciwpancernych. Makarewicz i Sebastian przywarli mocniej do ziemi, tak że nie widzieli już manewrów samochodu.

Tuchowiak, nie czekając długo, wydał rozkaz. W kierunku Niemców poleciały granaty. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył w życiu młody strzelec Grenzschtzu z Glogau, był jeden z nich, odbijający się od ramy jego roweru. Po chwili wybuchły dwa następne. Tuchowiak już klęczał i spokojnie, pojedynczym ogniem, strzelał do nieprzyjaciela. Padł kolejny z Niemców.

Hitlerowcy byli zaskoczeni i nie wiedzieli, co się dzieje. Grupa Tuchowiaka dosłownie wyrosła spod ziemi. Niemiecki oddział, zamykający ucieczkę, zauważył polską piechotę wystającą z wysokich traw. Kolby mauzerów przytknięto do ramion. Gdy młody podporucznik Wehrmachtu wydał rozkaz przeniesienia tam ognia, Andrzej ściągnął język spustowy swojego wz. 38. Feliks, obserwując całą akcję, widział, jak Niemiec złapał się za brzuch. W tej jednej sekundzie, kiedy świat się zatrzymał, Leutnant Wehrmachtu zorientował się, że to zorganizowana zasadzka. Obrócił się w kierunku małego lasu, jakby chciał sprawdzić, czy to prawda. Wtedy posypał się na nich grad kul.

– Padnij!!! – krzyknął.

Ci, co mieli więcej szczęścia, sami przylgnęli do ziemi, niektórych przekonały kule, przebijające mięśnie. Wojciech wykorzystał sytuację, włożył nowy magazynek i przeładował broń.

– Wstawać i na nich, cały czas strzelać, zwawo!!! – krzyczał i ruszył w kierunku Niemców. Wtedy jeden z przerażonych cyklistów leżących za swoim rowerem, odrzucił broń i ciągle tkwiąc w trawie, podniósł ręce. Wszyscy jego koledzy, słysząc słowa: „*Nicht schießen*, nie strzelajcie”, podziękowali mu w duchu i poszli w jego ślady.

Samochód, objechawszy wrak, rzucił się do ucieczki parowem. Sebastian odłożył urugwajkę i wziął swojego mauzera. Gdy usłyszał, że MG ucichł, był pewien, że strzelec nakłada nową taśmę. Wychylił się lekko zza dużej kępy suchej trawy i przyłożył policzek do kolby.

Był zaskoczony, Niemcy popełnili kardynalny błąd. Manewr omijający wrak wykonali sprawnie, ale nie zdążyli jeszcze obrócić wieży. Widział w obiektywie, jak strzelec majstruje przy karabinie. Samochód szybko się oddalał. Mierzył w głowę żołnierza. Wiedział, że kula przebije stalowy hełm, ale nie mógł strzelić. Wypuścił powietrze, a gdy palec zsunął się z języka spustowego, palba ucichła. Obrócił broń w kierunku Tuchowiaka i zerknął przez lunetę. Ten stał na łące i mierzył do Niemców, którzy stali z podniesionymi rękami. Z samochodu nie poleciała już żadna seria.

– Kazik, weź kolegów i poszukajcie tego, co wypadł z samochodu. Zbadajcie też pojazd, ktoś mógł ocaleć. Tylko ostrożnie – powiedział Rychter do leżącego obok starszego szeregowca, bladego jak ściana.

– Tak jest – odparł cicho żołnierz, poprawił hełm i przełknął ślinę.

Gdy żołnierze schodzili w kierunku wraku, pojawił się Makarewicz z papierosem w ustach i rusznicą na plecach. Wyciągnął paczkę w kierunku Sebastiana. Porucznik bez wahania sięgnął po tytoń.

– Psiamać, spudłowałem – rzucił Makar.

– Nic nie szkodzi, pewnie do tej pory dzwoni im w uszach po tym rykoszecie. Poza tym wcale pan nie spudłował. To się po prostu nazywa niefart. – Sebastian klepnął go po ramieniu. – Ruszajmy, trzeba obejrzeć ten samochód.

– *Nicht schießen*. Ja wam, kurwa, dam *nicht schießen* – powiedział Wojtek do klęczących i przerażonych Niemców.

Wziął jednego za kołnierz i pociągnął za sobą jak szmacianą lalkę. Rzucił go na kolana przed kolegą leżącym w miejscu, gdzie wcześniej był rower. Niemiec miał rozerwaną pachwinę i odłamek w policzku. Z ciała unosił się dym. Klęczący jeniec zwymiotował.

– Widzisz? No patrz!!! – Tuchowiak przytknął jego głowę do poszarpanego ciała.

– Chorąży! Dość tego! – krzyknął Feliks.

Pierwszy raz w życiu zobaczyli, jak wyglądają ciała podziurawione przez kule. Major po niemiecku zwrócił się do przerażonego żołnierza, żeby wrócił do szeregu. Gdy ten na czworakach ruszył przed siebie, Wojtek chciał kopnąć go w zad, ale widząc minę Feliksa, powstrzymał się. Zygartowicz spojrzał na porucznika Wehrmachtu.

– Leutnant Ernst Kleist – przedstawił się oficer drżącym głosem i oddał honory.

– Poruczniku, proszę wyznaczyć dwóch ludzi, niech sprawdzą i opatrzą rannych – powiedział Feliks.

– Dziękuję, panie majorze – odpowiedział Niemiec.

– Andrzej, przypilnuj ich, żeby im głupoty do głowy nie przychodziły – dodał Zygartowicz.

Niemiecki oficer wezwał trzech ludzi, którzy podnieśli się z kolan. Zygartowicz polecił przyprowadzić samochody z lasu. Gdy młodzi szeregowi biegli przez łąkę pojawili się Sebastian z Radkiem. Plutonowy niósł niemiecki karabin maszynowy, a na plecach sterczała mu urugwajka i jego własny karabin. Sebastian, także obładowany, miał dwa karabiny przeciwpancerne. Na stanie samochodu Niemcy mieli rusznicę. Szeregowcy taszczyli strzelca, który po lądowaniu z wieżyczki samochodu połamał obie nogi.

– Dobra robota, chłopaki – rzucił Feliks.

Pierwsza potyczka, żadnych strat. Nawet draśnięcia. Uśmiechnął się do Sebastiana. Ten niemal niewidocznie skinął mu głową.

– Dobrze, nie stać mi w kupie. Sebastian, wyznacz ludzi do transportu sprzętu. Radek, weź czterech chłopaków, wracaj na poligon i czekaj na rozkazy. Pamiętaj o czujkach.

Plutonowy bez słowa przyłożył palce do czapki.

– Andrzej, weź dwóch chłopaków, poprowadźcie kolumnę. Niech biorą rannych, idziemy pod zagajnik. Stamtąd część z rannymi pojedzie do Leszna. Reszta na nogach poprowadzi jeńców.

Andrzej natychmiast zaczął krzyczeć po niemiecku. Gdy żołnierze Wehrmachtu i Grenzschtzu w strachu formowali małą kolumnę, Wojtek podszedł do Feliksa.

– Feliks, patrz tam – powiedział, wskazując kierunek dłonią.

Major obrócił się, podniósł lornetkę do oczu i dostrzegł kilkanaście szybko zbliżających się koni. Polski pluton kawalerii dojechał do grupy i dziarsko minął Niemców, którzy z lękiem spoglądali na rosłe wierzchowce. Dowódca zgrabnie przejechał obok niemieckiego oficera, zwolnił i ściągnął wodze tak, że kasztanowa klacz uderzyła jeńca. Porucznik Wehrmachtu, zaskoczony, tracąc równowagę, omal nie upadł. Dowódca zeskoczył z konia.

– Wachmistrz Waclaw Ziemkiewicz. – Strzelił obcasami i zasalutował.

– Zygartowicz, major – rzucił Feliks z uśmiechem i wyciągnął dłoń. Wachmistrz jeszcze raz strzelił obcasami, uściśnął dłoń majora i skłonił się.

– Panie majorze, melduję posłusznie, że rotmistrz Pilawski wydał rozkaz pościgu, ale jak mnie oczy nie mylą, nie mam kogo ścigać. – Poruszył małym wąsem niczym Wołodyjowski.

Wojtek zasalutował.

– Szanowny kolego, niemiaszki tylko jeden samochód uratowały i popruły stąd, gdzie

pieprz rośnie.

– To prawda – dodał Zygartowicz.

– Rozumiem, mimo wszystko rozpoznam teren. Może i mnie co skapnie.

– Jak w Lesznie? – zapytał Feliks.

– Obrona się przegrupowuje. W centrum trwają walki z dywersantami. Parszywi zdrajcy w cywilnych łachach strzelają z kilku okien. Pewnie zanim pan dotrze do miasta, będzie po sprawie.

– Rozumiem. Niech pan będzie ostrożny, przy granicy też pełno dywersantów – dodał Feliks.

Ziemkiewicz jeszcze raz strzelił obcasami i zasalutował. Obrócił się do swoich ułanów, którzy słuchali żołnierzy, relacjonujących ostatnie kilka minut. Major obrzucił wzrokiem Makarewicza, który podszedł do pięknego deresza i łagodnie gładził go po umięśnionej szyi. Koń parsknął, jakby się znali od zawsze. Makar poklepał konia i ruszył do swojego zadania.

– Patrol konny, do koni! – krzyknął wachmistrz.

Kawalerzyści wskoczyli na siodła.

– Powodzenia – powiedział Wojciech.

– Ku chwale ojczyzny!

Wszyscy spięli strzemiona; konie czując ostrogi, przysiadły na tylnych nogach, po czym wyrwały z impetem do przodu.

Rozdział 5

Zanim SS-Sturmbannführer Dietmar Egner zapukał do drzwi, na których widniała mosiężna tabliczka z napisem „SS-Gruppenführer Klaus Radke”, zatrzymał się na chwilę. Dobrze wiedział, że szeregi jego elitarnej formacji SS, której pierwowzorem był oddział mający na celu chronić samego Führera, nie akceptowały porażki. Aryjczycy, rasa panów, nie mogli się mylić. Czarni pretorianie musieli być przykładem najmądrzejszej i najczystszej z ras, która da Himmlerowi i Hitlerowi tysiącletnią Rzeszę, rozciągniętą od Pirenejów aż po Ural.

Nasz honor zwie się wolnością. To ta maksyma stała się fundamentem wiary, za którą ślepo podążał czarny zakon. Nikt nie mógł przewidzieć, że ta przedziwna symbioza małości, kompleksów niższości, pychy i niespełnionych dążeń z dzieciństwa połączy tysiące szaleńców, którzy sterroryzują całą Europę.

Egner czuł, jak kropla potu spłynęła mu po plecach, a jego małe oczka dzisiaj były rozbiegane i niepewne. Miał pewność, że porażka w Gleiwitz na dobre przekreśliła jego karierę. Zapukał i wszedł do przedsiionka gabinetu. Młody SS-Scharführer podniósł się natychmiast i wystrzelił dłonią do przodu.

– *Heil Hitler, Herr Sturmbannführer!*

Egner podniósł dłoń.

– *Sieg Heil.* SS-Sturmbannführer Egner – zaanonsował się niedbale.

– Proszę chwilę poczekać. – Esesman wstał i zniknął za drzwiami. Nie minęła chwila, gdy wrócił na miejsce.

– Gruppenführer Radke prosi – powiedział i wskazał dłonią w kierunku drzwi.

Egner wszedł do dużego gabinetu. Pod rzędem okien siedział jego zwierzchnik. Palił cygaro i z tępym wyrazem twarzy patrzył przed siebie. Zanim Egner wystrzelił z salutem, zauważył, jak grube niczym serdelki palce Gruppenführera uderzają jeden po drugim o blat biurka.

– *Heil Hitler!* – Huknął obcasami.

Radke nie odpowiedział. Popatrzył tylko na niego złowieszczo.

– Powiedz mi, Egner, czy jesteś typem człowieka, który czegokolwiek by się nie dotknął, to na pewno to spierdoli?

– *Herr Radke*, ale...

– Będziesz mi się tu teraz wił jak ten piskorz? – przerwał mu wściekły *Radke*. – Jak zaszczuty pies, który się łąsi do swojego pana, udając, że to nie on nasrał na dywan? Gdzie ty, kurwa, miałeś rozum? Gdybyśmy nie mieli planu awaryjnego, to gównem by wyszło z tak precyzyjnie przygotowywanej akcji – dodał.

Egner stał posłusznie, a w jego oczach płonął ogień. Mimo wszystko nie zasłużył na takie traktowanie.

– *Herr Gruppenführer*, to nie moja wina. Tam nie było odpowiedniego sprzętu. Nie wiedzieliśmy, że prawie nic nie idzie w eter.

– Tak, oczywiście, jęczysz jak baba. Co mnie to w ogóle obchodzi? Oficer SS rozwiązuje problemy, a nie je mnoży. Zapamiętaj sobie to raz na zawsze. – Skierował w niego palec wskazujący.

– *Herr Gruppenführer*, oddaję się do pana dyspozycji.

– To zrozumiałe. To ja odpowiadałem za przygotowania przed samym *Reichsführerem*. Rozumiesz? Wiedz, że gdybym nie miał teraz związanych rąk, to kazałbym cię wcielić do *Wehrmachtu*, zdegradowałbym cię i wysłał gdzieś na front do Polski. Znając twoje umiejętności, szybko byś skończył z kulą we łbie. Ale niestety nie mogę – *Radke* popatrzył na *Egnera* tak, jakby chciał wyczytać coś z jego twarzy. –

Najwyraźniej jest jakiś tajemniczy protektor i to poza komendanturą. Może nie powiedziałeś mi wszystkiego o sobie, co? – *Gruppenführer* uśmiechnął się chytrze.

Egner jeszcze przed sekundą był tak zdenerwowany, że chętnie zastrzeliby tego grubasa. Uspokoił się jednak i wyraźnie zainteresował. Dobrze wiedział, o kogo chodziło.

– Nic mi o tym nie wiadomo, *Herr Gruppenführer* – skłamał.

– Ależ oczywiście – *Radke* prychnął i przygładził pożyczone włosy na niekończącym się czole. – Zaiste, to ciekawa historia. Pańska matka, z domu *Ritschel*, ma siostrę, która teraz jest żoną naszego ministra oświecenia publicznego, ach, ta wspomniała *Magda Goebbels*. *Führer* za nią przepada. Zaiste, ciekawe *Egner*, ale nie popadajmy w dziecinadę. Moi informatorzy dowiedzą się wszystkiego, nawet jakbyś puścił cichego bąka. No, ale umówmy się, że los dał panu szansę i po dłuższym zastanowieniu się myślę, że ja też panu ją dam. Zawsze byłem dobroduszny, ale nie naiwny. – Uśmiechnął się i pyknął z cygara.

– Dziękuję, *Herr Radke*, na pewno pana nie zawiodę.

– O, w rzeczy samej, bo już pan to zrobił. – *Radke* starannie odłożył cygaro na popielnicę i splótł palce. – Pojedziesz na front – powiedział karcącym tonem wściekłego ojca.

– Słucham?

– To dobrze, bo teraz najważniejsze. Dzięki twojemu wspaniałemu przyszywanemu wujkowi nie trafisz do jakiejś zapchlonej dziury. Trafisz pod skrzydła SS-Leibstandarte Adolf Hitler. Sam byłem zdziwiony, no, ale nie mogłem oponować. To pewne, że nie jedziesz zasilić ich szeregów. Jako prawdziwy Leibstandarte nie przeszedłbyś nawet dwóch dni selekcji, może nawet jednego. Pojedziesz tam z pewnym zadaniem. Po głębszym przemyśleniu i ja widzę w tym pewien zysk. Wszak to element dość obszernego planu, z którym wiąże się aktywność moich Einsatzgruppe, ale zwierzchnikowi i koledze się nie odmawia. Wiesz, o kim mowa, prawda?

– Tak, *Herr Gruppenführer!* – Egner skinął głową.

– Niestety, dzięki takim idiotom jak ty nie mam szans na objęcie pieczy nad powstającym Głównym Urzędem Bezpieczeństwa naszej najwspanialszej Rzeszy i ten zaszczyt przypadnie Reinhardowi. Ciężko przełknąć gorycz porażki, ale jest coś, co zaspokoi moje ambicje. Zawsze lubiłem podróżować, a ciekawość nowych, egzotycznych obszarów, właśnie przyłączanych do Rzeszy, wydaje się idealna na początek nowej kariery. – Uśmiechnął się, zdjął cygaro z popielnicy i strzepnął popiół. – Obejmę Wydział Czystości Rasowej i Przesiedleń w Warszawie. Niech myślą, że się usuwam w cień, ale to tylko początek. Później, któż to wie – dodał. Oparł się wygodnie w fotelu, pyknął, wypuszczając obłoczek dymu i utkwiał wzrok w suficie.

Egner przyglądał się przez chwilę tej triumfalnej minie.

– Proszę wybaczyć, *Herr Gruppenführer*, ale jaka moja w tym rola?

Radke, dalej patrząc w sufit, popalał przez chwilę cygaro.

– Będziesz moim psem, chłopcem na posyłki. Zasłużysz na zaufanie, a jak się sprawdzisz, to twoja kariera w końcu drgnie, zupełnie jak twój chujek na widok pani Agathe. Przecież o to ci chodzi, prawda? – *Gruppenführer* spojrział zimno na Egnera.

Esesman stał zaskoczony, nie wiedząc, co o tym myśleć. Był wściekły i niemal pewien, że jego kariera legnie w gruzach, ale okazuje się, że los bywa przychylny w najmniej oczekiwanych momentach. Uśmiechnął się. Ciekawe, pomyślał.

– Nie bardzo rozumiem.

– Nie zgrywaj większego idioty, niż jesteś. Obaj dobrze wiemy, że jesteś jak rasowy padlinożerca, jak tylko poczujesz okazję wybicia się, to pójdziesz po trupach, i to mi się akurat w tobie podoba. Z naciskiem na trupy. W tym dzikim kraju jest pełno tych człekomałp, które śmierdzą na kilometr. Spuściłem już jednego dobermana ze smyczy i dałem mu zapracować na nagrodę. Teraz kolej na drugiego. Mam nadzieję, że to dla ciebie jasne.

– Tak, *Herr Gruppenführer!* – Skinął głową. – Jakie rozkazy?

– No, Egner, i w końcu gadasz jak porządny człowiek. Pojedziesz do pułku. Wejdiesz z nimi do Warszawy, znajdziesz ładną kwaterę i wysiedlisz mieszkańców. Później

pojedziesz na północ. Ale nie chce mi się ci tego tłumaczyć. Rozkazy masz napisane, leżą u Hauptsturmführera Scholza. Na miejscu zgłosisz się do dowódcy pułku Josefa Dietricha. To mój dobry kolega, będzie poinformowany o twoim przyjeździe. Wyjeżdżasz natychmiast.

– Tak jest, *Herr* Gruppenführer!

– Możesz odejść. Zamelduj się, jak będziesz na miejscu.

– *Heil Hitler!* – Wyrzucił ramię przed siebie, równocześnie strzelając obcasami. Zerknął na portret Hitlera, wiszący nad Radkem, po czym obrócił się na pięcie w kierunku drzwi.

– Egner – rzucił za nim cicho dowódca.

– Tak, *Herr* Gruppenführer? – Zatrzymał się i ponownie obrócił do biurka.

Radke nawet na niego nie patrzył.

– A spierdol coś jeszcze raz, to najlepiej od razu palnij sobie w łeb.

Wtedy ich spojrzenia się spotkały. Egner wiedział, że Radke nie żartuje. Tym razem nie miał zamiaru dać mu powodów do rozczarowania.

– Zrozumiałem – powiedział poważnie i ruszył do drzwi.

Gdy wychodził, szyderczy uśmieszek powrócił mu na twarz. Jechał do Polski. Nie dość, że dostał okazję do przyspieszenia kariery, to dodatkowo będzie mógł dać w końcu upust swojej pasji – wrodzonemu sadyzmowi. W końcu, pomyślał.

Rozdział 6

Jeszcze nigdy tak się nie bała. Nawet podczas pracy operacyjnej. Tamten strach był inny, możliwy do kontrolowania, często chwilowy. Ten nią zawładnął. Nie mogła się skupić na niczym innym oprócz rozmyślania o tym, co teraz będzie. Od kilku dni prawie nie sypiała. Agresja Niemiec na Polskę spowodowała, że zlikwidowano ambasadę RP w Berlinie oraz wszystkie szesnaście placówek w całych nazistowskich Niemczech. Ambasador Józef Lipski, wraz z personelem, opuścił Berlin trzeciego września. Wiedziała, że została sama. Zastanawiała się, ile jest osób, które czują się tak jak ona. Bała się, czy w ambasadzie nie pozostał jakiś trop, który mógłby doprowadzić gestapo pod jej drzwi. Za każdym razem, gdy słyszała pisk okładzin hamulcowych pod oknem kamienicy, jej ciało przeszywał dreszcz. Myślała, że jadą po nią.

Egner wyjechał do Polski w sprawach służbowych. Wszyscy w pracy z podnieceniem opowiadali, jak wspaniale i niezwyciężone Niemcy zdobywają jej ojczyznę. Dyrektor banku polecił kierownikom, aby wraz ze swoimi działami obejrżeli film propagandowy, na którym Wehrmacht wdziera się do Gdańska, pali pocztę, a Luftwaffe bombarduje Warszawę.

Gdy siedzieli w zaciemnionym pomieszczeniu konferencyjnym, nikt nie zauważył, jak łyzy toczyły się po jej policzkach niczym wosk ściekający po świecy. Pierwszego września odważyła się odwiedzić swojego krawca. Desperacko potrzebowała jakichkolwiek informacji. Chciała, aby ktoś jej powiedział, co dalej robić, a może po prostu pragnęła usłyszeć, że ktoś o niej pamięta i się o nią martwi. Krawiec nic dla niej nie miał, poprosił tylko, aby dla bezpieczeństwa obojga więcej się u niego nie pokazywała.

Jedyną myślą, która dawała jej względne poczucie bezpieczeństwa, było to, że do tej pory nikt jeszcze jej nie aresztował. Nie miała zamiaru uciekać od razu. Wiedziała, że musi wszystko starannie zaplanować, bo to zdecydowanie zwiększało prawdopodobieństwo powodzenia. Pierwsza myśl, jaka jej przyszła do głowy, to było zorganizowanie ucieczki do Francji. Egner, gdy ostatnio z nią rozmawiał, mówił o jakimś nowym przydziale. Był podniecony i opowiadał, że niedługo wszystko się zmieni, że nie będzie musiała pracować w banku i że będą pijali najlepszego szampana przy każdej okazji.

Oprócz ucieczki rozważała też wyjazd z esesmanem, który od jakiegoś czasu powtarzał, że ją kocha. To rozwiązanie wydawało się jej dużo bardziej niebezpieczne

aniżeli ucieczka. Serce podpowiadało, że należy podjąć ryzyko, że ojczyzna jej potrzebuje. Mimo że przeraźliwie się bała, to w głębi duszy wiedziała, że musi walczyć z nazistami. W sposób, w jaki potrafiła. Plan ucieczki na zachód to były mrzonki, którymi tylko wypełniała głowę, aby poczuć się lepiej, bezpieczniej. Decyzja była już podjęta.

Podniosła głowę z poduszki, na drzwiach szafy wisiał kostium, który podczas bezsennej nocy uszykowała do pracy. Za godzinę muszę być w banku, pomyślała. Zamierzała zjeść skromne śniadanie i wypić napar z dziurawca, dzięki któremu jako tako trzymała się psychicznie i była w stanie wysiedzieć osiem godzin za biurkiem. Stary sposób jej babci.

Jakieś osiemdziesiąt kilometrów na wschód od jej łóżka ukochany kraj walczył o egzystencję.

Rozdział 7

Pierwsze czterdzieści osiem godzin wojny dla żołnierzy plutonu rozpoznawczego było egzaminem, na który prawdopodobnie nikt nie był gotowy. Feliks dobrze wiedział, że teraz to tylko kwestia czasu, kiedy niektórzy z nich zaczną pękać. Każdy z nas ma niewidoczną miarkę, niczym szklanka lub menzurka, do której można wlewać stres, złe doświadczenia, przykrości, a czasami traumatyczne przeżycia, które spotykamy na swojej drodze. Gdy czara goryczy się przeleje, często wielu popada w przeróżne załamania nerwowe bądź depresje. Sprawy od pierwszego września przybrały taki obrót, że do ich szklanek kurek był cały czas otwarty, ale młodzi żołnierze walczący z okupantem jeszcze nie zdawali sobie z tego sprawy.

Dowódca, do którego szybko nabrali szacunku, niewiele mówił, ale ku ich zaskoczeniu wszystkich już znał z imienia i nazwiska. Rozkazy wydawał potężny chorąży na zmianę z młodym porucznikiem. Najbliżej był cichy plutonowy i żwawy starszy strzelec. Zaraz po pierwszej potyczce część z żołnierzy powróciła pod dowództwem Makarewicza na poligon w celu przygotowania wszystkiego do opuszczenia posterunku. Tymczasem reszta, podzielona na dwie drużyny, pod dowództwem porucznika i chorążego, walczyła w mieście z dywersantami.

Kilka godzin po ostrzelaniu Leszna przez artylerię Niemcy znowu zaatakowali polskich żołnierzy, tym razem z okien budynków. Kule poleciały w kierunku garnizonu. Sebastian miał problem pod jedną z kamienic. Volksdeutsche z dobrych pozycji ostrzeliwali się zacięcie i zatrzymali ich na małym placu przy centrum. Dwóch z jego żołnierzy zostało lekko rannych. Z opresji wywabił ich kapitan Szpilewski, który nie zastanawiając się długo, ostrzelał dom z jednego ze swoich dział. Gdy w budynku powstał wyłom na co najmniej cztery okna, dywersanci od razu się poddali.

Do końca dnia w całym mieście aresztowali około czterystu osób. Kilkanaście z nich, po przeprowadzeniu sądów doraźnych, rozstrzelano na miejscu. Za zdradę Rzeczypospolitej płaci się najwyższą cenę. Drugi dzień września w Lesznie przyniósł nieoczekiwany zwrot. Nikt z nich nie wiedział, że tego dnia staną się częścią polskiego blitzkriegu. Historii, która będzie opowiadana ku pokrzepieniu serc i pobudzeniu nadziei, że jest jeszcze szansa na zwycięstwo.

Gdy olbrzymi chorąży powiedział, że wesprą grupę wypadową za granicę, utworzoną z Pierwszego Batalionu 55 Pułku Piechoty, nie wiedzieli, że za dwa tygodnie będą

wspominać ten dzień z utęsknieniem. Wszyscy z werwą i podnieceniem czekali na wymarsz.

Tymczasem do garnizonu przyjechały autobusy miejskie i wraz z żołnierzami kompanii kapitana Lesisza zabrały ich tuż nad granicę. Pod dowództwem majora, wspólnie z kapitanem, zajęli wieś Dębowa Łęka. Rozciągnięto kabel i radiotelegrafista podał, że Niemcy znowu cofają się do Wschowy. Cały pluton rozpoznawczy opuścił zabudowania wsi zaraz po tym, jak generał Abraham – w obawie przed przegrupowaniem się Niemców we Wschowie – zarządził, aby z Wielkopolskiej Brygady Kawalerii ruszyła pomoc. Pułkownik Wicierzyński wydał rozkazy w Lesznie, a kapitan Snitko w mgnieniu oka odpalił silniki w swoich tankietkach.

Okazało się, że kapitan Gałan mylił się znacznie co do umiejętności kierowców. Gdy opuścili Dębową Łękę, Niemcy uciekali w popłochu, a we Wschowie zapanował chaos. Feliks zameldował, że wraz ze swoim plutonem obejdzie miasto od południowego wschodu, aby Wehrmachtowi nie przyszło do głowy oskrzydlać polskiej artylerii, która ustawiła swoje działa pod miastem i już ostrzeliwała niemiecki garnizon. Po drodze, kilka kilometrów na zachód, mieli niemiecką strażnicę graniczną.

To zadanie przypadło Tuchowiakowi i paru żołnierzom, których zabrał ze sobą. Wykonał je w taki sposób, że naziści Grenzschtzu nie dość, że w pośpiechu i strachu zostawili całą broń, to na dodatek na kuchni ostał się także ciepły i nieruszony obiad. Oczywiście sprawą było, że postój w domu granicznym się lekko przedłużył. Niby to niemieckie żarcie, ale na Tuchowiaka zapach wszelkich potraw działał jak flet zaklinacza węży na kobrę królewską.

Tego dnia Wehrmacht spróbował jeszcze raz atakować Leszno. Artyleria ostrzelała miasto, ale siły obrony, wzmocnione przez szwadron tankietek porucznika Chłopika, odparły Niemców. W Lesznie zapanował względny spokój. Ostatni spod Wschowy wrócił oddział rozpoznawczy. Było to późnym wieczorem, gdy artyleria już dawno ucichła.

Trzeci dzień wojny przyniósł w plutonie niepokój. Euforia po udanym wypadzie ciągle trwała. Na domiar tego kolejna wspianiała wiadomość tego dnia rozbudziła we wszystkich poczucie, że zwycięstwo jest już blisko, a wojna nie potrwa długo. Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Hitlerowi.

Tymczasem major ku zdziwieniu wszystkich ogłosił, że wycofują się do Zaniemyśla w rejon Warty. Cały 57 Pułk Piechoty już opuścił Poznań w kierunku wschodnim, aby dołączyć do 14 Dywizji. Nie minęła chwila, a po żołnierzach w Lesznie zostały tylko puste koszary. Tuż przed marszem na poligon, gdzie urzędował Makarewicz z niewielką grupą żołnierzy, major wyjaśnił niezrozumiałą dla ogółu decyzję sztabu.

Nikt z nich nie chciał zostawiać mieszkańców Leszna prawie bez ochrony. Okazało się, że ogólna sytuacja w kraju tego wymaga. Gdyby nie ten manewr, zapewne cała armia Poznań zostałaby wkrótce odcięta przez Niemców. Z niechęcią opuścili Leszno. Niemcy

czyhali tuż za miedzą.

– Ruszać się, nie mamy całego dnia – rzucił plutonowy.

Kilku żołnierzy machało saperkami i kopało dół, aby schować skrzynię z niemieckimi mundurami i resztę sprzętu, którego nie byliby w stanie zabrać. Musieli iść pieszo. W jednostce zarekwirowano wszystkie pojazdy na amunicję, która jechała teraz do punktu koncentracji 14 Dywizji. Dla sztabu liczyła się każda sekunda, a wysyłanie wszystkiego kolejną było zbyt ryzykowne. Luftwaffe bombardowało, a ważniejsze węzły kolejowe nie nadawały się już do użytku.

Feliks wraz z Wojtkiem i Sebastianem spoglądali na mapę rozłożoną na stole. Major podniósł głowę i zerknął na Andrzeja, który wrócił po coś do baraku.

– Andrzej, weź kilku ludzi i zmień posterunek. Miejcie oczy otwarte. Niemcy mogą być blisko. Strzelać tylko w razie konieczności, a gdyby coś się działo, natychmiast meldować.

– Tak jest! – rzucił i ruszył do drzwi.

– Andrzej! – Feliks zatrzymał szeregowca. – Pamiętaj, że za dwie godziny ruszamy. Żadnych spóźnień.

– Ku chwale ojczyzny, panie majorze – odparł energicznie i zniknął za drzwiami. Feliks powrócił do mapy.

– Musimy dotrzeć gdzieś tu. – Wskazał palcem na okolicę Wrześni.

– A nie do Zaniemyśla? – zdziwił się Sebastian.

– Nie, to byłby postój, gdybyśmy szli z pięćdziesiątym piątym. Idziemy od razu w kierunku czternastej; i tak nie jest pewne, że ją tam złapiemy. To dobre dwadzieścia pięć godzin marszu.

– Po co w ogóle się szwendać? – wtrącił Wojciech. – Zostańmy na miejscu i róbmy to, co do nas należy. Gówniarze niech leżą za smrodem pułku, Makar ich poprowadzi jak trzeba. Kilkoro nawet bym zostawił. Wystarczyła jedna bitka, żeby zobaczyć, kto z jakiej gliny ulepiony.

– Wiesz, że to nie moja decyzja – skwitował dowódca.

– Panie majorze, osobiście uważam, że chorąży ma rację. Przecież mieliśmy tworzyć oddział dywersyjny, a teraz idziemy za pułkiem – dodał porucznik Rychter.

– Mieliśmy, brakło czasu. Teraz są inne rozkazy. To Wojsko Polskie i rozkazy są święte.

– Rozumiem, majorze, tylko chłopaki się boją, że nie powojują. – Rychter był zakłopotany.

– I niech tak myślą. Jak zobaczą angielski samolot albo chudą mordę żabojada, to wtedy pogadamy – rzucił Tuchowiak.

– Dobrze, panowie, koniec tych pogaduszek. Sebastian, idź porozdzielaj amunicję i granaty, ile się da. Zapytaj Radka, czy widział jakieś wolne manierki, niech wydaje wszystko, w czym można wygodnie nieść wodę. Gorąco na zewnątrz, jak w duchówce. Nie chcę, żeby mi popadali w drodze. A, i posprawdź im jeszcze raz sprzęt, żeby nie taszczyli zbędnych kilogramów. Mam wrażenie, że z nich lepsi zbieracze niż Cyganie.

– W tej chwili, panie majorze.

Gdy porucznik wyszedł, ponownie zaczęli studiować trasę marszu.

(...) Celem wojny nie jest osiągnięcie jakiejś linii geograficznej, ale fizyczna eksterminacja wrogów. Obecnie na wschodzie umieściłem oddziały SS Totenkopf, dając im rozkaz nieugiętego i bolesnego zabijania wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci polskiej rasy i języka, bo tą drogą zdobyć możemy potrzebną nam przestrzeń życiową¹².

Sturmscharführer Meyer, patrząc na równe ściernisko, przypomniał sobie słowa Radkego, które ten ponoć usłyszał od samego Führera. Krajobraz Polski skąpanej w letnim słońcu przemykał szybko za oknem. Pomyślał o przestrzeni życiowej. Mógłby zostać panem ziemskim w jakimś dworku tu, w Wielkopolsce, i sprawować władzę. Uśmiechnął się pod nosem. Gdzieś na horyzoncie widać było pionowo unoszący się czarny dym. Już niedługo, pomyślał.

Wehrmacht stał pod Leszmem, może już nawet wjechał do miasta. Czuł, że świat należy do niego. Gruppenführer Radke go awansował i wysłał do Polski, aby objął dowództwo nad plutonem Einsatzkommando. Całą grupą VI w Wielkopolsce dowodził Oberführer Erich Naumann. Ten z kolei wiedział, że Radke wysłał swojego człowieka, aby się przyglądał, jak postępują prace nad przygotowaniem Wielkopolski na przyjęcie nowych panów. Meyer poluzował kołnierz, było naprawdę gorąco. Spojrzał na listę nazwisk. W pierwszej kolejności zlokalizowali te rodziny, które mieszkały najbliżej granicy.

Nie chcieli się zapuszczać dalej z obawy przed pozostałościami polskich jednostek. Zerknął na nazwisko na liście, którego nie umiał wypowiedzieć. Zanim popatrzył na mapę, obrócił się i sprawdził, czy opel jadący za nimi trzyma się blisko. Na pace, na dwóch ławkach, równo siedziała jego drużyna. Einsatzkommando 14/VI. Ich zadanie było proste. Mieli działać na zapleczu Wehrmachtu i na podstawie listy proskrypcyjnej tak zwanych wrogów Trzeciej Rzeszy eksterminować ideologicznych i politycznych oponentów.

Prawda była taka, że należało mordować polską inteligencję, Żydów i kler oraz zabezpieczać strategiczne urządzenia komunalne i przemysłowe. Nie mieli zamiaru ograniczać się tylko do tego. Cała operacja nosiła kryptonim Tannenberg i powinna być rozumiana jako plan bestialskiego mordu na cywilach. Do jego dzisiejszego zadania należało zabezpieczenie żywności wytwarzanej w jednym z dużych okolicznych

gospodarstw. Tak brzmiał rozkaz. Uśmiechnął się i spojrzął na mapę.

– Na skrzyżowaniu w lewo – rzucił do kierowcy.

– Tak jest, *Herr* Sturmscharführer – odpowiedział młody esesman.

Do baraku wszedł czerwony z wysiłku strzelec Kamil Lach. Był młodym ochotnikiem z okolic Konina, który w obliczu zagrożenia poczuł zew patriotyczny, zanim jeszcze ruszyła powszechna mobilizacja. Wyrównał oddech i nabrał haust powietrza.

– Panie majorze, melduję posłusznie, że do wsi zbliżają się dwa niemieckie pojazdy.

– Jakie? – Oficerowie obrzucili go pytającym wzrokiem.

– Jeden łązik z oficerem i ciężarówka z ludźmi. Starszy strzelec Horyński mówi, że od ośmiu do dziesięciu ludzi na ciężarówce. Pyta, jakie rozkazy.

– Wracaj do niego i każ zostać na pozycji. – Dowódca zerknął na zegarek – Przekaż, że wymarsz zgodnie z rozkazem. To wszystko, odmaszerować!

Młody żołnierz zasalutował. Wojciech zerknął na Feliksa, wtedy do środka wszedł Sebastian.

– Co się dzieje, panie majorze?

– Oddział Niemców jedzie do Krzycka.

– Jakie rozkazy?

– Właśnie, Feliks, co robimy? – dodał Wojciech.

– Sebastian, weź dwunastu najsprawniejszych ludzi z Makarem włącznie, a jego zadania przekaz starszemu strzelcowi Kalwińskiemu. Za trzy minuty wymarsz do Krzycka.

– Tak jest! – Rychter przyłożył dwa palce do daszka i zniknął za drzwiami. Zygartowicz obrócił się do przyjaciela.

– Do roboty, Drwal! – Ten skinął głową i złapał za gertrudę.

Gdy wyszli na zewnątrz, między żołnierzami już panowało poruszenie. Wszyscy wybrani, usłyszawszy rozkazy, szykowali sprzęt. Mieli na sobie tylko to, co niezbędne do szybkiej akcji.

Ruszyli tak dobrze znaną niektórym ścieżką przez las. Na skraju była mała polana, która opadała do wsi. Na lewo od zabudowań, jakiś kilometr od nich, widać było gospodarstwo Kabacińskich. Major popatrzył przez lornetkę. Zauważył dwa niemieckie pojazdy obok domu i kilku żołnierzy. Wtedy w małej dolinie rozległ się pierwszy huk wystrzału. Chwilę potem drugi. Widział, jak esesman strzelił do klęczącego mężczyzny, który upadł na coś, czego nie rozpoznał. Natychmiast ruszyli i podkradli się bliżej. Gdy rozległ się kolejny huk, wszyscy przykucnęli, myśląc, że to w ich kierunku. Major znowu

podniósł lornetkę.

Niemcy stojący obok opła byli wyraźnie zrelaksowani, a oficer opierał się o łązik i palił papierosa. Teraz widział, czym był niezidentyfikowany obiekt. Spod dużego ciała Kabacińskiego wystawały chude nóżki z dziewczęcymi bucikami na stopach. Twarz Feliksa stężała.

– Drwał, weź sześciu i zajdź ich zza obór. Niech kilku po cichu wśliźnie się od tyłu do środka, z okienek można prowadzić ogień. Ja wezmę Radka i podejmiemy ich od elewatora. Jak ściągnę ich na siebie, wtedy dasz im popalić. Widzicie ten rów? – Pokazał palcem. – Tam pójda Niemcy, gdy zacnie się ostrzał. Sebastian, wiesz, co masz robić. Podejdz jak najbliżej, żebyś miał dom i rów w zasięgu wzroku. – Podał im lornetkę, żeby szybko rozejrzeli się po ukształtowaniu terenu, który przecież dobrze znali.

– To pierdolone SS – warknął Wojtek, przekazując lornetkę Sebastianowi.

– Wiem – odparł Feliks.

Ruszyli do swoich zadań, Sebastian, niczym gepard, skradał się na pozycję. Wojciech wziął swoją szóstkę i trzymając się lasu, ruszył na miejsce.

– Tak jak mówiłem, słuchać i nie chojrakować. Za mną – szepnął olbrzym.

Gdy wszyscy dotarli na swoje pozycje, usłyszeli krótki dziewczęcy pisk dochodzący z domu, po chwili padł kolejny strzał. Major stał już koło elewatora, a jego żołnierze przyjęli postawy strzeleckie. Przyłożył okulary lornetki do oczu i sprawdził łąkę, po której wcześniej czołgał się porucznik. Strzelec czekał na miejscu. Byli na tyle blisko, że słyszeli śmiechy i niewyraźne rozmowy esesmanów. Feliks zastanawiał się, ilu z nich jest w domu. Na zewnątrz naliczył ośmiu plus oficera.

– Pozycja – szepnął.

Żołnierze mocniej przycisnęli kolby do ramion.

– Mierzyć spokojnie! – Przykucnął. – Ognia!

Rozszalała się palba. Dwóm Niemcom stojącym przy samochodzie nogi złożyły się jak scyzoryki. Reszta natychmiast przywarła do ziemi. Część z nich, wraz z oficerem, tak jak przewidział major, wskoczyła do rowu. Sebastian obserwował pole i czekał, aż w oknie lub drzwiach domu pojawi się któryś z oprawców. Po chwili zza okiennicy wysunęła się lufa mauzera. Tym razem się nie zawahał i delikatnie ściągnął język spustowy. Niemiec natychmiast odpadł od okna tak, jakby dostał łopatą w czoło. Zamiast nosa teraz miał dymiącą dziurę.

Przed domostwem rozpoczęła się regularna wymiana ognia. Wtedy z obory i zza rogu małego silosu padły strzały. Wojciech trafił jednego, a strzelcy z obory kolejnego. Zdezorientowani Niemcy strzelali w dwóch kierunkach. Jeden z nich, leżący w rowie, przytomnie wyciągnął zza pasa granat, odkręcił nasadkę drewnianej rękojeści i pociągnął za sznurek zawlecarki. Gdy się podniósł z zamiarem wyeliminowania Wojciecha, Rychter

ściągnął spust po raz drugi. Wyszlifowana kula drasnęła szyję esesmana. Niemiec, padając, upuścił granat, który eksplodował tuż przed rowem. Fala ciepłego powietrza powaliła jego klęczącego kolegę, który ogłuszony hałasem, wstał oszołomiony.

Gdy Meyer krzyknął: „Leż, idioto!”, kula strzelca wyborowego weszła zdezorientowanemu Niemcowi przez plecy i przebiła serce. Zanim upadł na ziemię, był już martwy. Jeden z oprawców starał się ustrzelić kogoś przy małym elewatorze zbożowym. Esesman miał dogodną pozycję, bo Feliks i jego strzelcy byli troszkę niżej, co sprawiało, że ciężko było go dosięgnąć. Jedyne, co widzieli, to tylko czubek charakterystycznego hełmu, który unosił się co chwilę. Major nie czekał długo.

– Na mój znak dacie ogień zaporowy.

Przeszedł pod mały silos i wychylił się ostrożnie. Niemcy otworzyli ogień. Zaczekał, gdy zaczęli przeładowywać.

– Teraz! – krzyknął.

Gdy strzelcy odpowiedzieli salwą, leżący Niemiec przycisnął głowę do ziemi. Wtedy major jednym susem odskoczył od betonowej konstrukcji i najszybciej, jak potrafił, podbiegł wyżej. Większość z rowu go nie widziała, bo przeszkadzała im ciężarówka. Leżący Niemiec tymczasem czekał na okazję, żeby podnieść głowę. Gdy się składał do strzału, Feliks miał już go na muszce. Padł strzał. Kula trafiła prosto w garnkowy hełm, robiąc w nim niewielką dziurę. Dźwięk był zabawnie brzęczący, zupełnie identyczny jak ten, gdy Rychter strzelał do swojej stalowej tarczy.

To był punkt krytyczny całej potyczki. Niemcy zrozumieli, że nie mają szans. Byli ostrzeliwani z dwóch kierunków i przez strzelca wyborowego. Nie mogli prowadzić skutecznego ognia, a wręcz bali się ruszać. Ręce poszybowały w górę.

– Nie strzelać, nie strzelać! Poddajemy się – krzyczeli.

– Wstrzymać ogień – krzyknął major i machnął ręką Sebastianowi.

Zerknął na Wojtkę. On też machał ręką do swoich ludzi, aby przerwali ogień. Niemcy wychodzili z okopu. Następny esesman pojawił się w drzwiach domu. Trzymał broń nad głową. Był mocno zbudowany i niechlujnie ubrany, jakby zakładał mundur w pośpiechu. Gdy zobaczył dziurę w twarzy swojego towarzysza, najwyraźniej zrezygnował z walki.

Wojciech mierzył do niego i lufą karabinu nakazał mu ruszyć do kolegów. Ostatni z Niemców wyczołgał się spod samochodu. Wszyscy jak na komendę ustawili się obok oficera z rękami w górę.

– Jacek i Rafał, sprawdź dom! – rzucił major.

Szeregowcy patrzyli na Kabacińskiego i jego córkę, ale zaraz z pełną gotowością do strzału ruszyli do środka. Makarewicz wskoczył do rowu.

– Panie majorze, tu jeden skurwysyn dogorywa, trzyma się za gardło i chyba wzywa

mamusię.

– Plutonowy, powściągnij język.

Wtedy na miejsce dotarł Sebastian. Niemiec, nad którym stał Radek, zatykał uszkodzoną szyję, przewracał oczyma i desperacko ciągnął powietrze, charcząc przy tym jak zdychający koń. Wojtek zerknął na Feliksa. Ten prawie niewidocznie skinął głową. Niemcy stali w szeregu i obserwowali wydarzenia ze strachem. Chorąży podszedł do esesmana, wyciągnął pistolet i bez wahania strzelił mu w głowę.

– Kurwa, Drwał, co ty wyprawiasz! – krzyknął Sebastian.

Między polskimi żołnierzami zapanowała cisza. Wtedy z domu wypadło dwóch szeregowców, jeden z nich był blady, jakby dopiero co zobaczył upiora. Rafał zgiął się wpół i zwymiotował. Wtedy odezwał się Meyer:

– Panie dowódco, żądam, aby traktowano moich żołnierzy w odpowiedni sposób. Wszyscy jesteśmy wojskowymi i tylko wykonujemy rozkazy.

– Zamknij się, nie pytałem cię o zdanie – odpowiedział po niemiecku Feliks.

– Pan jest Niemcem? – zdziwił się Sturmscharführer. – To hańba – dodał.

Wtedy Feliks podskoczył do niego i zdzielił go prawym sierpowym w twarz tak, że Meyer wyciągnął się jak długi. Duży esesman w szeregu drgnął. Wtedy dwóch innych młodzików mocniej przycisnęło kolby do ramion, dając mu do zrozumienia: jeszcze jeden krok, a jesteś historią.

– Poruczniku, do mnie. Wojtek, sprawdź, co z młodymi.

Chorąży podszedł na chwilę do wymiotującego szeregowego. Po chwili rozmowy zniknął w domu.

– Panie poruczniku, niech się pan uspokoi – powiedział stanowczo Feliks.

– Nie możemy być tacy jak oni. Trzeba dawać przykład. Jesteśmy żołnierzami Wojska Polskiego – emocjonował się Sebastian.

– Tak, ale ci tutaj to nie żołnierze – ściszył głos i już teraz mówił jak do kolegi: – Zobacz, to zwykli mordercy. No podejdź tu.

Sebastian zrobił krok w kierunku pana Kabacińskiego. Feliks odgarnął ciało ojca, który leżał na córce, jakby chciał ją ochronić. Miała dziurę w głowie i szeroko otwarte oczy patrzące w nicość. Sebastian znał tę dziewczynkę. To była mała Krysia, która przynosiła im wodę, jak czyścili obory.

– O Boże – jęknął. – Ona miała dopiero dziewięć lat.

Z budynku wyszedł Wojtek. Gdy major spojrzał w jego stronę, widział, że oczy szklą mu się od zbierających się łez. Feliks znał tę minę, ale widział ją tylko kilka razy w życiu.

– Poruczniku, proszę ze mną. – Ruszył w kierunku domu, mijając Wojciecha.

– Poczekaj, ustaw posterunki, niech nie patrzą – major powiedział do niego cicho.

Chorąży minął Feliksa i podszedł na kilka metrów do Niemców. Dwóch z nich, widząc chorążego z olbrzymią blizną na twarzy, zaczęło się trząść. Cichszym głosem niż kiedykolwiek, ale bardzo dosadnym, wydał rozkazy.

– Dwie grupy po czterech, jedna na górkę pod las, druga na wjazd do posesji. Wy dwaj, zebrać całą broń i wrzucić na ciężarówkę.

Wszyscy bez słowa ruszyli do zadań. Makarewicz podszedł do niego i podał mu zapalonego papierosa, drugiego wsunął sobie do ust i dalej mierzył do Niemców. Gdy Sebastian w domu zobaczył zgwałconą trzynastolatkę i jej matkę, zaczął się trząść. Kobieta leżała na podłodze z poderżniętym gardłem, dziecko zmarło na stole. Patrzyło w sufit. Jej uda były całe we krwi, a w czole miała dziurę po kuli. Major podszedł i zamknął im oczy. Sebastian się rozpłakał. Mimo że próbował, to nie mógł się powstrzymać. Szlochał jak wtedy, gdy pierwsza ziemia rzucona na trumnę jego matki zadudniła głucho o drewno.

Major bez słowa podszedł do niego i przytulił go jak brata. Ten wtulił twarz w mundur i wył. To był dźwięk największej rozpacz i rezygnacji, jaki kiedykolwiek wydał z siebie porucznik. Był to dźwięk człowieka, który wylał z siebie wszystko, nie bacząc na otoczenie.

– Nie wstydź się, płacz. – Feliks klepał go po plecach. Wiedział, że młody porucznik od tej chwili będzie innym człowiekiem. Ta chwila miała zmienić go na zawsze. –

Musimy żyć tak, aby w przyszłości nie musieć błagać o wybaczenie. Reszta jest nieważna. Pamiętaj o tym – powiedział major i jeszcze raz poklepał go po plecach.

Sebastian się uspokoił, pociągnął nosem i otarł łzy.

– Przepraszam, majorze – wyszeptał.

– Nie musisz przepraszać. Każdy z nas to kiedyś przeżywał. – Porucznik wyciągnął papierosa i przypalił.

Gdy wyszli, na placyku było puściej. Zostały tylko resztki z Einsatzkommando i Tuchowiak z Radkiem, którzy kończyli palić papierosy, mierząc do jeńców. Major z Sebastianem podeszli do grupy. Wojtek oddał karabin Radkowi. W szeregu zapanował jeszcze większy strach. Niemców było pięciu. Dwóch z nich dalej trzęsło się z przerażenia. Tuchowiak podszedł do nich na odległość kroku i pokazał ręką na dom.

– Który to zrobił? – krzyknął.

Niemcy nie rozumieli, ale domyślili się, o co chodzi. Jeden błagalnie skomlał i prosił, żeby go nie zabijać. Mówił o rodzinie i żonie. Rozumiał go tylko Feliks i Sebastian, którzy przyglądali się wszystkiemu obojętnie.

– Panie majorze, obowiązują nas oficerskie zasady. Takie zachowanie... Mieliliśmy rozkazy, proszę spojrzeć do samochodu. – Meyer próbował dyplomacji, ale nikt nie

reagował.

Tymczasem Wojciech podszedł do ostatniego i największego z Niemców. Ten na policzku miał trzy świeże szramy po paznokciach. Z miną pełną pogardy patrzył Tuchowiakowi prosto w oczy. Chorąży odszedł pół kroku i nagle obrócił się na lewej nodze, pchając całą masę swojego ciała do przodu. Naparł niczym największy wolsztyński parowóz. Postawił krok tuż przed roslym esesmanem i uderzył go z taką siłą, o jaką sam siebie nie podejrzewał. Krzyknął przy tym tak, że stojący obok bestialskiego mordercy szeregowiec SS podskoczył.

Olbrzym padł po ciosie, a po chwili dostał drgawek. Wielkie ciało oprawcy telepało się teraz jak podłączone do prądu. Łkający już szeregowy właśnie odruchowo popuścił w spodnie. Pierwszy raz widział człowieka umierającego od ciosu w twarz.

Major stanął przed nimi. Meyer patrzył w oczy polskiego oficera i ogarnął go największy strach, jakiego w życiu doznał. Wtedy Zygartowicz ze śmiertelną powagą zaczął po niemiecku:

– W imieniu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej, wedle nadanego mi prawa, za gwałt z wielkim okrucieństwem i bestialskie morderstwo, skazuję was na śmierć przez rozstrzelanie. Niniejszy wyrok zatwierdzam w obecności zgromadzonych tu świadków.

Makarewicz rzucił Wojtkowi karabin. Sebastian i major już wcześniej wyciągnęli pistolety. Dwóch Niemców padło na kolana.

– *Nein, nein, bitte, bitte... tut mir leid* – to rozumieli wszyscy.

– Ognia! – krzyknął Feliks.

Rozległ się huk. Ciała upadły w nienaturalnych pozach, niczym poprzewracane manekiny sklepowe. Zapadła grobowa cisza. Wojtek podszedł do ciągle drgającego ciała olbrzyma i strzelił mu w głowę. Ostatni strzał rozległ się po malej dolinie i umilkł daleko w zabudowaniach.

– Panie Radku, niech pan zawoła chłopaków spod bramy, trzeba pochować Kabacińskich i rzucić esesmanów na pakę. Potem zakopimy ich na poligonie. Jakby ich znaleźli pod domem, to w odwecie wymordują całą wioskę. Niech wybierają wszystkie łuski i pozacierają ślady. Ma być tak, jakby tu nic nie zaszło.

Makarewicz gwizdnął na szeregowych.

– Może by spalić domostwo? – rzucił Wojtek.

– Nie. I tak wieś wie, co się stało. Jak przyjdą, niech chociaż skorzystają z tego, co zostało po rodzinie. Pewnie tu niejeden pracował. Krowy i świnie niedługo będą cenniejsze niż złoto. Lepiej poszukaj w warsztacie jakiejś farby, może mają białą i czerwoną. Trzeba zamalować ten pieprzony krzyż – wskazał na ciężarówkę. – Sebastian, przeszukaj oficera i zobacz, czy nie ma czegoś godnego uwagi. Jak coś znajdziesz, to migiem wszystko do mnie. Ruchy, panowie, nie mamy całego dnia – rzucił major i ruszył

do samochodu.

Rozdział 8

Poligon opuścili z opóźnieniem, czwartego września, tuż o świcie. Wszyscy strzelcy byli zmęczeni wyteżoną pracą. Pochowanie esesmanów zajęło im więcej czasu, niż myśleli. Później przyszła szybka odprawa, dwie godziny snu i wyjazd.

W warsztacie pana Kabacińskiego Tuchowiakowi udało się znaleźć słoik białej wapiennej farby, której zapewne używał do bielenia drzewek owocowych. Z czerwoną było gorzej, ale trafił na słoiczek zaschniętej olejnej, którą udało się rozcieńczyć benzyną. Już polskimi pojazdami ruszyli w kierunku Wrześni, gdzie tego dnia miała się zatrzymać cała 14 Dywizja Piechoty. Feliks był pewien, że pułkownik Wicierzyński wyda rozkaz do opuszczenia rejonu Zaniemyśla i również skieruje się na postój dywizji.

Podjęli decyzję, aby nie trzymać się utartych szlaków. Podejmowali wielkie ryzyko, jadąc w dzień. Luftwaffe cały czas bombardowało, choć na razie skupiło się na głównych węzłach komunikacyjnych i obiektach przemysłowych.

Rozległe ścierniska Wielkopolski rozlewały się po horyzont, gdzieniegdzie podzielone sosnowymi lasami, które pachniały żywicą tak jak zawsze. Gdy wyjechali z lasu, w oddali zamajaczyła wieża kościoła. Wrześniowa Polska była grą wspaniałego światła przebijającego nasycony błękit nieba, który kontrastował z dojrzałą zielenią i krótko przystrzyżonymi polami. Niejeden z impresjonistów zatrzymałby się natychmiast i rozłożył sztalugę.

Feliks i Wojciech wiedzieli, że wszystko, co teraz się dzieje, to jeszcze cisza przed burzą, a Niemcy są tuż za nimi. Jediną odmienną rzeczą, którą zauważyli później, była rzeka ludzi, która płynęła głównymi drogami na wschód. Wozami, czasami dużymi, zaprzężonymi w dwa konie, i małymi, zwykłymi. Były też wózki podobne do amunicyjnych jaszczów, biedki, rowery i wszystko to, co mogło ulżyć w taszczeniu dobytku. Ludzie nieśli ze sobą tyle, ile mogli udźwignąć. Gdy na chwilę wjechali na główną drogę, każda z mijanych anonimowych twarzy, jak tylko ich zauważyła, rozchmurzała się i uśmiechała. Czasami wymuszenie, ale z szacunkiem. Ludzie machali, a starsi robili w ich kierunku znak krzyża.

Powinni się spieszyć, lecz w tych warunkach było to niemożliwe. Andrzej wprawnie kluczył pomiędzy ludźmi i niechętnie używał klaksonu. Ciężarowego opla, w ślad za horchem Meyera, prowadził strzelec Kalwiński. Trzej oficerowie rozglądali się gorączkowo, obserwując nieboskłon. Byli łakomym kąskiem dla jakiegoś sztukasa, który

chętnie odłączyłby się od klucza, żeby dopisać dwa samochody wojskowe na swoje konto. Wszyscy byli niespokojni, wyobrażając sobie atak lotniczy, który zebrałby niezliczoną liczbę ofiar cywilnych.

Feliks zastanowił się przez chwilę, jak będzie wyglądała podróż wraz z ciężkim sprzętem. Utrzymanie normalnego tempa artylerii w takich warunkach jest niemożliwe, pomyślał, patrząc na zakorkowaną drogę. Teraz czas odgrywał główną rolę, a każda sekunda na drodze zwiększała ryzyko ostrzału. Gdy minęli bokiem Kościan, skierowali się na Śrem. Tam przekroczyli Wartę, wjeżdżając na trasę na Zaniemyśl. Tu po raz pierwszy zobaczyli, jaką pożogę pozostawia po sobie lotnictwo niemieckie.

W rowach leżały zwłoki kobiet i dzieci, przeszyte amunicją z maszynowych karabinów pokładowych. Dalej trzy wozy artyleryjskie, poskręcane lufy dział i nadpalone trupy żołnierzy. Cicho i z szacunkiem przejechali obok masowego grobu. Z paki ciężarówki posypały się saluty. Dotarłszy na miejsce, samochody zostały zarekwirowane na poczet 55 Pułku, który właśnie szykował się, aby wyruszyć i dołączyć do dywizji. Mieli tylko chwilę na odpoczynek. Major zameldował się u dowódcy, tam otrzymał dalsze rozkazy.

– Panowie, za chwilę ruszamy. Idziemy na Słupcę, tam jest cała Czternasta Dywizja. Pięćdziesiąty Siódmy Pułk jutro powinien być razem z nami. Są na postoju w lasach koło Powidza – zwrócił się Feliks do kolegów.

– A co dalej, panie majorze? Ludzie pytają i chcą się bić – rzucił Sebastian.

– Idziemy do strefy obronnej Ślesina. Tam będziemy się bili. Sebastian i Radek, stawiajcie ich na nogi, ruszamy za dwadzieścia minut.

– W tej chwili, panie majorze – powiedział porucznik, a Radek przyłożył palce do daszka rogatywki.

– Trzeba coś zrobić, bo nie zamierzam przez całą wojnę uciekać przed bombami – rzucił Wojtek, gdy zostali sami.

– Ja też, przyjacielu. – Poklepał go po ramieniu.

Niedługo potem ruszyli. Cały pułk kierował się na Środę. Wydawało się, że ten dzień skończy się pomyślnie. Dzięki szybkiemu dotarciu do swoich młodzi żołnierze poczuli się bezpiecznie. Kiedy było już wyraźnie widać kwadratową wieżę kościoła w Środzie, na niebie zamajaczyły czarne punkciki.

– Niemcy! – krzyknął Makarewicz i wskazał kierunek.

Trzy czarne punkty nabierały kształtów. Nie było możliwości, aby ich nie zauważyli. Było pewne, że lecą na nich.

– Samoloty z prawej! Rozproszyc się, żadnych dużych grup, ruszać się! – krzyczał Feliks.

Trzy dwumiejscowe dolnopłaty z charakterystycznie wygiętymi skrzydłami zmieniały szyk. Na drodze zrobiło się prawie pusto. Zostały tylko taczanki z ckm-ami z pierwszego batalionu. Pluton rozpoznawczy też znikł z drogi.

Gdy pierwszy ze sztukasów wydał z siebie złowrogie wycie, zaterkotały ckm-y. Konie rżały, płosząc się nawzajem. Rozległa się palba. Makarewicz rozstawił urugwajkę i liczył na fart. Podobnie zrobił Sebastian. Wiedział, że postępuje nieroztropnie, ale tylko w ten sposób będzie miał realne szanse na trafienie wroga. Wszyscy strzelali, starając się odgonić atakujących Niemców.

Pierwszy Ju-87 otworzył ogień z działek pokładowych. W ułamku sekundy dwie równe linie ziemi zaczęły wylatywać w powietrze, wzniesając tuman kurzu. Jedna z kul przeszła konia, który zakwicział przeraźliwie i padł przy dyszlu. Wojtek siedział w rowie i strzelał ze swojego karabinu. Pilot pierwszego z bombowców nurkujących rozluźnił zaczepy trzymające pięćdziesięciokilogramowe bomby odłamkowe. Feliks z przyłożonym do ramienia karabinem obserwował, jak ciemne, niewyraźne, cylindryczne kształty spadają na drogę. Jedna z bomb trafiła prosto w wóz z ckm-em, który rozpadł się na kawałki. We wszystkie strony poleciały odłamki drewna, zwierząt i ludzkich ciał.

Pierwsze kule Sebastiana i Makara minęły śmiertelny cel. Huk eksplozji i fala ciepła dotarły do porucznika, zrywając mu czapkę z głowy. Nigdy by nie przypuszczał, że zrobi to na nim tak wielkie wrażenie. Zamarł na chwilę. Szumiało mu w głowie i piszczało w uszach. Pilot ściągnął wolant. Wtedy ogień otworzył strzelec pokładowy, który siedział odwrócony do pilota plecami. Rychter widział, jak kolejny samolot podchodzi do morderczego ataku.

Znowu rozległ się terkot karabinów maszynowych, które pluły ogniem ze skrzydeł. Ziemia zatańczyła. Sebastian nie widział, jak kule przeszły jednego z piechurów leżącego kilka metrów przed nim. Skupiał się na szczerbince i muszce. Czekał dokładnie na moment, gdy pilot zacznie wyprowadzać maszynę z nurkowania. Nacisnął spust sekundę po tym, gdy kolejne ładunki oderwały się od kadłuba. Wystrzelony z urugwajki nieduży pocisk przeciwpancerny przebił poszycie samolotu w rejonie silnika, wytracił prędkość i uderzając o jego blok, rozbił się na części, które przecięły przewód olejowy. Jasnoczerwona przezroczysta substancja bryzgnęła na rozgrzany silnik. Buchnął czarny dym.

– Tu żółty dwa, dostałem! Powtarzam, dostałem! – krzyknął w hełmofon Leutnant Ralph Kunze. – Ciśnienie oleju spada! Palę się!

– Do góry, Ralph! – krzyknął radiooperator, który zaprzestał ostrzału.

– Robię, co mogę! – Pilot otworzył przepustnicę i oburącz ciągnął wolant.

Czarny dym się zagęścił i leciał wprost na przednią szybę. Pilot nie widział linii horyzontu. Ralph w bocznej szybie zobaczył już równo przemykające pole. Po chwili jedno koło uderzyło o ziemię z dużą siłą. Sztukas odbił się i przechylił na bok. Leutnant

Kunze spojrział na zdjęcie pucołowatej szatynki, które miał przyczepione na tablicy rozdzielczej. To była ostatnia rzecz, jaką oglądał w życiu. Samolot zarył skrzydłem i koziółkując, rozpadł się na części, wzniecając tuman kurzu.

– Hurra!!! – krzyknęli żołnierze i wrócili do ostrzeliwania ostatniej maszyny.

Niedoświadczony pilot zamykający szyk zdał sobie sprawę z tego, że jeszcze niespełna godzinę temu rozmawiał ze swoim kolegą na lotnisku. Teraz już go nie było. Pociągnął za wolant i odszedł w górę. Odleciał.

Panował chaos, ktoś wzywał pomocy, gdzieś było słycać modlitwy. Było kilkunastu rannych i kilkoro zabitych. Wśród tych nieszczęśników, którzy już nigdy nie ujrzą swoich najbliższych, leżał strzelec Jakub Zawistowski. Pierwszy żołnierz tej wojny, którego stracił Zygartowicz. Wraz z Wojtkiem podeszli do niego.

Całą sytuację zauważyli ludzie z plutonu. Pościągali hełmy i czapki. Major złamał blaszkę nieśmiertelnika i w myślach odmówił za niego modlitwę. Wiedział, że nie ma więcej czasu na sentymenty. Niemcy zapewne zameldowali o ich pozycji, a do zmierzchu było jeszcze trochę czasu. Ciało zabiorą sanitariusze.

Wtedy z czoła pułku przygalopowało na koniach kilku jeźdźców. Pluton Zygartowicza szykował się do wymarszu. Jeźdźcami okazali się sanitariusze z kompanii sanitarnej, którzy przyjechali z pomocą.

Od razu zaczęli się krzątać przy poszkodowanych. Wóz do ich transportu był już gotowy.

– Ruszamy – powiedział major do Wojtka.

Ten machnął ręką. Oficerowie podeszli do Sebastiana, który poprawiał długą urugwajkę na plecach i zawijał pas od mauzera wokół ramienia.

– To był wspaniały strzał, panie poruczniku. Zapewniam pana, że wiadomość o tym wyczynie rozejdzie się po pułku tak szybko jak przydział machorki – powiedział major.

Rychter uśmiechnął się z wyraźnym skrepowaniem. Po chwili dobiegł do nich wyraźnie podniecony Andrzej.

– Ożeż ty, w cara, panie poruczniku, ależ go pan huknął.

– Święta prawda – dodał Makarewicz i wyciągnął pudełko ze skreconymi papierosami.

– Niemiaszek tak przypierdolił o glebę, że aż czkawki dostałem – rzucił Wojtek, a wszyscy się zaśmiali.

– Panowie, spokój – powiedział Feliks.

Mijali wóz, na który ładowano rannych.

– Dzień dobry, panie majorze.

Zygartowicz i inni obrócili się w kierunku, skąd pochodził głos. Patrzył na nich kapral

Walery Chyży.

– Panie Walery, co za zbieg okoliczności.

– W rzeczy samej, panie majorze. – Przyłożył zakrwawione palce do daszka czapki.

– To jest doktor porucznik Michalewicz. – Chyży przedstawił wysokiego i szczupłego mężczyznę.

– Panie majorze, panowie! – Malewicz zasalutował brudną ręką. – Miło mi panów poznać. Panie kapralu, przykro mi, ale musimy ruszać.

– Tak jest! – odparł pokornie Chyży.

– Walery, wpadnij do nas na miejscu postoju – rzucił Wojtek.

– Chętnie. Do widzenia.

– Ku chwale ojczyzny.

Na miejscu nie było wiele czasu na odpoczynek. Kapral Chyży, zgodnie z obietnicą, pojawił się tam, gdzie stacjonował pluton Zygartowicza. Wypalili kilka papierosów, wypili po kubku kawy, zagryźli sucharami, na które nie mogli już patrzeć. Kapral opowiadał o skutkach niemieckich nalotów i ilości pracy, którą wykonali od początku wojny. Ratowali rannych wojskowych i cywilów. Okoliczni ludzie dobrze wiedzieli, gdzie stacjonowało wojsko, i przychodzili nawet z błahymi sprawami, co doprowadzało żołnierzy do szewskiej pasji.

Było widać, jak bardzo jest zmęczony. Nie pytali, jak długo nie spał, bo pewnie sam nie znał odpowiedzi. Widzieli, jak popija kawę. Punkt sanitarny pękał w szwach, a pracy nigdy nie ubywało.

Tuż po zmierzchu znowu ruszyli w drogę. Następny dzień przywitał ich kolejnym bombardowaniem. Tym razem obrona przeciwlotnicza sprawiła się na medal. Strąciła dwa heinkle 111. Niemcy, napotykając zaciekły opór, zrzucali bomby z dużej wysokości. Maszerując dalej, widzieli, jak wiele kłopotów sprawiają wozy taborowe grzęznące w piasku. Podobne problemy miał ciężki sprzęt artyleryjski, któremu poruszanie się utrudniała uciekająca ludność cywilna. W strefie obronnej jeziora Gopło, ku ich zaskoczeniu, okazało się, że zamiast bić się z Niemcami, nocnym marszem pójdą dalej na wschód.

Feliks widział, że żołnierze okazują już pierwsze symptomy zmęczenia długimi wędrówkami. Gdy tylko mógł, zarządzał odpoczynki i starannie pilnował, aby faktycznie odpoczywali. Oczywiście na tyle, na ile pozwalały warunki. Huk artylerii przeciwlotniczej był ciągłym akompaniamentem, ale już tak nie doskwierał.

– Feliks, wstawaj – szturchał go Wojtek.

Zygartowiczowi śniła się Rozalia. Stała na końcu parkowej alejki i z wyciągniętymi

rękoma wołała o pomoc. On za wszelką cenę starał się do niej dostać, ale nogi miał jak z ołowiu. Próbował biec najszybciej, jak potrafił, mimo to poruszał się tylko centymetr po centymetrze, jakby jakaś niewidzialna siła trzymała go za każdy skrawek ciała. Otworzył oczy.

– Przygalopował goniec ze sztabu pułku – dodał chorąży.

– Panie majorze, depesza od pułkownika Wiecierzyńskiego.

Zygartowicz wziął kartkę i przeleciał szybko wzrokiem po tekście.

– Dziękuję. Jest pan wolny, plutonowy.

– Tak jest! – Goniec strzelił obcasami i odszedł.

Major popatrzył na Wojtkę.

– Ruszamy na Warszawę i Otwock. Gdzieś pod Łęczycą przewidują starcie z Wehrmachtem. Poznań ma uderzyć pierwszy, później ma dołączyć Bortnowski z Pomorzem. Po drodze każą niszczyć wszystkie mosty i obiekty przemysłowe.

– Ja pierdołę, o co tu chodzi? Nawet nie postrzelaliśmy porządnie, a już w pełnym odwrocie.

– Nie wiem, ale mam zamiar się dowiedzieć. Jutro na postoju pójdę do sztabu.

– Przecież prawie wszyscy saperzy zostali pod Poznaniem. Ale burdel!

– Wiesz, że nigdy nic nie idzie zgodnie z planem.

– Gdzie ci cholerni Anglicy, co? – rzucił zdenerwowany Wojtek.

Feliks popatrzył na niego wymownie.

– Nie czas się o to martwić. – Zerknął na zegarek, dochodziła dwudziesta trzydzieści. – Budź ludzi, za pół godziny wymarsz.

Rozdział 9

Rozkaz wielkiego odwrotu, wydany przez naczelnego wodza polskiej armii, okazał się spóźniony, a sytuacja, która się rysowała przed sztabem, wydawała się tragiczna. W wyścigu do Wisły armie Poznań i Pomorze były wyraźnie w tyle. Niemiecka VIII i X Armia miały nad nimi sporą przewagę i już ósmego września osiągnęły Warszawę i przeprawy na Wiśle. Tymczasem pozostali zaczęli zamykać przejścia na Bzurze. Tu właśnie niemieckie dowództwo postanowiło zorganizować obronę.

Oberstleutnant Marcus Schreiber, wraz ze swoim specjalnym komando Abwehry, przyłączył się do 4 Dywizji Pancerniej należącej do X Armii. Dowódcą dywizji był Generaloberst Georg Hans Reinhardt, który po przełamaniu obrony pod Tomaszowem Mazowieckim ruszył na zachód i teraz, wraz ze swoimi żołnierzami, stał u drzwi polskiej stolicy.

Schreiber opierał się o samochód pancerny i w zadumie palił papierosa. Obserwował, jak na bliskim horyzoncie płonie stolica Polski. Widok wydał mu się smutny i przygnębiający. Nie do końca rozumiał ideę tej wojny, która ledwo trwała osiem dni, a już dochodziły do niego wiadomości o szczególnym okrucieństwie SS i Wehrmachtu.

Nad miastem unosiły się rozbudowane cumulonimbusy dymu. Gdyby zabarwić dym szaroniebieskim i granatowym kolorem i wymazać łuny pożarów, całe zjawisko byłoby niespotykaną anomalią pogodową, w której w jednym miejscu szaleje kilkadziesiąt burz, a jęzory ich tornad dotykają ziemi. Lecz grzmoty, które dochodziły do jego uszu, nie były wynikiem kapryśnej natury. Był to huk bomb zrzuconych na miasto. Przez wszystko przebijał się terkot artylerii przeciwlotniczej.

4 Dywizja Pancerna szykowała się do natarcia. Wiedział, że przewaga liczebna i sprzętowa Wehrmachtu jest druzgocąca. Zadanie, które teraz było realizowane przez wszystkie armie, polegało na zamknięciu pierścienia wokół polskiej stolicy. Lecz od początku wojny prawie wszystko przebiegało źle.

Sztab zapewniał Hitlera, łechcąc jego ego, że potężna siła blitzkriegu przetoczy się przez całą Rzeczpospolitą i ta zniknie z mapy w dwa tygodnie, a wtedy będzie można wycofać jednostki i wzmocnić zachodnią granicę Rzeszy, aby szykować się do ataku na Francję. Nikt nie przewidział, że taka taktyka ma także wiele słabości. Jedną z nich Polacy odkryli niemal natychmiast.

Może i wojska pancerne w dzień siały pogrom, ale w nocy stawały się prawie bezużyteczne. Wtedy właśnie Wojsko Polskie małymi oddziałami atakowało. Niemcy ponosili duże straty. To obnażyło wielką niedoskonałość wojny błyskawicznej.

Działo się tak, jak to przewidział. Polacy walczyli na froncie o długości prawie półtora tysiąca kilometrów. Mimo że byli w pełnym odwrocie, to ich heroizm zaskakiwał. Pozostawiając z boku takie wydarzenia jak Westerplatte, pocztę gdańską czy Hel, które były skrętnie ukrywane przez propagandę, a skupiając się na drobniejszych sprawach, o których dyskutowali młodszy oficerowie, to aż włos się jeżył na głowie.

Żołnierze opowiadali o piechurach, którzy walczą na bagnety w taki sposób, jakby śmierć była dla nich jakimś żartem. Wzbudzali taki strach, że w wielu miejscach oddziały niemieckie cofały się mimo przewagi. Chodziły opowieści o lotnikach, którzy po tym, jak wystrzelali całą amunicję, taranowali niemieckie maszyny, po czym wyskakiwali z samolotów. Słyszał o dowódcach, którzy odmawiają odwrotu i bronią swoich przyczółków do ostatniego naboju, a celność polskich działonowych była już przestrogą, którą jak mantrę powtarzali dowódcy plutonów czołgów.

Gdy pokonywał trasę w ślad za X Armią, aby dotrzeć na jej czoło, mijał tysiące uciekinierów. W oczach tych ludzi oprócz strachu było coś jeszcze. Raz spotkał się z chłopcem nie starszym niż jego dziesięcioletni siostrzeniec. W oczach dziecka, nieumiejącego ukrywać emocji, była nienawiść. Wiedział, że jego starsi o kilka lat koledzy nie zawahaliby się pociągnąć za spust, gdyby tylko mieli ku temu okazję. On i jego pobratymcy byli najeźdźcami, którzy wdarli się do kraju wyrosłym na rozlanej krwi ich przodków.

Jako państwo, przez niemal tysiąc lat istnienia, pokoju zaznali tyle co na lekarstwo, a kolejne pokolenia rodziły się tylko po to, żeby walczyć o wolność, przejmując ten obowiązek od swoich ojców. Wiedział, że pobita polska armia, jakkolwiek przybierze postać, nigdy nie złoży broni i będzie walczyć, dopóki na tej ziemi będzie choćby jeden Niemiec z karabinem. Wkraczając do Polski, czuł się przegrany. Dobrze wiedział, że póki ten naród nie będzie wolny, nie złoży broni, a wymordowanie wszystkich, jak zakładał Hitler, jest niemożliwe.

Z głębokiej refleksji wyrwał go huk kolejnej eksplozji. Rzucił niedopałek na ziemię i przycisnął go butem. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął wizytówkę. Na małej karteczce widniało nazwisko polskiego oficera wywiadu. „Jan Żychoń mjr”. Uśmiechnął się pod nosem na myśl, że to jest jedyna rzecz, jaką Hans znalazł w budynku wywiadu w Bydgoszczy. Wiedział, jakie są procedury dotyczące cennych informacji zawartych w archiwach wywiadu. Dodatkowo major Żychoń był świetnym oficerem, który rzadko popełniał błędy. Sprawa Bydgoszczy to przeszłość, teraz na horyzoncie płonąła Warszawa, to tam był kolejny cel. Archiwum Sztabu Generalnego.

– Przepraszam, *Herr Oberst* – powiedział porucznik Neumayer.

– Słucham, Hans.

– Jesteśmy gotowi do wymarszu.

– Bardzo dobrze, przekaz żołnierzom szczegóły odnośnie natarcia. Ruszamy około dwunastej. Powiadom majora Marzahna, że zaraz do niego dołączę.

– W tej chwili, *Herr* Oberst.

Pierwszym celem było zajęcie dzielnicy Włochy-Okęcie.

Rozdział 10

Stacjonowali w bliskiej okolicy kolonii Rybie. Właściciele niewielkiego gospodarstwa powitali ich ze łzami w oczach. Starsi ludzie dzielili się tym, co mieli. Żołnierze wycieńczeni po ciągłych nocnych marszach, gdy zobaczyli świeże mleko, ze szczęścia mało się nie rozplakali. Od początku wojny przeszli około trzystu pięćdziesięciu kilometrów, mimo że cała armia Poznań nie uczestniczyła jeszcze w poważnej bitwie. Wkrótce miało się to zmienić.

Było widać, że 14 Dywizja nabrała już pewnego doświadczenia w nocnych przemarszach, ale im bardziej na wschód, tym było trudniej. Sieć dróg robiła się coraz rzadsza i bardziej zabałaganiona uciekinierami. Wiadomości o rzekomym przejściu przez Bzurę rozeszły się szybciej niż mleko. Ludzie zauważyli, że dbanie o sprawy kwatermistrzowskie stawało się coraz trudniejsze, tym bardziej że kolej praktycznie nie istniała i trzeba było organizować się bez niej. Zaopatrzenie w amunicję nie było problemem i cała dywizja była gotowa do walki. Jedyne, na co można było narzekać, to brak dostaw jedzenia i wody pitnej. To organizowali sobie we własnym zakresie, kupując prowiant od ludności cywilnej.

Luftwaffe notorycznie bombardowało węzły kolejowe, a najbliższe Kutno było systematycznie nękane. Chleb poszedł w zapomnienie, a suchary i gulasz stały się podstawowym składnikiem diety całej armii Poznań. Generał Kutrzeba uzyskał połączenie telefoniczne z wodzem naczelnym, który z częścią sztabu jeszcze znajdował się w Warszawie. Po krótkiej rozmowie dostał pozwolenie na przeprowadzenie dużych działań zaczepnych w rejonie Bzury.

Przed wybitnym oficerem stanęło wiele problemów. Akcja musiała wiązać ze sobą współdziałanie obu armii, Poznań i Pomorze, a także armii Łódź, której położenia nie znali. Nie wiadano, czy przekroczyła Wisłę, czy dalej znajduje się po jej zachodniej stronie. Założono jednak, że armia jest nierozbita i pozostaje cały czas w swoim rejonie operacyjnym. Sztab najbardziej obawiał się wykrycia przygotowań do ofensywy. Wtedy Niemcy mogliby zaatakować z powietrza w wielkiej sile i zniweczyć plan przedarcia się pod Warszawę i związania jak największej liczby najeźdźców. Generałowie obu armii opracowali plan i rozesłali rozkazy o natychmiastowym rozpoznaniu terenu, ustaleniu możliwych przepraw oraz sprawdzeniu liczebności wroga.

Na miejsce, gdzie stacjonował pluton Zygartowicza, przybył goniec od dowódcy

pułku. Była czwarta nad ranem. Feliks nie spał i myślał o Rozalii. Jego uczucia z dnia na dzień intensywniały. Tęsknił za nią, za jej zapachem, uśmiechem i głosem, za wszystkim, co widział niespełna trzy tygodnie temu. Mimo że tkwił w samym środku wojny, a jego ojczyzna krwawiła od ciosów oprawców, to gdzieś głęboko był szczęśliwy, że odkrył w sobie uczucie do tej pięknej kobiety, a co ważniejsze, że już się go nie bał.

Modlił się do Boga, aby była na tyle rozsądna, żeby trzymać się blisko Kaźmierczaka. Zapewne w razie potrzeby ewakuują cały sztab w bezpieczne miejsce. Wojciech spał obok przyjaciela i chrapał jak niedźwiedź. Młody sierżant zauważył majora, który siedział w zadumie. Ucieszył się, że nie będzie musiał go budzić.

– Panie majorze, melduje się sierżant Simiński. Pan pułkownik prosi, aby się pan z nim spotkał, przysły rozkazy ze sztabu – szepnął, a major skinął głową.

– Jasiński! – Młody strzelec w jednej chwili był przy swoim dowódcy. – Pilnuj czasu i obudź następną wartę, a chorążego Tuchowiaka za pół godziny. Zrozumiano?

Strzelec, gdy usłyszał, że ma obudzić chorążego, ze strachu szerzej otworzył oczy.

– Tak jest panie majorze – wyszeptał.

– No niech pan prowadzi, sierżancie – rzucił Feliks.

Spotkanie z dowódcą pułku było krótkie. Ze sztabu grupy operacyjnej przysły rozkazy odnośnie do przeprowadzenia rozpoznania na swoich liniach działania. Pułkownik wiedział, że pierwszym i najlepszym wyborem będzie pluton rozpoznawczy, który jest dowodzony przez doświadczonego majora. Przestał już się dziwić i nie zadawał pytań. Wiedział, że rozkazy przysły z samej góry, a na miejscu potwierdził je dowódca dywizji. Kilku żołnierzy majora odróżniało się wyraźnie od reszty, do tego w pułku krążyły o nich różnorakie historie. W każdym razie było to zjawisko niecodzienne.

– Zapali pan? – zapytał pułkownik Wiecierzyński.

– Nie, dziękuję, nie palę.

– To może coś mocniejszego? Ranki już chłodne.

– Chętnie, ale niedużo.

Pułkownik skinął na sierżanta. Ten nalał trunku w stalowe kubki i jeden z nich wręczył Feliksowi.

– Sierżancie, pójdzie pan zapalić!

Simiński zniknął bez słowa.

– Panie majorze, przysły rozkazy od generała Knolla. Mamy jak najszybciej przeprowadzić rozpoznanie w kierunku Piątka. Zależy mi na kimś doświadczonym. Zapewne pan wie, iż podejrzewamy, że teren jest dość mocno obsadzony Trzydziestą Dywizją Piechoty, a najwyraźniej jutro pójdziemy przez rzekę.

– To pewne, że pójdziemy, panie pułkowniku.

– Panie majorze, myślę, że moglibyśmy zwracać się do siebie po imieniu. W końcu wychyliłiśmy już po kubku gatunkowej. – Uśmiechnął się szeroko.

– Będzie mi bardzo miło – odparł Zygartowicz.

– Władek.

– Feliks.

Oficerowie uścisnęli sobie dłonie. Pułkownik dolał alkoholu.

– Wzrosła wilgotność, już wschodzi mgła – powiedział Feliks. – Myślę, że to idealny czas, żeby poprowadzić rozpoznanie, a mniemam, że po to mnie wezwałeś?

Dowódca pułku tylko kiwnął głową.

– Wstępnie oglądałem już rzekę w naszym rejonie. Przejdziemy torfowisko i ten mały las przed podejściem na Goślub. Stamtąd powinniśmy mieć jakiś ogłąd sytuacji. Ruszę zaraz przed świtem.

– Wspaniale, dziękuję. Nie chciałem wysłać niedoświadczonych oficerów.

– O której odprawa?

– Nie wiem, ale zapewne rano. Zaraz do nich wracam. Pracujemy właśnie nad planem natarcia, ale szczegóły później. Najpierw informacje.

– Rozumiem, w takim razie ruszam. – Zygartowicz odstawił pusty kubek i skierował się do wyjścia.

– Feliksie – major zatrzymał wychodzącego. – Powodzenia.

– Dziękuję. Bywaj! – Przyłożył palce do daszka.

– Wybierz najlepszych ośmiu ludzi plus naszych chłopaków. Musimy podejść ich po cichu, jak najbliżej. Rozumiesz? – powiedział do Wojtka.

– Jasna sprawa.

Chorąży zniknęli wśród odpoczywających żołnierzy. Po raz kolejny zostawili większość oporządzenia i tylko z dodatkową amunicją skierowali się nad brzeg rzeki. Od wielu miesięcy panowała susza i poziom wody spadł dość mocno. Rzeka w tym miejscu miała nie więcej niż półtora metra głębokości. Szli powoli i w ciszy. Na przeciwległym brzegu było kilkanaście metrów płaskiego terenu, później koryto wznosiło się naturalnym wałem, za którym był zabagniony las.

Od miejscowości Piątek dzieliło ich około dwunastu kilometrów, ale na trasie był jeszcze Goślub, a na południowy zachód wieś Balków. Gdy podeszli pod las, Feliks machnął ręką, dając znak, aby się zatrzymali. Mgła wychodziła z lasu niczym bieszczadzkie dymy z kotlin na połoninach. Sięgała im do bioder. Gdy część z żołnierzy przykucnęła, ledwie było im widać hełmy. Zaczęło świtać.

– Przejdziemy las pod kątem, w tym kierunku. – Wskazał dłonią. – Na skraju

powinniśmy widzieć osady. Podejdziemy bliżej i się rozejrzemy.

– Feliks, tu nie ma szans na przeprawę z ciężkim sprzętem, jedyne co, to kilka kładek postawią, nic więcej – wtrącił Wojciech.

– Wiem. Może ci z pięćdziesiątego siódmego coś trafią. Pamiętajcie, notujecie wszystko, pozycje, liczby i szkic terenu. Od tej pory żadnego gadania. Tylko w razie potrzeby. Sebastian, bierzesz trzech ludzi i idziesz z Radkiem po prawej, w zasięgu wzroku. Drwał, ty na lewo. Weź dwóch i Młodziana. Zrozumiano?

Skinęli głowami i uformowali trzy małe drużyny.

Podłoże było miękkie i grząskie. Idealny teren do cichego poruszania się. Szli bardzo wolno, w pełnym skupieniu. Gdy którykolwiek z prowadzących usłyszał niepokojący dźwięk, od razu podnosił rękę. Reszta natychmiast przysiadła, nasłuchując.

Do otwartej przestrzeni mieli jeszcze około półtora kilometra. Kilkaset metrów przed skrajem lasu, gdzie światło przeciskało się pomiędzy młodymi drzewkami, które wyrastały na tym podłożu niczym grzyby po deszczu, Makarewicz ujrzał kilka niewyraźnych postaci. Dał znak, a major go powtórzył. Wszyscy zniknęli w mlecznej powłoce. Zygartowicz patrzył w kierunku Makarewicza, który słuchając porucznika patrzącego przez lornetkę, sygnalizował obecność wroga.

Major ostrożnie zerknął przez lornetkę w kierunku skraju lasu, po czym przekazał wiadomość Tuchowiakowi. Mały patrol rozpoznawczy Wehrmachtu, złożony z czterech żołnierzy, poruszając się tak samo ostrożnie jak oni, zmierzał prosto w kierunku rzeki. Major wiedział, że nie są w stanie ich ominąć. Mogliby przeczekać, ale wtedy straciliby cenny czas. Zapewne wysłano ich na szpicę, żeby sprawdzili, czy Polacy nie koncentrują sił na przeciwległym brzegu.

Zerknął jeszcze raz. Szli blisko siebie. To dobry znak. Popatrzył na swoje flanki i dał znak, aby ich oskrzydłali, a później przesunął wymownie dłonią po gardle.

W lesie zrobiło się cicho i jeszcze bardziej złowrogo. Ptaki umilkły nagle, jakby wiedziały, że tu, blisko, czai się niebezpieczeństwo. Tylko gdzieś dalej słychać było dudnienie bombardowania, a może artylerii. Z tej odległości nikt nie był w stanie tego rozróżnić.

Zygartowicz przycisnął się do jednego z drzew i schował we mgle. Jego żołnierze zajęli pozycje. Nieprzyjaciel szedł prosto na nich. Feliks wysunął się delikatnie. Jakieś pięćdziesiąt do osiemdziesięciu metrów, pomyślał. Popatrzył po przejętych strzelcach i zabronił otwierania ognia. Wojciech, Andrzej, Makarewicz i Sebastian obchodzili Niemców z boku. Gdy usłyszeli patrol, przywarli do ziemi. Gdyby nie mgła, Niemcy na pewno by ich dostrzegli.

Byli już tak blisko, że Feliks rozpoznał stopień prowadzącego. Ten ostrożnie stawiał każdy krok i się rozglądał. Na szczęście tylko na wysokości mgły.

– Unteroffizier, tutaj, tutaj, pomocy... – powiedział po niemiecku major.

Młodzi strzelcy nie wiedzieli, co się dzieje, ale ciągle leżeli posłusznie. Nie tylko Niemcy usłyszeli głos Zygartowicza. Wojtek i Radek czekali już z wyciągniętymi bagnetami. Słyszając język niemiecki, dowódca niemieckiego patrolu, gotowy do strzału, przystanął na chwilę.

– Pokaż się. Nazwisko i przydział! – rzucił do lasu przed nim.

Ruchem ręki wskazał żołnierzom, aby się rozproszyli. Niemcy ruszyli bez słowa, skracając dystans do ukrytych Radka i Wojtka. Wtedy padły kolejne słowa, tym razem z miejsca, gdzie stał porucznik, który starał się naśladować ton majora. Niemcy nie byli w stanie odróżnić, czy wołanie pochodzi od jednego, czy od dwóch wzywających.

– Proszę, pomóżcie, jestem Oberschütze Anders Herzog, jestem ranny...

Niemcy, zdezorientowani, automatycznie zwrócili się w kierunku, skąd dochodził głos. Wtedy z przeciwnej strony, niczym zjawa, pojawił się Tuchowiak, był tuż za ich plecami. Pierwszego z Niemców, który usłyszał za sobą kroki, uderzył pięścią zaciśniętą na rękojeści noża prosto w szyję. Cios był tak mocny, że Niemiec natychmiast padł nieprzytomny. Drugi z jego kolegów, słysząc ciche jęknięcie, starał się obrócić. Nie zdążył. Nóż Tuchowiaka rozharatał mu gardło. Wtedy z przeciwnego kierunku, w którym jeszcze przed chwilą mierzyli, z mgły pojawił się Makarewicz. Widział, jak jeden z przeciwników składa się do strzału do chorążego, skrytego za ciałem swojej ofiary. Dostoczył do niego i wbił mu nóż w kark dokładnie w to miejsce, o którym kiedyś wspominał Wojtek. Niemiec nawet nie pisnął, tylko upadł.

Dowódca grupy popełnił błąd. Był gotowy do strzału, gdy kątem oka zauważył Makarewicza. Zamiast strzelać, próbował obrócić się w kierunku napastnika, ale ten był już przy nim. Na szczękę Niemca spadł piekielnie mocny prawy sierpowy. Ścięło go z nóg.

Radek skoczył i dokończył dzieła. Unteroffizier wierzgał nogami i krzyczał. Walczył o życie. Reszta żołnierzy na rozkaz majora poderwała się i ruszyła w kierunku całego zajścia. Gdy dotarli na miejsce, Makarewicz wycierał nóż o runo leśne, a chorąży trzymał visa wymierzonego w kierunku jedyne żywego i przerażonego Niemca. Ten klęczał, a na jego młodej twarzy malował się grymas bólu, oszołomienia i panicznego strachu. Zygartowicz rozejrzał się dookoła, skinął na Wojciecha i Makarewicza.

– Dobra robota, chłopcy. – Skinęli głowami. – Kalwiński i Kłos na czujkę.

Strzelcy zniknęli. Podszedł do jeńca, wyciągnął pistolet, zdjął mu hełm i przyłożył lufę do czoła.

– Zapytam tylko raz – powiedział po niemiecku.

– Proszę mnie nie zabijać, *Herr* major. Ja wszystko powiem.

Nawet szeregowcy bez błędu rozpoznają stopnie, pomyślał Zygartowicz. Nie wróżyło

to niczego dobrego.

– Ile patroli wyruszyło i w którym kierunku poszli? – zapytał.

– W tym miejscu jesteśmy tylko my, wysłano nas ze wsi, żeby zbadać drugi brzeg rzeki. – Trząś się. – Nie wiem, czy kogoś wysłali od południa. Przysięgam.

Feliks widział, że Niemiec nie kłamie. Schował broń do kabury.

– Andrzej, sprawdź podoficera, czy nie ma czegoś wartego uwagi, później bierz Olszewskiego i Dudę. Odprowadzicie go do sztabu. Tam go przesłuchają. Weźcie ich broń i dokumenty. My ruszamy dalej.

Przechodząc, wszyscy obrzucili wzrokiem martwych Niemców, po czym skierowali się na skraj lasu. Obawy dowództwa się potwierdziły. Feliks zbadał wzrokiem krajobraz. Gdyby nie zryta okopami ziemia i ciemny dym na horyzoncie, widok byłby naprawdę imponujący. Żyzne ziemie naniesione przez rzekę, od lat wykorzystywane przez okolicznych mieszkańców, wyglądały jak pola szachownicy. W oddali widniały zabudowania małej miejscowości, dalej za Goślubem majaczył Piątek. Wehrmacht cały odcinek gęsto obsadził piechotą, gniazdami karabinów maszynowych, stanowiskami moździerzowymi, a co kilka metrów z ziemi sterczało okopane działo.

Podeszli jak najbliżej. Wojciech podczołgał się do Feliksa. Ten, leżąc, obserwował zabudowania.

– Widzisz to? – szepnął olbrzym.

– Tak – odpowiedział major, nie odrywając oczu od okularów.

– Kurwa mać, teren płaski jak stół, żadnych drzew. Tu kilka rowów, a dalej nic. Same chałupy.

– Wiem, przyjacielu.

– Jeszcze się parchy okopały, jak jakieś nornice. Zostanie nas trochę na tym polu.

Tym razem major nie odpowiedział. Wiedział, że jego przyjaciel ma rację. To nie mogło się dobrze skończyć.

Rozdział 11

14 Dywizja Piechoty, do której należały 55 i 57 Pułki Piechoty, podlegała generałowi Władowi i była częścią grupy operacyjnej generała Knolla-Kownackiego. Kawaleria pozostała bezpośrednio pod dowództwem generała Kutrzeby. Była dziewiąta rano, gdy dowódca 14 Dywizji dostał rozkaz do natarcia. Feliks z Wojciechem zameldowali się w sztabie.

– Witajcie, panowie, zapraszam – powiedział generał Wład, pochylający się nad mapą wraz z pułkownikiem Wiecierzyńskim i pułkownikiem Rybotyckim.

Major wraz z chorążym zasalutowali i weszli do pokoju. W środku, oprócz dowódców pułków, było jeszcze kilku innych oficerów sztabowych.

– Dobrze. Jesteśmy w komplecie. Panowie, wiecie, że przed chwilą otrzymałem rozkaz o rozpoczęciu natarcia. Pójdziemy w kierunku Balkowa i Goślubia. Frontalnym atakiem. Cała grupa operacyjna ma nacierać na pasie o długości mniej więcej osiemnastu kilometrów. Tu i tu. – Wskazał punkty na mapie. – Dzięki pracy naszych plutonów zwiadowczych wiemy, że Goślub i Balków wraz z Piątkiem są obsadzone przez większą część Trzydziestej Dywizji. – Skinął w kierunku majora i chorążego. – Południowy brzeg nie wszędzie jest zajęty przez Niemców. Rozpoznanie z pięćdziesiątego siódmego pułku potwierdziło tylko nieliczne gniazda z bronią maszynową w rejonie przepraw. Ciężki sprzęt przierzucimy tu, pod Siemienicami. Przekroczymy Bzurę w kierunku Celestynowa.

– Panie generale, czy to oznacza, że mamy się wbić klinem pomiędzy dwie grupy Trzydziestej Dywizji? Gdzieś tutaj powinna być luka. – Feliks podszedł i wskazał miejsce na mapie.

– Dokładnie tak, panie majorze.

– A co z dwudziestą piątą? – zapytał pułkownik Wiecierzyński.

– Pójdzie na Łęczycę, a na ich tyły wejdzie kawaleria generała Grzmota.

Skinęli głowami na znak, że rozumieją.

– Panie generale, skąd będzie szło przygotowanie artylerii? – wtrącił pułkownik Rybotycki.

– Chcemy osiągnąć jak największe zaskoczenie, pułkowniku. Wszystko zależy od przebiegu forsowania rzeki.

– Idziemy bez przygotowania? – zdziwił się Wiecierzyński.

– Tak, Władysławie. Chcemy uzyskać jak największe zaskoczenie. Teraz najważniejsze. Planowany czas rozpoczęcia natarcia – godzina siedemnasta. Ostatnia odprawa o pół do trzeciej. Wtedy podam szczegóły dla pułków. Jakies pytania?

W pomieszczeniu panowała cisza.

– Dobrze, w takim razie do swoich zadań, panowie.

Trzasnęły obcasy.

– Widziałeś mapę? Idziemy do Warszawy po równinie bez lasów, z samymi wsiami. Między tym wszystkim kilka łąsych wzgórz, z których widać całą okolicę. Idziemy bez przygotowania artyleryjskiego.

– Wiem. Widziałem. Do tego między rzeką a Warszawą jest tylko jedna droga, najpewniej zatłoczona jak dworzec w Poznaniu. Przerzucenie tamtędy artylerii to będzie koszmar, a czas teraz odgrywa najważniejszą rolę, przyjacielu – odparł Feliks.

Wojciech zamyślił się na chwilę i wyciągnął skręta.

– Luftwaffe będzie miało nas jak na talerzu – rzucił i przypalił papierosa.

– To jedno, a dwa, jak będziemy się tak ślimaczyć, to ściągną odwody. Bóg tylko wie, ile tego mają. Na pewno Dziesiąty i Jedenasty Korpus siedzi gdzieś blisko, a jak skrzydło dorzuci jakąś pancerną, to, bracie, cienko to widzę. Do tego to gardło między Skierniewicami a Wisłą. Idziemy dwiema armiami, nie ma szans, żeby tam rozciągnąć tyle jednostek. Szkopy mogą się bronić połową tego, co mamy.

– Słyszałeś naszego generała? „Teraz czekają na was nowe zwycięstwa. Wiemy, że jesteście silniejsi niż stojący przed nami wróg. Zbierzcie siły, rozbijcie pruskie hordy jednym potężnym uderzeniem i otwórzcie drogę na Warszawę. Czekają was sława”. Mam wrażenie, że niektórzy są oderwani od rzeczywistości – powiedział poirytowany Wojciech.

Feliks nie odpowiedział. Wiedział, że sarkazm jego przyjaciela jest w tym momencie uzasadniony. Szczególnie gdy myślał o słowach, że są silniejsi niż wróg.

– Chłopaki mówili, że ktoś widział RAF na niebie – ciągnął Wojtek.

– Chyba w to nie wierzysz, co? Heinkla łatwo pomylić z wellingtonem, tym bardziej gdy leci wysoko. Poza tym widzisz, co chcesz zobaczyć, wiesz, jak to jest.

Wojciech skinął głową i wyrzucił z siebie chmurę dymu.

– Cały czas nie wiem, po co leziemy do stolicy. Nie lepiej by było cywilne łachy zarzucić i kłuć ich w zad? – dodał.

– Wszystko się popieprzyło. Sam się nad tym zastanawiam. Nie ma łączności z Ordyńskim i Kaźmierczakiem. Dostajemy rozkazy od Włada i je wypełniamy.

W Warszawie się wszystkiego dowiemy.

Na ostatniej odprawie przed natarciem usłyszeli, że oddziały rozpoznawcze pozostaną w odwodzie pułku. Feliks, używając argumentu, że mają dobrze rozpoznany teren, przekonał dowództwo, aby poszli z natarciem. Byli gotowi do akcji. Przygalopował goniec i powiedział, że pułk nie osiągnął jeszcze pozycji wyjściowych i natarcie ruszy o godzinie osiemnastej. Młodzi strzelcy chowali się w długich cieniach drzew i nerwowo palili, czekając na rozkaz. Chorąży wszedł pomiędzy żołnierzy.

– Bacność!

– Panowie – odezwał się major. – Podejrzewam, że większość z was czekała na ten moment. Za chwilę ruszamy do prawdziwego boju. Nacieramy całą naszą dywizją. Porucznik i chorąży przekazali wam rozkazy. Jeszcze raz powtórzę, żadnego bohaterstwa. Słuchać rozkazów, nie marnować amunicji. Celować spokojnie. Nie trzymamy się w grupie. Jeden żołnierz to dla ckm-u dobry cel, grupa – wymarzony. Rozumiemy się?

– Tak jest, panie majorze! – krzyknęli.

– Musimy się spieszyć, na otwartym terenie ckm-y mogą przyszpilić cały batalion. Im szybciej dotrzemy do zabudowań Balkowa, tym lepiej dla nas. Niemcy są dobrze wyposażeni i mocno okopani, ale przed wsią nie powinno być ich wielu. Nasz batalion ma wsparcie dwóch baterii z czternastej lekkiej. Poruczniku Rychter?

– Tak, panie majorze.

– Weźmie pan dwóch ludzi i browninga z zapasem amunicji i jak najszybciej zdobędziecie pozycje do wsparcia. My pójdziemy dwiema drużynami. Wojciech, prowadzisz pierwszą, ja pójdę z drugą. Postaramy się wejść do wsi od południa. Makar z Drwalem, ty, Młodzian, idziesz ze mną. Każcie im zbierać sprzęt, sprawdźcie im oporządzenie i amunicję. Później pięć minut na papierosa lub sranie. Za dziesięć minut wymarsz.

– Tak jest! – odpowiedział poważnie porucznik Rychter.

Gdy przedostali się na przeciwległy brzeg rzeki, gdzieś w oddali rozległ się złowrogi terkot karabinów i huk eksplodujących pocisków moździerzowych. Do wsi nie było daleko. Wszystko zaczęło się nagle. Niemcy otworzyli ogień ze swoich okopanych stanowisk. Feliks rozejrzał się, cały batalion szeroką tyralierą nacierał na wieś. Ckm-y skosiły kilku piechurów tuż po jego lewej stronie. Widział, jak kule przebijają ciała, które padały bezwładnie. Wtedy jedno z niemieckich gniazd przeniosło ogień w ich stronę.

– Padnij! – krzyknął major.

Przywarli do ziemi. Świszczące kule przelatowały tuż nad głowami. Po chwili na pole zaczęły spadać pociski moździerzowe. Sebastian pędził ze swoimi piechurami ile sił w nogach. Musieli dotrzeć na w miarę dogodną pozycję. Wojciech podniósł lekko głowę.

Niemcy się wstrzelowali.

Jasna cholera, Rychter, sprężaj się, pomyśleli jednocześnie Feliks i Tuchowiak.

– Szybko, panowie. Raz! Raz! Nie ma czasu, wkładaj taśmę – powiedział porucznik.

Młody żołnierz uwijał się, choć drżały mu ręce. Strzelec wsunął taśmę i przeładował broń.

– Widzisz to gniazdo? – Przełożony pokazał ręką. – Tam kieruj ogień, krótkimi seriami. Po kilka sekund. Nie przerywaj ostrzału. Nie mierz w ludzi, tylko tuż poniżej wału. – Strzelec skinął głową. Niemcy okopali się tak, jak powinni. Dowódca musiał przewidzieć, że gdyby doszło do natarcia, Polacy pójdą tyralierą. Gdyby ustawili ckm-y do ognia czołowego, byłiby dużo mniej skuteczni. Na cel tak rozciągnięty zdecydowanie lepszy jest ogień boczny. Sebastian o tym wiedział i chciał jak najszybciej ściągnąć na siebie ogień dwóch karabinów, które mieli w swojej linii.

– Jestem z boku, głowy nisko – powiedział, po czym zaczął się czołgać. Po kilku ruchach przystanął.

– Na co czekacie. Ognia! – krzyknął.

Karabin ożył.

– Wstawać, jazda! – warknął Wojciech, ale ze strachu nie wszyscy żołnierze poderwali się do biegu.

Wtedy chorąży dopadł do jednego, który uważał, że leżąc, ma większe szanse na przeżycie. Szarpnął go za pas, podnosząc do góry.

– Ruszaj się, tu dostaniesz kulę w czerep – wrzasnął na przestraszonego chłopaka.

Nacierali dalej.

Sebastian widział, jak major i chorąży biegną do zabudowań. Mieli jeszcze dobre trzysta metrów przed sobą. Dalej, jakieś sto metrów na lewo od nich, cały batalion też pędził na wieś. Gdy przed okopem poderwała się ziemia, Niemcy pochyłili głowy i starali się przenieść ogień na polski lkm. Sebastian przyłożył oko do okularu lunety. Widział kilkanaście hełmów. Patrzył na wroga, jakby był tuż przed nim.

Pierwszego trafił pod obojczyk. Strzelec opadł na karabin. Porucznik przesunął wzrok po linii umocnień i zauważył sierżanta, który patrzył przez lornetkę wprost na niego i karabin chłopaków. Machał do obsady drugiego karabinu i wskazywał kierunek ognia. Sebastian przywarł do ziemi.

– Kryć się! – krzyknął.

Grad kul posypał się w ich kierunku. Tymczasem na wzniesieniu koło ładnego wiatraka stał pułkownik Wiecierzyński i obserwował pole. Natarcie prawie osiągnęło pierwszy cel, wszystko szło zgodnie z planem. Widział, jak jego ludzie znów przywarli do ziemi i się ostrzelowali.

– Poruczniku, niech pan nadaje. Bliżej pięćdziesiąt, lewo trzydzieści, jedna salwa.

– Tak jest! – porucznik Drewnowski podniósł telefon i zakręcił korbą prądnicy. Gdy usłyszał głos, przekazał rozkazy.

– Zrozumiałem, bliżej pięćdziesiąt, lewo trzydzieści. Wykonuję! – odpowiedział dowódca baterii.

Po chwili nad głowami nacierających piechurów przeleciała salwa. Jeden z pocisków trafił tuż za sierżantem Wehrmachtu, kierującym ogniem ckm-ów. W miejscu gdzie stał on i załoga moździerza, wzniósł się tuman kurzu. Niemcy zdali sobie sprawę, że nie utrzymają linii obrony małej wsi.

Feliks i Wojciech mieli już nie więcej niż sto pięćdziesiąt metrów do pierwszych zabudowań. Gdy znowu przywarli do ziemi, z lewej strony rozległo się głośnie „hurra”.

Zerknął na batalion, który biegł na umocnienia.

– Bagnet na broń! – krzyknął. – Gotowi? Teraz!!!

Poderwali się i ruszyli na stanowiska nieprzyjaciela.

Gdy do okopów posypały się granaty, Niemcy zaczęli uciekać w popłochu. Strzelcy przydzieleni porucznikowi znowu otworzyli ogień z karabinu maszynowego. Gdy Sebastian zauważył, że piechurzy są tuż przy stanowiskach wroga, krzyknął komendę na przerwanie ognia. Ci Niemcy, którzy nie zdołali uciec, zostali zadźgani. Po kilku minutach walki wręcz wieś była zajęta.

– Dobra robota, panowie. Straty? – zapytał major.

– Jeden ciężko i dwóch lekko rannych – odparł Wojtek.

– Rozumiem, każ komuś przypilnować, żeby jak najszybciej trafili do punktów opatrunkowych.

Wojtek skinął głową.

Po chwili doszedł Sebastian i dwóch strzelców z ciężkim karabinem.

– Panie poruczniku, panowie. Świetna robota. Uzupełniać amunicję, za chwilę ruszamy. Mamy iść dalej na Mosty i przeciąć szosę na Piątek. Tam batalion ma utworzyć punkt oporu. No, raz, raz. Nie ma czasu.

Żołnierze ruszyli do zadań.

Tylko część drugiego batalionu zajęła stanowiska ogniowe we wsi, reszta natychmiast poszła dalej. Gdy opuszczali osadę, słońce chowało się już za horyzontem. Gdzieś blisko artyleria wroga była bardzo aktywna. Po niespełna dziesięciu minutach marszu w kierunku wsi Stawy rozpętało się istne piekło. Okazało się, że to, co działo się przed pierwszą zdobywaną osadą, to było jedynie preludium do prawdziwej bitwy.

Niemal zewsząd w kierunku drugiego batalionu posypał się grad pocisków różnego

kalibru. Śmierć zaczęła zbierać żniwo. Ludzie byli koszeni z pocisków karabinowych albo przebijani odłamkami ze szrapneli.

– Kryć się! – krzyknął Feliks.

Większość z nich wskoczyła do rowów nawadniających, które przecinały całe podejście do Stawów. Nie wszyscy zdążyli się ukryć dwóch strzelców, którzy zawahali się nad zeskokiem, ściął karabin maszynowy. Jednego wciągnięto za nogę do środka w celu opatrzenia ran, ale okazało się, że nieszczęśnik nie miał połowy twarzy.

– Jezu, jak biją! – krzyknął Sebastian.

Wtedy ze świstem tuż nad ich głowami przeleciał pocisk artyleryjski i poderwał gejzer ziemi tuż za ich okopem. Deszcz torfu spadł im na głowy.

– Skąd tak wałą? – krzyknął Wojtek.

– Ciężki daje z kierunku Stawów, maszynowy z lewego skrzydła. Chyba z Głupiejewa. Musimy się ruszać – krzyknął przerażony porucznik.

– Sebastian, cofnij się tym rowem i obejrzyj przedpole. Zaraz będzie ciemno. My idziemy tędy, do szosy – rozkazał major.

Brodzili w wodzie, aż do końca kanału. Świszczące kule, niczym stado komarów czujących spocone ciała, ciągle przelatowały im nad głowami. Doszli do miejsca, gdzie kanał skręcał dziewięćdziesiąt stopni w prawo. Po chwili, przeciskając się pomiędzy żołnierzami, na czoło wrócił Sebastian.

– Mów.

– Nie wygląda to dobrze. Jesteśmy już dobry kawałek od punktu wypadowego, a Stawy są kilkaset metrów od nas. Biją się przy szosie. Panie majorze, tą drogą skąd przyszliśmy...

– Kryć się! – krzyknął Wojciech.

Wszyscy złapali się za hełmy. Kolejny pocisk eksplodował naprawdę blisko.

– Droga powrotna na Balków odcięta. Tam będziemy musieli przedzierać się przez Niemców, a w tej liczbie nie damy rady. Możliwy odwrót przez rzekę.

Wojciech nie był dobrej myśli.

Ostrzał ciężkiego ckm-u ucichł. Chorąży wyjrzał z rowu. Nagle w mroku zamajaczyło kilka postaci. Schował się od razu i dał znać o nadchodzącym zagrożeniu. Wraz z Makarewiczem i kilkoma żołnierzami po cichu ruszyli w miejsce, w którym podchodzący mogli przeskakiwać rów. Wskoczyli tuż przed nimi. Bóg chciał, że nikt nie pociągnął za spust.

– Nie strzelać! Swoi – usłyszeli, po czym trzech żołnierzy znalazło się przy nich.

– Kurwa mać, to wasz szczęśliwy dzień, jeszcze ułamek sekundy, a byśmy was

usmażyli – krzyknął Wojtek.

Major podszedł do wystraszonych piechurów.

– Panie majorze, melduje się... – Żołnierz, dysząc, ledwo wypowiadał słowa.

– Niech się pan uspokoi, kapralu – powiedział major.

– Jesteśmy z Piątej Kompanii. Wszędzie Niemcy. Cały batalion poszedł w rozsypkę. Szósta Kompania porucznika Karpiuka weszła do Stawów i ponoć popędzili dalej za Niemcami. Strzelec Kalata widział. No mów! – Kapral wskazał na śmiertelnie przerażonego dwudziestolatka.

– Panie majorze, melduję posłusznie... – Chłopak prawie płakał.

– Wszystko będzie dobrze. Weź się w garść – rzucił Feliks.

– Nasz dowódca, porucznik Zgrzebnicki, padł trafiony w głowę. Niemcy cały czas nacierali. Widzieliśmy jak za kompanią wjechały niemieckie samochody. Ponoć oni zaatakowali baterię artylerii, ale nie wiem, gdzie ona jest – mówił nieskładnie chłopak.

– Kto zaatakował? Kurwa, mówże, człowieku! – wrzasnął Wojtek.

– Porucznik Karpiuk ze swoją kompanią. Tak mi powiedział jeden strzelec, ale on już... – Łzy mu stanęły w oczach.

– Kryć się! – krzyknął porucznik.

Pocisk trafił w rów w miejscu, gdzie jeszcze kilkanaście sekund temu przechodzili. Było tak blisko, że ostatnich piechurów fala uderzeniowa ścięła z nóg.

– A jak w Stawach, są Niemcy? – zapytał chorąży.

– Nie wiem, panie chorąży. Pewnie już tak, ale wcześniej ich przepędziliśmy. Tam było ich stanowisko dowodzenia.

– Dobrze, nie ma czasu – powiedział major. – Poruczniku, weźmie pan ludzi i pójdziecie do rzeki. Wróćcie na Ktery. Tam pewnie przegrupowują się resztki batalionu. Weźmie pan rozkazy z dowództwa pułku i uzupełni amunicję. Proszę przekazać, że ja z ludźmi poszliśmy zbadać, co się stało z Szóstą Kompanią i rozpoznać teren.

– Ale, panie majorze...

– Bez dyskusji – warknął. – Spotkamy się w miejscu naszej przeprawy.

– Zrozumiałem.

– Andrzej, Radek, Drwał, idziemy poszukać naszych. – Spojrzał na Sebastiana, który jeszcze nie zareagował na rozkaz.

– Ruszajcie, nie ma czasu. Z Bogiem, poruczniku.

– Ku chwale ojczyzny! – Sebastian przyłożył palce do rogatywki. Wraz z nowymi kolegami cały pluton zaczął się wycofywać w kierunku rzeki.

– Chciałeś, to masz – zwrócił się Feliks do Wojtka. – Idziemy na Niemców.

Makarewicz się nie odzywał, a Młodzian miał taką samą minę jak wtedy, gdy usłyszał rozkaz wyjazdu do Breslau. Kucający w wodzie Wojtek uśmiechnął się szelmowsko. Feliks znał to zachowanie. Chorąży zawsze drwił ze wszystkiego, gdy się bał. Nigdy nie okazywał strachu, ale major wiedział, co dzieje się w głowie przyjaciela.

Artyleria wyraźnie przeniosła ogień w inne miejsce. Niemcy wiedzieli, że Polacy zostali zepchnięci do odwrotu.

– Młody, wyleż na czujkę. W zasięgu wzroku – powiedział chorąży.

Andrzej ruszył bez słowa i kilka metrów dalej wyczołgał się lekko z rowu. Było już ciemno.

– Powiedz, że trzymasz zapalniczki w kieszeni kurtki – mruknął Feliks.

Chorąży wyciągnął pudełko i zagrzechotał w geście triumfu. Było suche.

– Makar, dawaj kurtkę! – rzucił olbrzym.

– Jasna sprawa, a kto by inny – odciął się Radek.

Major wyciągnął mapę i narzucił ubranie na głowę. Pod spód wsunął się Wojciech i zapalił zapalniczkę.

– Pewnie jesteśmy gdzieś tutaj. – Feliks pokazał palcem punkt na mapie. – Tędy podejmiemy pod Stawy, po lewej mamy Janowice. Zobaczymy, co się dzieje we wsi. Później...

Pod kurtką nastąpiła grobowa ciemność. Wojtek zapalił kolejną zapalniczkę.

– Później tędy, ta bateria, którą atakowali, musi być gdzieś tutaj między koloniami. W tym lesie pewnie siedzą szkopy.

Kolejna zapalniczka wypaliła się niemal do końca. Major zrzucił kurtkę i podał ją Radkowi.

– Skąd wiesz, że szkopy tam siedzą? – zapytał Wojtek.

– Nie wiem, Niemcem nie jestem, ale ja bym tam się koncentrował. To drobne wzniesienie porośnięte osłaniającym laskiem. Poza tym to dobry punkt obserwacyjny na dolinę rzeki.

– Ja to jakbym był Niemcem, tobym sobie palnął w łeb – skwitował Wojciech i znowu się uśmiechnął. – Zmieniamy wygląd?

– Tak – rzucił Feliks.

Schował mapę za pazuchę. Zanim zdjął rogatywkę, odpiął orła i schował go do kieszeni, po czym zaczerpnął czarnego mułu z dna rowu i bez żadnego wahania roztarł go sobie na głowie, twarzy i mundurze. Po chwili cała trójka była czarna od stóp do głów. Cztery czarne postaci zmierzały w kierunku wsi Stawy. Poruszali się zgięci wpół, a do

zabudowań się doczołgali.

Trzymali się każdego skrawka zielonego terenu. Wszystkich krzaków, rowków i wszystkich innych rzeczy, na których tle mogli pozostać niewidzialni. Ściany budynków krytych strzechami były białe niczym płótno. Gdyby szli wzdłuż zabudowań, byłiby widoczni jak tarcze na strzelnicy. W małej osadzie szalały pożary. Feliks zauważył stodołę, która widniała blisko małego placzyku, między trzema domostwami.

Kilkadziesiąt metrów dalej stał słup ognia. Paliła się inna stodoła, pełna słomy i siana. Jęzory ognia strzelały na kilkanaście metrów w górę. Makar wyjrzał delikatnie za róg i od razu się schował. Obrócił się, pokazał palcami na swoje oczy, a później wystawił cztery palce. Cofnęli się i zmienili pozycję. Z gęstych zarośli było widać cały niewielki placzyk.

We wsi znajdował się mały oddział Wehrmachtu. Wcześniej w osadzie musiała się toczyć regularna walka. W domostwach było mnóstwo dziur po kulach, a wszędzie dookoła leżało sporo sprzętu. Światło padające od palącej się stodoły i jednej ze strzech oświetlało Niemców, ich ciała rzucały długie cienie. Przed Niemcami klęczało kilku piechurów. Kolejny leżał martwy. Sytuacja była kiepska. Niemców naliczyli aż jedenastu. Jeden z nich stał z tyłu klęczących Polaków, mierząc im prosto w plecy. Dowódca grupy coś wykrzykiwał i machał pistoletem, przenosząc lufę z jednego człowieka na drugiego.

Polacy wiedzieli, że mają mało czasu. Niemcy rozglądali się nerwowo. Z bliskiej odległości dochodziły huki wystrzałów i terkot karabinów maszynowych. Major popatrzył przez lornetkę, po czym oddał ją Wojtkowi. Pośród jeńców klęczał kapral Walery Chyży. Gdy Wojtek go zauważył, major odezwał się cicho:

– Ja zdejmę tego za chłopakami. Jak zdążę, to i oficera – powiedział. – Musicie wyjść zza stodoły, wtedy wejdziecie na ich plecy. Działacie na gorąco. Musimy zaryzykować.

Skinęli głowami.

– Nie ma na co czekać, jak dojdziecie na róg, wtedy zaczynam.

Przerzucił wzrok z muszki na ścianę deskowanego budynku. Widział wielkie ciało Wojtka. Stał pierwszy w kolejce, tuż na samym rogu. Przeniósł wzrok z powrotem na cel. Przycisnął mocniej kolbę do ramienia. Nie było mowy o pudle. Nacisnął spust. Kiedy kula trafiła w ucho szeregowego, dowódca Niemców w randze sierżanta pociągnął za spust swojego pistoletu.

Klęczący obok Chyżego żołnierz padł. Zza rogu stodoły rozległy się strzały. Każdy z idących polskich żołnierzy strzelał spokojnie, celując przy tym bezbłędnie. Prowadził Wojciech. Pierwsze kule położyły trupem trzech Niemców. Zza jego prawego ramienia strzelał Makar. On trafił oficera w plecy. Strzelanie wyglądało niemal na egzekucję. Niemcy nie wiedzieli, co się dzieje, a klęczący żołnierze, krzycząc ze strachu, rzucali się na ziemię, starając się uniknąć kul.

Andrzej od razu trafił dwóch. Wszyscy szli w sam środek nieprzyjaciela, ciągle

strzelając. Jeden z Niemców uskoczył za motor i pochylił głowę. Wojtek cały czas strzelał w jego kierunku, a gdy skończyła mu się amunicja, puścił browninga, który zawisł na pasku, i w ułamku sekundy z odpiętej kabury wyciągnął visa. Gdy Niemiec skulił się za motorem pod gradem dziewięciomilimetrowych kul, Andrzej trafił następnego. Przeciwnik zawył i usiadł na ziemi.

– Ładuję! – krzyknął Makar i wyrzucił pusty magazynek. W ułamku sekundy wpiął następny, zarepetował broń i ponownie otworzył ogień. Gdy Wojciech robił ostatni krok w kierunku motoru, usłyszał, jak Niemiec krzyczy z przerażenia. Próbował poderwać się do ucieczki. Kula przebiła mu kark. Jeden z polskich żołnierzy, leżący na ziemi, ciągle zakrywał uszy, tak jakby hałas palby miał rozsadzić mu czaszkę.

Strzały nagle ucichły, pozostał tylko terkot karabinów maszynowych i huk dział w oddali. Wszędzie unosił się zapach prochu strzelniczego. Feliks wyszedł z ukrycia. Z dziur w ciałach Niemców unosił się dym.

– Drwal i Andrzej, rozejrzyjcie się po okolicy. Kogoś mogły zaciekawić strzały w kolonii.

Wojtek skinął głową. Schował pistolet i przeładował karabin.

– Dawaj, Młody. Idziemy.

– Boże, to pan, majorze? – powiedział Chyży, odrywając dłonie od martwego kolegi. Feliks tylko na ułamek sekundy pokazał białe zęby.

– Co z tym biedakiem?

Kapral przecząco pokręcił głową.

– Dostał prosto w serce, ale przynajmniej nie cierpiał – dodał.

Reszta żołnierzy obserwowała wybawców w milczeniu.

– Nie ma czasu, panowie. Szukam Szóstej Kompanii. Wiecie coś o ich położeniu? Ponoć atakowali jakąś baterię.

– To prawda, panie majorze – powiedział niepewnie młody strzelec. – Tam, za wsią, jakiś kilometr stąd, stoją dwie siedemdziesiątki piątki. To je zaatakował porucznik. Samochody pancerne z Piątku odcięły nam drogę. Prawie wszystkich rozbili, a kilku na pewno wzięli do niewoli. Myśmy się wyślizgnęli, ale ci pogonili za nami motorami aż tutaj. Gdyby nie pan, toby nas...

– Dobrze, dobrze. Panie Walery, proszę zabrać nieśmiertelnik kolegi. Bierzcie broń, amunicję i ruszamy.

– Panie majorze – odezwał się Makarewicz, grzebiąc przy niemieckim oficerze. – Niech pan to zobaczy.

Makar podszedł i podał Feliksowi kilka niewielkich kartek. Feliks przyjrzał się bliżej.

– Panie Radku, to prawdziwy skarb. Nasi Niemcy to rozpoznanie artylerii, a to, co pan znalazł, to kod sygnałowy.

Makarewicz skinął głową.

– Zostawić im w zamian jakąś niespodziankę, majorze? – Spojrzał na dowódcę z lisim błyskiem w oku.

– Dobrze, ale się pospiesz. Musimy się zbierać, Niemcy mogą tu być lada moment.

– Tak jest! – odparł Makarewicz, po czym wrócił do oficera i przyklękawszy, wyciągnął dwa granaty.

Jeden z nich miał zamiar odbezpieczyć i włożyć pod oficera Wehrmachtu. Zaczął układać ciało tak, aby sprawiało wrażenie, jakby trup chronił coś cennego. Gdy do wsi wrócą Niemcy, zapewne ktoś poruszy ciało, wtedy łyżka granatu odskoczy i uruchomi czasowy zapalnik.

Wojtek z Andrzejem wrócili z obchodu po małej kolonii.

– Parchy biją cały czas. Nie widać piechoty ani żadnych zmotoryzowanych. Rzeczywiście mają kilka dział pod lasem, ale ciężka daje z Piątku tak, że mysz się nie przecisnie. Musimy wiać, jak skończą, to ruszą na odbijanie utraconych pozycji. Sami nie utrzymamy tych chałup nawet przez dziesięć minut – powiedział Wojtek.

– Dobrze, zbieramy się i wycofujemy na Ktery. Radek, zbieraj się – rzucił Feliks.

– Co on robi? – zapytał Wojtek, wskazując na Makarewicza.

– Odrabia pracę domową z twoich wykładów.

– I bardzo dobrze! – Chorąży uśmiechnął się szczerze.

– Ruszamy! – powiedział major.

Gdy skuleni mijali znajome rowy, z małej wioski dotarł do nich nieduży huk dwóch eksplozji. Było ciemno, nikt nie widział, jak Makarewicz i Tuchowiak uśmiechali się pod nosem.

Rozdział 12

Większość polskich jednostek przełamała linie nieprzyjacielskiej obrony. Już po pierwszych dniach bitwy niemieckie dowództwo wiedziało, że wcześniejszy plan zniszczenia głównych sił polskich spalił na panewce. Polskie uderzenie zaatakowało siły maszerujące z północy i rozbiło je prawie w drobny mak. Zaciętość, z jaką walczyli Polacy, zaskoczyła wszystkich. Po pierwszych kilku dniach zdobyli Łęczycę, Piątek, Uniejów i Walewice, docierając do linii Ozorków–Stryków.

Był dwunasty września, kiedy Egner dotarł do dowództwa 1 Dywizji Pancерnej SS nazywanej LSSAH, co było skrótem od Leibstandarte SS Adolf Hitler. Skierował się do sztabu pułku. Był niemal pewien, że lada dzień wjedzie z nimi do Warszawy.

– Prowadź do dowódcy – powiedział do Untersturmführera, palącego papierosa przed niewielkim murowanym budynkiem.

– *Heil Hitler!* – krzyknął zaskoczony młody oficer, widząc nieznanego mu Sturmbannführera. – Rozkaz, *Herr Sturmbannführer*. Proszę za mną. – Wyrzucił papierosa i ruszył do środka.

W wiejskim budynku było gwarno i roiło się od esesmanów. Egner wyczuwał, że dzieje się coś ważnego. Wszedł za prowadzącym do skromnego pomieszczenia, gdzie kilku starszych oficerów pochylało się nad mapą, omawiając coś z zapalem. SS-Obergruppenführer Josef Dietrich, pięćdziesięciolatek o wyraźnych rysach, drapieżnie osadzonych oczach, szerokim nosie i charakterystycznym przedziałku na brodzie, nie wyglądał na zadowolonego. Nad czymś się zastanawiał.

– *Heil Hitler!* – wypalił Egner. Wszyscy podnieśli głowy. – *Herr Obergruppenführer*, SS-Sturmbannführer Dietmar Egner melduje się na rozkaz – rzucił i wypiął pierś.

– Panowie, tak wygląda świeża krew prosto z Berlina. – Dowódca dywizji uśmiechnął się lekko, a wraz z nim niemal wszyscy oficerowie.

– Z Breslau, *Herr Obergruppenführer* – poprawił Egner, a dowódca popatrzył na niego, jakby nie wierząc w beczelność przybysza. Jego oczy przybrały jeszcze bardziej drapieżny wyraz.

– Spocznij, bo wam żyłka pęknie, Egner.

– Przyszyła mnie...

– Tak, wiem. Proszę tu podejść. Zjawia się pan w samą porę. Właśnie się pakujemy i ruszamy w kierunku Sochaczewa.

– Jak to? Myślałem, że zajmujemy Warszawę.

Tym razem pierwsi zaśmiali się oficerowie, zgromadzeni wokół swojego dowódcy.

– Tak oczywiście, zaraz dam panu kilku ludzi, a jutro Warszawa nasza. Czy wy w ogóle wiecie, co się tutaj dzieje? Trzydziesta Dywizja von Briesena rozbita w pył. Rundstedt podjął decyzję, że ósma cofnie się tutaj, a część dziesiątej tu! – Popukał palcem w punkty na dużej mapie. – My także uderzymy na Sochaczew. Widzi pan to, *Herr Sturmbannführer*, to są dwie polskie armie. I niech mi pan wierzy, może to polska hołota, ale bić się potrafią. Zawczasu trzeba ich wyciąć. Wszystkich!

Egner zerknął na kolorową mapę, gdzie było wiele niezrozumiałych znaków taktycznych, a od czerwonych prostokątów aż mieszało się w głowie. Zastanowił się przez chwilę. To niemożliwe, żeby Polacy dysponowali jeszcze taką siłą. Ale dlaczego sztab pułku miałby się mylić? To przecież elitarna jednostka. Powoli docierało do niego, że wojna to nie atak na radiostację. Po raz kolejny udawał, że się nie boi. Jeszcze kilka minut temu był pewien, że na tyłach dywizji wjedzie zwycięsko do stolicy Polski i niczym aryjski pan zacznie robić, co do niego należy. Gdy tylko znajdzie kwatery dla siebie i Radkego, wykona kolejne zadanie w obozie koncentracyjnym Stutthof, wtedy powróci do stolicy Polski i zajmie się życiem towarzyskim z Agathe u swego boku.

Cieszył się, że się zgodziła na przyjazd do Polski. Będą najbardziej rozpoznawaną i podziwianą parą w Warszawie. Lecz takiego obrotu spraw nie mógł przewidzieć. Należy się dostosować i nie dać zabić, pomyślał.

– Rozumiem, *Herr Obergruppenführer*. Jakie rozkazy?

– Na początek obejmie pan spory pluton motocyklistów, pokaże pan, z jakiej jest gliny, a później zobaczymy. Rozumiem, że nie ma pan nic przeciwko temu.

Po raz kolejny ciało Egnera przeszedł dreszcz. On i pluton motocyklistów na prawdziwej wojnie z nieprzyjacielem, który ponoć jest bezwzględny. Nikt nie wiedział, że nie ma wiedzy taktycznej ani nigdy nie dowodził ludźmi w polu. Czuł, że nogi robią mu się jak z waty.

– Nie, *Herr Obergruppenführer*, ale nie chciałbym wchodzić jakiemuś oficerowi w paradę. Żołnierze mogą nie mieć do mnie należytego zaufania.

W tym momencie cierpliwość dowódcy została wyczerpana.

– To Leibstandarte SS Adolf Hitler, a nie jakaś banda z Wehrmachtu! – wrzasnął. – Poza tym tego oficera już nie ma. Przypomni pan, panie Reich, co się stało z Hauptsturmführerem Fisherem.

Po bliznach na twarzy i postawie zapytanego oficera było widać, że próbował już wojennego rzemiosła. Uśmiechnął się delikatnie do swojego dowódcy.

– Na przedmieściach Warszawy pocisk artyleryjski oberwał mu głowę, *Herr Obergruppenführer* – powiedział pewnie *Hauptsturmführer Reich*.

– No to sprawa wyjaśniona, Egnier. Przejmie pan dowodzenie od *Untersturmführera* Dresdnera, który obecnie zastępuje biednego Fishera. Rozkazy będą za godzinę.

– Tak jest, *Herr Obergruppenführer*.

– Mam nadzieję, że umie pan prowadzić motocykl – Dowódca uśmiechnął się. Egnier skinął głową.

– To wszystko. Odmaszerować!

– *Heil Hitler!* – Strzelił obcasami i odszedł.

Był przerażony i czuł się upokorzony. Myślał, że wyjedzie do obozu, tam się obłowi na Żydach, zdobywając reputację groźnego oficera, a później dorobi w Warszawie, gdzie ponoć społeczeństwo żydowskie było bardzo majątne. Okazało się, że rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Jeszcze wam wszystkim pokażę, powtarzał sobie w duchu. Czuł, jak wzrasta w nim gniew.

Rozdział 13

Dwie polskie armie tłoczyły się w widłach Bzury na obszarze o szerokości sześćdziesięciu kilometrów i długości czterdziestu kilometrów. Generał Kutrzeba dobrze znał wagę utrzymania linii tej niedużej rzeki. Od tego zależało bezpieczne doprowadzenie obu armii do stolicy. Strategicznymi punktami były Łowicz i Sochaczew, to tutaj mieli po raz kolejny przełamać obronę niemiecką i ostatecznie pokazać wyższość hartu ducha i determinację w walce z wrogiem.

Nie spali porządnie od pięciu dni. Nocne marsze i ciągła walka wysysała z nich wszystkie siły. Do tego stałe naloty, które doprowadzały ludzi na skraj szaleństwa. Nigdzie nie było bezpiecznego miejsca. Luftwaffe zrzucała bomby na rzadkie sosnowe lasy, które dawały tylko poczucie schronienia. 55 Pułk Piechoty, na którego listę byli wpisani, stracił od dziewiątego września pięćdziesiąt procent swojego stanu. Z trzeciego batalionu uzupełniono część jego braków.

Ludzie majora Zygartowicza byli już dobrze znani w dwóch pułkach. Ich wyczyny odbicia kolegów, zdobycia kodów sygnałowych artylerii i strącony sztukas stały się przedmiotem postojowych opowieści. Do tego jeszcze brali udział w słynnym wypadzie na Wschowę.

Tym razem Feliks bez większych przeszkód załatwił przeniesienie Chyżego do swojego oddziału, co się wszystkim spodobało. Zawsze dobrze jest mieć sanitariusza przy sobie, mówili. Poległych było wielu, ale dokładnej liczby rannych nikt nie znał. Zygartowicz stracił już czterech ludzi, a strzelec Białkiewicz był ciężko ranny w brzuch, bez najmniejszych szans, żeby powrócił do walki przez najbliższe kilka miesięcy. Odniesione kilka dni temu zwycięstwa, wraz ze zdobyciem Piątku, tylko nieznacznie podniosły morale, ponieważ były opłacone dużymi stratami.

Skrajnie wyczerpany i głodny 55 Pułk stacjonował kilkanaście kilometrów przed lasem Emilianów. Podczas krótkiego odpoczynku głód doskwierał jeszcze bardziej.

– Jak zaraz czegoś nie zeżrę, to nie wiem. Psiajucha, chyba pas zacznę żuć – wściekał się Tuchowiak, siedząc oparty o drzewo.

– Gdzie jest major? – zapytał Radek.

– W sztabie. Pewnie zaraz będą nowe rozkazy – wtrącił Sebastian i wrócił do czyszczenia broni. – Makar, skręć no fajka – dodał, nie podnosząc wzroku znad zamka.

– Ot, się nam porucznik ćmić nauczył. Niczym stary parowóz – powiedział Wojtek.

– Rzeczywiście, skaranie boskie z panem, że też akurat w kuchnię musieli trafić. Parszywe gady z Luftwaffe. Jak mam słuchać tego zrzędzenia, to zaraz sam jakiegoś zająca strzelę – odciął się porucznik.

– Panie poruczniku, wiewa fryców pan już odpalił? – zapytał Andrzej, trzymając źdźbło trawy w ustach.

Sebastian nawet nie zareagował, zachowywał się tak, jakby w ogóle nie usłyszał pytania, choć dobrze znał odpowiedź. Wczoraj zabił młodego sierżanta, który był jego szesnastym zastrzelonym podczas tej wojny Niemcem.

– Młody, a co ty taki ciekawski, co? – rzucił spokojnym tonem Radek i poślinił bibułkę. – Panie poruczniku.

Sebastian podniósł głowę; wtedy w jego kierunku poleciał zrolowany papieros. Kiwnął głową w geście podziękowania i włożył go za ucho. Najwidoczniej głód u Makarewicza powodował, że stawał się bardziej rozmowny. Radek uśmiechnął się pod nosem, przypalił swojego papierosa i zagadywał dalej.

– Młody, a ty jaką dziolęcę już kiedyś wyobracałeś czy jeszcze nie?

– Tej, jakby krasula gacie nosiła, to Młodzian by w życiu kuciapy na oczy nie widział – powiedział Wojtek.

Wszyscy równo wybuchnęli gromkim śmiechem. Andrzej na początku poczerwieniał ze wstydu, ale po chwili wróciła mu śmiałość.

– Panie chorąży, tokom nie widzioł, że chajtnyć się musza, kaj wróca do chałupy. Moja Anieli w ciąży. Mam nadziejo, że nie taki rumpel z mego malca będzie kej chorąży.

Na twarzach żołnierzy zagościło zaskoczenie, gdy usłyszeli, że Młodzian będzie ojcem, a później znowu wybuchnęli śmiechem.

– A niech mnie Wehrmacht goni, „rumpel”! – Chorąży klasnął w dłonie, ciągle się śmiejąc. – Jak tak godosz, to zapominam, żem głodny jak wilk. Powiedz co jeszcze ciekawego.

– Kaj chorąży tak te sznelcugi lubuje, to mom co w zanadrzu.

– Dawaj – rzucił Tuchowiak.

Wszyscy wpatrywali się w starszego strzelca Horyńskiego. Andrzej uśmiechnął się niepewnie.

Jest na banhofie ciynszko maszyna

Rubo jak kachlok – niy limuzyna

Stoji i dycho, parsko i zipie

A hajer jeszcze wongiel w nią sypie.

Potym wagony podopinali

I całym szwongym kajś pojechali.

W piyrszym siedziały se dwa Hanysy,

Jeden kudłaty, a drugi łysy,

Prawie do siebie niy godali,

Bo się do kupy jeszcze niy znali.

Chwila ciszy, Andrzej, jakby zawstydzony, zaczął szukać zrozumienia w oczach towarzyszy. Wtedy ryknęli ze śmiechu tak głośno, jak mogli.

– A co tu tak wesoło? – zapytał major.

Wszyscy zaskoczeni obrócili się w kierunku, skąd dotarł głos. Andrzej chciał się poderwać, ale major powstrzymał go gestem.

– Panie majorze, melduję posłusznie, że starszy strzelec Horyński będzie ojcem, a co więcej, będziemy się bawić na śląskim weselu – powiedział ciągle uśmiechnięty Radek.

– Moje gratulacje, Andrzej, dlaczego tak późno się dowiadujemy?

Andrzej znowu się zawstydził.

– Dziękuję, tuż przed wojną dostałem list od narzeczonej.

– Wybaczcie, ale dzisiaj nie uczymy tej radosnej wiadomości.

– Wesele – powiedział Tuchowiak tonem marzyciela. – Z pięć schabowych bym wrąbał, miche klusek śląskich, z litr gorzały obalił, wyobracał jaką pannę, a później spał trzy dni – dodał.

– Boże, ten znowu swoje – mruknął pod nosem Sebastian. – Jakie rozkazy, panie majorze? – zapytał głośnie.

– Najpewniej jutro rano pułki osiągną podstawy wyjściowe do natarcia. Oficjalnych rozkazów jeszcze nie ma. Pułkownik Wicierzyński czeka na wiadomości od generała Knolla. My ruszamy nie dalej niż na cztery godziny przed świtem. Tymczasem wyślijcie kilku chłopaków do kwatermistrzostwa pułku, załatwiłem prowiant. Zanim ruszymy, trzeba się najeść.

– No w końcu, cholera, żołądek mi już do kręgosłupa przyrósł. Będę udawał, że ten gulasz to zrazik z kluskami śląskimi. – Chorąży poderwał się i ruszył po kilku strzelców.

Major się tylko uśmiechnął. Tuchowiak był pewien, że czeka ich kolejna wielka bitwa, a następny posiłek może być dopiero za kilka dni. Może też już nie być go wcale, a z głodnym żołądkiem umierać nie mam zamiaru, powiedział pod nosem do siebie olbrzym i znikł pośród drzew.

Sztab połączonych armii wiedział, że jutro ma dojść do wielkiej bitwy przygotowywanej przez obie strony. W dowództwie panował bojowy i optymistyczny nastrój. Było tak dlatego, że generał Kutrzeba i Bortnowski czuli, że dzięki zgromadzonym siłom przebiją się do Warszawy i odrzucą natarcie nieprzyjaciela, ale nie wiedzieli, że mają przed sobą prawie całe dwie niemieckie armie. VIII Armia generała Blaskowitza i większość X, której wycofywanie się spod Warszawy zajęło prawie cztery dni, zmierzały w ich kierunku. Brak zwiadu lotniczego i komunikacji z Naczelnym Dowództwem spowodował, że sztab armii Pomorze-Poznań był przekonany, że niemiecka X Armia jest związana walką z armią Prusy, ale ta już nie istniała.

Opracowano rozkazy natarcia i rozesłano je do dowódców. Grupa operacyjna generała Knolla-Kownackiego otrzymała wytyczne. Ten wysłał gońca do sztabu z wiadomością, że wyruszą o świcie.

Była godzina czwarta nad ranem. Zmierzali do lasu Emilianów. Było ciemno i chłodno. Część żołnierzy nosiła płaszcze. Za lasem mieli zająć pozycje i stamtąd zaatakować. Przemieszczanie się całej 14 Dywizji okazało się dla wszystkich istną udręką. Drogi były zatarasowane taborami wojskowymi tak, że jazda odbywała się jedynie slalomem. Dodatkowo kluczenie między przejściami przez rowy i małe rzeczki, na których nie pozostało wiele mostów, ponieważ większość z nich została zniszczona przez armię Pomorze już siódmego września, było męczarnią.

Wszystko to wydłużało czas przemarszu. Feliks, wraz ze swoim plutonem rozpoznawczym, siedł na czele prawego skrzydła pułku. Poruszali się w skupieniu i prawie bez słów. Każdy z doświadczonych żołnierzy czuł, że coś wisi w powietrzu. Wszyscy stali się niespokojni i rozglądali się na boki, szukając nieprzyjaciela. Gdzieś daleko na horyzoncie leniwie wschodził nowy dzień. Czerń nocy łamała się z brzaskiem. Zapewne dźwięki nocnych zwierząt cichły, a poranne ptaki zwiastowały nadejście kolejnego dnia. Lecz tu ich nie było słychać.

Gdzieś daleko ciężki huk dział dochodził do ich uszu niczym odległa wiosenna burza. Każdy z nowicjuszy już nauczył się rozpoznawać ten dźwięk. Ten hałas, terkot karabinów, warkot samolotów i ogłuszająca moc eksplozji wymieszana z dźwiękiem własnego oddechu, były jedynymi odgłosami, które słyszeli od pierwszego września. Dziś był trzynasty, a 55 i 57 Pułk Piechoty z oddziałem rozpoznawczym dochodziły do lasu Emilianów.

Nie wiadomo dlaczego Wojtek przystanął. Szósty zmysł, może opatrność Boża, tego nikt nie wiedział. Gdy przykucnął, z lasu rozległ się terkot karabinów maszynowych. Kilka gniazd MG-34 ożyło z wściekłością, błyskając ogniem.

– Padnij! – wrzasnął. – Ckm na wprost!

Nie wszyscy zdążyli przywrzeć do gruntu. Dwóch strzelców przeszytych kulami upadło z wyrazem zdziwienia na twarzach.

– Ognia! – krzyczał Feliks.

Wtedy, jakby na jego polecenie, na całej linii rozszalała się palba. Okopani Niemcy szyli pole bezlitośnie.

– Sebastian, bierzcie lkm. Cofnij się i zbierzcie ogień na siebie. Musimy się podnieść. Już!

– Tak jest! Za mną! Ruszamy! Wstawać, jasna cholera! – krzyczał porucznik na kilku strzelców.

Nie tylko na ich odcinku, ale na całej linii odezwała się artyleria niemiecka. Dwie niemieckie i dwie polskie armie grzmiały tak, że rozsadało uszy. Widzieli, jak z lasu, co jakiś czas, pojawiają się błyski. Na drodze, po której poruszała się kolumna 55 Pułku, zrobił się harmider. Rżące konie tratowały ludzi. Część wozów się rozpiezchła. Mimo początkowego chaosu bataliony ustawiły szyki. Bitwa rozgorzała na dobre.

– Drwal! Drwal! – krzyczał Feliks, patrząc na przyjaciela, który pruł ze swojego browninga w kierunku pierwszej linii drzew.

Kule niemieckich karabinów maszynowych ciągle świstały im nad głowami. Środkiem drogi powoli przesuwiał się 2 Batalion z ich pułku. Zygartowicz widział, jak taczanki pędzą na lewą flankę, a żołnierze, trzymając się, podskakują jak na trampolinie. Gdzieś w oddali rozległ się kolejny huk dział. To 57 Pułk ruszał do natarcia, a oni jeszcze nawet nie osiągnęli lasu. Tuchowiak usłyszał wołanie. Podniósł się i zgarbiony pędem ruszył do majora.

– Nie damy tędy rady, las jest za mocno obsadzony. Na północ jest osada. – Major wskazał dłonią kierunek. – Tam powinna być już okopana część naszych. Do nich podejziemy.

– Rozkaz! – odpowiedział w pełnym skupieniu Wojtek.

– Makar, wołaj Sebastiana i ruszamy – rzucił dowódca.

Skuleni, pełni nadziei, że kule ich nie dosięgną, ruszyli pędem wzdłuż linii nieprzyjaciela. Niemiecki ogień nie ustawał.

Już prawie świtało. Aby dostać się do zabudowań, musieli przejść mały parów, który wychodził w cienki przesmyk między rzadko zalesionym terenem. Feliks, jak tylko mógł, przystawał i patrzył przez lornetkę na skraj lasu, obserwując rozbłyski pojawiające się przy hamulcach wylotowych luf dział i ciężkich karabinów maszynowych nieprzyjaciela.

– Nie stać w kupie i łby nisko, ile mam powtarzać, do jasnej cholery! – wrzasnął Wojciech.

Wtedy na niebie pojawiła się biała raca i gdy oświetliła przedpole, gdzieś z daleka padł strzał.

– Wszyscy padnij! – wrzasnął major. Wtedy do ich uszu dobiegł jęk. – Meldować,

jasna cholera!

Do Feliksa doczołgał się Radek.

– Panie majorze, Kruszwica dostał.

– Gdzie Chyży?

– Przy nim.

– Jak to wygląda?

Plutonowy pokręcił głową.

– Ciężko z nim – dodał.

– Jasna cholera.

Spośród huku dział usłyszeli kolejny pojedynczy strzał. Kula świsnęła gdzieś obok. Strzelec wyborowy wyraźnie się na nich zasadził.

– Widziałeś, skąd bije?

– Nie, panie majorze – odparł Radek.

Nagle ze skraju lasu, gdzieś, gdzie zapewne był niemiecki strzelec, huknęło mocno. Cienkie gałęzie rzadkiego zagajnika poszarpał pocisk artyleryjski i eksplodował kilkanaście metrów za nimi. Doczołgał się do nich Wojtek, który ze swoją drużyną szedł w środku.

– Musimy zmykać, zaraz się wstrzelą.

– Dawaj racę, skierujemy ich ogień na lewo, tam chyba nikogo nie ma, i dajemy chodu. Gdzie Rychter?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

Kolejny pocisk wybuchł tuż za nimi. Na ich głowy posypał się żółty piasek, którego nienawdziła cała armia Poznań. Buty i koła wozów taborowych grzęzły w tym podłożu od początku całej walki obronnej. Tymczasem Sebastian doczołgał się do niewielkiego leja pozostawionego przez pocisk artyleryjski. Odgrzebał trochę piasku i powoli wysunął swoją broń. Był kilkadziesiąt metrów dalej od oddziału. Wiedział, że gdzieś tam czai się niemiecki strzelec, który wstrzymywał ich marsz. Pewnie teraz cierpliwie czeka, aż wybiegną na otwarty teren. Niemiec wiedział, że muszą to zrobić, jeżeli chcą się dostać do wsi. Wtedy spróbuje zastrzelić oficera.

Rychter przyłożył kolbę do ramienia i spojrział w lunetę. Gdy poleciała następna raca, zauważył czarną postać. Strzelec siedział na drzewie. Rychter oddał strzał. Czarna bezwładna masa spadła kilka metrów w dół.

– Gdzie pan był, poruczniku?

– Usunąłem tego strzelca wyborowego, możemy ruszać, panie majorze!

Popatrzyli na niego, zaskoczeni.

– Dobrze, Drwal odejść kilkadziesiąt metrów i dawaj zieloną tam, w pole. – Wskazał ręką. – Zanim strzelisz, odczekaj ze dwie minuty, bo się połapią, że to szopa.

Wojciech skinął głową i zniknął.

– Co z Kruszwicą? – rzucił major w kierunku szeregu leżących żołnierzy.

– Panie majorze, kapral Chyży mówi, że Kruszwica nie żyje.

Feliks nie powstrzymywał smutku. To był dobry żołnierz i zdecydowanie za młody na śmierć, pomyślał.

– Poruczniku, weźmie pan nieśmiertelnik i ruszamy.

– Rozkaz, panie majorze. – Sebastian od razu poszedł w kierunku zabitego.

Kiedy ruszyli w stronę osady, w niebo poszybowała zielona rakietka. Feliks był niemal pewien, że Wehrmacht postąpi zgodnie z kodem. Niemcy zareagowali tak, jak ich szkolono, i tak, jak mówiły podręczniki kodów sygnałowych. Czerwona – skrócić celownik, zielona – przenieść ogień.

Złapali łoża dział i zaczęli obracać je w kierunku miejsca, w którym upadła zielona rakietka. Byli pewni, że to ich oddział zwiadowczy, który namierzył nieprzyjaciela. Pluton, nie wahając się ani chwili dłużej, puścił się biegiem przez płaską część terenu. Było już prawie widno i postaci odznaczały się na tle ciemnoszarego nieba. Oporządzenie dźwięczało w rytm pospiesznie stawianych kroków, a z ust wydobywała się para. Gdzieś dalej padł strzał, wtedy każdy z nich zwolnił, jakby czekając na eksplozję. Udało się, armaty piechoty dały salwę w innym kierunku.

Radość nie trwała długo. Kolejna raca rozświetlająca przeszła nieboskłon. Niemcy, jak tylko zobaczyli niewyraźne postaci, od razu obrócili lufy ckm-ów. Powietrze znowu mieszały rozgrzane kule. Do miejsca, skąd zamierzali odbić na małą osadę, dobiegli bez strat. W lesie Emilianów napotkali 4 Kompanię 57 Pułku, która okopana walczyła z nieprzyjacielem. Wymiana ognia trwała, a złowrogi świst kul, krzyki rozkazów, jęk rannych, dźwięk pękających gałęzi i podrywanego runa leśnego grały pierwsze skrzypce akompaniament tworzyły huk wielkokalibrowych dział gdzieś w oddali.

Ludzie ginęli po obu stronach, a natura pozostawała niezmienna w swoim pięknie. Pierwsze promienie, niczym oszczepy, przecinały las, oświetlając trwającą tam masakrę.

– Janek, dawaj tę amunicję. Jasna cholera, ruszaj się – krzyczał Makarewicz, strzelając z lkm-u. Lufa była rozgrzana do czerwoności.

Wraz z 4 Kompanią odpychali Niemców, którzy się powoli wycofywali. Morale wzrosło, pojawiła się nadzieja, że uda im się utworzyć punkt oporu w tym miejscu. Po chwili piechota niemiecka jakby zrezygnowała z walki. Uczucie było bardzo dziwne, wręcz nierealne. Przecież nie mieli przewagi, a Wehrmacht stawiał mocny opór. Dlaczego

zrezygnowali i nagle zniknęli? Nie trwało długo, a na pięknym różnokolorowym niebie pojawiły się drobne niedociągnięcia. To niemożliwe, żeby ta duża liczba czarnych punktów była wybrykiem natury. Abstrakcyjna myśl przyszła i uleciała, a łagodne, równomierne brzmienie rozchodziło się po okolicy. Z każdą sekundą nabierało intensywności, dźwięk jakby pompował rzędy punkcików, które stawały się coraz większe. Feliks przyłożył lornetkę do oczu i zaklął w duchu. Nie mógł ich zliczyć. Gdyby żołnierze usłyszeli jego pierwszą myśl, od razu rzuciliby się do ucieczki. Tylko dokąd? To było podstawowym pytaniem.

– Samoloty, panie majorze! Samoloty z prawej – krzyknął Andrzej.

– Jezu Chryste, ile ich – wyjęczał z paniką w głosie jakiś nieznajomy strzelec.

Były już blisko. Cztery eskadry po dziesięć maszyn. Dywizjon heinkli leciał w rejon 55 i 57 Pułku Piechoty.

– Kryć się, kryć się! – krzyczał przerażony Zygartowicz.

Gdzieś dalej ckm-y i działa przeciwlotnicze otworzyły ogień. Na pole z jasnych brzuchów maszyn zaczęły wysypywać się bomby. Przeraźliwy huk, bas, który rujnuje ludzką duszę, wyśmiewa myśli, że wszystko będzie dobrze, i zmusza do rezygnacji. Najgorszy na świecie dźwięk, który wzbudza pierwotne lęki, panikę i obłęd, dotarł do lasu. Jedna eskadra He 111 położyła się na skrzydła i już po chwili obrała kurs prosto na nich.

– Maryjo, Matko Boża, Królowo moja. Klękam przed Tobą. Otwieram przyłbicę, o Pani, i oddaję się w Twe ręce – szeptał cicho Tuchowiak, grzebiąc przy tym w ziemi swoimi wielkimi rękoma. Chciał zrobić choćby prowizoryczne schronienie.

– Jezu, idą prosto na nas – krzyczał jakiś porucznik z 4 Kompanii.

Feliks przywarł do ziemi blisko wielkiego sosnowego pnia. Wsunął rękę pod mundur i złapał za drobny pierścionek wiszący na rzemieniu. Zamknął oczy i przywołał słoneczny czerwcowy wieczór. Widział jej radosną twarz. Ten rząd równych zębów w cudownym uśmiechu. Wirowali w Adrii. Świat wokół obrotowego parkietu się rozmazał, Rozalia trzymała się mocno, dzielnie walcząc z siłą odśrodkową. Nagle błysnął flesz. Nastąpiła cisza, ocknął się w jej sypialni. Leżał i gładził dłonią jej idealnie wygięte plecy. Gdyby na tych pośladkach odwzorować krzywik kreślarski, jakieś biuro projektowe na rodzinie tej linii stworzyłoby piękne auto, pomyślał, przyglądając się idealnemu kształtowi. Kocham cię, kocham cię. Szeptał jej do ucha, przyciskając ją swoim ciężarem. Był szczęśliwy, nie bał się, że jej to mówi. Wiedział, że to prawda. Najprawdziwsza, z samego środka. Kocham cię i nigdy nie przestanę...

– Panie majorze, panie majorze. – Ktoś go szarpał.

Podniósł głowę. Piszcząco mu w uszach. Patrzył na Rychtera, który odgarniał z niego ziemię. Sebastian nerwowo poruszał ustami, tak jakby stracił głos. Po kilku sekundach

zaczęły docierać pierwsze dźwięki.

– Nic panu nie jest? Panie majorze, czołgi idą.

Chciał się przesłyszeć, chciał, żeby to był zły sen. Miał ochotę wrócić do rzeczywistości, w której był jeszcze chwilę temu. Może to sen, może Rychter nie istnieje, oszukiwał się.

– Panie majorze, jakie rozkazy?

Wrócił.

– Jakie straty? Gdzie te czołgi?

– Tam. – Pokazał na wielką równinę pomiędzy płonącymi wsiami, widoczną z miejsca, w którym się kryli.

Do skraju starego sosnowego lasu mieli zaledwie kilkanaście kroków. Feliks otarł z kurzu twarz i okulary lornetki. Podniósł się i przyłożył je do oczu.

– Boże – szepnął pod nosem. Patrzył, jak część 57 Pułku idzie do natarcia, a w oddali co najmniej pułk czołgów nieprzyjaciela chce się wbić klinem między dwa ich pułki. – Jest luka, wejdą w nas jak w masło – mówił do siebie.

Po chwili dobiegł Wojtek i spojrzał na pole.

– O kurwa. – Tym razem nie było sarkazmu, tylko realne przerażenie.

– Jakie straty, gdzie chłopcy? – zapytał major.

– Nie wiem – powiedział ze słyszalnym zrezygnowaniem – rozpiezchli się po lesie, z naszego jest tylko ośmiu i kilkunastu z czwartej. Cały pięćdziesiąty piąty poszedł w rozsypkę – odpowiedział Wojtek.

Feliks szybko rozejrzał się po twarzach. Ucieszył się, że zobaczył Andrzeja i Radka. Chyży biegł z miejsca na miejsce i starał się pomóc, jak umiał. Wszędzie roznosił się jęk rannych, gdzieś leżały rozczłonkowane ciała i połamane drzewa, a z lejów jeszcze unosił się dym.

– Nie ma czasu, zbieramy się. Brać broń, zbierać amunicję i dajemy chodu do kolonii. Tam gdzieś jest bateria z naszego pułku. Wiecierzyński kazał się im okopywać w tym rejonie. Tu czeka nas śmierć. – Podniósł jeszcze raz lornetkę. Część z maszyn zmieniała kierunek i szła na wieś. – Ruszamy natychmiast.

Chyży cały czas klęczał przy jednym z rannych.

– Walery, dawaj – krzyknął Wojtek.

– Nie zostawię go tak. Idźcie, zaraz do was dojdę – popatrzył na Wojtka wymownie.

Ten skinął głową.

– No, kolego, spokojnie. Wszystko będzie dobrze, wyłizesz się. – Zakładał opatrunek na paskudną ranę. Wiedział, że w ciele żołnierza jest duży i gorący odłamek.

Z krwawiącej rany smużył się dym. – Zaraz tu będzie kompania sanitarna i utworzą punkt opatrunkowy. Nic się nie martw, wytrzymaj.

– Panie kapralu, niech pan już idzie – powiedział ranny żołnierz i drżącą ręką wyciągnął coś z kieszeni na piersi. Chyży zerknął na złożoną kopertę brudną od krwi.

– Nie mogę tego wziąć. Powiedziałem, że będzie dobrze.

– Nie umie pan kłamać, panie kapralu. Bardzo pana proszę. To do mojej rodziny, niech pan im powie, że umarłem w bitwie.

Chyży bez słowa złapał zakrwawiony list, podniósł się, zsalutował najlepiej, jak potrafił, i ruszył. Wiedział, że żołnierz nie przeżyje kolejnych dwudziestu minut. Gdy biegł za oddziałem, po policzkach spływały mu łzy. Z nerwów, niemocy i smutku. Nie mógł im pomóc. Liczył, że ci ranni, którzy przeżyją, trafią na niemieckich sanitariuszy, którzy na pewno im pomogą. Nie mógł wiedzieć, że się myli. W tym lesie Wehrmacht miał dobić większość konających Polaków.

Bitwa cały czas szalała, a Niemcy w szykach bojowych ciągle realizowali swoją taktykę. Część niemieckich czołgów skręciła do maleńkiej wsi i, żeby ominąć las, kierowała się na przesmyk. Gdy zdyszani wpadli pomiędzy zabudowania, zauważyli baterię, złożoną z dobrze zamaskowanych dwóch „prawosławnych” i haubicy kalibru sto pięćdziesiąt pięć. Tuż za jednym z zabudowań był przeciwpancerne bofors kalibru trzydzieści siedem milimetrów. Biegli w kierunku baterii, w której zauważono nieprzyjaciela.

Obsługa uwijała się jak w ukropie. Działa otworzyły ogień do trzydziestu niemieckich czołgów. W odpowiedzi z luf panzerkampfwagenów I i II posypała się fala pocisków. Niemcy strzelali ze wszystkiego, co mieli. Cały pluton padł na kolana, a obsada baterii pochowała się w szczelinach przeciwodłamkowych. Ziemia w małej osadzie jakby ożyła. Tuman kurzu, huk wybuchów i jęki rannych po raz kolejny ogłuszały. Feliks podniósł się i zerknął w kierunku jednej działobitni. Polskie działa ucichły. Wiedział, że jak nie otworzą ognia, to we wsi za kilka chwil będą Niemcy.

– Wstawać i na pozycje. Andrzej z Sebastianem, bierzcie urugwajki. Wojciech... – Nie skończył, a jeden z pocisków eksplodował tuż przy boforsie. Prawie cała załoga zniknęła, działonowy zawisnął martwy na łożu.

– Matko Boska! – krzyknął któryś ze strzelców.

– Wojciech, bierz Radka i do boforsa. Wy dwóch z chorążym. Wy ze mną do dział – wskazał ręką na przestraszonych strzelców.

– Rozkaz!

Gdy ruszali, z hałasu przebijał się głos dowódcy baterii. Kapitan Stanisław Mąka stał nad szczelinami przeciwodłamkowymi i zdierał gardło.

– Obsługa, do dział! Wyłazić! Do dział! Do dział! – Miał może metr siedemdziesiąt,

ale werwa, z jaką krzyczał, spokojnie poderwałaby całą armię napoleońską. Może przed bitwą na jego twarzy był strach. Teraz jego mina mówiła do śmierci: „Mam cię w dupie! Ty głupia kostucho!”.

Uszczuplona załoga zaczęła wychodzić. Gdy zauważył biegnącego do niego majora i resztę plutonu, stanął wyprostowany, wyprężył pierś i pośród świszczących kul zasalutował dziarsko.

– Kapitan Mąka na rozkaz, panie majorze.

– Pan dowodzi, kapitanie. Do pracy! – Feliks nawet nie odpowiedział na salut, tylko doskoczył do otwartego jaszczaka i odsunął zabitego.

– Bateria, na moją komendę! Celownik czterysta.

Celowniczy zerknął w kątomierz.

– Granat pancerny! – zawołał kapitan.

Feliks wyciągnął pocisk z ostrą szarą końcówką i żółtym paskiem. Trzasnął zamek, ktoś założył skobel i odciągnął kurek.

– Gotowe!

– Pal! – krzyknął Mąka.

Działo huknęło.

Feliks początkowo pomyślał, że spudłowali, ale po chwili czołg stanął w płomieniach. Obok następna „prawosławna” porucznika Kasztelana wypaliła. Czołgi parły cały czas do przodu. Mąka przyłożył lornetkę do oczu, po czym złapał telefon.

– Marta! Marta!

Feliks podniósł głowę i nie bardzo wiedział, co się dzieje. Podporucznik Drewnowski dowodzący haubicą podniósł słuchawkę i odebrał połączenie.

– Pięćdziesiąt metrów krócej – krzyczał Mąka.

Młody oficer, stojący nie więcej niż trzydzieści metrów dalej, skinął głową. Feliks stał z dużym nabojem w ręce i przez chwilę się zastanawiał. Ten kapitan nazywał swoje działa imionami żeńskimi. Boże, dziękuję Tobie, że w trudnych sytuacjach stawiasz na mojej ścieżce takich ludzi, pomyślał.

– Granat pancerny! Ładuj, jasna cholera. Byle dziś! – Kapitan nie przejmował się, że krzyczy do majora. Jak zawsze wykonywał swoją pracę wzorowo.

Feliks wrzucił pocisk, a celowniczy zatrzaskał zamek. Ładowniczy leżał martwy. Całe stanowisko grzmiało. Niemcy dalej napierali, byli już jakieś trzysta metrów od wsi. Widać było, że chcą rozluźnić szyk. Polska bateria strzelała nad wyraz celnie. Niemieckie czołgi rozjeżdżały się, zwiększając dystans między sobą. Kilka maszyn płonęło.

– Brać amunicję, szybko. Kurwa, bo wam nakopię do dupy – wrzeszczał Tuchowiak. –

Makar, dawaj, musimy je przestawić. Stąd nic nie ustrzelimy. – Złożył ogon łoża i poderwał je do góry, jakby nic nie ważyło.

Makarewicz dopadł do niego i zaczęli pchać działo, zwiększając kąt do nacierających.

– Ładuj!

Makarewicz wrzucił pocisk i zatrzasnął zamek. Tuchowiak zerknął przez kątomierz. Zmniejszył lekko kąt.

– No, mała. Pokaż, co potrafisz. Pal!

Jeden z czołgów z małą wieżą i białym równoramiennym krzyżem stanął. Z regularnej i niewielkiej dziury tuż pod wieżą, z której jeszcze chwilę temu pruły dwa ckm-y, buchnął płomień.

– Mam cię, parchu jeden – powiedział chorąży.

– Hurra! – krzyknęli młodzi strzelcy stojący z amunicją.

Wtedy o osłonę działła zagruchotały kule. Poszły rykoszety. Strzelec Kalwiński złapał się za gardło i upuścił granat przeciwpancerny. Kolejny panzerkampfwagen ostrzeliwał ich intensywnie z dwóch karabinów maszynowych ulokowanych w małej wieżyczce. Wojtek i Radek skryli się za działem, reszta przyłgnęła do ziemi i złapała za hełmy. Ktoś krzyczał. Makarewicz próbował sięgnąć po granat upuszczony przez Kalwińskiego. Leżał za daleko.

Sebastian widział, jak czołg ostrzeliwuje działo chorążego. Przymierzył w podstawę wieży, dokładnie tam, gdzie siedział strzelec. To nic, że w tym miejscu pancierz jest gruby. Wiedział, że nie zatrzyma amunicji przeciwpancernej, która spokojnie przebijała te czołgi z czterystu metrów, niczym nóż puszkę z sardynkami. Czołg jechał szybko, był może dwieście metrów od niego. Pociągnął za spust. Karabiny maszynowe ucichły.

– Skrócić o pięćdziesiąt! – krzyczał Mąka.

– Więcej nie mogę, są za blisko, panie kapitanie – krzyknął celowniczy.

– Pal! W imię Boże!

„Prawosławna” grzmotnęła. Tego widoku miał nie zapomnieć nikt z walczących w baterii. Jeden z czołgów, który był zaledwie sto metrów od stanowiska, stracił wieżę. Część konstrukcji odpadła jak kawałek drewnianej zabawki i zatańczyła niczym moneta na stole.

– Kapitanie, skręcają, skręcają! – krzyczał jeden z amunicyjnych.

– Boże, uciekają – powiedział z metra cięty dowódca baterii.

Część załogi usiadła, tak jakby zupełnie straciła siły. Ktoś płakał, zanosząc się jak małe dziecko. Nikt nie zwracał na to uwagi. Wszędzie unosił się zapach prochu i śmierci. „Prawosławne” i haubica dymiły zmęczone niczym górniczy po szychcie. Chyży i jego kolega z 2 Kompanii pracowali intensywnie; gdy kończyli z jednym rannym, gdzieś dalej

ktoś podnosił rękę w błagalnym geście.

– Panie kapitanie, jak tylko znajdę chwilę, przedstawię całą pańską baterię do odznaczenia – powiedział Zygartowicz.

– Ku chwale ojczyzny, panie majorze!

Feliks wyciągnął rękę. Kapitan uściskał mu dłoń.

– Niech pan każe wyłączyć konie i zmieniajcie pozycję, oni tu lada moment wrócą.

Mąka skinął głową. Major zerknął na pole. Wodził lornetką między palącymi się maszynami niemieckimi. Dalej na wschód, pośród porzucanego sprzętu, leżało martwe całe skrzydło 57 Pułku. To dopiero początek, pomyślał. Bitwa trwała, a niemiecka machina dalej zbierała żniwo. Nie mogli się przedzierać w kierunku 57 Pułku, drogę odcinali nacierający Niemcy, którzy mogli ich zmieść w jednej chwili. 55 Pułk zapewne już nie istniał, a nawet gdyby, to nie wiedzieli, gdzie się znajduje. Decyzja była jedna. Kierunek Sochaczew.

Rozdział 14

Nic dziwnego, że nazwa miasta Sochaczew pochodziła od prasłowiańskiego wyrazu, który oznaczał nic innego jak tylko prowizoryczny pług. Ziemie w widłach trzech rzek: Bzury, Pisi i Utraty, były żyzne i uprawiane od wieków. Region już od wczesnych czasów istnienia Polski wręcz zapraszał do osiedlania się, a ziemie Równiny Łowicko-Błońskiej, otoczone z dwóch stron lasami puszczy: Kampinoskiej i Bolimowskiej, od zawsze karmiły pokolenia Polaków.

Jeszcze do niedawna było to spokojne miasteczko, gdzie mówiono, że każdy piekarz, sklepikarz, lekarz, księgowy czy dobra krawcowa byli znani z imienia i nazwiska i żyli w dobrobycie. Mieszkańcy stawiali czoła problemom dnia codziennego. Nie było tam pośpiechu, zgiełku ani natarczywych ulicznych sprzedawców. Dodatkowo miasteczko było świetną alternatywą dla tych, którzy nie tylko cenili sobie spokój, ale od czasu do czasu potrzebowali wielkiego świata i smaku europejskiej metropolii.

Stolica była tuż za miedzą, oferowała wachlarz możliwości i wszystkie dobra, których nie można było nabyć w małym mieście. Gdyby jeszcze miesiąc temu zapytać któregokolwiek z mieszkańców miasta, czy wierzy w to, że Sochaczew stanie się strategicznym punktem największej polskiej bitwy, popukałby się w głowę. Teraz obie walczące strony dobrze wiedziały, że miasto stanowi dogodne miejsce przeprawy przez rzekę Bzurę, która podobnie jak Sochaczew kilka dni temu nabrała zupełnie innego znaczenia.

Ta rzeka stała się jedną z wielu ikon walki obronnej Rzeczypospolitej. Osamotnionej w swojej agonii, umierającej z obietnicą pomocy przyjaciela, który miał nigdy nie nadejść. Wiadomość o tym, że dwunastego oddziały GOR-u zostały wyparte z miasta, zaniepokoiła dowódcę armii Pomorza. Generał Bortnowski natychmiast wysłał rozkaz, aby 26 Dywizja Piechoty ruszyła w ten rejon i odbiła teren. Zajęła przedmoście, umocniła przyczółki i za wszelką cenę utrzymała przeprawę. Lecz nikt z obrońców miasta nie spodziewał się, że cena będzie tak wysoka. Miasto było wściekle bombardowane.

Już od godzin porannych, gdy pluton zmagał się z ciężkimi walkami w lasach Emilianów, na miasto sypał się grad pocisków artyleryjskich, przeplatany ciągłymi nalotami. Niemcy, chwilę po tym, gdy rozpoznali teren, zaczęli nacierać. Wkrótce do walki miała zostać rzucona cała 19 Dywizja Piechoty wsparta artylerią i 4 Dywizją Pancerną wzmocnioną pułkiem SS-Leibstandarte Adolf Hitler.

Oddział rozpoznawczy Feliksa ruszył w kierunku Sochaczewa. Sytuacja była bardziej niż beznadziejna. Należało to powiedzieć, ponieważ Niemcy siali pogrom w polskich szeregach, a sztab połączonych armii nie spodziewał się tak licznego wroga.

Była ich garstka, kilkunastu ludzi, spośród których większa część pochodziła z rozbitej w lasach Emilianów kompanii 55 Pułku. Wycieńczeni i spragnieni do granic możliwości, maszerowali w kierunku miasta. Języki przyklejały się im do podniebień. Butów nie zdejmowali od tygodnia, nie mówiąc już o jakimkolwiek myciu się czy goleniu. Mniej odporni na wysiłek i brak snu słaniali się na nogach, błagając o postój i choćby godzinę drzemki.

Między kilku rezerwistów, którzy teraz zasilali pluton rozpoznawczy, wkradła się rezygnacja. Rozważali poddanie się. Ten głupi pomysł szybko wybił im z głów nikt inny jak tylko chorąży Tuchowiak. Feliks wiedział, że postój to luksus, na który sobie teraz nie mogą pozwolić. Z trzech kierunków otaczali ich Niemcy, którzy wbili się pomiędzy ich dwa pułki.

Major Zygartowicz trzymał się jedyne otwartego szlaku. Był pewien, że w mieście będą znaczne polskie siły. Dobrze znał wagę utrzymania Sochaczewa. Podczas krótkiego marszu szczęście im dopisało. Ostrzelano ich tylko raz. Przez chwilę kryli się, przepuszczając bokiem jakąś kompanię nieprzyjaciela. Obyło się bez strat. Gdy dotarli do celu, oczom ich ukazał się iście apokaliptyczny krajobraz. Wszystko wyglądało tak, jakby w niewielkie miasteczko uderzył deszcz meteorytów. Płonące budynki, leje po pociskach artyleryjskich i gruz. Gdyby pozbierać tylko całe cegły leżące na ulicach, można by spokojnie postawić kilka dwupiętrowych kamienic.

Fasady pięknych niegdyś budynków całkowicie legły w gruzach. Płonący kościół, który majaczył nad miastem, wpędzał w jeszcze większą melancholię. Prowizoryczne cmentarze robione były gdzie popadnie. Widać, że zmarłych grzebano w pośpiechu, a najpewniej nocą.

Gdy dotarli do ratusza miejskiego, artyleria znajdująca się gdzieś w oddali zintensyfikowała ostrzał. Feliks i Wojciech weszli do pomieszczenia, w którym znajdowało się stanowisko dowodzenia. W rogu pomieszczenia drzemał major. Po tym, jak oddychał, było słychać, jak bardzo był zmęczony. Młody porucznik podszedł do niego i szturchnął go delikatnie.

– Panie majorze, oficerowie do pana.

– Na stanowiska! – krzyknął, po czym otworzył oczy i wrócił do rzeczywistości. – Ile spałem, poruczniku?

– Pół godziny, majorze.

Wstał i zerknął na przybyszów.

– Feliks Zygartowicz. – Przybyły wyciągnął rękę. – Jesteśmy z Pięćdziesiątego Piątego

Pułku pułkownika Wiecierzyńskiego.

– Feliks. – Wyrwany ze snu oficer uściskał mu rękę.

– Tak, Feliks – powtórzył Zygartowicz.

Dowódca obrony Sochaczewa uśmiechnął się nieznacznie.

– Feliks Kozubowski, kłaniam się.

Wszyscy obecni w pokoju zaśmiali się gromkim śmiechem.

– No, gdyby nie te okoliczności, to należałoby to uczcić – wtrącił nikt inny jak Tuchowiak.

– W rzeczy samej, panie chorąży – odpowiedział zaspany oficer. – Z Pięćdziesiątego Piątego, mówicie panowie. Z siedemnastej?

– Nie, panie kolego, z czternastej.

– Przychodzicie z jakimiś rozkazami? Jak wygląda natarcie?

– Niestety, sami nie bardzo wiemy. Niemcy w naszym kierunku rzucili całą dywizję pancerną. Pułkiem czołgów wbili się pomiędzy nas klinem. Wcześniej co najmniej dywizjon Luftwaffe zrzucił na nas wszystko, co miał w brzuchach.

– Matko jedyna.

– Rozbili nas w drobny mak, widziałem, jak całe skrzydło pięćdziesiątego siódmego przestaje istnieć.

– Co zamierzacie?

– Najpewniej złapać kontakt ze sztabem Czternastej Dywizji.

– Wasza wola. U nas każdy żołnierz się przyda. Od rana się bijemy non stop. Niemcy ściągają pod miasto co najmniej dywizję piechoty, pancernych i Bóg wie, co jeszcze. Teraz jest chwila ciszy, ale to pewne, że coś szykują.

– Rozumiem, kolego, ale zanim podejmiemy jakiegokolwiek decyzje, potrzebuję przede wszystkim wody i jedzenia. Idziemy ostatkiem sił. Moi chłopcy ślaniają się na nogach. Potem chętnie pomożemy.

– Dostaniecie, i to do syta. Saperzy odbili pociągi z żywnością. Niemcy zrzucili na nie bomby, ale ugasiliśmy pożar. Papierosy też się znajdują. Później, jak wasza wola iść do sztabu, nie będę was zatrzymywał.

Feliks skinął głową.

– Dziękuję, panie majorze.

Kozubowski podniósł głowę i spojrzał na swojego młodszego oficera.

– Poruczniku Centner, proszę się zająć ludźmi majora. Nakarmić i wydać przydział papierosów.

Ten strzelił obcasami.

– Rozkaz, panie majorze!

– Drwał, przypilnuj wszystkiego – rzucił Zygartowicz do przyjaciela.

– Idę – powiedział olbrzym, a Kozubowski obrzucił go spojrzeniem z zamiarem przywołania go do porządku.

– Spokojnie, majorze, znamy się od szczeniaka – uspokoił go Feliks. – W takim razie gdzie możemy się przydać? – dodał.

Kozubowski podszedł do mapy miasta.

– Niech pan zerknie. – Feliks podszedł do mapy. – Tu w rejonie dworca jest Piąta Kompania. Kazałem też tu przenieść pluton z Szóstej Kompanii, dwa ciężkie karabiny i boforsa.

– Mądrze, tu i tu najpewniej nasilą swój atak.

– W rzeczy samej. Tu jest Czwarta Kompania z dwoma ciężkimi karabinami. To dobre miejsce do obrony, ale na głównej arterii na przedmoście, tu i tu jest gorąco.

– A co z przeprawą?

– Z czego się dało, postawiliśmy kładkę, o tutaj. – Puknął palcem w punkt na rzece.

– Most?

– Zniszczony, saperzy podreperowali, ale sam bym się nie odważył przechodzić. Południe jest obsadzone przez Szóstą Kompanię, przy cmentarzu. Mamy też punkty obserwacyjne na strychu młyna, w wieży kościelnej i w tej kamienicy.

Zygartowicz zerknął na miejsce 4 Kompanii i kamienicę obok.

– Rozumiem. Gdzie artyleria?

– Tutaj, pod Kuznocinem i Rozlazłowem są trzy baterie.

– Jak łączność?

– Sprawna.

– W takim razie zjemy, napijemy się, uzupełnimy amunicję i od razu ruszamy wspomóc Czwartą Kompanię.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

– Panie majorze?

Zygartowicz obrócił się.

– A co to za pukawki nosicie na plecach?

– To długa historia. Opowiem innym razem i proszę do mnie mówić po imieniu. – Uśmiechnął się.

- Z Bogiem! Uważaj na dywersantów, pełno tego łajna – odparł Kozubowski.
- Będę, do zobaczenia.

Zjedli w pośpiechu, łąpczywie łykając posiłek, żeby upchać w brzuchu jak najwięcej. Byli zaskoczeni, że tak szybko przyszło uczucie sytości. Gdy człowiek jest głodny, żołądek kurczy się i bardzo łatwo zaspokoić głód, zwłaszcza zaś jeśli najpierw ugasi się pragnienie, wypełniając brzuch wodą. Za rada majora, nie zastanawiając się ani chwili, żołnierze zapełnili sobie kieszenie prowiantem.

Zanim dotarli na miejsce, w którym stała 4 Kompania, rozpoczął się wściekły ostrzał artylerii nieprzyjaciela. Unikali głównych ulic i kluczyli między domami. Kamienice płonęły, sypało się szkło z rozbitych okien. Za rzeką terkotały karabiny. Fala ataku była tak silna, że zanim dotarli na pozycję, stracili dwóch ludzi. Niebezpieczne odłamki i gruz latały wszędzie. Minęli prowizoryczną kładkę i przybyli na miejsce obrony, gdzie stacjonowała 4 Kompania 2 Batalionu majora Kozubowskiego.

– Porucznik rezerwy Marian Himmel melduje się na rozkaz! – powiedział młody oficer, gdy zobaczył Zygartowicza.

– Major Zygartowicz – powiedział Feliks w huku ciężkich karabinów i podał mu rękę.
– Jaka sytuacja, poruczniku?

– Artyleria bije wściekle, ale natarcie odparliśmy. To, co teraz idzie, to niedobitki.

Feliks podniósł lornetkę i wynurzył się z okopu. Zbadał otoczenie. W polu stało kilka płonących czołgów i leżało pełno trupów. Część Niemców cofała się, inni prowadzili ostrzał z okopanych pozycji. Niepokoiło go, że to dopiero początek, a Niemcy atakowali już z taką siłą. Niedobitków było zdecydowanie więcej, niż przypuszczał. Poza tym do jego uszu, między wybuchami pocisków armat, docierał znajomy dźwięk.

– Słyszysz pan to, poruczniku?

Młody dowódca popatrzył na niego i skinął głową.

– Duża kolumna czołgów, i to blisko – rzucił major.

Wtedy do okopu wpadł Wojciech.

– Feliks, słyszysz to? Huk, jakby tu jechała cała dywizja!

– Słyszę!

Porucznik przez chwilę przyglądał się zaistniałej sytuacji. Czuł, że nie powinien upominać chorążego. Zerknął na majora.

– Jakie rozkazy, panie majorze? – powiedział półgłosem.

– Niech pan się spisuje tak dalej. Świetnie sobie pan radzi. My się rozlokujemy po domostwie. Gdzie stanowisko obserwacyjne?

– Tam, w tamtej kamienicy. – Wskazał palcem.

– Dobrze, będę telefonował z obserwacyjnego. Niech pan wytnie każdego szkopa, który pojawi się przed panem, w pień!

Młody porucznik uśmiechnął się dziarsko i przyłożył palce do daszka.

– Rozkaz, panie majorze!

Zanim weszli na ostatnie piętro kamienicy obserwacyjnej, Feliks wypuścił pod dowództwem Makara mały oddział na szpicę. Wojtek z lkm-em ulokował się na dogodnej pozycji w innym z domów, wiedząc, że jak piechota wejdzie w ich rejon, to na pewno będą szli pod ich lufami.

Sebastian rozglądał się za miejscem, z którego mógłby celnie prowadzić ogień. Jeden z sierżantów oddziału rozpoznawczego siedział przy telefonie i podawał dowódcy namiary. Feliks popatrzył przez lornetkę, kolumny czołgów nie było jeszcze widać.

– Andrzej! – rzucił krótko.

– Na rozkaz, panie majorze!

– Wleź na strych i zobacz, czy dasz radę wyjść na dach. Może stamtąd coś zobaczysz.

– Tak jest! – rzucił Młodzian i ruszył biegiem na klatkę schodową.

– Panie majorze, pozwoli pan, że opuszczę stanowisko – powiedział Sebastian.

Żołnierze popatrzyli z zaciekawieniem na cichego i skupionego porucznika.

– Idź, ale uważaj na siebie. Gdybyśmy byli tu spaleni i zrobiło się za gorąco, wracaj do Kozubowskiego.

– Rozkaz!

Gdy młody oficer skinął głową, całe stanowisko obserwacyjne popatrzyło na niego z szacunkiem.

W tym samym czasie, gdy Andrzej szedł, niczym cyrkowiec po linie, po kalenicy dziewiętnastowiecznej kamienicy, Sebastian zmierzał do kryjówki. Wszedł do budynku, którego główna ściana wychodziła na wschód, skąd nacierali Niemcy. Przerzucił mauzera na plecy i zaczął się wspinać po drewnianych schodach.

Gdy był na półpiętrze, obok budynku spadł pocisk. Eksplozja była tak silna, że dom zadrżał w posadach i posypał się tynk. Przystanął, wyczekując, aż sufit klatki schodowej zawali mu się na głowę. Widział, że konstrukcja domu jest naruszona – wchodząc od podwórza, zauważył, że brakuje części dachu i kawałka kondygnacji, na którą zmierzał. Budynek dalej stał. Odetchnął z ulgą. Jeszcze dwa piętra, pomyślał.

Gdy ruszył, tuż za sobą usłyszał dźwięk. Obrócił się instynktownie. W jego oczach zabłyszczało ostrze. Jeden z dywersantów właśnie brał zamach, aby ugodzić go nożem. Ciało zareagowało jak maszyna. Zrobił dokładnie tak, jak go uczono w małym baraku,

którego tak nie cierpiał. Nożownik zawsze skupia się na swoim narzędziu, powiadał Tuchowiak. Sebastian zablokował pchnięcie przeciwnika i automatycznie uderzył go w mostek. Gdy napastnik zgiął się w pół, porucznik złapał za nadgarstek dzierżący nóż. Odgiął przegub od siebie, po czym szarpnął, wykręcając nadgarstek przeciwnika. Już z nożem w ręce poprawił kopniakiem w krocze. Mężczyzna padł na kolana i jęknął przeraźliwie. Porucznik ruszył do niego od razu i dźgnął go kilkakrotnie w szyję.

Wszystko trwało ułamki sekund. Niemiec upadł, nie wydając z siebie więcej dźwięków. Nie minęła minuta i zmarł. Na pokrytą kurzem posadzkę wypłynęła krew. Sebastian z przerażenia upuścił nóż. Nigdy nie zatopił stali w mięsie na pieczeń, a co dopiero w ludzkim ciele. Teraz stał na piętrze kamienicy, gdzie przed chwilą zamordował człowieka. Zaczął się trząść. Tłumaczył sobie, że to dywersant chciał go pozbawić życia, a on się bronił i zrobił to, co powinien.

Strzelanie do niewielkich celów w szkłe lunety było dużo łatwiejsze. Wyciągnął pistolet, odbezpieczył go i ostrożnie ruszył na górę. W mieszkaniu był spory salon, po którym walały się porozbijane meble. Scena nie pozostawiała wątpliwości. Ktoś stąd uciekał w pośpiechu. Zanim wziął stół i podsunął go pod ścianę tak, aby się na nim położyć i móc spokojnie celować, rozejrzał się dokładnie. Nie minęło kilka minut i już leżał na stole, a na rulon z filcowej kurtki położył karabin. Później wyjął nową paczkę papierosów, wyciągnął jednego i zapalił.

Tymczasem Andrzej zbiegł do pomieszczenia, gdzie był punkt obserwacyjny.

– Panie majorze, idzie cała kolumna. Pełno czołgów na drodze, są niedaleko, przed miastem.

– Jak daleko od zabudowań? Andrzej, konkretnie. Skup się.

– Nie wiem, to będzie...

– Patrz na mapę! – Podsunął mu złożony papier. – My jesteśmy tutaj. – Stuknął palcem. – Pokaż, gdzie są czołgi.

– O tu, na pewno tu, na tej drodze.

Major zerknął na podziałkę. Zastanowił się. Jeden centymetr na mapie to czterysta metrów w terenie.

– Dawaj papierosa!

Andrzej zerknął na niego ze zdziwieniem i wyciągnął nowiutką paczkę z przydziału. Major ją rozerwał i wyciągnął jednego. Przyłożył do mapy.

– Sierzancie, niech pan melduje. Kierunek Janaszówek, sześćset metrów od zabudowań, kolumna czołgów nieprzyjaciela. Niech dają tam popalić.

Kolumna czołgów poruszała się z wielkim hukiem. Smród spalin, kurz i pył

podnoszony z drogi osiadał na wszystkich. Egner jechał swoim motocyklem i nerwowo przecierał gogle. Byli kawałek za pancerniakami. Jego pluton razem z piechotą miał uderzyć na miasto. Mimo że bał się tak, jak jeszcze nigdy w życiu, był pewien, że zetrą miasto w pył. Nawet z daleka widać było, jak niewiele z niego zostało. Czarne chmury dymu i szalejące pożary rosły przed nimi z każdą chwilą i każdym pokonywanym metrem, a artyleria jeszcze nie skończyła ostrzału.

Za plecami miał podobny obraz. To płonęła stolica kraju, który właśnie stawał się ich własnością. Zanim ruszył ze swoimi motocyklistami, przypatrzył się żołnierzom. Ogarnęła go duma. Wszyscy na twarzach mieli wypisaną chęć mordowania. Stali prężnie i czekali na rozkaz. Doborowy pułk SS rzeczywiście wyglądał imponująco. Podobało mu się to i zamierzał być bezwzględny. Jak chcemy zbudować imperium większe niż Rzymianie, najpierw musimy wszystko oczyścić, pomyślał.

Chciał zabijać. Nad głową przeleciał mu klucz sztukasów, który po chwili zaczął pikować, wydając z siebie złowrogi skowyt. Motocykliści zwolnili na tyle, aby kolumna czołgów mogła wjechać w pole i ustawić szyk do natarcia. Dowódcy z włączów wieżyczek rozmawiali przez radio. Gdzie to zacięte w boju polskie wojsko? – pomyślał Egner. Straszliwi go w sztabie, a on najwidoczniej dał się nabrać jak zwykły żółtodziób. Wtedy, gdy jeszcze szli w kolumnie, spadł na nich deszcz pocisków. Ziemia niedaleko przed nim poderwała się w górę tak, jakby jakieś wielkie ciało wydostało się z jej wnętrza. Fala ciepła oplotła mu tors, instynktownie nacisnął na hamulec. Widział, jak jeden z czołgów dostał prosto w wieżę i rozpadł się jak zabawka. Drugi, kilkanaście metrów dalej, zapalił się i stanął, blokując drogę. Ze środka wyskakiwali palący się ludzie. Mimo że grzmiały armaty, słyszał, jak przeraźliwie krzyczą. Pierwszą rzeczą, która mu przyszła do głowy, była ucieczka.

Kolumna skręciła w pole i dalej formowała szyk. Większość dowódców maszyn zniknęła, zamykając za sobą włązy. Pojazdy, które jeszcze przed chwilą wydawały się nieśmiertelne, rozjechały się, tworząc kilkumetrowe odstępy. Piechota biegła za nimi. Tymczasem Egner stał nieruchomo, trząsł się ze strachu i nie mógł się ruszyć. Nie widział, jak patrzyli na niego jego ludzie. Wszyscy zdumieni, nie bardzo wiedzieli, co o tym myśleć. W końcu podjechał do niego Untersturmführer Dresden.

– *Herr Sturmbannführer*, nie możemy tu stać. Jakie rozkazy? – przekrzykiwał huk eksplozji.

– Co sugerujesz?

Dresden popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Ruszajmy przed czołgi, zwiążemy ogniem stanowiska obrony do przyjazdu czołgów. Samochody już nam uciekły, nie możemy być tam po piechocie. Takie nasze zadanie, *Herr Sturmbannführer*.

Egnerowi spłynął pot po plecach, niepewnie podniósł rękę i dał znać, żeby ruszyli

naprzód.

Kiedy mijali czołgi, dowódca jednego z nich przekazał im dość dosadnie rozkazy dowódcy. Kazał im zająć jakiś plac, zaraz po wjeździe do miasta, ale tak, żeby do zabudowań był jeszcze kawałek drogi. Jechały z nimi dwa samochody pancerne. Nie wiedzieli, że w jednej z kamienic obrońcy patrzą już na całe przedpole, widząc ich wszystkie manewry. Gdy się zbliżyli do zabudowań, odezwały się karabiny maszynowe. Czołgi otworzyły ogień.

Egner widział, jak jeden z jego motocykli wyleciał w powietrze. Kołyska oddzieliła się i poszybowała w przeciwną stronę. Mimo że w kierunku obrońców leciał grad pocisków, ci cały czas odpowiadali ogniem. Zaskakująco celnie. Piechota z 19 Dywizji leżała z głowami w ziemi. Czołgi utknęły pod ogniem artylerii. To niemożliwe, myślał. Pancerniacy zaczęli się cofać.

Wtedy w samochód obok niego uderzył jakiś pocisk. Usłyszał śmieszny dźwięk, jakby mucha uderzyła w hełm pędzącego motocyklisty. Samochód stanął. Egner nie wierzył własnym oczom. Jakim cudem? Z ckm-u jeszcze chwilę leciał grad pocisków, później strzelec wyskoczył z wozu i zaczął uciekać. Natarcie było stracone. Wtedy dał znak do odwrotu. Motocykliści zaczęli zataczać łuki. Wracając, widział cofający się czołg. Zatrzymał się obok dowódcy. Hauptsturmführer spojrział na niego.

– Cofamy się, jest rozkaz odwrotu. Musimy się przegrupować. Bez reszty Czwartej Dywizji nie damy rady. Niech pan jedzie w kierunku dowództwa pułku.

Sebastian obserwował, jak dowódca czołgu pochyła się i rozmawia z jakimś motocyklistą. Dystans był duży, na oko sześćset metrów, może ciut więcej. Podniósł lunetę nad gestykującego oficera z wieży. Chciał trafić w tors. Wciągnął powietrze, wstrzymał oddech i delikatnie ściągnął język spustowy. Huk odbił się po ścianach przestronnego salonu.

– Rozumiem! – krzyknął Egner.

We wrzawie bitwy nie słyszeli wystrzału. Sebastian mierzył za wysoko, ale ułamek sekundy przed naciśnięciem spustu oficer się wyprostował. Zapewne chciał unieść rękę i pozdrowić Sturmbannführera na motocyklu. Egner dokładnie widział, jak dowódca czołgu dostał prosto w twarz. Kula weszła przez zęby i rozerwała mu szczękę, wbijając się prosto w krąg szyjny. Esesman nie wydał z siebie żadnego dźwięku, tylko w nienaturalnej pozycji opadł na wieżyczkę. Egner krzyknął z przerażenia, automatycznie puścił sprzęgło i odkręcił manetkę gazu. Chciał być jak najdalej od tego miejsca.

Rozdział 15

Tego wieczora Niemcy spróbowali jeszcze raz, ale obrońcy miasta i tym razem odparli wściekły atak. Wysunięte stanowiska 4 Kompanii, wspomaganą przez pluton majora, przyjmowały najsilniejsze natarcie. Prowadzili wyniszczającą walkę o utrzymanie drogi do Błonia. Ofiar było mnóstwo, pożarów już nikt nie gasił. Zabrakło środków, poza tym i tak nie mieli czasu. Podobnie było z zabitymi. Ani chwili wytchnienia, ani minuty, żeby ich pochować. Martwi cywile i żołnierze leżeli na ulicach, w gruzowiskach i prowizorycznych okopach kilku broniących się kompanii. Niemcy, poniosłszy kolejną porażkę, na chwilę zaprzestali natarcia. Niedługo po tym na niebie pojawiły się dwa samoloty zwiadowcze.

– Zwiad artylerii – powiedział Wojtek do Makarewicza. – Musimy wracać na stanowiska kompanii i znaleźć dobrą norę. Niedługo się zacznie, a ta buda pewnie długo nie postoi.

Makarewicz tylko skinął głową. Ruszyli, przyklejeni do ścian.

Na miejscu, gdzie była okopana cała 4 Kompania, okazało się, że punkt dowodzenia w ratuszu jest zagrożony i major Kozubowski poprosił o pluton do pomocy. Porucznik Himmel posłał do niego kilkunastu żołnierzy. Pluton Zygartowicza przegrupował się i ledwie zajął nowe pozycje, rozpętało się kolejne piekło. Dokładnie tak samo, jak u Dantego, można było je podzielić na kilka kręgów.

Tym razem zwiad lotniczy przekazał informacje, a działa 19 Dywizji Piechoty Wehrmachtu znowu otworzyły ogień na miasto. Jedyne, co im pozostało, to siedzieć w swoich kryjówkach i liczyć na to, że i tym razem będą mieli szczęście. Wściekły ostrzał trwał kilka godzin. O wczesnych godzinach porannych dotarł do nich rozkaz o wysadzeniu mostu pontonowego i rozpoczęciu odwrotu. Niedługo po tym znowu odezwały się niemieckie karabiny i rozgorzała bitwa. Niemcy szli do kolejnego natarcia. Polskie baterie dały ogień zaporowy i tym samym zyskały cenny czas na wycofanie się kompanii, która stała na szpicy. W ich oczach miasto było stracone, choć ciężko było teraz Sochaczew nazywać miastem.

– Zebrałeś wszystkich? – zapytał Zygartowicz.

Wojciech skinął głową ze smutną miną.

– Ilu straciliśmy?

– Sześciu.

O wiele za dużo, pomyślał Feliks.

– Masz nazwiska?

Wojtek wyciągnął garść nieśmiertelników. Zanim Feliks wrzucił każdą z blaszek do swojego mapnika, przyjrzał się im. Banach, Sitarczuk, Spychała, Graczyk, Szwed i Słowik. Chwała bohaterom, oby ich śmierć nie poszła na marne, pomyślał. Zostało ich zaledwie dwunastu.

Most wyleciał w powietrze o siódmej rano, a obrońcy miasta skierowali się do folwarku w Kątach, gdzie mieścił się sztab dywizji. Mimo zrezygnowania i wycieńczenia do granic możliwości poruszali się sprawnie, prowadzeni przez głód i obietnicę krótkiego odpoczynku w spokoju.

Cała kolumna zmierzała po nowe rozkazy i przydziały; Major Kozubowski chciał zameldować o wysadzeniu mostu i wycofaniu się z Sochaczewa. Tak też się stało i dowódca obrony miasta jeszcze przed Kątami spotkał się z pułkownikiem Parafiańskim, który przyjechał na czoło kolumny samochodem. Niestety rzeczywistość w oczach pułkownika wyglądała inaczej aniżeli w oczach ludzi, którzy jeszcze kilka godzin temu tkwili w samym środku sochaczewskiego inferno.

– Jak to każe wracać im na stanowiska, przecież to pierdolone samobójstwo! Kto wydał taki rozkaz? – powiedział wyraźnie rozwścieczony Tuchowiak.

– Dowódca Dwudziestej Szóstej Dywizji – powiedział cicho Feliks.

– Niech to jasny szlag, czy ci w sztabie wiedzą, co się tam dzieje?

Z końca kolumny podbiegł Rychter.

– Panie majorze, o co chodzi? Żołnierze widzą, że czoło kolumny zawraca, i mnie wypytują.

– Major Kozubowski wraca do miasta. Dostali rozkaz odbicia Sochaczewa i utrzymania pozycji do przybycia reszty dywizji.

Sebastian jeszcze trzy tygodnie temu wybałuszyłby oczy i jęknął ze zdziwienia niczym niedoświadczony młokos. Teraz prychnął tylko pod nosem i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Jakie rozkazy?

Feliks spojrzał na Wojciecha.

– No przecież nie zostawimy ich samych. Ja pierdolę! – Chorąży obrócił się w kierunku płonącego miasta i wyciągnął papierosa.

– Sebastian, idź przekaz ludzom, że wracamy do Sochaczewa.

Obojętni na swój los, żołnierze majora Kozubowskiego wraz ze swoim dowódcą na

czele znowu dotarli do miasta. Po raz kolejny rozpoczęła się beznadziejna walka. Niemcy zaskoczeni tym, że ktokolwiek po tym, co zrzucili na miasto i co w nie wystrzelili, miał odwagę wrócić, najpierw szeroko otworzyli oczy ze zdziwienia, a później zorganizowali się sprawnie i już od pierwszych chwil walki ponownie pruli wściekłym ogniem. Gdy Polacy dotarli do rzeki i po deskach zniszczonego mostu pontonowego przedostali się na drugą stronę, ze wzgórza zamkowego posypała się fala pocisków z karabinów maszynowych.

Drugi Batalion odpowiedział ogniem. Dowódca niemieckich ckm-ów szybko zameldował polskie pozycje i nie minęła chwila, a artyleria niemiecka ponownie rozpoczęła ogień zaporowy. Brzeg rzeki wylatywał w powietrze, sypiąc na głowy deszczem odłamków. Feliks wiedział, że w tym miejscu długo nie wytrzymają i bezwzględnie należy iść do przodu, zająć dogodne pozycje, utworzyć punkty oporu i czekać na posiłki z 26 Dywizji. W tym celu wziął szybko kilku swoich żołnierzy i dołączył piechurów porucznika Himmela.

Był pewien, że w mieście niedługo pojawią się niemieckie oddziały zmotoryzowane. Żeby nawiązać jakąkolwiek walkę, należało ich zaskoczyć. Jedna z kompanii szturmowała wzgórze zamkowe. W szeregi Niemców na wzgórzu wdarł się chaos. Wojciech z ciężkim karabinem maszynowym, Makarewicz z urugwajką i kilku strzelców ruszyli do jednej z kamienic. Podobnie zrobił Sebastian z Andrzejem, który, obwieszony taśmami, biegł z lkm-em; za nim podążało kilku strzelców do pomocy. Mieli się zasadzić w jednym z budynków w okolicach cmentarza i stamtąd powstrzymać Niemców. Feliks został na stanowisku dowodzenia i kierował ogniem artyleryjskim. Okazało się, że do dyspozycji pozostała im tylko jedna bateria.

– Radek, daj no fajka, może jeszcze zdążę wypalić, zanim najdzie się tych parchów – powiedział Tuchowiak, trzymając karabin maszynowy ustawiony w kierunku wyłomu w jednej ze ścian drugiego piętra.

Młody strzelec trzymający taśmę milczał. Makarewicz klęczał pod boczną ścianą, na stole miał rozłożoną rusznicę. Podobnie jak Drwał, obserwował koniec ulicy. Wyciągnął pudełko ze skręconymi papierosami i rzucił chorążemu jednego. Wojtek włożył go sobie do ust i odpalając zapalniczkę, popatrzył na młodego strzelca. Ten trząśnięty lekko i patrzył przerażony przed siebie. Wiedział, że jest z zawodowymi żołnierzami na jednym z najbardziej wysuniętych stanowisk i że przeżycie w tym miejscu graniczy z cudem.

– Młody. Palisz?

W pierwszym momencie piechur nie zareagował, dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że ktoś do niego mówi.

– Nie, panie chorąży – odpowiedział drżącym głosem.

– Bez paniki, my z panem Radkiem mamy niezły fart, więc głowa do góry. Nic ci z nami nie grozi. Od kiedy w armii?

– Słucham?

Makarewicz zaśmiał się cicho.

– Ile słuchasz? No, weź się w garść, chłopie.

– Trzy miesiące, panie chorąży.

Wojtek powstrzymał się od komentarzy. Gdyby je uzewnętrznił, szeregowiec pewnie by zemdlał.

– Jak się nazywasz, kolego?

– Strzelec Piotr Staszkiwicz, panie chorąży – powiedział te słowa tak, jakby mu ulżyło.

Tuchowiak, podobnie jak Makarewicz, wiedział, że panika zabija. Wojtek starał się uspokoić młodego strzelca, żeby za chwilę, jak się wszystko na nowo rozpęta, nie przychodziły mu głupie pomysły do głowy.

– No, Pietrek, ja jestem chorąży Tuchowiak, a ten cichy pan to plutonowy Makarewicz. – Poklepał młodego po ramieniu. – Zaraz poszczujemy trochę szwabów, a jak się zrobi za gorąco, to się zbierzemy i znikniemy.

Sebastian przez lunetę wyraźnie widział stanowisko Andrzeja, które było na piętrze przeciwległego budynku przy ulicy Traugutta. Zerknął też na kilku innych strzelców na parterze kamienicy obok. Większość z nich leżała okopana w gruzach, kilku wysunęło lufy zza rogów wnęk. Przed nimi znajdował się cmentarz rzymsko-katolicki.

Pozycja Rychtera była wręcz idealna, wsunął się pod deski podłogi drugiego piętra rozbitej kamienicy tak, że z drogi prawie nie było go widać, a gdyby ktoś wszedł do tego, co zostało z saloniku nad nim, prawdopodobnie by go nie zauważył. Jego strzelcy otrzymali wytyczne i teraz byli pod komendą Młodziana. Nikt z nich nie wiedział, gdzie się znajduje dowódca i strzelec wyborowy zarazem.

Sebastian miał wielką ochotę zapalić, wahał się przez chwilę. Zanim podjął decyzję, przy cmentarzu pojawiły się szare hełmy. Popatrzył na małą postać, która skrada się w ich kierunku, myśląc, że jest niewidoczna. Mógłby go zastrzelić, ale wiedział, że popełniłby błąd. Wcześniej rozkazał Andrzejowi odczekać na tyle, na ile się da, aby osiągnąć pełne zaskoczenie. Jego strzał tylko zaalarmowałby Niemców, a ci poczekaliby na wsparcie. Karabin maszynowy Młodziana miał zrobić swoje i skosić jak najwięcej wrogów. Wiedział, że z drugiej strony jedna z ulic jest chroniona przez inną drużynę z 4 Kompanii, na wypadek gdyby ktoś ich chciał zająć od skrzydła. Mieli tam ckm i jeden moździerz. Piechota Wehrmachtu ostrożnie zbliżała się do ich stanowisk. Gdzieś z oddali dochodził warkot silników. Czekali.

Egner zatrzymał się przy podchorążym Wehrmachtu, który stał na rogu jednej z kamienic, i obserwował przedpole. Ten, widząc nadjeżdżające motocykle, zawiesił

lornetkę na piersi i zerknął na oddział SS. Wiedział, że to oddział Leibstandarte. Ruszył do dowódcy.

– *Heil Hitler!* – Uniósł rękę.

– Macie rozpoznany teren? – rzucił Egner bez ogródek.

W tej chwili w równoległej alei rozległ się terkot karabinu maszynowego w akompaniamencie odgłosów broni ręcznej. Wyszkolony żołnierz przykucnął automatycznie i się rozejrzał. Wiedział, że to polski punkt oporu otworzył ogień do części plutonu idącego w kierunku cmentarza. Egner zerknął w kierunku, z którego dochodziły strzały.

– *Herr Sturmbannführer*, to jeden z moich plutonów napotkał opór. Tu, przed nami, też jest jakieś gniazdo ckm. Myślę, że jakbyśmy ich przycisnęli, to można by odciąć ten ckm sprzed cmentarza od tyłu.

Egner zerknął na *Untersturmführera* Dresdnera.

– To dobry pomysł, *Herr Sturmbannführer*. Podjedźmy motocyklami do połowy ulicy, przyciśniemy ich ogniem, pluton chorążego nas wesprze, wtedy część naszych przejdzie między kamienicami na drugą ulicę i wejdzie na ten ckm, wprost na ich flankę albo tył. Uciszymy go, a wtedy pluton nacierający ze strony cmentarza popędzi do końca ulicy i będzie miał tych przed naszymi motocyklami jak na widelcu.

– Zgoda, to dobry plan – Egner odpowiedział tak, jakby to było oczywiste posunięcie, ale naprawdę nie wiedziałyby, co robić, gdyby nie Dresdner.

Dwa motory marki BMW¹³ z kołyskami, na których zamontowane były karabiny, wjechały z impetem w ulicę i otworzyły ogień. Tuż za nimi wdarły się kolejne maszyny i stanęły w połowie drogi. Dźwięk wystrzałów odbijał się echem o fasady częściowo zburzonych budynków wąskiej alejki.

Kolejni Niemcy dochodzili i zdobywali teren, metr po metrze, zbliżając się do punktu polskiego oporu. W połowie długości ulicy drużyna złożona z kilkunastu esesmanów pod dowództwem Egnera uskoczyła przed strzałami padającymi z jednej z kamienic i ruszyła przez podwórko, do alei prowadzącej bezpośrednio do cmentarza. Łuski z lkm-u wypadały na podłogę. Były ich setki. Andrzej szył karabinem całe przedpole. Na dole kilku strzelców prowadziło ogień z broni ręcznej, pilnując, żeby nikt się nie przemknął.

Sebastian przez chwilę obserwował budynek, z którego w kierunku cmentarza leciał grad kul. Andrzej spisywał się na medal. Przeniósł wzrok na Niemców. Rozejrzał się wprawnie. Dostrzegł dowódcę. Sierżant, gestykując żywo, wydawał rozkazy ostrzeliwującej się kompanii.

Należy wprowadzić jak najwięcej chaosu w szeregi zorganizowanego przeciwnika, wtedy nie utrzymają przyczółka, pomyślał i wymierzył w brzuch swojej ofiary. Wiedział, że ranny sprawia więcej kłopotów, tym bardziej dowódca. Rozległ się nieznośny huk.

Gdy Sebastianowi rozsadało uszy, Niemiec skulił się. Po chwili do sierżanta Wehrmachtu ruszył sanitariusz. Porucznik prowadził celownik za heroicznie biegnącym żołnierzem, który jakby zapomniał, że wszędzie świszczą kule. Dotarł do rannego i przyklęknął przy swoim dowódcy. Sebastian patrzył, jak się uwija, i pomyślał o Chyżym. Ten pewnie też ma nie lada kłopoty w punkcie opatrunkowym zorganizowanym przy majorze.

Tylko Niemcy strzelają do sanitariuszy, pomyślał i przeniósł wzrok na strzelca, który miał dogodną pozycję i chwilowo nienękany, walił w stanowisko ich lkm-u. Tego trafił prosto w głowę. Zaraz po tym, jak ucichł huk kolejnego wystrzału, nie wiadomo skąd na ulicę pod nim wypadli Niemcy. Dosłownie wyrosli jak spod ziemi. Na dole kamienicy Andrzeja rozległy się strzały. Usłyszał kroki, ktoś wpadł do pokoiku tuż nad nim.

– Tam są – usłyszał zdanie wypowiedziane po niemiecku.

Z góry, od Rychtera, padły strzały, chwilę potem wszyscy na dole przeciwległej kamienicy nie żyli. Sebastian po cichu, z szeroko rozpostartymi ze strachu oczyma, przeniósł lunetę na stanowisko Andrzeja. Przez okno pokoju obok Młodziana wpadł granat. Na ulicę, z wyrwy w kondygnacji, wyleciał tuman kurzu i odłamki. Karabin umilkł. Sebastian widział, jak ogłuszony Andrzej chciał wyskakiwać na ulicę. Wtedy jeden z esesmanów stojących nad nim oddał kolejny strzał i trafił Młodziana w ramię. Ten padł na podłogę pełną łusek. Po chwili do pokoju, gdzie był Andrzej, weszło dwóch ludzi i starszy oficer w randze Sturmbannführera SS. Z tej odległości Sebastian dokładnie widział jego twarz.

Nie mógł oddać strzału, bo w ten sposób popełniłby samobójstwo. Esesmani, którzy chwilę temu stali nad nim, zawróciliby i rozstrzelaliby go przez deski podłogi. Patrzył przez okular na bezwzględną twarz, która uśmiechała się szyderczo do Andrzeja. Rozmawiali niedługo, po czym Młodzian włożył rękę pod kurtkę i wyciągnął książeczkę wojskową. Oficer SS wziął papiery, spojrział na nie i wyrzucił na podłogę. Wyciągnął z kabury pistolet i strzelił Andrzejowi w klatkę piersiową. Gdy padł strzał, Sebastian wzdrygnął się, tak jakby zobaczył swoją śmierć.

Oprawca obrócił się w kierunku Rychtera. Porucznik wiedział, że nazista go nie widzi. Obraz się rozmazał, oczy podeszły łzami. Po chwili Niemcy zniknęli z budynku i ruszyli z powrotem, by wesprzeć kolegów na przeciwległej ulicy. Jeden z nich pozostał przed budynkiem, czekając na pluton, który ciągle zmierzał przez cmentarz.

Wyczołgał się z kryjówki, przerzucił karabin na plecy, wyciągnął visa i po cichu zszedł na dół klatki schodowej. Gdy dotarł do drzwi, wychylił się lekko. Zauważył esesmana, który szedł odwrócony plecami w kierunku zbliżającego się plutonu. Sebastian przemknął sprintem przez drogę i wpadł do budynku naprzeciw. Susami, co dwa stopnie, dostał się na piętro. Młodzian leżał bez ruchu. Podeszedł do niego i uklęknął. Andrzej miał zamknięte oczy. Gdy mu położył rękę na piersi, tam gdzie na brudnym mundurze

widniała wielka brunatna plama i mała dziura po kuli, Andrzej ocknął się i zakaszłał. Z ust połała się krew. Oddychał ciężko, a powietrze uchodziło z niego tak, jakby ktoś chciał napompować dziurawą dętkę.

– Trzymaj się, kolego, wszystko będzie dobrze.

Rozdarł opatrunek, a gdy go przyłożył do rany, Młodzian z wielkim wysiłkiem położył swoją dłoń na jego dłoni. Rychter podniósł wzrok. Na ustach Andrzeja utworzyła się bańka z krwi i pękła. Wyglądał tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale uśmiechnął się tylko, dając znak, że wszystko jest w porządku.

– Nie umieraj, słyszysz? Proszę cię, nie umieraj. Młody, zabraniam, rozumiesz, to rozkaz... – Sebastianowi łamał się głos.

Andrzej przywołał widok swojej Anieli ubranej w jej ulubioną sukienkę. Uśmiechała się, stojąc na ganku, i przywoływała go, machając ramieniem.

– Andrzej, Andrzej, jasna cholera, Andrzej...

Starszy strzelec Andrzej Horyński nie żył.

– Boże, nie, proszę ...

Sebastian spoglądał na twarz kolegi. Nie było na niej grymasu bólu czy strachu. Porucznik otarł wielkie jak groch łzy, pochylił się nad kolegą i dłonią zamknął mu oczy.

– Obiecuję ci, że zabiję tego szwaba. Przysięgam na moją śmierć. Spoczywaj w pokoju – szepnął mu do ucha, po czym rozpiął mundur strzelca i wziął nieśmiertelnik.

Przypatrzył się wytłoczonej blaszce, na której widniało nazwisko Horyński. Przypomniawszy sobie, jak pierwszy raz go zobaczył. To było wtedy, gdy Gałgan wtargnął do pokoju majora, a Andrzej na jego widok poderwał się z krzesła. Wtedy Andrzej wyglądał jak przybłąda, a teraz leżał przed nim bohater wielkiego kalibru i jeden z najodważniejszych ludzi, jakich znał.

Wstał i spojrzawszy przez okno, na ulicy pojawili się Niemcy. Zanim się zerwał i zbiegł na dół, popatrzył po raz ostatni na kolegę i przyłożył palce do daszka rogatywki, po czym bez zastanowienia wybiegł na ulicę. Pędził, zygzakując. Niemcy byli już blisko i gdy tylko go zauważyli, otworzyli ogień. Kilka kul przeleciało obok. Porucznik Rychter biegł w kierunku kładki na wysadzonym moście.

– Dawać, parchy jedne! – krzyczał Tuchowiak.

Końcówka lufy karabinu maszynowego była czerwona, obok leżała gotowa gertruda. Młody strzelec cały czas podawał taśmę. Dwa plutony Wehrmachtu parły na kamienicę, torując sobie drogę do kładki. Makarewicz widział, jak samochód pancerny z działkiem kalibru dwadzieścia milimetrów wyjechał z za rogu. Dzisiaj Radek nie mógł chybić. Przymierzył w wieżyczkę, z której wystawał Niemiec. Rusznica podskoczyła na stole.

Kula przebiła pancierz i ciało strzelca. Zarepetował broń i kolejny strzał posłał w burzę pojazdu od strony kierowcy.

Samochód stanął bez ruchu. Do działka doskoczył ostatni z załogantów. Lufa średniego kalibru zdążyła wypluć pociski, które zrobiły kilka dziur w ścianach. Młody strzelec aż krzyknął z przerażenia, gdy posypał się na nich tynk. Makarewicz przymierzył jeszcze raz. Tym razem trafił w ledwo wystającą głowę. Niemiec odpadł od wieży, jakby dostał zamkiem działka, którego jeszcze przed chwilą używał.

– Makar, aleś go usmażył! – rzucił Wojtek. – Dawaj, Pietrek, ładuj! Ruszajcie się!!!

Młody strzelec wziął kolejną taśmę i wsunął w zamek. Chorąży jak automat przeładował karabin i znowu otworzył ogień.

– Radek, leć na dół, pogoń kogoś, niech pędzi po pestki. Jeszcze chwila i jesteśmy puści! – przekrzykiwał terkot karabinu.

Makarewicz zerwał się i zbiegł na parter.

Oberleutnant Maximilian Schuster, jeden z prymusów rocznego szkolenia oficerskiego wojsk pancernych Wehrmachtu w Düsseldorfie, był inteligentnym i fanatycznie zapatrzonym w ideologię Hitlera żołnierzem. Niczym szczywany lis podczas łowów zatrzymał się swoim czołgiem jakieś sześćdziesiąt metrów przed wjazdem w ulicę, gdzie toczyły się walki. Nachylił się do jednego z plutonowych piechoty, który wyraźnie chciał zdać meldunek dowódcy pojazdu.

– *Herr Oberleutnant*, Polacy mają na końcu ulicy mocny punkt oporu. Nie możemy ich obejść, a ich ckm przycisnął naszych ludzi do ziemi. Poruszamy się bardzo powoli. Straciliśmy samochód pancerny. Mają w jednej z tych kamienic rusznice przeciwpancerne! – przekrzykiwał warkot silnika czołgu.

– W której kamienicy? – Dowódca maszyny wyciągnął mapę, wtedy plutonowy wskoczył na błotnik i stanął przy wieży.

– Nie zaznaczono tego budynku, ale są gdzieś tutaj! – Wskazał palcem.

Czołgista przyjrzał się dokładniej i popatrzył na rozkład budynków przed nim.

– Tu jest prostopadła alejka, może jest jakiś prześwit? Wtedy wziąłbym ich z zaskoczenia.

– Przykro mi, *Herr Oberleutnant*, ale nie doszliśmy jeszcze tak daleko w głąb tej ulicy.

– Dobrze, niech pan zeskakuje. Cofnę się i zobaczę, co da się zrobić. Jak nic nie wskóram, to druga z moich maszyn wjedzie w ulicę, o którą walczyacie, i da wam osłonę. Jeszcze kilkaset metrów i mamy tę kładkę.

– *Heil Hitler!* – krzyknął plutonowy.

– Aha, daj mi ze trzech ludzi, nie chcę, żeby mi ktoś wrzucił granat przez właz.

– W tej chwili, *Herr Oberleutnant*.

Schuster powiedział coś w eter i maszyna stojącą tuż za nim ożyła z wściekłym rykiem. Czołg obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, po czym ruszył do przodu, robiąc miejsce liderowi. Wtedy pojazd dowódcy wyrzucił chmurę dymu i z wielkim hałasem ślizgających się gąsienic ruszył wstecz. Gdy dojechali do równoległej uliczki, ta okazała się ślepa i zakończona wysokim, na co najmniej dwa metry, murem. Czterech piechurów szło ostrożnie tuż za czołgiem. Schuster zamknął właz i rozkazał delikatnie sforsować niegrubą ceglana przeszkodę.

– Odłamkowym ładuj!

Pocisk wskoczył w łożę, ładowniczy zamknął zamek.

– Dawaj, Stefan, tylko powoli – rzucił dowódca w hełmofon, zerkając w dół na swojego kierowcę.

Ten delikatnie pchnął oba wolanty. Gdy się przebili, Schuster zobaczył uszkodzony budynek w szczelinach obserwacyjnych nadbudowanego włazu. Ucieszył się w duchu. Mam cię, pomyślał.

Kamil Lach, jeden z niewielu żywych piechurów, którzy dołączyli do oddziału jeszcze na małym poligonie, zerknął przez prawie ramię i zamarł. Niemiecki czołg obracał wieżę w kierunku ich kamienicy. Od razu ruszył do klatki schodowej.

– No, ładuj, Pietrek, nie ma czasu, jeszcze dwie taśmy i się zwijamy.

Makarewicz wystrzelił ostatni pocisk z magazynka, odpiął go i podniósł kolejny ze stołu. Wtedy z dołu dobiegł rozpaczliwy i niezrozumiały krzyk. Wojtek chciał się odwrócić w kierunku drzwi, ale wcześniej jego wzrok napotkał niemiecki czołg stojący nie dalej niż dwieście metrów od nich. Mierzył prosto w ich okno.

– Padnij!!! – Sufit zawalił się im na głowy.

Młody strzelec Piotr Staszkiwicz nie zdążył przylgnąć do ziemi i jedna z cegieł rozbiła mu czaszkę i przetrąciła kark. Zginął na miejscu. Wojciech dostał tylko mniejszymi odłamkami, ale na Makarewicza spadł prawie cały strop. Tuchowiak był oszołomiony, leżał w stercie cegieł, z uszu płynęła mu krew. Podniósł się i na czworakach ruszył do miejsca, gdzie ostatnio widział Radka. Żołnierze na ulicy podnosili się z ziemi z zamiarem ucieczki. Wtedy Schuster wypalił po raz drugi. Trafił w sam środek okopu. Na piętro przez klatkę schodową wdarł się tuman kurzu.

– Pięknie. I po sprawie – skwitował dowódca czołgu. – Stefan, dawaj wstecz, tędy się nie przecisniemy.

– Rozkaz! – odpowiedział kierowca.

– Minor-2 tu Lider-1, odbiór – rzucił w hełmofon Schuster.

– Tu Minor-2, odbiór – odezwała się druga z maszyn.

- Ostrożnie wjeżdżaj w ulicę. Kamienica czysta, piechota z wami.
- Zrozumiałem, wykonuję. – Drugi z czołgistów machnięciem ręki przywołał dowódcę plutonu do siebie.

Poobijany Wojtek odgrzebywał Makarewicza. Gdy szedł na czworakach przez pokój, zauważył młodego strzelca, który patrzył ślepo w okno. Radek był nieprzytomny, ale oddychał. Wiedział, że nie zostało im wiele czasu, Niemcy zaraz tu będą. Podniósł się, chwycił za gertrudę i przerzucił nieprzytomnego Radka przez plecy. Teraz nie czuł już nic, tylko wściekle walczył o życie swoje i kolegi. Do rzeki od drzwi wejściowych kamienicy miał około sześciuset metrów z tym, że pierwsze czterysta było po ulicy, do której właśnie wchodziła piechota i wjeżdżał niemiecki czołg.

Wyszedł na ulicę i przez pierwsze kilka kroków zataczał się jak pijany. Przez kilkadziesiąt metrów nic się nie działo. Po chwili piechota niemiecka otworzyła do nich ogień. Czuł się niczym duża i wolna kaczka na strzelnicy. Starał się zygzakować, jak tylko umiał. Po chwili poczuł ukłucie w łydkę i przyklęknął na ułamek sekundy.

- Parchy jebane! – zaklął wściekle.

Podniósł się i ruszył dalej. Makarewicz ciągle nieświadomy tego, co się dzieje, wisiał bezwładnie. Kolejna kula ugodziła właśnie jego.

Tuchowiak poczuł, jakby ktoś mocno rzucił w niego kamieniem. Siła uderzenia kuli była tak duża, że zachwiał się niczym pięściarz otrzymujący nokautujący cios. Nie upadł, ale łydka doskwierała i zaczął mocno kuśtykać. Gdy się wyłonili ze skrzyżowania, strzelcy broniący kładki chcieli otworzyć do nich ogień.

- Nie strzelać, nie strzelać! – krzyknął Feliks, od razu rozpoznając Tuchowiaka.

Major Kozubowski usłyszał wołanie kolegi i machnął ręką na kilku żołnierzy, którzy od razu ruszyli w kierunku chorążego. Wtedy kolejna kula ugodziła Wojtka prosto w udo. Przyklęknął, jakby chciał odpocząć. Tuż za grupą Kozubowskiego wybiegł Chyży i skulony gnał w kierunku Wojtka i Radka. Tuż za nim ruszyło czterech piechurów z noszami. Zygartowicz poderwał się, ale popędził w przeciwnym kierunku. Prosto do stanowiska moździerzowego.

- Dawać dym w wylot ulicy, natychmiast! Później zasypać to miejsce wszystkim, co macie.

- Rozkaz, panie majorze! – odpowiedzieli i jeden z nich już szperał w skrzynkach z pociskami.

Gdy Feliks wracał z powrotem na stanowisko, zobaczył, jak pierwszy pocisk upadł na środek skrzyżowania. Ułamek sekundy po tym, gdy żołnierze doprowadzili rannych, spośród obłoków dymu wyłonił się niewyraźny kształt lufy śmiertcionośnej maszyny. Feliks widział, że załoga czołgu to nie amatorzy. Nie zdążył zareagować, a odłamkowy

pocisk z sykiem przeleciał im nad głowami i trafił w stanowisko mózdzierza. Obsada poszybowała w górę jak rozczłonkowane manekiny. Polacy odpowiedzieli ogniem.

W wyłomach kamienic pojawiła się niemiecka piechota. Czołg ruszył do przodu i powoli kierował się ku kładce. Kilkadziesiąt metrów za nim jechała maszyna Schustera. Feliks dobiegł do Wojtka i Radka. Chyży uwijał się przy nich wraz z jakimś innym sanitariuszem.

– Co z nimi? – zapytał major.

Chyży podniósł głowę.

– Parchy jedne, ledwo uszliśmy. Co z Makarem? – zapytał Wojtek.

– Z panem Radkiem jest kiepsko, ma ranę postrzałową łopatki i jest ciągle nieprzytomny. Nie wiem, co się dzieje w środku, na pewno potrzebuje specjalnej opieki i to szybko. Pan, panie Wojtku, się wyliże, ale na weselu Andrzeja pan nie zatańczy, ma pan dwie kule w prawej nodze. Nie wiem, jak pan go niósł.

– Dobrze, Walery, bierz ich na drugą stronę, natychmiast.

– Rozkaz! – krzyknął sanitariusz, po czym przywołał pomoc do transportu Radka, a sam złapał za nosze Wojtka.

Kule wściekle ryły ziemię, a co jakiś czas podrywał się tuman kurzu i odłamków wzniesany przez pociski z czołgowych armat. Niemcy podchodzili coraz bliżej kładki. Obrona Sochaczewa po raz kolejny się wycofywała. Tym razem na najbardziej wysuniętym przyczółku wraz ze swoją kompanią stał major Kozubowski. Wszyscy byli w odwrocie i desperacko szukali bezpiecznej drogi ucieczki.

Czołgiści, widząc pełen odwrót, odważnie ruszyli do przodu. Feliks widział, jak Kozubowski się cofa. Nie zdążył, pomyślał i zaklął w duchu. Podniósł się, przebiegł kilkanaście metrów do stanowiska dowodzenia, licząc na łut szczęścia, na to, że kule karabinowe przejdą bokiem. Jedna z nich z sykiem przeleciała tuż obok twarzy, tak blisko, że poczuł ciepło rozgrzanego pocisku. Dopadł do okopu, odgarnął martwego telegrafistę, który leżał na aparacie telefonicznym, po czym zakręcił korbą.

W baterii artylerii słuchawkę telefonu podniósł młody, ale doświadczony kapral artylerii Stróżak.

– Tu Zygartowicz.

– Na rozkaz, majorze.

– Dawajcie wszystko, co macie.

– Jakie namiary, majorze?

– Bijcie w nas, bijcie w rejon kładki.

Po drugiej stronie zapadła grobowa cisza, po czym słuchawkę przejął dowódca baterii porucznik Filipek.

- Może pan powtórzyć, majorze? – zapytał ciszej.
- Niech pan ostrzela nasze pozycje, natychmiast!
- Tak jest, wykonuję. Z Bogiem.

Feliks rzucił słuchawkę, przyłożył kolbę do ramienia i oddał kilka strzałów. Trafił dwóch, po czym poderwał się i ruszył do kładki. Wtedy w rejon największych walk zaczęły spadać pociski artyleryjskie. Rozpętało się istne piekło. Niemcy przyłgnęli do ziemi. Zygartowicz dostał się do rzeki. Gdy wchodził na kładkę, zobaczył skuloną postać. Rozpoznał Sebastiana. Znowu przykucnął i oddał kilka strzałów, starając się osłonić swojego porucznika. Nie minęła chwila, a Rychter był przy kładce.

– Gdzie masz Młodziana?

Porucznik ze łzami w oczach przecząco pokręcił głową.

– Przykro mi, panie majorze.

Feliks poczuł, jakby coś w nim właśnie umarło. Jakby jakaś część jego duszy odeszła na zawsze.

– Jesteś sam? Gdzie reszta? – zapytał, patrząc na przyjaciela.

Sebastian zacisnął zęby i znowu pokręcił głową. Kolejny pocisk eksplodował i grad odłamków posypał się im na głowy.

– Nie ma czasu, musimy uciekać – rzucił Zygartowicz.

Przeprawili się przez rzekę. Ostatni na kładkę wbiegł zdziśiatkowany oddział Kozubowskiego. Gdy dowódca był w połowie drogi, z wieży czołgu, który przedarł się prawie pod samą przeprawę, posypał się grad kul. Major Kozubowski został skoszony serią karabinową i martwy wpadł do wody. Dzielny dowódca obrony Sochaczewa Feliks Kozubowski został na posterunku. Reszta niedobitków po raz kolejny wycofywała się w kierunku sztabu dywizji. Sochaczew był stracony.

Część czwarta

Między Scyllą i Charybdą

*Pod nim groźna Charybda łyka morze słone;
Trzykroć w dzień je wyrzuca, trzykroć wciąga w siebie.
A gdy wciąga, o! niechże nie będzie tam ciebie!
Już by i sam Posejdon nie mógł cię ratować.*

Homer, *Odyseja*, fragment pieśni XXII

Rozdział 1

Feliks, zanim zapytał niedawno przydzielonych mu żołnierzy, czy idą dalej się bić, przeczytał im list, który dostał od jakiegoś kapitana. Wyciągnął kartkę. To był najtrudniejszy rozkaz, jakkolwiek wydawał w swoim życiu. Pochodził od samego wodza naczelnego.

Sowiety wkroczyły. Nakazuję ogólne wycofanie na Rumunię i Węgry najkrótszymi drogami. Z bolszewikami walczyć tylko w razie natarcia z ich strony albo próby rozbrojenia oddziałów. Zadania Warszawy i miast, które miały się bronić przed Niemcami – bez zmian. Miasta, do których podejść bolszewicy, powinny z nimi pertraktować w sprawie wyjścia garnizonów do Węgier lub Rumunii.

Byli w Puszczy Kampinoskiej, nieopodal której walczyła stolica. To było ostatnie miejsce na podjęcie decyzji. Pośród gęstych drzew stały wycieńczone postaci i wpatrywały się w niego ze smutkiem. Powiedział do nich, że zrozumie każdą decyzję. Wszyscy jednogłośnie stwierdzili, że nie będą się cofać, a tym bardziej poddawać. Doskonale rozumiał ich postawę.

On miał dodatkowy cel, już od kilku dni parł na Warszawę prowadzony miłością do kobiety, którą kochał tak jak jeszcze żadną inną. Jego żołnierze robili to tylko z miłości do ojczyzny i nienawiści do najeźdźcy.

Gdy o tym myślał, rozpierała go duma, że jest Polakiem. Odczuwał wielki zaszczyt, mogąc nimi dowodzić. Teraz, gdy Wojciech i Radek, ranni, wyłączeni z walki, wraz z grupą ewakuacyjną podróżowali na południe, on musiał się dostać do miasta. Plan awaryjny, gdyby Warszawa upadła, co było nieuniknione, zakładał spotkanie się z nimi w miejscu koncentracji w Rumunii i podjęcie dalszych decyzji.

Jeżeli nie trafią na siebie w ciągu następnych dwóch tygodni, wszyscy ruszają do drugiego dobrze znanego im punktu spotkania we Francji, tam się reorganizują i wracają do walki. Wiedział, że to dopiero początek. Po ciężkiej nocy major i Sebastian z grupą strzelców przebili się przez Puszcę Kampinoską, lądując w samym środku walczącej Warszawy.

Ciała żołnierzy i końskie trupy leżały wszędzie. Cała podróż obu armii na ratunek stolicy zakończyła się porażką, a puszcza stała się ich grobem. Niemcy w ciągu niespełna

trzech tygodni zabili tysiące polskich żołnierzy, a dziesiątki tysięcy dostało się do niewoli. Gdy zobaczyli stolicę, a właściwie to, co z niej zostało, strzępki nadziei uleciały z ich serc bezpowrotnie.

Z pięknej metropolii zostały sterty gruzów, a pożary szalały gdzie tylko okiem sięgnąć. Ludność cywilna, wykończona do granic możliwości, wałęsała się po ulicach, szukając schronienia. Brakowało żywności, leków, wody, brakowało wszystkiego. Nie mając dachu nad głową, wielu mieszkańców spało pod gołym niebem. Warszawa opustoszała. Nie było już słychać gwarnych rozmów ani trąbiących samochodów.

Prawdopodobnie śwąd benzyny, pożarów oraz huk eksplozji odstraszyły wszystkie ptaki zamieszkujące stolicę do tej pory. Gdy na sekundę milkły strzały lub zaprzestawano nalotu, nastawała grobowa cisza.

Żołnierze wiedzieli, że nie pozostało im nic innego, jak tylko walczyć. Feliks na miejscu dowiedział się, że Sztab Generalny już dawno temu opuścił stolicę, co go ucieszyło. Liczył na to, że Rozalia pojechała wraz z nimi, ale musiał się w jakiś sposób upewnić. Wytłumaczył Sebastianowi, że musi opuścić ich na godzinę, maksymalnie na dwie. Porucznik ze zrozumieniem i bez zbędnych pytań objął dowództwo. On, podobnie jak major, był tu po części w swojej sprawie.

W Sochaczewie poprzysiągł sobie, że zrobi wszystko, aby pomścić Andrzeja. Zamierzał zabić tego esesmana, którego twarz często widywał w snach. Niezależnie od tego, czy utrzymają stolicę, czy nie, on tu zostanie tak długo, jak to potrzebne, i zamorduje tego oprawcę.

Pułk SS, z którym walczyli w Sochaczewie, musiał być gdzieś na przedmieściach i niewykluczone, że jeszcze dzisiaj będą się ponownie z nim bili. Liczył na to, że nadarzy się okazja, aby ujrzeć tę arogancką twarz w okularze lunety.

Feliks wyszedł za róg i gdy spojrzął na dom, w którym zupełnie niedawno kochał się z Rozalią, przystanął. Pierwszy raz w życiu poczuł panikę, nad którą nie mógł zapanować. Jego oddech przyspieszył, pojawił się zimny pot. Kamienicy nie było. Prawie cały front leżał na ulicy. Dach dawno spłonął, tylko na ostatnim piętrze pozostał kawałek muru. Miejsca po oknach były tak osmolone, że łatwo było sobie wyobrazić buchające jęzory ognia. Ruszył w kierunku zawalonego domu. Boże spraw, żeby nie było jej w środku, mówił do siebie w myślach. Liczył na to, że spotka kogoś na miejscu. Zasięgnie jakiejś informacji.

Przy kamienicy krzątała się starsza kobieta. Skulona, przechadzała się po gruzach. Sprawiała wrażenie, jakby czegoś szukała.

– Przepraszam panią – powiedział.

Kobieta podniosła wzrok na zarośniętego i brudnego oficera.

– Zna pani może losy mieszkańców tej kamienicy? – dodał.

– Miał pan tu krewnych? – zapytała cichym głosem siwa kobieta.

– Tak, narzeczoną.

– Ja tu straciłam córkę. Mieszkała o tam, na pierwszym piętrze. – Wskazała powykrecanym reumatyzmem palcem na miejsce, gdzie kiedyś było piętro. – Wróciłam tylko po jakieś drobne rzeczy. Ja powinnam była tu zginąć. Już nikt mi nie został na tym świecie. Matka powinna umierać przed swoimi dziećmi, a nie odwrotnie – mówiła staruszka ledwie słyszalnym głosem.

– A wie pani coś o młodej kobiecie, która mieszkała na parterze? Rozalia Bąkiewicz.

– O tak, piękna dama. Zawsze taka elegancka. Grzeczna. Zawsze uśmiechnięta. Kiedy przychodziłam do córki i ją spotykałam, pytała o zdrowie i jak się miewam. Przykro mi. Tu wszyscy zginęli. Był u mnie były dozorca, pan Kiermaszyński, opowiadał o niej. Zaraz po nalocie wygrzebali ją z gruzów.

Feliks już nie słuchał. Obrócił się i ruszył przed siebie. Nie wiedział, czy się pożegnał, czy po prostu odszedł bez słowa. Jego życie właśnie legło w gruzach, podobnie jak kamienica. Dlaczego? Dlaczego zostałaś? – pytał w duszy. Czuł, że zna odpowiedź. Znał ją już na tyle. Wiedział, że jego Rozalia nie złożyłaby broni. Była uparta. Tego się obawiał najbardziej. Kochał Rozalię i chciał mieć z nią dzieci.

Teraz szedł po dogorywającej Warszawie i łzy płynęły mu po twarzy. Pierwszy raz w życiu pomyślał o tym, że chce zginąć. Kiedy wrócił, Sebastian zdziwił się, jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie. Nie miał pojęcia, co się stało, ale bał się zapytać. Żołnierze dookoła dalej ginęli, a nieprzyjaciel parł do przodu niczym maszyna, której nie da się zatrzymać. Ulica po ulicy. Dom po domu. Gdy mieli chwilę spokoju od ostrzału piechoty i czołgów. Wtedy pojawiały się samoloty. I znowu natarcie. Cofali się, a pierścień wokół miasta z każdą godziną zmniejszał swój promień. Pętla wokół Warszawy zaciskała się szybko. Jeden ze strzelców powiedział, że jeszcze niedawno bili się o Włochy, a teraz do Wisły było zaledwie kilka przecznic.

– Jezu, majorze, zginiemy! – krzyczał jakiś mężczyzna.

Setki rozgrzanych kul świstało im nad głowami. Feliks już wcześniej zastanawiał się, ile z tych śmiertelnych odgłosów można rozróżnić. Rykoszety dźwięczały niczym stukanie o pusty garnek, zdeformowane kule przelatywały jak chrabąszcze, z sykiem mijając uszy. Nieprzyjaciel nacierał z trzech stron. Ulicę po lewej zatarasował ciężki samochód pancerny. Z jego wieżyczki nieustannie wydobywał się jęzor ognia. Kilka motocykli od frontu stworzyło barierę, zza maszyn strzelała piechota. Widział, jak świetnie są zorganizowani. Wszyscy żołnierze Feliksa chowali się za wałem usypanym z gruzu i ułożonymi w stos płytami chodnikowymi.

Zygartowicz się rozejrzał. Po prawej strzelał Chyży. Nagle jakiś strzelec padł, trafiony w głowę. Sebastian był tuż obok.

– Mają nas, majorze, nie zdążymy się nawet wycofać – mówił zrezygnowany porucznik.

Feliks spojrział na młodego inżyniera. Patrzył na twardego mężczyznę, który jeszcze trzy tygodnie temu walczył ze swoim strachem. Ten człowiek był już kimś innym. Kim się stał ten błyskotliwy inżynier? Podczas pierwszych minut walki żółtodziób w ułamku chwili staje się weteranem albo trupem. On zdecydowanie był tym pierwszym. Wiedział, że ten żołnierz będzie specjalistą najwyższej klasy. Lepszym niż on i Tuchowiak razem wzięci. Powinien teraz uczyć się kochać, zamiast zabijać. Widział w nim swoją historię. Oby to zniósł, pomyślał. Nagle do ich prowizorycznego schronienia wpadł granat. Sebastian go podniósł i odrzucił. Wybuch uniósł tuman kurzu.

– Jakie rozkazy? – Porucznik przekrzykiwał huk i dzwonienie w uszach.

Major zastanawiał się przez chwilę. Kolejny strzelec padł i upuścił broń.

– Sebastian, podaj mi ten karabin! – krzyknął.

Przywołał Chyżego. Sanitariusz na czworakach doszedł do wzywającego go Feliksa.

– Na rozkaz, majorze!

– Bierzcie chłopaków i uciekajcie do rzeki. Sebastian, poprowadzisz ich poza miasto. Jak się nie uda, macie się poddać.

– A pan? – zapytał porucznik.

– Ja ich chwilę zatrzymam, inaczej nie damy rady.

– Z całym szacunkiem, majorze, ale ja z panem zostaję – powiedział Sebastian.

– Ja też – dorzucił Walery.

– To nie jest licytacja, to rozkaz! – krzyknął. – Wynocha, powiedziałem. Jesteście świetnymi żołnierzami i musicie się stawić w punkcie zbiórki, to wasz czas...

Chyży widział, jak Sebastianowi łyzy stają w oczach.

– To rozkaz, poruczniku! Jeszcze jedno. Powiedzcie chorążemu, że jest najtwardszym skurwielem, jakiego znam, i podziękujcie mu za to, że zawsze był dla mnie bratem, którego nigdy nie miałem.

Przyłożyli palce do czapek. Chwilę po tym ruszyli. Usłyszeli, jak zaterkotał karabin. Sebastian biegł skulony i płakał z wściekłości. Nie chciał wykonać tego rozkazu do końca. Miał jeszcze jedną rzecz do zrobienia w stolicy. Kilku strzelców za porucznikiem przebiegało nogami, biegli szybko. Małą kolumnę zamykał kapral Chyży, który płakał tak samo jak porucznik.

Niemiecki oficer zza samochodu przywołał dwóch ludzi i wydał rozkazy. Polski karabin strzelał nad wyraz celnie, zmieniał pozycję i widocznie ich przyszpilił. Oficer przebiegł przez podwórko, dotarł do samochodu pancernego, wydał rozkaz przzerwania ognia i wskoczył w drzwi kolejnej kamienicy. Feliks nie zauważył, że jest okrążany. Po

chwili, gdy ucichły strzały z niemieckich karabinów, wiedział, że ktoś w niego celuje. Odłożył spokojnie broń, na śmierć był gotów już od południa.

Obrócił się powoli i ujrzał znajomą mu twarz. Oberstleutnant Marcus Schreiber uniesionym pistoletem mierzył wprost w niego. Oficer Abwehry na początku nie rozpoznał polskiego oficera. Twarz Polaka pokrywała gęsta broda. Nie wiedział, dlaczego nie nacisnął spustu. Przyjrzał się zmęczonej twarzy przeciwnika, nie było na niej strachu. Wtedy go poznał, to był oficer z Breslau.

Patrzyli na siebie tak samo jak ostatnim razem. Wykonał gest pistoletem, przywołując Polaka. Wtedy zza rogu wypadł Hans, który wcześniej przekazał jego rozkazy i rzucił się do biegu za swoim dowódcą. Marcus go zobaczył.

– Hans, wracaj do ludzi i każ im pozostać na pozycjach.

Feliks, ciągle skulony, niemal na czworakach podszedł na odległość kilkunastu kroków do podpułkownika Abwehry, po czym, widząc, że jest osłonięty przez róg budynku, stanął wyprostowany. Marcus zasalutował, przykładając dłoń do daszka czapki.

– Oberstleutnant Marcus Schreiber. To już trzeci raz, majorze, kiedy się spotykamy, a ja ciągle nie znam pana prawdziwego nazwiska. Jak wy to mówicie? Jeszcze raz i flaszka?

Feliks był zaskoczony nieskazitelną polszczyzną Niemca. Gdy usłyszał śląski akcent, od razu przypomniał mu się Andrzej.

– Major Feliks Zygartowicz. – Zasalutował. – *Alles braucht seine Zeit*¹⁴ – odpowiedział na żart o butelce wódki.

Schreiber się zaśmiał.

– Obawiam się, że przy następnym spotkaniu któryś z nas zginie. Od dziś jesteśmy kwita. – Przesunął broń w bok. – Gdy strzełę, proszę upaść. Pojadę przecznicą w lewo. Daję panu kilka minut na ucieczkę.

Gdy nagle padł strzał, Feliks wzdrygnął się ze strachu. Czuł, że ta kula była dla niego, mimo to zrobił tak, jak powiedział oficer. Położył się na rozsypanych cegłach. Schreiber obrócił się do niego plecami i odszedł, jakby był pewien, że do niego nie strzeli. Feliks leżał przez chwilę. Gdy usłyszał warkot motocykli, otworzył oczy. Dlaczego zostawiasz mnie przy życiu? – myślał, patrząc na skrawek błękitnego nieba widocznego między chmurami. Leżał jeszcze przez chwilę nieruchomo, w głowie zabrzmiał mu dźwięk dziecięcych rymowanek i gwaru miasta. Stolików w kawiarnianych ogródkach, głośnych rozmów i błęgiego warszawskiego dnia. Widział siebie, jak spaceruje z Rozalią.

Z błogostanu wyrwał go huk eksplozji i ryk samolotów. Zaczynał się jeden z ostatnich nalotów. Wstał, odnalazł karabin i biegiem rzucił się w głąb dzielnicy.

Rozdział 2

Gdy ślusarze otworzyli pancerne szafy w budynku sztabu, początkowo podpułkownika Schreiberga ogarnęła wściekłość. Prawie wszystkie były puste. Jedynie dwie zawierały dokumenty. Szalona jazda ciężarówkami blitz po Bydgoszczy i Warszawie opłaciła się, ale nie zadowalało to jednego z szefów niemieckiego wywiadu. Mimo że znaleźli opisy struktur Wehrmachtu, procedur użycia broni i szczegółowych wytycznych dla jego jednostek Wehrmachtu, które okraszone były podpisami polskich agentów działających na terenie Niemiec, oraz księgi telefoniczne z danymi polskich agentów rozlokowanych po całej Europie i tych nakłanianych do współpracy z wywiadem, Schreiberg czuł niedosyt. Wiedział, że gdzieś w upadłej Warszawie jest reszta polskiego archiwum.

Hans przesłuchał kilkudziesięciu cywilów i trafił na trop, który rozpałał w niemieckich oficerach nadzieję na spektakularny sukces. Wiedzieli, że kilka dni temu, kiedy ulica po ulicy zajmowali polską stolicę, ze sztabu wyjechał konwój ciężarówek. Miasto było okrążone, więc konwój nie mógł go opuścić. Jedynym rozwiązaniem było spalenie całości. Grupa specjalna podzieliła się na dwie podgrupy. Przeczesywali miasto.

– Zapalisz, Hans? – Marcus wyciągnął w jego kierunku papierosnicę.

– Chętnie, *Herr Oberst*. – Oficer wziął jednego R6.

Marcus podał mu zapalniczkę.

Podpułkownik ze swoim adiutantem szli wzdłuż zniszczonej ulicy.

– Jeżeli twój informator naprowadził nas na zdobycz i znajdziemy to, czego szukamy, postawię panu butelkę markowego koniaku – powiedział Schreiberg.

Hans się uśmiechnął.

– *Herr Oberst*, moja matka zawsze mówiła, że jestem dzieckiem szczęścia w czepku urodzonym.

Tym razem to Marcus się uśmiechnął i popatrzył na młodego oficera.

– To, co się stało przedwczoraj z tym polskim oficerem, niech pozostanie między nami – rzucił, zmieniając temat.

– Rozumiem – powiedział.

– To było wyrównanie pewnego rachunku, nic więcej.

– *Herr Oberst*.

– Słucham?

– Kim był ten człowiek, jeśli wolno mi spytać?

– To był szpieg, którego ścigaliśmy w Breslau. Kiedy byłeś nieprzytomny, pod restauracją, mógł nas zastrzelić, ale tego nie zrobił, nie pytaj, proszę, dlaczego, bo nie znam odpowiedzi na to pytanie. – Zaciągnął się mocno, a gdy wypuścił chmurę dymu, oficerowie stali już przed bramą Fortu Legionów. Uzbrojona grupa wdarła się do starej fortecy.

Na dziedzińcu stało sześć ciężarówek.

– Mamy to – powiedział Oberleutnant Neumayer.

– Nie chwalmy dnia przed zachodem słońca – rzucił Marcus.

Gdy żołnierze otworzyli samochody, okazało się, że ich przestrzenie ładunkowe wypełnione były skrzyniami. Jedną z nich zestawiono. Hans podważył wieko. Schreiber podszedł i podniósł jeden z dokumentów leżących na stercie.

– O mój Boże! – Oberstleutnant krzyknął po polsku.

– Co się stało, *Herr Oberst*? Co pan mówi?

Na pierwszej stronie widniał nagłówek: „III Ekspozytura II Oddział w Bydgoszczy”. Obok była czerwona pieczęć. „Ścisłe tajne”. To był początek. Opróżniono ciężarówki, zaczęto przekładać stertę skrzyń przygotowaną przez Polaków do spalenia oraz sforsowano wielkie drzwi do wnętrza fortu. To tam, w jednym ze starych lochów, Abwehra odnalazła istny skarb. Schowane skrzynie zawierały raporty nadsyłane przez polskich szpiegów z całego świata. Od Tokio, przez Paryż, aż po Berlin, a także większość tajnych materiałów z delegatury w Bydgoszczy.

Kiedy tego samego dnia Oberstleutnant Marcus Schreiber zlecił, aby wszystko zostało przetransportowane samolotami do Berlina, nie mógł wiedzieć, że jeszcze w Warszawie, podczas segregacji akt, wyłuskają ponad trzysta nazwisk polskich agentów działających na terenie Rzeszy.

Rozdział 3

Agathe szła wielkim holem Reichsbanku. Mały gabinet, który dzieliła jeszcze z dwiema pracownicami, był tuż za rogiem wielkiej sali, gdzie obsługiwano klientów. Idąc, zdała sobie sprawę, że zapomniała już, co robiła od rana. Była kłębkim nerwów. Cieszyła się, że ten dzień się kończył. Mijała liczne biurka i machała znajomym, mówiąc: „do widzenia”, „do jutra”.

Wewnętrznie czuła się tak, jakby straciła kogoś bliskiego, jakby ktoś, kogo kochała, odszedł po nagłej chorobie. Niespodziewanie, bez żadnych ustalonych reguł i niesprawiedliwie. Nie mogła już płakać. Miała wrażenie, że przez ostatnie trzy tygodnie wypłakała wszystkie łzy. Tęskniła za swoją ojczyzną, której już prawie nie było na mapie, ale ciągle była żywa w jej sercu.

Mijając rząd kas, zastanawiała się, co powinna zabrać ze sobą do Polski. Egner nie posiadał się ze szczęścia, gdy usłyszał, że rzuci pracę i przyjedzie do niego, prosto do Warszawy. Musiała walczyć. Tak bardzo chciała być potrzebna. Chciała zrobić wszystko, aby jej naród odzyskał godność.

Złapała mosiężną klamkę i otworzyła wielkie skrzydło drewnianych drzwi, które ustąpiło z zaskakującą łatwością. Naprzeciw wejścia stał czarny opel kadett, z którego wysiadło dwóch typów. Jeden z nich był w charakterystycznym czarnym płaszczu. Tajna policja, rozpoznawalna niczym neon jednej z najlepszych knajp w Breslau. Szli w jej kierunku. Udawała, że tego nie widzi. Zaczęła się modlić. Ruszyła, myśląc, że jak będzie się zachowywać zupełnie normalnie, to jej nie zatrzymają. Oni nie mogli być po nią, nie teraz, mówiła w myślach.

– Przepraszam panią.

Nie zareagowała.

– *Frau* Holler?

Obróciła się.

– Słucham pana, w czym mogę pomóc?

– Proszę z nami. – Wskazał ręką na opla. – Zapraszam. – Uśmiechnął się, nie pokazując zębów.

– Dokąd? Nie rozumiem. Coś się stało? O Boże, coś z Dietmarem? – udawała

zmartwienie.

– Nic z tych rzeczy, szanowna pani. Proszę z nami. *Herr* Gruppenführer Radke chce się z panią zobaczyć. – Znowu uśmiechnął się złowieszczo.

Nogi zrobiły się jej jak z waty. Zaczęła panikować.

– Nie rozumiem, nie mógł zadzwonić do banku? Przyjechałabym do willi.

– Szanowna pani, ja tylko zostałem poproszony, aby panią przywieźć. Bardzo proszę. – Wziął od niej skórzaną aktówkę.

Patrzyła na niego jak na kata. Wsiadła do samochodu.

Gdy się ocknęła, nie wiedziała, ile minęło czasu od zatrzymania. Siedziała na małym drewnianym krzeselku ze związanymi na plecach rękami. W małym pokoju, gdzieś w piwnicach aresztu, stało jedno biurko, a na nim lampa, popielniczka i jakieś luźno porozrzucane kartki. Na ścianach, wszędzie, były białe kafle, w rogu stało wiadro z wodą. Przy nim był kran, do którego podłączono szlauch. Zaraz obok stał niewielki stół, a na nim leżała gruba skórzana pałka.

Była zdziwiona, że po pierwszym uderzeniu ból przyszedł dopiero po ułamku sekundy. Czuła, że ma opuchnięte wargi i gorzej widzi na jedno oko. Dziwne, że nie spadła na podłogę, kiedy straciła przytomność. Jakby to teraz miało największe znaczenie.

W pomieszczeniu nie było nikogo. Zastanawiała się, gdzie zniknął niewysoki, krępy Scharführer, jej oprawca. Zerknęła na posadzkę. W na wpół zakrzepłych plamach krwi leżał ząb. Ciekawe, czy to mój, pomyślała i uśmiechnęła się w myślach. Powiodła językiem po zębach, na wysokości górnej trójki było puste miejsce. Głowa znowu jej opadła. Nie wiedziała, czy zemdląca, czy po prostu opuściły ją siły.

Ujrzała babcie siedzącą w fotelu i robiącą na drutach. Światło było przyjemne i ciepłe. W pomieszczeniu pachniało kawą. W rogu stał fortepian, na którym uczyła się grać. Uwielbiała te lekcje muzyki. Babcia siedziała tam i uśmiechała się do niej. W oczach nie miała smutku ani strachu. Patrzyła na nią z taką miłością jak zawsze. Pomarszczona twarz doświadczonej kobiety przywoływała ją do siebie ciepłym uśmiechem. Chciała podejść i się przytulić. Podłożyć głowę tak, aby ta pogłaskała ją po włosach. Tak bardzo to lubiła. Gdy była mała, w taki sposób ją usypiała.

– Wszystko będzie dobrze, myszko. Jestem tu, zawsze jestem przy tobie.

Chciała do niej iść, ale nie mogła. Widziała, jak babcia odkłada druty i włóczkę, tak jakby chciała ją przyjąć w ramiona. Krystyna parła z całej siły. Wtedy obraz nagle zniknął i zaczęła się topić, po ułamku sekundy łapczywie chwyciła haust powietrza. Otworzyła oczy. Była cała mokra. Stał przed nią Scharführer Jens Roth, a w dłoni trzymał emaliowane wiadro. Przeszył ją paniczny strach. Nie wiedziała, czy dygocze z zimna, czy z lęku przed kolejnymi razami.

Przy biurku siedział Radke. Wstał i podszedł do niej. Złapał Agathe za podbródek i pocałował delikatnie w czoło.

– Witaj, kochana, stęskniłem się za tobą.

Łza spłynęła jej po policzku.

– Oj, Agathe, to na mój widok? Jestem wzruszony. Widzisz, moja droga, przysporzyłaś nam wszystkim wielu kłopotów.

Zastanawiała się, jak się dowiedział. Radke obrócił się i wrócił do biurka.

– Wiesz, muszę ci pogratulować. Ja rozumiem, że Egner to idiota i dał się omamić. Chodził za tobą niczym ratlerek na smyczy pięknej damy, ale nie spodziewałem się, że ja nie dostrzegę pewnych rzeczy. Nie zdarza mi się to. No, ale wszyscy byliśmy tobą oczarowani. – Znowu wstał i podszedł do niej, po raz kolejny ujmując jej twarz. – Prawda, że piękna, Roth?

– Tak, *Herr Gruppenführer* – odpowiedział posłusznie esesman.

– Co: „tak”? Ty idioto!

Scharführer zdziwił się, wybałuszając oczy. – Ona ledwo mówi, ty kretynie!

– Ale powiedział pan, że mam przesłuchać.

– A po co się przesłuchuje, ty skończony debilu? Po to, żeby ktoś przekazywał mniej lub bardziej ważne informacje. Siły używamy dla zachęty, żeby mówili same ważne rzeczy. Powiedziała coś?

– Nic, *Herr Gruppenführer*.

– I widzisz, jakie masz podejście do dam. Jedyne, co będziesz ruchał, to kozy, a i tak głowy za to nie dam. – Pokręcił głową i odwrócił się w jej kierunku. – Już dobrze, maleńka, wszystko będzie dobrze. Zaraz porozmawiamy i przyślę lekarza.

Pogłaskał ją po włosach, po czym znowu wrócił do biurka i z papierośnicy wyciągnął jedną cygaretkę. Przypalił srebrną zapalniczką, po czym podszedł i przyłożył jej do ust. Pociągnęła z nadzieją, że ulży jej to w cierpieniach. Gdy wypuściła dym, wiedziała, że to mrzonki. Poczula, jakby ktoś przebijał jej płuca. Powstrzymała się przed kaszlnięciem, bo wiedziała, że gdy to zrobi, to zemdleje. Podsunął jej go jeszcze raz, odwróciła głowę, szepcząc coś niezrozumiale.

– Co mówiłaś, kochanie? – Zbliżył się do niej.

– Wody – powiedziała.

Obrócił się do esesmana stojącego z boku.

– No, na co się, kurwa, gapisz. Daj pani wody!

Ten z lękiem podszedł do wiadra. Podniósł z ziemi stalowy kubek i nabrał wody z dna, po czym wrócił do niej i przechylił go delikatnie kubek. Woda wlewała się przez

opuchnięte wargi, a część ściekała po mokrym i zakrwawionym żakiecie.

– No dobrze już. A teraz, Krystyno, opowiesz mi wszystko od początku – powiedział Radke.

Z przerażenia szerzej otworzyła oczy, a ciało przeszedł bolesny dreszcz. Jej imię zabrzmiało tak twardo, jakby ktoś ponownie czymś ją uderzył. Nie słyszała go od lat.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Nazywam się Agathe Holler – wyszeptała.

– Oczywiście, że nie wiesz.

Wyciągnął coś z grubej teczki, podszedł do niej i pokazał zdjęcie sprzed kilku lat, robione w Polsce. Na fotografii była jeszcze młodą studentką. Siedziała w Łazienkach razem z ulubioną koleżanką Gabrysią, czytały książki. Wrócił do biurka, wziął kolejną kartkę. Gdy jej ją pokazał, zamarła. Patrzyła na swoje dossier oznaczone pieczętą z orłem w koronie. Było podpisane przez generała Ordyńskiego.

– Nie mam pojęcia, co to jest. To jakieś nieporozumienie – powiedziała.

– Przestań pierdolić. – Siarczasty policzek spadł na jej opuchniętą twarz. – Wiem, że to twoje akta i że jesteś polskim szpiegiem. Nazywasz się Krystyna Zapolska, pseudonim Adrastea. Są tu wszystkie twoje raporty, ty parszywa polska kurwo. – Kolejny raz spadł na jej głowę. – Przez ciebie, suko, moje plany legły w gruzach. – Znowu ją bił. – Upokorzyłaś mnie przed samym Führerem. – Złożył pięść i się zamachnął. Tym razem z głuchym plaśnięciem upadła na podłogę.

– Podnieś tę dziwkę! – krzyknął do Rotha.

Ten szarpnął ją, podniósł z posadzki i posadził z powrotem na stołku. Wypluła kolejny ząb. Radke przysunął do niej krzesło, wziął pióro i kartkę, którą położył na obszernym pliku jej akt.

– Teraz podasz mi nazwiska wszystkich agentów działających na terenie Rzeszy, których znasz. Wiedz, że mam wiedzę o wielu z nich, jak mnie okłamiesz, to dopilnuję, żebyś umierała tydzień.

Nie wiedziała, jakim cudem zdobyli jej dokumenty. W tej chwili nie chciała wiedzieć. Była gotowa na śmierć. Chciała, aby ta jak najszybciej nadeszła. Była pewna, że nie może liczyć na jakąkolwiek pomoc. Nie nadejdzie odsiecz, nie wejdzie nikt, kto powie, że to pomyłka. Nauczyła się załatwiać swoje sprawy po swojemu, ale z tej nie było wyjścia. To koniec, pomyślała. Oddychała ciężko. Nie była pewna, ile zrobiła dla swojego kraju. Martwiła się, że za mało. Po chwili obudziły się w niej wielki gniew i żal. Poczuli się zdradzona i opuszczona. Niedoceniona i zapomniana. Miała wrażenie, że zmarnowała życie.

Krew w niej zawrzała, łzy znowu zaczęły płynąć po policzkach, ale nie były to łzy smutku. Gdzieś z głębi, z miejsca, o którym wcześniej nie wiedziała, przyszła energia. Czuli ją w całym ciele. Ból odszedł. Zastanawiała się, czy to już koniec. Czy umarła. Nie.

Dalej patrzyła na Radkego, który czekał z piórem w dłoni.

– Zaraz się spotkamy, babciu. Mam nadzieję, że na mnie czekasz – powiedziała po polsku ledwie słyszalnym szeptem.

– Co powiedziałaś, kochana? Nie słyszałem.

Znowu coś szepnęła, tym razem specjalnie niezrozumiałym niemieckim. Radke przysunął się do niej.

– Powiedz mi i ulżyj sobie.

– Jeszcze Polska nie zginęła, ty skurwysynu! – powiedziała najczystszy niemieckim i z całej siły złapała go zębami za ucho.

Gryzła tak mocno, jak tylko mogła. Radke najpierw wybałuszył oczy ze zdziwienia, jakby nie dowierzając, że mogła go zaatakować, a później wrzasnął tak, że słyszano go w całym więzieniu. SS-Gruppenführer Radke poderwał się z miejsca, jakby chciał uciec od oprawcy. Wisiała na nim, niczym bulterier na swojej ofierze.

Młody esesman doskoczył do nich i kopnął ją z całej siły. Krystyna Zapolska upadła na podłogę i wypluła prawie całe ucho otyłego esesmana. Radke tymczasem złapał się za miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą była małżowina uszna pomiędzy palców ciekła mu krew. Spływała po szyi i mundurze. Czaszka wyszyta srebrną nicią na jego kołnierzu zabarwiła się na czerwono.

Wtedy Roth, oprawca celi numer sześć, wyciągnął pistolet. Popatrzyła mu w oczy. Gdy zobaczył jej minę, dreszcz przeszył jego ciało. Przeraził się tak, jakby zobaczył swoją śmierć. Na twarzy Krystyny nie było ani krzty strachu. Jeszcze nie wiedział, że ten obraz będzie go prześladować do końca jego krótkiego życia. Padł ogłuszający strzał. Fala dźwiękowa i zapach prochu strzelniczego rozeszły się po niewielkim pomieszczeniu. Nie było już bólu, świat zniknął. Bogini Adrastea odeszła.

Rozdział 4

Zanim ruszył chodnikiem w kierunku zbombardowanej kamienicy, rozejrzał się dookoła. Było jeszcze wystarczająco ciemno, aby móc poruszać się niepostrzeżenie. Liczne pożary powodowały, że nad miastem ciągle, poczynając od początku września, unosiła się pomarańczowa łuna. Za nie więcej niż trzy godziny wszędzie świt i ludzie pojawią się na ruchliwej ulicy, pomyślał. Nie miał na sobie munduru, zakopał go na obrzeżach miasta. Podarte i brudne ubranie zdjął z martwego mężczyzny, który odpowiadał mu wzrostem. Wszystko dodatkowo ubrudził tak, aby zlewało się z szaroburym pyłem, który opadał wszędzie, gdzie spadały bomby burzące.

Z jednego z wozów wziął drelichową, sztywną, szarą płachtę narzuconą na dobytek jakichś ludzi. Broń zamaskował podobnie, owijając ją szmatami. Łatwo zmylić ludzkie oko, pomyślał, idąc wzdłuż muru. W szarości nadchodzącego świtu i dymie dorywających pożarów jego białka oczu odznaczały się na ubrudzonej twarzy. Wszedł w gruzowisko, gdzie kiedyś stała piękna kamienica.

Przedniej ściany prawie w ogóle nie było, a piętra zapadły się do środka jak karty do gry, które wyglądały tak, jakby przed chwilą były mozolnie układanym domkiem. To była jego jedyna szansa, jedyne miejsce, które może dać mu pole do oddania czystego strzału i szansę, że po wszystkim uda mu się przeżyć. Zależało mu na tym tak samo mocno jak kiedyś, ale dzisiaj dopuszczał już do siebie scenariusz, że za kilka godzin lub dni może być martwy. Pogodził się z tym, że w każdej chwili może umrzeć.

Był jak ciężko doświadczony wrak człowieka. Straszne obrazy odciskały swoje piętno, a jedyne, co ostatnio oglądał, to śmierć. Najczęściej była to śmierć niewinnych cywilów: kobiet, mężczyzn i Bogu ducha winnych dzieci. Śmierć młodego, radosnego kolegi, z którym tak wszyscy mocno się zżyli, śmierć z ręki esesmana, którego zamierzał zabić z zimną krwią. Zastanawiał się, czy to wymierzenie kary, czy zemsta w najczystszej postaci, która ponoć jest gorsza od samej zbrodni. Może dane mu będzie za to odpokutować, myślał i ostrożnie przekładał cegły w gruzowisku.

Wiedział, że musi wybrać najmniej oczywiste miejsce. Gdyby ktoś miał szukać w ruinach ukrytego strzelca, zapewne wspiałby się po zwisającej podłodze i sprawdziłby piętro, właśnie stąd miało się widoczność na całą długą aleję, na której końcu stały piękne wille. Tam, w jednej z nich, spokojnym snem sypiał ten esesman.

Sebastian śnił same koszmary. Od kilku dni widywał w snach Andrzeja i córki

Kabacińskich, z którymi się bawił. Młodzian z zakrwawioną twarzą i uśmiechem na ustach prosił go o papierosa, zupełnie jakby nie wiedział, że nie żyje. Sebastian starał się mu to delikatnie wyjaśnić, ale on nic sobie z tego nie robił, tylko uśmiechał się do niego radośnie i ze śląskim akcentem prosił dalej, podczas gdy dziewczynki dokazywały dookoła nich.

Zastanawiał się, dlaczego nie śni mu się major, który tak mocno wpłynął na jego osobowość. Myśli błądziły, a on odkładał cegły, jedna po drugiej. Miał zamiar usadowić się z boku małego nasypu, naprzeciw którego było okno. Wcześniej zerknął przez nie, sprawdzając, czy zachowa odpowiedni kąt i czy będzie widać cel, który miał się pojawić w oddali. Wiedział, że to będzie trudny strzał. Gdy starannie szykował stanowisko strzeleckie, usłyszał kroki.

Rozchodzące się echo zapewne pochodziło od kilku osób i na pewno byli to żołnierze. Bez chwili wahania przywarł do ziemi i naciągnął na siebie płachtę. Niemiecki patrol pojawił się kilka sekund później. Idąc ostrożnie po rozsypanych ceglach z frontowej ściany, Niemcy rzucili okiem do środka. Nie mieli zamiaru wchodzić. Zniechęcił ich zapach spalonych zwłok i rozkładającego się ludzkiego ciała. Skrzywili się i rzucili jakieś przekleństwa pod nosem. Sebastian słyszał niewyraźne głosy. Pewnie jakieś świeże dostawy SS, pomyślał.

Gdy głosy umilkły, ostrożnie wysunął głowę spod przykrycia. Najpierw rozejrzał się po budynku, a później, najciszej, jak potrafił, doszedł do miejsca bliżej ulicy. Wszedł po belce stropowej na piętro i ukradkiem wyjrzał przez okno. Niemcy odeszli już kilkanaście metrów dalej, miał nadzieję, że obchód mają zaplanowany tak, że będą wracać inną drogą.

Na piętrze odnalazł przyczynę nieznośnego fetoru. Pod ścianą nośną, na której opierały się dźwigary kolejnego piętra, leżały zwłoki mężczyzny. Wydzielaly słodki i duszący zapach. Będąc tak blisko źródła smrodu, poczuł mdłości. Cofnęło mu się, ale nie wymiotował, poza tym nie bardzo miał czym, bo od dwóch dni niewiele jadł. Zostały mu dwa suchary, które zamierzał zjeść o świcie. Podeszedł do mężczyzny, który miał spaloną głowę i tors. Z pozostałości twarzy ciężko było odgadnąć, w jakim był wieku. Odsłonięta żuchwa i pozostałości zwęglonych mięśni sprawiały wrażenie, jakby uśmiechał się do żołnierza, szczerząc zęby. Jego ręce były wygięte w nienaturalny sposób.

Sebastian, mimo początkowego oporu, podeszedł do niego, złapał go pod pachami i próbując nie wymiotować, ściągnął zwłoki na dół, gdzie wyłobił miejsce na swoją kryjówkę. Położył płachtę, a pod nią jedną mocną deskę, która leżała obok. Później wszystko obłożył ceglami i deskami tak, aby wyglądało na wynik bombardowania. Na deski wsunął zwłoki mężczyzny. Teraz pozostało mu wejść do środka, zająć pozycję i czekać.

Delikatnie wsunął się, próbując nie naruszyć żadnego z istotnych elementów mozolnie

przygotowywanej kryjówki. Niedługo po tym, kiedy zniknął, patrol złożony z młodych esesmanów znowu minął kamienicę. Wsłuchał się w stukot żołnierskich butów, spokojnie odprowadzając w myślach zagrożenie. Cierpliwości nauczył się już jako nastolatek w warsztacie wuja Ziemowita. Mógł godzinami siedzieć nad jednym problemem tak długo, dopóki go nie rozwiązał. Nawet w najstraszniejszych snach nie przyszłoby mu do głowy, że kiedykolwiek swoją anielską cierpliwość będzie wykorzystywał właśnie do takich celów.

Minęła już czwarta godzina, od kiedy leżał pod gruzami kamienicy i jednym z jej mieszkańców. Tuż po tym, jak wzeszło słońce, pojawił się kolejny przybysz. Zabłąkany pies szukał czegoś do zjedzenia. Przez szczelinę zauważył, jak czworonóg niecierpliwie pociąga nosem. Kiedy wychudzony pies zrezygnował, Sebastian zjadł drugiego suchara. Porucznikowi smród już nie przeszkadzał. Problem pojawił się, gdy pęcherz dał o sobie znać. Rozwiązał go szybko, obrócił się na bok i załatwił sprawę. Smród mojego moczu przy tym to francuskie perfumy, pomyślał i zdobył się na delikatny uśmiech.

Powrócił do rutynowej czynności, obserwacji przez lunetę wycinka dzielnicy. Na ulicy pojawiali się i znikali ludzie. Co jakiś czas widział przemykające niemieckie patrole. Oczy zaczynały go piec ze zmęczenia. Jeden strzał, żadnych poprawek. Niczym przesłuchanie w teatrze. Scena i kilka zdań do wypowiedzenia, które mają zdecydować o twojej karierze.

W ten dzień, jak na zawołanie, pogoda nie była kapryśna i nie wiało zbyt mocno. Strzał w wietrzną pogodę w terenie zabudowanym na dużą odległość to wielka niewiadoma. Wiatr kręci między budynkami i ciężko przewidzieć poprawkę. Sebastian otworzył zamek i wyciągnął nabój. Dmuchnął na niego i wyczyścił go palcami, przyjrzał się przez chwilę zaostzonemu czubkowi, po czym włożył go z powrotem i zaryglował zamek. Był gotowy. Wiedział, że nie pozostało wiele czasu.

Egner był wściekły do granic możliwości. Z Berlina dotarły rozkazy jasno mówiące o przenosinach do jakiejś małej polskiej miejscowości, której nazwy nie był w stanie wymówić, a co dopiero zapamiętać. Gdy zobaczył ją na mapie, nie mógł w to uwierzyć. Taka degradacja, potraktowali go jak zwykłego podoficera. Gdy zadzwonił do Radkego, jeszcze nigdy w życiu, od nikogo, nie usłyszał tylu obelg na swój temat. Dowiedział się, że Agathe była polskim szpiegiem i fotografowała wszystkie tajne dokumenty, które miał w domu. Dzięki niej Polacy wiedzieli o nocy kryształowej i gliwickiej prowokacji. Kazał mu się nie pokazywać na oczy i wysyczał, że najlepiej by zrobił, gdyby palnął sobie w łeb.

Jego cały świat legł w gruzach. Jeszcze tydzień temu miał marzenia o zrobieniu wielkiej kariery w Warszawie, a u jego boku miała być najpiękniejsza kobieta, jaką znał. Wszystko pękło jak bańka mydlana, to miał być ostatni dzień w stolicy Polski. Dostał polecenie stawienia się w sztabie, a później niezwłocznego ruszenia na południe.

- *Herr Sturmbannführer*, samochód już czeka – powiedział młody Sturmmann.
- Niech czeka! Tak długo, jak to będzie konieczne! Zrozumiałeś? – wrzasnął.
- Tak jest, *Herr Sturmbannführer*! – Sturmmann strzelił obcasami.
- Co się gapisz, durniu, łap się za bagaże.
- W tej chwili! – Przerażony esesman ruszył do holu.

Egner wyszedł przed dom i zerknął na brzydki samochód. Miałem jeździć mercedesem i bywać na salonach byłej stolicy Polski, pomyślał, a na twarzy zagościł grymas wściekłości. Obstawa, jakbym miał zdezerterować. Prychnął. Dwóch motocyklistów i dwóch żołnierzy w kołyskach patrzyło na niego wyczekująco. Za samochodem stał łazik z czterema esesmanami, którzy, gdy go zobaczyli, wyrzucili papierosy i wsiedli do środka. Po chwili siedział na tylnej kanapie kadetta i nie odzywając się, patrzył, jak młody kierowca przesuwają dźwignię zmiany biegów. Mały konwój ruszył przed siebie.

Gdy porucznik Rychter przetarł oczy i ponownie zbliżył się do lunety, w małym szkiełku pojawił się pierwszy motocykl. Po chwili zauważył czarnego sedana, skręcającego w aleję. Niewyraźna postać w oficerskiej czapce siedziała na tylnym siedzeniu. Za chwilę mieli się pojawić w strefie strzału. Wyrównał oddech i przycisnął kolbę do policzka. Wiedział, że kula musi wejść pod odpowiednim kątem, minąć kierowcę i trafić w pasażera. Nie miał pewności, czy będzie to strzał, który pozbawi go życia, choć na to liczył. Nie odstąpi, dopóki go nie zabije.

Drugi z motocykli minął ułamany szpros okna. Wtedy pojawił się kadett. Teraz już z łatwością rozróżniał młodego kierowcę i sylwetkę pasażera. Położył palec na spuście.

– Nie istnieję ja i mój karabin. Jest tylko cel, kula i odpowiednia trajektoria, którą wykorzystam, którą czuję całym sobą, tu i teraz. To dla ciebie, Młodzian – wyszeptał.

Wypuścił gęste powietrze z płuc, powstrzymując się przed kolejnym wdechem. Najdelikatniej, jak potrafił, ściągnął język spustowy.

Egner huk wystrzału usłyszał w chwili, gdy kula przebiła jego ciało, przechodząc przez trzustkę i jedną z głównych arterii. Złapał się pod mostkiem i oparł wygodnie. Poczł ciepło pod palcami. Bał się spojrzeć w dół. Lęk stał się tak silny, że esesman zaczął się trząść, a na jego czoło wyszły krople potu. Łykał powietrze płytkimi pociągnięciami, nie wiedząc do końca, co się wydarzyło.

Gdy kierowca spojrział na dziurę w szybie, od razu zatrzymał samochód, wyskoczył na jezdnię i schował się tuż za drzwiami. Motocykliści natychmiast stanęli, a tuż za nimi łazik, z którego wysypali się esesmani. Wszyscy trwali w gotowości. Mierząc w okoliczne okna, czekali na kolejne strzały. Ulica opustoszała. Cisza, nic się nie działo. Sebastian wsunął broń do środka, kładąc ją obok siebie, po czym wyciągnął i odbezpieczył visa. Gdyby go znaleźli, nie podda się bez walki. Przykrył płachtą miejsce,

gdzie lekko wystawał karabin. Czekał. Niemcy z osłony Egnera ruszyli do przodu. Sturmbannführer leżał na tylnej kanapie i umierał, pełen lęku. Błagał i wzywał pomocy. Wściekły, żądny krwi i bezwzględny esesman konał jak tchórz. Młody kierowca skulony za drzwiami usłyszał jęki i wołania o pomoc swojego zwierzchnika. Wrócił do oficera.

– Zawieź mnie do szpitala, proszę. – Błady Egner tym razem prosił jak szeregowy. Sturmman wskoczył za kierownicę i zawrócił. Żołnierze, którzy szli w kierunku kamienicy, odprowadzili opla wzrokiem.

– Nie chcę umierać, ratunku, matko, jak boli.

– Za chwilę będziemy na miejscu, *Herr Sturmbannführer*, niech się pan trzyma. Szpital jest dwie przecznice stąd.

Egner przewrócił oczyma.

– Boję się – rzucił cicho i po chwili patrzył już ślepo w sufit. Nie żył.

Do kamienicy weszło dwóch ludzi z SS-Verfügungstruppe. Mieli broń gotową do strzału. Wszyscy tak samo krzywili się z powodu smrodu rozkładającego się ciała. Sebastian leżał bez ruchu. Słyszał ich, jakby stali tuż nad nim.

– Idź, sprawdź na górze. Ależ tu cuchnie – powiedział dowódca drużyny.

Młody Sturmman niechętnie, ale z pokorą wykonał rozkaz. Przeszedł obok martwego cywila i zaczął ostrożnie wspinać się na piętro. Mało brakowało, a nadepnąłby na Rychtera. Reszta stała i mierzyła w kierunku odsłoniętych pięter. Gdy wszedł na górę, rozejrzał się dookoła.

– Nikogo tu nie ma – rzucił ze zdziwieniem w głosie. – Tylko ten trup na dole – dodał.

– Złaź, idziemy dalej. Szybko! Nie mógł uciec daleko.

Nie minęła chwila, a Niemcy opuścili gruzowisko. Porucznik Rychter miał zamiar się zdrzemnąć. W drogę ruszy nocą. Teraz czekał go co najmniej piętnastogodzinny odpoczynek. Zanim zasnął, zastanawiał się, czy kiedykolwiek ujrzy jeszcze Tuchowiaka, Radka i Chyżego. Znowu wspominał majora. Jego wujek miał rację, że nie będzie żałował znajomości z tymi doborowymi żołnierzami.

Feliks Zygartowicz był najlepszym oficerem, jakiego poznał. Bał się, że już nigdy nie trafi się na jego drodze ktoś tak wyjątkowy. Pomyślał o ojcu i wuju Ziemowicie. Zastanawiał się, czy żyją i co się z nimi dzieje. Wiedział, że Niemcy za to, co zrobił przed chwilą, rozstrzelają niewinnych cywilów. Musiał z tym żyć. Zaczął się modlić i po niedługiej chwili zasnął.

Rozdział 5

Siostra Halina, wykwalifikowana pielęgniarka, która wiele lat temu z wyróżnieniem ukończyła Warszawską Szkołę Pielęgniarstwa, szła korytarzem z poważną miną. Była nie mniejszym wojownikiem niż dzielni obrońcy Warszawy. Wszyscy doświadczeni lekarze z Praskiego Szpitala Przemienienia Pańskiego dobrze ją znali i lubili z nią pracować. Siostra Halina zawsze mówiła, jak jest, nie negocjowała, tylko gdy była czegoś pewna, stawiała na swoim.

Młodzi lekarze traktowali ją z ogromnym szacunkiem, a nawet się jej bali. Nowy personel często o niej dyskutował i straszył nią kolejne pokolenia pielęgniarek, które trafiały pod jej opiekę. Dyżur z carycą, jak ją nazywano szeptem, „no to, koleżanko, pracowita noc czeka koleżankę”, mawiano. Tak też było, sławna siostra bowiem uważała, że nigdy nie będzie dnia w szpitalu, żeby nie było czegoś do zrobienia.

Idąc szerokim korytarzem, cieszyła się, że Warszawa padła. To i tak było nieuniknione. Skończyły się bestialskie naloty. Od początku września w stolicy życie straciło co najmniej dziesięć tysięcy cywilów, a trzydzieści pięć tysięcy było rannych. Od początku wojny pracowały nieprzerwanie. Jadły, piły i spały w szpitalu, którym teraz był Żydowski Dom Akademicki przy ulicy Sierakowskiego.

Praski szpital został zbombardowany. Gdy przymykała oczy, pamiętała ten dzień, jakby się skończył chwilę temu. Biegały z noworodkami na rękach i pacjentami pod pachę, a w bliskiej odległości trwał nalot. Nienawidziła Niemców, nienawidziła tej wojny, która w jej mniemaniu skierowana była przeciwko ludności cywilnej. Brzydziła się ich okrucieństwem, żądzą władzy. Kilka z jej koleżanek zginęło pod gruzami. Były nadzieją beznadziejnych przypadków. Były spowiednikami i kobietami, które słyszały ostatnią wolę setek konających. Były morfiną cierpiących przy stołach operacyjnych.

Późnym popołudniem dwudziestego ósmego września mijała łóżka stojące w przejściach, pomieszczeniach gospodarczych, na korytarzach, wszędzie tam, gdzie tylko dało się ulokować rannych. Dla wielu nie wystarczyło miejsca. Weszła do sali z tacką, na której stała szklana butelka z kroplówką. Podeszła do jednego z łóżek stojących w rzędzie pod ścianą. Widziała drobną głowę zwróconą w przeciwnym kierunku. Fale blond włosów kobiety równo układały się na poduszce.

Lubiła tę dziewczynę. Dzień, w którym ją ratowali, był jednym z tych, kiedy na miasto spadły setki bomb. Pamiętała ją dobrze, przyjechała w opłakanym stanie, ale to była noc

cierpienia i cudów. Siostra Halina patrzyła przez chwilę na nieruchomą głowę. Może to siła natury. Nieważne. Tak właśnie było i w tę noc. Piękna istota trafiła na stół. Strzaskane żebra, pęknięta wątroba i krwotok wewnętrzny. Odeszła po kilku minutach, dosłownie chwilę po tym, jak chirurgowi udało się opanować krwotok. Młody, jeszcze niedyplomowany chirurg Paweł Haydon nie godził się z takim obrotem spraw. Absolwent Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego znał pracę Jana Prusa, który we Lwowie, jako pierwszy na świecie, przeprowadził bezpośredni masaż serca.

Młody chirurg przystąpił do działania. Nie miał zamiaru złożyć broni i walczył do końca. Rozalia Bąkiewicz przeżyła. Widział to cały blok operacyjny.

Siostra podeszła do stojaka z kończącą się kroplówką. Rozalia obróciła głowę. Była jeszcze bardzo słaba. Na policzkach miała mokre ślady po łzach.

– Pewnie chciałabyś, żebym była kimś innym? – powiedziała ciepłym głosem pielęgniarka.

Rozalia tylko przymknęła powieki na ułamek sekundy.

– Na pewno żyje, Bóg jest dla ciebie nad wyraz łaskawy, gołąbeczko. Twoja historia musi się dobrze skończyć, ale na razie musisz nabierać sił. – Spojrzała na alabastrową twarz pięknej kobiety, po której policzku spłynęła kolejna łza. – Odpoczywaj, kochanie, odpoczywaj, wszystko będzie dobrze. Zaśnij, a jak się obudzisz, będzie nowy dzień i poczujesz, jak wiele jest siły w twoim ciele.

Rozalia zamknęła oczy i myślami powróciła do wieczoru z końca czerwca. Halina Leszczna wymieniła kroplówkę i zniknęła za drzwiami.

Część piąta

Droga

*Kiedy zabolą nas nogi tysiącem drzew,
pójdziemy dalej księżycem – przez słup oporu – postój,
gdy noc jak pręt leszczynowy gniazdami się gnie
w niebo prostu.*

Krzysztof Kamil Baczyński, *Drogi nocne*

Rozdział 1

Radke spojrział na strzykawkę z wciśniętym tłoczkiem. Napał na oparcie fotela, odrzucił głowę do tyłu i założył ręce za głowę.

– „Führer był bardzo zawiedziony, *Herr* Radke. Oby ta porażka nigdy nie ujrzała światła dziennego” – powtórzył z pogardą słowa Heinricha Himmlera i prychnął.

Poczuł, że ma ochotę zapalić. Schylił się i podniósł z biurka świeże cygaro. Obrócił je w dłoniach i spojrział w róg gabinetu. W ciemnym rogu stał sejf. Gruppenführer zatrzymał się na chwilę i otaksował wzrokiem stalowy mebel. Poczuł, że ten niemo kpi z niego. Łysina zaczęła pokrywać się zimnym potem, a ręce zaczęły się trząść.

– Nieudacznik! – usłyszał.

Żrenice, małe jak główki od szpilek, nagle rozszerzyły się mocno, Radke pobladł.

– Jesteś słaby, słaby!

Ten głos w głowie był dobrze znany. Lęk przyszedł tak gwałtownie, że zabrakło mu tchu. Pociemniało mu przed oczyma.

Kiedy otworzył oczy, poczuł, że policzek dotyka czegoś miękkiego. Znał to uczucie. Kiedy wzrok nabrał ostrości, dojrzał żeliwną bramkę zamontowaną przed kominkiem po to, aby płonące polana nie wyturlały się na podłogę. Leżał na dywanie i znał jego każdy centymetr. Wiedział, że utkany wzór zawiera róże. Na dłuższym boku, tym bardziej wysłużonym, którego nie lubił, były dwieście siedemdziesiąt trzy kwiaty. Na drugim boku róże były ładniejsze. To była jego ścieżka. Dokładnie trzy stopy i pięć palców przed końcem komody był niewielki feler. Kilka źle wszytych nitek. Właśnie tu, tuż za długim frontem masywnego mebla, było jego bezpieczne miejsce. Wskrzeszone upiorne cienie budzone do życia przez jęzory ognia z kominka tutaj nie docierały.

To tutaj czekał i płakał cicho, kiedy ojciec bił i gwałcił matkę. Klaus Radke był w leśniczówce swoich rodziców. Niewielkim domu ze stromym dachem, pokrytym czerwoną dachówką. Ta kryjówka, niespełna trzydzieści kilometrów od Offenburga, w Schwarzwaldzie, była katownią rodziny Radke.

Mały Klaus, gdy tylko usłyszał trzask zamykanych drzwi, a dźwięk psich pazurów drapiących dębowy parkiet rozszedł się po holu, od razu podniósł się i na czworakach ruszył wzdłuż różanego wzoru. Prosto do swojej kryjówki. Ładna suka posokowca bawarskiego wpadła do salonu. Freya o smutnych oczach dobrze znała zabawę

w chowanego. Dobiegła do kryjówki i zaczęła lizać małego Klause. Ogon tłuł o drzewiczki dębowej komody.

– Uciekaj, Freya, uciekaj. – Odpychał ją. – Musisz się ukryć.

Suka jakby zrozumiała, odskoczyła i popędziła do swojej pani. Szczupła kobieta o ciemnych włosach stała w drzwiach ze spuszczoną głową. Sigrid Radke w ogóle nie zareagowała na psa. W głębi duszy czuła się nawet trochę podobna do Frei. Była posłuszną, źle traktowaną, bita i poniżaną. Niczym wierny pies, wszystko znosiła z pokorą, jedyne, co je różniło, to okazywanie radości. Sigrid nie umiała się cieszyć. Otto Radke wszedł do salonu, zrzucił z siebie zieloną filcową kurtkę i cisnął kapelusz na fotel.

– Co się gapisz? Rusz się i przynieś mi szklanek koniaku!

Sigrid wiedziała, że karafka stoi tak blisko, że sam mógłby po nią sięgnąć. Podchodząc do stolika z trunkami, kątem oka zauważyła wystraszonego syna. Przeszła obok niego i naląła płynu.

– Polowanie się udało? – rzuciła, udając radość.

– Gównu się udało!

Gdy Otto Radke podchodził do fotela, Freya podbiegła do niego i rzuciła mu się pod nogi. Zupełnie jakby chciała odciągnąć tyrana od dobrze znanej jej kryjówki, do której prowadziła różana ścieżka. Otto Radke ze wściekłą miną spojrzał na ucieszonego psa.

– Ta głupia suka nie wytropiłaby nawet pociągu z kiełbasą! – Zamachnął się nogą i z całej siły kopnął psa pod żebra. Ten zaskomlał przeraźliwie i resztką sił uciekł do holu.

Otto Radke usiadł na fotelu, jakby zupełnie nic się nie stało. Klaus trząśł się za komodą i powstrzymywał od płaczu. Senior rodu zerknął na ubłocone oficerki i przechylił szklaneczkę z koniakiem. Żona stała bez słowa, czekając na kolejny rozkaz.

– Klaus! – krzyknął tak, że kobieta podskoczyła ze strachu. – Gdzie jesteś, strachliwy bachorze? Klaus!

Chłopiec wychylił się zza komody i spojrzał na ojca.

– Tu jesteś. Pomóż ojcu zdjąć buty.

Klaus nieufnie wyszedł z kryjówki i zabrał się za pierwszy but. Matka obserwowała, jak dziecko siłuje się z brudnymi oficerkami, ale wiedziała, że nie może mu pomóc. Chłopiec sobie nie radził. Otto Radke patrzył na niego z pogardą. Pchnął but nogą przed siebie tak mocno, że dziecko upadło na dywan.

– Nieudacznik! To twoja wina! Jest taki słaby jak ty! – krzyknął w kierunku Sigrid.

Mały Klaus Radke się rozpłakał i ruszył do matki.

– Maminsynek! Nic z ciebie nie wyrośnie! Nieudacznik! Nieudacznik!

Gruppenführer Radke ocknął się nagle i złapał haust powietrza. Był spocony

i przerażony. Rozejrzył się po gabinecie. Spojrzał na zegarek, było siedem do ósmej wieczorem. Zaczesał spocone włosy na łysinę i wsunął okulary na nos. Kilka desek zaskrzypiało na korytarzu, Gruppenführer obrzucił wzrokiem ciemne drzwi gabinetu.

– Wejdz! – odezwał się, zanim nowy ordynans, SS-Obersturmführer Thomas Gürke, zapukał.

Młody porucznik chwycił za klamkę i wszedł do gabinetu. Stanął na baczność, strzelając obcasami. Radke zauważył, że obrzucił wzrokiem stalowe pudełko i szklaną strzykawkę.

– *Herr Gruppenführer...*

– Nie pochwalasz tego, prawda? – przerwał mu Radke.

Żołnierz zawahał się.

– Mów, co myślisz – dodał generał.

– Nie, *Herr Gruppenführer*. – Młody esesman mówił cicho.

– Dlaczego? – Radke sięgnął po srebrną zapalniczkę i przypalił cygaro.

– Mówi się, że to zaburza trzeźwe myślenie, *Herr Gruppenführer*.

– To prawda. – Pyknął. – Ale najlepsze pomysły przychodzą w abstrakcyjnym świecie, *Herr Gürke*.

Oficer skinął głową.

– A więc z czym pan przychodzi?

– *Herr Gruppenführer*, melduję posłusznie, że właśnie telefonował do mnie ordynans Reichsführera. Spotkanie planowane jest jutro w Berlinie o godzinie czternastej. Zalecam wyruszyć nieco wcześniej, drogi są zaśnieżone.

– Przewidujący. Może się polubimy, *Herr Gürke*, może się polubimy. – Radke po raz kolejny pyknął z cygara, odsunął stalowe pudełko na biurku i podniósł jakiś list. – To wszystko, jest pan wolny – dodał.

– Tak jest. *Heil Hitler!*

Radke nie odpowiedział.

Rozdział 2

– Proszę, niech pan spocznie, *Herr Radke*.

Człowiek o ziemistej cerze wskazał fotel na kształt francuskiej berzery. Gruppenführer ściągnął czapkę z trupa główką i delikatnie usiadł.

– Dziękuję, *Herr Reichsführer* – odpowiedział z pokorą.

Zwierzchnik SS przyjrzał się przybyszowi i uśmiechnął się szczerze. Nie przepadał za tym wyniosłym człowiekiem z nadwagą, ale w jednej kwestii byli bardzo podobni. Siedział przed nim idealista, który nigdy nie porzucił swoich przekonań, i to ich łączyło. Powinien ukarać generała za jego nieroztropność, na co nalegał Reinhard Heydrich, ale ogromne zadanie, które przed nimi stało, potrzebowało oddanych liderów, pomyślał Heinrich Himmler i poprawił okulary w cienkich stalowych oprawkach.

– Napije się pan herbaty? – Reichsführer wskazał na niewielki imbryk na biurku.

– Chętnie, *Herr Himmler*.

Radke obserwował, jak szef unosi imbryk i nalewa jasnego płynu do dwóch filiżanek.

– Zna się pan na ziołach, *Herr Radke*?

Radke, słysząc te słowa, zaczął żałować, że zgodził się na tę filiżankę herbaty.

– Niestety nie – rzucił i podniósł się, aby sięgnąć po spodek.

– Dziś sporządziłem mieszankę na lepsze trawienie, aby zadbać o prawidłowe wydzielanie odpowiednich enzymów. To herbata z liści białej morwy i pokrzywy. Proszę skosztować.

Radke widział, że jest obserwowany. Himmler znowu się uśmiechnął.

– Aby oczyścić organizm, potrzebne jest poświęcenie, *Herr Radke*. I właśnie po to pana tu wezwałem.

Gruppenführer oderwał usta od porcelanowej filiżanki i spojrział ze zdumieniem na Himmlera.

– Kiedy w czerwcu pan z mizernym efektem pracował w Breslau, odbyło się pewne spotkanie. Poruszaliśmy na nim temat eutanazji jednostek niegodnych życia – Reichsführer zatrzymał się na chwilę. – Czy dotarły do pana jakiekolwiek informacje w tej sprawie?

– Tak, *Herr Reichsführer*. – Radke skinął głową i z zainteresowaniem podniósł wzrok, starając się ukryć zdenerwowanie. Porażka w Gleiwitz ciągle była żywa w jego głowie.

– Co pan o tym sądzi? – zapytał *Reichsführer*.

– Uważam to za bardzo dobre posunięcie. *Herr Himmler*, jak mi wiadomo, program dotyczy obszarów Rzeszy. Dlaczego by nie oczyścić całej naszej nowej przestrzeni? – dodał pyszałkowato.

Himmler milczał przez chwilę.

– To jest właśnie ta pańska cecha, którą starałem się objaśnić Reinhardowi. Nie skupia się pan na detalach, tylko od razu tworzy obraz wielkiego przedsięwzięcia, którego drobny element przed chwilą otrzymał. Właśnie dlatego pana wybrałem, *Herr Radke*.

– Dziękuję. Jeśli wolno mi spytać...

Himmler podniósł dłoń.

– Najpierw wprowadzenie.

Radke wyraźnie zawstydzony skinął delikatnie głową.

– A więc doktor Conti ze swoimi świątymi pomysłami scalił naszą debatę w czerwcu i w efekcie powołaliśmy Komitet do spraw Naukowego Opracowywania Ciężkich Chorób Uwarunkowanych Genetycznie i Konstytucjonalnie. Owocem rozmów stały się wytyczne dla wszystkich akuserek w Rzeszy, aby po urodzeniu dziecka, przy którym były obecne, składały meldunek w urzędzie zdrowia. Oczywiście, o ile zachodziła taka potrzeba. Wszystko po to, aby nie dopuścić do zanieczyszczeń wkradających się we wspaniałą aryjską rasę. To wielce nieroztropne, aby pozwalać w przyszłości rozmnażać się osobnikom rodzącym się z wodogłowiem, idiotyzmem, mongolizmem czy innymi ułomnościami. Kierując się dobrem najwspanialszej rasy germańskiej i losem Trzeciej Rzeszy, uznaliśmy te osobniki za niegodne życia. – *Reichsführer* upił kolejny łyk ziołowej herbaty. – Oczywiście wysyłamy skierowania na szczepienia do specjalnych ośrodków. Tam w odpowiednich warunkach dawka morfiny bądź barbituranów rozwiązuje sprawę.

Radke, słysząc o morfinie, poczerwieniał i poczuł, jak się poci. Odstawił filiżankę na biurko i otarł krople z czoła.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał Himmler.

– Tak, *Herr Reichsführer*, tylko herbata mnie rozgrzała.

– Rozumiem. – Himmler znowu poprawił okulary, odsunął się lekko z krzesłem i założył nogę na nogę. – Dalej, na kolejnym spotkaniu we wrześniu w uroczym Zoppot Führer podjął decyzję, że akcja pod kryptonimem T4 powinna zostać rozszerzona. Obecnie zajmujemy się chorymi w różnych ośrodkach na terenie Rzeszy i po części w okupowanej Polsce. I tu właśnie zaczyna się pańska rola, *Herr Radke*.

– Jaka? Jeżeli wolno mi spytać, *Herr Reichsführer*.

– Widzi pan, dawanie zastrzyków i rozstrzeliwanie stało się wielce nieefektywne. Potrzebujemy kogoś, kto usprawni i poprowadzi dla nas ten program, zda relację, a co więcej, wdroży nowe metody.

– Nowe metody? – zapytał Radke.

Himmler odsunął szufladę biurka, wyciągnął spore zdjęcie i podał je Gruppenführerowi. Ten przyjrzał się ciężarówce z dużą nadbudówką.

– Wygląda jak furgon do przewożenia mebli.

– Owszem, z tą różnicą, że rury wydechowe kończą się w środku.

Gruppenführer przymrużył oczy i oderwał się na chwilę od rozmowy ze zwierchnikiem. Ręka mimowolnie powędrowała do resztek niekształtnego ucha. Wykończę te wszystkie człekomalpy, pomyślał. Himmler przyglądał mu się przez chwilę.

– Niedawno zaczęliśmy eksperymentować z tlenkiem węgla, a za niedługo pragniemy przetestować coś zupełnie nowego.

– Proszę wybaczyć śmiałość, *Herr Reichsführer*. A co z tymi wszystkimi Żydami i śmierdzącymi Polakami, będziemy ograniczać się tylko do niepełnosprawnych?

Himmler tym razem uśmiechnął się szeroko.

– Podoba mi się pański zapach. Wszystko w swoim czasie. Przestrzeń dla naszej wspaniałej rasy musi być budowana sumiennie i bezbłędnie.

– Całkowicie się z panem zgadzam.

– Dobrze, do rzeczy. Na moje polecenie Gauleiter Arthur Greiser niedawno zaadaptował w Posen pewien fort na obóz koncentracyjny. – Himmler zerknął na Radkego i ponownie podniósł delikatnie dłoń. – Wyprzedzę pańskie pytanie, nie taki, o którym pan myśli. Zupełnie różny od Dachau. Powiedzmy, że to obóz szkoleniowy. –

Reichsführer zatrzymał się na chwilę, znowu rytualnie poprawił cienkie stalowe oprawki i spojrzał gdzieś w nicość. – Pańskim zadaniem będzie opanować eutanazję do perfekcji, zdać mi bezpośrednią relację z wdrażanych innowacji, wybrać miejsce na prawdziwy obóz w Wartheland i wyselekcjonować komendanta. Rozumie pan, w jak zaszczepnym planie pana uwzględniam?

– *Herr Reichsführer*, naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Na pewno pana nie zawiodę.

– Wiem, drogi Klausie – Himmler uśmiechnął się i rozparł wygodniej na fotelu. – Zdradzę panu pewną tajemnicę, proszę potraktować to jako dowód mojego zaufania. W przyszłym roku w Polsce powstaną dwa wielkie obozy deportacji Żydów z całej Europy. Zbierzemy ich wszystkich w tych miejscach. Najprawdopodobniej rozchodzi się o Warszawę i Łódź. Wtedy musi być pan gotowy na każde wezwanie, a pańskie obozy będą musiały tworzyć mocną infrastrukturę. Ale zacznijmy najpierw od tych terenów.

Czy mnie pan rozumie?

– Więcej nie musi pan mówić, *Herr Himmler*.

– Doskonale. Ma pan jakieś dodatkowe pytania?

– Tak, jedno.

– Słucham?

– Co z Polakami, czy ograniczamy się tylko do Żydów?

– Nic z tych rzeczy, choć Führer uważa ten głupi naród za nad wyraz pracowity... Widzi pan, słabi, niedołążni oczywiście muszą być sklasyfikowani jako niezdolni do życia. Oczywiście inteligencja polska to wielce reakcyjna grupa i także musi zostać unicestwiona. Zresztą proszę się nie martwić. Ja nie odbieram panu władzy nad częścią Einsatzgruppen. Wręcz przeciwnie, ja tą władzą właśnie pana obdarowuję. – Himmler dostrzegł, jak poszarpane ucho generała lekko poczerwieniało.

Radke mimowolnie zacisnął pięść.

– *Herr Himmler*, od kiedy mam zacząć? – rzucił generał SS.

– Drogi Klausie, jak tylko opuści pan ten gabinet. Proszę zlecić mojemu ordynansowi przewiezenie wszystkich pańskich rzeczy. Gauleiter Greiser już o wszystkim wie i szykuje panu piękną kwaterę. Byłem pewien, że się pan zgodzi. – Uśmiechnął się.

Radke wstał z fotela i założył czapkę. Strzelił obcasami i wyrzucił ramię przed siebie.

– *Sieg Heil!*

– *Herr Radke*, proszę pamiętać, że nie może pan wspominać nikomu o tym aspekcie naszej chwały.

– Oczywiście, *Herr Himmler*.

– Podróż przed panem, proszę pozostawić swój samochód służbowy i skorzystać z jednego z moich. Niech to będzie prezent na poczet przyszłej współpracy.

– *Herr Reichsführer*, czuję się zaszczycony.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Do widzenia.

Kiedy Radke wyszedł, Himmler siedział przez chwilę w ciszy. Dopił ostatni łyk herbaty, podniósł słuchawkę aparatu i poprosił o połączenie z Obersalzbergiem.

Rozdział 3

Szmer usłyszany na klatce schodowej panu Karolowi zmroził krew w żyłach. Spojrzał na żonę. Pani Bogumiła podniosła głowę znad talerza zupy grochowej, przeżegnała się i zaczęła głośno modlić.

– Duszo Chrystusowa, uświęć mnie. Ciało Chrystusowe, zbaw mnie. Krwi Chrystusowa, napój mnie. Wodo z boku Chrystusowego, obmyj mnie. Męko Chrystusowa, pokrzep mnie.

– Ciszej, głupia – szepnął pan Adamczyk i ruszył do drzwi.

Ostrożnie przyłożył oko do wizjera i spojrzał na klatkę schodową. Dzięki Bogu nie byli to Niemcy. Ktoś stał przed mieszkaniem pana Rychtera. Powoli otworzył drzwi.

– Czego pan tu szuka? Proszę stąd iść, tam nikogo nie ma – rzucił pan Karol.

– Panie Karolu, nie poznaje mnie pan?

Adamczyk zaniemówił. Przyjrzał się wychudzonej postaci. Mężczyzna wyglądał jak bezdomny, był zarośnięty i na pewno od dłuższego czasu się nie mył. Patrzył na orli nos i szaroniebieskie oczy. Znał tego człowieka.

– Pan Sebastian?

Przybyły zdobył się na delikatny uśmiech, po czym skinął głową.

– Wszelki duch Pana Boga chwali. Nawet pan nie wie, jak się cieszę, że pan żyje.

– Wie pan, gdzie jest mój ojciec?

Pan Adamczyk opuścił głowę, rozchylił szerzej drzwi i wykonał zapraszający gest ręką.

– Proszę, niech pan wejdzie. – Sebastian zawahał się wyraźnie. – Proszę, porozmawiajmy w środku.

Rychter znał to mieszkanie. Bywał w nim niejednokrotnie. Ojciec bardzo lubił pana Adamczyka. Urzędnik i nauczyciel przedmiotów ścisłych i przyrody łatwo znajdzie wspólny język z buchalterem. Dlatego też koledzy odwiedzali się często, niejednokrotnie dyskutując o polityce i ekonomii. Zdarzało się, że ojciec zabierał syna do pana Adamczyka. Ten pokazywał mu klasery ze znaczkami, a Sebastian siadał na dywanie i wyobrażał sobie, że jest podróżnikiem, który osobiście wysyłał listy do matki ze

wszystkich miejsc, skąd pochodziły znaczki.

Teraz siedział w kuchni, nie było znaczków, nie było matki i wiedział, że za chwilę dowie się, że jego ojciec nie żyje. Pani Bogusia uśmiechnęła się smutno. Bez słowa postawiła czajnik na kuchni.

– Sebastian, posłuchaj, twój tato...

Pan Adamczyk zatrzymał się z obawą, że wybuchnie płaczem. Patrzył na syna kolegi, z którego ten tak bardzo był dumny. Wiedział, że chłopak już wiele wycierpiał. Za młodu pochował matkę, która była każdą cząstką ciepła w ich domu, a teraz wojna zniszczyła go do końca. Siedział przed nim wrak, któremu ktoś zabrał duszę. Człowiek bez iskry życia, obojętny. Pan Adamczyk otarł łzę i pociągnął nosem.

– Dokładnie cztery dni temu przyszli Niemcy. Wrzeszczeli na klatce. Weszli do waszego mieszkania i zabrali ojca. Na początku bałem się wyjść, ale obiecałem sobie, że jak tylko się uspokoju na podwórku, to od razu ruszę i sprawdzę, co się z nim dzieje. Przecież on nic złego nie zrobił.

Pani Bogumiła stała cicho pod oknem. Wyraz twarzy młodego Rychtera w ogóle się nie zmienił. Widziała, jak podnosi wzrok na męża.

– Co było dalej? – powiedział cicho.

Pan Adamczyk widząc zachowanie młodego oficera, zmieszał się lekko. Nie takiej reakcji się spodziewał.

– Wiesz, że tuż przed wejściem Niemców do Poznania wszystkim urzędnikom zabroniono porzucić pracę pod groźbą kary śmierci? Musiałem się wywiązać z nakazu, ale są i dobre tego strony. Kiedy tylko zabrali twojego ojca, poszedłem do pracy wypytać, co się dzieje. Okazało się, że twój tato był na liście zakładników. Dzień przed aresztowaniem, na Batorego, ktoś zaatakował Niemca. I w odwecie... Sebastian, twojego tatę rozstrzelano.

Zapanowała cisza. Sebastian przez chwilę starał się przypomnieć sobie twarz ojca. Ta niestety wydawała mu się zamazana.

– Tak mi przykro. – Pan Adamczyk podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.
– Zostań u nas jakiś czas – dodał.

Pani Bogumiła skarciła męża wzrokiem.

– Teraz wiele rzeczy się zmieniło. Musisz iść do punktu meldunkowego i zgłosić, że byłeś oficerem Wojska Polskiego. Za ukrywanie tego jest taka sama kara... – urwał.

Sebastian podniósł się bez słowa i spojrzał na sąsiadów.

– Nie: „byłem” – powiedział cicho.

Pan Adamczyk szerzej otworzył oczy. – Ja ciągle nim jestem, panie Karolu. Proszę dbać o siebie i panią Bogusię. – Skinął głową i wyszedł.

Oślupiali sąsiedzi ani drgnęli. Sebastian wyszedł na klatkę schodową, wspiął się na wyższe piętro, tam przez okno, z parapetu, można było zeskoczyć na mały daszek, z którego łatwo było wejść na balkon ich mieszkania. Wyciągnął nóż i otworzył drzwi balkonowe. Wszedł do salonu. W domu nie było bałaganu, wszystko stało na swoim miejscu. Sebastian podszedł do komody i zerknął na zdjęcie matki. Dotknął palcami ramki. Przejechał wzdłuż jej nosa. Był do niej podobny.

Drugie zdjęcie przedstawiało dużo starszego ojca. Uśmiechnął się, patrząc na belfra w wełnianej marynarce. Całe życie unikał zagrożeń. „Ocena ryzyka, drogi Sebastianie, to umiejętność pozwalająca na bezpiecznie życie”. Przypomniawszy sobie słowa ojca i miał ochotę parsknąć śmiechem. Wyciągnął zrolowanego skręta i wsadził do ust. Podpalił cienkiego papierosa i jeszcze raz spojrzawszy na rodziców. Czuł, że dom to nie miejsce na rozmowę z mamą. Pomyślał o wizycie na cmentarzu i podróży do Puszczykowa, prosto do willi wuja. Zaciągnął się mocno, spojrzawszy jeszcze raz na zdjęcie ojca.

– Zamierzam ich wszystkich pozabijać – powiedział do zdjęcia i ruszył na balkon.

Rozdział 4

Limuzyna Mercedes-Benz typ 320 miała być biletem do świata wyższych sfer. Siedząc w środku, miało się wrażenie, że inżynierowie projektanci zadbali o każdy detal przestrzeni tak, aby służył użytkownikom. Radke siedział wygodnie na welurowej kanapie, przed sobą miał szybę oddzielającą go od szoferki i czuł się kimś lepszym. Szofer, widząc we wstecznym lusterku jedynie SS-Obersturmführera Thomasa Gürkego, spojrzał pytająco. Ordynans skinął głową.

Samochód pokonał niewielki krawężnik i wjechał na parking przed budynkiem gestapo w Poznaniu. Radke, oparty o podłokietnik, zadarł lekko głowę i zerknął na były Dom Żołnierza imienia marszałka Piłsudskiego, który od niedawna był siedzibą gestapo i VI Grupy Operacyjnej Policji Bezpieczeństwa Einsatzgruppen. Ten budynek nie został wybrany przypadkowo, idealnie pasował do miejskiej wizji architektonicznej Speera i Hitlera. Wielki, smutny gmach, z rzędami okien i olbrzymią klatką schodową wciśniętą pomiędzy dwa olbrzymie skrzydła, przypominał szpital kliniczny.

Z budynku wyszło dwóch esesmanów i obaj ruszyli w kierunku limuzyny. Obersturmführer Gürke obrócił się do swego zwierzchnika. Radke uśmiechnął się i dał znać, żeby wstrzymał się z otwieraniem drzwi. Jeden z esesmanów, doszedłszy do auta, chwycił za klamkę i otworzył drzwi. Drugi stanął na baczność i wyrzucił przed siebie dłoń w nazistowskim pozdrowieniu. Pierwszy wysiadł Gürke, a zaraz za nim Gruppenführer Radke, który w ogóle nie zareagował na saluty szeregowych. Wyszedł z auta i ruszył w kierunku głównego wejścia, zupełnie tak, jakby szedł do dopiero co kupionego domku letniskowego. Na schodach czekał na niego Ernst Damzog, Szef poznańskiej SiPo i SD. Gdy Radke na niego spojrzał, wyrzucił przed siebie dłoń.

– *Heil Hitler!* Czekaliśmy na pana, *Herr* Gruppenführer.

Radke wyrzucił ramię w nazistowskim pozdrowieniu.

Rozdział 5

Sebastian, minąwszy kościół Świętego Marcina, skręcił w Ratajczaka. Spojrzał na furmankę i woźnicę; w ten mroźny dzień karej klaczy spieszyło się tak samo jak jej właścicielowi. Dwa zakurzone samochody zatrzymały się przed funkcjonariuszem niemieckiej policji pomocniczej. Mężczyzna w białych rękawiczkach, ciemnej furażerze i ze stalowym emblematem zwisającym na szyi rozłożył ręce i machnął na niemieckie samochody. Niewielkie sedany przejechały przez skrzyżowanie i zniknęły za rogiem.

Zniecierpliwiony furman odprowadził Niemców wzrokiem, po czym strzelił lejcam i pogonił konia. Porucznik Rychter przyjrzał się funkcjonariuszowi i zastanowił się, jak bardzo Niemiec nie pasuje do krajobrazu. Do cmentarza parafii Świętego Krzyża miał nie więcej niż dwa kilometry. Ruszył przed siebie z myślą spędzenia kilku chwil z mamą. Odśnieży i przetrze nagrobek, wyrzuci stary znicz. Idąc, podniósł głowę i zerknął na kilka czerwonych flag z czarną swastyką w środku.

Pod trzepoczącymi sztandarami ciągnął sznur ludzi. Czym stał się Poznań? Miastem wysiedleń, gdzie na drzwiach domów można było znaleźć przypięte obwieszczenie podpisane przez burmistrza Schefflera.

Zarządzam zajęcie ewakuowanego mienia ze wszystkimi przynależnościami. Wszystkie meble oraz przedmioty, urządzenia wraz z pościelami i bielizną pościelową muszą pozostać na właściwym miejscu.

Na początku na cel wzięto Żydów i polską inteligencję. Ludzie znikali każdego dnia. Całe rodziny sypiały w ubraniach. Podczas wysiedlenia liczyła się każda minuta. Wszyscy szeptali historie o masowych rozstrzelaniach, wiadomości o publicznych egzekucjach dochodziły zewsząd. Wolsztyn, Leszno, Kościan, Kórnik, w każdym mieście mordowano Bogu ducha winnych ludzi. Oszczędzano tylko zdatnych do pracy.

Tworzono listy zakładników, których rozstrzelowano za wystąpienia przeciwko Niemcom. Potwór, jak mówiono o Gauleiterze, sprowadził Polaków do rangi użytecznej siły roboczej. W parkach pojawiły się tablice: „Polakom i psom wstęp wzbroniony”. Wprowadzono obowiązek kłaniania się każdemu Niemcowi, a trzymanie rąk w kieszeni w obecności przedstawiciela wyższej rasy mogło się skończyć chłostą.

Mężczyznom zabroniono chodzić w trzyosobowych grupach. Ludzi pozbawiono prawa do mięsa, a racje żywnościowe zminimalizowano. Mimo to handel żywnością kwitł, rąbanekę i wędliny przemycano wszędzie. Kobiety chowały je pod spódnicami, udając, że są w ciąży; do przemytu wykorzystywano też dzieci, które były rzadziej kontrolowane. Mielono wieprzowinę z dużą ilością chleba, aby było jej więcej.

Mimo widma kary śmierci ukrywano Żydów, byłych wojskowych, organizowano komórki oporu, a sabotaż w gospodarstwach rolnych stał się bardzo powszechny.

Doświadczony porucznik Sebastian Rychter chciał tylko zabijać Niemców. Na chodniku dokoła niego było pusto. Przechodnie jakby rozpułyli się w powietrzu. Mężczyzna w mundurze ścignął broń z ramienia i wycelował w Sebastiana. Drugi policjant porządkowy stanął z boku w bezpiecznej odległości, podniósł dłoń i wycelował w Rychtera.

– Hej ty, pokaż dokumenty! – krzyknął.

Sebastian podniósł ręce na wysokość ramion i rozłożył je w geście świadczącym, że nie ma złych zamiarów.

– Dokumenty!!! – krzyknął policjant. Przeładował mauzera, rozstawił nogi i przycisnął kolbę do biodra.

– Nazywam się Anders Herzog, *Herr Unterwachtmeister* – powiedział z przekonaniem Sebastian. – Jestem Niemcem.

Mundurowi popatrzyli po sobie. Coś się nie zgadzało. Policjanci nabrali jeszcze więcej podejrzeń.

– Dokumenty!!!

Sebastian zdał sobie sprawę, że znalazł się w bardzo niebezpiecznej sytuacji. Nerwy wzięły górę, porucznik mimowolnie rozejrzał się w poszukiwaniu drogi ucieczki. Wtedy drugi z policjantów zdjął broń z ramienia.

– Ręce do góry!!!

Kiedy Sebastian usłużnie podniósł wyżej dłonie, policjant od razu zamachnął się karabinem i uderzył go lufą w splot słoneczny. Porucznikowi pociemniało przed oczyma i zabrakło tchu. Kiedy zgiął się wpół, szeregowy policji porządkowej poprawił kolbę, tym razem w głowę.

Rozdział 6

Gruppenführer rozsiadł się w fotelu szefa poznańskiego gestapo i spojrzął na właściciela mebla. Ernst Damzog, mężczyzna o fizjonomii osiłka, z mocnym karkiem, umiejętnymi barkami, o nieufnych oczach i charakterystycznej dziurce w brodzie, zachowywał się jak potulny kamerdyner. Usiadł naprzeciw człowieka, który pozwolił sobie na bezpośredni kurs do poznańskiej siedziby gestapo, pomijając wizytę w siedzibie partii, gdzie miał poznać Gauleitera Arthura Greisera, a także pożegnać usuwającego się w cień Oberführera Ericha Naumanna. Ale tu w Domu Żołnierza wszyscy wiedzieli, że Gruppenführer Radke to zaufany człowiek Heinricha Himmlera, a plotki o kosztownym podarunku od Reichsführera rozeszły się szybko, zanim lśniący daimler wjechał na parking.

– Wie pan, kiedy jechałem z Berlina do Posen, cały czas nie dawała mi spokoju jedna sprawa – zaczął Radke.

Ernst Damzog zerknął ze zdziwieniem na swojego nowego zwierzchnika.

– Jaka, jeśli wolno mi spytać, *Herr Gruppenführer*?

– Widzi pan, na początku września posłałem podoficera z pewnym zadaniem tu, na pański teren, i straciłem z nim kontakt. Sturmscharführer Meyer nie odzywał się od początku września. Może wie pan, co się z nim stało?

– *Herr Gruppenführer*, proszę pozwolić mi interweniować w tej sprawie. Poproszę Untersturmführera Langego, on powinien mieć więcej informacji w takich kwestiach.

Radke uśmiechnął się tajemniczo.

– To wspaniale się składa, bo muszę zamienić z Untersturmführerem Langem kilka słów.

Ernst Damzog podniósł się i sięgnął po słuchawkę aparatu telefonicznego.

– Proszę zawołać Untersturmführera Langego. Natychmiast! – rzucił do telefonu szef gestapo.

Radke tymczasem ściągnął czapkę, położył ją ceremonialnie na blacie, zarzucił nogę na nogę i oparł się wygodnie w fotelu.

– *Herr Gruppenführer*, straciliśmy kontakt z całą jego grupą już na początku września. Oczywiście nie pozostawiliśmy tego zaginięcia bez śledztwa. Niezmiernie mi przykro, ale

ustalenia pozwalają domniemywać, że Sturmscharführer Meyer, wraz z całym plutonem, nie żyją – powiedział stojący na baczność Untersturmführer Lange.

– Co ustaliliście?

– Dotarliśmy do miejsca ich ostatniego pobytu. We wsi Krzycko przesłuchaliśmy mieszkańców. To doprowadziło nas do pewnego gospodarstwa rolnego na uboczu. Zebrane tam ślady jasno wskazywały na strzelaninę. Mieszkańcy opowiadali o jakichś tajemniczych żołnierzach, ale nie potrafili powiedzieć nic więcej.

Gruppenführer przyjrzał się Langemu. Oficer rzeczywiście był rzeczowy. Radke wiedział, że do okupowanej Polski przyjechał niewiele ponad miesiąc temu. Z dossier, które dostał do przeczytania podczas podróży, dowiedział się, że już w Rzeszy zwrócono na niego uwagę. Charyzma, z jaką wypełniał rozkazy w sprawie akcji likwidowania osób niepełnosprawnych, nakreśliła mu ścieżkę kariery. Gruppenführer zastanowił się, czy wie, jakie plany mają co do niego i jego zwierzchnika.

Prawdą było, że Lange mu nie nadszukiwał. Mówił jasno o obowiązkach i był pewny siebie, kiedy wiedział, że wykonał rozkazy sumiennie. Naumann musiał być zadowolony z tego żołnierza, ciekawe, jak spisywała się ich Einsatzgruppe. Przez myśl przeleciała mu wizja losu mieszkańców wsi, gdzie najprawdopodobniej zginął Meyer. Radke uśmiechnął się mimowolnie.

– Rozumiem, panie Lange. Czy wyciągnięto jakieś konsekwencje z tego bestialskiego morderstwa?

Untersturmführer także zdobył się na lekki uśmiech i skinął głową generałowi. Zupełnie jakby czytał w jego myślach. Urządzili sobie tam niezłą strzelnicę, pomyślał oficer Einsatzkommando.

– Niech pan siada. – Radke wskazał dłonią pusty fotel obok Damzoga, po czym spojrzał na właściciela gabinetu. – Ma pan tutaj jakieś trunki na specjalne okazje?

Ernst Damzog zmieszał się lekko.

– Tak, *Herr* Gruppenführer, czego się pan napije? – Złapał za podłokietniki fotela i chciał się podnieść.

Radke, niemal wiernie kopiując gesty Himmlera, podniósł dłoń i zatrzymał gospodarza.

– Proszę pozwolić, ja to zrobię.

Mężczyźni popatrzyli po sobie z zakłopotaniem. Generał SS podniósł się i pytająco spojrzał na Damzoga.

– Tuż za panem, w szafie – powiedział usłużnie szef gestapo.

Radke podszedł do niewielkiej dwudrzwiowej szafy, otworzył drzwiczki i wyciągnął trzy szklanki. Postawił na biurku i powrócił po karafkę. Kiedy stał do nich plecami, rzucił

przed siebie:

– Pańska praca, *Herr Lange*, bardzo się nam podoba. – Radke otworzył karafkę i nalał koniak. Rozsunął szklanki i spojrzął na Untersturmführera. – Proszę opowiedzieć mi o tej nowej metodzie eutanazyjnej. Słyszałem, że z pacjentami z Owińsk osiągnął pan spektakularny sukces.

– *Herr Gruppenführer*, czy mogę mówić całkowicie szczerze?

Radke usiadł i upił łyk koniaku.

– Proszę, niechże się pan nie krępuje. Chcę znać szczegóły.

Zanim Untersturmführer Lange zaczął opowieść, szef gestapo wyciągnął paczkę papierosów, podniósł się i skierował do generała. Radke dzwignął się z krzesła i sięgnął po papierosa.

– Nie mogę nazwać tego spektakularnym sukcesem – rzucił nieśmiało Lange.

Radke, przypalając papierosa, podniósł wzrok i przyjrzał się twarzy esesmana. Gdyby nie specyficzna blizna na brodzie, byłby nieomal urodziwy. Ciemne włosy zaczesane do góry, nieduże uszy i figlarne oczy tworzyły dość niespójny obraz. Radke miał wrażenie, że Lange jest osobą, która łatwo ulega wpływowi autorytetu. Chłopiec, który usilnie chce się wykazać. Może potrzebuje być doceniony, zastanawiał się.

– Dlaczegoż to? – rzucił Radke.

Szef gestapo z ciekawością spojrzął na młodego oficera.

– Wraz z komendantem obozu Weibrechtem pojechaliśmy do tego szpitala. Pierwszym z problemów, na który natrafiliśmy, była agresja, choć nauczyłem się z nią radzić sobie już w Rzeszy. Dobrze wiem, że strzelanie może wzniecić wielki chaos, więc od razu rozkazaliśmy podawanie silnych leków uspokajających. Na samym początku właśnie do fortu jeździliśmy z tymi, którzy mogliby stwarzać najwięcej problemów. Tych, których nie dało się ujarzmić, rozstrzelaliśmy na miejscu. Ostatnie transporty były z dziećmi sprawiającymi najmniej kłopotów. Mniej więcej od połowy transportów podjęliśmy decyzję, że zaprzestaniemy używać bunkra.

Radke strzepnął popiół i podniósł głowę.

– Jakiego bunkra?

– W forcie, *Herr Gruppenführer*. Na początku zbieraliśmy ich w bunkrze, drzwi i wszystkie szczeliny uszczelnialiśmy gliną i wpuszczaliśmy spaliny, ale okazało się to nieefektywne.

– Dlaczego?

– Mieliśmy wielki problem ze szczelnością, dlatego proces trwał zbyt długo. Wszystko ciągnęło się przez kilka godzin. Do tego przeżywało zbyt wielu, których trzeba było dobijać. Dodatkowo na miejscu musieliśmy angażować więźniów, aby załadować ich

z powrotem na samochody i wywozić do lasu. Dlatego uszykowaliśmy pierwszy Einsatzwagen.

– Właśnie, słyszałem, że to unikatowe rozwiązanie daje więcej niż wymierne wyniki.

– Tak, *Herr Gruppenführer*. Poza tym nie trzeba przenosić ich z bunkra na ciężarówkę. Skróciliśmy też czas, bo gaz dostaje się bezpośrednio na szczelną pakę i można już jechać w kierunku miejsca pochówku.

– A jak ze śmiertelnością?

– Dużo wyższa. W samochodzie mieści się co najmniej dwadzieścia pięć dorosłych osób w wielkim ścisku. Co ciekawe, zauważyliśmy, że spaliny tak naprawdę tylko przyspieszają sprawę. Po kilku minutach na pace prawie nie ma powietrza. Jeżeli chodzi o dzieci, to jak pakujemy je z dorosłymi, to mieści się ponad trzydzieści osób. Zmierzyliśmy śmiertelność dość dokładnie.

– I?

– Na trzy samochody przeżywa jedna, dwie osoby. Pierwsi padają już zaledwie po dziesięciu minutach jazdy.

– Rozumiem. Czy prowadzicie statystyki?

– Tak, *Herr Gruppenführer*.

Radke uśmiechnął się. Ten młody oficer to strzał w dziesiątkę, pomyślał.

– Jest pan bardzo przekonujący, *Herr Lange*. Ile w Owińskach?

Lange znowu odwzajemnił uśmiech. Imponował mu ten generał bez ucha.

– Tysiąc siedemdziesiąt sześć osób. W tym sto sześćdziesięcioro troje dzieci – rzucił.

Radke zaciągnął się ostatni raz i zgasił papierosa. Upił troszkę trunku i spojrzał na milczącego Ernsta Damzoga.

– Drogi Ernście, powiedz mi, jak wygląda sprawa Polaków. Słyszałem, że obóz przejściowy przy Głównej działa sprawnie.

Szef gestapo ożywił się wyraźnie. Zauważył, że generał ma lepszy humor.

– Cały czas wypełniamy go ludźmi, *Herr Radke*. Oczywiście zgodnie z zaleceniami inteligencję i kler, i wszelki reakcyjny element po przesłuchaniu od razu wysyłamy do fortu. Mówiąc szczerze, oczyszczanie tych ziem idzie lepiej, niż myślałem. Posen lada moment będzie gotowy na zasiedlanie obywatelami Rzeszy.

– Cieszy mnie to niezmiernie. Więc napijmy się za przestrzeń, świeższe powietrze, już bez tych brudasów, za Führera i naszą wspaniałą Rzeszę.

Podnieśli szklaneczki, każdy z nich wypił alkohol do dna.

– Zanim wezmę się ostro do pracy, mam jeszcze jedną prośbę.

Esesmani zerknęli pytająco na generała.

– Chciałbym zobaczyć fort i jeden z tych słynnych Einsatzwagen.
– Z wielką przyjemnością wszystko panu zademonstruję – rzucił Lange.
– Świetnie. – Kiedy Radke wstał, esesmani poderwali się z foteli. – Mam jeszcze wiele pytań do panów, ale niestety to dopiero nazajutrz. Teraz jadę z wizytą do *Herr Greisera*.
Widzimy się wkrótce – dodał.

Damzog i Lange wyrzucili dłonie przed siebie.

– *Heil Hitler!*

Radke podniósł dłoń i wyszedł z gabinetu.

Rozdział 7

Sebastian z trudem otworzył oczy i zerknął na posadzkę. Ból był tak mocny, że miał wrażenie, że głowa zaraz mu eksploduje.

– Nazywam się Anders Herzog – wyszeptał, patrząc w podłogę. Zobaczył, jak długa gęsta ślina pełna krwi skapuje na posadzkę. Nie wiedział, czy ktoś go słucha. – Pochodzę z Muckwar niedaleko Cottbus. Matka z domu Flecke zmarła na gruźlicę w tysiąc...

– Zamknij się! – Mocny głos wypełnił niewielką celę.

Porucznik Rychter podniósł głowę i spojrzął na esesmana siedzącego za biurkiem. Tuż za nim stał jego oprawca. Funkcjonariusz gestapo miał podwinięte rękawy i zakrwawione dłonie. Niewysoki, krępy mężczyzna skrzyżował ramiona i zacisnął pięści. W ogóle nie dbał o to, że ręce brudzą koszulę. Na twarzy miał wypisane: „nie wymigasz się, jeszcze się z tobą zabawię”. Rychter spojrzął na esesmana. Ten postukał piórem w kartkę na biurku, po czym sięgnął po teczkę z zeznaniami.

– No więc, panie Herzog, wygląda na to, że mówi pan prawdę. Wykonałem kilka telefonów i potwierdziłem pańskie zeznania. Rzeczywiście pochodzi pan ze wsi Muckwar, matka zmarła na gruźlicę w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim. Ojciec w trzydziestym drugim na choroby krążenia. A pan, panie Anders, zniknął. Zdaje sobie pan sprawę, w jak nieatrakcyjnej sytuacji się znalazł?

To była pierwsza pozytywna informacja tego dnia. Do tej chwili nie wiedział, czy jego niemieckie papiery były wiarygodne. Okazało się, że major Zygartowicz po raz kolejny potwierdził swój profesjonalizm. Nawet po śmierci opiekował się swoimi żołnierzami. To niesamowite, pomyślał i spojrzął na pulsującą z bólu dłoń. Na dwóch palcach brakowało paznokci. Przetrwał tortury i podziękował w duchu za szkolenie Tuchowiaka, podczas którego major budził ich po nocach i pytał po niemiecku, jak się nazywają. Szarpali go i bili, zadając pytania. Wtedy miał do nich wielki żal, że tak go poniżali. Teraz zrozumiał, dlaczego to robili.

– *Herr* Hauptscharführer, ja naprawdę zgubiłem te dokumenty.

Esesman uśmiechnął się szyderczo.

– Naprawdę jesteś aż tak głupi? W dupie mam teraz twoje dokumenty. Słyszałeś kiedykolwiek o obowiązku wobec ojczyzny? Jesteś dla mnie zwykłym tchórzem! – krzyknął.

Wtedy do pomieszczenia wszedł oficer w randze Obersturmführera. Był szczupły, wysoki i wyprostowany. Wysportowany, pewny siebie i pedantyczny esesman w dłoni trzymał plik kolejnych akt. SS-Hauptscharführer na widok oficera od razu podniósł się z biurka i wystrzelił dłonią w nazistowskim pozdrowieniu. Podobnie zrobił gestapowiec z zakrwawionymi dłońmi.

– *Heil Hitler!* – rozbiło się echem po pokoju.

Sebastian wiedział, że musi wstać. Miał bardzo opuchnięte nogi, ale robił, co mógł. Oparł się dłonią o stołek i dźwignął siłą ramion. Kiedy na niego spojrzeli, puścił siedzisko. Walczył ze sobą, aby się nie przewrócić. Oficer podszedł do biurka, wziął krzesło i usiadł. Chwilę napawał się widokiem obolałego więźnia. Porucznik Rychter zachwiał się i upadł.

– Posadź go – powiedział przybyły do gestapowca.

Oprawca ruszył do Sebastiana, nie podniósł go od razu, tylko najpierw kopnął.

– Wstawaj, tchórze! – Gestapowiec szarpnął więźnia i posadził na stołku. Oficer SS tymczasem rozłożył skoroszyt.

– Widzi pan, panie – oficer zerknął na jedną z kartek – Herzog, według rozporządzenia Głównego Urzędu Sądownictwa SS, paragraf dwadzieścia pięć ustęp trzeci, jako dezerterski jest pan trupem. Ponieważ żołnierz, który w czasie dezercji ucieka za granicę albo przebywając za granicą, uchyla się od powrotu do kraju, podlega karze śmierci. –

Uśmiechnął się. – Sprawa wydaje się nazbyt oczywista. Teraz zapewne, gdyby miał pan choćby trochę oleju w głowie, powiedziałby, że nie jest dezerterskim, ponieważ nigdy nie był w armii, ale polecam trzymać gębę na kłódkę, bo gdy się odzywają tchórze, to często sięgam po broń.

Sebastian zerknął na esesmana i bez słowa kiwnął głową.

– Bardzo roztropnie, panie Herzog. Pójdźmy dalej. Paragraf trzydzieści jeden ustęp jeden: „kto uchyla się od obowiązku powszechnej służby wojskowej...”, tu dalej mamy kilka punktów, ale nie chcę pana zanudzać, więc przejdę do meritum, „...a, nie zgłasza się do rejestracji i/lub nie stawia się do kwalifikacji wojskowej w określonym terminie bądź nie przedstawia dokumentów, które są wymagane, i/lub nie stawia się do uregulowania stosunku do powszechnego obowiązku obrony, podlega karze pozbawienia wolności i/lub ciężkich robót na czas nie krótszy niż pięć lat”. – Obersturmführer podniósł głowę i po raz kolejny się uśmiechnął. Podniósł palec wskazujący. – Jest jeszcze kilka wyjątków, na przykład kiedy kraj jest w czasie wojny – dodał triumfalnie. – Tak naprawdę prawo landu, gdzie pan zaczął swe mizerne życie, pozwala mi pana w tym momencie zastrzelić. – Esesman odpiął kaburę, wyciągnął pistolet i położył na biurku. – Mogę rozporządzić pana mizernym tchórzliwym życiem tu i teraz. I zamierzam to zrobić. Pański wychudzony ryj nada się idealnie na mięso armatnie. Zostaje pan odesłany do karnego obozu Straflager VI. Tam nauczą pana odwagi, a jak pan pokornie będzie

słuchał, to trafi pan do jednostki karnej i dostanie możliwość odpracowania długu wobec Rzeszy. – Oficer zatrzymał się, po czym przesunął pistolet po biurku. – Jest jeszcze jeden warunek, wstaniesz teraz i ładnie zaszalutujesz. A jak nie zobaczę w tobie ducha walki wspaniałej Rzeszy, to strzelę ci w ten zawszony łeb.

Gestapowiec stojący pod ścianą uśmiechnął się od ucha do ucha. Tymczasem Sebastian po raz kolejny złapał dłonią za skraj stołka i zacisnął mocno palce. Z nabrzmiąłych miejsc po paznokciach połała się krew. Ręka zaczęła się trząść, oparł mocno stopę i dźwignął się z całej siły. Ostatek sił stanął na baczność i wyrzucił ramię przed siebie.

– *Heil Hitler!* – powiedział.

Pociemniało mu przed oczyma. Poczuł, że nogi robią się jak z waty. Porucznik Rychter osunął się na posadzkę nieprzytomny. Obersturmführer obrzucił wzrokiem leżącego więźnia, wziął pióro, pisał chwilę, po czym wstał i schował broń do kabury.

– Doprowadzić go do porządku, wypisać papiery i w drogę.

Rozdział 8

Szum powietrza przemykającego po karbowanym kadłubie samolotu był przyjemny. Marcus spojrział przez okno. Wielka połącz barwionego na zielono duralu, gdzie na krawędzi natarcia pracował jeden z trzech silników BMW, odznaczała się na tle błękitnego nieba ostrymi konturami. Przyglądał się, jak całe skrzydło ugina się, przeciwstawiając się sile, dzięki której byli w powietrzu. Przymknął oczy i wsłuchał się w szum.

Ogarnął go spokój. Taki sam, kiedy stał na tarasie francuskiej willi, często wynajmowanej przez ojca. To był upalny dzień sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku, przed chwilą wdał się w kłótnię z seniorem rodu, który przy stole niemal wynosił Hitlera na ołtarze. On zaś twierdził, że dzięki ojcowskim dotacjom właśnie niedawno NSDAP stało się jedyną partią w Niemczech, a monopartyjność prowadzi do rządów totalitarnych, które sprawowane przez Hitlera znowu rzucają ojczyznę na kolana. Ojciec skarcił go za defetyzm oraz brak wyobraźni. Tłumaczył, jak pieniądze rodziny Schreiberberg przyczyniły się do odbudowania Rzeszy, na którą tak długo czekano.

– Koniec upokorzeń ze strony zachodnich kapitalistycznych hien i całej żydowskiej świty – usłyszał.

Kiedy dyskusja zesłała na temat rasy, Marcus podniósł lampkę z koniakiem, przeprosił towarzystwo, wstał i wyszedł. Stał na tarasie i spojrział w dół stromego zbocza, gdzie wiała się droga, a tuż pod nią rozbijały się fale Morza Śródziemnego.

Uniósł lekko głowę, chciał poczuć podmuch letniej bryzy. Kiedy ciepły wiatr otulił twarz, wszystkie troski uleciały. Czuł, jak strugi powietrza oplatają go niczym jedwabny szal. Doznanie było cudowne, zmysł węchu dostał wspaniałą mieszankę ciepłego powietrza nagrzanego przez zachodzące słońce i delikatnej woni różaneczników rosnących na całej posesji. Przez myśl przeszedł mu pomysł przeproszenia ojca, ale ten jak zwykle na forum zacząłby rozważania nad swoim synem, który nazbyt wdał się w matkę. Oraz jak to jego miękkie serce od zawsze było wykorzystywane przez oponentów w interesach.

Oberstleutnant Schreiberberg otworzył oczy i zauważył, jak Wilhelm Canaris mu się przygląda. Dowódca siedział po przeciwnej burcie samolotu i gdy ostatnio podpułkownik na niego spoglądał, admirał był pogrążony w lekturze jakichś dokumentów. Marcus niedawno ze szczegółami streścił przebieg akcji przejęcia archiwum oraz jaką treść

zawierały przechwycone dokumenty. Canaris z niedowierzaniem kręcił głową.

– To niebywałe, aby Polacy popełnili taki błąd – powiedział.

Drugim tematem było zbrodnicze postępowanie oddelegowanych morderców SS z Einsatzgruppen. Kiedy Marcus dodał, że wie też o przypadkach morderstw na jeńcach i ludności cywilnej dokonywanych przez Wehrmacht, Canaris wybuchnął złością. Kiedy się uspokoił, powiedział, że świat nie wybaczy takiego postępowania Niemcom i wszyscy, którzy dopuszczają się takich zbrodni, powinni stanąć przed sądem wojennym, gdzie kara może być tylko jedna. Właśnie wtedy Marcus po raz pierwszy usłyszał z ust swojego zwierzchnika, że należy zakończyć tyranie Hitlera w każdy możliwy sposób. Pierwszy raz realnie poczuł bijącą od Canarisa nienawiść i chęć unicestwienia kanclerza Rzeszy wraz z całym jego sztabem doradców z trupimi główkami na czapkach.

Od czasu tej rozmowy szef wywiadu wojskowego jeszcze częściej popadał w zadumę i starzał się niemal z minuty na minutę. Przez spore okna zainstalowane w junkersie wpadało dużo światła, samolot właśnie lekko położył się na skrzydło, a kojące promienie padały prosto na twarz zwierzchnika Abwehry. Marcus przyjrzał się głębokim zmarszczkom Canarisa, wydawało mu się, że bruzdy od ostatniego spotkania jeszcze bardziej się pogłębiły, a oczy mocniej zapadły w oczodołach. Gdzieś głęboko w jego duszy widział wielkiego przyjaciela i mentora, który teraz, patrząc mu prosto w oczy, za wszelką cenę chciał utrzymać swoje uczucia w tajemnicy.

Canaris lekko się uśmiechnął. Wiedzieli, że każde słowo, które teraz padnie, powinno zostać zachowane w tajemnicy. Niestety warkot silników był tak donośny, że musieliby mówić podniesionym głosem, a tuż za nimi, w równych rzędach, siedziała część dowódców zasłużonej jednostki specjalnej Brandenburg. Kapitan Hippel, porucznik Kutschke i porucznik Walther, wraz z kilkoma żołnierzami niższych szczebli, już od początku lotu obserwowali swojego nowego zwierzchnika. Każdy chciał zobaczyć młodego podpułkownika, który ma taką reputację, że sam kanclerz wezwał go do siebie, chcąc go osobiście odznaczyć.

Byli dumni i ukradkiem zerkali na cztery przednie fotele zamontowane specjalnie dla wysokich rangą oficerów. Tylko niedawno awansowany na stopień kapitana Hans Neumayer siedział spokojnie, obserwując krajobraz przez okno. On, w przeciwieństwie do innych, znał bardzo dobrze Oberstleutnanta Schreiberga. Marcus wyciągnął papierośnicę i dał sygnał, że chciałby zapalić. Canaris skinął głową. Schreiberg wszedł do oszklonego kokpitu i zanim zwrócił na siebie uwagę, zerknął na tablicę rozdzielczą. Samoloty zawsze go ekscytowały. Piloci, zauważywszy podpułkownika, wyprostowali się w fotelach. Marcus popukał palcem w cyferblat zegarka.

– Nie więcej niż dwa kwadransy, *Herr Oberstleutnant* – krzyknął kapitan i wskazał dłonią w prawo. – Monachium – dodał.

Marcus skinął głową i gdy wyszedł z kokpitu, poczuł, jak junkers Ju-52 wykonuje

kolejny skręt.

Gdy wylądowali, na lotnisku w Ainring czekał już na nich piękny czarny mercedes wraz z obstawą SS. Tylko Schreiber i Wilhelm Canaris mogli jechać dalej. Szef Abwehry, przyzwyczajony do takiego orszaku, bez mrugnienia okiem wszedł do środka limuzyny i usiadł na miejscu. Marcus podszedł do lśniącej kruczoczarnej karoserii i przeciągnął dłonią po masce. Znał ten samochód. Jego ojciec jeździł podobnym. Lakier był tak wypolerowany, że zobaczył w nim swoje zdeformowane odbicie. Przyjrzał się szaremu kolorowi munduru i kilku kolorowym baretkom.

Teraz pierwszy raz od początku podróży poczuł stres. Zdał sobie sprawę, że za chwilę stanie oko w oko z kanclerzem Trzeciej Rzeszy, neurotykiem żądnym podporządkowania sobie całej Europy. Zastanowił się nad tym, co powiedział Canaris. O zgubie, jaką ma przynieść krajowi Hitler i o tym, jak wielką hańbą ma okryć całe Niemcy. Może należy wykorzystać okazję i zabić tyrana? Nie potrzebował do tego broni, wystarczy kilkanaście sekund i kilka celnych ciosów w krtani. Co by było po tej rychłej śmierci? Na pewno wymordowano by jego rodzinę, okryto hańbą nazwisko. Czy tak właśnie postąpiłby odważny człowiek? Dla sprawy poświęciłby nawet najbliższych?

– Przepraszam, *Herr* Oberst, ale musimy jechać – rzucił esesman w galowym mundurze.

– A tak, oczywiście, ruszajmy. – Wszedł do auta i usiadł obok admirała.

Canaris spojrział na oficera i poklepał go po kolanie, dając do zrozumienia, żeby się uspokoił i niczym nie przejmował. Zachował się tak, jakby czytał w jego myślach.

Trasę pokonali w absolutnej ciszy. Tuż za ostatnim zakrętem długiej serpentyny droga się kończyła. Masywna dwuskrzydłowa brama otworzyła się zaraz po tym, jak samochód zbliżył się na odległość kilkunastu metrów. Wjechali bezpośrednio do garażu. Tuż po opuszczeniu samochodu wartownicy poprosili gości o oddanie broni i krótko streścili procedurę zachowania się w willi. Marcus zauważył, że od momentu wyjścia z junkersa nie odstępowano ich na krok. Cały czas było przy nich co najmniej dwóch esesmanów. Z garażu ruszyli zewnętrznymi schodami w kierunku wejścia dla gości. Schreiber zauważył, że Canaris porusza się pewnie i w ogóle nie wygląda na zestresowanego.

– Ile razy pan tutaj był, admirale? – rzucił.

– Kilka. To bardzo ciekawe miejsce i niewielu widziało je od środka. – Znowu posłał mu uśmiech.

Na szczycie schodów stało dwóch wartowników z jednakowymi minami. Gdy zobaczyli oficera, strzelili obcasami i wyciągnęli przed siebie dłonie. Prowadzący esesman skręcił w podcienie, wsparte filarami z dużych kamieni, i ruszył w kierunku kolejnego członka rezydencji stojącego na końcu, tuż przy wielkich drzwiach prowadzących bezpośrednio do budynku. To był Heinz Linge, kamerdyner Hitlera,

ubrany w białą marynarkę z dystynkcjami i czarne spodnie. Wysoki mężczyzna z gęstymi brwiami, o prostych ustach i mocnym nosie na widok gości strzelił obcasami.

– *Heil Hitler!* – rzucił i wyprostował rękę w nazistowskim pozdrowieniu. – *Herr Admiral, Herr Oberst, Führer* jest jeszcze w herbaciarni, polecono mi, abym zaprowadził panów do salonu. Proszę tędy. – Wskazał kierunek dłonią i otworzył drzwi.

Kiedy przeszli przez przedsionek, kamerdyner otworzył kolejne dwuskrzydłowe drzwi do salonu. Widok ten niemal każdego powinien wprawić w osłupienie. Marcus, wychowany w zamożnej rodzinie, przy matce nauczył się wiele na temat estetyki i blisko dwustumetrowy salon wydał mu się kiczowaty i nic ponadto. Był na pokaz, miał zbyt wysoki sufit. Do samego pomieszczenia schodziło się po pięciu schodach. W oczy od razu rzucała się welurowa wykładzina w kolorze dojrzałej poziomki, która pokrywała niemal całe pomieszczenie. Po prawej stronie, tuż przy wejściu znajdował się marmurowy kominek. Aby podejść i usiąść na sofach przed kominkiem, należało wejść po trzech marmurowych schodach. Marcus przyjrzał się odległej konstrukcji, zastanawiając się, czy to tylko element dekoracyjny, czy rzeczywiście się w nim pali.

– To prezent od Benita Mussoliniego – rzucił admirał Canaris.

– W rzeczy samej, admirale – odezwał się Linge. – Proszę, zapraszam na sofę. *Führer* będzie za kilka minut.

Marcus ciągle rozglądał się po pomieszczeniu. Spojrzał na kasetonowy sufit, który był często stosowany w średniowiecznych zamkach; właśnie na kasetonach właściciele umieszczali herby swoich przodków. Tu połączono go z poziomkową wykładziną, białymi ścianami i dość prostym oświetleniem naprawdę nowoczesnego pomieszczenia.

Jedynym elementem, który tak naprawdę zrobił na nim wrażenie, było okno. Olbrzymie, podzielone szprosami, mogło mieć nawet trzydzieści metrów kwadratowych. Canaris rozsiadł się wygodnie na sofie, a Marcus miał nieodpartą chęć podejść do wielkiego stołu konferencyjnego i ocenić, jak zmienia się widok, kiedy zbliżyć się do tafli szyb. Podpułkownik obszedł stół i stanął przy oknie.

– Ładniejszy widok aniżeli u mnie w gabinecie, prawda? – rzucił Canaris.

Marcus zdobył się na uśmiech.

– Teraz stawia mnie pan, admirale, w niezręcznej sytuacji.

– Powinien pan powiedzieć: wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej, *Herr Schreiber*.

Oficerowie natychmiast się odwrócili. Na stopniach, tuż obok kamerdynera, stał Adolf Hitler. Canaris się podniósł, a Schreiber uniósł dłoń w nazistowskim pozdrowieniu.

– *Heil, Mein Führer*.

– Dzień dobry panom.

– *Mein Führer* – powiedział Canaris.

Hitler spokojnie zszedł po kilku schodach. Najpierw przywitał się z szefem Abwehry, a później zwrócił się do Marcusa. Aby spojrzeć mu w oczy, musiał unieść głowę. Niższy o ponad głowę kanclerz świdrował gościa wzrokiem. Dłonie miał delikatne, ale uścisk mocny. Schreiber spjrzał na idealnie odprasowaną dwurzędową marynarkę w kolorze matowej stali. Na rękawie miała wyszyte godło Rzeszy, orła trzymającego w szponach wieniec ze swastyką. Czapka garnizonowa miała kolor marynarki i była okraszona złotymi sznurami i orłem Rzeszy.

– To dla mnie zaszczyt, *Mein Führer*.

– Cała przyjemność po mojej stronie, *Herr Oberst*. Przysparza mi pan powodów do dumy. Jest pan wzorem oficera.

– Dziękuję, *Mein Führer*. Wszystko, co robię, robię z myślą o ojczyźnie.

Hitler nie odpowiedział, tylko odwrócił się do Canarisa.

– Wilhelmie, musisz zdradzić mi tajemnicę wychowywania tak znamienitych oficerów. Może podsunę kilka rad Heinrichowi.

– Kluczem wydaje się selekcja, *Mein Führer*.

– To oczywiste, ale dziś tylko Aryjczycy – pokazał dłonią na młodego podpułkownika – są w stanie sprostać wymogom stawianym nowoczesnej armii. Inne nacje są o wiele mniej zdyscyplinowane.

Canaris i Schreiber skinęli głowami. Adolf Hitler obrócił się i ruszył w kierunku dużej zdobionej szafy. Chwytnąjąc za złotą gałkę w kształcie męskiej głowy, zatrzymał się na moment i zanim otworzył skrzydło, rzucił przed siebie:

– Wie pan, *Herr Schreiber*, że pośród tych honorowych obywatelstw jest też teczka z podziękowaniem dla pańskiego ojca? To człowiek, który od wielu lat rozumie, dla jak wielkiej sprawy walczymy.

– *Mein Führer*, przyznanie tego wyróżnienia było dla ojca wielkim zaszczytem.

Hitler sięgnął po niewielkie pudełko, po czym zamknął szafę i ruszył w kierunku oficerów wywiadu. W środku był Żelazny Krzyż I klasy.

– Proszę go nosić z dumą, *Herr Schreiber*. Przed panem wiele ciężkich zadań.

– To dla mnie wielki zaszczyt, *Mein Führer*, dziękuję. – Marcus odebrał otwarte pudełko.

– W tym krzyżu jest podziękowanie od całego narodu, *Herr Oberst*.

Canaris podał dłoń podpułkownikowi.

– Dobra robota, Marcusie.

– Dziękuję, admirale.

Do salonu powrócił kamerdyner; nie schodził, tylko spojrzął na przywódcę i stanął na

baczność.

– *Mein Führer*, obiad jest gotowy. Zechce pan osobiście poprowadzić gości do stołu?
Hitler mu nie odpowiedział.

– Na tę okoliczność kazałem przygotować moje ulubione danie. Zapraszam za mną.

W jadalni stał stół dla osiemnastu osób. Ściany były wyłożone sosnowymi panelami, na których wisały lustra. Do pomieszczenia wpadało dużo światła. Podpułkownik wraz z admirałem poczekali, aż gospodarz usiądzie na swoim miejscu. Marcus spoczął naprzeciw Canarisa i spojrzał na widok za oknem.

– To Untersberg, *Herr Schreiber* – powiedział Hitler.

– Zapiera dech w piersiach. Proszę wybaczyć śmiałość, nie myślał pan, aby namalować ten krajobraz?

– Nie pan pierwszy zadaje to pytanie. Zapewniam pana, że dzisiaj kanclerz nie ma zbyt wiele czasu na przyjemności. – Hitler wypowiedział to w taki sposób, że nastąpiła niezręczna cisza.

Canaris podniósł widelec i wyciągnął przed siebie.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, to pański projekt.

– Twoja pamięć, *Wilhelmie*, jest nieomylna. Zaprojektowałem całą zastawę.

Heinz Linge otworzył drzwi i wprowadził esesmanów z talerzami wypełnionymi jedzeniem. Schreiber chciał choćby przez chwilę poobserwować Hitlera. Mimo że był małomówny i często mówił na tyle cicho, że należało się domyślać, co powiedział, to jego obecność czuło się wszędzie. Trzeba było mu oddać, że rozważnie dobierał słowa i składał je w zdania.

– Spaghetti to moje ulubione danie. Czy trafia to w panów gust?

Oficerowie skinęli głowami. Kiedy kanclerz podniósł sztućce, Marcus i admirał Canaris zabrali się do jedzenia. Od rana nie mieli nic w ustach.

– *Herr Schreiber*, proszę mi powiedzieć, spodziewał się pan, że Fall Weiss przebiegnie tak gładko?

Canaris przestał nawijać makaron na widelec i zerknął na Marcusa. Schreiber zastanawiał się przez chwilę, czy aby nie powinien parsknąć śmiechem, ale takie zachowanie pogrzyżyłoby go zupełnie. Dopiero to szczere pytanie Hitlera potwierdziło, w jak wyimaginowanym świecie żyje ten człowiek. Pomyślał o generale Jodlu, tak bliskim i zaufanym doradcy Hitlera. Szefie sztabu dowodzenia Oberkommando der Wehrmacht, który tak bardzo narzekał na wielkie braki w dostawach amunicji podczas końcowej fazy oblężenia Warszawy. Podobnie było z nowoczesną wojną błyskawiczną, której słabość Polacy odkryli już w pierwszym tygodniu września. Chciał wykrzyczeć Hitlerowi w twarz, że najsłabszym punktem Wehrmachtu jest transport i logistyka. To

wielka słabość, która nas zgubi. To właśnie chciał powiedzieć kanclerzowi Trzeciej Rzeszy.

– To było naprawdę wielkie zwycięstwo, *Mein Führer*. – Kiedy skończył mówić, Wilhelm Canaris powrócił do jedzenia.

– A w kularach słyszałem, że pyszałkowaci Polacy zapowiadali obronę swojego kraju przez lata. Joseph ciągle powtarza, że to naród niechlujny i leniwy. Ja natomiast upatruję w nim wielką rezerwę rąk do pracy. Podrzędnej, rzecz jasna.

Znowu nastała cisza. Kanclerz zaczesał włosy i włożył kęs makaronu do ust. Przełknął spokojnie i po raz kolejny lodowatym wzrokiem obrzucił rozmówców.

– Powracając do ich niechlujności. Musi być w tym więcej niż ziarno prawdy, bo gdyby było inaczej, to nie udałoby się zdobyć panu tego cennego archiwum. Prawda?

Schreiberg poczuł w tym zdaniu sadyzm w najczystszej formie. Hitler dobrze wiedział, że jego rodzina od lat robiła interesy z Polakami, a w żyłach jego matki płynie po części polska krew. Marcus wiedział, że temat był nieprzypadkowy. Pomyślał o bezwzględnym manipulatorze Josephie Goebbelsie. Cynicznym wirtuozie propagandy, grającym pierwsze skrzypce w orkiestrze Hitlera. Gdy kroniki filmowe pokazywały sielskie scenki domowego zacisza i uśmiechnięte dzieci stojące wokół choinki, nieduże komórki kontrwywiadu Abwehry przyglądały się ciemnej stronie polityki Rzeszy.

Schreiberg raport o działalności eutanazyjnej miał na stole zanim kanclerz w sylwestrowy wieczór wygłosił orędzie. Nie miał odwagi dać go Canarisowi do ręki. Odkryto, że w wielu zakładach leczenia liczba zgonów, tuż po wrześniu, wzrosła. Agenci, używszy swoich siatek, sprawdzili karty pacjentów. Okazało się, że większość z nich to starzy niedołążni ludzie bądź kalekie dzieci. Tropy prowadziły do lekarzy, którzy w imię nowego porządku wykonywali rozkaz Hitlera. Dochodzenie zataczało coraz szersze kręgi, dostarczając mrozących krew w żyłach wieści. Dowiedziano się, że umyślowo chorzy i niedołążni znikali. Nie ujawniając żadnych emocji, Schreiberg spojrział na Adolfa Hitlera.

– To prawda, *Mein Führer*, sami byliśmy zdziwieni skalą odkrycia, a niechlujność była widoczna na każdym kroku.

– Mimo to w Bydgoszczy zachowali trzeźwość umysłu – dorzucił Canaris.

Hitler skarcił go wzrokiem, po czym wprawnie zmienił temat.

– Polacy przynajmniej wykazują mizerną państwowość. Spójrzcie panowie na takich Żydów. Przecież żydostwo nie jest nawet wspólnotą religijną, to tylko zwykła rasa niezdolna do żadnej efektywnej pracy. – Hitler nawinął makaron na widelec i spoglądając w talerz, dodał: – Zgodzicie się ze mną?

Schreiberg spojrział ukradkiem na swojego zwierzchnika. Canaris wiedział, że musi poprowadzić tę rozmowę.

– To prawda, na świecie cokolwiek warci są tylko ci, co należą do dobrej rasy – rzucił beznamiętnie.

Hitler natychmiast ożywił się wyraźnie i podniósł głowę na tyle szybko, że zaczesana grzywka opadła mu na czoło. Machinalnie zakreślił dłonią łuk i poprawił włosy.

– Doprawdy, schlebiasz mi, Wilhelmie, to słowa z dzieła mego życia.

Gdy Canaris skinął głową, Adolf Hitler uśmiechnął się; to był pierwszy szczerzy uśmiech od początku tego spotkania. Odłożył widelec i kontynuował.

– Dlatego tak wspaniała rasa potrzebuje jakże niezbędnej przestrzeni do życia. Ja jestem tylko wykonawcą woli narodu... – Kanclerz zatrzymał się na chwilę, teraz patrzył ślepo w resztki porcji pozostałej na talerzu, zupełnie tak, jakby właśnie snuł jakąś psychopatyczną wizję.

Oficerowie wiedzieli, że nie mogą przerywać.

– To jest prawdziwa walka, którą podjęliśmy, walka o doprowadzenie proporcji do właściwej wartości, tejże proporcji między rasą aryjską a przestrzenią życiową – dodał.

Wilhelm Canaris zauważył, że Marcus pobladł. Szef Abwehry dojrzał, że kolejny z wielu znamienitych oficerów zrozumiał to, co on zauważył już kilka lat temu. Hitler chce zgubić Trzecią Rzeszę i pogrążyć w mroku całą Europę. Wiedział, że czeka ich walka na wielu frontach, a najtrudniejszy będzie ten wewnętrzny. Otuchy dodawał mu fakt, że jest ich o jednego więcej. Oberstleutnant Marcus Schreiber, dowódca jednostki specjalnej Brandenburg, syn magnata przemysłu węgla kamiennego, wielkiego zwolennika NSDAP i Hitlera, w Berghofie, domu kanclerza, przekroczył granicę i całym sobą znienawidził nazizm.

– *Sieg Heil, Mein Führer* – powiedział Schreiber.

Rozdział 9

Czternaście dni, tyle czasu od kapitulacji potrzebowali Polacy, aby zwołać pierwsze posiedzenie Głównej Rady Politycznej przy Służbie Zwycięstwu Polski. Prekursorzy Polskiego Państwa Podziemnego, tacy jak generał Michał Tokarzewski-Karaszewicz, wiedzieli, że społeczeństwo polskie jest zdeorientowane i osamotnione. Bez wątplenia należało za wszelką cenę zachować państwowość, którą Niemcy tak usilnie tępilli.

Na każdym kroku dławiono narodowy zapał do kultywowania tradycji, unicestwiano elity i inteligencję. Najeźdźca, niczym śmiercionośna machina, krok po kroku realizował swój plan, ale żaden z wysoko postawionych członków NSDAP nie wiedział, co ich czeka w Polsce. Głęboko w duszach Polaków ciągle żarzyła się chęć do walki. Potomkowie powstańców i wielkiej husarii nie odkładają broni po kilku tygodniach walki. Wtedy Polacy po prostu byli spragnieni zemsty. Ci zwykli ludzie, nauczyciele, lokalni działacze gminni, kibice klubów sportowych, którzy jeszcze przed wybuchem wojny łączyli się w przeróżne organizacje, teraz pragnęli rozliczać Niemców za ich czyny.

Był początek roku tysiąc dziewięćset czterdziestego i ze świącą trzeba by było szukać regionu Rzeczypospolitej, który w tamtym czasie nie miałby na swoim obszarze działającej komórki konspiracyjnej. Major Zygartowicz, wyglądający jak wrak człowieka, nieogolony, z zapadniętymi i podkrążonymi oczyma, szedł z Woli i właśnie zbliżał się do skrzyżowania Kołomyjskiej i Skalmierzyckiej. Było zimno. Uważał, że ludzie zmęczeni jesienią i trwającą zimą właśnie w styczniu mają skłonności do popadania w melancholię.

Styczeń tego roku był najgorszy w jego życiu. Feliks podniósł kołnierz wysłużonego płaszcza i spojrzał na młodego żołnierza idącego tuż obok. Młody chłopak, w przeciwieństwie do niego, miał zapał i nadzieję w oczach. Dla niego major Zygartowicz był przewodnikiem, który dzięki swym umiejętnościom poprowadzi takich jak on do walki z okupantem. Młody sierżant z IV Batalionu Telegrafistów z Łodzi słyszał, jak ktoś z 55 Pułku Piechoty rozpoznał skrajnie wyczerpanego majora, idącego z uchodźcami na południe. Natychmiast powiedział mu o warszawskich strukturach, które potrzebowały oficerów do organizowania konspiracji w kraju, i przekonał majora, aby ten wraz z nim zawrócił do Warszawy. Tam ulokowano go w bezpiecznym miejscu, pozwolono wypocząć i wprowadzono w struktury.

W międzyczasie rząd kierowany przez generała Sikorskiego, obawiający się zbyt wielkiego wpływu zwolenników sanacji na społeczeństwo i ingerencji politycznej Służby Zwycięstwu Polski, wystosował depezę powołującą nową organizację pod nazwą Związek Walki Zbrojnej. Polacy w chwili zagrożenia odłożyli spory polityczne na bok i zaakceptowali wytyczne generała Sikorskiego. Żołnierz idący z majorem spojrzał na jego poważną minę. Był dumny, że odprowadza człowieka, który bardziej z powodu koleżeńskiej prośby aniżeli z rozkazu pułkownika Stefana Roweckiego za niedługo miał zostać dowódcą Związku Walki Zbrojnej okręgu wielkopolskiego. Dwadzieścia minut temu opuścili bezpieczną kryjówkę na Woli i szli na spotkanie z komendantem oddelegowanym na teren okupowany przez Niemców. Celem było mieszkanie w kamienicy przy zbiegu Białobrzeskiej i Rokosowskiej.

– Panie majorze, Niemcy – powiedział cicho młody żołnierz.

Nie zdradzając żadnych emocji, Feliks obrzucił wzrokiem dwuosobowy patrol idący po przeciwnej stronie drogi.

– Niech się pan przyzwyczaja do tego widoku – rzucił cicho Zygartowicz.

Patrol minął przygarbionego mężczyznę i chłopaka, który wyglądał jak jego syn.

Spotkanie z pułkownikiem zaplanowano na czternastą. Feliks, nienawykły do spóźnień, odruchowo zerknął na przegub dłoni. Po ładnym chronometrze pozostało ciągle widoczne jaśniejsze miejsce na skórze. Znikający znak przypominał mu klęskę Warszawy i dzień promocji na stopień oficerski. Na odwrocie koperty zegarka był wyryty drobnym pismem grawer: „Pamiętaj o całości materii, której małą cząstką posiadasz. I o całym czasie, którego krótki i drobnouchny dział ci wydzielono. I o losie, którego jakże znikomą jesteś częścią!”¹⁵

Ojciec, 13.10.1925 r.”

Młody żołnierz zerknął na majora.

– Kwadrans do drugiej, panie majorze – powiedział.

Feliks początkowo nie zareagował. Przeszli jeszcze kilka kroków.

– Musi pan skończyć z tym „majorem” – rzucił cicho. – Chyba że życzy nam pan rychłej śmierci – dodał.

Skarcony sierżant zrozumiał, jak nieroztropnie jest wymawiać w miejscu publicznym stopnie wojskowe. Żołnierze weszli w ulicę Białobrzeską.

Rozdział 10

Wiatr przeszywał styczniowe miasto. Gwiżdżąc między szczelinami gruzowisk, podrywał drobiny kurzu, które uderzały w twarz, powodując piekący ból. Ludzie ze spuszczoneymi głowami poruszali się szybko. Rozalia wiedziała, że nie tylko pogoda powoduje, że mało kto już trzyma podniesioną głowę. Strach, upokorzenie, bieda i głód rzuciły Polskę i Warszawę na kolana. Doszła do końca kamienicy, walcząc z natrętnymi podmuchami, i skręciła w boczną przecznicę. Uczucie, którego chwilowo doznała, było bardzo przyjemne, wiatr jakby zupełnie ucichł.

Czuła, że idzie nazbyt szybko. Podniosła głowę i zwolniła. Przeszywający ból pojawił się tak nagle jak zawsze. Ukłucie długą igłą przeszło bok jej ciała, dokładnie tam, gdzie znajdował się wielki szew. Zatrzymała się i złapała za miejsce, które było naznaczone śmiercią Warszawy, a dla niej nowym życiem. Minęły zaledwie trzy miesiące, od kiedy wyszła ze szpitala. Tylko dwa razy wróciła do miejsca, skąd wygrzebano ją spod gruzów. Nie dlatego, że właśnie tam, w kamienicy, w której zginęli niemal wszyscy mieszkańcy, rozegrał się wielki dramat. Dlatego, że w tym miejscu najczulsze obszary jej kobiecości były pielęgnowane przez mężczyznę, który rozpałił w niej prawdziwą miłość. Dzięki któremu dowiedziała się, że tak naprawdę nie kochała jeszcze prawdziwie nikogo, a wszystkie wcześniejsze związki były tylko drobnymi zauroczeniami. Kiedy miesiąc temu stała, patrząc w miejsce, gdzie była jej sypialnia, zastanawiała się, czy Feliks czuł wtedy to samo co ona.

– Pani wybaczy...

Usłyszała kobiecy głos, który wyrwał ją z zadumy. Otarła łzę i spojrzała na kobietę po pięćdziesiątce, która wyglądała bardzo poważnie jak na swój wiek.

– Nie może pani tak stać. Zwraca pani na siebie uwagę. Proszę już iść.

Gdy Rozalia machinalnie skinęła głową, kobieta ruszyła w swoją stronę. Kobiety, pomyślała. Warszawa stała się miastem kobiet. Ruszyła przed siebie, karcąc się w duchu za tak nierozważne zachowanie. W parcianej torbie przewieszanej przez ramię niosła kilka ziemniaków, dwie cebule oraz kawałek ciemnego razowego chleba. W niewielkiej wszywce, między produktami, były także ukryte rozkazy. Pracę w Służbie Zwycięstwu Polski zaczęła zaledwie kilka dni po tym, jak wyszła o własnych siłach ze szpitala. Na początku jako maszynistka przepisująca rozkazy, teraz chodziła jako łączniczka.

Wychowana w patriotycznym domu, walkę narodowowyzwoleńczą miała we krwi, poza tym w tamtych czasach służba stała się odskocznią od marzeń i wspomnień, których efektem zawsze była melancholia.

Pozostały jeszcze niecałe dwa kilometry. Na rogu Radomskiej i Białobrzeskiej zamierzała przejść przez ulicę. Kiedy się rozejrzała, czy nic nie jedzie, wtedy go zobaczyła. Mężczyzna w ciemnym wełnianym płaszczu. Była pewna, że niespełna minutę temu, kiedy zaczepiła ją kobieta, mignął jej przed oczyma niczym błysk żarówki lampy aparatu fotograficznego. Poczowała, jak strach paraliżuje jej umysł, z wielkim wysiłkiem ruszyła przed siebie. Z każdym krokiem myślała, że oprawca jest coraz bliżej. Miała wrażenie, że przepala ją wzrokiem. Z metra na metr przyspieszała. Na ułamek chwili powrócił rozsądek, zastanowiła się, w jaki sposób powinna zniszczyć rozkaz i jak stworzyć ku temu dogodną okazję.

Doszła do skrzyżowania z Nieborowską. Należało podjąć decyzję, czy dalej zmierzać w kierunku punktu docelowego, czy zboczyć z trasy i spróbować potwierdzić, że jest śledzona. Zawahała się, patrząc w dół ulicy. Wtedy się obejrzała. Wciąż tam był, niewysoki, grubawy, z puciołowatymi policzkami i świńskimi oczkami. To gestapo. Boże! Niemal wykrzyczała te słowa na głos. Do oczu napłynęły jej łzy. Przez umysł, niczym błyskawica, przeleciała myśl o alei Szucha. Przy obecnym stanie zdrowia nie ma najmniejszych szans, aby przeżyła jakiegokolwiek tortury.

Ruszyła w lewo. Tymczasem niewysoki mężczyzna zorientował się, że został rozpoznany, podniósł dłoń i skinął palcami, dając znak ciemnemu sedanowi, aby ruszył wraz z nim. Samochód zaparkowany niecałe dwieście metrów dalej włączył się do ruchu i niespiesznie ruszył naprzód. Rozalia już prawie biegła. Ocalenie życia stało się sprawą nadrzędną. Kiedy zaczęła się nerwowo rozglądać w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, które mogłoby posłużyć do zgubienia pościgu, zauważyła dwóch mężczyzn. Pierwszy był przygarbiony i brodaty, drugi był o wiele od niego młodszy; obaj szli podobnym tempem co ona. Zupełnie nie pasowali do gestapo, ale też ją ścigali. Co się tutaj dzieje!

Rozdział 11

Gdy tylko zauważył te pszeniczne loki, od razu przyspieszył. Serce zaczęło mu walić jak młotem. To niemożliwe, pomyślał. Jak wiele jest takich blondynek w Warszawie? Przyjrzał się dokładniej, była nieco chudsza i nie płynęła tanecznym krokiem jego Rozalii. Ale te włosy wyglądały dokładnie tak samo. Grube, gęste fale, opadające na ramiona. Była zdenerwowana i robiła wszystko, aby znaleźć okazję do odwrócenia się za siebie. Chciała się upewnić. Uciekała.

Czekał, chciał z daleka zobaczyć jej twarz i uspokoić się. Potwierdzić oczywiste i powrócić do beznadziejnego świata. Rutyna szpiegowskiego rzemiosła wzięła górę. Rozejrzał się niepostrzeżenie. Gestapo. Opel na siódmej i ogon nie więcej niż pięćdziesiąt metrów za blondynką. Sierżant Habigier zauważył, że major zdecydowanie przyspieszył kroku. Żołnierz poczuł, że coś się dzieje, i nerwowo rozejrzał się dookoła.

- Masz broń? – rzucił cicho Feliks.
- Tak jest – odpowiedział cicho sierżant.
- Po drugiej stronie ulicy za drobną blondynką idzie gestapo.

Młody żołnierz zerknął na chodnik po przeciwnej stronie. Otyły mężczyzna w ciemnym płaszczu i kapeluszu już nawet nie dbał o to, czy został zauważony. Młodemu sierżantowi decyzja o pomocy od razu wydała się nierozsądna. Na końcu ulicy przy zbiegu Białobrzeskiej i Rokosowskiej mieli się spotkać z szefem ZWZ na tereny okupowane przez Niemców i kilkoma ważnymi oficerami. Do tego niedawno minął ich patrol Ordnungspolizei. Ryzyko wydawało się zbyt duże.

- Jakie rozkazy, majorze? – rzucił skupiony.
- Zaraz minie nas opel, wtedy przejdiesz przez jezdnię i ruszysz za ogonem w gotowości do strzału.
- Tak jest.
- Ja zajmę się tym z samochodu. Strzelaj, aby zabić. Zrozumiano?
- Ku chwale ojczyzny, panie majorze!

Zygartowicz przyjrzał się młodemu i energicznemu chłopakowi. Cały Andrzej. Patriotyzm to wspólny mianownik tych chłopców, pomyślał.

- Działaj! – rzucił.

Charakterystyczny czterodrzwiowy opel w wersji saloon minął żołnierzy. Sierżant Waław Habigier od razu przeszedł przez jezdnię.

Rozdział 12

Kiedy rana po operacji po raz kolejny dała Rozalii o sobie znać, ciemny sedan już za nią pędził. Upłynęło zaledwie kilka sekund, a czarny opel minął biegnącą kobietę, przyciskającą rękę do brzucha, i zatarasował jej drogę. Wiedziała, że jest stracona. Ludzie na ulicy, widząc, co się dzieje, rzucili się do ucieczki. Skręcając w bramę, sięgnęła do torby; ostatnia rzecz, którą musiała zrobić, to zdążyć zniszczyć rozkaz. Nie wiedziała, co w nim jest. To mógł być jeden z tych błahych bądź jeden z tych największego kalibru. Miała zamiar połknąć kartkę.

Skąd się dowiedzieli? Jak to możliwe, przecież była tak ostrożna. Gdyby знаła przyczynę, wściekłaby się i od razu zidentyfikowała konfidenta. Podstarzały sąsiad, przedwojenny sprzedawca kwiatów z Parku Saskiego, ten ze spojrzeniem zboczeńca, któremu kiedyś rzuciła kilka cierpkich słów o gapieniu się na jej biust.

Oświadczam, ponieważ poczuwam się do obowiązku powiadomić władzę, iż udało mi się wykryć jedną panią, która była sekretarką wysokiej rangi oficera sztabowego. Fizjonomia nietuzinkowa. Blond loki i szczupła sylwetka. Nie sposób przejść obok niej obojętnie. Nazbyt często wychodzi i zdarza się nierzadko, że wymyka się z mieszkania w godzinach zakazanych. Musi pracować w konspiracji. Zamieszkała od niedawna przy Żurawiej 13 mieszkania 8.

Życzliwy

Donos wylądował na biurku tajnej policji dokładnie przedwczoraj.

Gestapowiec wysiadł zza kierownicy i ruszył w jej kierunku. Drugi, który rozpoczął śledzenie, teraz z wyraźną zadyszka i kroplami potu na czole dobiegał do miejsca aresztowania. Kiedy Rozalia zamykała powieki, rozległ się huk wystrzału, który odbił się gromkim echem od budynków. Nie wiedziała, jak otyły i spocony Niemiec pada na chodnik.

Rozdział 13

Najpierw mignęła mu szczurza twarz i mało inteligentne spojrzenie. Tajniak wypadł z samochodu i wściekle ruszył na ofiarę. Feliks, biegnąc, chwycił za kaburę. Niemiec był o krok od kobiety. Gdzie jest ten cholerny radiotelegrafista, pomyślał, wyciągając broń. Wtedy usłyszał huk. Na ulicy już panowała panika, ludzie uciekali, gdzie tylko mogli. W chwili, gdy dźwięk wystrzału pistoletu dotarł do ich uszu, gestapowiec szarpnął mocno za ramię uciekającą kobietę. Ta zachwiała się dokładnie wtedy, gdy Feliks podnosił visa, żeby zastrzelić nazistę. Wtedy zauważył jej twarz. Boże! Rozalia!

Nagle ktoś ją szarpnął tak intensywnie, że poczuła, jak jej pantofle odrywają się od podłoża. Najpierw mignęła jej twarz wściekłego nazisty, a zaraz później zobaczyła zmęczonego człowieka z przeciwnej strony drogi. Ten ułamek sekundy wystarczył, aby złapać spojrzenie błękitnych i inteligentnych oczu. Od razu przywołała zapach jego skóry i wody kolońskiej. Od kiedy opuścił jej mieszkanie, wielokrotnie wachała ręcznik, którym się wycierał. Feliks.

Gdy bezwładnie upadła, uderzyła głową o brukowany wjazd w podwórku kamienicy. Nagle zrobiło się przyjemnie ciepło. Widziała go. Wypoczętego, przeciągającego się w łóżku. Był ranek, Warszawa budziła się leniwie. Nie było zgiełku, gwaru i hałasu. Zaczynała się niedziela. Patrzył na nią pożądlwym wzrokiem. Śnieżnobiała oficerska koszula, którą miał na sobie wczoraj, pachniała męskimi perfumami. Zarzuciła ją na nagie ciało, bawełna była przyjemna, podniosła materiał do nosa. Uwielbiała ten zapach.

Kiedy zauważył, jak upadła, zmroziło mu krew w żyłach. Gestapowiec, na dźwięk wystrzału pistoletowego, obrócił się i zobaczył brodatego mężczyznę z wyciągniętym pistoletem. Kiedy dotarło do niego, że to nie on strzelał, w pierwszej chwili znieruchomiał. Człowiek z wyciągniętą bronią w ogóle nie zwracał na niego uwagi. Sam zerknął pod nogi na leżącą blondynkę i zrozumiał. Oni się znali. Wtedy zadziałał instynkt samozachowawczy. Automatycznie sięgnął za poję płaszcz. Do bramy wpadł sierżant Habigier, spojrzął na majora stojącego w letargu i tajniaka wyciągającego broń.

Gestapowiec zorientował się, że sytuacja obróciła się na jego niekorzyść. Starając się wygrać pojedynek, niczym rasowy rewolwerowiec przykucnął lekko. Mając broń w ręku, Waclaw był na dogodniejszej pozycji. Bez wahania ściągnął języczek spustowy i oddał

strzał. Chybił.

Znajomy dźwięk natychmiast wybił Feliksa z niemocy, major zauważył rannego Niemca, który składał się do strzału. Wtedy wypalił prosto w twarz nazisty. Gdy Niemiec padł, Feliks zerknął na twarz Rozalii. Pierwsza rzecz, jaką chciał zrobić, to przeciągnąć po delikatnym policzku dłonią i zmyć z siebie ciężar, który od miesięcy nie pozwalał mu na spokojny sen. Atak na Balków i Piątek, sochaczewskie inferno, walka o stolicę, z tym sobie radził. Ale w koszmarach to rozmyte postaci matek poległych żołnierzy jego niewielkiego plutonu pukały do drzwi. Za każdym razem otwierał, słysząc: Horyński, Kalwiński, Kruszwica, Banach, Sitarczuk, Kupczyk, Spychała, Graczyk, Szwed, Słowik...

– Panie majorze, co teraz? Uciekajmy! Zaraz tu będą Niemcy!

Feliks ocknął się. To rzeczywiście była ona. Jak to możliwe?

– Panie majorze!!!

Popatrzył na przerażonego sierżanta.

– Natychmiast weź ciało z chodnika i zapakuj do auta – rzucił.

Wacław zerknął na twarz majora. Feliks na powrót był sobą. Sierżant obrócił się na pięcie i wybiegł po otyłego esesmana leżącego na chodniku. Tymczasem on podszedł do Rozalii, delikatnie wsunął rękę pod łopatki, drugą pod zgięcia kolan dziewczyny, wyprostował się i ruszył z nią do pustego opla. Wychodząc z bramy, zauważył, że tylko przednie drzwi są otwarte. Zgrabnie przerzucił Rozalię przez bark, obszedł samochód i otworzył drzwi pasażera.

Tymczasem Wacław siłował się z otyłym oprawcą. Bezwładne ciało człowieka waży co najmniej dwa razy tyle, co ciało człowieka świadomego. Gdy martwy nazista wygrywał z sierżantem łączności, Feliks otworzył bagażnik samochodu i wrócił po trupa w bramie. Kiedy Wacław miał zamiar zawołać o pomoc, dosłownie znikąd zjawił się przy nim młody chłopak. Spojrzeli sobie w oczy, nie padło ani jedno słowo. Chwycili martwego grubasa i już obaj donieśli go do opla. Bezwładna masa wylądowała na tylnej kanapie. Bezimienny kolega z Białobrzeskiej skinął głową i przyłożył dwa palce do wymagowanego orła na czole. Wacław skinął głową i zatrzasnął drzwi.

Feliks wiedział, że nie może podjechać pod kamienicę, gdzie się umówił z Roweckim. W oknie za nieruchomą firanką zawsze stoi czujka, gdyby tylko zobaczyli czarną karoserię, w jednej chwili wszyscy opuściliby kryjówkę. Skreślił w bramę i spojrzał na Rozalię, opartą bezwładnie o drzwi. Zauważył wielki guz na jej głowie, machinalnie pogłaskał ją policzku. Oddychała miarowo. Była taka spokojna. Ciągle tak samo piękna. To jest najlepszy styczeń w moim życiu, pomyślał.

– Panie majorze, co teraz? – rzucił przerażony sierżant.

Feliks spojrzał na tylną kanapę. Przerażone oczy młodego człowieka wpatrywały się

w niego wyczekująco. Major przeniósł wzrok i spojrzął na minę martwego Niemca. Całe dorosłe życie stronił od ćwiczeń fizycznych, a zginął zmęczony. Śmierć, pomyślał i uśmiechnął się.

– „Szanuj zdrowie należycie, bo jak umrzesz, stracisz życie”¹⁶ – powiedział, patrząc na gestapowca.

Sierżant, słysząc te słowa, zdumiał się. Czekał.

– Tu jesteśmy chwilowo bezpieczni. Biegnij do kamienicy i powiadom kogoś, że za chwilę podjedzie pod dom gestapowski samochód. Niech ktoś wyjdzie, przejmie auto i zrobi porządek ze szkopami. Zrozumiano? – powiedział cicho Feliks.

– Ku chwale ojczyzny, panie majorze – rzucił Wacław i wybiegł z auta.

Rozdział 14

Wąski pasek światła pojawił się niczym błysk słońca wstającego na horyzoncie. Rozalia powoli otworzyła oczy. Huczało jej w głowie. Kontury nabierały ostrości. Co za sen, pomyślała. Nie wiedziała, czy odetchnąć z ulgą, czy zamknąć oczy i próbować dalej spać. Była taka ciekawa zakończenia. Podczas chwili wątpliwości przyjrzała się nieznanemu ornamentowi na suficie, podejrzliwość przyszła tak nagle, jak ból głowy. Skrzywiła się, Przecież... Pomyślała o pościgu, zadaniu i gestapo. O Boże! Chciała się poderwać.

Wtedy, niczym feniks z popiołów, pojawił się jej Feliks. Uśmiechał się. Spojrzała mu w oczy. W błękitnych tęczęwkach była inteligencja, spokój, otucha i bezpieczeństwo. Poczuła, jak łyzy płyną jej po policzkach. Pochylił się i przywarł delikatnie ustami do jej spierzchniętych warg. Były miękkie jak poduszki. Kiedy się podniósł i otarł kciukiem płynące łyzy, zauważyła pierścionek z czerwonym rubinowym oczkiem na rzemieniu z nieśmiertelnikiem. Mój Feliks, pomyślała i rozplakała się na głos.

Przytulił ją delikatnie, wtuliła nos w jego szyję i płakała. Z wysiłku, bólu, żalu i szczęścia. To był najszczęśliwszy dzień w jej życiu.

– Przepraszam, że byłem takim skończonym głupcem – powiedział jej do ucha.

Rozalia otworzyła oczy. Feliks odsunął ją delikatnie od siebie i spojrzał jej w nie. Widziała, jak jego oczy błyszczą od zbierających się łez.

– Musiałś umrzeć, żebym zrozumiał, jak bardzo cię kocham.

Złapała jego twarz w obie dłonie.

– Ja cię pokochałam, kiedy tylko cię ujrzałam. – Uśmiechnęła się. – A więc pocałuj mnie, mój głupcze – dodała.

Major Zygartowicz po raz kolejny zbliżył się do ust pięknej blondynki. To był pierwszy pocałunek w jego życiu, podczas którego zamknął oczy.

Rozdział 15

Makarewicz spojrział na zbliżającego się Wojtka. Nawet w obliczu przegranej wojny obronnej, utraconej ojczyzny i przede wszystkim urażonej dumy olbrzym ciągle poruszał się z podniesionym czołem. Świeże rany postrzałowe, niezabliźnione dziury po kulach z Sochaczewa, doskwierające mu każdego dnia podczas wielokilometrowej ucieczki do tego dziwnego kraju, dzisiaj przypominały o sobie ze zwielokrotnioną siłą.

Radek przyglądał się serdecznemu koledze, który, przeszedłszy przez szutrową drogę, wijącą się między barakami obozu dla internowanych żołnierzy Wojska Polskiego, i niewielki rów, i ruszył wprost ku niemu. Plutonowy znał tę minę i widział ją nie raz. Wiedział, że chorąży Wojciech Tuchowiak ma jakiś kolejny wariacki plan. W tej chwili zapragnął zapalić papierosa, ale to oznaczało nie lada ból. Sufit, który spadł na niego w kamienicy sochaczewskiego inferno, zmiażdżył mu kilka żeber, które mocno obięły płuca. Cud od Boga, że żadne z nich nie przebiło jakiegoś narządu.

Po złamaniu powstał wielki obrzęk, który wedle zaleceń lekarza miał ustąpić w ciągu ośmiu do dziesięciu tygodni. Teraz Makarewicz siedział oparty o niewielki domek w Rumunii, gdzieś blisko delty Dunaju, i nawet samo nabranie większego haustu powietrza zwiastowało nieznośny ból, a proszki przeciwbólowe były ciągle niespełnionym marzeniem. Jakby jeszcze tego było mało, to kula, którą dostał, kiedy Wojtek niósł go w rejon kładki przez Bzurę, pogruchotała lewy staw barkowy i teraz, dzięki Chyżemu, owinięty bandażami, wyglądał niczym mumia egipska. Wojciech zerknął na siedzącego w cieniu Makarewicza i uśmiechnął się tak jak zawsze.

– Makar, dajemy chodu z tego pieprzonego obozu – powiedział bez ogródek.

Radek spojrział wymownie i uśmiechnął się niemal niewidocznie.

– Z tym chodu, szanowny kolego, bym się nie rozpędzał. Ja nie będę zwawo chodził jeszcze przez dwa miesiące. Ty kuśtykasz niczym stary pirat z drewnianym kulasem. Capną nas zaraz za płotem. Tym bardziej że po ostatnich ekscesach z zabawą w duchy i innych bzdurnych ucieczkach Rumuni wzmocnili ochronę – rzucił Radek, a Tuchowiak prychnął.

– Co z ciebie taki malkontent? Nie będę tu siedział za drutem kolczastym, pilnowany przez jakichś fircyków z karabinem na sznurku od snopowiązałki i bagnecie wyklepanym ze starego garnka. Zresztą nic się nie zmieniło w kwestii ochrony obozu. – Olbrzym

znowu się uśmiechnął. – Rozmawiałem z chłopakami z pierwszej lotniczej, mają tam takiego dracznego porucznika, krewki chłop, jak trzeba. Podpytał mnie, czybym nie był chętny do pomocy w rejteradzie.

Radek spojrzał wymownie na Wojtka.

– Słyszałeś, że już od dawna są jakieś problemy z transportem morskim. Ponoć ludzie gadają, że Rumuni z Niemcami chcą się układać. Zobacz, kiedy ostatni statek wyszedł z Konstancy, wpław chcesz morze przepłynąć? – zapytał poirytowany plutonowy i zerwał źdźbło trawy, które wsadził sobie do ust.

– Widzisz, dobrze kombinujesz. Może nie wpław, ale podobny plan mają nasi koledzy z Dębina. Zobacz. – Podniósł dłoń i wysunął palec wskazujący. – Tam jest Dunaj, chcą dojść do rzeki, zmajstrować jakąś niedużą skorupę, albo i dwie, wypłynąć przez deltę i złapać coś na redzie. Ten porucznik wspominał, że jego wuj kiedyś opowiadał mu, że znał Litwina, co pływał ze Stambułu do Gałaczu przez Tulczę. A na redzie Rumuna, a daj Boże Greka, waluta przekona od razu. Tej, te matrosy to własną matkę by sprzedali, byleby mieć za co w szyję dawać i panny łupać po burdelach. Trzej piloci z tym porucznikiem plus kilku z personelu naziemnego mają ponoć trochę grosza, kilka zegarków i złotych monet. Myślę, że wystarczy, żeby zapłacić za podróż na doczepkę. –

Choraży spojrzał na Makarewicza tak, jakby ten plan był tak genialny, że śmiało można by go nazwać arcydziełem zorganizowanej ucieczki.

– A czym się będziesz bronił, jak nas ktoś zacznie podejrzewać? Dobrze wiesz, że o to teraz nietrudno. Jak zobaczą kaleki z bandą romantyków, wiesz, co będzie? Nawet gdyby po broń wrócić, to przecież nasze visy są zakopane kilka kilometrów na północ. Ja przecież ledwo chodzę. Idź sam, tylko bym wam wadził.

Uśmiech Wojtka nieco zgasł, choć nie na tyle, aby nie dało się wyczuć w nim ciągle drżące podniecenie. Spojrzał wymownie na plutonowego.

– Ależ ty mnie dzisiaj wyprowadzasz z równowagi. Słuchaj, a nie marudź jak baba. Tarmosiłem cię z Sochaczewa, to i do Bejrutu doniosę. Ten kapitan z Pierwszej Bazy Lotniczej pokazał mi depezę, Sikorski organizuje armię we Francji. Ponoć chłopaki spływają zewsząd, piszą, że chłopca na kilka dywizjonów lotnictwa zmontują. Ja nie zamierzam tu siedzieć, tylko, jak pragnę zdrowia, chcę zabijać szwabów. Nie pozwolę, żeby paniczki z szalikami z jedwabiu dziurkowały fryców. Mówię to jako kolega, a skoro to nie dociera do twojej pały, to teraz pan mnie posłucha. Ciągłe jest pan plutonowym Wojska Polskiego, a rozkazy to rzecz święta, więc w dupie mam pańskie humory. Pojutrze w nocy wymarsz. – Pokazał na niego palcem.

Radosław, nie odzywając się, podniósł z ziemi czapkę polową z przypiętym orłem, nałożył na głowę i przyłożył palce do daszka.

– Ku chwale ojczyzny, panie choraży – rzucił tak, jakby było mu wszystko jedno.

– No i od razu lepiej prawisz. Poza tym obiecałem Feliksowi, że się spotykamy we Francji.

Plutonowy utkwiał wzrok w już dużo poważniejszych oczach chorążego.

– Słyszałeś, co powiedział Walery, został w Warszawie – dodał cicho Radek.

– Gówno tam został. Żyje, gdyby było inaczej, tobym wiedział. Rozumiesz?

Radek nie chciał ciągnąć tego tematu, wypluł wymemłane źdźbło i zerwał następne.

– A gdzie Walery?

Tuchowiak usiadł obok kolegi, oparł się o wapienną elewację małego budynekczku i wyciągnął ranną nogę.

– Załatwia nam visy, o które tak się gorączkujesz.

Zdziwiony Makarewicz obrócił się w kierunku Wojtka.

– Jak?

Olbrzym uśmiechnął się zawadiacko.

– A przekonuje właśnie jakąś dzierlatkę z Czerwonego Krzyża, jedną z tych, które jutro mają wrócić do nas z lekarstwami. Propozycja jest taka, aby siostra przełożona zatrzymała się po drodze i wykopała nasze pukawki.

– Psiajucha, baby do tego naszego sanitariusza lgną jak osy do kompotu.

– Prawda! Chociaż i nam urody nie brakuje, co? – Tuchowiak przecesał dłonią po rzadkich blond włosach i wydał usta tak, że długa bruzda, ciągnąca się po policzku, całkiem zbieleła.

Radek chyba po raz pierwszy tego dnia się uśmiechnął. Spojrzał w niebo i westchnął głęboko.

– Jaką ja znam barmankę w Bydgoszczy, mówię ci, Drwał, cycki ma takie wielkie i twarde jak dwa arbuzy.

Chorąży Tuchowiak wyciągnął dłonie, wielkie jak bochny chleba, przed siebie i rozpostarł palce na kształt, który sobie właśnie wyobrażał.

– Takie?

– Większe.

– Kadzisz?

– Poważnie.

– Jak pragnę zdrowia...! – Tuchowiak pokiwał głową i też zerwał źdźbło.

Epilog

Feliks siedział przy stole przykrytym białą serwetą. Spoglądał na nią badawczo i zastanawiał się, jak wielkiej determinacji potrzeba, aby wyszydełkować tak skomplikowany wzór. Zerknął na sieć ornamentu i odnalazł w nim prawidłowość. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to przemyślany schemat głównych arterii Paryża zwieńczonych niezliczonymi rondami.

Przesunął niewielki pierścionek z rubinowym oczkiem wzdłuż jednej linii, w kierunku okna. Kiedy podniósł wzrok, w oddali zauważył budynek Prudentialu. Co teraz? – przyszła pierwsza myśl. Ile siły i czasu potrzeba, aby sprawy powróciły do normy? Gdzie są Wojtek, Radosław, Walery i Sebastian? Czy żyją? – myślał.

Kiedy krajobraz za oknem rozmazał się na dobre, poczuł, jak delikatne dłonie obejmują jego ramiona. Wrócił do rzeczywistości. Zobaczył blond loki, a pomiędzy nimi uśmiechniętą twarz Rozalii.

– O czym tak rozmyślasz, kochany? – zapytała.

Odwzajemnił się delikatnym uśmiechem.

– O matce i rodzinie – powiedział cicho.

Rozalia pochyliła głowę i pocałowała go delikatnie w czoło.

– Wszystko będzie dobrze – szepnęła.

Podziękowania

Bezpańskie psy są hołdem złożonym dziadkowi Feliksowi, który początkowo służył w 55 Pułku Piechoty, a w 1939 roku w Korpusie Ochrony Pogranicza w Wilnie. To on w mym dzieciństwie zasiał we mnie ziarno patriotyzmu.

Chciałbym również podziękować mojej rodzinie, która przeczytała maszynopis i wspierała mnie na niezliczone sposoby. Patrykowi, który na kolanie w londyńskim metrze nanosił swoje, jakże cenne, uwagi. Przyjacielowi Piotrowi za to, że zawsze jest gdzieś blisko od przeszło trzydziestu lat. To dzięki niemu powstał wątek braterskiej przyjaźni Wojciecha i Feliksa. Mojej żonie Annie, bez której nie powstałaby ta książka. Za jej ogromną wyrozumiałość dla mojego „braku interakcji”, kiedy ztracałem się w tysiącach stron literatury historycznej, za ogromne wsparcie, kiedy chciałem kasować wszystkie pliki, i za jej powiedzenie, które będę już zawsze kojarzył z „bezpańskimi psami”:

Mój Boże, w tym domu znowu wojna.

Szymon Wojtyniak

Stopień w SS	Tłumaczenie	Odpowiednik w Wehrmachcie	Tłumaczenie
Reichsführer-SS	dowódca narodowy	Generalfeldmarschall	marszałek polny
Oberstgruppenführer (od 1942)	naczelny dowódca grupy	Generaloberst	generał armii/generał pułkownik
Obergruppenführer	starszy dowódca grupy	General	generał broni
Gruppenführer	dowódca grupy	Generalleutnant	generał dywizji/generał porucznik
Brigadeführer	dowódca brygady	Generalmajor	generał brygady/generał major
Oberführer	starszy dowódca	–	brygadier
Standartenführer	dowódca pułku	Oberst	pułkownik
Obersturmbannführer	starszy dowódca szturmowy batalionu	Oberstleutnant	podpułkownik
Sturmbannführer	dowódca szturmowy batalionu	Major	major
Hauptsturmführer	dowódca-szef szturmowy	Hauptmann/Rittmeister	kapitan
Obersturmführer	starszy dowódca szturmowy	Oberleutnant	porucznik
Untersturmführer	młodszy dowódca szturmowy	Leutnant	podporucznik

Sturmscharführer	dowódca szturmowy formacji	Stabsfeldwebel	starszy sierżant sztabowy
Hauptscharführer	dowódca-szef formacji	Oberfeldwebel	sierżant sztabowy
Oberscharführer	starszy dowódca formacji	Feldwebel	starszy sierżant
Scharführer	dowódca formacji	Unterfeldwebel	sierżant
Unterscharführer	młodszy dowódca formacji	Unteroffizier	plutonowy
Rottenführer	dowódca drużyny	Obergefreiter	kapral
Sturmmann	piechur szturmowy	Gefreiter	kapral (w Allgemeine SS) albo starszy szeregowy (w Waffen-SS)
Obermann (od 1942)/ Oberschütze (Waffen-SS, od 1942)	starszy piechur/starszy strzelec	Oberschütze	–
Mann/Schütze (Waffen-SS) Mann/Schütze (Waffen-SS)	piechur/strzelec	Soldat	szeregowy
Anwärter	kandydat	–	–
SS-Bewerber (od 1943)	aplikant	–	–

- 1) Termit – mieszanina stosowana jako środek bojowy. ↵
- 2) Starszeństwo to zasada, która ustala hierarchię oficerów o tym samym stopniu oficerskim w danym korpusie osobowym. ↵
- 3) *Tuchenmesser* – (niem.) scyzoryk ↵
- 4) We Wrocławiu w ten konkretny dzień nie wystawiano *Carmen*, mimo to w owym czasie Bizet był bardzo popularny. Opera *Carmen* była wystawiana w styczniu 1938 roku w Poznaniu w Teatrze Wielkim. ↵
- 5) *Privatorum...* – (łac.) Prawo publiczne jest ważniejsze od woli jednostki. ↵
- 6) *Dormiunt...* (łac.) – Czasami uspięne prawa wracają do życia. ↵
- 7) Nowa Synagoga w Breslau – zburzona w 1938 r. wrocławska synagoga, usytuowana u zbiegu ulic Podwale i Łąkowej. ↵
- 8) Śmiercicha – marzanna. ↵
- 9) Wilhelmsruhe – osiedle willowe Wrocławia, dzisiejsze Zacisze. ↵
- 10) *Para bellum* (łac.) – szykuj się do wojny. ↵
- 11) *Großmutter gestorben* (niem.) – Babcia umarła; sygnał wywoławczy do rozpoczęcia akcji dywersyjnej w Gliwicach. ↵
- 12) Cytat armeński – potoczna nazwa ustępu przemówienia Adolfa Hitlera do dowódców Wehrmachtu wygłoszonego w jego domu w Obersalzbergu 22 sierpnia 1939 roku, na tydzień przed niemiecką inwazją na Polskę. ↵
- 13) BMW R12 – produkowany od 1935 do 1942 roku dwucylindrowy motocykl, którego głównym odbiorcą była niemiecka armia. ↵
- 14) *Alles...* (niem.) – Wszystko w swoim czasie. ↵
- 15) Marek Aureliusz, *Rozmyślania*, Warszawa 1997. ↵

16) A. Fredro, *Dożywocie*. ↩